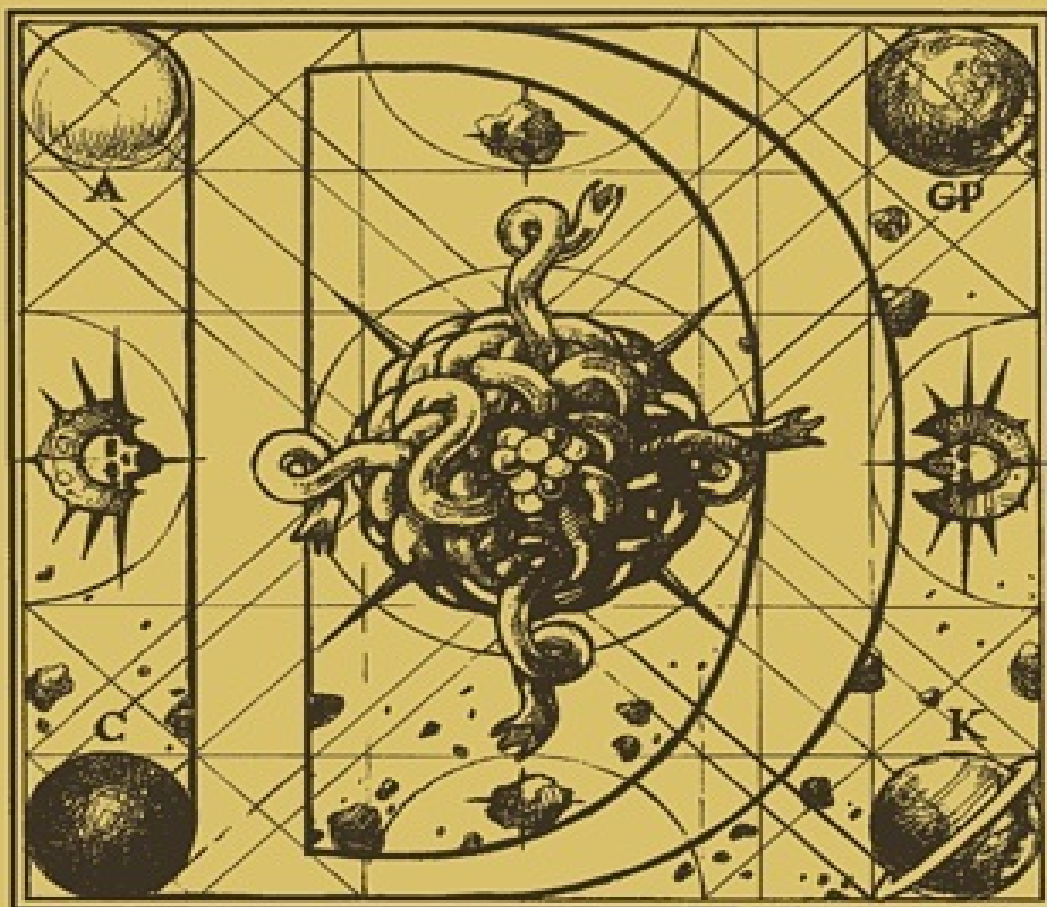


Frank Herbert
Bóg Imperator
Diuny



Frank Herbert

BÓG IMPERATOR
DIUNY

Przełożył Marek Michowski



Dom Wydawniczy REBIS

Peggy Rowntree
– z miłością, podziwem
i wielką wdzięcznością



Kiedy pisałem *Diunę*

...nie zastanawiałem się nad sukcesem czy porażką książki. Skupiłem się wyłącznie na pracy. Sześć lat badań poprzedziło dzień, w którym zasiadłem, by zebrać tę historię w całość. Powiązanie mnóstwa wątków, które zaplanowałem, wymagało takiego stopnia koncentracji, jakiego wcześniej nie doświadczyłem.

Miała to być historia eksplorująca mit mesjasza.

Miała przedstawić inne spojrzenie na zamieszkaną przez ludzi planetę jako na maszynę wytwarzającą energię.

Miała spenetrować wzajemne związki polityki i ekonomii.

Miała być analizą absolutnego daru przewidywania i pułapek, jakie kryje.

Miała opowiadać o narkotyku pobudzającym świadomość i o tym, do czego prowadzi uzależnienie od niego.

Woda pitna miała być odpowiednikiem ropy naftowej i samej wody, substancją, której zasoby topnieją z dnia na dzień.

Powinna to być powieść ekologiczna z wieloma skojarzeniami, a także opowieść o ludziach i ich zabiegach o ludzkie wartości. Musiałem monitorować wszystkie te poziomy w każdym stadium książki.

Nie miałem głowy do myślenia o czymś więcej.

Informacje od wydawców po pierwszym wydaniu były spóźnione i – jak się okazało – niedokładne. Skrytykowali ją recenzenci. Odrzuciło ją dwunastu wydawców, nim została wydana. Nie było reklamy. Coś jednak się działo.

Przez dwa lata zasypywany byłem skargami księgarzy i czytelników, że nie mogą zdobyć mojej książki. Chwalił ją *Whole Earth Catalog*. Cały czas dostawałem telefony z pytaniem, czy jestem założycielem jakiegoś nowego kultu.

Moja odpowiedź brzmiała: „O Boże, nie!”

Opisuję tu powolne uświadamianie sobie sukcesu. Kiedy ukończone zostały trzy pierwsze książki o Diunie, nie było już wątpliwości, że dzieło jest popularne – należy do najpopularniejszych w historii, jak mi mówiono, ze sprzedanymi dziesięcioma milionami egzemplarzy [Tekst ten powstał na początku lat osiemdziesiątych. Dziś ta liczba jest znacznie wyższa – przyp. red.]. Teraz najczęściej stawiane mi pytanie brzmi: „Co dla pana znaczy ten sukces?”

Zadziwia mnie. Nie oczekiwałem jednak porażki. To była praca, którą wykonałem. *Mesjasz Diuny* i *Dzieci Diuny* powstały częściowo przed ukończeniem samej *Diuny*. Tomy te nabrały potem ciała podczas pisania, ale zasadnicza opowieść pozostała nietknięta. Byłem pisarzem, więc pisałem. Sukces oznaczał, że mogę poświęcić pisaniu więcej czasu.

Spoglądając wstecz, zdaję sobie sprawę, że instynktownie postąpiłem prawidłowo. Nie pisze się dla sukcesu. To odciąga część uwagi od pisania. Wszystko, co powinienesz robić, to pisać, jeżeli robisz to naprawdę.

Istnieje ciche porozumienie między tobą a czytelnikiem. Jeżeli ktoś wchodzi do księgarni i wydaje ciężko zarobione pieniądze (energię) na twoją książkę, powinienesz mu dostarczyć rozrywki i starać się o to ze wszystkich sił.

To właśnie było zawsze moim zamiarem.





Fragment wystąpienia Hadii Benotto dotyczącego odkryć w Dar-es-Balat na planecie Rakis.

Nie tylko z przyjemnością zawiadamiam dziś państwa o odkryciu tej wspaniałej składnicy, zawierającej między innymi monumentalny zbiór manuskryptów z ryduliańskiego papieru krystalicznego, ale też z dumą przedstawiam dowody autentyczności naszych odkryć, które pozwalają uważać, że odnaleźliśmy oryginały dzienników Leto II, Boga Imperatora.

Po pierwsze, pozwólcie przypomnieć sobie ów znany jako *Wykradzione dzienniki* skarb historyczny, którego starożytność jest powszechnie znana, a który w ciągu wieków był tak pomocny w zrozumieniu naszych przodków. Jak wiadomo, *Wykradzione dzienniki* zostały odczytane przez Gildię Kosmiczną, a opracowany przez nią klucz wykorzystano do przekładu nowo odkrytych ksiąg. Nikt nie podważa starożytności klucza Gildii, on zaś, *i tylko on*, pozwala przetłumaczyć te księgi.

Po drugie, księgi te wydrukowano za pomocą starożytnego ixańskiego dyktatela. *Wykradzione dzienniki* nie pozostawiają wątpliwości, że takiej właśnie metody użył Leto II do zapisania swoich historycznych spostrzeżeń.

Po trzecie, uważamy, że sama składnica to równie znaczące odkrycie. Miejsce przechowywania tych dzienników jest niewątpliwie ixańskim dziełem o konstrukcji tak wspaniałej, przy całym prymitywizmie metod budowy, że musi rzucić nowe światło na epokę znaną jako Rozproszenie. Jak należało się spodziewać, schron ten był niewidzialny. Leżał o wiele głębiej, niż pozwalały oczekiwać mity i przekazy ustne, a przy tym pochłaniał i odbijał promieniowanie, naśladując naturalne otoczenie. Ta mechaniczna mimikra sama w sobie nie jest zadziwiająca. Naszych inżynierów zadziwia natomiast uzyskanie jej za pomocą najbardziej podstawowych i prymitywnych mechanizmów.

Widzę, że są państwo tak samo podekscytowani, jak byliśmy my. Sądzymy, że mamy przed sobą pierwszą ixańską kulę, pozaprzestrzeń, od której pochodzą wszystkie podobne urządzenia. Jeśli nie jest naprawdę

pierwsza, musi być *jedną z pierwszych* i wcieleniem zasad budowy pierwszej.

Pragnąc zaspokoić państwa oczywistą ciekawość, zapewniam, że wkrótce odbędziemy krótką wycieczkę po składnicy. Prosimy tylko o zachowanie ciszy we wnętrzu, bo nasi inżynierowie i inni specjaliści wciąż tam pracują, badając jego tajemnice.

To prowadzi mnie do czwartego punktu, który można uznać za kulminację naszych odkryć. Trudno opisać uczucia wywołane kolejnym znaleziskiem, które pragnę przedstawić: chodzi o nagrania z adnotacją, że dokonał ich Leto II głosem swego ojca, Paula Muad'Diba. Autentyczne nagrania Boga Imperatora przechowywane są w archiwach Bene Gesserit, zatem przesłaliśmy zgromadzeniu próbki naszych, zapisanych w starożytnej pamięci mikromagnetycznej, z formalną prośbą o przeprowadzenie badań porównawczych. Nie wątpimy, że znalezione przez nas nagrania zostaną uznane za autentyczne.

Proszę teraz, by zwrócili państwo uwagę na przetłumaczone fragmenty, które rozdaliśmy przy wejściu. Przy okazji przepraszam za ich wagę, słyszałam bowiem żarty na ten temat. Skorzystaliśmy ze zwykłego papieru ze względów praktycznych. Oryginalne księgi zapisane są pismem tak drobnym, że można je odczytać dopiero przy znacznym powiększeniu. Prawdę mówiąc, trzeba by aż czterdziestu takich tomów jak ten, by wykonać przedruk jednego z oryginałów zapisanych na ryduliańskim kryształ.

Jeżeli projektor... tak. Na ekranie po lewej wyświetlamy część oryginalnej strony. Jest to fragment pierwszej strony pierwszego tomu. Nasz przekład widnieje na ekranie po prawej. Proszę zwrócić uwagę na ten istotny dowód, na poetycką lekkość słów, a także na ich znaczenie zachowane w przekładzie. Ten styl świadczy o rozpoznawalnej i wyraźnie określonej osobowości. Naszym zdaniem mógł to napisać ktoś, kto bezpośrednio obcował z pamięciami swoich przodków i kto starał się podzielić tym niesamowitym doświadczeniem w sposób zrozumiały dla tych, którzy nie mieli owego daru.

Przyjrzyjmy się teraz rzeczywistemu znaczeniu zawartości. Wszystkie odniesienia do historii są zgodne z tym, co mówi ona o osobie, która jak sądzymy, zostawiła nam te zapisy.

Mamy dla państwa jeszcze jedną niespodziankę. Pozwoliłam sobie poprosić sławnego poetę Rebetha Vreeba, by stanął na tym podium i odczytał krótki fragment pierwszej strony w naszym przekładzie.

Zauważyliśmy, że nawet w tłumaczeniu słowa brzmią zupełnie inaczej, kiedy się je czyta głośno. Pragniemy podzielić się z państwem naprawdę niezwykłą wartością, jaką odkryliśmy w tych księgach.

Panie i panowie, powitajmy Rebetha Vreeba.

Z recytacji Rebetha Vreeba.

Zapewniam was, że jestem księgą losu.

Pytania są moimi wrogami. Albowiem moje pytania wybuchają! Odpowiedzi zrywają się jak przestraszone stado ptaków, przesłaniając niebo moich wspomnień, od których nie ma ucieczki. Ni jednej odpowiedzi, ni jednej zadowalającej.

Jakież pryzmaty błyskają, gdy wkraczam na straszliwe pole mej przeszłości. Jestem odpryskiem rozbitego krzemienia zamkniętym w szkatule. Szkatuła obraca się i trzęsie. Ciska mną w burzy tajemnic. A kiedy się otwiera, wracam do tej obecności niczym obcy w jakimś pierwotnym kraju.

Powoli (powoli, powtarzam) uczę się znowu mego imienia.

Ale to nie to, co znać je samemu!

Ten człowiek o moim imieniu, ten Leto, drugi to imię noszący, znajduje w swoim umyśle inne głosy, inne imiona i inne miejsca. Och, obiecuję wam (jak i mnie obiecano), że odpowiem na to jedyne imię. Jeśli powiecie „Leto”, odezwę się. Cierpienie odgrywa tu rolę, cierpienie i coś jeszcze.

Trzymam w ręku wszystkie nici!

Wszystkie one są moje. Wystarczy tylko wyobrazić sobie temat – powiedzmy... *mężczyźni, którzy zginęli od miecza* – i mam ich wszystkich skąpanych we krwi, każdy nienaruszony obraz, każdy jęk, każdy grymas.

Radości macierzyństwa, wyobrażam sobie, i wszystkie łoża rodzących są moje. Niezliczone uśmiechy niemowląt i słodkie gaworzenie nowych pokoleń. Pierwsze niezdarne kroki i pierwsze zwycięstwa młodości przychodzą do mnie, żebym w nich uczestniczył. Potykają się one o drugie, aż w końcu widzę tylko jednakowość i powtórzenie.

„Zachowaj to wszystko nietknięte” – ostrzegam siebie.

Któż zaprzeczy znaczeniu takich doznań, wartości poznania tego, co oglądam z każdą nową chwilą?

Aaach, ale to przeszłość.

Czyż nie rozumiecie?

To tylko przeszłość!



Bóg Imperator Diuny

Dziś rano urodziłem się w jurcie na skraju stepu na nieistniejącej już planecie. Jutro urodzę się jako kto inny gdzie indziej. Jeszcze się nie zdecydowałem. Dziś rano jednak... aaach, to życie! Kiedy mój wzrok się wyostrzył, spojrzałem na zdeptaną trawę na zewnątrz i w blasku słońca zobaczyłem pełnych życia ludzi zajętych swymi słodkimi powszednimi sprawami. Gdzież... ach, gdzież się podziła ta pełnia życia?

– *Wykradzione dzienniki*

Troje biegnących na północ przez księżycowe cienie Zakazanego Lasu rozciągnęło się prawie na pół kilometra. Ostatni biegł niecałe sto metrów przed ścigającymi ich D-wilkami. Zwierzęta poszczekiwały i dyszały podniecone, jak zawsze, kiedy miały zdobyć w zasięgu wzroku.

Pierwszy księżyc stał prawie nad ich głowami, więc w lesie było całkiem jasno i – mimo wysokich szerokości geograficznych Arrakis – wciąż jeszcze ciepło po upale letniego dnia. Nocny prąd powietrza od Ostatniej Pustyni, Seriru, niósł żywiczne wonie i wilgotne wyziewy poszycia. Od czasu do czasu bryza znad Morza Kynesa za Serirem przynosiła biegnącym słabą woń soli i ryb.

Zrzędzeniem losu ostatni z nich zwał się Ulot, co w języku Fremenów oznacza „kochany maruder”. Ulot był niski i miał skłonność do tycia, musiał więc przestrzegać diety, przygotowując się do tej próby sił. Chociaż schudł przed ich desperackim biegiem, zachował okrągłą twarz, a w wielkich piwnych oczach wyraz żalu, że nadal jest zbyt tęgi.

Dla Ulota było oczywiste, że daleko już nie zabiegnie. Dyszał i sapał. Co jakiś czas się potykał. Nie wzywał jednak towarzyszy. Miał świadomość, że nie mogą mu pomóc. Wszyscy złożyli tę samą przysięgę, wiedząc, że jedynie dawne fremeńskie cnoty i lojalność mogą im być obroną. I była to prawda, mimo że wszystko, co fremeńskie, było teraz muzealne, a rota przysięgi wzięta została od Muzealnych Fremenów.

To właśnie wierność fremeńskim zasadom kazała Ulotowi milczeć, chociaż wiedział, jaki los go czeka. Wspaniały przykład dawnych cnót,

i raczej żalosny, skoro cnoty, które naśladowali, biegnący znali tylko z ksiąg i ustnych przekazów.

D-wilki pędziły tuż za Ulotem, olbrzymie szare sylwetki w kłębie niemal tak wysokie jak człowiek. Dawały wielkie susy z podniesionymi łbami i ślepiami utkwionymi w zdradziecko oświetlonej przez księżyc postaci ściganego.

Ulot zahaczył lewą stopą o jakiś korzeń i omal nie upadł. Dodało mu to energii. Przyspieszył i na długość wilka oderwał się od prześladowców. Mocno pracował rękami i oddychał głośno przez otwarte usta.

D-wilki nie zmieniły tempa. Srebrzyste cienie zwierząt przemykały przez oszałamiające zapachy zieleni ich lasu. Wiedziały, że już wygrały. Znały to uczucie.

Ulot znów się potknął, odzyskał równowagę, chwyciwszy się jakiegoś drzewka, i biegł dalej, rozpaczliwie dysząc, a drżące nogi odmawiały mu posłuszeństwa. Nie miał już sił, by raz jeszcze przyspieszyć.

Wielka D-wilczyca wypadła z lewej strony, minęła go i skoczyła, przecinając mu drogę. Wielkie kły rozdarły ramię Ulota. Zachwiał się, ale nie upadł. Zapach krwi mieszał się z zapachami lasu. Mniejszy samiec chwycił go za biodro z prawej i w końcu Ulot przewrócił się z krzykiem. Wataha rzuciła się na niego i krzyki urwały się nagle.

Nie zatrzymawszy się, by się pożywić, D-wilki podjęły pogoń. Węszyły w poszyciu, łowiąc ciepły trop pozostałych biegnących.

Kolejny biegacz zwał się Kwuteg. Stare i szanowane na Arrakis imię pochodziło z czasów Diuny. Jakiś jego przodek był w siczy Tabr mistrzem alembiku śmierci, ale było to ponad trzy tysiące lat temu, w przeszłości, w którą wielu już nie wierzyło. Kwuteg biegł długimi krokami, a jego wysokie i szczupłe ciało zdawało się stworzone do takiego wysiłku. Pęd powietrza zwiewał długie czarne włosy z jego orlich rysów. Podobnie jak towarzysze, nosił czarny strój z elastycznej bawełny. Uwydatniał on pracę jego pośladków i sprężystych ud oraz głęboki, spokojny rytm oddechu. Tylko wolne jak na niego tempo zdradzało, że zranił prawe kolano przy schodzeniu z urwisk, dzieła ludzkiej ręki, otaczających cytadelę Boga Imperatora w Serirze.

Kwuteg słyszał krzyki Ulota, nagłą i złowieszczą ciszę, a potem wznowiony gon D-wilków. Starał się nie myśleć o kolejnym przyjacielu zabitym przez potwornych strażników Leto, ale wyobrażnia nękała go swymi czarami. Przeklinał w myśli tyrana, lecz nie marnował tchu na słowa.

Była szansa, że zdoła dotrzeć do zbawczej rzeki Idaho. Wiedział, co myśleli o nim jego przyjaciele... nawet Siona. Znany był z ostrożności. Już jako dziecko zachowywał siły do chwili, kiedy się najbardziej przydawały, wydzielając swe rezerwy niczym skąpiec.

Nie dbając o zranione kolano, Kwuteg przyspieszył kroku. Wiedział, że rzeka jest blisko. Kontuzja przekroczyła stadium bólu. Stała się ogniem ogarniającym całą nogę i bok. Znał granice swojej odporności. Wiedział też, że Siona powinna już być prawie przy wodzie. Najszybsza z nich, to ona niosła uszczelniony pakiet, a w nim to, co wykradli z cytadeli w Serirze. Kwuteg skupił myśli na tym pakiecie.

„Ocal go, Siono! Użyj do obalenia tyrana!”

Do jego świadomości przeniknęło żadne krwi wycie D-wilków. Były zbyt blisko. Wiedział, że nie ucieknie.

„Ale Siona musi uciec!”

Zaryzykował spojrzenie za siebie i zobaczył, że jeden z wilków zachodzi go z boku. Plan ich ataku zapisał się w jego umyśle. Gdy zachodzący z boku wilk skoczył, Kwuteg także się rzucił. Oddzielony drzewem od watahy, dał nura pod atakującego wilka, chwycił go oburącz za tylną łapę i bez zatrzymywania machnął zwierzęciem niczym cepem, rozpraszając inne. Stworzenie nie było tak ciężkie, jak myślał, więc niemal zadowolony z odmiany po nadludzkim wysiłku, zakręcił swą żywą maczugą w tańcu derwisza, roztrzaskując czaszki dwóch wilków. Nie mógł jednak strzec wszystkich stron. Smukły samiec wskoczył mu na plecy, popychając na drzewo i wytrącając maczugę.

– Uciekaj! – wrzasnął Kwuteg.

Wataha rzuciła się na niego, a Kwuteg wgryzł się w gardło smukłego samca. Z całych sił zacisnął zęby w ostatecznej desperacji. Krew trysnęła mu na twarz, oślepiając go. Obrócił się, zdeorientowany, i pochwycił następnego wilka. Część stada rozpiezchła się. Niektóre zwierzęta zaatakowały ранego samca. Większość jednak pozostała skupiona na swej ofierze. Kły rozdarły gardło Kwutega z dwóch stron.

Siona także usłyszała krzyk Ulota, po którym zapadła głucha cisza, a potem znów zabrzmiało wycie, gdy wilki podjęły pogoń. Ogarnął ją taki gniew, że czuła się, jakby miała wybuchnąć. Ulot wziął udział w operacji ze względu na swe zdolności analityczne, umiejętność dostrzegania w paru częściach całości. To właśnie on wyjął z plecaka nieodłączną lupę i zbadał dwa dziwne tomy, które znaleźli wraz planami cytadeli.

– Według mnie to szyfr – powiedział.

A Radi, biedny Radi, który miał zginąć jako pierwszy z ich zespołu, rzekł:

– Wyrzucić to. Nie możemy sobie pozwolić na dodatkowe obciążenie.

– Rzeczy mało ważnych nie ukrywa się w ten sposób – sprzeciwił się Ulot.

Kwuteg poparł Radiego.

– Przyszliśmy po plany cytadeli i mamy je. Te przedmioty są za ciężkie.

Siona zgadzała się jednak z Ulotem.

– Poniosę je – oznajmiła.

To zakończyło spór.

„Biedny Ulot”.

Wszyscy wiedzieli, że jest najgorszym biegaczem w zespole. Ulot był powolny w wielu rzeczach, ale nie sposób mu było odmówić bystrości umysłu.

„Można mu ufać”.

Można mu *było* ufać.

Siona opanowała gniew i wykorzystała jego siłę, by przyspieszyć. Drzewa śmigały obok niej w świetle księżyca. Osiągnęła tę beczasową pustkę biegu, w której nie istniało już nic prócz jej ruchów, jej ciała robiącego to, do czego było przygotowane.

Mężczyźni uważali ją za piękną, gdy biegła. Siona wiedziała o tym. Jej długie, ciemne włosy były ciasno upięte, by nie rozwiewał ich pęd powietrza. Wytknęła Kwutegowi głupotę, kiedy nie chciał jej naśladować.

„Gdzie jest Kwuteg?”

Włosy miała tak ciemnobrązowe, że brano je mylnie za czarne, ale nie była to prawdziwa czerń, jak u Kwutega.

Tak jak czasem sprawiają to geny, jej rysy były kopią rysów jakiejś dawno zmarłej antenatki: łagodny owal twarzy, pełne usta i czujne, przenikliwe oczy nad małym nosem. Jej ciało, choć szczupłe po latach biegania, wysyłało silne erotyczne sygnały do otaczających ją mężczyzn.

„Gdzie jest Kwuteg?”

Wataha ucichła i to ją zaalarmowało. Wilki zrobiły już tak, nim powaliły Radiego. Tak było, gdy dopadły Setuzę.

Wmawiała sobie, że ta cisza może oznaczać coś innego. Kwuteg też był milczący... i silny. Kontuzja chyba mu zbyt nie dokuczała.

Siona zaczęła odczuwać ból w piersi, dobrze znaną z wielu kilometrów treningów zapowiedź zadyszki. Pot oblewał jej ciało pod cienkim czarnym

strojem. Pakiet z cenną zawartością, wodoszczelny, bo przed nią była rzeka, miała w plecaku. Pomyślała o umieszczonych w pakiecie planach cytadeli.

„Gdzie Leto kryje swój zapas przyprawy?”

Musiało to być gdzieś w cytadeli. Musiało. Gdzieś w tych planach znajdzie się klucz. Melanż – przyprawa, której tak potrzebują Bene Gesserit, Gildia Kosmiczna i wszyscy inni... Ryzyko było tego warte.

I te dwa zaszyfrowane tomy. Kwuteg miał rację w jednym: ryduliański papier krystaliczny był ciężki. Ona jednak zgadzała się z Ulotem. W tych linijkach szyfru kryło się coś ważnego.

Raz jeszcze z lasu za nią doleciał skowyt wilczej pogoni.

„Biegnij, Kwuteg, biegnij!”

Teraz widziała już między drzewami szeroki pas łąki wzdłuż rzeki Idaho. Widziała blask księżyca w wodzie za tym pasem.

„Biegnij, Kwuteg!”

Pragnęła usłyszeć coś od niego, byle dźwięk. Tylko ich dwoje pozostało z jedenastki, która rozpoczęła bieg. Dziewięcioro zapłaciło dotychczas życiem za tę awanturę.

„Radi, Aline, Ulot, Setuza, Inineg, Onemaj, Hiutaj, Memar i Oala”.

Siona powtarzała w myślach ich imiona i modliła się za wszystkich do starych bogów, nie do tyrana Leto. Zwracała się do Szej-huluda.

„Modłę się do Szej-huluda żyjącego w piasku...”

Wypadła nagle z lasu na skoszoną łąkę nad rzeką. Przyzywały ją woda i wąska plaża, srebrzysta w świetle księżyca na tle ciemnego nurtu.

Prawie się potknęła, usłyszawszy głośnie wycie wśród drzew. Poznała głos Kwutega wybijający się nad dzikie odgłosy wilków. Kwuteg wołał do niej, choć nie po imieniu. To jedno słowo zawierało niezliczone rozmowy – było przesłaniem życia i śmierci.

– Uciekaj!

Głosy stada przeszły w zgiełk wściekłych skowytów, ale Kwuteg już się nie odzywał. Wiedziała teraz, jak zużywa resztę sił.

„Powstrzymuje je, żeby pomóc mi uciec”.

Posłuszna krzykowi Kwutega rzuciła się do brzegu i zanurkowała. Rzeka była przeraźliwie zimna dla rozgrzanej biegiem. Chłód oszołomił ją na chwilę, ale płynęła naprzód, walcząc o odzyskanie tchu. Cenny plecak unosił się na wodzie i obijał o tył jej głowy.

Idaho nie była w tym miejscu szeroka, miała niecałe pięćdziesiąt metrów. Płynęła łagodnym łukiem pośród piaszczystych łąk, bujnych trzin i traw,

tam gdzie woda nie zamierzała się trzymać prostego koryta, które zaprojektowali inżynierowie Leto. Sionie dodawała sił świadomość, że D-wilki uwarunkowano na zatrzymanie się nad wodą. Granice ich terytorium były ściśle określone: rzeka z jednej strony, mur wokół pustyni z drugiej. Mimo to kilka ostatnich metrów przepłynęła pod wodą i wynurzyła się w cieniu podmytego brzegu, zanim spojrzała w tył.

Wataha stała wzdłuż brzegu, tylko jeden wilk zszedł nad wodę i pochylił się, prawie zanurzając łapę. Słyszała jego skowyt.

Siona wiedziała, że ten wilk ją widzi. Nie było co do tego wątpliwości. D-wilki słynęły z doskonałego wzroku. Przodkami tych strażników lasu były wzrokowce, a Leto krzyżował z nimi swoje wilki dla tego właśnie zmysłu. Zastanawiała się, czy zwierzęta byłyby w stanie przełamać swe uwarunkowanie. Były głównie wzrokowcami. Gdyby ten wilk nad brzegiem wszedł do wody, reszta mogłaby pójść za nim. Siona wstrzymała oddech. Była wyczerpana. Przebyli prawie trzydzieści kilometrów, z czego połowę z depczącymi im po piętach D-wilkami.

Wilk nad brzegiem zaskowyczał raz jeszcze, a potem skoczył ku towarzyszom. Na jakiś bezgłośny sygnał drapieżniki zawróciły i pomknęły z powrotem do lasu.

Siona wiedziała, dokąd pójdą. Wszyscy to wiedzieli. D-wilkom wolno było pożerać wszystko, co schwytały w Zakazanym Lesie. To dlatego biegały po nim swobodnie – były strażnikami Seriru.

– Zapłacisz za to, Leto – wyszeptała, a jej cichy głos zlewał się z szelestem trzciny za jej plecami. – Zapłacisz za Ulota, za Kwutega i za wszystkich innych. Zapłacisz.

Odepchnęła się lekko i popłynęła z prądem, póki nie dotknęła stopami pierwszej mielizny przy wąskiej plaży. Powoli, zeszywniała ze zmęczenia, wyszła z wody i przystanęła, by sprawdzić pakiet w plecaku. Był szczelny. Patrzyła nań chwilę w świetle księżyca, a potem podniosła wzrok na ścianę lasu za rzeką.

„Oto cena, jaką zapłaciliśmy. Dziesięcioro drogich przyjaciół”.

Łzy zalśniły jej w oczach, była jednak z tej samej gliny co dawni Fremeni i niewiele ich wylała. Ta przeprawa przez rzekę, droga przez las, podczas gdy wilki patrolowały północne granice, a potem przez Ostatnią Pustynię, Serir, i wały cytadeli – wszystko to zaczynało już wydawać się snem. Nawet ucieczka przed wilkami, których się spodziewała, bo było pewne, że wataha przetnie drogę intruzom i będzie czekać... była jak sen. To była przeszłość.

„Uciekłam”.

Znów zarzuciła plecak na ramiona.

„Przedarłam się przez twoją obronę, Leto”.

Pomyślała o zaszyfrowanych tomach. Była pewna, że coś ukrytego w linijkach szyfru wskaże jej drogę do zemsty.

„Zniszczę cię, Leto!”

Nie: „Zniszczymy cię, Leto!” To nie było do niej podobne. Zrobi to sama.

Odwróciła się i poszła ku sadowi za nadrzeczną łąką. Po drodze powtarzała swą obietnicę, dodając na głos starą fremeńską formułę obejmującą jej pełne imię.

– Ja, Siona ibn Fuad al-Sejfa z Atrydów, przeklinam cię, Leto. Zapłacisz za wszystko!



Poniższy tekst pochodzi z ksiąg znalezionych w Dar-es-Balat. Przełożyła Hadia Benotto.

Urodziłem się jako Leto Atryda II ponad trzy tysiące standardowych lat temu, licząc od chwili, gdy zapisywane są te słowa. Moim ojcem był Paul Muad’Dib, a matką jego fremeńska konkubina Chani. Moją babką ze strony matki była Farula, znana wśród Fremenów zielarka. Moją babką ze strony ojca była Jessika, wytwór planu eugenicznego zgromadzenia Bene Gesserit, dążącego do stworzenia mężczyzny, który posiadałby zdolności Matek Wielebnych zgromadzenia. Moim dziadkiem ze strony matki był Liet-Kynes, planetolog, który zorganizował ekologiczną transformację Arrakis. Moim dziadkiem ze strony ojca był Atryda, potomek rodu Atrydów wywodzącego się wprost ze starożytnej Grecji.

Dość tych rodowodów!

Mój dziad ze strony ojca zginął – podobnie jak wielu sławnych Greków – usiłując zabić swego śmiertelnego wroga, starego barona Vladimira Harkonnena. Obaj spoczywają teraz niespokojnie w moich odziedziczonych wspomnieniach. Nawet mój ojciec nie jest zadowolony. Zrobiłem to, co on obawiał się zrobić, a dziś jego cień musi uczestniczyć w następstwach mego czynu.

Wymaga tego Złoty Szlak. Spytacie, czym jest Złoty Szlak. Jest on, ni mniej, ni więcej, tylko przetrwaniem ludzkości. My, mający dar przewidywania przyszłości, my, znający pułapki przyszłości, ponosimy za to odpowiedzialność.

Przetrwanie.

Tym, czy wam się to podoba – waszymi drobnymi radościami i smutkami, nawet udrękami i nieszczęściami – się nie przejmujemy. Mój ojciec miał tę moc. Ja mam większą. Możemy zaglądać za zasłonę czasu.

Arrakis, z której władam swym galaktycznym Imperium, nie jest już tym, czym była w dniach, gdy znano ją jako Diunę. W owych czasach cała była pustynią. Teraz pozostał tylko jej skrawek, mój Serir. Nie krążą już po niej swobodnie olbrzymie czerwie, nie wytwarzają melanzu – przyprawy.

Przyprawa! Diuna znana była tylko jako źródło przyprawy, jej *jedyne* źródło. Cóż to za nadzwyczajna substancja! Nie udało jej wytworzyć w żadnym laboratorium. To najcenniejsza substancja, z jaką kiedykolwiek zetknęła się ludzkość.

Bez melanzu, który umożliwia linearne przewidywanie przyszłości przez nawigatorów Gildii, ludzie przemierzaliby w żółtym tempie parseki przestrzeni. Bez melanzu Bene Gesserit nie mogłyby obdarzać zdolnościami Prawdomówczyń ani Matek Wielebnych. Bez geriatrycznych właściwości melanzu ludzie żyliby i umierali wedle starożytnej miary stu lat.

Obecnie przyprawa przechowywana jest tylko w składach Gildii i Bene Gesserit, w kilku niewielkich magazynach zmałych wysokich rodów i w moim ogromnym, który przerasta tamte wszystkie razem wzięte. Jakżeby oni chcieli najechać na mnie! Nie ośmielą się jednak, bo wiedzą, że prędzej zniszczyłbym to wszystko, niż oddał.

Nie. Przychodzą i zdjawszy okrycia głowy, pokornie proszą o melanz. Wydzielam go im w nagrodę, a wstrzymuję za karę. Jakże tego nienawidzą.

To moja władza, mówię im. To mój dar.

Za jego pomocą tworzę pokój. Już ponad trzy tysiące lat żyją w Pokoju Leto. To wymuszony stan, jakiego przed moim panowaniem ludzkość zaznała tylko w bardzo krótkich okresach. Abyście o tym nie zapomnieli, pomyślcie o Pokoju Leto, czytając te dzienniki.

Zacząłem spisywać te relacje w pierwszym roku mych rządów, przy pierwszych bólach mej przemiany, gdy byłem jeszcze w zasadzie człowiekiem, nawet z wyglądu. Skóra piaskowych troci, którą przyjąłem (a mój ojciec odrzucił) i która zwielokrotniła moje siły oraz uodporniła mnie

na standardowe ataki i na starzenie się, pokrywała wtedy rozpoznawalną wciąż ludzką postać o dwóch nogach, rękach i ludzkiej twarzy otoczonej fałdami tej skóry. Aaach, ta twarz! Wciąż ją mam – to jedyna ludzka część ciała, jaką pokazuję światu. Reszta pokryta jest połączonymi ciałami tych małych wędrowców głębokich piasków, które pewnego dnia mogą się stać wielkimi czerwiami pustyni.

I staną się... kiedyś.

Często myślę o mojej ostatecznej przemianie, o tej swoistej śmierci. Wiem, jaka ona będzie, ale nie mam pojęcia, kiedy nastąpi, ani nie znam innych uczestników tej gry. Jedynie tego nie mogę przewidzieć. Wiem tylko, czy Złoty Szlak będzie trwać, czy się skończy. Skoro zaś dbam o zapisanie tych słów, Złoty Szlak trwa i przynajmniej z tego jestem rad.

Nie czuję już teraz, jak rzęski piaskowych troci wciskają się we mnie, zamykając mą wodę w swoich błonach łożyskowych. Jesteśmy teraz naprawdę jednym ciałem, moja skóra i ja, siła, która porusza całością... przeważnie.

Gdy to piszę, owa całość może się wydawać raczej odrażająca. Jestem czymś, co można nazwać preczerwiem. Moje podzielone na pierścienie ciało ma około siedmiu metrów długości i nieco ponad dwa metry średnicy. Moja atrydzka twarz umieszczona jest na jednym końcu, na odpowiedniej wysokości, a ramiona i dłonie, wciąż przypominające ludzkie, tuż poniżej. Moje nogi i stopy? Cóż, uległy atrofii. To w istocie tylko płetwy i przewędrowały one na tył ciała. Ważę w przybliżeniu pięć dawnych ton. Podaję te dane, bo wiem, że będą interesowały historyków.

Jak się poruszam przy takiej wadze? Przeważnie na moim królewskim powozie zbudowanym przez Ixan. Jesteście wstrząśnięci? Ludzie niezmiennie nienawidzili i bali się Ixan jeszcze bardziej niż mnie. Lepsze zło, które znasz, niż to, którego nie znasz. A kto wie, co Ixanie mogą jeszcze wyprodukować lub wynaleźć. Kto wie?

Na pewno nie ja. A jeśli wiem, to nie wszystko.

Odczuwam jednak pewną sympatię dla Ixan. Tak mocno wierzą w swoją technologię, swoją naukę, swoje maszyny. Ponieważ i ja wierzę (nieważne, w co), rozumiemy się nawzajem. Wykonują dla mnie wiele urządzeń i myślą, że w ten sposób zasłużą sobie na moją wdzięczność. Słowa, które teraz czytacie, zostały wydrukowane za pomocą ixańskiego dyktatela. Kiedy zaczynam myśleć w pewien szczególny sposób, dyktatel się uruchamia. Wystarczy, że myślę, a słowa zapisują się na ryduliańskich arkuszach

krystalicznych grubości zaledwie jednej molekuly. Czasem zamawiam kopie na mniej trwałym materiale. To właśnie dwie takie kopie wykradła mi Siona.

Czy nie jest fascynująca ta moja Siona? Skoro zaczynacie rozumieć jej znaczenie dla mnie, możecie nawet spytać, czy naprawdę pozwoliłbym jej umrzeć tam, w lesie. Nie miejcie wątpliwości. Śmierć to bardzo osobista sprawa. Rzadko się w nią wtrącam. Nigdy zaś, gdy trzeba kogoś sprawdzić, tak jak Sionę. Pozwoliłbym jej umrzeć na każdym etapie wyprawy. Mimo wszystko znalazłbym nową kandydatkę w krótkim – według mojej miary – czasie.

Ona wszakże fascynuje nawet mnie. Śledziłem ją tam, w lesie. Obserwowałem przez moje ixańskie urządzenia, dziwiąc się, że nie przewidziałem tej wyprawy. Ale Siona... to Siona! Dlatego nie kiwnąłem palcem, by powstrzymać wilki. To by nie było słuszne. D-wilki są tylko rozszerzeniem mego celu, a ten cel to być największym drapieżnikiem wszech czasów.

– *Dzienniki Leto II*



Przytoczony niżej krótki dialog przypisuje się źródłu znanemu jako *Fragment z Welbecku*. Przypuszczalną jego autorką jest Siona z Atrydów, rozmówcami zaś Siona i jej ojciec Moneo, który był (jak mówią wszystkie świadectwa historyczne) marszałkiem dworu i prawą ręką Leto II. Datuje się go na okres, gdy Siona była jeszcze nastolatką, a ojciec odwiedzał ją w jej kwaterze w szkole rybomównych w Onn, Świątecznym Mieście, największym skupisku ludności na planecie znanej obecnie jako Rakis. Zgodnie z opisem źródła Moneo odwiedził skrycie córkę, by ostrzec ją, że naraża się na zgubę.

SIONA: Jak ci się udało przeżyć przy nim tak długo, ojczy? On zabija tych, którzy są blisko niego. Wszyscy to wiedzą.

MONEO: Nie! Mylisz się. On nikogo nie zabija!

SIONA: Nie musisz kłamać.

MONEO: Mówię prawdę. On nikogo nie zabija.

SIONA: Jak zatem wyjaśnisz zabójstwa, o których wszyscy wiedzą?
MONEO: To Czerw zabija. Czerw jest Bogiem. Leto żyje na piersi Boga, ale sam nikogo nie zabija.
SIONA: Jak więc przeżyłeś?
MONEO: Umiem rozpoznać Czerwia. Widzę go w jego twarzy i ruchach. Wiem, kiedy Szej-hulud się pojawia.
SIONA: On nie jest Szej-huludem!
MONEO: Cóż, tak nazywano Czerwia w czasach Fremenów.
SIONA: Czytałam o tym, ale on nie jest bogiem pustyni.
MONEO: Cicho, głupia dziewczyno! Nic nie wiesz o takich sprawach.
SIONA: Wiem, że jesteś tchórzem!
MONEO: Mało wiesz! Nigdy nie stałaś tam gdzie ja i nie widziałaś tego w jego oczach, w ruchach jego dłoni.
SIONA: Co robisz, gdy Czerw się pojawia?
MONEO: Odchodzę.
SIONA: To rozsądne. Wiemy na pewno, że zabił dziewięciu Duncanów Idaho.
MONEO: Mówię ci, że on nikogo nie zabija!
SIONA: Co za różnica, Leto czy Czerw? Są teraz jednym ciałem.
MONEO: Ale dwiema odrębnymi istotami: Imperatorem Leto i Czerwem, który jest Bogiem.
SIONA: Jesteś szalony!
MONEO: Być może, ale służę Bogu.



Jestem najgorliwszym obserwatorem wszech czasów. Obserwuję ludzi wewnątrz mnie i na zewnątrz. Przeszłość i teraźniejszość mieszają się we mnie, dając dziwne rezultaty. Gdy w moim ciele trwa przemiana, z moimi zmysłami dzieją się zadziwiające rzeczy. Wydaje się, jakbym wszystko widział w ogromnym zbliżeniu. Mam wyjątkowo ostry słuch i wzrok oraz nadzwyczaj przenikliwy węch. Mogę wykryć i rozpoznać trzy cząsteczki feromonów w milionie innych. Wiem to. Sprawdziłem. Niewiele da się ukryć przed moimi zmysłami. Przerazilibyście się, wiedząc, co mogę wykryć samym tylko węchem. Wasze feromony mówią mi, co robicie albo co chcecie zrobić. A gesty i pozy! Kiedyś pół dnia obserwowałem starca siedzącego na ławce w Arrakin. Był w piątym pokoleniu potomkiem naiba Stilgara i nawet o tym nie wiedział. Przypatrywałem się pochyleniu jego szyi, fałdom skóry pod brodą, spękany wargom, wilgotnym nozdrzom,

porom za uszami, kosmykom siwych włosów wymykającym się spod kaptura jego antycznego filtra. Ani razu nie wyczuł, że jest obserwowany. Ha! Stilgar wiedziałby to po sekundzie. Ten starzec czekał jednak po prostu na kogoś, kto nie przyszedł. W końcu wstał i powlókł się przed siebie, zeszywniały po długim siedzeniu. Wiedziałem, że nie zobaczę go już w tym ciele. Był bliski śmierci, a jego woda z pewnością się zmarnowała. Cóż, to już i tak nie miało znaczenia.

– *Wykradzione dzienniki*

Miejsce, w którym czekał na swego obecnego Duncana Idaho, uważał Leto za najciekawsze we wszechświecie. Gdyby mierzyć ludzkimi normami, była to ogromna przestrzeń, centrum systemu katakumb wykutych w skale pod jego cytadelą. Wysokie na trzydzieści i szerokie na dwadzieścia metrów sale rozchodziły się promieniście niczym szprychy z piasty koła, w której czekał. Jego powóz stał pośrodku owej piasty w okrągłej, nakrytej kopułą sali o czterystu metrach rozpiętości i stu metrach wysokości w najwyższym punkcie ponad nim.

Te rozmiary go uspokajały.

W cytadeli było wczesne popołudnie, ale w tej sali jedyne światło pochodziło z nielicznych dryfujących lumisfer, które rzucały łagodny pomarańczowy blask. Nie sięgał on w głąb szprych koła, ale Leto znał na pamięć położenie wszystkiego, co się tam znajdowało: wody, kości i prochów swych przodków oraz tych Atrydów, którzy umarli tu od czasów Diuny. Byli tam wszyscy oraz kilka zbiorników melanżu dla stworzenia iluzji, że to cały jego zapas, gdyby doszło do ostateczności.

Leto wiedział, czemu Duncan przychodzi. Idaho dowiedział się, że Tleilaxanie tworzą następnego Duncana, następnego gholę odpowiadającego wymaganiom Boga Imperatora. Bał się, że zostanie zastąpiony po prawie sześćdziesięciu latach służby. Coś takiego zawsze inicjowało wywrotową działalność Duncanów. Wysłaniec Gildii ostrzegł już Leto, że Ixanie dostarczyli temu Duncanowi broń laserową.

Leto zaśmiał się. Gildia pozostała wyjątkowo uwrażliwiona na wszystko, co mogłoby zagrozić jej skromnym dostawom przyprawy. Przerazała ich myśl, że Leto jest ostatnim ogniwem związku z czerwiami pustyni, które wytworzyły kiedyś zapasy melanżu.

„Gdybym umarł z dala od wody, nie byłoby przyprawy... już nigdy”.

Tego właśnie bała się Gildia. A jej historycy i rachmistrze przekonywali, że Leto ma największy zapas melanżu we wszechświecie. Ta wiedza czyniła Gildię prawie pewnym sojusznikiem.

Czekając na Duncana, Leto wykonywał ćwiczenia dłoni i palców, dziedzictwo Bene Gesserit. Dłonie były jego dumą. Pod szarą warstwą skóry piaskowych troci długie palce i przeciwstawne kciuki służyły mu jak w zwykłych ludzkich dłoniach. Z kolei prawie bezużyteczne płetwy, będące kiedyś jego nogami, były raczej niedogodnością niż powodem do wstydu. Mógł pęłzać, toczyć się i miotać z zadziwiającą szybkością, czasem jednak padał na płetwy i to mu sprawiało ból.

Co zatrzymywało Duncana?

Leto wyobraził sobie, jak się waha, jak spogląda przez okno na falujący horyzont Seriru. Powietrze było w ruchu wskutek upału. Zanim Leto zjechał do krypty, ujrzał na południowym zachodzie miraż. Lustro żaru chwiało się i błyskało poprzez piasek, ukazując grupę Muzealnych Fremenów wlokących się obok pokazowej siczy dla zbudowania turystów.

Katakumby były chłodne, zawsze chłodne, a światło zawsze przyćmione. Rozchodzące się promieniście ciemne tunele biegły łagodnie w górę i w dół dla ułatwienia przejazdu królewskiego powozu. Niektóre ciągnęły się za fałszywymi ścianami wiele kilometrów. Leto stworzył te tunele zaopatrzeniowe i tajne wyjścia dla siebie, używając ixańskich narzędzi.

Myśląc o zbliżającej się rozmowie, Leto zaczął odczuwać nerwowe napięcie. Uznał to za interesujące doznanie, jedyne, jakie sprawiało mu przyjemność. Wiedział, że w pewien sposób przywiązał się do obecnego Duncana. Miał jeszcze nadzieję, że on przeżyje nadchodzącą rozmowę. Inni czasami przeżywali. Było mało prawdopodobne, by Duncan stanowił śmiertelne zagrożenie, ale należało wziąć pod uwagę i to. Leto starał się już kiedyś wyjaśnić to jednemu z poprzednich Duncanów... w tej właśnie sali.

– Uznasz za dziwne, że ja, z moimi mocami, mówię o szczęściu i przypadku – powiedział wtedy.

Tamten Duncan był rozgniewany.

– Ty niczego nie zostawiasz przypadkowi. Znam cię!

– Jesteś naiwny. Przypadek jest naturą wszechświata.

– Nie przypadek! Kaprys! Twój kaprys!

– Świetnie, Duncan! Kaprys to największa przyjemność. Borykając się z kaprysami, doskonalimy kreatywność.

– Ty już nawet nie jesteś człowiekiem!

Ależ rozeźlony był ów Duncan!

Leto stwierdził, że zarzuty są irytujące, niczym ziarnko piasku w oku. Trzymał się resztek swego człowieczeństwa z posępnym uporem, któremu

nie można było zaprzeczyć, a irytacja była najbardziej zbliżonym do gniewu uczuciem, którego doznawał.

– Twoje życie staje się frazesem! – rzucił.

Wtedy Duncan wyciągnął z fałd munduru ładunek wybuchowy. Cóż za niespodzianka!

Leto lubił niespodzianki, nawet niemiłe.

„Tego czegoś nie przewidziałem!” I powiedział to Duncanowi, który stał dziwnie niezdecydowany w chwili, gdy należało podjąć decyzję.

– To może cię zabić – rzekł Duncan.

– Wybacz, Duncan, to może mnie tylko lekko zranić, nic więcej.

– Ale mówisz, że tego nie przewidziałeś! – Głos gholi stał się piskliwy.

– Duncan, Duncan, to właśnie absolutna przewidywalność równa się dla mnie śmierci. Śmierć jest czymś niewymownie nudnym.

W ostatniej chwili tamten Duncan usiłował odrzucić ładunek, ale niestabilny materiał eksplodował zbyt szybko. Duncan zginął. Aaach, cóż... Tleilaxanie zawsze mają nowego w swych kadziach aksolotlowych.

Jedna z lumisfer dryfujących na głowę Leto zaczęła mrugać. Ogarnęło go podniecenie. Sygnał Moneo! Wierny Moneo uprzedzał swego Boga Imperatora, że Duncan zjeżdża do podziemi.

Drzwi osobowego dźwigu między dwoma korytarzami w północno-zachodnim łuku piasty otworzyły się. Duncan wyszedł. Z tej odległości był małą figurką, ale oczy Leto rozróżniały nawet drobne szczegóły – zmarszczka munduru na łokciu mówiła, że podpierał dłonią podbródek. Tak, ślad jego dłoni był widoczny na brodzie. Duncana wyprzedzał zapach, jego poziom adrenaliny musiał być wysoki.

Leto zachowywał milczenie, uważnie obserwując zbliżającego się Duncana. Ten Duncan, mimo wielu lat służby, wciąż chodził z młodzieńczą sprężystością. Powinien za to dziękować minimalnym dawkom melanzu. Przywdział stary mundur Atrydów, czarny, ze złotym jastrzębiem na lewej piersi. Interesujące oświadczenie! „Służę honorowi *dawnych* Atrydów!” Włosy wciąż miał czarne i kędzierzawe niczym karakułowa czapka, ostre rysy jak wykute z kamienia i wystające kości policzkowe.

„Tleilaxanie dobrze robią swoje ghole” – pomyślał Leto.

Duncan trzymał cienką teczkę z brunatnego włókna, tę samą, którą nosił od lat. Zwykle były w niej materiały, na których opierał swe raporty, dziś jednak uwypuklało się w niej coś cięższego.

„Ixańska broń laserowa”.

Idaho nie odrywał wzroku od twarzy Leto. Ta twarz wciąż była zaskakująco atrydzka, szczupła, z całkowicie niebieskimi oczami, których wyraz ludzie nerwowi odczuwali jak fizyczną agresję. Czaiła się w głębi szarego kaptura ze skóry piaskowych troci, o której Duncan wiedział, że może się rozwinąć w błyskawicznym odruchu obronnym, raczej w mgnieniu twarzy niż w mgnieniu oka. W obramowaniu tej szarości twarz była różowa. Niełatwo było uniknąć myśli, że oblicze Leto jest czymś nieprzyzwoitym, zagubionym fragmentem człowieczeństwa uwięzionym w czymś obcym.

Stanąwszy ledwie sześć kroków od królewskiego powozu, Idaho nawet nie próbował ukryć gniewnej determinacji. Nie zastanawiał się, czy Leto wie o miotaczu laserowym. To Imperium za daleko odeszło od moralności dawnych Atrydów, stało się bezosobowym molochem miażdżącym na swej drodze niewinnych. To się musi skończyć!

– Przychodzę pomówić z tobą o Sionie i o innych sprawach – rzekł Idaho. Trzymał teczkę tak, by móc łatwo wyciągnąć z niej broń.

– Świetnie. – Głos Leto był znudzony.

– Siona uciekła jako jedyna, ale wciąż ma oparcie w buntownikach.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Wiem, że jesteś niebezpiecznie tolerancyjny wobec buntowników. Nie wiem natomiast, co było w wykradzionym pakiecie.

– Ach, o to chodzi. Kompletne plany cytadeli.

Na chwilę Idaho stał się znów komendantem straży Leto, głęboko wstrząśniętym takim naruszeniem bezpieczeństwa.

– I pozwoliłeś jej z tym uciec?

– Nie, to ty na to pozwoliłeś.

Duncan cofnął się, usłyszawszy to oskarżenie. Powoli na nowo brał w nim górę zdecydowany na wszystko zabójca.

– To wszystko, co zdobyła? – spytał.

– Razem z planami były dwa tomy, kopie moich dzienników. Wykradła je. Idaho badał wzrokiem nieruchomą twarz Leto.

– Co jest w tych dziennikach? Czasem mówisz, że to pamiętnik, a czasem, że historia.

– Po trosze jedno i drugie. Mógłbyś to nawet nazwać podręcznikiem.

– Nie martwi cię, że zabrała te tomy?

Leto pozwolił sobie na lekki uśmiech, który Idaho wziął za zaprzeczenie. Nagłe napięcie przebiegło po ciele Boga Imperatora, gdy Idaho sięgnął do teczki. Po broń czy po raport? Chociaż ciało Leto było odporne na wysokie

temperatury, wiedział, że niektóre partie są wrażliwe na strzał z broni laserowej, zwłaszcza twarz.

Idaho wyjął z teczki raport, ale zanim jeszcze zaczął go czytać, Leto zrozumiał wszystko. Duncan nie przynosił informacji, ale szukał odpowiedzi na pytania. Pragnął usprawiedliwienia dla wybranego już kierunku działania.

– Wykryliśmy kult Alii na Giedi Prime – zaczął.

Leto milczał, kiedy Idaho podawał szczegóły. Jakież to było nudne. Pozwolił myślom powędrować gdzie indziej. Czyciele dawno zmarłej siostry jego ojca mogli go teraz co najwyżej przelotnie ubawić. Duncanowie zapewne widzieli w ich działaniach skryte zagrożenie.

Idaho skończył czytać. Miał skrupulatnych agentów, nie da się zaprzeczyć. Skrupulatnych do znudzenia.

– To tylko wskrzeszenie kultu Izydy – rzekł Leto. – Moi kapłani i kapłanki będą się mogli zabawić, dławiąc kult i jego wyznawców.

Idaho pokręcił głową, jakby odpowiadał wewnętrznemu głosowi.

– Bene Gesserit wiedziały o tym kulcie – oznajmił.

I to zainteresowało Leto.

– Zgromadzenie nigdy mi nie wybaczyło odebrania mu planu eugenicznego.

– To nie ma z tym nic wspólnego.

Leto ukrył rozbawienie. Duncanowie byli zawsze wrażliwi na punkcie planu eugenicznego, choć niektórzy z nich bywali reproduktorami.

– Rozumiem – powiedział. – Cóż, Bene Gesserit są bardziej niż trochę szalone, ale szaleństwo to przecież przypadkowy zbiór niespodzianek. Niektóre z nich mogą być wartościowe.

– Nie widzę w tym żadnych wartości.

– Myślisz, że zgromadzenie stoi za tym kultem? – spytał Leto.

– Tak.

– Wyjaśnij to.

– Mają świątynię. Nazwali ją Świątynią Krysnoża.

– I cóż z tego?

– Ich główna kapłanka zwie się Strażniczką Światła Jessiki. Czy to nie zastanawiające?

– Urocze. – Leto nie starał się ukryć rozbawienia.

– Co w tym uroczonego?

– Połączenie mojej babki i ciotki w jedną boginię.

Idaho pokręcił głową, nie rozumiejąc.

Leto pozwolił sobie na małą, trwającą ułamek sekundy przerwę. Jego babka wewnątrz nie była szczególnie zainteresowana kultem na Giedi Prime. Musiał się odciąć od jej wspomnień i osobowości.

– Jaki jest, według ciebie, cel tego kultu? – spytał.

– Oczywiście. Konkurencyjna religia dla podkopania twego autorytetu – odparł Duncan.

– To zbyt proste. Cokolwiek by myśleć o Bene Gesserit, nie są prostaczkami.

Idaho czekał na wyjaśnienie.

– Chcą mieć więcej przyprawy! Więcej Matek Wielebnych.

– Zatem będą cię nękać, póki się nie okupisz?

– Rozczarowujesz mnie, Duncan.

Idaho spojrzał na Leto, który zdobył się na westchnienie, skomplikowany odruch nieprzystający do jego nowej postaci. Duncanowie byli zwykle bystrzejści, Leto przypuszczał jednak, że ten ma myśli zmaćnione knuciem spisku.

– Na swą siedzibę wybrały Giedi Prime – powiedział. – Co z tego wynika?

– To była twierdza Harkonnenów, ale to stare dzieje.

– Twoja siostra zginęła tam z rąk Harkonnenów. To słuszne, że ten ród i Giedi Prime łączą się w twoich myślach. Dlaczego nie wspomniałeś o tym wcześniej?

– Nie sądziłem, że to ważne.

Leto zacisnął usta. Wzmianka o siostrze zakłopotowała Duncana. Ten człowiek zdawał sobie sprawę, że jest tylko ostatnim z długiego szeregu gholi, które zostały stworzone z oryginalnych komórek w kadziach aksolotlowych Tleilaxan. Nie mógł uciec od swoich ożywionych wspomnień. Wiedział, że Atrydzi uratowali go z niewoli Harkonnenów.

„A ja wciąż jestem Atrydą, czymkolwiek jeszcze mogę się stać” – pomyślał Leto.

– Do czego zmierzasz? – zapytał Idaho.

Leto uznał, że należy podnieść głos.

– Harkonnenowie gromadzili przyprawę!

Duncan cofnął się o krok.

– Na Giedi Prime ukryte są zapasy melanżu – kontynuował ciszej Leto. – Zgromadzenie stara się je zdobyć pod osłoną religijnych sztuczek.

Idaho był zmieszany. Ta odpowiedź wydawała się oczywista. „A ja to przeoczyłem” – pomyślał.

Okrzyk Leto wtłoczył go znów w rolę komendanta straży królewskiej. Idaho znał maksymalnie uproszczoną ekonomikę Imperium: niedozwolone było jakiekolwiek oprocentowanie, wyłącznie „gotówka na stół”. Na jedynej monecie widniała podobizna zakapturzonej twarzy Leto, Boga Imperatora. Wszystko to jednak opierało się na melanzu, jedynej substancji, której wartość, chociaż ogromna, stale rosła. W zwykłej sakwie można było unieść równowartość całej planety.

„Trzymajcie w ręku mennice i pałace – niech tłuszcz bierze resztę” – pomyślał Leto. Tak mówił stary Jakub Broom, a Leto słyszał wewnątrz jego rechot. „Rzeczy nie zmieniły się zbyt, Jakub”.

Idaho zaczerpnął tchu.

– Należy niezwłocznie zawiadomić Urząd Wiary.

Leto zachował milczenie.

Wziąwszy to za zachętę, Idaho kontynuował raport, ale Leto słuchał go tylko częstką świadomości. Zupełnie jakby jakiś obwód monitorujący zapisywał słowa i ruchy Idaho, czasem tylko skupiając uwagę na komentarzu.

A teraz chce mówić o Tleilaxanach.

„To dla ciebie niebezpieczny grunt, Duncan”.

Ale skierowało to myśli Leto na nowe tory.

„Podstępni Tleilaxanie wciąż wytwarzają moich Duncanów z oryginalnych komórek. Robią to, czego zabrania religia, i obie strony mają tego świadomość. Nie pozwalam na sztuczną manipulację ludzkimi genami. Tleilax dowiedział się jednak, jak sobie cenię Duncanów jako komendantów mojej straży. Chyba nie podejrzewają, że to też zabawne. Bawi mnie to, że rzeka nosi imię Idaho, podczas gdy kiedyś nosiła je góra. Ta góra już nie istnieje. Zrównaliśmy ją z ziemią, by uzyskać materiał na wysokie mury otaczające mój Serir.

Oczywiście Tleilaxanie wiedzą, że co jakiś czas wykorzystuję Duncanów w moim planie eugenicznym. Mają w sobie siłę mieszańców... i coś więcej. Każdy ogień musi mieć swoją gródź ogniową.

Chciałem skojarzyć go z Sioną, ale obecnie może to już być niemożliwe.

Ha, teraz mi mówi, że chce, żebym »zdławił« Tleilaxan. Dlaczego nie spyta wprost: »Czy masz zamiar mnie wymienić?« Kusi mnie, żeby mu to powiedzieć”.

Raz jeszcze dłoń Idaho sięgnęła do cienkiej teczki. Nie uszło to uwagi introspektywnego monitoringu Leto.

„Laser czy dalsze raporty? Raporty.

Duncan pozostaje czujny. Chce nie tylko mieć pewność, że nie znam jego zamiarów, ale i zdobyć kolejne »dowody«, że nie jestem godzien jego wierności. Waha się i zwleka. Zawsze się wahał. Mówiłem mu wiele razy, że nie skorzystam z jasnowidzenia, by określić chwilę mego odejścia z tej antycznej postaci. On jednak w to nie wierzy. Zawsze był niedowiarkiem.

Ta przepastna sala pochłania jego głos i gdyby nie moja wrażliwość, wilgoć maskowałaby chemiczne dowody jego lęków. Jego głos rozplywa się w mej świadomości. Ależ nudny stał się ten Duncan. Opowiada mi historię, *historię buntu Siony*, niewątpliwie zmierzając do osobistych uwag o jej ostatniej eskapadzie. »To nie jest zwyczajny bunt« – mówi.

To mnie odrywa od moich myśli. Głupiec! Wszyscy buntownicy to pospolici, skończeni nudziarze. Wszyscy są tacy sami, powieleni według jednego wzoru. Napędza ich głód adrenaliny i pragnienie władzy. Wszyscy buntownicy to utajeni arystokraci. Dlatego tak łatwo mi ich przeciągać na swoją stronę.

Dlaczego Duncanowie nie słuchają, kiedy im o tym mówię? Pokłóciłem się o to z tym Duncanem. Był to jeden z naszych pierwszych sporów, tu, w tej krypcie.

»Sztuka rządzenia wymaga, byś nigdy nie oddawał inicjatywy elementom radykalnym« – powiedział.

Jaka pedanteria! Radykałowie pojawiają się w każdym pokoleniu i nie należy usiłować temu zapobiec. On to uważa za »oddawanie inicjatywy«. Chce ich gnieść, dławić, kontrolować, zapobiegać. Jest żywym dowodem na to, jak niewielka jest różnica między umysłem militarnym a policyjnym.

»Radykałów należy się obawiać tylko wtedy, kiedy starasz się ich powstrzymać – odpowiedziałem mu wówczas. – Musisz głosić, że wykorzystasz najlepsze z tego, co proponują«.

»Oni są niebezpieczni. Oni są niebezpieczni!« – Myślał, że powtarzanie tworzy jakiś rodzaj prawdy.

Powoli, krok po kroku, wprowadziłem go w moją metodę i nawet wydawało się, że słucha.

»To ich słabość, Duncan. Radykałowie zawsze widzą rzeczy w nadmiernym uproszczeniu: czarne i białe, dobro i zło, my i oni. Stosując

takie myślenie do spraw złożonych, otwierają drogę chaosowi. Sztuka rządzenia, jak to nazwałeś, jest opanowywaniem chaosu».

»Nikt nie poradzi sobie z wszystkimi niespodziankami«.

»Niespodziankami? A kto mówi o niespodziankach? Chaos nie jest niespodzianką. Ma przewidywalne cechy. Przede wszystkim, odrzuca porządek i wzmacnia siły skrajne«.

»Czy tego właśnie nie próbują zrobić radykałowie? Czy nie starają się wstrząsnąć wszystkim, żeby móc przejąć kontrolę?«

»Oni myślą, że to właśnie robią. W rzeczywistości tworzą nowych ekstremistów, nowych radykałów, i kontynuują stary proces«.

»A jeżeli jakiś radykał widzi złożoność sytuacji i przychodzi z tym do ciebie?«

»Wtedy to już nie radykał. To rywal w walce o przywództwo«.

»Ale co ty wtedy robisz?«

»Albo współpracują z tobą, albo ich zabijasz. Do tego sprowadza się każda walka o władzę«.

»Tak, ale co z mesjaszami?«

»Jak mój ojciec?«

To pytanie nie podobało się Duncanowi. Wiedział, że w pewien szczególny sposób jestem moim ojcem. Wiedział, że mogę mówić głosem ojca i jako on, że te wspomnienia są dokładne, nieredagowane i nieuniknione.

»Cóż... jeżeli chcesz« – rzekł niechętnie.

»Duncan, jestem nimi wszystkimi i wiem. Nigdy nie było buntownika naprawdę bezinteresownego, tylko hipokryci... świadomi lub nieświadomi, ale to wszystko jedno«.

To poruszyło istne gniazdo szerszeni w odziedziczonych wspomnieniach mych przodków. Niektórzy z nich nigdy nie przestali wierzyć, że oni i tylko oni mają klucz do wszystkich problemów ludzkości. Cóż, są w tym podobni do mnie. Potrafię im współczuć, nawet kiedy im mówię, że klęska sama w sobie jest dowodem.

Jestem jednak zmuszony odciąć się od nich. Rozmyślanie o nich nie ma sensu. Są zaledwie gorzkimi wspomnieniami... jak ten Duncan, który stoi przede mną z rusznicą laserową...

Wielcy bogowie podziemi! Przyłapał mnie na drzemce. Ma w ręku broń i mierzy mi prosto w twarz».

– I ty, Duncan? Ty także mnie zdradziłeś?

„*Et tu, Brute?*”

Każde włókno świadomości Leto było gotowe do błyskawicznej reakcji. Czuł, jak całe jego ciało drga. Ciało czerwia miało własną wolę.

– Powiedz, Leto, ile razy mam płacić dług wierności? – rzucił drwiąco Idaho.

Leto zrozumiał ukryte pytanie: „Ilu nas już było?” Duncanowie zawsze chcieli to wiedzieć. Wszyscy o to pytali i żadna odpowiedź ich nie zadowalała. Wątpili.

– Czy mój podziw nie napelnia cię dumą, Duncan? – spytał najsmutniejszym głosem Muad'Diba. – Czy nigdy się nie zastanawiałeś, dlaczego chcę cię mieć za towarzysza przez te wszystkie wieki?

– Bo wiesz, że jestem skończonym głupcem.

– Duncan!

Głos rozgniewanego Muad'Diba zawsze wytrącał Idaho z równowagi i można było na to liczyć. Chociaż wiedział, że Leto włada Głosem, jak nie władała nim żadna z Bene Gesserit, było do przewidzenia, że mu się nie oprze. Broń zadrżała mu w dłoni.

To wystarczyło. Leto stoczył się z powozu niczym pocisk. Idaho nigdy go nie widział tak opuszczającego powóz i nie przypuszczał, że to możliwe. Leto zaś potrzebował tylko dwóch rzeczy: prawdziwego zagrożenia, które wyczułby czerw, i uwolnienia jego ciała. Reszta działa się samoistnie z szybkością zdumiewającą nawet jego samego.

Najbardziej obawiał się broni laserowej. Mogła go ciężko zranić, niewielu jednak знаło odporność ciała preczerwia na żar.

Runął na Idaho, odtrącając laser w momencie strzału. Z jednej z bezużytecznych płetw, które były kiedyś nogami Leto, rozeszła się fala bólu, wdzierając się do jego świadomości. Przez chwilę istniał tylko ból. Ciało czerwia miało jednak swobodę działania, a wstrząs wywołał gwałtowne ruchy. Leto usłyszał chrzęst łamanych kości. Broń została odrzucona daleko po posadzce krypty spazmatycznym ruchem ręki Idaho.

Staczając się z gholi, Leto przygotował się do nowego ataku, nie było jednak potrzeby. Zraniona płetwa słała sygnały bólu, a jej czubek był spalony. Skóra piaskowych troci zamknęła już ranę. Ból zmienił się w przykre pulsowanie.

Idaho poruszył się. Nie było wątpliwości, że jest śmiertelnie ranny. Klatka piersiowa została wyraźnie zgnieciona. Był już w agonii, ale otworzył oczy i spojrzał na Leto.

„Ten upór tych śmiertelnych opętań!” – pomyślał Leto.
– Siona! – westchnął Duncan.

Leto widział, jak opuszcza go życie.

„Ciekawe – pomyślał. – Czy to możliwe, by ten Duncan i Siona...? Nie, on zawsze okazywał głupocie Siony szczerą pogardę”.

Leto wspiał się na królewski powóz. Tym razem było blisko! Bez wątpienia Duncan mierzył w *mózg*. Leto zawsze pamiętał o swych wrażliwych dłoniach i stopach, ale nie pozwoli nikomu domyślić się, że to, co było jego mózgiem, nie jest już związane z twarzą. Mózg nie miał nawet ludzkich cech, bo jego węzły rozchodziły się po całym ciele. Powierzył to jedynie swym dziennikom.



O, te krajobrazy, które widziałem! I ci ludzie! Te dalekie wędrówki Fremenów i wszystkich innych. Nawet powrót, poprzez mity, aż do czasów Terry. O, te lekcje astronomii, intrygi, wędrówki ludów, bezładne ucieczki, nocne gonitwy do bólu w nogach i w płucach po wszystkich tych drobinkach kosmosu, na których broniliśmy naszego przemijającego stanu posiadania. Powiadam wam, że jesteśmy cudem, a moje wspomnienia nie pozostawiają co do tego wątpliwości.

– *Wykradzione dzienniki*

Kobieta pracująca przy pulpicie pod ścianą była zbyt rosła na wąskie krzesło, na którym przysiadła. Na zewnątrz dochodziło południe, ale w tym pokoju bez okien, głęboko pod miastem Onn, świeciła wysoko w narożniku tylko jedna lumisfera. Ustawiono ją na ciepłe, żółte światło, lecz nie rozpraszało ono szarości niewielkiego pomieszczenia. Ściany i sufit pokryte były jednakowymi prostokątnymi panelami z matowego szarego metalu.

W pokoju był jeszcze tylko jeden mebel – wąskie łóżko z cienkim materacem przykrytym szarym, nierzucającym się w oczy pledem. Było oczywiste, że żadnego ze sprzętów nie przeznaczono dla tej kobiety.

Nosiła luźny jednoczęściowy niebieski strój, opinający ciasno jej szerokie ramiona, kiedy pochylała się nad pulpitem. Lumisfera oświeślała krótko przycięte jasne włosy i prawą stronę jej twarzy, podkreślając kwadratowy zarys szczęki. Usta poruszały się bezgłośnie, wypowiadając słowa, gdy jej grube palce naciskały ostrożnie klawisze. Traktowała maszynę z respektem

zrodzonym z lęku, który zmieniał się opornie w pełne obawy podniecenie. Długa znajomość z urządzeniem nie osłabiła żadnego z tych uczuć.

W miarę jak pisała, słowa pojawiały się na ekranie ukrytym w prostokącie ściany, który odsłonił opuszczony pulpit.

„Siona kontynuuje działania, które zapowiadają gwałtowny atak na Twoją Świętą Osobę. Pozostaje niezachwiana w swoim zadeklarowanym zamiśle. Dziś powiedziała mi, że kopie wykradzionych ksiąg rozda grupom, w których lojalność wobec Ciebie nie można wierzyć. Wymieniła Bene Gesserit, Gildię i Ixan. Mówi, że księgi zawierają Twoje zaszyfrowane słowa i że liczy na pomoc obdarowanych w przetłumaczeniu tych Twoich Świętych Słów.

Panie, nie wiem, jakie wielkie objawienia mogą się kryć na tych stronach, ale jeśli zawierają one coś, co zagraża Twojej Świętej Osobie, błagam, zwolnij mnie z przysięgi posłuszeństwa Sionie. Nie wiem, dlaczego kazałeś mi ją złożyć, ale się jej lękam.

Pozostaję Twoją wierną sługą
Nayla”

Krzesło skrzypnęło, gdy Nayla opadła na oparcie, zastanawiając się nad swymi słowami. Dźwiękoszczelny pokój był prawie całkowicie odcięty od świata. Słyszeć było tylko cichy oddech kobiety i odległe pulsowanie jakiejś maszyny, wyczuwalne raczej w podłodze niż w powietrzu.

Nayla patrzyła na wiadomość na ekranie. Przeznaczona jedynie dla Boga Imperatora, wymagała czegoś więcej niż świętej prawdomówności. Wymagała pełnej szczerości, co kosztowało Naylę wiele wysiłku.

Po chwili skinęła głową i nacisnęła przycisk rozpoczynający kodowanie słów i przygotowanie ich do transmisji. Z pochyloną głową modliła się jakiś czas w milczeniu, zanim ukryła pulpit w ścianie. Wiedziała, że robiąc to, przekazuje wiadomość. Sam Bóg umieścił w jej głowie implant, żądając pod przysięgą zachowania tajemnicy i uprzedzając, że może nadejść dzień, kiedy przemówi do niej przez ten drobiazg. Nigdy tego jednak nie zrobił. Podejrzewała, że to dzieło Ixan. To było coś w ich stylu. Ale wykonawcą był sam Bóg, mogła więc odrzucić podejrzenie, że może się w tym kryć *komputer*, że może to być zakazane przez Wielką Konwencję.

„Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego”.

Wzdrygnęła się. Wstała i przestawiła krzesło na zwykłe miejsce przy łóżku. Jej ciężkie, muskularne ciało przeżyło się pod lekkim niebieskim strojem. Była w niej pewność i rozważa osoby świadomej swej siły. Odwróciła się i spojrzała tam, gdzie wcześniej był pulpit. Teraz widniał tam tylko prostokątny szary panel, niczym się nieróżniący od innych. Żadna pozostawiona nitka ani włos nie ujawniały jego tajemnicy.

Nayla odetchnęła głęboko i tak pokrzepiona wyszła jedynymi drzwiami na szary korytarz, słabo oświetlony przez nieliczne białe lumisfery. Szum maszyn był tu głośniejszy. Ruszyła w lewo i po paru minutach była już z Sioną w nieco większym pokoju. Na stole pośrodku ułożono przedmioty wykradzione z cytadeli. Dwie srebrzyste lumisfery oświetlały scenę – siedzącą przy stole Sionę i stojącego obok jej pomocnika, Topriego.

Podczas gdy dla Siony Nayla żywiła zazdrosny podziw, Topri budził tylko jej otwartą niechęć. Był nerwowym tłuściochem o wytrzeszczonych zielonych oczach, nosie mopsa i cienkich ustach nad podbródkiem z dołeczkiem. Mówił piskliwym głosem.

– Popatrz, Naylo! Zobacz, co Siona znalazła między kartami tych ksiąg.

Nayla zarygłowała jedyne drzwi.

– Za dużo mówisz, Topri – powiedziała. – Papla z ciebie. Skąd mogłeś wiedzieć, czy jestem sama w korytarzu?

Topri pobladł. Skrzywił się gniewnie.

– Obawiam się, że ona ma rację – rzekła Siona. – Skąd wiesz, że chcę, by Nayla wiedziała o moim odkryciu?

– Całkowicie jej ufasz.

Siona zwróciła się ku Nayli.

– Wiesz, dlaczego ci ufam, Naylo? – Pytanie zadała głosem obojętnym, niewyrażającym żadnych uczuć.

Nayla poczuła nagły przyływ strachu. Czy Siona odgadła jej sekret?

„Czyżbym zawiodła mego Pana?”

– Nie odpowiesz na pytanie? – spytała Siona.

– Czy dałam ci kiedyś powód, byś mi nie ufała?

– To niewystarczająca podstawa zaufania – odparła Siona. – Nikt nie jest doskonały, ani człowiek, ani maszyna.

– Dlaczego więc mi ufasz?

– Twoje słowa i czyny zawsze się zgadzają. To wielka zaleta. Na przykład nie lubisz Topriego i w ogóle nie starasz się tego ukryć.

Nayla spojrzała na Topriego, który chrząknął.

– Nie ufam mu – przyznała.

Te słowa przyszły jej na myśl i zostały rzucone bez zastanowienia. Dopiero, gdy je wymówiła, zdała sobie sprawę z prawdziwej przyczyny swej niechęci. Topri zdradziłby każdego dla własnej korzyści.

„Czy mnie rozgryzł?”

– Nie zamierzam tu stać i słuchać twoich obelg – oznajmił Topri, wciąż gniewnie skrzywiony.

Ruszył do drzwi, ale Siona podniosła dłoń. Zawahał się.

– Chociaż mówimy językiem dawnych Fremenów i przysięgamy sobie wierność, nie to trzyma nas razem – powiedziała Siona. – Wszystko zależy od postępowania. To moja miara wszystkich rzeczy. Rozumiecie?

Topri odruchowo przytaknął, ale Nayla pokręciła głową.

Siona uśmiechnęła się do niej.

– Nie zawsze zgadzasz się z moimi decyzjami, prawda, Naylo?

– Tak – odparła z trudem Nayla.

– I nigdy nie próbowałaś ukryć, że się nie zgadzasz, jednak byłaś posłuszna. Dlaczego?

– Przysięgałam to właśnie robić.

– Już ci mówiłam, że to nie wystarcza.

Nayla czuła, że się poci, i wiedziała, że to widać, ale nie była w stanie się poruszyć. „Co mam robić? Przysięgałam Bogu, że będę posłuszna Sionie, ale nie mogę jej tego powiedzieć”.

– Musisz odpowiedzieć na moje pytanie – rzekła Siona. – Rozkazuję ci.

Nayla wstrzymała oddech. To był dylemat, którego najbardziej się obawiała. Nie było wyjścia. Zmówiła w milczeniu modlitwę i odparła cicho.

– Przysięgałam Bogu, że będę ci posłuszna.

Siona klasnęła z radości i roześmiała się.

– Wiedziałam!

Topri zachichotał.

– Milcz, Topri! – rzuciła Siona. – Chcę cię czegoś nauczyć. Ty nie wierzysz w nic, nawet w siebie.

– Ale ja...

– Milcz, mówię! Nayla wierzy. Ja też. To właśnie trzyma nas razem. Wiara.

Topri był zdumiony.

– Wiara? Ty wierzysz w...

– Nie w Boga Imperatora, głupcze. Wierzimy, że z tyranem Czerwiem upora się wyższa moc. My jesteśmy tą wyższą mocą.

Nayla z drżeniem nabrała powietrza.

– Wszystko w porządku, Naylo – powiedziała Siona. – Nie obchodzi mnie, skąd czerpiesz siłę, dopóki wierzysz.

Nayla zdobyła się na uśmiech, a potem uśmiechnęła szeroko. Nigdy dotąd nie była tak poruszona mądrością swego Pana. „Mogę mówić prawdę, i przynosi to korzyść memu Bogu”.

– Pokażę ci, co znalazłam w tych księgach. – Siona wskazała parę kartek zwykłego papieru. – Były między stronami.

Nayla podeszła do stołu i przyjrzała się kartkom.

– Najpierw to. – Siona podniosła coś, czego Nayla nie zauważyła. Cienkie pasemko czegoś... i coś, co wyglądało jak...

– Kwiat? – spytała Nayla.

– Między kartkami. A na jednej napisane było to. – Pochyliła się nad stołem i przeczytała: – Kosmyk włosów Ganimy z kwiatem siódmaczka, który mi kiedyś dała. – Podnosząc wzrok na Naylę, powiedziała: – Nasz Bóg Imperator jest sentymentalny. To słabość, której się po nim nie spodziewałam.

– Ganimy? – spytała Nayla.

– Jego siostra! Przypomnij sobie nasze przekazy ustne.

– Ach... ach, tak. *Modlitwa do Ganimy*.

– Teraz posłuchaj tego. – Siona wzięła drugą kartkę.

*Piach plaży szary jak martwe oblicze,
W zielonej toni twarze chmur drgają;
Stoję na skraju mokrej ciemności.
Do stóp mych chłodna piana się łąsi,
Ciało osnuwa dym suchych drew.*

Znów spojrzała na Naylę.

– Dopisek mówi: „Napisałem to po śmierci Gani”. Co o tym myślisz?

– On... on kochał swoją siostrę.

– Tak! On *potrafi* kochać. O, tak! Teraz jest nasz.



Czasem pozwalam sobie na safari, jakiego nie może przeżyć żadna inna istota. Kieruję się w głąb, wzdłuż osi moich wspomnień. Określam temat niczym uczeń opisujący wakacyjną wycieczkę. Niech to będą... intelektualistki! Zanurzam się w oceanie, który

tworzą moi przodkowie. Jestem skrzydlatą rybą głębin. Otwieram paszczę mej świadomości i zagarniam ich! Czasem... czasem wylawiam kogoś, kto stał się postacią historyczną. Cóż to za radość przeżyć na nowo życie kogoś takiego i śmiać się z akademickich ambicji, mających podobno stanowić jego biografię.

– *Wykradzione dzienniki*

Moneo zjeżdżał do krypty smutny i zrezygnowany. Nie było ucieczki od obowiązków, które miał zaraz wypełnić. Bóg Imperator potrzebował trochę czasu, żeby odżałować stratę kolejnego Duncana... ale życie biegło dalej... i dalej... i dalej...

Winda zjeżdżała cicho, ze wspaniałą ixańską niezawodnością. Raz kiedyś, i tylko wtedy, Bóg Imperator zawołał do swego marszałka dworu:

– Moneo! Czasem mi się zdaje, że i ty jesteś dziełem Ixan!

Moneo poczuł, że winda staje. Drzwi otworzyły się i spojrzał na niewyraźny kształt na królewskim powozie. Nic nie wskazywało, że Leto zauważył jego przybycie. Moneo westchnął i rozpoczął długą drogę przez pełen ech półmrok. Przy powozie leżało ciało. Nie było potrzebne *déjà vu*. To wyglądało znajomo.

Kiedyś, w pierwszych dniach służby Moneo, Leto powiedział:

– Nie podoba ci się to miejsce, Moneo. Zauważyłem.

– To prawda, Panie.

Moneo nie musiał zbytnio wysilać pamięci, żeby usłyszeć swój głos z tamtej naiwnej przeszłości. I głos Boga Imperatora, który mówił:

– Nie uważaj mauzoleum za miejsce spoczynku, Moneo. Dla mnie to źródło nieskończonej siły.

Marszałek dworu przypominał sobie, jak spieszo mu było do zmiany tematu.

– Tak, Panie.

– Tu spoczywa tylko kilku moich przodków – ciągnął wówczas uparcie Leto. – Jest tu woda Muad'Diba. Są oczywiście Gani i Hark al-Ada, ale oni nie są moimi przodkami. Nie, jeśli istnieje jakaś prawdziwa krypta moich przodków, *ja* jestem tą kryptą. Tu leżą głównie Duncanowie i wytwory mojego planu eugenicznego. Kiedyś i ty się tu znajdziesz.

Moneo spostrzegł, że te wspomnienia spowalniają jego krok. Westchnął i ruszył nieco szybciej. Leto bywał niecierpliwy, choć tym razem nie dawał żadnego znaku. Moneo nie liczył jednak, że go nie zauważono.

Bóg Imperator leżał z zamkniętymi oczami i tylko resztą zmysłów rejestrował przejście sługi przez kryptę. Jego uwagę zajmowała Siona.

„Siona to mój zacięty wróg – myślał. – Nayla nie musi mi tego przypominać. Siona jest kobietą czynu, żywi się potężnymi energiami, które napęniają mnie zachwytem. Nie potrafię kontemplować tych życiowych energii, nie wpadając w ekstazę. To uzasadnienie mego istnienia, usprawiedliwienie wszystkiego, czego dokonałem... nawet uśmiercenia tego głupiego Duncana, którego ciało leży przede mną”.

Słuch mówił Leto, że Moneo nie przebył jeszcze połowy drogi do królewskiego powozu. Szedł coraz wolniej, a potem przyspieszył.

„Jakież dar przyniósł mi Moneo w postaci swojej córki! – myślał Leto. – Siona jest drogocenna. Jest *nowa*, podczas gdy ja jestem zbiorem staroci, reliktem przeklętych, zbłąkanych i zagubionych. Jestem niewyobrażalnym śmietnikiem przywalonym cząstkami historii, które toną w mroku naszej przeszłości”.

Pozwolił wspomnieniom swych przodków predefilować i zobaczyć, co zaszło w krypcie.

„Szczegóły należą do mnie!”

Siona jednak... Siona była jak czysta tabliczka, na której można zapisać wielkie rzeczy.

„Strzegę tej tabliczki z nieskończoną troską. Przygotowuję ją, oczyszczam. Co miał na myśli Duncan, kiedy wymówił jej imię?”

Moneo podszedł do powozu nieśmiało, ale w pełni czujny, zdając sobie sprawę, że Leto z pewnością nie śpi.

Leto otworzył oczy i spojrzał z góry na Moneo, kiedy ten stanął przy zwłokach. Uświadomił sobie wówczas, że z przyjemnością patrzy na swego marszałka dworu. Moneo nosił biały mundur Atrydów, bez dystynkcji, co było wiele mówiącą subtelnością. Jego twarz, prawie tak samo znana jak twarz Leto, była wystarczającym identyfikatorem. Czekał cierpliwie. Jego spokojne, płaskie oblicze nie zmieniał wyrazu. Gęste, gładkie, piaskowe włosy cesał z przedziałkiem na środku głowy. W głębi szarych oczu tkwiła bezpośredniość biorąca się ze świadomości wielkiej władzy. Ten wyraz łagodniał tylko w obecności Boga Imperatora, a i to nie zawsze. Ani razu nie spojrzał na ciało leżące na posadzce.

Gdy Leto nadal milczał, Moneo chrząknął.

– Bardzo żałuję, Panie.

„Znakomicie! – pomyślał Leto. – On wie, że czuję prawdziwy żal po Duncanach. Oglądał ich teczki personalne i widział wystarczająco wielu

martwych. Wie, że tylko dziewiętnastu Duncanów zmarło »śmiercią naturalną«, jak to nazywają ludzie”.

– Miał ixańską broń laserową – powiedział Leto.

Moneo spojrzał wprost na broń leżącą po lewej, okazując, że widział ją już, po czym skupił uwagę na Leto i zlustrował jego olbrzymie ciało.

– Jesteś ranny, Panie?

– To nic poważnego.

– Zranił cię jednak.

– Te pletwy nie są mi potrzebne. Zanikną w ciągu dwustu lat.

– Ciało Duncana usunę osobiście, Panie – rzekł Moneo. – Czy jest coś jeszcze?

– Ten spalony kawałek mego ciała to już popiół. Niech się rozwieje. To odpowiednie miejsce dla popiołu.

– Jak mój Pan każe.

– Zanim pozbędziesz się ciała, rozbrój broń i zatrzymaj, żebym mógł ją pokazać ixańskiemu ambasadorowi. Co do przedstawiciela Gildii, który nas ostrzegł, podaruj mu dziesięć gramów przyprawy. Ach... i nasze kapłanki na Giedi Prime. Niech poszukają ukrytego składu melanżu, zapewne kontrabandy Harkonnenów.

– Co chcesz z nim zrobić, Panie, gdy go znajdą?

– Weź trochę, żeby zapłacić Tleilaxanom za nowego gholę. Resztę można złożyć tu, w krypcie.

– Panie. – Moneo przyjął polecenia skinieniem głowy, gestem, który niezupełnie był ukłonem. Jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Leto.

Leto uśmiechnął się. „Obaj wiemy, że Moneo nie odejdzie, nie poruszywszy wprost sprawy, która dotyczy nas obu”.

– Widziałem raport o Sionie – powiedział marszałek.

Leto uśmiechnął się szerzej. W takich chwilach Moneo był wprost zachwycający. Jego słowa przekazywały wiele rzeczy, które nie wymagały otwartej dyskusji. Wypowiedzi i czyny były dokładnie zrównoważone, oparte na wzajemnej świadomości, że on oczywiście wszystko śledzi. Troska o córkę była naturalna, ale chciał dać do zrozumienia, że jego oddanie dla Boga Imperatora pozostaje wartością nadrzędną. Moneo doskonale rozumiał naturę obecnej sytuacji Siony, przeszedłszy podobną ewolucję.

– Czy to nie ja ją stworzyłem, Moneo? – spytał Leto. – Czy nie kontrolowałem jej pochodzenia i wychowania?

– To moja jedyna córka, jedyne dziecko, Panie.

– W pewien sposób przypomina mi Harka al-Adę – powiedział Leto. – Nie ma w sobie wiele z Ganimy, chociaż coś powinna mieć. Być może wraca do swych przodków w planie eugenicznym Bene Gesserit.

– Dlaczego to mówisz, Panie?

Leto zreflektował się. Czy Moneo musiał znać tę osobliwość swej córki? Siona czasami znikła z jego wizji przyszłości. Złoty Szlak pozostawał, ale Siona znikła. A jednak... ona nie jest prorokiem. Jest jakimś wyjątkowym zjawiskiem... i jeśli przeżyje... Postanowił, że nie będzie osłabiał sprawności Moneo niepotrzebnymi informacjami.

– Przypomnij sobie własną przeszłość – powiedział.

– Oczywiście, Panie! Ona ma podobny potencjał, tylko o wiele większy, niż ja miałem. To jednak czyni ją niebezpieczną.

– I nieposłuszną ojcu.

– Tak, ale mam agenta wśród jej buntowników.

„Topri” – pomyślał Leto.

Nie trzeba było być jasnowidzem, by wiedzieć, że Moneo ma tam agenta. Od śmierci matki Siony Leto nabierał pewności co do sposobu działania swego marszałka. Podejrzenia Nayli wskazały Topriego. A teraz Moneo ujawniał swoje obawy i czyny, oferując je w zamian za bezpieczeństwo córki.

„Jaka szkoda, że z jej matką miał tylko jedno dziecko”.

– Przypomnij sobie, jak postąpiłem z tobą w podobnych okolicznościach – rzekł Leto. – Znasz wymagania Złotego Szlaku nie gorzej ode mnie.

– Byłem młody i głupi, Panie.

– Młody i śmiały, ale nie głupi.

Moneo zdobył się na uśmiech po tym komplemente. Był coraz bardziej przekonany, że teraz rozumie zamysły Leto.

„A jednak to zagrożenie!”

– Wiesz, jak bardzo lubię niespodzianki – powiedział Leto, utwierdzając go w tej wierze.

„I to prawda – pomyślał. – Moneo to wie. Kiedy jednak Siona mnie zaskakuje, przypomina mi o tym, czego boję się najbardziej: że jednostajność i nuda mogą zniszczyć Złoty Szlak. Przecież nuda oddała mnie na krótko we władzę Duncana! Siona to ten kontrast, dzięki któremu znam moje najgłębsze lęki. Troska Moneo o mnie jest całkiem uzasadniona”.

– Mój agent będzie nadal obserwował jej nowych towarzyszy, Panie – powiedział marszałek dworu. – Nie podobają mi się.

– Jej towarzysze? Sam miałem takich dawno temu.

– Buntowników, Panie? Ty? – Moneo był szczerze zdziwiony.

– Czyż nie okazałem się przyjacielem buntu?

– Ale, Panie...

– Aberracje były w naszej przeszłości częstsze, niż mógłbyś przypuszczać!

– Tak, Panie? – Moneo był zmieszany, ale i zaciekawiony. Wiedział, że po śmierci kolejnego Duncana Bóg Imperator robi się niekiedy gadatliwy. – Musiałeś widzieć wiele buntów, Panie.

Na te słowa Leto mimowolnie pogрузił się we wspomnieniach.

– Aaach, Moneo – mruknął. – W moich podróżach po labiryntach pamięci przodków widziałem bez liku miejsc i zdarzeń, których nie chcę już nigdy znów zobaczyć.

– Mogę sobie wyobrazić twoje wewnętrzne podróże, Panie.

– Nie, nie możesz. Widziałem ludy i planety tak liczne, że tracą znaczenie nawet w wyobraźni. Aaach, te krajobrazy, które przemierzałem. Ta kaligrafia obcych dróg, widziana z kosmosu i odcisnięta w głębi mej pamięci. Te zżarte erozją kaniony, klify i galaktyki wpołyły mi pewność, że jestem zaledwie pyłkiem.

– Nie ty, Panie. Z pewnością nie ty.

– Mniej niż pyłkiem! Widziałem ludy i ich nieplodne społeczeństwa tak powtarzalne w swych pozach, że ich bezsens napełniał mnie znudzeniem, słyszysz?

– Nie chciałem rozgniewać mego Pana – rzekł potulnie Moneo.

– Nie rozgniewałeś. Czasem mnie drażnisz, to wszystko. Nie możesz sobie wyobrazić, co widziałem: kalifów i mdżidów, radżów i baszarów, królów i imperatorów, primitos i prezydentów... Widziałem ich wszystkich. Każdego feudalnego przywódcę. Każdego małego faraona.

– Wybacz mi zarozumiałość, Panie.

– Do diabła z Rzymianami! – krzyknął Leto. Powtórzył to w duchu swoim przodkom: – *Do diabła z Rzymianami!*

Ich śmiech zmusił go do wycofania się.

– Nie rozumiem, Panie – zaryzykował Moneo.

– Prawda, nie rozumiesz. Rzymianie rozsiali tę chorobę faraonów niczym chłopcy siejący ziarno z myślą o przyszłych plonach – cesarzy, kajzerów,

carów, imperatorów, palatynów, przeklętych faraonów!

- Moja wiedza nie obejmuje tych wszystkich tytułów, Panie.
- Mogę być ostatnim z nich, Moneo. Módl się, żeby tak było.
- Jak mój Pan rozkaże.

Leto spojrzał na niego.

– Ty i ja jesteśmy pogromcami mitów, Moneo. To nasze wspólne marzenie. Zapewniam cię z siedziska bogów Olimpu, że władza to dzielony wspólnie mit. Kiedy ten mit ginie, ginie i władza.

- Tak mnie uczyłeś, Panie.
- Ta ludzka maszyna, armia, stworzyła to nasze marzenie, przyjacielu.

Moneo odchrząknął. Leto rozpoznał oznaki zniecierpliwienia marszałka dworu.

„Moneo wie, co to armia. Zna to marzenie głupców, według których armia jest podstawowym narzędziem sprawowania władzy”.

Gdy Leto milczał, Moneo podszedł do broni, podniósł ją z zimnej posadzki i zaczął rozbrajać. Leto przyglądał mu się, myśląc, że ta scenka kryje w sobie esencję mitu armii. Armia rozwija technologię, bo ludziom krótkowzrocznym siła maszyn wydaje się oczywista.

„Broń laserowa to nic więcej jak tylko maszyna. Ale wszystkie maszyny zawodzą albo są zastępowane innymi. Mimo to armia bije im pokłony niczym w świątyni, zachwycona i pełna lęku zarazem. Spójrzcie, jak ludzie boją się Ixan! W głębi duszy armia wie, że jest uczniem czarnoksiężnika. Uwalnia technologię, ale tej magii już nigdy nie da się wepchnąć z powrotem do butelki”.

„Ja nauczę ich innej magii”.

Zwrócił się do żyjących w nim tłumów.

– *Widzicie? Moneo rozbroił śmiercionośne narzędzie. Tu przerwane połączenie, tam zgnieciona kapsułka.*

Wyczuł estry olejku ochronnego tłumiącego woń potu Moneo.

– *Ten dzinn nie umarł jednak – rzekł, wciąż zwracając się w głąb siebie. – Technologia rodzi anarchię. Rozdziela na oślep narzędzia. Prowokuje nimi przemoc. Możliwości wytwarzania i używania środków zniszczenia przechodzą nieuchronnie w ręce coraz mniejszych grup, a w końcu jednostek.*

Moneo wrócił na swe miejsce przy Leto, trzymając niedbale w prawej dłoni rozmontowaną broń.

– Na Parelli i na planetach Danu mówi się o nowym dżihadzie przeciw takim rzeczom jak ta.

Podniósł broń i uśmiechnął się na znak, że rozumie paradoksalność tych daremnych marzeń.

Leto zamknął oczy. Tłumy w nim chciały się spierać, ale odciął się od nich, myśląc: „Dżihady tworzą armie. Dżihad Butleriański próbował usunąć z naszego wszechświata maszyny, które naśladowały ludzki rozum. Jego członkowie zostawili po sobie armię, a Ixanie nadal tworzą swe wątpliwej legalności narzędzia... za co jestem im wdzięczny. Czym jest anatema? Motywacją do spustoszenia, siania zniszczenia bez względu na środki”.

– Stało się – mruknął.

– Panie?

Leto otworzył oczy.

– Udam się do mojej wieży – powiedział. – Muszę mieć więcej czasu na żałobę po moim Duncanie.

– Nowy jest już w drodze – zapewnił Moneo.



O ty, który po co najmniej czterech tysiącach lat pierwszy natkniesz się na moje kroniki, miej się na baczności. Nie czuj się uhonorowany pierwszeństwem odczytania rewelacji z mojej ixańskiej składnicy. Sprawi ci to wiele bólu. Jeśli nie liczyć kilku spojrzeń niezbędnych, by się upewnić, że Złoty Szlak trwa, nigdy nie chciałem spoglądać poza te cztery tysiąclecia, nie jestem więc pewny, co mogą oznaczać dla twoich czasów wydarzenia opisane w tych dziennikach. Wiem tylko, że moje dzienniki poszły w niepamięć, a wspomnienia wydarzeń w nich przedstawionych zostały wypaczone w ciągu epok. Zapewniam cię, że możliwość zaglądania w przyszłość staje się nudna. Nawet bycie bogiem, a ja byłem tak postrzegany, może być nieskończenie nudne. Nieraz myślałem, że to święte znudzenie jest wystarczającym powodem wynalezienia wolnej woli.

– napis na składnicy w Dar-es-Balat

„Jestem Duncanem Idaho”.

To było prawie wszystko, co chciał wiedzieć na pewno. Nie podobały mu się wyjaśnienia Tleilaxan, ich *historie*. Przecież Tleilaxan zawsze się bano. Nie dowierzano im i bano się ich.

Sprawadzili go na tę planetę w małym wahadłowcu Gildii, wkraczając w strefę zmierzchu wraz z zielonym błyskiem słonecznej korony na horyzoncie, gdy zagłębiali się w cień. Port kosmiczny nie wyglądał wcale jak ten zapamiętany. Był większy i otoczony pierścieniem obcych budowli.

– Jesteście pewni, że to Diuna? – spytał.

– Arrakis – poprawił go członek tleilaxańskiej eskorty.

Przewieźli go w zamkniętym pojeździe naziemnym do tego budynku gdzieś w mieście, które nazywali Onn, nadając głosce „n” dziwną nosową modulację. Zostawili go w pokoju, który był kwadratem, czy raczej sześcianiem o boku trzech metrów. Nie było w nim lumisfer, ale jarzył się cały ciepłym, żółtym światłem.

„Jestem gholą” – powiedział sobie.

Był to dla niego wstrząs, ale musiał w to uwierzyć. Świadomość, że żyje, skoro wiedział, że zginął, była wystarczającym dowodem. Tleilaxanie pobrali komórki jego martwego ciała i wyhodowali z nich zarodek w jednej ze swoich kadzi aksolotlowych. Potem zarodek ów stał się ciałem w procesie, wskutek którego czuł się obco w tym ciele.

Przyjrzał się sobie. Był ubrany w ciemnobrązowe spodnie i bluzę z grubej tkaniny, drażniącej skórę. Oprócz ciała było to wszystko, co mu dali. To skąpstwo mówiło coś o prawdziwej naturze Tleilaxan.

W pokoju nie było żadnych sprzętów. Wprowadzili go przez jedyne drzwi, pozbawione od wewnątrz klamki. Przyjrzał się sufitowi, ścianom i drzwiom. Mimo bezosobowego charakteru tego miejsca czuł, że jest obserwowany.

– Przyjdą po ciebie kobiety ze straży imperialnej – powiedzieli i odeszli, uśmiechając się chytrze do siebie.

Tleilaxańska eskorta czerpała sadystyczną przyjemność z przedstawiania swych możliwości zmiany kształtu. Nie mógł odgadnąć, jaką postać pokażą mu za chwilę ich plastyczne i płynne ciała.

„Przekłęci maskaradnicy!”

Wiedząc o nim wszystko, wiedzieli oczywiście, jak odrażający wydają mu się zmiennokształtni.

Czy mógł wierzyć w cokolwiek, co wyszło od maskaradników? Czy można wierzyć choćby w jedno ich słowo?

„W moje imię. Znam swoje imię”.

Miał też wspomnienia. To one wywołały wstrząs, który przywrócił mu świadomość. Powszechnie uważano, że ghole są niezdolni do odzyskania

pierwotnej osobowości. Tleilaxanie dokonali tego jednak, a on musiał w to uwierzyć, bo rozumiał, jak to osiągnęli.

Wiedział, że na początku był w pełni uformowanym gholą, dorosłym ciałem bez imienia i wspomnień – palimpsestem, na którym Tleilaxanie mogli napisać prawie wszystko, co chcieli.

„Jesteś gholą” – mówili.

Przez długi czas było to jego jedyne imię. Gholą został, niczym podatne dziecko, uwarunkowany, by kogoś zabić – kogoś tak podobnego do prawdziwego Muad'Diba, któremu służył i którego podziwiał, że mógł to być tylko inny gholą, jak podejrzewał Idaho. Gdyby to wszakże była prawda, skąd wzięli oryginalne komórki?

Coś w komórkach Idaho zbuntowało się wówczas przeciw zabiciu Atrydy, kiedy ujrzał, że stoi z nożem w ręku przed tym związanym rzekomym Paulem, wpatrującym się w niego z gniewem i przerażeniem.

I wtedy jego świadomość wypełniły wspomnienia. Pamiętał i gholę, i Duncana Idaho.

„Jestem Duncanem Idaho, mistrzem miecza Atrydów”.

Chwytał się tego wspomnienia, stojąc w żółtym pokoju.

„Zginałem, broniąc Paula i jego matki w siczowej jaskini pod piaskami Diuny. Wróciłem na tę planetę, ale to już nie Diuna. Teraz to tylko Arrakis”.

Przeczytał skróconą historię dostarczoną mu przez Tleilaxan, ale w nią nie uwierzył. „Ponad trzy i pół tysiąca lat?” Któż by uwierzył, że jego ciało istnieje po takim czasie? Chociaż... z Tleilaxanami było to możliwe. Musiał ufać swoim zmysłom.

– Było ciebie wielu – powiedzieli mu instruktorzy.

– Ilu?

– O tym cię poinformuje sam Pan Leto.

„Pan Leto?”

Historia Tleilaxan mówiła, że jest nim Leto II, wnuk tego Leto, któremu Idaho służył z fanatycznym oddaniem. Ale ów drugi Leto (jak mówiła historia) stał się czymś... czymś tak dziwnym, że Duncan stracił nadzieję na zrozumienie tej przemiany.

Jak człowiek może powoli przemieniać się w czerwia pustyni? Jak myśląca istota może przeżyć ponad trzy tysiące lat? Wykluczały to nawet najbardziej fantastyczne przewidywania dotyczące geriatrycznej przyprawy.

„Leto II, Bóg Imperator?”

Nie wolno wierzyć historii Tleilaxan!

Idaho przypomniał sobie jakieś dziwne dziecko, właściwie bliźnięta, Leto i Ganimę, potomstwo Paula i Chani, która zmarła, wydając je na świat. Historia Tleilaxan donosiła, że Ganima zmarła po życiu względnie normalnej długości, tymczasem Bóg Imperator Leto żył i żył, i żył...

– To tyran – mówili instruktorzy Idaho. – Kazał nam cię stworzyć w naszych kadziach aksolotlowych i wysłać mu na służbę. Nie wiemy, co się stało z twoim poprzednikiem.

„I oto tu jestem”.

Idaho raz jeszcze przebiegł wzrokiem po pozbawionych wyrazu ścianach i suficie.

Słaby dźwięk głosów dotarł do jego świadomości. Spojrzał na drzwi. Głosy były stłumione, ale co najmniej jeden był kobiecy.

„Kobiety ze straży imperialnej?”

Drzwi otworzyły się bezgłośnie do środka. Weszły dwie kobiety. Natychmiast rzuciło mu się w oczy, że jedna z nich nosi maskę, bezkształtny cybusowy kaptur z pochłaniającej światło czerni. Wiedział, że widzi go przez ten kaptur, ale jej rysów nie dałoby się dostrzec nawet przy użyciu najsubtelniejszych technik. Kaptur dowodził, że Ixanie albo ich następcy nadal działają w Imperium. Kobiety miały jednoczęściowe ciemnoniebieskie mundury z czerwonym jastrzębiem Atrydów wyszytym na lewej piersi.

Idaho przyjrzał im się dokładnie, gdy zwróciły się ku niemu.

Zamaskowana miała zwaliste, potężne ciało. Poruszała się ze zwodniczą ostrożnością fanatycznej zawodowej atletki. Druga była szczupła i zgrabna, o migdałowych oczach oraz twarzy o ostrych rysach i wystających kościach policzkowych. Idaho miał wrażenie, że gdzieś już ją widział, ale nie mógł sobie tego przypomnieć. Obie miały pchle sztychy przypięte na biodrach. Coś w ich ruchach mówiło Duncanowi, że znakomicie władają tą bronią.

– Jestem Luli – odezwała się ta szczupła. – Niech mnie pierwszej będzie wolno zwrócić się do ciebie jako do komendanta. Moja towarzyszka musi pozostać anonimowa. Nasz Pan Leto tak rozkazał. Możesz ją nazywać Przyjaciółką.

– Komendanta? – spytał.

– Pan Leto pragnie, byś dowodził jego strażą – odpowiedziała Luli.

– Tak? Chodźmy z nim o tym porozmawiać.

– Och, nie! – Kobieta była wyraźnie wstrząśnięta. – Pan Leto wezwie cię w stosownym czasie. Teraz mamy zadbać, byś czuł się jak u siebie i był szczęśliwy.

– A ja muszę być posłuszny?

Luli ze zdziwieniem pokręciła głową.

– Czy jestem niewolnikiem?

Odprężyła się i uśmiechnęła.

– Bynajmniej. Po prostu Pan Leto ma wiele ważnych spraw, które wymagają jego uwagi. Musi znaleźć dla ciebie czas. Przysłał nas, bo troszczy się o swojego Duncana Idaho. Długo przebywałeś w rękach plugawych Tleilaxan.

„Plugawych Tleilaxan” – powtórzył w myślach. To się w każdym razie nie zmieniło. Zainteresowała go jednak wzmianka o nim w wyjaśnieniu Luli.

– *Swojego Duncana Idaho?*

– Czy nie jesteś wojownikiem Atrydów?

Tu go miała. Idaho skinął głową, obracając ją nieco, by się przyjrzeć tajemniczej, zamaskowanej kobiecie.

– Dlaczego nosisz maskę?

– Nikt nie może wiedzieć, że służę Panu Leto – odpowiedziała. Mówiła miłym kontraltem, ale Idaho podejrzewał, że kaptur zmienił jej głos.

– Dlaczego więc tu jesteś?

– Pan Leto kazał mi sprawdzić, czy nie znajdujesz się pod wpływem plugawych Tleilaxan.

Idaho spróbował przełknąć ślinę, bo nagle zaschło mu w gardle. Ta myśl nawiedzała go niejednemu raz na pokładzie statku Gildii. Jeżeli Tleilaxanie mogli zaprogramować gholę tak, by usiłował zabić przyjaciela, co jeszcze byli w stanie wszczepić w psychikę odrodzonej istoty?

– Widzę, że już o tym myślałeś – powiedziała zamaskowana.

– Jesteś mentatką?

– Och, nie – przerwała Luli. – Pan Leto nie pozwala szkolić mentatów.

Idaho spojrział na Luli, a potem znów na zamaskowaną kobietę. „Nie ma mentatów?” Tleilaxańska historia nie wspominała o tym istotnym fakcie. Dlaczego Leto miałby tego zakazywać? Nadzwyczajne możliwości szkolonego do kalkulacji ludzkiego umysłu wciąż przecież znajdowałyby zastosowanie. Tleilaxanie zapewniali go, że Wielka Konwencja pozostaje w mocy i że komputery są nadal objęte anatema. Z pewnością te kobiety wiedziały, że Atrydzi używali mentatów.

– A ty jak uważasz? – spytała zamaskowana. – Czy plugawi Tleilaxanie wpłynęli jakoś na twoją psychikę?

– Ja... nie sędzę.

– Ale nie jesteś pewny?

– Nie.

– Bez obaw, komendancie. Mamy sposoby, żeby się upewnić i żeby sobie poradzić z problemami, gdyby jakieś powstały. Plugawi Tleilaxanie próbowali tego tylko raz i drogo zapłacili za swój błąd.

– To brzmi krzepiąco. Czy Pan Leto przekazał mi jakieś wiadomości?

– Poleciał nam zapewnić cię, że kocha cię tak, jak zawsze kochali cię Atrydzi – odpowiedziała z wyraźnym lękiem Luli.

Idaho odprężył się nieco. Jako dawny sługa Atrydów, wspaniale przez nich wyszkolony, bez trudu wyciągnął z tego spotkania kilka wniosków. Obie strażniczki były silnie uwarunkowane do fanatycznego posłuszeństwa. Jeżeli kaptur krył tożsamość tej drugiej, musiało być więcej kobiet o podobnej budowie ciała. Wszystko to mówiło o otaczających Leto niebezpieczeństwach, które wciąż wymagały subtelnych usług szpiegów i nie lada arsenału broni.

Luli spojrzała na swą towarzyszkę.

– Co powiesz, Przyjaciółko?

– Można go zabrać do cytadeli – odpowiedziała zamaskowana. – To miejsce nie jest odpowiednie. Byli tu Tleilaxanie.

– Gorąca kąpiel i zmiana stroju byłyby mile widziane – podsunął Idaho.

Luli patrzyła wciąż na Przyjaciółkę.

– Jesteś pewna?

– Nie można wątpić w mądrość Pana – odparła tamta.

Duncanowi nie podobał się fanatyczny ton „Przyjaciółki”, ale czuł się bezpieczny, bo ufał Atrydom. Wrogom i obcym mogli się wydawać cyniczni i okrutni, ale wobec swoich ludzi byli sprawiedliwi i lojalni. Nade wszystko byli lojalni wobec swego rodu.

„Ja zaś jestem jednym z nich – myślał Idaho. – Ale co się stało z tym Duncanem, którego zastępuję?” Był pewien, że od tych dwóch kobiet nie uzyska odpowiedzi.

– Idziemy? – spytał. – Pilno mi zmyć z siebie odór plugawych Tleilaxan.

Luli uśmiechnęła się do niego.

– Chodźmy. Sama cię wykąpie.



Wrogowie nas umacniają. Sprzymierzeńcy osłabiają. Mówię to w nadziei, że pomoże to wam zrozumieć, dlaczego działam właśnie tak, świadomy, iż w moim Imperium narastają wielkie siły, które pragną tylko jednego: zniszczenia mnie. Wy, którzy czytacie te słowa, wiecie już dokładnie, co się stało, ale wątpię, czy to rozumiecie.

– *Wykradzione dzienniki*

Ceremonia „prezentacji”, którą buntownicy zaczynali swe spotkania, dłużyła się Sionie niemiłosiernie. Siedziała w pierwszym rzędzie i patrzyła wszędzie, byle nie na Topriego, który prowadził ceremonię ledwie kilka kroków od niej. Z tego pomieszczenia w podziemiach Onn jeszcze nie korzystali, ale było tak podobne do wszystkich innych miejsc ich spotkań, że mogło służyć za modelowe wnętrze.

„Sala zebrań buntowników – klasa B” – pomyślała.

Sala była przeznaczona na magazyn. Oświetlały ją białe, chłodne, niedające się przestroić lumisfery. Miała trzydzieści kroków długości i nieco mniej szerokości. Wchodziło się do niej przez labirynt podobnych pomieszczeń, z których jedno pełne było składanych krzeseł z małych sypialnych pokoi personelu.

Dziewiętnastu buntowników, towarzyszy Siony, zajmowało krzeseła wokół niej, a kilka pustych czekało na spóźnionych, którzy mogli jeszcze przybyć na spotkanie.

Czas wyznaczono między zmianą o północy a poranną, by ukryć większy ruch w podziemnych przejściach służbowych. Większość buntowników przebrana była za energetyków, w cienkie szare jednorazowe spodnie i bluzy. Kilku, w tym Siona, miało na sobie zielone stroje kontrolerów maszyn.

Głos Topriego rozbrzmiewał w sali z natarczywą monotonią. Podczas ceremonii nie był bynajmniej piskliwy. Siona musiała przyznać, że jako prowadzący Topri jest raczej dobry, zwłaszcza w oczach nowo zwербowanych. Jednak odkąd Nayla oświadczyła otwarcie, że mu nie ufa, Siona patrzyła na niego inaczej. Nayla umiała mówić z bezlitosną, zrywającą maski naiwnością. A po tamtej konfrontacji Siona dowiedziała się o Toprim jeszcze innych rzeczy.

Obróciła się w końcu i spojrzała na niego. Chłodne srebrzyste światło nie dodawało blademu Topriemu urody. Podczas ceremonii posługiwał się

przemyconą kopią krysnoża kupioną od Muzealnych Fremenów. Siona przypomniała sobie tamtą transakcję, patrząc na ostrze w rękach Topriego. To był jego pomysł i wówczas wydawał jej się dobry. Zaprowadził ją wtedy do jakiejś rudery na skraju miasta. Wyszli z Onn zaraz po zmierzchu. Musieli długo czekać na ciemności, które skryły nadejście Muzealnych Fremenów. Fremenom nie wolno było opuszczać siczowych kwater bez specjalnego zezwolenia Boga Imperatora.

Prawie dała za wygraną, gdy pojawił się ten Fremen, wynurzając się z nocy. Zostawił swą eskortę na straży przy drzwiach. Siona i Topri siedzieli na prostej ławie pod wilgotną ścianą całkiem pustego pokoju. Pomieszczenie oświetlała tylko pochodnia zatknięta w uchwycie wbitym w spękaną glinianą ścianę.

Już pierwsze słowa Fremena napełniły Sionę złym przeczuciem.

– Przynieśliście pieniądze?

Topri i Siona wstali, kiedy wszedł. Topri nie wydawał się zakłopotany pytaniem. Poklepał ukrytą pod szatą sakiewkę, a ta zadzwoniła.

– Mam je przy sobie.

Fremen był pomarszczony, przygarbiony i opryskliwy. Miał na sobie kopię szat dawnych Fremenów, a pod nimi jakiś połyskliwy strój, zapewne rodzaj filtraka. Naciągnięty na czoło kaptur skrywał rysy. Cienie od pochodni tańczyły na jego twarzy.

Spojrzał wpierw na Topriego, a potem na Sionę, zanim wyjął spod szaty coś zawiniętego w płótno.

– To wierna kopia, ale zrobiona z plastiku – powiedział. – Nie przetnie nawet mrożonki.

Następnie rozwinął materiał i uniósł wysoko nóż.

Siona, która dotąd widziała krysnoże tylko w muzeach i w nielicznych zapisach z archiwów swej rodziny, poczuła się dziwnie wzburzona widokiem tego ostrza w takich okolicznościach. Za sprawą jakiegoś atawizmu wyobraziła sobie owego żałosnego Muzealnego Fremena z plastikowym krysnożem jako prawdziwego Fremena z dawnych czasów. To, co trzymał, stało się nagle krysnożem o srebrzystym ostrzu migocącym wśród żółtawych cieni.

– Ręczę za prawdziwość noża, który został przez nas skopiowany. – Fremen mówił cicho, a jego głos brzmiał dziwnie złowieszczo z braku jakichkolwiek akcentów.

Siona usłyszała to – sposób, w jaki krył on jadowitą złość w cichych samogłoskach – i nagle stała się czujna.

– Spróbuj nas zdradzić, a zgnieciemy cię jak robaka – powiedziała.

Topri rzucił jej zdumione spojrzenie.

Muzealny Fremen jakby się skurczył, zapadając się w siebie. Nóż zadrżał mu w ręku, ale jego palce gnoma wciąż obejmowały rękojeść, jak gdyby ścisnęły czyjeś gardło.

– Zdradzić, pani? Och, nie. Pomyśleliśmy tylko, że żądamy zbyt mało za tę kopię. Choć jest marna, jej wykonanie i sprzedaż naraża nas na straszliwe niebezpieczeństwo.

Siona spojrzała nań gniewnie, myśląc o słowach dawnych Fremenów z przekazów ustnych: „Gdy raz przyswoisz sobie duszę handlarza, suk stanie się dla ciebie wszystkim.

– Ile chcesz? – zapytała.

Wymienił sumę dwa razy większą niż pierwotna.

Topriemu zabrakło tchu.

Siona spojrzała na niego.

– Masz tyle?

– Nie aż tyle, ale umawialiśmy się...

– Daj mu, ile masz. Wszystko – poleciła.

– Wszystko?

– Tak jak mówię. Wszystkie monety z sakiewki. – Popatrzyła na Muzealnego Fremena. – Przyjmiesz tę zapłatę. – To nie było pytanie i starzec dobrze ją zrozumiał. Zawinął nóż w płótno i podał jej.

Topri wręczył mu sakiewkę, mruczając coś pod nosem.

– Znamy twoje imię – powiedziała Siona do Muzealnego Fremena. – Jesteś Tejszar, przyboczny Garuna z Tuono. Masz mentalność suku. Dreszcz mnie przenika na myśl o tym, czym się stali Fremen.

– Pani, wszyscy musimy jakoś żyć – zaprotestował.

– Ty właściwie już nie żyjesz – odparła. – Odejdź.

Tejszar odwrócił się i wymknął w mrok, tuląc sakiewkę do piersi.

Wspomnienie tamtej nocy nękało Sionę, gdy patrzyła, jak Topri wywija kopią krysnoża podczas ich buntowniczej ceremonii. „Nie jesteśmy wcale lepsi od Tejszara – pomyślała. – Kopia to coś gorszego niż nic”.

Tymczasem Topri machał tym głupim ostrzem nad głową, zmierzając do końca ceremonii.

Siona odwróciła od niego wzrok i spojrzała na tkwiącą po lewej Naylor. Ta patrzyła najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Szczególną uwagę zwracała na siedzących z tyłu nowo zwerbowanych. Nie dowierzała nikomu. Siona zmarszczyła nos, gdy ruch powietrza przyniósł jej zapach smaru. Podziemia Onn pachniały zawsze niebezpiecznie *mechanicznie*! Kichnęła. I to pomieszczenie! Nie polubiła tego miejsca. Mogło łatwo stać się pułapką. Straże mogły zamknąć zewnętrzne korytarze i wysłać uzbrojonych szperaczy. Ta sala zbyt łatwo mogła się stać miejscem, gdzie skończy się bunt. Siona była w dwójnasób niespokojna, bo wybrał ją Topri.

„Jedna z niewielu pomyłek Ulota” – pomyślała. Biedny Ulot popierał przyjęcie Topriego do buntowników.

„Jest niższym funkcjonariuszem służb miejskich – tłumaczył. – Może nam znaleźć wiele dobrych miejsc na spotkania i arsenały”.

Topri doszedł prawie do końca ceremonii. Schował nóż w ozdobnej szkatule i postawił ją na podłodze obok siebie.

– Moja twarz jest moją gwarancją – powiedział. Obrócił się do sali jednym profilem, a potem drugim. – Pokazuję wam twarz, żebyście mnie wszędzie rozpoznawali i wiedzieli, że jestem jednym z was.

„Głupia ceremonia” – stwierdziła Siona.

Nie ośmieliła się jednak naruszyć rytuału, a gdy Topri wyjął z kieszeni czarną maskę z gazy i naciągnął ją na głowę, wyjęła i włożyła swoją. Wszyscy w sali zrobili to samo. Zapanowało poruszenie. Większość została uprzedzona, że Topri przyprowadzi niezwykłego gościa. Siona zawiązała maskę z tyłu głowy. Bardzo chciała zobaczyć tę osobę.

Topri podszedł do jedynych drzwi. Powstało zamieszanie, gdy wszyscy się podnosili, składali krzesła i odstawiali je pod ścianę naprzeciw wejścia. Na znak Siony Topri zastukał trzy razy w drzwi, policzył do dwóch i zastukał cztery razy.

Drzwi otworzyły się i wszedł wysoki człowiek w oficjalnym brązowym stroju. Nie nosił maski, wszyscy więc ujrzeli jego twarz – szczupłą i władcą, z wąskimi ustami, ostrym nosem i głęboko osadzonymi piwnymi oczami pod krzaczastymi brwiami. Gros obecnych znało tę twarz.

– Przyjaciele – rzekł Topri – przedstawiam wam Ijo Kobata, ambasadora Ixa.

– Byłego ambasadora – poprawił go Kobata. Głos miał gardłowy i bardzo opanowany. Stał pod ścianą, twarzą do zamaskowanych. – Dostałem dziś rozkaz naszego Boga Imperatora, by opuścić w niełasce Arrakis.

– Dlaczego? – rzuciła Siona, nie bawiąc się w formalności.

Kobat obrócił szybko głowę i skupił wzrok na jej zakrytej twarzy.

– Doszło do zamachu na Boga Imperatora, a broń pochodziła ode mnie.

Towarzysze Siony rozstąpili się na znak, że zdają się na nią.

– Dlaczego więc cię nie zabił? – zapytała.

– Chyba daje mi do zrozumienia, że nie warto mnie zabijać. Chce mnie użyć do przesłania wiadomości Ixanom.

– Jakiej? – Siona pokonała wolną przestrzeń i stanęła dwa kroki przed Kobatem. Spozrzęła, że podniecił się, gdy badał wzrokiem jej ciało.

– Jesteś córką Moneo – powiedział.

W sali dał się wyczuć gwałtowny wzrost napięcia. Dlaczego wyjawiał, że ją rozpoznał? Kogo jeszcze rozpoznał? Kobat nie wyglądał na głupca. Dlaczego to zrobił?

– Twoja postać, głos i zachowanie są dobrze znane w Onn – rzekł. – Ta maska nie ma sensu.

Zdarła maskę i uśmiechnęła się do niego.

– Przyznaję. A teraz odpowiedz na moje pytanie.

Usłyszała, że Nayla przysuwa się do niej z lewej strony, a dwie wybrane przez Naylę adiutantki stają za nią. Widziała, jak do Kobata dociera, że zginie, jeśli nie spełni jej żądań. Nadal panował nad głosem, ale mówił wolniej, starannie dobierając słowa.

– Bóg Imperator powiedział mi, że wie o układzie Ixa z Gildią. Budujemy mechaniczny wzmacniacz tych talentów nawigacyjnych gildian, które obecnie zależą od melanżu.

– W tej sali nazywamy go Czerwiem – powiedziała Siona. – Co ma robić wasza maszyna?

– Wiesz oczywiście, że nawigatorzy Gildii potrzebują przyprawy, żeby zobaczyć bezpieczną drogę?

– A wy zastąpicie ich maszyną?

– Istnieje taka możliwość.

– Jaką więc wiadomość zanieziesz swoim w związku z tym?

– Mam im przekazać, że mogą pracować nad tym projektem, jeśli codziennie będą przysyłać raporty o swoich postępach.

Siona pokręciła głową.

– On nie potrzebuje żadnych raportów! To nie ma sensu.

Kobat przełknął ślinę, nie kryjąc już zdenerwowania.

– Gildia i zgromadzenie żeńskie interesują się naszym projektem. Uczestniczą w nim – powiedział.

Przytaknęła.

– I płacą za to uczestnictwo, dzieląc się z Ixem przyprawą.

Kobat spojrział na nią wyzywająco.

– Te prace kosztują, a przyprawy potrzebujemy dla nawigatorów Gildii do testów porównawczych.

– To kłamstwo i oszustwo – stwierdziła Siona. – Wasza maszyna nigdy nie będzie działać i Czerw o tym wie.

– Jak śmiesz nas oskarżać o...

– Spokojnie! Mówię ci właśnie, co naprawdę zawiera ta wiadomość. Czerw pozwala wam, Ixanom, nadal wodzić za nos Gildię i Bene Gesserit. To go bawi.

– Ta maszyna może działać! – upierał się Kobat.

Uśmiechnęła się tylko.

– Kto próbował zabić Czerwia?

– Duncan Idaho.

Nayli zabrakło tchu. W sali widać było oznaki zaskoczenia: zmarszczenie brwi, zaczerpnięcie oddechu.

– Idaho zginął? – spytała Siona.

– Tak myślę, ale... Czerw tego nie potwierdza.

– Dlaczego więc myślisz, że nie żyje?

– Tleilaxanie wysłali już następnego gholę Idaho.

– Rozumiem.

Siona odwróciła się i dała znak Nayli. Ta poszła w kąt sali i wróciła z pakietem zawiniętym w różowy papier z suku, w jaki sprzedawcy pakują drobne zakupy. Wręczyła pakiet Sionie.

– Oto cena naszego milczenia – powiedziała Siona, podając zawiniątko Kobatowi. – Właśnie dlatego pozwoliliśmy Topriemu sprowadzić cię tu dziś w nocy.

Ixanin wziął pakiet, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

– Milczenia? – spytał.

– Obiecujemy nie informować Gildii i zgromadzenia żeńskiego, że ich oszukujecie.

– Nie oszukujemy...

– Nie bądź głupcem!

Kobat spróbował przełknąć ślinę wyschniętym gardłem. Znaczenie słów Siony było jasne: prawda czy nie, jeśli buntownicy rozpowszechnią taką opowieść, wszyscy w nią uwierzą. Tak mówił „zdrowy rozsądek”, ulubiony doradca Topriego.

Siona spojrzała na Topriego, który stał tuż za Kobatem. Nikt nie przyłączyłby się do buntu za radą zdrowego rozsądku. Czy Topri nie zdaje sobie sprawy, że jego „zdrowy rozsądek” go zdradza? Wróciła wzrokiem do Ixanina.

– Co jest w tej paczce? – spytał.

Coś w jego intonacji powiedziało Sionie, że on już wie.

– Coś, co wysłałam na Ixa. Zawieziesz to tam ode mnie. To kopie dwóch ksiąg, które zabraliśmy z cytadeli Czerwia.

Kobat wpatrywał się w pakiet. Było oczywiste, że chciałby się go pozbyć, że kontakt z buntownikami obciążył go brzemieniem bardziej zabójczym, niż się spodziewał. Rzucił Topriemu spojrzenie, które mówiło jasno: „Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?”

– Co... – Wrócił spojrzeniem do Siony i odchrząknął. – Co jest w tych księgach?

– To wy macie powiedzieć nam. Naszym zdaniem, słowa samego Czerwia zapisane szyfrem, którego nie możemy odczytać.

– Dlaczego sądzisz, że my...

– Wy, Ixanie, jesteście biegli w takich rzeczach.

– A jeżeli nam się nie uda?

Wzruszyła ramionami.

– Nie będziemy was o to obwiniać. Jeśli jednak użyjecie tych ksiąg w innym celu albo nie zawiadomicie nas o sukcesie...

– Skąd będziecie wiedzieć, że my...

– Nie będziemy polegać tylko na was. Inni też dostaną kopie. Myślę, że zgromadzenie żeńskie i Gildia bez wahania przystąpią do ich rozszyfrowywania.

Kobat włożył pakiet pod pachę.

– I myślisz, że... Czerw nie wie o waszych zamiarach... nawet o tym zebraniu?

– Myślę, że wie o wielu takich sprawach, może nawet wie, kto wziął te księgi. Mój ojciec wierzy, że on naprawdę przewiduje przyszłość.

– Twój ojciec wierzy w przekazy ustne!

– Wszyscy w tej sali w nie wierzą. W wielu ważnych sprawach przekazy ustne nie są sprzeczne z oficjalną historią.

– Dlaczego więc Czerw was nie ściga?

Wskazała zawiniątko pod pachą Kobata.

– Być może w tym jest odpowiedź.

– Albo wy i te utajnione księgi nie jesteście dla niego groźni! – Ixanin nie ukrywał gniewu. Nie lubił, gdy go zmuszano do podjęcia decyzji.

– I to być może. Powiedz, dlaczego wspomniałeś o przekazach ustnych.

Kobat raz jeszcze usłyszał groźbę w jej głosie.

– Mówią one, że Czerw nie jest zdolny do ludzkich uczuć.

– To nie ten powód – odparła. – Masz jeszcze jedną szansę.

Nayla zrobiła dwa kroki w stronę Kobata.

– Ja... przed przyjściem tu radzono mi przejrzeć przekazy ustne, bo twoi ludzie... – Wzruszył ramionami.

– Śpiewają je?

– Tak.

– Kto ci to powiedział?

Kobat przełknął ślinę i spojrzał z lękiem na Topriego, a potem znów na Sionę.

– Topri? – spytała.

– Myślałem, że to mu pomoże nas zrozumieć – rzekł Topri.

– I wyjawileś mu, jak się nazywa twój przywódca?

– On już to wiedział! – Głos Topriego znowu był piskliwy.

– Jakie części przekazów ustnych radzono ci przejrzeć? – spytała Siona Ixanina.

– Cóż... o rodzie Atrydów.

– I teraz myślisz, że wiesz, czemu ludzie przyłączają się do mnie?

– Przekazy ustne mówią wyraźnie, jak on traktuje wszystkich z rodu Atrydów! – odparł Kobat.

– Rzuca nam linę, a później nas przyciąga? – zapytała Siona zwodniczo spokojnym głosem.

– To właśnie zrobił z twoim ojcem – odrzekł Ixanin.

– A teraz pozwala bawić się w bunt mnie!

– Jestem tylko wysłannikiem – stwierdził. – Jeśli mnie zabijecie, kto przekaże wasze przesłanie?

– Albo przesłanie Czerwia – dodała Siona.

Kobat nie odpowiedział.

– Myślę, że nie rozumiesz przekazów ustnych – rzekła. – Chyba też nie za dobrze znasz Czerwia i nie pojmujesz jego przesłań.

Kobat poczerwieniał z gniewu.

– Czy coś uchroni cię przed losem całej reszty Atrydów? Przed zostaniem małą, posłuszną częstką... – Urwał nagle, zdawszy sobie sprawę, jakie słowa wymknęły mu się w złości.

– Jeszcze jedną zwerbowaną do wewnętrznego kręgu Czerwia? – spytała.
– Kimś takim jak Duncan Idaho?

Obróciła się i spojrzała na Naylę. Dwie adiutantki, Anouk i Taw, stały w gotowości, ale Nayla pozostała niewzruszona.

Siona skinęła jej głową.

Anouk i Taw, jak je pouczono, zablokowały wejście. Nayla stanęła u boku Topriego.

– Co... co się dzieje? – wykrztusił Topri.

– Chcemy wiedzieć o wszystkich istotnych sprawach, którymi może się podzielić z nami ambasador – rzekła Siona. – Chcemy poznać treść wiadomości.

Topri zaczął drżeć, a na czole Kobata pojawił się pot. Ixanin zerknął na Topriego, a potem skupił wzrok na Sionie. To jedno spojrzenie było wszakże jak odsunięcie zasłony skrywającej związek między tymi ludźmi.

Siona uśmiechnęła się. Potwierdziło to tylko to, co już wiedziała.

Kobat stał nieruchomo.

– Możesz zaczynać – ponagliła go.

– Ja... o co ci...

– Czerw dał ci prywatną wiadomość dla twoich mistrzów. Chcę ją usłyszeć.

– On... chce rozbudować swój powóz.

– Spodziewa się więc, że urośnie. Co jeszcze?

– Mamy mu posłać zapas ryduliańskiego papieru.

– W jakim celu?

– On nigdy nie wyjaśnia swoich żądań.

– To pachnie czymś, czego zabrania innym.

– Sobie nigdy niczego nie zabrania – powiedział z goryczą Kobat.

– Wytwarzaliście dla niego zakazane zabawki?

– Nic o tym nie wiem.

„Kłamie” – pomyślała Siona, ale postanowiła nie drażnić tego tematu. Wystarczyło, że wiedziała o jeszcze jednej rysie w pancerzu Czerwia.

– Kto cię zastąpi? – spytała.
– Wysyłają siostrzenicę Malkiego – odpowiedział. – Może pamiętacie...
– Pamiętamy Malkiego. Dlaczego to właśnie jego siostrzenica została nowym ambasadorem?
– Tego nie wiem. Decyzja zapadła, zanim jeszcze Bóg... Czerw mnie odwołał.

– Jak się nazywa?
– Hwi Nori.
– Zjednamy sobie tę Hwi Nori. Ciebie nie warto było. Ona może być inna.
Kiedy wracasz na Ixa?

– Zaraz po święcie, pierwszym statkiem Gildii.
– Co powiesz swoim mistrzom?
– O czym?
– O moim przesłaniu.
– Zrobią to, o co prosisz.
– Nie wątpię. Możesz odejść, ambasadorze.

Kobat w pośpiechu prawie zderzył się ze strzegącymi drzwi adiutantkami. Topri ruszył za nim, ale Nayla chwyciła go za ramię i zatrzymała. Popatrzył z lękiem na jej muskularne ciało, a potem spojrzał na Sionę, która czekała na wyjście Kobata, by przemówić.

– Wiadomość była przeznaczona nie tylko dla Ixan, ale i dla nas – powiedziała. – Czerw rzuca nam wyzwanie i podaje reguły walki.

Topri usiłował wyrwać ramię z uchwytu Nayli.

– Co ty...
– Topri! – przerwała mu Siona. – Ja też mam wiadomość do przesłania. Powiedz mojemu ojcu, żeby przekazał Czerwowi, że się zgadzamy.

Nayla puściła rękę Topriego, a ten zaczął ją rozcierać.

– Odejdź, póki możesz, i nigdy nie wracaj.
– Chyba nie podejrzewasz...
– Odejdź, powiedziałam. Nieudolny jesteś, Topri. Większość życia spędziłam w szkołach rybomównych. Nauczyły mnie wyławiać nieudolnych.

– Kobat wyjeżdża. Co w tym złego, że rozpoznał...
– On nie tylko mnie rozpoznał. Wiedział też, co zabrałam z cytadeli! Nie wiedział jednak, że wyślę ten pakiet Ixanom przez niego. Z twoich działań wynika, że Czerw chce, bym wysłała im te księgi.

Topri cofnął się ku drzwiom. Anouk i Taw otworzyły je, robiąc mu przejście.

– Nie wmawiaj mi, że to Czerw powiedział Kobatowi o mnie i o pakiecie!
– zawołała za nim Siona. – Czerw nie wysyła mętnych wiadomości. Przekaż mu to!



Mówią, że nie mam sumienia. Okłamują sami siebie. Jestem jedynym sumieniem wszech czasów. Jak wino zachowuje woń beczki, tak ja zachowuję esencję swego najdawniejszego dziedzictwa i to właśnie jest posiew sumienia. To mnie uświęca. Jestem bogiem, bo tylko ja naprawdę znam swoje dziedzictwo!

– *Wykradzione dzienniki*

Na spotkaniu ixańskich inkwizytorów w Wielkim Pałacu z kandydatką na ambasadora na dworze Pana Leto zapisano poniższe pytania i odpowiedzi:

INKWIZYTOR: Dajesz do zrozumienia, że chcesz mówić o motywach Pana Leto. Mów więc.

HWI NORI: Wasze analizy formalne nie odpowiadają na stawiane przeze mnie pytania.

INKWIZYTOR: Jakie to pytania?

HWI NORI: Zastanawiam się, co mogło skłonić Pana Leto do pogodzenia się z tą odrażającą przemianą, z ciałem czerwia, z utratą ludzkich cech.

Wy po prostu sugerujecie, że zrobił to dla władzy i dla długowieczności.

INKWIZYTOR: Czy to nie wystarczające powody?

HWI NORI: Spytajcie sami siebie, czy któryś z was zapłaciłby taką cenę za tak marną nagrodę.

INKWIZYTOR: Powiedz nam zatem w swej nieskończonej mądrości, dlaczego Pan Leto wybrał przemianę w czerwia.

HWI NORI: Czy którykolwiek z was wątpi w jego zdolność przewidywania przyszłości?

INKWIZYTOR: Aha! Czy to nie godziwa zapłata za jego przemianę?

HWI NORI: Ale już wcześniej miał ten dar, jak jego ojciec przed nim! Nie! Moim zdaniem dokonał tego desperackiego wyboru, bo zobaczył w naszej przyszłości coś, czemu tylko taka ofiara mogła zapobiec.

INKWIZYTOR: A cóż to za szczególna rzecz, którą tylko on zobaczył w naszej przyszłości?

HWI NORI: Nie wiem, ale proponuję to odkryć.

INKWIZYTOR: Czynisz tyrana bezinteresownym sługą ludzkości!

HWI NORI: Czy nie jest to cecha, którą odznacza się ród Atrydów?

INKWIZYTOR: Tak każą nam wierzyć oficjalne historie.

HWI NORI: Przekazy ustne to potwierdzają.

INKWIZYTOR: Jakie jeszcze dobre świadectwo wystawisz tyranowi Czerwiowi?

HWI NORI: *Dobre* świadectwo, mój panie?

INKWIZYTOR: Po prostu świadectwo.

HWI NORI: Mój wuj Malki często mówił, że Pan Leto jest bardzo wyrozumiały dla wybranych towarzyszy.

INKWIZYTOR: A innych śle na stracenie bez wyraźnego powodu.

HWI NORI: Myślę, że są powody, mój wuj zaś domyślał się niektórych.

INKWIZYTOR: Podziel się z nami którymś z tych domysłów.

HWI NORI: Niezręczne groźby.

INKWIZYTOR: Proszę, niezręczne groźby!

HWI NORI: On nie toleruje też bezpodstawnych pretensji. Przypomnijcie sobie stracenie historyków i zniszczenie ich prac.

INKWIZYTOR: Nie chce, by poznano prawdę!

HWI NORI: Powiedział memu wujowi, że przekłamywali przeszłość. I zważcie na to, kto zna ją lepiej od niego. Znamy przecież jego życie wewnętrzne.

INKWIZYTOR: Jaki mamy dowód, że żyją w nim wszyscy jego przodkowie?

HWI NORI: Nie będę się wdawać w ten bezcelowy spór. Powiem tylko, że wierzę w to, opierając się na wierze mego wuja i powodach jego wiary.

INKWIZYTOR: Przeczytaliśmy raporty twego wuja i interpretujemy je inaczej. Malki darzył Czerwia zbyt dużą sympatią.

HWI NORI: Mój wuj uważał go za najzręczniejszego dyplomatę w Imperium, mistrza konwersacji i eksperta we wszystkich możliwych dziedzinach.

INKWIZYTOR: Czy nie wspominał ci o jego okrucieństwie?

HWI NORI: Miał go za niezmiernie cywilizowanego.

INKWIZYTOR: Pytałem o okrucieństwo.

HWI NORI: I zdolnego do okrucieństwa, tak.

INKWIZYTOR: Twój wuj obawiał się go.

HWI NORI: Pan Leto nie jest naiwny ani niewinny. Trzeba się go bać tylko wtedy, gdy okazuje te cechy. Tak mówił wuj.

INKWIZYTOR: Owszem, to jego słowa.

HWI NORI: I jeszcze coś. Malki stwierdził: „Pan Leto zachwyca się zadziwiającym geniuszem i różnorodnością ludzkości. To mój ulubiony towarzysz”.

INKWIZYTOR: Podziel się z nami swą wielką mądrością i wytłumacz słowa twego wuja.

HWI NORI: Proszę się ze mnie nie wyśmiewać.

INKWIZYTOR: Nie wyśmiewamy się. Prosimy o oświecenie.

HWI NORI: Te słowa i wiele innych, które skierował do mnie, sugerują, że Leto szuka nowości i oryginalności, ale jest ostrożny, bo zna ich niszczycielski potencjał. Tak uważał wuj.

INKWIZYTOR: Czy chcesz coś dodać do przekonań, które dzielisz z wujem?

HWI NORI: Nie ma sensu dodawać czegokolwiek do tego, co już powiedziałam. Przykro mi, że zabrałam inkwizytorom czas.

INKWIZYTOR: Nie był to czas stracony. Zatwierdzamy cię jako ambasadora na dworze Pana Leto, Boga Imperatora znanego wszechświata.



Musicie pamiętać, że mogę mieć na żądanie każdą ekspertyzę znaną w naszej historii. Z tego zapasu energii czerpię, gdy wypowiadam się o mentalności wojny. Jeżeli nie słyszeliście jęków i krzyków rannych i umierających, nie znacie wojny. Słyszałem te krzyki tak wiele razy, że wciąż mnie prześladują. Krzyczałem i ja po bitwie. Odnosiłem rany we wszystkich epokach – rany od pięści, kija i kamienia, od nabijanej muszlami pałki i miecza z brązu, od maczugi i kuli armatniej, od strzał, rusznic laserowych i milczącego opadu radioaktywnego pyłu, od broni biologicznej, która zaczernia język i wysysa płuca, od salw z miotaczy płomieni i od cichego działania powolnych trucizn... Nie sposób tego zliczyć! Widziałem i czułem to wszystko. Tym, którzy ośmielają się pytać, dlaczego postępuję, jak postępuję, odpowiadam: Mając takie wspomnienia, nie mogę postępować inaczej. Nie jestem tchórzem, a kiedyś byłem człowiekiem.

– Wykradzione dzienniki

Była ciepła pora roku, podczas której satelitarny nadzór pogody musiał walczyć z wiatrami znad wielkich mórz. Wieczorami na obrzeżach Seriru często padał deszcz. Taka nagła ulewa zaskoczyła Moneo, gdy wracał z jednego ze swoich regularnych obchodów perymetru cytadeli. Nim dotarł do celu, zapadła noc. Rybomówna strażniczka przy południowym wejściu pomogła mu zdjąć mokry płaszcz. Była barczysta, krzepka, o kwadratowej szczęce – w typie kobiet, jaki Leto faworyzował w swej straży przybocznej.

– Tych przeklętych kontrolerów pogody powinno się nauczyć porządku – powiedziała, wręczając mu płaszcz.

Moneo skinął jej głową, ruszając do swojej kwatery. Wszystkie rybomówne wiedziały o awersji Boga Imperatora do wody, ale żadna nie dostrzegała tego, co widział Moneo.

„To Czerw nienawidzi wody – pomyślał. – Szej-hulud tęskni za Diuną”.

W swoich pokojach Moneo przebrał się i dokładnie osuszył, żeby nie budzić niechęci Czerwia i nie przerywać rozmowy z Leto o bliskiej podróży do Onn.

Oparłszy się o ścianę opadającej windy, zamknął oczy. Natychmiast opanowało go zmęczenie. Wiedział, że od wielu dni nie dosypia i że nie zanosí się na zmianę tego stanu. Zazdrościł Leto uwolnienia się od potrzeby snu. Kilka godzin połowicznego spoczynku w miesiącu najwyraźniej wystarczało Bogu Imperatorowi.

Woń krypty i szarpnięcie windy wyrwały go z drzemki. Otworzył oczy i spojrzał na Boga Imperatora w jego powozie na środku wielkiej sali. Opanował się i ruszył dobrze znaną długą drogą ku groźnej postaci. Jak się spodziewał, Leto zdawał się czuwać. To przynajmniej był dobry znak.

Leto słyszał windę i zobaczył budzącego się Moneo. Ten człowiek wyglądał na zmęczonego i było to całkiem zrozumiałe. Zbliżała się podróż do Onn z wyczerpującym przyjmowaniem obcoświatowych gości, rytuałem rybomównych, zmianą straży imperialnej, odwołaniami i mianowaniami, nowymi ambasadorami, a teraz jeszcze z kolejnym gholą Duncana Idaho, którego trzeba było wpasować w sprawnie działającą maszynę imperialną. Drobiazgi piętrzyły się, zajmując cały wolny czas Moneo, a jego wiek zaczął mu się dawać we znaki.

„Niech policzę – pomyślał Leto. – W tydzień po powrocie z Onn Moneo skończy sto osiemnaście lat”.

Ten człowiek mógłby żyć wielokrotnie dłużej, gdyby nie odmawiał zażywania przyprawy. Leto nie miał wątpliwości, dlaczego tak jest. Moneo

osiągnął ten szczególny stan, w którym człowiek tęskni za śmiercią. Zwlekał z odejściem tylko po to, by zobaczyć Sionę w służbie imperialnej, jako następną szefową Imperialnego Stowarzyszenia Rybomównych.

„Moich hurys”, jak zwykł je nazywać Malki.

Moneo wiedział, że Leto zamierza połączyć Sionę z Duncanem. Nadszedł już czas.

Zatrzymał się dwa kroki od powozu i podniósł wzrok na Leto. Coś w jego oczach przypomniało Leto wyraz twarzy pogańskiego kapłana z terrańskich czasów, przemyślną prośbę składaną w znajomej świątyni.

– Panie, spędziłeś wiele godzin, obserwując nowego Duncana Idaho – odezwał się Moneo. – Czy Tleilaxanie ingerowali w jego komórki lub psychikę?

– Jest nienaruszony.

Moneo westchnął głęboko. Nie było to radosne westchnienie.

– Jesteś przeciwny wykorzystaniu go do rozplodu?

– Wydaje mi się dziwne myśleć o nim jako o przodku i zarazem ojcu mych potomków.

– Ale on daje mi dostęp do pierwszego pokolenia krzyżówki dawnych ludzi z obecnymi produktami mojego planu eugenicznego. Siona to dwadzieścia jeden pokoleń wyjętych z takiego krzyżowania.

– Nie widzę w tym żadnego celu. Duncanowie są wolniejsi i mniej czujni niż twoje przyboczne.

– Nie chodzi mi o wyselekcjonowanego potomka, Moneo. Myślisz, że nie znam praw, które rządzą moim planem eugenicznym?

– Widziałem twoją cedułę doboru, Panie.

– Wiesz zatem, że nie tracę z oczu cech recesywnych i że je wykorzeniam. Chodzi mi o genetyczne dominanty.

– A mutacje, Panie? – W głosie marszałka dworu zabrzmiała nuta, która kazała Leto przyjrzeć mu się uważniej.

– Nie będziemy omawiać tego tematu, Moneo.

Leto widział, jak Moneo znów staje się ostrożny.

„Jak bardzo wyczulony jest na moje nastroje – pomyślał. – Ma niektóre moje zdolności, choć na podświadomym poziomie. Jego pytanie sugeruje, że podejrzewa, co osiągnęliśmy w osobie Siony”.

– Widzę jasno – powiedział, żeby to sprawdzić – że nie zrozumiałeś jeszcze, co spodziewam się osiągnąć w moim planie.

Moneo rozjaśnił się.

- Mój Pan wie, że staram się zgłębić jego zasady.
- Prawa są na dłuższą metę przejściowe, Moneo. Nie ma czegoś takiego jak rządzona zasadami twórcza aktywność.
- Ależ, Panie, sam mówisz o prawach, które rządzą tym planem.
- A co ci właśnie powiedziałem, Moneo? Starać się znaleźć prawa tworzenia to jak starać się oddzielić rozum od ciała.
- Coś się jednak zmienia, Panie. Wiem to po sobie!
- „Wie to po sobie! Drogi Moneo. Jest tak bliski...”
- Dlaczego zawsze szukasz dodatkowych wytłumaczeń, Moneo?
- Słyszałem, jak mówisz o „ewolucji transformacyjnej”, Panie. Tak głosi napis na twojej cedule doboru. Co jednak z niespodziankami...
- Moneo! Każda niespodzianka zmienia zasady!
- Panie, czy nie chodzi ci o ulepszenie gatunku ludzkiego?
- Leto spojrział na niego pośpiesznie. „Czy jeśli użyję teraz słowa klucza, zrozumie mnie? Być może”.
- Jestem drapieżnikiem, Moneo.
- Dra... – Marszałek urwał i pokręcił głową. Pomyślał, że zna znaczenie tego słowa, ale samo słowo nim wstrząsa. Czy Bóg Imperator żartuje? – Drapieżnikiem, Panie?
- Drapieżnik ulepsza gatunek.
- Jak to możliwe? Przecież nas nie nienawidzisz.
- Rozczarowujesz mnie, Moneo. Drapieżnik nie nienawidzi swej ofiary.
- Drapieżniki zabijają, Panie.
- Ja zabijam, lecz nie nienawidzę. Ofiara zaspokaja głód. Ofiara jest dobra.
- Moneo zerknął na twarz Leto pod szarym kapturem.
- „Czyżbym przeoczył zjawienie się Czerwia?” – pomyślał.
- Przestraszony, szukał objawów. Olbrzymie cielsko nie drżało, oczy nie były szkliste, bezużyteczne odnóża nie wykręcały się.
- Odczuwasz głód... czego, Panie? – odważył się zapytać.
- Ludzkości, która potrafi podejmować naprawdę długookresowe decyzje. Znasz klucz do tego?
- Mówiłeś o tym nieraz, Panie. To zdolność do zmiany poglądów.
- Zmiany, tak. A wiesz, co rozumiem przez długie okresy?
- Dla ciebie muszą to być tysiąclecia, Panie.
- Moneo, nawet moje tysiąclecia to nędzny błysk wobec nieskończoności.
- Twoja perspektywa musi się różnić od mojej, Panie.

– Z pewnego punktu widzenia każdy skończony okres jest krótki, Moneo.
– Nie ma więc żadnych zasad, Panie? – W głosie Moneo była nuta hysterii.

Leto uśmiechnął się, by złagodzić napięcie.

– Może poza jedną. Decyzje krótkoterminowe często zawodzą w długich okresach.

Moneo pokręcił głową z rozczarowaniem.

– Ale twoja perspektywa, Panie, jest...

– Czas upływa dla każdego skończonego obserwatora. Nie ma systemów zamkniętych. Nawet ja jestem tylko rozciągniętą, lecz skończoną matrycą.

Moneo odwrócił wzrok od twarzy Leto i spojrzał w głąb mauzoleum. „Pewnego dnia tu spoczne. Złoty Szlak będzie biegł dalej, ale beze mnie”. To nie miało oczywiście znaczenia. Tylko Złoty Szlak, który mógł wyczuć jako nieprzerwaną ciągłość, tylko on się liczył. Spojrzał znów na Leto, ale nie w jego błękitne w błękicie oczy. Czy w tym olbrzymim ciełe naprawdę czai się drapieżnik?

– Nie rozumiesz funkcji, jaką pełni ten drapieżnik – rzekł Leto.

Słowa te były dla Moneo wstrząsem, bo pachniały czytaniem w jego myślach. Spojrzał Leto w oczy.

– Rozum podpowiada ci, że pewnego dnia i mnie spotka jakaś forma śmierci – powiedział Leto. – Nie wierzysz w to jednak.

– Jak mogę wierzyć w coś, czego nie zobaczę?

Moneo nigdy nie czuł się bardziej samotny i przestraszony. Do czego zmierza Bóg Imperator? „Zjechałem tu, by omówić sprawy podróży i poznać jego zamiary co do Siony. Czy się ze mną bawi?”

– Pomówmy o Sionie – powiedział Leto.

„Znowu czyta w myślach!”

– Kiedy poddasz ją próbie, Panie? – Długo czekał z tym pytaniem, ale gdy je zadał, zdjął go lęk.

– Wkrótce.

– Wybacz, Panie, ale z pewnością wiesz, jak bardzo lękam się o moje jedyne dziecko.

– Inni przeżyli tę próbę, Moneo. Choćby ty.

Marszałek dworu przełknął ślinę, wspominając, jak go uczulono na Złoty Szlak.

– Matka mnie przygotowała. Siona nie ma matki.

– Ma rybomówne. Ma ciebie.

– Wypadki się zdarzają, Panie.

Do oczu Moneo napłynęły łzy.

Leto odwrócił od niego wzrok. „Jest rozdarty między lojalnością wobec mnie a miłością do Siony. Jaka wzruszająca jest ta troska o potomstwo. Czy on nie widzi, że cała ludzkość to *moje* jedyne dziecko?”

– Masz rację – rzekł, skupiając się ponownie na Moneo – że wypadki zdarzają się nawet w moim wszechświecie. Niczego cię to nie uczy?

– Panie, czy tym razem nie mógłbyś...

– Moneo! Z pewnością nie chcesz, bym przekazał władzę słabemu zarządcy?

Mężczyzna cofnął się o krok.

– Nie, Panie. Oczywiście, że nie.

– Ufaj więc w siłę Siony.

Moneo przygarbił się.

– Zrobię, co powinienem.

– Siona musi zostać przyuczona do obowiązków Atrydki.

– Oczywiście, Panie.

– Czy to nie nasza powinność?

– Nie zaprzeczam, Panie. Kiedy ją poznasz z nowym Duncanem?

– Najpierw odbędzie się próba.

Moneo wbił wzrok w chłodną posadzkę krypty.

„Często tam patrzy – pomyślał Leto. – Co tam widzi? Ślady mego powozu sprzed tysięcy lat. Ach, nie. On patrzy w głąb siebie, w to królestwo skarbów i tajemnic, do którego spodziewa się wkrótce wkroczyć”.

Raz jeszcze Moneo podniósł wzrok na Leto.

– Mam nadzieję, że polubi towarzystwo Duncana, Panie.

– Możesz być tego pewny. Tleilaxanie przekazali mi go w nienaruszonej postaci.

– To pocieszające.

– Z pewnością wiesz, że jego genotyp czyni go pociągającym dla kobiet.

– Zauważyłem to, Panie.

– Jest coś w tych łagodnych, bystrych oczach, ostrych rysach i czarnych, kręconych włosach, co zmiękcza kobiecą psychikę.

– Jest jak mówisz, Panie.

– Wiesz, że przebywa teraz z rybomównymi.

– Powiadomiono mnie, Panie.

Leto uśmiechnął się. Oczywiście, że go powiadomiono.

– Wkrótce przyprowadzą go do mnie na pierwsze spotkanie z Bogiem Imperatorem.

– Sprawdziłem osobiście salę posłuchań, Panie. Wszystko gotowe.

– Czasami myślę, że chcesz osłabić mą pozycję, Moneo. Zostaw mi choć parę drobiazgów.

Marszałek dworu zdołał ukryć lęk. Skłonił się i wycofał.

– Tak, Panie, są jednak rzeczy, które muszę zrobić.

Odwrócił się i pospieszył do wyjścia. Dopiero w windzie zdał sobie sprawę, że odszedł bez zezwolenia.

„Musi wiedzieć, jak jestem zmęczony. Wybaczy mi to”.



Twój Pan doskonale wie, co masz w sercu. Twoja dusza występuje dziś jako sędzia przeciw tobie. Ja nie potrzebuję świadków. Nie słuchasz swojej duszy, tylko swego gniewu i wściekłości.

– Pan Leto do penitenta, z przekazów ustnych

Poniższa ocena stanu Imperium w roku 3508 panowania Pana Leto pochodzi z *Fragmentu z Welbecku*. Oryginał znajduje się w archiwach kapituły zgromadzenia żeńskiego Bene Gesserit. Analiza porównawcza wykazuje, że skreślenia nie ujmują dokładności temu sprawozdaniu.

W imię naszego świętego zgromadzenia i jego nierozdzielnej wspólnoty siostr niniejszy raport zostaje uznany za rzetelny i godny włączenia do kronik kapituły.

Siostry Chenoeh i Tawsuoko wróciły bezpiecznie z Arrakis i potwierdzają podejrzewaną od dawna egzekucję dziewięciu historyków, którzy zniknęli w cytadeli Pana Leto w roku 2116 jego panowania. Siostry donoszą, że całą dziewiątkę pozbawiono przytomności, a następnie spalono na stosach z ich opublikowanych dzieł. Odpowiada to dokładnie opowieściom krążącym w owym okresie po Imperium. Uważa się, że wyjaśnienia z tamtych czasów pochodzą od samego Pana Leto.

Siostry Chenoeh i Tawsuoko przywiozły spisana ręcznie relację naocznego świadka, która mówi, że pytany przez innych historyków o ich kolegów, Pan Leto odpowiedział:

„Zostali straceni, ponieważ kłamali, roszcząc sobie pretensje do prawdy. Nie bójcie się, że mój gniew spadnie na was z powodu waszych niewinnych błędów. Nie pociąga mnie zbyt wiele kreowanie męczenników. Męczennicy powodują zwykle wtargnięcie dramatycznych wydarzeń w ludzkie życie. Dramat zaś jest jednym z tych celów, przeciw którym kieruję swą drapieżnością. Drżycie tylko wtedy, gdy tworzycie fałszywe opisy i dumnie przy nich obstajecie. Odejdźcie teraz i nie mówcie już o tym”.

Specyficzne oznaki w tekście pozwalają stwierdzić, że autorem tego świadectwa był Ikonikr, marszałek dworu Pana Leto w roku 2116 rządów Boga Imperatora.

Zwracamy uwagę na to, jak Pan Leto używa słowa „drapieżność”. Jest to niezmiernie znaczące w świetle teorii Matki Wielebnej Syaksy, według której Bóg Imperator postrzega siebie jako drapieżnika w *dosłownym* znaczeniu tego słowa.

Siostrze Chenoeł pozwolono towarzyszyć rybomównym w orszaku Pana Leto podczas jednej z jego nieczęstych podróży. W drodze poproszono ją, by podeszła do królewskiego powozu i porozmawiała z samym Panem Leto. Oto jej sprawozdanie z tej rozmowy:

„Tu, na Królewskim Trakcie, czuję się czasem, jakbym stał na murach obronnych chroniących mnie przed najeźdźcami” – rzekł Pan Leto.

„Nikt na ciebie tu nie napada, Panie” – odparła siostra Chenoeł.

„Wy, Bene Gesserit, napadacie na mnie ze wszech stron – odparł. – Nawet ty usiłujesz teraz przekupić moje rybomówne”.

Siostra Chenoeł mówi, że przygotowała się wówczas na śmierć, ale Bóg Imperator zatrzymał po prostu powóz i spojrzał na swój orszak. Siostra zapewnia, że świta zatrzymała się natychmiast i czekała z dobrze wyszkoloną cierpliwością i w pełnym szacunku oddaleniu.

„Mam w sobie cały tłum i oni mówią mi wszystko. Nie zaprzeczaj temu oskarżeniu” – powiedział wtedy Pan Leto.

„Nie zaprzeczam”.

Pan Leto spojrzał na nią.

„Nie obawiaj się o siebie – rzekł. – Życzę sobie, żebyś przekazała moje słowa waszej kapitule”.

Siostra Chenoeł mówi, że zrozumiała wówczas, iż Pan Leto wie wszystko o niej, o jej misji, o jej szkoleniu w zapamiętywaniu rozmów.

„Był jak Matka Wielebna – powiedziała. – Nie mogłam niczego przed nim ukryć”.

„Spójrz na moje Świąteczne Miasto i powiedz mi, co widzisz” – polecił jej.

Siostra Chenoeł popatrzyła na Onn.

„Widzę w oddali miasto – powiedziała. – Jest piękne w tym porannym świetle. Widzę las po prawej. Tyle w nim zieleni, że mogłabym spędzić cały dzień na jej opisywaniu. Na lewo i dookoła miasta są domy i ogrody twoich sług. Jedne z wyglądu bardzo bogate, a inne bardzo biedne”.

„Zaśmieciliśmy ten krajobraz! Drzewa to śmieci. Domy, ogrody... W takim krajobrazie nie można się cieszyć z nowych tajemnic” – rzekł Pan Leto.

„A ty, Panie, naprawdę szukasz tajemnic?” – zapytała siostra Chenoeł, ośmielona zapewnieniem Pana Leto.

„W takim krajobrazie nie ma prawdziwej swobody ducha – odrzekł. – Czy tego nie widzisz? Nie ma tu otwartego wszechświata, z którym można się połączyć. Wszystko zamyka się przed nim... drzwi, klamki i zamki”.

„Czy ludzkość nie potrzebuje już odosobnienia i ochrony?”

„Kiedy wrócisz, powiedz swoim siostrom, że odnowię widok na świat – odparł Pan Leto. – Taki widok jak ten zmusza do szukania swobody wewnętrznej. Większość ludzi nie ma dość siły, żeby znaleźć swobodę w sobie”.

„Przekażę wiernie twoje słowa, Panie” – powiedziała siostra Chenoeł.

„Dopilnuj tego. Powiedz też swym siostrom, że Bene Gesserit powinny lepiej od innych znać niebezpieczeństwa planu selektywnego chowu i dążenia do określonego celu genetycznego”.

Siostra Chenoeł uważa, iż było to wyraźne nawiązanie do ojca Pana Leto, Paula Atrydy. Należy tu wspomnieć, że nasz plan eugeniczny stworzył Kwisatz Haderach o jedno pokolenie za wcześniej. Stawszy się Muad'Dibem, przywódcą Fremenów, Paul Atryda wymknął nam się spod kontroli. Nie ma wątpliwości, że był mężczyzną obdarzonym mocami Matki Wielebnej i innymi jeszcze, za co ludzkość wciąż drogo płaci. Jak powiedział Pan Leto: „Dostałyście coś, czego się nie spodziewałyście. Wyciągnęłyście mnie, dziką kartę. Ja zaś uzyskałem Sionę”.

Pan Leto odmówił rozwinięcia owej wzmianki o córce swego marszałka dworu, Moneo. W tej sprawie jest prowadzone dochodzenie.

W innych sprawach mających znaczenie dla kapituły nasze obserwatorki dostarczyły następujących informacji:

RYBOMÓWNE

Żeńskie legiony Pana Leto wybrały przedstawicielki mające uczestniczyć w Świącie Dziesięciolecia na Arrakis. Wezmą w nim udział po trzy reprezentantki każdego planetarnego garnizonu. (Patrz lista wybranek w załączeniu.) Jak zwykle nie będą w nim uczestniczyć dorośli mężczyźni, nawet małżonkowie oficerów rybomównych. Lista tych małżonków zmieniła się tylko nieznacznie w opisywanym okresie. Włączyliśmy nowe nazwiska wraz z dostępnymi danymi genealogicznymi. Należy zauważyć, że można wskazać jedynie dwa nazwiska potomków gholi Duncana Idaho. Nie potrafimy dodać niczego nowego do naszych spekulacji dotyczących wykorzystania przez Pana Leto tych ghol w jego planie eugenicznym.

Żadna z naszych prób stworzenia w tym okresie aliansu rybomównych z Bene Gesserit nie powiodła się. Pan Leto nadal podnosi liczebność niektórych garnizonów. Nadal też kładzie nacisk na alternatywne misje rybomównych, pomniejszając ich znaczenie militarne. W rezultacie, jak oczekiwano, wzrosły podziw i szacunek oraz *wdzięczność* za obecność garnizonów rybomównych. (Patrz załączony spis powiększonych garnizonów. Nota redaktorki: Jedyne stałe garnizony w tym spisie rozmieszczone są na planetach Bene Gesserit, Ixan i Tleilaxan. Nie zwiększono nadzoru nad Gildią Kosmiczną.)

KAPŁANAT

Oprócz kilku naturalnych zgonów i przesunięć, których spis został dołączony, nie zaszły żadne istotne zmiany. Małżonkowie i oficerowie oddelegowani do pełnienia obowiązków kapłańskich pozostają nieliczni, a ich władza ograniczona jest koniecznością stałych konsultacji z Arrakis przed podjęciem ważniejszych działań. W opinii Matki Wielebnej Syaksy i innych religijny charakter rybomównych powoli zanika.

PLAN EUGENICZNY

Jeśli chodzi o stałe śledzenie planu eugenicznego Pana Leto, poza niewyjaśnioną wzmianką o Sionie i o naszym niepowodzeniu z jego ojcem nie mamy nic znaczącego do dodania. Istnieją dowody pewnej przypadkowości w tym planie, wzmocnione oświadczeniem Pana Leto o „celu genetycznym”, nie jesteśmy jednak pewne, czy był szczery z siostrą Chenoeh. Zwracamy uwagę na wiele wypadków, kiedy to kłamał albo nagle zmieniał swe postępowanie.

Pan Leto nadal zabrania nam uczestniczenia w swym planie genetycznym. Jego nadzorczyni z garnizonu rybomównych niewzruszenie „wykorzeniają” wśród nas niepożądane z ich punktu widzenia narodziny. Tylko dzięki najsurowszej kontroli udało nam się utrzymać poziom Matek Wielebnych. Nasze protesty pozostają bez odpowiedzi. Zapytany wprost przez siostrę Chenoeh, Pan Leto rzekł: „Bądźcie wdzięczne za to, co macie”.

Odnotowujemy starannie to ostrzeżenie. Przekazałyśmy Panu Leto list z serdecznym podziękowaniem.

EKONOMIKA

Kapituła zachowuje wypłacalność, nie można jednak złagodzić ograniczeń. Co więcej, w następnym okresie sprawozdawczym zostaną wprowadzone nowe środki zapobiegawcze. Oznacza to zmniejszenie rytualnego zużycia melanżu i wzrost cen naszych usług. Przewidujemy podwojenie opłat za szkolenie kobiet z wysokich rodów w ciągu czterech kolejnych okresów sprawozdawczych. Niniejszym zobowiązuje się was do przygotowania argumentów w obronie tej akcji.

Pan Leto odrzucił naszą prośbę o zwiększenie przydziału melanżu. Nie podał żadnego powodu.

Nasze stosunki z KHOAM nadal opierają się na zdrowych podstawach. KHOAM założyła w Gwiezdnym Klejnocie regionalny kartel, z którego uzyskujemy znaczne wpływy za usługi doradcze i negocjacyjne. Bieżące wpływy powinny pokryć koszt spisanych na straty inwestycji na Giedi Prime.

WYSOKIE RODY

W opisywanym okresie trzydzieści jeden wysokich rodów spotkała ekonomiczna katastrofa. Tylko sześć z nich zdołało utrzymać status rodów niskich. (Patrz spis w załączeniu.) Wydaje się, że to kontynuacja ogólnej tendencji odnotowywanej przez ostatnie tysiąclecie. Wysokie niegdyś rody odchodzą stopniowo w cień. Trzeba zauważyć, że tych sześć rodów, które uniknęły upadku, inwestowało w KHOAM, a pięć z nich związanych było z projektem w Gwiezdnym Klejnocie. Jedyne wyjątek miał zdywersyfikowany portfel, z inwestowaniem w futra wielorybie z Kaladanu włącznie. (W omawianym czasie nasze zasoby ryżu pundi wzrosły prawie dwukrotnie kosztem udziału w futrach wielorybich. Powody tej decyzji zostaną rozpatrzone w następnym okresie.)

ŻYCIE RODZINNE

Jak zauważyły nasze obserwatorki w ciągu dwóch poprzednich tysiącleci, proces ujednolicania życia rodzinnego nie słabnie. Wyjątek stanowią, czego należało się spodziewać, Gildia Kosmiczna, rybomówne, królewscy dworzanie, zmiennokształtni maskaradnicy z Tleilaxa (którzy wciąż są bezpłodni, mimo wszelkich usiłowań zmiany tego stanu rzeczy) i oczywiście my same.

Trzeba zauważyć, że warunki rodzinne są coraz bardziej podobne, niezależnie od planety zamieszkania, i nie można tego przypisać przypadkowi. Widzimy w tym część wielkiego planu Pana Leto. Nawet najbiedniejsze rodziny dobrze się odżywiają, ale warunki życia codziennego stają się coraz bardziej statyczne.

Przypominam o oświadczeniu Pana Leto, które przywołano tu prawie osiem pokoleń temu: „Jestem jedynym widowiskiem, jakie jeszcze pozostało w Imperium”.

Matka Wielebna Syaksa przedstawiła teoretyczne wyjaśnienie tej tendencji rozwojowej. Jej teorię zaczyna podzielać wiele z nas. MW Syaksa przypisuje Panu Leto motyw oparty na pojęciu despotyzmu hydraulicznego. Jak wiadomo, despotyzm hydrauliczny jest możliwy tylko wtedy, gdy substancje lub warunki, od których zależy życie, mogą być kontrolowane przez względnie małą i scentralizowaną siłę. Idea despotyzmu hydraulicznego zrodziła się, kiedy dostawy wody z ujęć powodowały wzrost lokalnych populacji do pożądanego stopnia absolutnego uzależnienia. Gdy odcinano dopływ wody, ludzie masowo ginęli.

Ów fenomen powtarzał się wiele razy w historii ludzkości, nie tylko z wodą i produktami ziem uprawnych, lecz także z paliwami węglowodorowymi, jak ropa naftowa i węgiel, których dystrybucja mogła być kontrolowana poprzez rurociągi i inne sieci. W pewnym okresie, gdy energię elektryczną przekazywano za pomocą skomplikowanych labiryntów linii napowietrznych, nawet to źródło energii pełniło funkcję substancji napędowej despotyzmu hydraulicznego.

MW Syaksa przypuszcza, że Pan Leto tworzy Imperium jeszcze bardziej niż dotąd uzależnione od melanżu. Warto zauważyć, że proces starzenia się można nazwać chorobą, na którą melanż jest specyficznym lekarstwem, chociaż jej nie leczy. MW Syaksa sądzi nawet, że Pan Leto może się posunąć do stworzenia jakiejś nowej choroby, którą jedynie melanż pozwoli

opanować. Choć może się to wydawać naciągane, nie sposób tego wykluczyć. Zdarzały się dziwniejsze rzeczy – nie powinniśmy zapominać o roli syfilisu we wczesnej historii ludzkości.

TRANSPORT/GILDIA

Trójstopniowy system transportu specyficzny niegdyś dla Arrakis (to jest pieszo, z ciężkimi ładunkami na paletach unoszonych polami dryfowymi; w powietrzu, za pośrednictwem ornitopterów; i międzyplanetarnie, dzięki transportowcom Gildii) zaczyna dominować na coraz większej liczbie planet Imperium. Głównym wyjątkiem jest Ix.

Przypisujemy to po części przechodzeniu planet do siedzącego i statycznego trybu życia, po części zaś jest to próba kopiowania wzoru Arrakis. Powszechna awersja do wszystkiego, co ixańskie, także odgrywa tu niemałą rolę. Prawdą jest też, że rybomówne popierają ten model, by oszczędzić sobie pracy przy utrzymywaniu porządku.

Rola Gildii w owej tendencji związana jest z całkowitą zależnością jej nawigatorów od melanżu. Śledzimy czujnie wspólne wysiłki Gildii i Ixa przy budowie mechanicznego substytutu daru nawigatorów. Bez melanżu czy innych środków pozwalających wytyczyć kurs liniowca każda nadświatlna podróż Gildii grozi katastrofą. Choć nie wierzymy w powodzenie projektu Gildii i Ixa, zawsze istnieje taka możliwość, będziemy więc o nim donosić.

BÓG IMPERATOR

Poza niewielkim zwiększeniem rozmiarów nie zauważyliśmy zmian w wyglądzie Pana Leto. Pogłoski o jego awersji do wody nie zostały potwierdzone, chociaż odgradzanie się wodą od prawdziwych czerw z Diuny jest dobrze udokumentowane w naszych archiwach, podobnie jak „śmierć wodna” – sposób, w jaki Fremeni zabijali małe czerwie, by uzyskać esencję przyprawową używaną w orgiach.

Istnieją wystarczające dowody na to, że Pan Leto zwiększył nadzór nad Ixem, być może za sprawą owego wspólnego projektu. Z pewnością powodzenie tegoż projektu ograniczyłoby jego władzę nad Imperium.

Nadal prowadzi interesy z Ixem, zamawiając części zamienne do swego królewskiego powozu.

Tleilaxanie wysłali Panu Leto nowego gholę Duncana Idaho. Jest to ostateczne potwierdzenie śmierci poprzedniego gholi, chociaż jej

okoliczności nie są znane. Zwracamy waszą uwagę na pogłoski, że Pan Leto sam zabił niektórych swoich gholi.

Nasilają się oznaki wskazujące, że Pan Leto używa komputerów. Jeśli rzeczywiście łamie własne zakazy i ograniczenia Dżihadu Butleriańskiego, zdobycie dowodu zwiększyłoby nasz wpływ na niego, być może nawet do stopnia realizacji wspólnych przedsięwzięć, o czym od dawna myślimy. Suwerenna kontrola nad naszym planem eugenicznym jest nadal naszą główną troską. Będziemy kontynuować dochodzenie, jednak z następującym zastrzeżeniem:

Tak jak we wszystkich poprzednich raportach musimy brać pod uwagę wizję Pana Leto. Bez wątpienia dar przewidywania przyszłych zdarzeń i zdolności prorocze, znacznie większe niż u przodków, pozostają ostoją jego władzy politycznej.

Liczymy się z tym!

Jesteśmy przekonane, że on wie z góry o każdym działaniu, jakie podejmujemy. Kierujemy się więc zasadą, by nie zagrażać świadomie jego osobie ani jego wielkiemu planowi, na ile możemy go pojąć. Będziemy nadal apelować do niego jak dotąd: „Powiedz nam, czy ci zagrażamy, abyśmy mogły przestać”. Oraz: „Opowiedz nam o swoim wielkim planie, abyśmy mogły ci pomóc”.

W omawianym okresie nie udzielił żadnej nowej odpowiedzi na te apele.

IXANIE

Jeśli nie liczyć wspólnego projektu Gildii i Ixa, niewiele jest do powiedzenia. Ix wysłała na dwór Pana Leto nowego ambasadora, niejaką Hwi Nori, siostrzenicę Malkiego, o którym mówiono, że był serdecznym przyjacielem Boga Imperatora. Powód wyboru nie jest znany, jednak istnieją poszlaki wskazujące, że Hwi Nori została wychowana w określonym celu, zapewne po to, by działać jako ixańska reprezentantka na dworze. Mamy powody sądzić, że także Malkiego zaprojektowano genetycznie do tego zadania.

Kontynuujemy dochodzenie.

MUZEALNI FREMENI

Te zdegenerowane resztki dawnych dumnych wojowników są dla nas nadal poważnym źródłem informacji o sytuacji na Arrakis. Stanowią główną

pozycję w budżecie na następny okres sprawozdawczy, ponieważ ich oczekiwania finansowe rosną, my zaś nie ośmielamy się ich zrażać.

Interesujące jest to, że chociaż ich życie nie przypomina życia ich przodków, doskonale odgrywają fremeńskie rytuały i naśladują fremeńskie obyczaje. Przypisujemy to wpływowi rybomównych na wykształcenie Fremenów.

TLEILAXANIE

Po nowym gholi Duncana Idaho nie spodziewamy się żadnych niespodzianek. Tleilaxanie pamiętają srogą nauczkę, jaką dał im Pan Leto po ich jedynej próbie zmiany komórek i psychiki oryginału.

Ostatni wysłannik z Tleilaxa ponowił próbę wciągnięcia nas do przedsięwzięcia, którego oficjalnym celem ma być stworzenie czysto kobiecego społeczeństwa, niepotrzebującego mężczyzn. Z oczywistych powodów, w tym z nieufności do wszystkiego, co tleilaxańskie, jak zwykle uprzejmie odmówiliśmy. Nasza delegacja na Święto Dziesięciolecia Pana Leto przedstawi mu szczegółowy raport.

Pozostajemy w pokorze
Matki Wielebne
Syaksa, Itob, Mamulut, Eknekosk i Akeli



Chociaż może się to wydawać dziwne, wielkie zmagania, takie jak te, które na waszych oczach wyłaniają się z moich dzienników, nie zawsze są widoczne dla ich uczestników. Wiele zależy od tego, o czym ludzie marzą w głębi serca. Zawsze troszczyłem się tak samo o kształtowanie marzeń jak o kształtowanie działań. Między wierszami moich dzienników toczy się walka z postrzeganiem ludzkości przez nią samą – zacięte zmagania na polu, na którym motywy z naszej najmroczniejszej przeszłości mogą wpływać z nieświadomości i stawać się zdarzeniami, które nie tylko musimy przeżyć, ale z którymi musimy się uporać. Ten potwór o głowach hydry zawsze atakuje waszą słabą stronę. Modlę się więc, żebyście po przebyciu mojej części Złotego Szlaku nie byli dłużej niewinnymi dziećmi, tańczącymi w takt niesłyszalnej dla nich muzyki.

– Wykradzione dzienniki

Nayla szła równym, powolnym krokiem po spiralnych schodach do komnaty posłuchań Boga Imperatora na szczycie południowej wieży cytadeli. Ilekroć mijała południowo-zachodnią ćwiartkę wieży, jej drogę przecinały promienie złocistego światła padające z wąskich okien. Wiedziała, że za murem kryje się ixańska winda na tyle duża, by przewieźć jej pana do górnej komnaty, tym bardziej więc mogąca pomieścić jej znacznie mniejsze ciało, nie miała jednak nic przeciw temu, że wymagano od niej korzystania ze schodów.

Wpadający przez okna wietrzyk przyniósł jej zapach krzemienia. Tak pachniał unoszony przezeń piasek. Nisko stojące słońce zapalało rubinowe błyski w ziarnkach czerwonych minerałów na wewnętrznej ścianie. Od czasu do czasu Nayla spoglądała na wydmy, ale ani razu nie przystanęła, by podziwiać to, co widziała dookoła.

„Jesteś heroicznie cierpliwa, Naylo” – powiedział jej kiedyś Pan.

Wspomnienie tych słów rozgrzało serce Nayli.

Leto śledził wędrówkę Nayli po długich, wąskich schodach oplatających ixański szyb. Jej ruchy przekazywało wyprodukowane na Ixie urządzenie wyświetlające przed jego oczami zmniejszony trójwymiarowy obraz zbliżającej się strażniczki.

„Z jaką precyzją się porusza” – pomyślał. Wiedział, że precyzja ta bierze się z jej umiłowania prostoty.

Miała na sobie niebieski strój rybomównych i pelerynę bez jastrzębia na piersi. Gdy minęła posterunek straży u stóp wieży, zdjęła cybusowy kaptur, który kazał jej nosić podczas tych wizyt. Jej zwaliste, muskularne ciało było takie samo jak ciała wielu innych strażniczek, ale twarz nie przypominała żadnej innej w całej pamięci Leto. Była prawie kwadratowa, o ustach tak szerokich, że zdawały się sięgać za policzki. Złudzenie to wywoływały głębokie zmarszczki w ich kącikach. Oczy miała bladozielone, a krótko przycięte włosy koloru starej kości słoniowej. Jej czoło – prawie płaskie, z jasnymi brwiami, których można było nie zauważyć, patrząc w zniewalające oczy – tylko wzmacniało ostre rysy. Prosty nos kończył się blisko cienkich warg.

Kiedy Nayla mówiła, jej wielkie szczęki otwierały się i zamykały niczym u jakiegoś pierwotnego zwierzęcia. Jej siła znana była tylko nielicznym poza korpusem rybomównych, ale w nim była legendarna. Leto widział kiedyś, jak jedną ręką podniosła stukilogramowego mężczyznę. Przerzucił ją na

Arrakis bez pośrednictwa Moneo, marszałek dworu wiedział jednak, że Leto wykorzystuje jego rybomówne jako tajne agentki.

Leto odwrócił wzrok od wchodzącej i spojrzał przez szerokie okno na pustynię na południu. Kolory odległych skał tańczyły w jego świadomości: brązowy, złocisty, bursztynowy. Różowa linia na dalekim urwisku miała odcień piór czapli białej. Czaple istniały już wyłącznie w pamięci Leto, mógł jednak umieścić tę pastelową wstążkę na tle wymarłego ptaka, jakby ten właśnie przelatywał obok.

Wiedział, że wchodzenie musi być męczące nawet dla Nayli. Przystanęła w końcu, dwa kroki poza oznaczeniem trzech czwartych drogi, tam gdzie zawsze. To także było typowe dla jej precyzji, jednego z powodów, dla których sprowadził ją z odległego garnizonu na Sepreku.

Arrakański jastrząb przeleciał obok okna, zaledwie o kilka długości skrzydeł od muru wieży. Uwaga ptaka skupiona była na cieniach u podstawy cytadeli. Leto wiedział, że czasem pojawiają się tam małe zwierzęta. Na horyzoncie, poza torem lotu jastrzębia, rysowała się linia chmur.

Jakie to było dziwne dla starych Fremenów w nim: chmury na Arrakis, deszcz i otwarta woda.

Leto przypomniał swoim wewnętrznym głosom:

– *Poza tą ostatnią pustynią, moim Serirem, przekształcenie Diuny w zieloną Arrakis postępowało nieubłagane od pierwszych dni mego panowania.*

Pomyślał, że wpływ geografii na historię prawie nie został zauważony. Ludzie skłonni byli raczej dostrzegać wpływ historii na geografę.

„Do kogo należy koryto tej rzeki? Ta zielona dolina? Ten półwysep? Ta planeta?”

„Do nikogo”.

Nayla podjęła wędrówkę. Wzrok miała utkwiony w schodach, które musiała jeszcze przebyć. Myśli Leto skupiły się na niej.

„Pod wieloma względami jest najlepszą asystentką, jaką kiedykolwiek miałem. Jestem jej Bogiem. Wierzy we mnie bez zastrzeżeń. Nawet kiedy w żartach atakuję jej wiarę, przyjmuje to jako próbę. Wie, że przejdzie każdą”.

Kiedy posłał ją do buntowników i kazał we wszystkim słuchać Siony, nie zadawała pytań. Gdy miała wątpliwości, i nawet ubierała te wątpliwości w słowa, jej myśli wystarczały, aby przywrócić wiarę... tak przynajmniej

było dotąd. Ostatnie doniesienia wskazywały jednak, że Nayla potrzebuje Świętej Obecności, by odbudować swą wewnętrzną siłę.

Leto przypomniał sobie pierwszą rozmowę z Naylą, kobietą drżącą z chęci przypodobania się mu.

– Nawet jeżeli Siona każe ci mnie zabić, masz być posłuszna. Ona nie może się dowiedzieć, że mi służysz.

– Nikt nie zdoła cię zabić, Panie.

– Musisz jednak słuchać Siony.

– Oczywiście, Panie. To twój rozkaz.

– Musisz jej słuchać we wszystkim.

– Będę, Panie.

„Jeszcze jedna próba. Nayla nie pyta, po co te próby. Traktuje je jak ukąszenia pcheł. Jej Pan każe? Nayla jest posłuszna. Nie mogę pozwolić na zmianę tej relacji”.

Leto pomyślał, że za dawnych lat byłaby wspaniałą Szadout. To był jeden z powodów, dla których dał Nayli krysnóż, prawdziwy krysnóż zachowany w siczy Tabr. Należał do jednej z żon Stilgara. Nayla nosiła go w ukrytej pod ubraniem pochwie, bardziej jako talizman niż broń. Wręczył go jej z zachowaniem pierwotnego rytuału... i zdziwił się, że ta ceremonia obudziła w nim emocje, o których myślał, że zostały na zawsze pogrzebane.

– Oto jest ząb Szej-huluda. – Wyciągnął do niej krysnóż w swych srebrnoskórych dłoniach. – Weź go, a staniesz się częścią przeszłości i przyszłości zarazem. Splam go, a przeszłość nie da ci przyszłości.

Nayla przyjęła ostrze, a potem pochwę.

– Utocz krwi z palca – polecił.

Zrobiła to.

– Schowaj ostrze. Nigdy tego nie rób bez skrwawienia go.

I znów wykonała polecenie.

Leto ze smutkiem myślał o tej dawnej ceremonii, patrząc na trójwymiarowy wizerunek zbliżającej się Nayli. Jeśli ostrze nie było zahartowane na sposób dawnych Fremenów, stawało się kruche i bezużyteczne. Zachowa swój kształt do końca życia Nayli, ale niewiele dłużej.

„Odrzuciłem okruch przeszłości”.

Jakie to smutne, że dawna Szadout stała się rybomówną. I że prawdziwego krysnoża użyto, by mocniej związać sługę z jej panem.

Wiedział, że niektórzy uważają jego rybomówne za prawdziwe kapłanki, za odpowiedź Leto na zgromadzenie Bene Gesserit.

„On tworzy nową religię” – mówiły Bene Gesserit.

„Nonsens. Ja nie stworzyłem religii. Ja *jestem* religią”.

Nayla weszła do sanktuarium wieży i stanęła trzy kroki od powozu Leto z opuszczonym uniżeniem wzrokiem.

– Spójrz na mnie, kobieto! – rzekł Leto, wciąż zatopiony we wspomnieniach.

Usłuchała.

– Stworzyłem świętą obrzydliwość! – powiedział. – Ta religia zbudowana wokół mojej osoby budzi we mnie obrzydzenie!

– Tak, Panie.

Zielone oczy Nayli nad złocistymi poduszkami policzków patrzyły na niego bez pytania, bez zrozumienia, bez potrzeby odpowiedzi.

„Gdybym kazał jej policzyć gwiazdy, poszłaby i spróbowała to zrobić. Myśli, że poddaję ją nowej próbie. Naprawdę mogłaby mnie rozgniewać”.

– Ta przekłeta religia musi się skończyć wraz ze mną! – wykrzyknął Leto.

– Czemu miałbym ją narzucać mojemu ludowi? Religie rozpadają się od środka, tak samo jak imperia i jednostki.

– Tak, Panie.

– Religie tworzą radykałów i fanatyków, takich jak ty.

– Dziękuję Ci, Panie.

Krótkotrwała pseudofuria zapadła w głębiny jego wspomnień. Nic nie mogło naruszyć twardej powierzchni wiary Nayli.

– Topri złożył mi raport przez Moneo. Powiedz mi coś o tym Toprim.

– Topri to robak.

– Czyż nie tak nazywacie *mnie* między buntownikami?

– Jestem posłuszna we wszystkim, więc nie zaprzeczę.

„*Touché!*”

– Nie warto zatem zajmować się Toprim? – spytał Leto.

– Siona oceniła go właściwie. Jest nieudolny. Mówi rzeczy, które inni powtarzają, i w ten sposób ujawnia swój udział w sprawie. Gdy Kobat zaczął mówić, Siona po kilku chwilach wiedziała, że Topri to szpieg.

„Wszyscy się z tym zgadzają, nawet Moneo – pomyślał Leto. – Topri nie jest dobrym szpiegiem”.

Ta zgodność ubawiła go. Owe drobne machinacje mąciły tylko wodę, która dla niego i tak była całkiem przejrzysta. Aktorzy grali jednak według

jego planu.

– Siona cię nie podejrzewa? – spytał.

– Ja nie jestem nieudolna.

– A wiesz, po co cię wezwałem?

– By poddać próbie moją wiarę.

„Aaach, Naylo. Jakże mało wiesz o próbach!”

– Chcę wiedzieć, jak oceniasz Sionę. Chcę to widzieć na twojej twarzy i słyszeć w twoim głosie. Czy jest gotowa?

– Rybomówne jej potrzebują, Panie. Dlaczego ryzykujesz jej utratę?

– Wymuszanie rezultatu to najpewniejszy sposób utraty tego, co najwyżej w niej cenię. Musi przyjść do mnie w pełni sił.

Nayla opuściła wzrok.

– Jak mój Pan rozkaże.

Leto rozpoznał ów ton. Nayla reagowała w ten sposób, kiedy nie mogła czegoś zrozumieć.

– Czy Siona przeżyje próbę, Naylo?

– Tak jak opisujesz tę próbę, Panie... – Podniosła wzrok na Leto i wzruszyła ramionami. – Nie wiem, Panie. Jest silna, to pewne. Ona jedna przetrwała spotkanie z wilkami. Ale jest owładnięta nienawiścią.

– To całkiem naturalne. Powiedz mi, Naylo, co ona robi z rzeczami, które mi zabrała?

– Czy Topri nie poinformował Cię o księgach, które podobno zawierają Twoje Święte Słowa?

„To dziwne – pomyślał Leto – jak brzmieniem głosu zaznacza wielkie litery”.

– Tak, tak. Ixanie mają ich kopie, a wkrótce Gildia i Bene Gesserit też będą nad nimi pracować.

– Co to za księgi, Panie?

– To słowa, które kieruję do mojego ludu. Pragnę, żeby były czytane. Ale przede wszystkim chcę wiedzieć, co Siona mówiła o planach cytadeli, które zabrała.

– Mówiła, że pod Twoją cytadelą są ukryte wielkie zapasy melanżu, Panie, i że plany to ujawnią.

– Plany tego nie ujawnią. Czy chce kopać tunel?

– Szuka ixańskich narzędzi do tego.

– Ix ich nie dostarczy.

– Czy są tam takie zapasy melanżu, Panie?

– Tak.

– Opowieść o tym, jak bronione są te zasoby, Panie, mówi, że sama Arrakis zostałaaby zniszczona, gdyby ktoś chciał zrabować Twój melanz. Czy to prawda?

– Tak. I wstrząsnęłoby to Imperium. Nic by nie przetrwało: ani Gildia czy zgromadzenie żeńskie, ani Ix czy Tleilax, ani nawet rybomówne.

Wzdrygnęła się.

– Nie pozwolę Sionie dobrać się do Twojej przyprawy.

– Naylo! Kazałem ci słuchać Siony we wszystkim. To tak mi służysz?!

– Panie? – Stała, bojąc się jego gniewu, bliższa niż kiedykolwiek utraty wiary. Sam wykreował ten kryzys, wiedząc, jak się musi skończyć. Nayla odprężyła się powoli. Widział, jaką formę przybierają jej myśli, jakby je wypisywała iluminowanymi słowami.

„Ostateczna próba!”

– Wrócisz do Siony i będziesz strzec jej życia – powiedział. – To zadanie ci powierzyłem, a ty je przyjąłeś. Do niego zostałaś wybrana. Dlatego nosisz nóż z domu Stilgara.

Jej dłoń powędrowała ku ukrytemu krysnożowi.

„To prawda – pomyślał Leto – że broń narzuca przewidywalny sposób zachowania”.

Patrzył zafascynowany na naprężone ciało Nayli. W jej oczach było czyste uwielbienie.

„Ostateczny retoryczny despotyzm... a ja nim gardzę!”

– Idź już! – warknął.

Odwróciła się i uciekła od Świętej Obecności.

„Czy ta gra jest tego warta?” – zastanawiał się Leto.

Nayla powiedziała mu jednak wszystko, co chciał wiedzieć. Odnowiła swoją wiarę i ukazała to, czego Leto nie mógł dojrzeć w słabnącym wizerunku Siony. Instynktowi Nayli należało wierzyć.

„Siona osiągnęła ten punkt krytyczny, którego mi trzeba”.



Duncanom zawsze wydawało się dziwne, że przyjmują kobiety do sił zbrojnych, ale moje rybomówne to armia tymczasowa we wszystkich znaczeniach tego słowa. Chociaż

kobiety potrafią być gwałtowne i podstępne, w podejściu do walki są całkiem inne niż mężczyźni. Sama ich geneza predysponuje je do zachowania chroniącego życie. Udowodniły, że są najlepszymi strażniczkami Złotego Szlaku. Umacniam to poprzez plan ich szkolenia. Na pewien czas są odsuwane od rutynowych zajęć. Zapewniam im uczestnictwo w czymś, co będą wspominać przez resztę życia. Osiągają pełnoletność w towarzystwie swych sióstr przygotowywanych do rzeczy głębokich i wzniosłych. Dzielenie się takim towarzystwem zawsze przygotowuje do rzeczy wielkich. Mgielka nostalgii okrywa te ich dni wśród sióstr, czyniąc je czymś innym, niż były. W ten właśnie sposób dzień dzisiejszy zmienia historię. Nie wszyscy współcześni żyją w tym samym czasie. Przeszłość stale się zmienia, lecz niewielu to sobie uświadamia.

– *Wykradzione dzienniki*

Leto zjechał do krypty późnym wieczorem, po zawiadomieniu rybomównych. Uznał, że najlepiej będzie zacząć pierwszą rozmowę z nowym Duncanem Idaho w ciemnym pomieszczeniu, w którym ghol usłyszy, jak Leto opisuje siebie, zanim ujrzy jego ciało preczerwia. Przy centralnej kolistej krypcie istniała wykuta w ciemnym kamieniu boczna salka, która nadawała się do tego celu. Była dostatecznie duża, by pomieścić Leto na jego powozie, chociaż jej strop był niski. Oświetlały ją kontrolowane przez Leto ukryte lumisfery. Drzwi były tylko jedne, ale dwuczęściowe. Szerokie skrzydło mogło przepuścić królewski powóz, wąskie służyło ludziom.

Leto wjechał swym powozem do sali, zamknął wielkie skrzydło i otworzył małe. A potem przygotował się na tę ciężką próbę.

Ciągle narastającym problemem była nuda. Wzór tleilaxańskich ghol stawał się nużąco powtarzalny. Kiedyś uprzedził Tleilaxan, żeby nie przysyłali mu nowych Duncanów, oni jednak wiedzieli, że w tej sprawie mogą być nieposłuszni.

„Czasami myślę, że robią to, żeby być w czymkolwiek nieposłuszni”.

Tleilaxanie polegali na pewnej ważnej rzeczy, która – jak wiedzieli – ochroniła ich w innych sprawach.

„Obecność Duncana cieszy Paula Atrydę we mnie”.

– Duncanowie mają przychodzić do mnie z czymś więcej niż tleilaxańskie przygotowanie – uprzedził Leto swego marszałka dworu w jego pierwszym dniu w cytadeli. – Musisz dopilnować, by moje hurysy uspokoiły ich i odpowiedziały na pewne pytania.

– Na jakie pytania mogą odpowiadać, Panie?

– One wiedzą.

Moneo dowiedział się oczywiście wszystkiego w miarę upływu lat.

Leto usłyszał głos Moneo za drzwiami, potem kroki eskorty rybomównych, wreszcie wyraźne i ostrożne kroki nowego gholi.

– Tędy – powiedział marszałek. – W środku będzie ciemno. Zamkniemy za tobą drzwi. Stój i czekaj, aż Pan Leto przemówi.

– Dlaczego będzie ciemno? – Głos Duncana był agresywny i pełen obaw.

– On to wyjaśni.

Idaho został wepchnięty do sali, a skrzydło drzwi zamknęło się za nim.

Leto wiedział, co widzi ghola: tylko cienie wśród cieni i czerń, w której nie można zlokalizować nawet źródła dźwięku. Jak zwykle, Leto użył głosu Paula Muad'Diba.

– Miło cię znowu widzieć, Duncan!

– Ja ciebie nie widzę!

Idaho był wojownikiem, a wojownik atakuje. To upewniło Leto, że ghola jest wiernym odwzorowaniem oryginału. Gra moralności, dzięki której Tleilaxanie budzili przedśmiertne wspomnienia gholi, zawsze pozostawiała w ich umysłach niepewność. Niektórzy byli przekonani, że grozili prawdziwemu Paulowi Muad'Dibowi. Ten również miał takie wrażenie.

– Słyszę głos Paula, ale go nie widzę – powiedział Idaho. Nie próbował ukryć zawodu.

„Dlaczego Atryda bawi się w tę głupią grę? Paul od dawna nie żyje, a to jest Leto, nosiciel wskrzeszonych wspomnień Paula... i wspomnień wielu innych! Jeśli, rzecz jasna, można wierzyć Tleilaxanom”.

– Powiedziano ci, że jesteś tylko ostatnim z długiego szeregu duplikatów.

– Nie mam po nich żadnych wspomnień!

Leto rozpoznał w głosie Duncana histerię, ledwie zamaskowaną wojacką brawurą. Przekłęta praktyka odtwarzania osobowości po opuszczeniu przez ghole kadzi wywołała jak zwykle mentalny chaos. Ten Duncan przybył w stanie bliskim szoku, podejrzewając, że jest obłąkany. Leto wiedział, że potrzebne będą najsubtelniejsze działania, by uspokoić biedaka. Dla nich obu będzie to wyczerpujące emocjonalnie.

– Zaszło wiele zmian, Duncan – rzekł – ale jedno się nie zmieniło. Nadal jestem Atrydą.

– Powiedzieli mi, że twoje ciało...

– Tak, to się zmieniło.

– Przekłęci Tleilaxanie! Usiłowali mnie zmusić do zabicia kogoś... cóż, wyglądał jak ty. Przypomniałem sobie właśnie, kim byłem, a tam był... Czy to mógł być ghola Muad'Diba?

– Maskaradnik, zapewniam cię.
– Wyglądał i mówił tak podobnie... Jesteś pewny?
– Aktor, nic więcej. Czy przeżył?
– Oczywiście! Tak właśnie obudzili moje wspomnienia. Wyjaśnili mi całe to diabelstwo. Czy to prawda?
– Prawda, Duncan. Nie cierpię tego, ale pozwalam na to, by mieć przyjemność z twego towarzystwa.
„Potencjalne ofiary zawsze przeżywają – myślał Leto. – Przynajmniej spotkanie z tymi Duncanami, których oglądam. Zdarzały się wypadki, fałszywy Paul został zabity, a Duncan spisany na straty. Zawsze jednak istnieją kolejne komórki oryginału”.

– A co z twoim ciałem? – zapytał Idaho.
Można już było odprawić Muad'Diba i Leto wrócił do własnego głosu.
– Zgodziłem się na drugą skórę z piaskowych troci i od tamtej pory one mnie zmieniają.
– Dlaczego?
– Wyjaśnię ci to w stosownym czasie.
– Tleilaxanie mówili, że wyglądasz jak czerw pustyni.
– A co mówią moje rybomówny?
– Że jesteś Bogiem. Dlaczego nazywasz je rybomównymi?
– To stary koncept. Pierwsze kapłanki rozmawiały w snach z rybami. Dowiedziały się dzięki temu wielu cennych rzeczy.
– Skąd to wiesz?
– Ja jestem tymi kobietami... i wszystkim, co było przed nimi i po nich. Leto usłyszał, jak Idaho przełyka ślinę wyschniętym gardłem.
– Już wiem, po co ta ciemność. Dajesz mi czas na oswojenie się.
– Zawsze szybko pojmowałeś, Duncanie.
„Z wyjątkiem tych przypadków, kiedy pojmowałeś wolno”.

– Od jak dawna się zmieniasz?
– Od ponad trzech i pół tysiąca lat.
– Więc Tleilaxanie mówili prawdę!
– Rzadko teraz ośmielają się kłamać.
– To długo.
– Bardzo długo.
– A Tleilaxanie... kopiowali mnie wiele razy?
– Wiele.
„Czas, żebyś zapytał, ile razy”.

- Ilu mnie już było?
- Pozwolę ci zajrzeć do akt.
- „I tak to się zaczyna” – pomyślał Leto.

Taka rozmowa najwyraźniej zadowalała Duncanów, ale nigdy nie udało się uniknąć pytania: „Ilu mnie już było?”

Duncanowie nie różnili się od siebie, choć nie dzielili nowych wspomnień.

– Pamiętam swoją śmierć – powiedział Idaho. – Harkonneńskie ostrza, całe ich mnóstwo, godzące w ciebie i w Jessikę.

Leto znów przemówił głosem Muad'Diba.

- Byłem tam, Duncan.
- Zastępuję mojego poprzednika, prawda? – spytał Idaho.
- Prawda.
- Jak on... to znaczy ja... odszedł?

– Wszelkie ciało ma swój kres, Duncan. Znajdziesz wszystko w aktach.

Leto czekał cierpliwie, zastanawiając się, ile czasu upłynie, zanim ta uproszczona historia przestanie zadowalać tego Duncana.

– Jak naprawdę wyglądasz? – spytał Idaho. – Jakie jest to ciało czerwia opisywane przez Tleilaxan?

– Kiedyś utworzy swego rodzaju czerwia pustyni. Proces przemiany zaszedł już daleko.

- Co znaczy: „swego rodzaju”?
- Będzie miało więcej zwojów nerwowych. Będzie świadome.
- Czy jest tu światło? Chciałbym cię zobaczyć.

Leto włączył oświetlenie. Jasne promienie zalały salę. Czarne ściany sprawiały, że światło skupiało się na Leto, ujawniając wszystkie szczegóły.

Idaho powiódł wzrokiem po złożonym srebrnoszarym ciele. Zauważył zaczątki segmentów czerwia, falujące zgięcia... małe występy tam gdzie kiedyś były nogi, jeden nieco krótszy od drugiego. Wrócił spojrzeniem do dobrze wykształconych ramion i dłoni, a wreszcie podniósł wzrok na otoczoną kapturem twarz, której różowa cera prawie ginęła w ogromie ciała, niczym jakiś śmieszny dodatek.

– Cóż, Duncan, uprzedzałem cię – odezwał się Leto.

Idaho bez słowa wskazał ciało preczerwia.

– Dlaczego? – spytał za niego Leto.

Idaho skinął głową.

– Nadal jestem Atrydą, Duncan, i ręczę honorem tego rodu, że były po temu istotne powody.

– Cóż by mogło...

– Dowiesz się w swoim czasie.

Idaho kręcił głową z niedowierzaniem.

– To nie jest przyjemna wiedza. Musisz najpierw dowiedzieć się wielu innych rzeczy. Zaufaj słowu Atrydy.

W ciągu wieków Leto przekonał się, że odwołanie do wierności Duncana wszystkiemu, co atrydzkie, tłumi natychmiast osobiste pytania. Ta formuła sprawdziła się raz jeszcze.

– Mam więc znowu służyć Atrydom – rzekł Idaho. – To brzmi znajomo, czyż nie?

– Na wiele sposobów, stary druhu.

– Stary być może dla ciebie, ale nie dla mnie. Jak mam ci służyć?

– Czy moje rybomówne ci nie powiedziały?

– Powiedziały, że mam dowodzić twoją elitarną strażą, oddziałem wybranym spośród nich. Nie rozumiem tego. Armia *kobiet*?

– Potrzebuję zaufanego towarzysza, który mógłby dowodzić moją strażą. Masz coś przeciw temu?

– Dlaczego kobiety?

– Między płciami istnieją różnice zachowań, za których sprawą kobiety są bardzo cenne w tej roli.

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

– Myślisz, że się nie nadają?

– Niektóre wyglądają na całkiem twarde, ale...

– Inne były wobec ciebie, aaach, całkiem *miękkie*?

Idaho się zarumienił.

Leto uznał to za czarującą reakcję. Duncanowie należeli do nielicznych już zdolnych do tego ludzi. To zrozumiałe, to efekt ich dawnego wykształcenia, ich poczucia honoru – bardzo to rycerskie.

– Nie rozumiem, dlaczego powierzasz kobietom swą ochronę – powiedział Idaho, spojrzawszy na Leto. Krew powoli odpływała mu z policzków.

– Bo zawsze powierzałem im, tak jak tobie, swoje życie.

– Przed czym mamy cię chronić?

– Moneo i rybomówne wprowadzą cię w to.

Idaho przestąpił z nogi na nogę. Jego ciało poruszało się w rytm uderzeń serca. Rozejrzał się po salce, nie zatrzymując na niczym wzroku. Z nagłym zdecydowaniem popatrzył znowu na Leto.

– Jak mam się do ciebie zwracać?

Był to znak zgody, na który czekał Leto.

– Czy odpowiada ci „Pan Leto”?

– Tak, mój panie. – Idaho spojrział wprost w błękitne, fremieńskie oczy Leto. – Czy to prawda, co mówią rybomówne? Że władasz wspomnieniami...

– Wszyscy tu jesteśmy, Duncan. – Leto wypowiedział to głosem swego dziadka imiennika. – Nawet kobiety tu są, Duncan! – Był to głos Jessiki, babki Leto. – Dobrze ich znałeś – rzekł Leto już własnym głosem – a oni znają ciebie.

Idaho powoli zaczerpnął tchu.

– Trochę potrwa, zanim do tego przywyknę.

– Taka sama była moja pierwsza reakcja.

Idaho wybuchnął śmiechem. Leto pomyślał, że to za wiele jak na słaby dowcip, ale zmilczał.

– Twoje rybomówne miały mnie wprowadzić w dobry nastrój, czyż nie? – spytał Duncan po chwili.

– A udało im się?

Idaho przyjrzał się uważnie twarzy Leto, rozpoznając charakterystyczne rodowe cechy Atrydów.

– Wy, Atrydzi, zawsze zbyt dobrze mnie znaliście – odpowiedział.

– To już lepiej – rzekł Leto. – Zaczynasz się godzić z tym, że nie jestem tylko kolejnym Atrydą. Jestem nimi wszystkimi.

– Tak powiedział kiedyś Paul.

– To prawda, powiedziałem! – Był to głos Muad'Diba, do ostatniego odcienia tonu i akcentu.

Idaho przełknął ślinę, oglądając się na drzwi.

– Odebrałeś nam coś – stwierdził. – Czuję to. Tym kobietom... Moneo...

„Nam – pomyślał Leto. – Duncanowie zawsze biorą stronę ludzi”.

Idaho przeniósł wzrok na twarz Leto.

– Co dajesz nam w zamian?

– Pokój Leto w całym Imperium!

– Tak, widzę, że wszyscy są upojnie szczęśliwi! I dlatego potrzebujesz ochrony.

Bóg Imperator uśmiechnął się.

– Mój pokój to w istocie wymuszony spokój. Ludzie mają długą tradycję występowania przeciw spokojowi.

– Dajesz nam więc rybomówne.

– I hierarchię, którą możecie nieomylnie rozpoznać.

– Kobieca armia – mruknął Idaho.

– Najwyższa siła wabiąca mężczyzn – rzekł Leto. – Seks zawsze był sposobem ujarzmnienia agresywnego samca.

– Czy one to właśnie robią?

– Zapobiegają albo powściągają wybryki mogące doprowadzić do aktów przemocy.

– A ty pozwalasz im wierzyć, że jesteś bogiem. Chyba mi się to nie podoba.

– Przekleństwo świętości obraża mnie tak samo jak ciebie.

Duncan zmarszczył brwi. Nie oczekiwał takiej odpowiedzi.

– W jaką grę grasz, *Panie Leto*?

– Bardzo starą, ale z nowymi regułami.

– Twoimi regułami!

– Wolałbyś, żebym oddał to wszystko KHOAM, Landsraadowi i wysokim rodom?

– Tleilaxanie mówią, że nie ma już Landsraadu. Nie pozwalasz na prawdziwe samostanowienie.

– Dobrze więc. Mógłbym ustąpić na rzecz Bene Gesserit. A może Ixa lub Tleilaxa? Cieszyłbyś się, gdybym znalazł jakiegoś nowego barona Harkonnena, który objąłby władzę nad Imperium? Powiedz słowo, Duncan, a abdykuję.

Przytłoczony tą lawiną Idaho znów tylko pokręcił głową.

– Monolityczna, scentralizowana władza – mówił Leto – to w niewłaściwych rękach niebezpieczne i zdrażliwe narzędzie.

– A twoje ręce są właściwe?

– Nie mam pewności co do moich, ale powiem ci, Duncan, że jestem pewien rąk tych, którzy byli przede mną. *Znam ich*.

Idaho odwrócił się do władcy plecami.

„Cóż za fascynujący, skończenie ludzki gest – pomyślał Leto. – Odrzucenie połączone z przyznaniem własnej słabości”.

Przemówił do pleców Idaho.

– Całkiem słusznie masz mi za złe, że wykorzystuję ludzi bez ich wiedzy i zgody.

Duncan zwrócił się do niego profilem, a potem obrócił głowę, by spojrzeć na jego otoczoną kapturem twarz, w całkowicie błękitne oczy.

„Bada mnie – pomyślał Leto – ale może mnie oceniać jedynie z twarzy”.

Atrydzi uczyli swoich ludzi czytania subtelnej mowy ciała. Idaho był w tym dobry, ale teraz wyraźnie zaczynał rozumieć, iż to dla niego zbyt trudne.

Idaho odchrząknął.

– Co będzie najgorsze z rzeczy, których ode mnie zażadasz?

„Jakie to typowe dla Duncana!” – pomyślał Leto. Ten był wprost klasyczny. Idaho pozostanie wierny Atrydzie strzegącemu jego przysięgi, ale daje do zrozumienia, że nie przekroczy granic swojej moralności.

– Poproszę cię, żebyś mnie strzegł wszystkimi możliwymi środkami i żebyś strzegł mojej tajemnicy.

– Jakiej?

– Że można mnie zranić.

– Więc nie jesteś Bogiem?

– Nie do końca.

– Twoje rybomówne mówiły o buntownikach.

– Buntownicy istnieją.

– Dlaczego?

– Są młodzi, a ja nie przekonałem ich, że moja droga jest lepsza. Trudno przekonać młodych. Od urodzenia wiedzą tak wiele.

– Nigdy nie słyszałem, żeby Atryda sztydził w ten sposób z młodych.

– Może to dlatego, że jestem o tyle starszy... to starość pomnożona przez starość. A moje zadanie jest coraz trudniejsze z każdym mijającym pokoleniem.

– Jakie zadanie?

– Zrozumiesz to, gdy potowarzyszysz mi dłużej.

– Co będzie, jeśli cię zawiodę? Twoje rybomówne mnie usuną?

– Staram się nie obciążać rybomównych poczuciem winy.

– Ale mnie obciążysz.

– Jeśli się zgodzisz.

– Jeżeli się przekonam, że jesteś gorszy od Harkonnenów, wystąpię przeciw tobie.

„Jakie to typowe dla Duncana! Mierzą zło miarą Harkonnenów. Jak mało wiedzą o złu!”

- Baron zagarniał całe planety, Duncan. Co może być gorsze od tego?
- Zagarnianie Imperium.
- Jestem brzemienny moim Imperium. Umrę, dając mu życie.
- Gdybym mógł w to uwierzyć...
- Zostaniesz komendantem mojej straży?
- Dlaczego ja?
- Bo jesteś najlepszy.
- Wyobrażam sobie, że to niebezpieczna praca. Czy tak właśnie ginęli moi poprzednicy? Wykonując dla ciebie niebezpieczną pracę?
- Niektórzy z nich.
- Chciałbym mieć wspomnienia pozostałych.
- Nie mógłbyś ich mieć i nadal być sobą.
- Chcę się jednak czegoś o nich dowiedzieć.
- Dowiesz się.
- Więc Atrydom wciąż potrzebny jest ostry nóż?
- Mamy zadania, które może wykonać tylko Duncan Idaho.
- Mówisz... my... – Idaho przełknął ślinę, spojrzał na drzwi, a potem znowu na twarz Leto.

Leto przemówił do niego tak, jak zrobiłby to Muad'Dib, ale nadal własnym głosem.

– Kiedy ostatni raz wspinaliśmy się do siczy, miałeś moją lojalność, a ja twoją. Nic się naprawdę nie zmieniło.

– To był twój ojciec.

– To byłem ja! – Rozkazujący głos Paula, który dobywał się z ciała Leto, zawsze był dla gholi wstrząsem.

– Wy wszyscy... w tym jednym... ciele... – wyszeptał Idaho i urwał.

Leto milczał. To był moment podjęcia decyzji.

Po chwili Idaho pozwolił sobie na ten niefrasobliwy uśmiech, z którego słynął.

– Mówię zatem pierwszemu Leto i Paulowi, którzy znali mnie najlepiej: Wykorzystajcie mnie dobrze, bo was kochałem.

Leto zamknął oczy. Takie słowa zawsze sprawiały mu ból. Wiedział, że właśnie na miłość jest najmniej odporny.

Moneo, który przysłuchiwał się ich rozmowie za drzwiami, przyszedł mu z pomocą.

– Panie, czy mam zabrać Duncana Idaho do straży, którą będzie dowodził? – spytał, wkroczywszy do sali.

– Tak. – To jedno słowo było wszystkim, na co zdobył się Leto.

Moneo wziął Duncana pod rękę i wyszedł z nim.

„Dobry Moneo – pomyślał Leto. – Zna mnie tak dobrze, ale tracę nadzieję, że mnie kiedykolwiek zrozumie”.



Znam zło moich przodków, bo sam nimi jestem. Równowaga jest niezmiernie delikatna. Wiem, że niewielu z was, którzy czytacie moje słowa, myślało w ten sposób o swoich przodkach. Nie przyszło wam do głowy, że wasi przodkowie to ci, którzy przeżyli, a przeżycie samo przez się wymaga okrutnych decyzji, tego rodzaju rozmyślnej brutalności, którą cywilizowana ludzkość tak bardzo stara się zdławić. Jaką cenę zapłacicie za to zdławienie? Czy pogodzicie się z wyginieciem?

– *Wykradzione dzienniki*

Ubierając się tego dnia, kiedy miał po raz pierwszy wystąpić jako komendant rybomównych, Idaho starał się otrząsnąć z koszmarnego snu. Ten sen obudził go dwukrotnie i dwa razy wychodził na balkon, by popatrzeć na gwiazdy, podczas gdy sen wciąż tłukł mu się po głowie.

Kobiety... bez broni, w czarnych zbrojach, pędzące ku niemu z ochryplym, bezmyślnym wyciem tłumu... wymachujące rękami czerwonymi od krwi... a gdy roily się nad nim, ich usta otwierały się, ukazując straszliwe kły!

W tym momencie się budził.

Światło poranka nie pomagało pozbyć się koszmaru.

Miał pokój w północnej wieży. Z balkonu roztaczał się widok na wydmy, aż po dalekie urwisko z wioską glinianych chat u podstawy.

Idaho zapinał tunikę, wpatrując się w tę scenerię.

„Dlaczego Leto wybrał do swej armii wyłącznie kobiety?”

Kilka atrakcyjnych rybomównych proponowało spędzenie nocy z nowym komendantem, ale odmówił.

Używanie seksu jako środka perswazji nie było podobne do Atrydów!

Spojrzał na swój strój: czarny mundur ze złotym szamerunkiem, czerwony jastrząb na lewej piersi. Przynajmniej to było znajome. Brak oznak stopnia.

„One znają twoją twarz” – powiedział mu Moneo.

„Dziwny, mały człowieczek ten Moneo”.

Idaho zatrzymał się przy tej myśli. Moneo wcale nie był mały.

„Jest bardzo opanowany, tak, ale nie niższy ode mnie!”

Marszałek dworu wydawał się pogrążony w sobie, skupiony.

Idaho rozejrzał się po pokoju – sybaryckim w dbałości o komfort, z miękkimi poduszkami i wyposażeniem ukrytym pod panelami z polerowanego ciemnego drewna. Łazienka wyłożona była błękitnymi wzorzystymi płytkami. W wannie mogło swobodnie kąpać się sześć osób. Wszystko w tym mieszkaniu zapraszało do folgowania sobie. Pozwalało zmysłom zaspokajać zapamiętane przyjemności.

– Sprytnie! – szepnął Idaho.

Po cichym stukaniu do drzwi odezwał się kobiecy głos.

– Komendancie? Jest tu Moneo.

Idaho popatrzył na spalony słońcem odległy klif.

– Komendancie? – Głos był nieco silniejszy.

– Wejść! – zawołał Idaho.

Moneo wszedł i zamknął za sobą drzwi. Nosił kredowobiałe tunikę i spodnie, co zmuszało do skupiania wzroku na jego twarzy. Obrzucił spojrzeniem pokój.

– Więc tu cię umieściły. Przeklęte kobiety! Pewnie myślały, że są bardzo miłe, ale powinny mieć więcej rozumu.

– Skąd wiesz, co lubię? – spytał Idaho i z miejsca zdał sobie sprawę, że to głupie pytanie. „Nie jestem pierwszym Duncanem Idaho, którego widział Moneo”.

Moneo po prostu się uśmiechnął i wzruszył ramionami.

– Nie zamierzałem cię urazić, komendancie. Zatrzymasz więc tę kwaterę?

– Podoba mi się widok z okien.

– Ale nie wystrój. – To było stwierdzenie.

– To można zmienić – zgodził się Idaho.

– Dopilnuję tego.

– Sądzę, że jesteś tu, by mi wyjaśnić moje obowiązki.

– Na ile potrafisz. Wiem, jak dziwnie musi to wszystko z początku wyglądać. Ta cywilizacja jest zupełnie inna niż ta, którą znałeś.

– Widzę. Jak... jak umarł mój poprzednik?

Moneo wzruszył ramionami. Wydawało się, że to jego standardowy gest, ale nie było w tym niczego z usuwania się w cień.

– Nie był dość szybki, by uniknąć następstw swojej decyzji – odpowiedział.

– A mianowicie?

Moneo westchnął. Duncanowie zawsze byli tacy – tak wymagający.

– Zginął za sprawą buntu. Chcesz znać szczegóły?

– A czy to mi się przyda?

– Nie.

– Chcę mieć dziś szczegółowe informacje o tym buncie, ale najpierw powiedz mi, dlaczego w armii Leto nie ma mężczyzn.

– Ty jesteś.

– Wiesz, co mam na myśli.

– On ma ciekawą teorię dotyczącą armii. Omawiałem to z nim wiele razy. Ale czy nie chcesz zjeść śniadania, zanim to wyjaśnię?

– A czy możemy zrobić równocześnie jedno i drugie?

Moneo odwrócił się do drzwi.

– Już! – krzyknął tylko.

Natychmiastowy efekt tego polecenia zafascynował Idaho.

Do pokoju wtargnął oddział młodych rybomównych. Dwie wyjęły zza paneli ściennych składany stół i krzesła i rozstawiły je na balkonie. Inne nakryły dla dwóch osób. Jeszcze inne przyniosły jedzenie – świeże owoce, gorące bułeczki i parujący napój pachnący przyprawą i kofeiną. Zrobiły to szybko, w milczeniu i ze sprawnością świadczącą o długiej praktyce. Wyszły tak samo, jak przyszły, bez słowa.

Po minucie od rozpoczęcia tego osobliwego występu Idaho siedział za zastawionym stołem naprzeciw Moneo.

– I tak co rano? – spytał.

– Tylko jeśli sobie tego zażyczysz.

Idaho skosztował napoju; była to kawa przyprawowa. Rozpoznał też owoce – kaladańskie melony zwane paradanami.

„Moje ulubione”.

– Znacie mnie całkiem nieźle – powiedział.

Moneo uśmiechnął się.

– Mamy sporą praktykę. A co do twego pytania...

– I ciekawej teorii Leto.

– Tak. On twierdzi, że armia złożona z mężczyzn byłaby zbyt niebezpieczna dla swojego cywilnego zaplecza.

– To wariactwo. Bez armii nie byłoby...

– Znam ten argument, ale on dowodzi, że męska armia to pozostałość powierzania w pierwotnym plemieniu funkcji osłonowej samcom niebiorącym udziału w rozmnażaniu. Mówi, że dziwnie się z tym zgadza fakt, iż to starsi mężczyźni posyłali młodych do bitwy.

– Co to jest „funkcja osłonowa”?

– To ci, którzy zawsze stoją na niebezpiecznej zewnętrznej linii, chroniąc rozmnażających się mężczyzn, kobiety i dzieci. To ci, którzy pierwsi spotykają drapieżnika.

– Czy to zagraża... cywilom?

Idaho ugryzł kęs melona. Był w pełni dojrzały.

– Pan Leto twierdzi, że gdy brakuje zewnętrznego wroga, męska armia zwraca się przeciw własnej ludności. Zawsze.

– W poszukiwaniu kobiet?

– Być może, on jednak nie wierzy, że to jest aż tak proste.

– Nie uważam, żeby to była ciekawa teoria.

– Nie słyszałeś wszystkiego.

– Jest coś jeszcze?

– On twierdzi, że męska armia ma silne skłonności do homoseksualizmu.

Idaho wytrzeszczył oczy na Moneo.

– Ja nigdy...

– Oczywiście, że nie. On mówi o sublimacji, o źle skierowanej energii i o całej reszcie.

– O reszcie czego? – Idaho najeżył się, rozgniewany atakiem na swoje męskie „ja”.

– O niedojrzałych zachowaniach, chłopcach we własnym towarzystwie, żartach obliczonych jedynie na zadanie bólu, lojalności tylko wobec kolegów z paczki... tego rodzaju rzeczach.

– Co o tym myślisz? – spytał chłodno Idaho.

– Pamiętam – Moneo obrócił się i mówił, podziwiając widok – co kiedyś powiedział, i jestem pewien, że to prawda. On jest każdym żołnierzem w historii ludzkości. Proponował mi paradę przykładów: sławnych wojskowych, którzy zatrzymali się w rozwoju przed osiągnięciem dojrzałości. Nie przyjąłem jego propozycji. Uważnie czytałem historię i sam dostrzegłem tę cechę. – Odwrócił się i spojrzał Idaho prosto w oczy. – Pomyśl o tym, komendancie.

Idaho szczylił się uczciwością wobec siebie, a to nim wstrząsnęło. Kult młodości i niedojrzałości zachowany w wojsku? To brzmiało prawdziwie.

Przykłady znał z własnego doświadczenia.

Moneo skinął głową.

– Homoseksualista, utajony czy jakikolwiek inny, który utrzymuje ten stan z powodów, można powiedzieć, czysto psychologicznych, skłonny jest do zachowań sprawiających ból... sobie lub innym. Pan Leto mówi, że to powrót do zachowań prehistorycznego plemienia.

– Wierzysz mu?

– Wierzę.

Idaho wsunął do ust kawałek melona. Owoc stracił smak. Idaho przełknął go i odłożył łyżeczkę.

– Muszę to przemyśleć – rzekł.

– Oczywiście.

– Ty nic nie jesz – zauważył.

– Wstałem przed świtem i wtedy jadłem. – Moneo wskazał swój talerz. – Kobiety wciąż starają się mnie skusić.

– Udaje im się?

– Czasami.

– Masz rację, to ciekawa teoria. Jest w niej coś jeszcze?

– Oooh, tak. On mówi, że kiedy armia wyrywa się z pęt niedojrzałości i homoseksualizmu, staje się z natury gwałcicielem. Gwałt częstokroć wiąże się z morderstwem, a zatem nie sprzyja przeżyciu.

Idaho nachmurzył się.

Po ustach Moneo przemknął nikły uśmiech.

– Pan Leto mówi, że tylko dyscyplina i atrydzkie zasady moralne zapobiegły w twoich czasach najgorszym ekscesom.

Idaho westchnął głęboko.

Marszałek dworu odchylił się na oparcie, myśląc o tym, co powiedział kiedyś Bóg Imperator. „Bez względu na to, jak bardzo pragniemy prawdy, samoświadomość jest często nieprzyjemna. Nie darzymy sympatią Prawdomówczyń”.

– Przekłęci Atrydzi! – rzucił Idaho.

– Sam jestem Atrydą – powiedział Moneo.

– Co takiego?! – Idaho był wstrząśnięty.

– To jego plan eugeniczny – wyjaśnił Moneo. – Tleilaxanie z pewnością ci powiedzieli. Jestem w prostej linii potomkiem jego siostry i Harka al-Ady.

Idaho pochylił się ku niemu.

– Powiedz mi więc, Atrydo, jak to możliwe, że kobiety są lepszymi żołnierzami niż mężczyźni.

– Łatwiej dojrzewają.

Duncan pokręcił głową, skonsternowany.

– W fascynujący sposób osiągają dojrzałość – wyjaśnił Moneo. – Jak powiada Pan Leto: „Noś w sobie dziecko dziewięć miesięcy, a zmienisz się całkowicie”.

Teraz Idaho odchylił się na oparcie.

– A co on o tym wie?

Moneo po prostu spoglądał na niego, dopóki Idaho nie przypomniał sobie o mnóstwie istniejących w Leto kobiet i mężczyzn. Świadomość ogarnęła go niczym fala. Marszałek dostrzegł to i przypomniał sobie uwagę Boga Imperatora: „Twoje słowa nadają mu pożądaną przez ciebie wygląd”.

Gdy milczenie się przedłużało, Moneo chrząknął.

– Ogrom wspomnień Pana Leto i mnie czasami odbierał mowę – rzekł.

– Czy on jest z nami szczerzy?

– Ja mu wierzę.

– Ale robi tyle... choćby ten plan eugeniczny. Od jak dawna to trwa?

– Od samego początku. Od dnia, w którym odebrał go Bene Gesserit.

– Co chce uzyskać?

– Chciałbym to wiedzieć.

– Przecież jesteś...

– Atrydą i jego głównym doradcą, tak.

– Nie przekonałeś mnie, że kobieca armia jest lepsza.

– One przedłużają gatunek.

Gniew i frustracja Idaho znalazły w końcu cel.

– To właśnie robiłem z nimi pierwszej nocy?!

– Prawdopodobnie. Rybomówne nie stosują antykoncepcji.

– Niech go diabli! Nie jestem zwierzęciem, które można przenosić z przegrody do przegrody jak... jak...

– Ogiera?

– Tak.

– Ale Pan Leto nie chce naśladować Tleilaxan z ich inżynierią genetyczną i sztucznym zapłodnieniem.

– Co mają Tleilaxanie...

– Oni są naocznym przykładem. Nawet ja to widzę. Ich maskaradnicy są bezpłodni, bliżsi organizmowi kolonijnemu niż ludzkiemu.

- A ci inni... Duncanowie byli jego ogierami?
- Niektórzy. Masz potomków.
- Kogo?
- Choćby mnie.

Idaho wpatrywał się w oczy Moneo, nagle zagubiony w labiryncie pokrewieństw. Stwierdził, że nie jest w stanie pojąć tych związków. Moneo był oczywiście znacznie starszy niż... „Ale ja...” Który z nich był naprawdę starszy? Kto był przodkiem, a kto potomkiem?

– Czasem sam się w tym gubię – przyznał Moneo. – Jeżeli ci to pomoże, Pan Leto zapewnia mnie, że nie jesteś moim potomkiem w żadnym zwyczajnym sensie. Za to możesz się stać ojcem moich potomków.

Idaho kręcił głową z boku na bok.

– Niekiedy myślę, że tylko Bóg Imperator potrafi to zrozumieć – rzekł marszałek dworu.

- To druga sprawa! Ten boski interes!
- Pan Leto mówi, że stworzył świętą obrzydliwość.

Nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwał Idaho. „A czego oczekiwałem? Obrony Pana Leto?”

– Święta obrzydliwość – powtórzył Moneo. Wymawiał te słowa, jakby się nimi napawał.

Idaho skupił na nim badawcze spojrzenie. „Nienawidzi swego Boga Imperatora? Nie... boi się go. Ale chyba zawsze nienawidzimy tego, czego się boimy?”

- Dlaczego w niego wierzysz?
- Pytasz, czy dzielam powszechną religię?
- Nie. A on podziela?
- Myślę, że tak.
- Dlaczego? Dlaczego tak myślisz?

– Bo mówi, że nie chce tworzyć nowych maskaradników. Nalega, by jego ludzkie stado, gdy się już dobierze w pary, rozmnażało się w ten sam sposób co zawsze.

- Co to ma, do diabła, wspólnego z wiarą?!
 - Pytałeś mnie, w co on wierzy. Myślę, że w przypadek. Myślę, że to jego bóg.
 - To przesąd!
 - Bardzo odważny przesąd, zważywszy na sytuację Imperium.
- Idaho spojrzał ponuro na Moneo.

– Przeklęci Atrydzi! – mruknął. – Odważycie się na wszystko!
Moneo spostrzegł, że niechęć w głosie Idaho zmieszana była z podziwem.
„Duncanowie zawsze tak zaczynają”.



Co jest najgłębszą różnicą między nami, między wami a mną? Już to wiecie. To wspomnienia przodków. Moje przychodzą do mnie w pełni świadomości. Wasze działają od niewidocznej dla was strony. Niektórzy nazywają to instynktem albo przeznaczeniem. Te wspomnienia wpływają na to, co myślimy i robimy. Sądzicie, że jesteście odporni na takie wpływy? Jestem Galileuszem. Stoję tu i mówię wam: „A jednak się kręci”. To, co się kręci, może rozprzestrzeniać swą siłę w sposób, któremu żadna śmiertelna potęga nie odważyła się dotąd oprzeć. Jestem tu, żeby się na to odważyć.

– *Wykradzione dzienniki*

– Kiedy Siona była dzieckiem, przyglądała mi się, pamiętasz? Kiedy myślała, że tego nie widzę, śledziła mnie jak pustynny jastrząb, który krąży nad norą zdobyczy. Sam o tym wspominałeś.

Leto przetoczył swe ciało o ćwierć obrotu. To zbliżyło jego zakapturzoną twarz do Moneo, który siedł obok powozu.

Był świt na pustynnej drodze wiodącej stromym sztucznym grzbiecie z cytadeli w Serirze do Świętecznego Miasta. Droga biegła prosto jak promień lasera aż do punktu, w którym zakreślała szerokim łukiem i pogrążała się w tarasowych kanionach przed przekroczeniem rzeki Idaho. W powietrzu wisiała gęsta mgła znad rzeki, która toczyła się z łoskotem w oddali. Leto podniósł przejrzystą osłonę okrywającą przód powozu. Wilgoć wprawiała jego „ja” czerwiał w drzenie, ale słodki zapach pustynnych roślin we mgle sprawiał przyjemność jego ludzkim nozdrzom. Kazał zatrzymać orszak.

– Dlaczego się zatrzymujemy? – zapytał Moneo.

Leto nie odpowiedział. Powóz zaskrzypiał, gdy wygiął swe ciało w łuk, unosząc głowę, aby spojrzeć poprzez Zakazany Las na połyskujące srebrem daleko z prawej Morze Kynesa. Obrócił się w lewo i ujrzał resztki Muru Zaporowego, falisty, niski cień w porannym świetle. Grzbiet wznosił się tu prawie na dwa tysiące metrów, zamykając Serir i ograniczając dostęp doń wilgotnego powietrza. Ze swego punktu obserwacyjnego Leto widział

odległą przełęcz, na której leżało zbudowane na jego rozkaz Świąteczne Miasto Onn.

– Miałem ochotę się zatrzymać – rzekł.

– Czy nie powinniśmy przed odpoczynkiem przejść przez most?

– Ja nie odpoczywam.

Leto wpatrywał się w dal. Po szeregu sfałdowań przypominających wijący się cień wysoka droga przekraczała rzekę po baśniowym moście, wspinała się na buforowy grzbiet, a potem opadała ku miastu, które z tej odległości było tylko skupiskiem lśniących iglic.

– Duncan jest przygaszony – powiedział. – Miałeś już z nim tę długą rozmowę?

– Tak jak chciałeś, Panie.

– Cóż, to dopiero cztery dni. Często potrzebują więcej czasu, żeby dojść do siebie.

– Ma zajęcia z twoją strażą, Panie. Wczoraj znów do późnego wieczoru byli na zewnątrz.

– Duncanowie nie lubią wędrówek pod gołym niebem. Myślą o zagrożeniach.

– Wiem, Panie.

Leto obrócił się i spojrzał na Moneo. Marszałek dworu nosił zielony płaszcz na swym białym mundurze. Stał obok otwartej osłony, dokładnie tam, gdzie powinien się znajdować podczas podróży.

– Jesteś bardzo obowiązkowy, Moneo.

– Dziękuję, Panie.

Straż i dworzanie trzymali się w pełnej szacunku odległości za powozem. Większość starała się uniknąć nawet podejrzeń o podsłuchiwanie Leto i Moneo. Ale nie Idaho. Rozstawił kilka rybomównych po obu stronach Królewskiego Traktu, sam zaś stał wpatrzony w powóz. Nosił czarny mundur z białymi lamowaniami, podarunek od rybomównych, jak twierdził Moneo.

– Bardzo lubią tego Duncana. Jest dobry w tym, co robi.

– A co robi, Moneo?

– Cóż, strzeże cię, Panie.

Kobiety ze straży nosiły obcisłe zielone mundury z czerwonym jastrzębiem Atrydów na lewej piersi.

– Przyglądają mu się uważnie – powiedział Leto.

– Tak. Uczy je sygnałów dłonią. Mówi, że to metoda Atrydów.

- To prawda. Zastanawiam się, dlaczego poprzedni tego nie robił.
- Panie, jeśli nie wiesz...
- Żartuję, Moneo. Poprzedni nie czuł się zagrożony, dopóki nie było za późno. Czy ten przyjął nasze wyjaśnienia?
- Tak mi doniesiono, Panie. Dobrze zaczął w twojej służbie.
- Dlaczego jest zbrojny tylko w nóż?
- Kobiety wytłumaczyły mu, że tylko specjalnie przeszkolone strażniczki mogą nosić rusznice laserowe.
- Twoje obawy są bezpodstawne, Moneo. Powiedz kobietom, że jest o wiele za wcześnie, żeby się go obawiać.
- Jak mój Pan każe.

Dla Leto było oczywiste, że jego nowy komendant straży nie cieszy się z obecności dworzan. Trzymał się od nich z daleka. Powiedziano mu, że większość z nich to urzędnicy. Na ten dzień przywdziali swe najjaskrawsze i najlepsze stroje, skoro mogli paradować w pełnej chwale i w obecności Boga Imperatora. Leto rozumiał, jak głupie musiało się to wydawać Duncanowi Idaho. Sam pamiętał jednak znacznie głupsze wystroje i sądził, że dzisiejsza parada może stanowić nawet postęp.

- Przedstawiłeś go Sionie? – spytał.
- Na wspomnienie Siony brwi Moneo ściągnęły się gniewnie.
- Spokojnie – powiedział Leto. – Nawet kiedy mnie szpieguje, kocham ją.
 - Wyczuwam w niej zagrożenie, Panie. Czasem zdaje mi się, że czyta w mych najskrytszych myślach.
 - Mądre dziecię zna swego ojca.
 - Ja nie żartuję, Panie.
 - Tak, widzę. Zauważyłeś, że Duncan robi się niespokojny?
 - Przeszukali drogę prawie do mostu.
 - I co znaleźli?
 - To samo co ja: kolejnych Muzealnych Fremenów.
 - Jeszcze jedna petycja?
 - Nie gniewaj się, Panie.

Leto ponownie spojrzał przed siebie. Nieuniknione pojawienie się na otwartej przestrzeni, długa, majestatyczna podróż z wszystkimi jej rytualnymi wymogami dla uspokojenia rybomównych, wszystko to go męczyło. A teraz kolejna petycja!

Idaho przeszedł naprzód, by stanąć tuż za Moneo. W jego ruchach można było wyczuć groźbę.

„Nie, to za szybko” – pomyślał Leto.

– Dlaczego się tu zatrzymujemy, Panie? – spytał Idaho.

– Często tu przystaję – odparł Leto.

Była to prawda. Odwrócił się i spojrzał poza baśniowy most. Droga wiała się w dół z wyżyn kanionu w Zakazany Las, a następnie przez pola nad rzeką. Leto często tu przystawał, by oglądać wschód słońca. Było jednak coś w tym poranku, w słońcu przebijającym się przez znajomy krajobraz... coś, co poruszało dawne wspomnienia.

Pola plantacji królewskich sięgały za las, a gdy słońce wzniosło się ponad odległą krzywizną terenu, opromieniło lśniącym złotem falujące zboże. To zboże przypomniało Leto o piasku, o wydmach wędrujących kiedyś przez tę ziemię.

„I znowu będę wędrować”.

Zboże nie było dokładnie takie jak jasny krzemowy bursztyn zapamiętanej pustyni. Leto obejrzał się na otoczone urwiskami przestrzenie Seriru, jego sanktuarium przeszłości. Barwy były wyraźnie inne. Mimo wszystko jednak, kiedy ponownie spojrzał na Święte Miasto, poczuł ból, tam gdzie jego wiele serc raz jeszcze zatrzymało się w swej powolnej przemianie w coś zupełnie obcego.

„Co takiego jest w tym poranku, co każe mi myśleć o moim utraconym człowieczeństwie?”

Wiedział, że z całego królewskiego orszaku patrzącego na tę znajomą scenerię pól i lasów tylko on myśli wciąż o tym kwitnym krajobrazie jako o *bahr bela ma*, oceanie bez wody.

– Duncan, spójrz w stronę miasta – powiedział. – Tam był Tanzerouft.

– Ziemia Grozy? – Idaho zdradził swe zaskoczenie, zerknąwszy szybko ku Onn i z powrotem na Leto.

– *Bahr bela ma* – rzekł Leto. – Od ponad trzech tysięcy lat jest ukryty pod dywanem roślin. Ze wszystkich żyjących dziś na Arrakis tylko my dwaj widzieliśmy prawdziwą pustynię.

Idaho spojrzał ku Onn.

– Gdzie jest Mur Zaporowy? – zapytał.

– Szczerba Muad'Diba jest właśnie tam, gdzie zbudowaliśmy miasto.

– Więc ta linia pagórków to był Mur Zaporowy? Co się z nim stało?

– Stoisz na nim.

Idaho popatrzył na Leto, potem w dół na drogę i rozejrzał się dookoła.

– Panie, możemy ruszać? – spytał Moneo.

„Moneo z tym zegarem tykającym mu w piersi to istny oścień obowiązkowości” – pomyślał Leto. Ważni goście czekali na spotkanie, a ważne sprawy na załatwienie. Czas naglił. Marszałek dworu nie lubił też, kiedy jego Bóg Imperator rozmawiał o dawnych czasach z Duncanami.

Leto uświadomił sobie, że zatrzymał się tu o wiele dłużej niż zwykle. Dworzanom i straży musiało już być zimno po szybkim porannym marszu. Wielu dobrze strój raczej na pokaz niż dla ochrony.

„A jednak wystawianie się na pokaz może być formą ochrony”.

– Tu były wydmy – powiedział Idaho.

– Ciągące się setkami kilometrów – potwierdził Leto.

Myśli Moneo wirowały. Dobrze znał refleksyjne nastroje Boga Imperatora, ale dziś w jego zadumie był odcień smutku. Być może sprawiła to niedawna śmierć Duncana. Gdy był smutny, Leto zapominał niekiedy o ważnych rzeczach. Nie kwestionuje się nastrojów czy kaprysów Boga Imperatora, ale czasem można je wykorzystać.

„Trzeba ostrzec Sionę – pomyślał. – Gdybyż ta głupia mała chciała mnie słuchać!”

Była buntowniczką w większym stopniu niż on kiedyś. Daleko większym. Leto poskromił Moneo, uczulił go na Złoty Szlak i obowiązki, do których został zrodzony, ale metody użyte wobec niego nie działały na Sionę. Moneo dowiedział się o swym wyszkoleniu rzeczy, których nigdy nie podejrzewał.

– Nie widzę żadnych znajomych miejsc – rzekł Idaho.

– Tam na wprost – powiedział Leto, wskazując. – Tam gdzie kończy się las. To była droga do Szczerbatej Skały.

Moneo odpłynął myślami. „Moja najwyższa fascynacja Bogiem Imperatorem zmusiła mnie w końcu do posłuszeństwa”. Leto nigdy nie przestawał zaskakiwać i zdumiewać. Był nieprzewidywalny. Marszałek dworu spojrzał na profil Boga Imperatora. „Czym on się stał?”

Do pierwszych obowiązków Moneo należało studiowanie poufnych dokumentów w cytadeli, historycznych sprawozdań o przemianie Leto. Symbioza z piaskowymi trociami pozostawała jednak tajemnicą, której nie wyjaśniały nawet słowa władcy. Jeśli wierzyć relacjom, skóra z tych stworzeń uczyniła jego ciało prawie całkowicie odpornym na upływ czasu i na ataki. Pierścienie wielkiego ciała mogły nawet wytrzymać strzał z rusznicy laserowej!

„Najpierw piaskowe trocie, potem czerw... części wielkiego cyklu, w którym powstawał kiedyś melanz”. Ten cykl drzemał teraz wewnątrz

Boga Imperatora, czekając na swój czas.

– Ruszajmy – powiedział Leto.

Moneo zdał sobie nagle sprawę, że coś przegapił. Wyrwał się z zamyślenia i spojrzał na uśmiechającego się Duncana Idaho.

– Kiedyś nazywaliśmy to bujaniem w obłokach – rzekł Leto.

– Przepraszam, Panie – powiedział Moneo. – Byłem...

– W obłokach, ale nic nie szkodzi.

„Poprawił mu się nastrój – pomyślał marszałek dworu. – Chyba mogę za to dziękować Duncanowi”.

Leto poprawił się na powozie i przymknął osłonę, zostawiając odkrytą tylko głowę. Uruchomiony powóz zgrzytnął kołami po żwirowej nawierzchni.

Idaho zajął pozycję przy ramieniu Moneo i ruszył truchtem obok niego.

– Pod powozem są pola dryfowe, on jednak używa kół. Dlaczego? – spytał.

– Pan Leto woli używać kół zamiast antygravitacji.

– Co napędza ten pojazd? Jak on nim kieruje?

– Nie pytałeś go?

– Nie miałem okazji.

– Królewski powóz jest dziełem Ixan.

– Co to znaczy?

– Mówi się, że Pan Leto uruchamia go i prowadzi, po prostu myśląc w określony sposób.

– Nie jesteś tego pewny?

– On nie lubi takich pytań.

„Nawet dla swoich zaufanych Bóg Imperator pozostaje tajemnicą” – pomyślał Moneo.

– Moneo! – zawołał Leto.

– Wracaj lepiej do swojej straży – powiedział marszałek, dając Duncanowi znak, by został z tyłu.

– Raczej wysunę się z nimi naprzód – odrzekł Idaho.

– Pan Leto sobie tego nie życzy! Przejdź na tyły.

Moneo pospieszył zając miejsce obok twarzy Leto. Spozobregł, że Idaho zostaje z tyłu, wymijany przez dworzan, i dołącza do tylnego kręgu straży.

Leto spojrzał na Moneo.

– Dobrze się z tym sprawiłeś.

– Dziękuję, Panie.

- Wiesz, dlaczego Duncan chce być z przodu?
- Oczywiście, Panie. Tam właśnie powinna być twoja straż.
- A on wyczuwa niebezpieczeństwo.
- Nie rozumiem cię, Panie. Nie mogę pojąć, dlaczego to robisz.
- To prawda, Moneo. Nie możesz!



Kobięcy zmysł dzielenia się pochodzi ze wspólnoty rodzinnej: troska o dzieci, gromadzenie i przygotowywanie żywności, dzielenie radości, miłości i smutków. To kobiety zapoczątkowały oplakiwanie zmarłych. Religia była pierwotnie monopolem kobiet, a wydarto ją im dopiero po tym, gdy jej społeczna rola stała się zbyt dominująca. Kobiety były pierwszymi medykami, tak badaczami, jak i praktykami. Nigdy nie było wyraźnej równowagi między płciami, bo władza wiąże się z określonymi rolami, z pewnością zaś wiąże się z wiedzą.

– *Wykradzione dzienniki*

Dla Matki Wielebnej Tertius Eileen Anteac był to koszmarny poranek. Niecałe trzy godziny wcześniej przybyła na Arrakis wraz z Prawdomówczynią Marcus Claire Luyseyal oraz ich oficjalną świtą na pokładzie pierwszego promu z wiszącego na orbicie stacjonarnej liniowca Gildii. Najpierw przydzielono im pokoje na samym skraju dzielnicy ambasad Świątecznego Miasta. Pokoje były małe i niezbyt czyste.

– Jeszcze trochę, a będziemy obozować w slumsach – powiedziała Luyseyal.

Następnie pozbawiono je komunikacji. Mimo klikania wszystkimi przełącznikami ekrany pozostawały ciemne.

Anteac zwróciła się ostro do dowodzącej eskortą rybomównych krzepkiej kobiety, o nachmurzonej twarzy i mięśniach tragarza.

– Chcę złożyć skargę waszemu dowódcy!

– W czasie święta skargi są wykluczone – odparła szorstko amazonka.

Anteac spojrzała na nią groźnie. Ten wyraz starej, pomarszczonej twarzy zbił z tropu nawet inne Matki Wielebne.

Amazonka uśmiechnęła się tylko.

– Przynoszę wiadomość – powiedziała. – Mam wam przekazać, że wasza audycja u Boga Imperatora została przełożona na koniec.

Większość delegacji Bene Gesserit usłyszała to i nawet najmniej ważne postulantki pojęły, co to znaczy. W tym czasie wszystkie przydziały przyprawy zostaną utrzymane albo („Bogowie, chrońcie nas!”) nawet zmniejszone.

– Miałymy być trzecie – powiedziała Anteac z podziwu godną łagodnością.

– To rozkaz Boga Imperatora!

Matka Wielebna знаła ten ton rybomównych. Była w nim groźba użycia siły.

„Koszmarne poranne, a teraz jeszcze to!”

Anteac siedziała na niskim stołku pod ścianą małego, niemal pustego pokoju, w samym środku poniżającej ich kwatery. Obok była niska prcza, odpowiednia co najwyżej dla akolitki. Chropowate bladozielone ściany oświetlała tylko jedna stara, żółtawa lumisfera, której nie dawało się już regulować. Pokój wyglądał, jakby służył przedtem za magazyn. Pachniał stęchlizną, a czarne tworzywo na podłodze było porysowane i spękane.

Przyglądziwszy czarną abę na kolanach, Anteac pochyliła się ku postulantce, która klęczała z opuszczoną głową przed Matką Wielebną. Kurierka była blondynką o oczach łani. Krople potu na czole i szyi świadczyły o jej lęku i ekscytacji. Miała na sobie brunatną szatę, którą ubiełił u dołu pył ulicy.

– Jesteś pewna, absolutnie pewna? – Anteac mówiła łagodnym tonem, żeby uspokoić biedaczkę, która wciąż jeszcze drżała pod ciężarem swojej wiadomości.

– Tak, Matko Wielebna. – Wzrok miała opuszczony.

– Powtórzmy to raz jeszcze – powiedziała Anteac i pomyślała: „Zyskuję na czasie. Zrozumiałam ją doskonale”.

Kurierka podniosła wzrok i, jak uczono wszystkie postulantki i akolitki, spojrzała wprost w całkowicie niebieskie oczy Anteac.

– Jak mi polecono, nawiązałam kontakt z Ixanami w ich ambasadzie i przekazałam twoje pozdrowienia. Potem spytałam, czy mają jakąś wiadomość.

– Tak, tak, dziewczyno! Wiem. Przejdź do rzeczy.

Kurierka przełknęła ślinę.

– Ich rzecznik przedstawił się jako Othwi Yake, pełniący obowiązki ambasadora i asystent poprzedniego.

– Jesteś pewna, że to nie był maskaradnik?

- Nic na to nie wskazywało, Matko Wielebna.
- Dobrze, znamy tego Yake’a. Możesz mówić dalej.
- Yake powiedział, że oczekują nowego...
- Tak, Hwi Nori, nowej ambasador. Ma tu dziś przybyć.

Dziewczyna oblizwała wargi.

Anteac zanotowała w pamięci, że biedaczka musi ponownie przejść elementarne szkolenie. Kurierki powinny być bardziej opanowane, chociaż tę tłumaczyła nieco waga informacji.

– Potem poprosił, żebym zaczekała – ciągnęła kurierka. – Wyszedł i po chwili wrócił z tleilaxańskim maskaradnikiem. Jestem tego pewna. Były określone oznaki...

– Dziewczyno, na pewno masz rację. A teraz do... – Anteac urwała, gdy weszła Luyseyal.

– Cóż to słyszę o przesłaniu od Ixan i Tleilaxan? – zapytała.

– Ta dziewczyna właśnie je przekazuje.

– Dlaczego mnie nie wezwano?

Anteac spojrzała na Prawdomówczynię, myśląc, że Luyseyal może i jest jedną z najlepszych w swej sztuce, ale za wiele uwagi poświęca swojej randze. Była jednak młoda, miała wrażliwą, owalną twarz w typie Jessiki, a takie geny często tworzą upartą naturę.

– Twoja akolitka powiedziała, że medytujesz – odparła łagodnie.

Luyseyal skinęła głową i usiadła na pryczy.

– Mów dalej – poleciła kurierce.

– Maskaradnik oświadczył, że ma przesłanie dla Matek Wielebnych. Użył liczby mnogiej.

– Wiedział, że jesteśmy we dwie – powiedziała Anteac.

– Wszyscy to wiedzą – stwierdziła Luyseyal.

– Nie mogłabyś, dziewczyno, wejść w mnemotrans i przekazać nam słów maskaradnika *verbatim*? – spytała Anteac.

Kurierka skinęła głową, przysiadła na piętach i złożyła dłonie na podołku. Wzięła trzy głębokie oddechy, przymknęła oczy i pozwoliła opaść ramionom. Kiedy przemówiła, jej głos miał wysoki, nosowy ton.

– Powiedz Matkom Wielebnym, że dziś wieczór Imperium zostanie pozbawione swego Boga Imperatora. Zaatakujemy go dziś, zanim jeszcze dotrze do Onn. Nie może nam się nie udać.

Głęboki oddech wstrząsnął dziewczyną. Otworzyła oczy i spojrzała na Anteac.

– Ten Ixanin, Yake, polecił mi spieszyc z powrotem z tą wieścią. Potem w szczególny sposób dotknął grzbietu mej lewej dłoni, upewniając mnie tym, że nie...

– Yake to jeden z naszych – rzekła Matka Wielebna. – Powiedz Luyseyal, co ci przekazał palcami.

Kurierka spojrzała na Prawdomówczynię.

– Zostaliśmy napadnięci przez maskaradników i nie mamy swobody ruchów.

Luyseyal wzdrygnęła się i zaczęła wstawać z pryczy.

– Podjęłam już kroki, by chronić nasze drzwi – powiedziała Anteac, po czym spojrzała na kurierkę. – Możesz odejść, dziewczyno. Byłaś odpowiednia do tego zadania.

– Tak, Matko Wielebna. – Kurierka podniosła swe smukłe ciało z pewną gracją, ale jej ruchy zdradzały, że rozumie znaczenie słów Anteac. „Byłaś odpowiednia” nie znaczyło „Dobrze się spisałaś”.

– Powinna znaleźć jakiś pretekst, żeby się rozejrzeć po ambasadzie i stwierdzić, ilu Ixan zostało zastąpionych – powiedziała Luyseyal, gdy dziewczyna odeszła.

– Nie sędzę – odparła Anteac. – Pod tym względem zachowała się prawidłowo. Byłoby jednak lepiej, gdyby znalazła sposób, by wydobyć więcej z Yake’a. Boję się, że już go straciłyśmy.

– Powód przesłania nam tej wieści przez Tleilaxan jest chyba oczywisty?

– Naprawdę chcą go zaatakować – powiedziała Anteac.

– Naturalnie. To właśnie zrobią ci *głupcy*. Zastanawiam się jednak, dlaczego nas zawiadomili.

Matka Wielebna skinęła głową.

– Myślą, że teraz nie mamy wyboru i przyłączymy się do nich.

– A jeśli spróbujemy ostrzec Pana Leto, poznają naszych informatorów i kontakty.

– A co, jeśli Tleilaxanom się powiedzie? – spytała Anteac.

– To niemożliwe.

– Nie znamy szczegółów ich planu, tylko ogólne ramy czasowe.

– A jeżeli ta dziewczyna, Siona, bierze w tym udział?

– Sama zadaję sobie to pytanie – odpowiedziała Anteac. – Znasz pełny raport Gildii?

– Tylko podsumowanie. Czy to wystarczy?

– Tak, z wysokim prawdopodobieństwem.

– Powinnaś ostrożnie używać takich terminów jak „wysokie prawdopodobieństwo”. Nie chcemy, by ktokolwiek wiedział, że jesteś mentatką.

– Zakładam, że ty mnie nie wydasz – odparła sucho Anteac.

– Myślisz, że Gildia ma rację co do Siony?

– Nie mam dość informacji. Jeżeli mają rację, ona jest czymś niezwykłym.

– Tak niezwykłym jak ojciec Pana Leto?

– Nawigator Gildii mógł się ukryć przed proroczym wzrokiem ojca Pana Leto.

– Ale nie przed Panem Leto.

– Przeczytałam uważnie raport Gildii. Ona nie tyle ukrywa siebie i działania wokół niej, ile...

– Mówili, że znika. Znika z ich pola widzenia.

– Ona jedyna – dodała Anteac. – Czy znika również z pola widzenia Pana Leto?

– Tego nie wiedzą.

– Odważymy się z nią skontaktować?

– Dlaczego nie?

– To wszystko może być dyskusją akademicką, jeśli Tleilaxanie... Anteac, powinniśmy przynajmniej spróbować go ostrzec.

– Nie mamy tu łączności, a rybomówne stoją u drzwi. Pozwalają tu wchodzić, ale nie wychodzić.

– Może pogadamy z którąś?

– Myślałam o tym. Zawsze możemy powiedzieć, że bałyśmy się podstawionych maskaradników.

– Straż u drzwi – mruknęła Luyseyal. – Czy to możliwe, że on wie?

– Wszystko jest możliwe.

– Z Panem Leto to jedyne, czego można być pewnym.

Wstając, Anteac pozwoliła sobie na westchnienie.

– Jakże tęsknię za czasami, kiedy miałyśmy tyle przyprawy, ile nam było trzeba.

– To tylko kolejna iluzja – powiedziała Luyseyal. – Mam nadzieję, że zapamiętałyśmy nauczkę, bez względu na to, jak pójdzie dziś Tleilaxanom.

– Jakikolwiek będzie wynik, zrobią to niezdarnie. Bogowie, nie można już znaleźć porządných asasynów!

– Zawsze jeszcze są ghole Idaho.

- Co powiedziałaś? – Anteac utkwiała wzrok w towarzysze.
 - Że zawsze są...
 - Tak!
 - Ghole mają zbyt powolne ciała – stwierdziła Luyseyal.
 - Ale nie umysły.
 - O czym myślisz?
 - Czy to możliwe, by Tleilaxanie... Nie, nawet oni nie...
 - Maskaradnik jako Idaho? – wyszeptała Luyseyal.
- Anteac przytaknęła.
- Wybij to sobie z głowy! Nie mogą być tak głupi.
 - Nie jest bezpiecznie myśleć tak o Tleilaxanach – odparła Anteac. – Musimy się przygotować na najgorsze. Przyprowadź tu jedną z tych rybomównych!



Nieustanne działania wojenne tworzą własne warunki społeczne, podobne we wszystkich epokach. Ludzie przechodzą w stan stałej gotowości do odparcia ataku. Pojmują absolutne rządy autokracji. Wszystko nowe staje się niebezpiecznym, frontowym rejonem – nowe planety, nowe obszary ekonomicznej eksploatacji, nowe idee czy wynalazki, goście; wszystko to jest podejrzane. Feudalizm zdobywa mocne oparcie, czasami w przebraniu politbiura lub podobnej struktury, ale zawsze jest obecny. Dominuje dziedziczenie władzy. Ci wiceregeni niebios rozdzielają bogactwa. Wiedzą też, że muszą kontrolować dziedziczenie, bo inaczej ich władza stopnieje. Czy teraz rozumiecie Pokój Leto?

– *Wykradzione dzienniki*

– Czy powiadomiono Bene Gesserit o nowym harmonogramie? – spytał Leto.

Jego orszak wszedł w pierwsze płytkie wcięcie drogi, która miała następnie wznosić się i opadać, zbliżając się do mostu nad rzeką Idaho. Słońce stało w pierwszej porannej ćwiartce i kilku dworzan zdjęło płaszcze. Idaho szedł z małym oddziałem rybomównych na lewej flance, a jego mundur był już zakurzony i przepocony. Marsz, a czasem trucht z prędkością królewskiego powozu był ciężką pracą.

Moneo potknął się i opamiętał.

– Powiadomiono je, Panie. – Zmiana harmonogramu nie była rzeczą łatwą, ale przywykł już do doraźnych przesunięć w programie święta. Miał zawsze gotowe plany zastępcze.

– Czy wciąż zabiegają o stałą ambasadę na Arrakis?

– Tak, Panie. Udzieliłem im zwykłej odpowiedzi.

– Zwykle „nie” powinno wystarczyć – rzekł Leto. – Nie trzeba im ciągle przypominać, że ich religijne ambicje budzą moje obrzydzenie.

– Tak, Panie.

Moneo trzymał się powozu Leto w przepisowej odległości. Czerw był tego ranka bardzo aktywny. Sygnały wysyłane przez wielkie ciało były oczywiste. To wilgoć w powietrzu, niewątpliwie. Ona niezmiennie sprowadzała Czerwia.

– Religia zawsze prowadzi do retorycznego despotyzmu – powiedział Leto. – Przed Bene Gesserit najlepsi w tym byli jezuici.

– Jezuici, Panie?

– Z pewnością trafiłeś na nich w dziełach historycznych?

– Nie jestem pewien, Panie. Kiedy to było?

– Mniejsza z tym. Dowiesz się dosyć o retorycznym despotyzmie, badając Bene Gesserit. One oczywiście nie mają złudzeń.

„Matki Wielebne czekają trudne chwile – pomyślał Moneo. – On zamierza wygłosić im kazanie. Nie cierpią tego. Mogą być poważne kłopoty”.

– Jaka była ich reakcja? – spytał Leto.

– Powiedziano mi, że były rozczarowane, ale nie naciskały.

„Lepiej będzie przygotować je na dalsze rozczarowania – stwierdził Moneo. – Trzeba też trzymać je z dala od delegacji Ixa i Tleilaxa. To może prowadzić do jakiejś paskudnej intrygi. Muszę ostrzec Duncana”.

– Prowadzi do samospełniających się prorocstw i usprawiedliwiania wszelkiego rodzaju nieprzyzwoitości – rzekł Leto.

– Ten... retoryczny despotyzm?

– Tak. Otacza zło murami przeświadczenia o własnej słuszności, których nie mogą przeniknąć dowody przeciw złu.

Moneo czujnie przyglądał się ciału Leto, notując w pamięci niemal przypadkowe ruchy rąk i podrygiwanie wielkich segmentów. „Co zrobię, jeżeli przeważy tu u niego Czerw?” Pot wystąpił mu na czoło.

– On się żywi rozmyślnie zawikłanymi znaczeniami, by zdyskredytować opozycję – powiedział Leto.

– Wszelki despotyzm, Panie?

– Jezuici nazywali to „troską o podstawy władzy”. Prowadzi to wprost do hipokryzji, która zawsze zdradza się rozziwem między działaniami a ich wyjaśnieniami. Nigdy nie są one zgodne.

– Muszę to przestudiować uważniej, Panie.

– W końcu podstawą rządów staje się wina, bo hipokryzja wiedzie do polowań na czarownice i szukania kozłów ofiarnych.

– To straszne, Panie.

Orszak minął zakręt. Wśród skał mignął lśniący w dali most.

– Moneo, słuchasz uważnie?

– Tak, Panie. Oczywiście.

– Opisuję narzędzia władzy religijnej.

– Rozumiem, Panie.

– Dlaczego więc jesteś taki wystraszony?

– Rozmowy o władzy religijnej zawsze mnie niepokoją, Panie.

– Bo ty i rybomówne sprawujecie ją w moim imieniu?

– Oczywiście, Panie.

– Podstawy władzy są bardzo niebezpieczne, gdyż przyciągają ludzi naprawdę szalonych, ludzi, którzy szukają władzy dla samej władzy. Rozumiesz?

– Tak, Panie. Dlatego tak rzadko spełniasz prośby o stanowisko w twoim rządzie.

– Znakomicie, Moneo!

– Dziękuję, Panie.

– W cieniu każdej religii czai się Torquemada – powiedział Leto. – Wiem, że nigdy nie natknąłeś się na to nazwisko, bo kazałem je usunąć ze wszystkich zapisów.

– Dlaczego, Panie?

– Był plugastwem. Robił żywe pochodnie z ludzi, którzy się z nim nie zgadzali.

Moneo ściszył głos.

– Jak ty z historyków, którzy cię rozgniewali, Panie?

– Kwestionujesz moje postępowanie, Moneo?

– Nie, Panie.

– To dobrze. Historycy umarli spokojnie. Żaden nie poczuł płomieni. Tymczasem Torquemada napawał się poświęcaniem swemu bogu krzyków agonii płonących ofiar.

– To okropne, Panie!

Dwór minął kolejny zakręt z widokiem na most. Odległość wcale nie wydawała się mniejsza.

Moneo znów przyjrzał się Bogu Imperatorowi. Wyglądało na to, że Czerw się nie zbliża, ale i tak był za blisko. Moneo czuł groźbę tej nieprzewidywalnej obecności, Świętej Obecności, która potrafiła zabijać bez ostrzeżenia.

Przeszedł go dreszcz.

Co znaczyło to dziwne... kazanie? Wiedział, że niewielu słyszało Boga Imperatora mówiącego w taki sposób. Był to przywilej, ale i brzemię. Była to część ceny płaconej za Pokój Leto. Pokolenie za pokoleniem maszerowało w nakazany sposób przez ten pokój. Tylko wewnętrzny krąg cytadeli wiedział wszystko o sporadycznych jego naruszeniach – „incydentach”, kiedy to wysyłano rybomówne w miejsca, gdzie przewidywane było użycie przemocy.

„Przewidywanie!”

Moneo spojrzał na milczącego Leto. Oczy Boga Imperatora były zamknięte, a na twarzy pojawił się wyraz zadumy. Była to kolejna oznaka bliskości Czerwia, zła oznaka. Moneo zadrżał.

Czy Leto przewidywał nawet własne gwałtowne wybuchy? To właśnie jego przewidywanie przemocy napępiało lękiem całe Imperium. Leto wiedział, gdzie umieścić strażę, by stłumić efemeryczne powstania. Wiedział to, zanim one wybuchały.

Już od samego myślenia o takich sprawach Moneo zasychało w gardle. Wierzył, że Bóg Imperator może niekiedy czytać w myślach. Och, Leto zatrudniał szpiegów. Od czasu do czasu zakapturzone postacie, przepuszczane przez rybomówne, wspinały się na wieżę Leto albo zstępowały do krypty. Bez wątpienia byli to szpiedzy, ale Moneo podejrzewał, że Leto wykorzystuje ich tylko do potwierdzenia tego, co już wie.

– Nie zmuszaj się do zrozumienia moich metod, Moneo – rzekł Leto, jakby chciał wzmocnić obawy marszałka dworu. – Niech zrozumienie przyjdzie samo z siebie.

– Postaram się.

– Nie, nie staraj się. Powiedz mi raczej, czy już ogłosiłeś, że nie będzie zmian w przydziale przyprawy.

– Jeszcze nie, Panie.

– Wstrzymaj się z tym. Jeszcze się zastanowię. Wiesz, oczywiście, że będą próby przekupstwa?

Moneo westchnął. Wysokości proponowanych mu łapówek były absurdalne, Leto jednak najwyraźniej bawiła ta eskalacja cen. „Naciągaj ich – mawiał. – Zobacz, jak wysoko zajdą. Niech im się zdaje, że w końcu dasz się przekupić”.

Minęli kolejny zakręt z widokiem na most.

– Czy ród Corrinów proponował ci łapówkę? – spytał Bóg Imperator.

– Tak, Panie.

– Znasz mit mówiący, że pewnego dnia ród Corrinów powróci do władzy?

– Słyszałem o tym, Panie.

– Każ zabić Corrina. To zadanie dla Duncana. Wypróbujemy go.

– Tak szybko, Panie?

– Wiadomo, że melanz potrafi przedłużać ludzkie życie. Niech się dowiedzą, że może je również skracać.

– Jak rozkażesz, Panie.

Moneo odpowiadał tak, ilekroć nie mógł głośno wyrazić sprzeciwu, jaki odczuwał. Wiedział, że Leto rozumie to i że go to bawi. Owo rozbawienie sprawiało mu ból.

– Staraj się nie być niecierpliwy, Moneo.

Marszałek dworu zdławił uczucie goryczy. Gorycz sprowadza zagrożenie. Buntownicy byli rozgoryczeni. Duncanowie stawali się tacy, zanim ginęli.

– Czas ma dla ciebie inne znaczenie niż dla mnie, Panie – powiedział Moneo. – Chciałbym poznać to znaczenie.

– Mógłbyś, ale nie poznasz.

Moneo usłyszał w tych słowach przyganę i zamilkł. Wrócił myślami do problemów z melanzem. Pan Leto nieczęsto mówił o przyprawie, a wtedy zwykle chodziło o przydziały lub ich wycofanie, o rozdział nagród lub wysłanie rybomównych po jakiś nowo odkryty zapas. Moneo wiedział, że największy skład przyprawy znajduje się w miejscu znanym tylko Bogu Imperatorowi. W pierwszych dniach służby założono mu kaptur i sam Pan Leto zaprowadził go do tego miejsca krętymi, podziemnymi przejściami.

„Kiedy zdjąłem kaptur, byliśmy w podziemiach”.

Tamto miejsce nappełniło Moneo lękiem. Wielkie pojemniki z melanzem stały wszędzie w gigantycznej hali wykutej w litej skale i oświetlonej staroświeckimi lumisferami o metalowych arabeskach. W słabym srebrnym świetle lamp przyprawa jarzyła się błękitem. I ten zapach – gorzkiego

cynamonu, nie do pomylenia. Gdzieś w pobliżu kapła woda. Głosy odbijały się echem od skał.

– Kiedyś wszystko to się skończy – powiedział Leto.

– Co wtedy zrobią Gildia i Bene Gesserit? – spytał wstrząśnięty Moneo.

– To, co robią teraz, tylko gwałtowniej.

Rozglądając się po tej gigantycznej hali, mieszczącej kolosalną ilość melanżu, Moneo był w stanie myśleć tylko o tym, co się dzieje w owej chwili w Imperium – o krwawych zabójstwach, pirackich rajdach, szpiegowaniu i intrygach. Bóg Imperator dławił co najgorsze, ale reszta była wystarczająco zła.

– Pokusa – szepnął.

– Rozumie się, pokusa.

– Czy nie będzie już nigdy więcej melanżu, Panie?

– Kiedyś odejdę do piasku. Wtedy stanę się źródłem przyprawy.

– Ty, Panie?

– I stworzę coś równie cudownego... nowe piaskowe trocie. Hybrydę, płodną i rozmnażającą się.

Drżąc w obliczu tej rewelacji, Moneo wpatrywał się w pogrążoną w cieniu postać Boga Imperatora mówiącego o takich cudach.

– Piaskowe trocie – mówił Leto – połączą się w wielkie żywe bąble, które wchłoną wodę planety i uniosą ją głęboko, jak w czasach Diuny.

– Całą wodę, Panie?

– Większą jej część. Za trzysta lat znów będą tu królować czerwie pustyni. Będzie to nowy rodzaj czerwia, obiecuję ci to.

– Jak to, Panie?

– Będzie miał zwierzęcą świadomość i nową przebiegłość. Zdobywanie przyprawy stanie się bardziej niebezpieczne, a przechowywanie jeszcze ryzykowniejsze.

Moneo podniósł wzrok na kamienny strop jaskini, sięgając wyobraźnią przez skałę ku powierzchni.

– Wszędzie znów będzie pustynia, Panie?

– Rzeki i kanaty zapełnią się piaskiem. Plony zostaną zdławione i zniszczone. Drzewa skryją się pod wielkimi ruchomymi wydhami. Zabójczy piasek będzie się rozprzestrzeniał, dopóki... w jałowej krainie nie rozlegnie się ledwie uchwytny sygnał.

– Jaki sygnał, Panie?

– Sygnał początku następnego cyklu, przyjścia Stworzyciela, nadejścia Szej-huluda.

– Czy to będziesz ty, Panie?

– Tak. Wielki czerw Diuny raz jeszcze wstanie z głębin. Ta ziemia będzie znowu domeną przyprawy i czerw.

– A co z ludźmi, Panie? Z wszystkimi ludźmi.

– Wielu zginie. Plantacje i bujna roślinność zostaną wypalone przez słońce. Bydło wymrze z braku paszy.

– Czy wszyscy będą głodować, Panie?

– Niedożywienie i dawne choroby powrócą. Przeżyją tylko najtwardsi i najbrutalniejsi.

– Czy musi tak być, Panie?

– Alternatywa jest gorsza.

– Opowiedz mi o niej, Panie.

– Poznasz ją w swoim czasie.

Teraz, wędrując w porannym świetle do Onn obok Boga Imperatora, Moneo mógł tylko przyznać, że istotnie, poznał alternatywne zło.

Zdawał sobie sprawę, że u większości uległych obywateli Imperium wiedza, którą on miał, pochodziła z przekazów ustnych, mitów i niestworzonych historii opowydanych przez szalonych proroków, jacy pojawiali się na coraz to nowych planetach, by na krótko znaleźć wyznawców.

„Wiem jednak, co robią rybomówne”.

Wiedział też o ludzkich potworach przyglądających się mękom swoich braci zza stołów pełnych smakołyków.

Dopóki nie zjawiły się rybomówne i krew nie zmyła podobnych scen.

– Podobało mi się, jak twoja córka mnie obserwowała – powiedział Leto.

– Nie była świadoma, że wiem o tym.

– Panie, lękam się o nią! To moja krew, moja...

– Moja też, Moneo. Czyż nie jestem Atrydą? Lękaj się raczej o siebie.

Marszałek dworu obrzucił niespokojnym wzrokiem ciało Boga Imperatora. Sygnały wciąż wskazywały bliskość Czerwia. Spojrzał na orszak z tyłu, potem na drogę z przodu. Byli teraz na stromym zejściu wyciętym w wysokich skalnych ścianach klifowej bariery otaczającej Serir.

– Siona niczym mnie nie uraziła, Moneo.

– Ale ona...

– Moneo, w tej zagadkowej otoczce jest jeden z największych sekretów życia. Być *zaskakiwanym*, widzieć, jak się dzieje coś nowego, oto, czego pragnę najbardziej.

– Panie, ja...

– Nowość! Czyż to nie promienne, cudowne słowo?

– Jeśli tak mówisz, Panie.

Leto był zmuszony przypomnieć sobie: „Moneo to moje dzieło. Ja go stworzyłem”.

– Twoja córka jest dla mnie bezcenna, Moneo. Potępiasz jej towarzyszy, ale może być wśród nich ktoś, kogo pokocha.

Moneo mimowolnie spojrzał na Duncana Idaho maszerującego z tylną strażą. Idaho wpatrywał się w przód, jakby chciał wybadać każdy zakręt drogi, zanim do niego dojdą. Nie podobało mu się to miejsce otoczone wysokimi ścianami skalnymi, z których mógł nastąpić atak. Wprawdzie wysłał tu w nocy zwiad i Moneo wiedział, że niektóre jeszcze się czają na wyżynach, ale były też przed nimi wąwozy, które należało minąć, idąc nad rzekę. Straży nie było tyle, by rozstawić je wszędzie.

– Będziemy polegać na Fremenach – powiedział marszałek.

– Fremenach? – Idaho nie spodobało się to, co usłyszał o Muzealnych Fremenach.

– Podniosą przynajmniej alarm na widok obcych.

– Widziałeś ich i poprosiłeś o to?

– Oczywiście.

Moneo nie ośmielił się poruszyć z Idaho tematu Siony. Będzie na to czas później, teraz jednak Bóg Imperator powiedział rzecz niepokojącą. Czy nastąpiła kolejna zmiana planów?

Znowu przeniósł wzrok na Boga Imperatora i ściszył głos.

– Pokocha towarzysza, Panie? Przecież mówiłeś, że Duncan...

– Mówiłem o *miłości*, a nie o *parzeniu się*.

Moneo zadrżał, przypominawszy sobie, jak zaaranżowano jego małżeństwo, odrywając go od...

„Nie, lepiej nie wracać do tych wspomnień!”

Było uczucie, nawet prawdziwa miłość... później, ale w tych pierwszych dniach...

– Znowu bujasz w obłokach, Moneo?

– Wybacz, Panie, ale kiedy mówisz o miłości...

– Uważasz, że nie mieszkam czułych myśli?

– To nie to, Panie, ale...

– Myślisz więc, że nie mam wspomnień związanych z miłością i łączeniem się w pary?

Powóz skręcił ku Moneo, zmuszając go do odskoczenia. Przeraził go groźny wyraz twarzy Leto.

– Panie, błagam o...

– To *ciało* może i nie zaznało takich czułości, ale *wszystkie* wspomnienia są moje!

Moneo widział, że oznaki Czerwia coraz bardziej dominują w ciele Boga Imperatora. Nie można było przymknąć na to oczu.

„Jestem w wielkim niebezpieczeństwie. Wszyscy jesteście”.

Słyszał wszystkie dźwięki dookoła: skrzypienie powozu, pokasływanie i ciche rozmowy w orszaku, kroki na drodze. Od Boga Imperatora dochodził mocny zapach cynamonu. Między otaczającymi ich skalnym ścianami wciąż utrzymywały się poranny chłód i wilgoć znad rzeki. Czy to wilgoć przyciąga Czerwia?

– Moneo, słuchaj mnie tak, jakby od tego zależało twoje życie.

– Tak, Panie – wyszeptał marszałek dworu. Wiedział, że jego życie naprawdę zależy od uwagi, z jaką nie tylko słucha, ale i obserwuje.

– Część mnie skrywa się zawsze głęboko i nie myśli o niczym – mówił Leto. – Ta część po prostu reaguje. Działa, nie troszcząc się o wiedzę czy logikę.

Moneo skinął głową, nie odrywając wzroku od twarzy Boga Imperatora. Czy jego oczy stały się szkliste?

– Zmuszony jestem stać z boku i przyglądać się temu, nic więcej. Taka reakcja może cię zabić. Wybór nie należy do mnie, słyszysz?

– Tak, Panie – wyszeptał Moneo.

– W takim wypadku nie masz wyboru! Przyjmujesz to, po prostu przyjmujesz. Nigdy tego nie zrozumiesz ani nie poznasz. Co powiesz na to?

– Boję się nieznanego, Panie.

– A ja nie. Powiedz mi dlaczego.

Moneo spodziewał się takiego kryzysu i teraz, gdy kryzys ten nadszedł, prawie się ucieszył. Wiedział, że jego życie zależy od tej odpowiedzi. Wpatrywał się w Boga Imperatora, a jego myśli gnały jak szalone.

– To przez wszystkie twoje wspomnienia, Panie.

– Tak?

Odpowiedź była więc niepełna. Moneo szukał słów.

– Widzisz wszystko, co wiemy... wszystko, co kiedyś było... nieznane!
Dla ciebie niespodzianka... musi być czymś nowym, czego jeszcze nie poznałeś?

Zdał sobie sprawę, że wypowiedział z obronną, pytającą intonacją coś, co powinno być śmiałym stwierdzeniem, ale Bóg Imperator tylko się uśmiechnął.

– Za taką mądrość spełnię twoje życzenie, Moneo. Czego pragniesz?

Nagła ulga otworzyła tylko furtkę innym lękom.

– Czy mogę znów sprowadzić Sionę do cytadeli?

– Musiałbym wcześniej poddać ją próbie.

– Trzeba ją oddzielić od jej towarzyszy, Panie.

– Dobrze więc.

– Mój Pan jest łaskawy.

– Jestem samolubny.

Bóg Imperator odwrócił się od Moneo i pograżył w milczeniu.

Patrząc na segmenty jego ciała, marszałek dworu stwierdził, że oznaki bliskości Czerwia nieco złagodniały. Wszystko więc dobrze się skończy. Ale potem pomyślał o Fremenach z ich petycją i lęk powrócił.

„To był błąd. Znowu go pobudzą. Dlaczego powiedziałem, że mogą przedstawić swoją petycję?”

Fremeni będą czekali po tej stronie rzeki, machając swymi głupimi papierami.

Moneo maszerował w milczeniu, a złe przeczucia narastały w nim z każdym krokiem.



*Tu się wzbija piach, tam się wzbija piach.
Tam czeka bogacz, tutaj czekam ja.*

– Głos Szej-huluda z przekazów ustnych

Relacja siostry Chenoeh znaleziona po śmierci w jej dokumentach.

Posłuszna zarówno doktrynie Bene Gesserit, jak i poleceniu Boga Imperatora, wycofuję ten zapis z mego sprawozdania i ukrywam go tam, gdzie może zostać znaleziony po mej śmierci. Pan Leto powiedział mi

bowiem: „Wrócisz do swych przełożonych z moim posłaniem, ale te słowa zachowasz na razie w sekrecie. Wywrę mój gniew na waszym zgromadzeniu, jeśli mnie zawiedziesz”.

A Matka Wielebna Syaksa ostrzegła mnie przed moim odjazdem: „Nie wolno ci zrobić niczego, co ściągnęłoby na nas jego gniew”.

Kiedy towarzyszyłam Panu Leto w tej krótkiej podróży, postanowiłam zapytać, co go łączy z Matkami Wielebnymi.

– Panie – powiedziałam – wiem, jak Matki Wielebne zdobywają wspomnienia swoich przodków i innych ludzi. A jak było z tobą?

– To był plan naszej genetycznej przeszłości i dzieło przyprawy. Moja bliźniacza siostra Ganim i ja zostaliśmy przebudzeni w łonie matki, ożywieni przed urodzeniem w obliczu wspomnień naszych przodków.

– Panie... moje zgromadzenie nazywa to Złym Duchem.

– I słusznie – rzekł Pan Leto. – Mnogość twoich przodków może wziąć nad tobą górę. I skąd można wiedzieć, jaka siła przejmie nad nimi władzę: dobro czy zło?

– A ty, Panie, jak pokonałeś tę siłę?

– Nie pokonałem jej – odparł Pan Leto – ale uporczywe naśladowanie modelu farańskiego uratowało nas, Gani i mnie. Znasz ten model, siostró Chenoeh?

– My, wychowanki zgromadzenia, mamy dobre wykształcenie historyczne, Panie.

– Owszem, ale nie myślisz o historii tak jak ja – powiedział Pan Leto. – Ja mówię o chorobie rządzenia, na którą zapadli Grecy. Grecy zarazili nią Rzymian, a ci roznieśli ją tak szeroko i daleko, że nigdy nie wygasła.

– Mój Pan mówi zagadkami?

– To nie zagadka. Nienawidzę tej choroby, ale ona nas uratowała. Gani i ja zawarliśmy wewnętrzne przymierze z przodkami, którzy stosowali kiedyś model farański. Pomogli nam stworzyć połączoną tożsamość w tym długo uśpionym tłumie.

– Myślę, że to niepokojące, Panie.

– I powinnaś tak myśleć.

– Dlaczego mówisz mi to teraz, Panie? O ile wiem, nigdy nie odpowiedziałeś tak żadnej z nas.

– Bo jesteś dobrą słuchaczką, siostró Chenoeh, będziesz mi posłuszna i już nigdy cię nie zobaczę. – Powiedziawszy te dziwne słowa, zapytał: –

Dlaczego nie pytasz mnie o to, co wasze zgromadzenie nazywa mą „szaleńczą tyranią”?

– Panie, wiemy o twoich krwawych egzekucjach – zaryzykowałam, ośmielona jego zachowaniem. – Niepokoją nas one.

Wtedy Pan Leto zrobił coś dziwnego. Zamknął oczy i rzekł:

– Wiem, że nauczono cię zapamiętywać słowa, które słyszysz, zatem przemówię teraz do ciebie, siostro Chenoeh, jakbyś była stroną mego dziennika. Zachowaj te słowa jak należy, nie chcę bowiem, by zostały utracone.

Zapewniam moje zgromadzenie, że poniższe słowa wypowiedział wówczas w tej właśnie formie Pan Leto.

„Jestem pewny, że gdy nie będę już obecny wśród was świadomie, gdy stanę się napawającym lękiem stworzeniem pustyni, wielu będzie postrzegało mnie, oglądając się na przeszłość, jako tyrana.

Całkiem słusznie. Byłem tyranem.

Tyranem – niezupełnie człowiekiem, nie szaleńcem, po prostu tyranem. Nawet zwykli tyrani mają jednak motywy i uczucia wykraczające poza te, które przypisują im zwykle powierzchowni historycy, ci zaś będą myśleć o mnie jako o *wielkim* tyranie. Tak więc moje uczucia i motywy są dziedzictwem, które zachowam, żeby historia zbyt mocno ich nie zniekształciła. Historia lubi uwydatniać pewne cechy, pozbywając się innych.

Ludzie będą się starali mnie pojąć i opisać własnymi słowami. Będą szukać prawdy. Prawda jednak zawsze niesie w sobie dwuznaczność słów, którymi się ją wyraża.

Nie zrozumiecie mnie. Im usilniej będziecie się starać, tym odleglejszy będę, aż w końcu zniknę w wieczystym micie... i stanę się Żywym Bogiem!

Tak to wygląda, rozumiesz? Nie jestem przywódcą ani nawet przewodnikiem. Jestem Bogiem. Zapamiętaj to. Jestem zupełnie inny niż przywódcy i przewodnicy.

Bogowie nie odpowiadają za nic poza aktem stworzenia. Bogowie akceptują wszystko i przez to nie akceptują niczego. Bogowie muszą być rozpoznawalni, a jednak pozostają anonimowi. Bogowie nie potrzebują świata duchowego. Moje duchy żyją we mnie, odpowiadając na najcichsze wezwania. Sprawia mi to przyjemność, więc dzielę się z tobą tym, czego się dowiedziałem o nich i od nich. One są *moją* prawdą.

Strzeż się tej prawdy, miła siostró. Choć poszukiwana przez wielu, prawda może być niebezpieczna dla szukającego. Zawsze łatwiej znaleźć mity i kłamstwa i w nie uwierzyć. Jeśli znajdziesz prawdę, choćby tymczasową, zażąda ona od ciebie bolesnych zmian. Ukrywaj prawdę w słowach. Będzie cię chronić ich przyrodzona wieloznaczność. Słowa dużo łatwiej przyswoić niż ostre pchnięcia niemych delfickich przekazów. Możesz dzięki nim wołać w chórze: „Dlaczego nikt mnie nie ostrzegł?”

Ale ja was ostrzegałem. Ostrzegałem was przykładem, nie słowami.

Słów nieuchronnie jest więcej niż dosyć. Nawet teraz zapisujesz je w swojej cudownej pamięci. Pewnego dnia zostaną odkryte moje dzienniki – więcej słów. Ostrzegam was, że czytacie moje słowa na własne ryzyko. Tuż pod ich powierzchnią biegnie cichy nurt straszliwych wydarzeń. Bądźcie głusi! Nie musicie słyszeć, a jeśli słyszycie – zapamiętywać. Jak kojąco jest zapominać! I jak niebezpiecznie!

Słowom takim jak moje od dawna przypisywano tajemniczą moc. Jest w nich tajemna wiedza, której można użyć, by rządzić zapominającymi. Moje prawdy są esencją mitów i kłamstw, na które tyrani zawsze liczyli, by manipulować masami dla własnych celów.

Widzisz? Dzielę się z tobą tym wszystkim, nawet największą tajemnicą wszech czasów, według której tworzę swoje życie. Objawiam ci ją słowami: »Jedyna przeszłość, która przetrwa, tkwi w tobie bez słów«”.

I tu Pan Leto zamilkł.

– Czy to wszystkie słowa, które mój Pan chciałby zachować? – odważyłam się spytać.

– To te słowa – odpowiedział Bóg Imperator i wydało mi się, że jest zmęczony, zniechęcony. Mówił tonem kogoś, kto dyktuje swą ostatnią wolę. Przypomniałam sobie, jak oznajmił, że mnie już nie zobaczy, i przestraszyłam się, ale dziękuję moim nauczycielkom, bo strach nie pojawił się w moim głosie.

– Panie Leto, dla kogo są pisane dzienniki, o których mówisz? – spytałam.

– Dla potomności odległej o tysiąclecia. Wyobrażam sobie tych odległych czytelników, siostró Chenoeh. Myślę o nich jak o dalekich kuzynach pełnych rodzinnej ciekawości. Oni zamierzają rozwikłać dramaty, o których tylko ja mogę im opowiedzieć. Chcą znaleźć osobiste związki z własnym życiem. Chcą znaczeń, *prawdy*!

– Ty jednak przestrzegasz nas przed prawdą, Panie – zauważyłam.

– Istotnie! Cała historia to posłuszne narzędzie w moich rękach. Oooh, zgromadziłem wszystkie te przeszłości i znam każdy fakt... a jednak te fakty są moje, mogę ich użyć według woli i nawet używając ich zgodnie z prawdą, zmieniam je. Jakim sposobem mówię teraz do ciebie? Czym jest pamiętnik, dziennik? Słowami.

Pan Leto zamilkł. Rozważałam znaczenie tego, co powiedział, zestawiając to z napomnieniem Matki Wielebnej Syaksy i z tym, co Bóg Imperator powiedział mi wcześniej. Mówił, że jestem jego wysłanniczką, czułam więc, że znajduję się pod jego ochroną i mogę się odważyć na więcej niż inni.

– Panie Leto, mówiłeś, że nie zobaczysz mnie więcej. Czy to znaczy, że wkrótce umrzesz? – spytałam.

Przysięgam, że Pan Leto się roześmiał.

– Nie, miła siostró – rzekł. – To ty umrzesz. Nie zostaniesz Matką Wielebną. Nie smuć się tym, bo przez swoją tu obecność, przez dostarczenie mego przesłania zgromadzeniu i dzięki zachowaniu mych słów osiągniesz o wiele wyższy status. Staniesz się nieodłączną częścią mojego mitu. Nasi dalecy kuzynowie będą się modlić do ciebie za sprawą tego spotkania.

I znów Pan Leto się zaśmiał, ale nie było w tym złośliwości, i uśmiechnął się do mnie ciepło. Trudno mi opisać te zdarzenia tak dokładnie, jak zwykle to robię, bo gdy Pan Leto mówił te straszne słowa, poczułam, że jestem z nim złączona głęboką przyjaźnią. Jakby coś materialnego przeskoczyło między nim a mną, wiążąc nas w sposób niemożliwy do opisania słowami. W chwili tego dziwnego doświadczenia pojęłam, co on rozumie przez „prawdę bez słów”. To się stało, a jednak nie potrafię tego opisać.

Nota archiwistki.

W obliczu późniejszych wydarzeń odkrycie tego osobistego zapisu stanowi zaledwie przyczynek do historii, choć interesujący, jest on bowiem jedną z pierwszych wzmianek o tajnych dziennikach Boga Imperatora. Zainteresowanych odsyłamy do zapisów archiwalnych pod hasłami: „Chenoeh, święta siostra Kwintynius Violet, Raport” oraz „Odrzucenie melanżu, aspekty medyczne”.

(Przypis: Siostra Kwintynius Violet Chenoeh zmarła w pięćdziesiątym trzecim roku pobytu w zgromadzeniu. Przyczyną zgonu była nietolerancja melanżu stwierdzona podczas próby uzyskania statusu Matki Wielebnej.)



Nasz przodek, Aszurnasirpal, sławny z okrucieństwa, objął tron, zabiwszy własnego ojca, i dał początek rządowi miecza. Jego podboje objęły rejon jeziora Urmia, co zawiodło go do Kommageny i Chaburu. Jego syn odbierał już daninę od Szuitów, Tyru, Sydonu, Byblos, a nawet od Jehu, syna Omriego, którego imię budziło grozę w tysiącach. Podboje rozpoczęte przez Aszurnasirpala zaprowadziły armie do Medii, a potem do Izraela, Damaszku, Edomu, Arpadu, Babilonu i Umlas. Czy ktokolwiek pamięta jeszcze te nazwy i miejsca? Dałem wam dość wskazówek. Spróbujcie wskazać tę planetę!

– Wykradzione dzienniki

Powietrze znieruchomiało w głębi wykopu, którym Królewski Trakt zmierzał do płaszczyzny przed mostem nad rzeką Idaho. Droga skręcała w prawo, wybiegając ze stworzonego ludzką ręką ogromu kamienia i ziemi. Idący obok królewskiego powozu Moneo widział wstęgę jej kamiennej nawierzchni wiodącą poprzez wąski grzbiet do koronki z plastali – odległego o kilometr mostu.

Rzeka, płynąca wciąż w głębokim wąwozie, skręcała ku niemu z prawej, a potem biegła prosto po wielostopniowych kaskadach ku drugiej stronie Zakazanego Lasu, gdzie ograniczające ją ściany opadały prawie do poziomu wody. Tam, na obrzeżach Onn, znajdowały się sady i ogrody pomagające wyżywić miasto.

Patrząc na odległe pasmo rzeki, Moneo spostrzegł, że szczyt kanionu kapie się w blasku słońca, woda zaś płynie w cieniu naruszonym jedynie słabym srebrnym migotaniem kaskad.

Wprost przed nim droga lśniła w słońcu, a głębokie cienie żlebów po obu stronach odchodziły od niej niczym strzałki wskazujące właściwy szlak. Wznoszące się słońce rozgrzało już nawierzchnię. Powietrze drgało nad nią, zapowiadając gorący dzień.

„Dotrzemy do miasta przed najgorszym upałem” – pomyślał Moneo.

W tym miejscu zawsze zaczynał się niecierpliwić. Szedł, wypatrując Muzealnych Fremenów z petycją. Wiedział, że wyjdą z któregoś żlebu po tej stronie mostu. Takie zawarł z nimi porozumienie. Nie było sposobu, by ich teraz zatrzymać, a Bóg Imperator wciąż okazywał oznaki Czerwia.

Leto pierwszy usłyszał Fremenów.

– Słuchajcie! – zawołał.

Moneo był już w pogotowiu.

Leto przetoczył ciało po powozie, wygiął się w łuk, wysuwając z kopuły, i patrzył przed siebie.

Marszałek dworu znał to zachowanie. Zmysły Boga Imperatora, o wiele czulsze niż otaczających go ludzi, wykryły jakieś zamieszanie. Fremeni zaczęli wychodzić na drogę. Moneo odstepił o krok i szedł na granicy zwyczajowej odległości od powozu. Wtedy sam ich usłyszał.

Rozległ się odgłos osypującego się żwiru.

Pojawili się też pierwsi Fremeni, wynurzając się ze żlebów po obu stronach drogi, nie dalej niż sto metrów przed orszakami.

Duncan Idaho rzucił się naprzód i zwolnił obok Moneo.

– Czy to ci Fremeni? – zapytał.

– Tak – odpowiedział Moneo, skupiając uwagę na Bogu Imperatorze, który opuścił swe wielkie ciało do powozu.

Muzealni Fremeni zebrali się na drodze. Zrzucili zewnętrzne szaty, ukazując czerwono-fioletowe pielgrzymie. Moneo wstrzymał oddech. Pod kolorowymi szatami Fremeni mieli jakieś czarne stroje. Stojący z przodu zaczęli machać zwojami papierów, a cała grupa, śpiewając i tańcząc, ruszyła ku królewskiemu orszakowi.

– Petycja, Panie! – wołali przywódcy. – Wysłuchaj naszej petycji!

– Duncan! – krzyknął Leto. – Usuń ich z drogi!

Rybotyczne rzuciły się przed siebie między dworzanami, gdy tylko krzyknął. Idaho machnął ręką w przód i zaczął biec ku zbliżającemu się tłumowi. Straż uformowała szyk klinowy z Idaho u szczytu.

Leto zatrzasnął kopułę powozu i zwiększył szybkość.

– Z drogi! Z drogi! – wołał.

Ujrzawszy nadbiegającą straż i przyspieszający powóz, Muzealni Fremeni rozstąpili się, jakby otwierając przejście środkiem drogi. Moneo zmuszony był biec obok powozu. Na chwilę skupił uwagę na odgłosach biegnących za nim dworzan, a potem dostrzegł pierwszą niespodziewaną zmianę wyglądu Fremenów.

Wszyscy w śpiewającym tłumie zrzucili pielgrzymie szaty i ukazali się w czarnych mundurach identycznych z mundurem Idaho.

„Co oni wyprawiają?” – zastanawiał się Moneo.

Jeszcze zadawał sobie to pytanie, gdy ujrzał, że twarze zbliżających się Fremenów topnieją, upodabniając się do twarzy Duncana Idaho.

– Maskaradnicy! – wrzasnął ktoś.

Leto również został zaskoczony zamieszaniem, odgłosem kroków biegnących i rozkazami rzucanymi przez formujące szyk rybomówne. Zwiększył prędkość powozu i doganiając straż, włączył syrenę. Rozległ się dezorientujący, szerokopasmowy szum, który działał nawet na przywykłe do niego rybomówne.

W tej właśnie chwili petenci zrzucili pielgrzymie szaty i zaczęli się przeobrażać, a ich twarze błyskawicznie przybierały rysy Duncana Idaho. Leto usłyszał krzyk: „Maskaradnicy!” Rozpoznał krzyczącego – męża rybomównej, urzędnika królewskiej księgowości.

Pierwszą reakcją Boga Imperatora było rozbawienie.

Straż i maskaradnicy starli się. Miejsce śpiewów zajęły wrzaski i krzyki. Leto rozróżnił bojowe komendy Tleilaxan. Rybomówne otoczyły ciasnym pierścieniem ubranego na czarno Duncana. Posłuszne powtarzanej nieraz przez Leto instrukcji, chroniły swego komendanta – gholę.

„Ale jak go odróżnią od innych?”

Leto prawie zatrzymał powóz. Po lewej widział rybomówne wymachujące bojowymi pałkami. Słońce błyskało na ostrzach noży. Potem rozległo się brzęczenie rusznic laserowych, dźwięk opisany kiedyś przez babkę Leto jako „najokropniejszy w naszym wszechświecie”. W awangardzie rozległy się chrapliwe krzyki i wrzaski.

Leto zareagował na pierwszy odgłos rusznic. Skreślił w prawo, przechodząc z kół na dryfy, i skierował powóz niczym taran w grupę maskaradników, którzy usiłowali włączyć się do walki. Lecąc po ciasnym łuku, wpadł na nich z drugiej strony i poczuł, jak plastał powozu miażdży ich ciała. Zobaczył czerwoną strugę krwi, a potem zjechał z drogi do żlebu. Brunatne ściany przemknęły obok niego. Wzbił się i spikował ponad kanionem ku wysokiej skale, z której miał widok na Królewski Trakt. Tam, poza zasięgiem rusznic laserowych, zatrzymał się i obrócił.

„Cóż za niespodzianka!”

Śmiech wstrząsnął konwulsyjnie jego ciałem. Ale potem wesołość powoli przygasła.

Ze swego punktu obserwacyjnego widział most i miejsce ataku. Splątane ciała leżały na całym polu bitwy i w przydrożnych żlebach. Rozpoznawał szaty dworzan, mundury rybomównych i splamione krwią czarne przebrania maskaradników. Ocalali dworzanie zgromadzili się z tyłu, rybomówne zaś przemykały wśród leżących i upewniały się o śmierci napastników szybkim pchnięciem nożem.

Leto przebiegł wzrokiem tę scenę, szukając czarnego munduru Duncana. Nie dostrzegł nikogo w takim mundurze, kto by stał. Nikogo! Stłumił ogarniające go rozczarowanie, a potem ujrzał pośród dworzan grupę rybomównych i... nagą postać między nimi.

„Naga!”

To był Duncan. „Nagi! Oczywiście!” Duncan Idaho bez munduru nie był maskaradnikiem.

Znów wstrząsnął nim śmiech. Niespodzianki z obu stron. Jaki to musiał być szok dla napastników! Oczywiście nie byli przygotowani na podobną reakcję.

Zleciał nad drogę, znów ustawił powóz na kołach i potoczył się w dół, ku mostowi. Przejechał go z uczuciem *déjà vu*, świadomy niezliczonych mostów, które przekraczał we wspomnieniach, by oglądać pobojojiska. Kiedy minął most, Idaho wyrwał się z pierścienia ochrony i pobiegł ku niemu, przeskakując i omijając ciała. Leto zatrzymał powóz i zapatrzył się w nagiego biegacza. Duncan wyglądał jak grecki wojownik, goniec spieszący do swego dowódcy, by donieść o wyniku bitwy. Ta kondensacja historii oszołomiła Leto i przygłuszyła wszystkie wspomnienia.

Idaho zatrzymał się przy powozie, a Leto otworzył kopułę.

– Przekłęci maskaradnicy, co do jednego! – wydyszał ghola.

– Czyj to był pomysł, to zdjęcie munduru? – spytał Leto, nie próbując ukryć rozbawienia.

– Mój! Ale one nie pozwoliły mi walczyć!

Nadbiegł Moneo z grupą strażniczek. Jedna z rybomównych rzuciła Idaho swój niebieski płaszcz.

– Staramy się zebrać kompletny mundur z tych ciał – zawołała.

– Zdarłem z siebie swój – wyjaśnił Idaho.

– Czy któryś z maskaradników uciekł? – zapytał Moneo.

– Ani jeden. Przyznaję, że twoje kobiety dobrze walczą, ale dlaczego nie pozwoliły mi...

– Miały rozkaz cię chronić – rzekł Leto. – Zawsze chronią to, co najcenniejsze.

– Cztery z nich zginęły, wyciągając mnie z bitwy!

– Łącznie straciliśmy ponad trzydziestu ludzi, Panie – powiedział Moneo.

– Wciąż jeszcze liczymy.

– A ilu było maskaradników? – zapytał Leto.

– Wygląda na to, że równo pięćdziesięciu, Panie. – Moneo mówił spokojnie, ale twarz miał zaciętą.

Leto parsknął śmiechem.

– Z czego się śmiesz? – spytał Idaho. – Trzydziestu twoich ludzi...

– Z głupoty Tleilaxan – odparł Leto. – Zrozum, że pięćset lat temu byliby znacznie niebezpieczniejsi. Wyobraź sobie, że ryzykują taką głupią maskaradę i że nie przewidują twojej błyskotliwej riposty.

– Mieli rusznice laserowe – zauważył Idaho.

Leto obrócił swe przednie segmenty i wskazał otwór wypalony w kopule niemal pośrodku powozu. Otaczały go gwiazdziste rozpryski.

– Trafili jeszcze w kilka miejsc na spodzie – powiedział. – Szczęście, że nie uszkodzili dryfów ani kół.

Idaho przyjrzał się otworowi w kopule i spostrzegł, że styka się on z ciałem Leto.

– Nie trafili cię? – spytał.

– Ależ tak.

– Jesteś ranny?

– Jestem niewrażliwy na ogień z rusznic – skłamał Leto. – Pokażę ci to w wolnej chwili.

– Cóż, ja nie jestem – rzekł Idaho. – Ani żadna z twoich strażniczek. Każde z nas powinno mieć pas z tarczą.

– Tarcze są zakazane w Imperium – odparł Leto. – Ich posiadanie to przestępstwo karane śmiercią.

– To pytanie, czym są tarcze – wtrącił Moneo.

Idaho pomyślał, że Moneo prosi o wyjaśnienie.

– Pas wytwarza pole siłowe, które odpycha każdy obiekt usiłujący w nie wejść z niebezpieczną szybkością – rzekł. – Tarcze mają jedną główną wadę. Jeśli przetniesz pole siłowe wiązką z rusznicy laserowej, następuje eksplozja porównywalna z wybuchem bomby termojądrowej. Atakujący i atakowany giną.

Moneo patrzył w milczeniu na Idaho, który skinął głową.

– Rozumiem, dlaczego są zakazane – powiedział Duncan. – Przypuszczam, że Wielka Konwencja przeciw broni atomowej nadal obowiązuje i działa?

– Działa jeszcze lepiej, odkąd odszukaliśmy arsenały atomowe rodów i przenieśli broń w bezpieczne miejsce – dodał Leto. – Nie mamy jednak czasu na rozmowy o tych sprawach.

– Omówmy jeszcze jedną – rzekł Idaho. – Chodzenie na otwartej przestrzeni jest niebezpieczne. Powinniśmy...

– To tradycja i będziemy ją kultywować – oznajmił Leto.

Moneo pochylił się do ucha Idaho.

– Pan Leto się niecierpliwi.

– Ale...

– Nie pomyślałeś, o ile łatwiej jest kontrolować ludzi, którzy *chodzą*?

Idaho spojrzał w oczy Moneo z nagłym zrozumieniem.

Bóg Imperator skorzystał z okazji, by wydać rozkazy.

– Moneo, dopilnuj, żeby nie pozostał tu żaden ślad napadu, plama krwi albo strzęp odzieży.

– Tak, Panie.

Idaho odwrócił się, usłyszawszy, że wokół nich gromadzą się ludzie, i ujrzał, że wszyscy ocaleni, nawet ranni w prowizorycznych opatrunkach, przyszli posłuchać.

– Mówię do wszystkich. – Leto zwrócił się do tłumu wokół powozu. – Ani słowa o tym. Niech Tleilaxanie się pomartwią. – Spojrzał na Idaho. – Duncan, jak ci maskaradnicy dostali się na teren, na którym wolno się poruszać tylko moim Fremenom?

Idaho spojrzał mimowolnie na Moneo.

– Panie, to moja wina – powiedział marszałek. – To ja uzgodniłem z Fremenami przedstawienie ci tu petycji. Uspokoilem nawet Duncana Idaho.

– Pamiętam, że wspomniałeś o petycji – przyznał Leto.

– Pomyślałem, że to cię może rozbawić, Panie.

– Petycje mnie nie bawią. Irytują mnie, zwłaszcza petycje ludzi, których jedynym zadaniem w moim planie jest zachowywanie dawnych form.

– To dlatego, Panie, że wiele razy podkreślałeś, jak cię nudzą te peregrynacje.

– Ale nie jestem tu po to, by rozpraszać nudę innych!

– Panie?

– Ci Muzealni Fremen nie rozumieją niczego z dawnych obyczajów. Potrafią tylko je udawać. To ich, rzecz jasna, nudzi i w swoich petycjach proszą o wprowadzenie zmian. To właśnie mnie irytuje. Nie pozwolę na żadne zmiany. A teraz, skąd się dowiedziałeś o tej rzekomej petycji?

– Od samych Fremenów – odpowiedział Moneo. – Dele... – Urwał i zmarszczył brwi.

- Znałeś członków tej delegacji?
- Oczywiście, Panie, inaczej bym nie...
- Oni już nie żyją – rzekł Idaho.

Moneo spojrzał na niego, nie rozumiejąc.

- Ludzie, których znałeś, zostali zabici i zastąpieni przez maskaradników – wyjaśnił Duncan.

– To moje zaniedbanie – powiedział Leto. – Powinienem was nauczyć rozpoznawać maskaradników. Naprawię to teraz, kiedy się tak rozzuchwalili.

- Skąd ta ich nagła śmiałość? – spytał Idaho.

- Może chcą odwrócić od czegoś naszą uwagę – odparł Moneo.

Leto uśmiechnął się do niego. Umysł marszałka dworu pracował sprawnie, mimo osobistego zagrożenia. Moneo zawiódł swego pana, biorąc maskaradników za znanych sobie Fremenów. Obecnie czuł, że jego dalsza służba może zależeć od zdolności, dla których wybrał go kiedyś Bóg Imperator.

- A teraz mamy czas, żeby się przygotować – rzekł Leto.

- Od czego chcą odwrócić naszą uwagę? – zapytał Idaho.

– Od innego spisku, w którym wezmą udział – odpowiedział Leto. – Myślą, że za ten ukarzę ich surowo, ale nie zniszczę, ze względu na ciebie, Duncan.

- Nie zamierzali tu przegrać – zauważył Idaho.

- Ale byli przygotowani i na tę ewentualność – odparł Moneo.

– Są przekonani, że ich nie zniszczę, bo przechowują oryginalne komórki mojego Duncana Idaho – powiedział Leto. – Rozumiesz, Duncan?

- Czy mają rację? – spytał Duncan.

– Są bliscy tego, by jej nie mieć – odrzekł Leto. Zwrócił się do Moneo. – Żaden ślad tego zajścia nie może zostać dostrzeżony w Onn. Nowe mundury, nowe strażniczki na miejsce zabitych i rannych... wszystko, jak było.

- Są zabici wśród dworzan, Panie.

- Zastąp ich. I sprowadź nową kopułę do mego powozu.

- Jak mój Pan każe.

Leto cofnął nieco powóz, obrócił go i skierował ku mostowi.

- Duncan, idziesz ze mną! – zawołał.

Idaho opuścił Moneo i pozostałych najpierw powoli i z ociąganiem, ale potem przyspieszył kroku, dotarł na wysokość otwartej pokrywy i szedł

obok pojazdu, patrząc na Boga Imperatora.

- Czym się gryziesz, Duncan? – zapytał Leto.
- Naprawdę myślisz o mnie jak o swoim Duncanie?
- Oczywiście. Tak jak ty myślisz o mnie jak o swoim Leto.
- Dlaczego nie przewidziałeś napadu?
- Za pomocą mego wychwalanego daru przewidywania?
- Tak.
- Maskaradnicy od dawna nie przyciągali mej uwagi.
- Przypuszczam, że to się zmieni.
- W niezbyt wielkim stopniu.
- Dlaczego?
- Bo Moneo ma rację: nie mogę pozwolić, by rozpraszano moją uwagę.
- Naprawdę mogli cię zabić?
- Istniała taka możliwość. Wiesz, Duncan, tylko nieliczni rozumieją, jaką katastrofą byłby mój koniec.
- Co planują Tleilaxanie?
- Pułapkę, jak sądzę. Jakąś uroczą pułapkę. Dali mi znak, Duncan.
- Jaki znak?
- Nastąpiła nowa eskalacja desperacji w motywach, którymi kierują się niektórzy moi poddani.

Minęli most i zaczęli się wspinać ku miejscu, z którego Leto oglądał bitwę. Idaho szedł w milczeniu.

Na szczycie Leto podniósł wzrok na odległe klify i jałowe ziemie Seriru.

Z pola walki za mostem wciąż dobiegały lamenty tych członków jego orszaku, którzy stracili swoich bliskich. Czuły słuch Leto pozwalał mu odróżnić głos Moneo przypominającego, że opłakiwanie musi być z konieczności krótkie. Mają innych bliskich w cytadeli i dobrze znają gniew Boga Imperatora.

„Ich łzy wyschną, a na ich twarzach pojawią się uśmiechy, kiedy dotrzemy do Onn – pomyślał Leto. – Myślą, że nimi pogardzam! Czy to ma znaczenie? To tylko przelotna uciążliwość dla krótkowzrocznych i przemijających”.

Widok pustyni uspokoił go. Ze swego miejsca, bez odwrócenia się ku Świątecznemu Miastu, nie mógł widzieć rzeki w jej kanionie. Stojący obok powozu Duncan zachowywał na szczęście milczenie. Patrząc nieco w lewo, Leto był w stanie dojrzeć skraj Zakazanego Lasu. Na tle tego przeblysku zielonego krajobrazu jego pamięć nagle zmniejszyła Serir do nikłej, słabej

pozostałości ogarniającej całą planetę pustyni, która była kiedyś tak potężna, że bali się jej wszyscy, nawet wędrujący po niej dzicy Fremeni.

„To rzeka – pomyślał Leto. – Jeśli się odwrócę, zobaczę, czego dokonałem”.

Stworzony ludzką ręką wyłom, którym płynęła rzeka Idaho, był tylko przedłużeniem Szczerby, którą Paul Muad'Dib wyrąbał niegdyś w niebotycznym Murze Zaporowym, żeby otworzyć przejście swym jadącym na czerwonych legionach. Tu, gdzie teraz płynie woda, Muad'Dib wyprowadził swych Fremenów z kurzawy Coriolisa do historii... *i do tego*.

Leto usłyszał znajome kroki idącego pod górę Moneo. Marszałek dworu podszedł, stanął przy Idaho i odczekał chwilę, by złapać oddech.

– Kiedy możemy ruszać? – spytał Idaho.

Moneo uciszył go gestem i zwrócił się do Leto.

– Panie, dostaliśmy wiadomość z Onn. Bene Gesserit zawiadomiły nas, że Tleilaxanie zaatakują, nim dotrzesz do mostu.

– Czy się trochę nie spóźniły? – parsknął Idaho.

– To nie ich wina – odparł Moneo. – Kapitan straży rybomównych nie chciała im uwierzyć.

Pozostali członkowie orszaku Leto zaczęli docierać na ich poziom. Niektórzy poruszali się niezbornie nadal w szoku. Rybomówne uwijały się wśród nich, zalecając okazywanie dobrego nastroju.

– Usuń strażę z ambasady Bene Gesserit – polecił Leto. – Wyślij tam wiadomość. Przekaż im, że ich audycja będzie ostatnia z kolei, ale że nie mają się tym martwić. Powiedz im, że ostatni będą pierwszymi. Zrozumieją tę aluzję.

– A co z Tleilaxanami? – spytał Idaho.

Leto nadal patrzył na Moneo.

– Tak, Tleilaxanie. Damy im znak.

– Znak, Panie?

– Kiedy rozkażę, ale nie wcześniej, polecisz publicznie wychłostać i wypędzić ambasadora Tleilaxa.

– Panie!

– Nie zgadzasz się?

– Jeżeli mamy trzymać to w sekrecie – Moneo spojrzał przez ramię – jak wyjaśnisz tę chłostę?

– Wcale jej nie wyjaśnimy.

– Nie podamy żadnego powodu?

– Żadnego.

– Ależ, Panie, plotki i pogłoski, które zaczną...

– Ja reaguję, Moneo! Niech poczują tę ukrytą część mego „ja”, która działa bez mej wiedzy, bo nie ma żadnych możliwości poznania.

– To wzbudzi strach, Panie.

Duncan wybuchnął ochrypłym śmiechem. Wszedł między Moneo a powóz.

– On wyświadcza ambasadorowi uprzejmość! Inni władcy upiekliby głupca na wolnym ogniu.

Moneo spróbował mówić do Leto ponad ramieniem Idaho.

– Ale, Panie, taki postępek upewni Tleilaxan, że zostałeś zaatakowany.

– Oni już to wiedzą – odrzekł Bóg Imperator – ale nie będą o tym mówić.

– A kiedy żaden z napastników nie wróci... – zaczął Idaho.

– Rozumiesz, Moneo? – zapytał Leto. – Kiedy wejdziemy do Onn pozornie nietknięci, Tleilaxanie uwierzą, że ponieśli pełną klęskę.

Marszałek dworu przyjrzał się rybomównym i dworzanom słuchającym w urzeczeniu tej rozmowy. Nieczęsto ktokolwiek z nich słyszał tak otwartą wymianę zdań między Bogiem Imperatorem a jego najbliższymi.

– Kiedy mój Pan zażąda ukarania ambasadora? – spytał.

– Podczas audiencji.

Leto usłyszał nadlatujące ornitoptery, dostrzegł błyski słońca na ich skrzydłach i rotorach, a skupiwszy wzrok, rozpoznał nową kopułę swego powozu zawieszoną pod jednym z nich.

– Każ zawieźć uszkodzoną kopułę do cytadeli i naprawić – powiedział, nie odrywając wzroku od ornitopterów. – Gdyby pytano, każ mówić mistrzom, że to rutynowa naprawa kopuły porysowanej przez lotne piaski.

Moneo westchnął.

– Tak, Panie. Będzie, jak każesz.

– No, Moneo, rozchmurz się! Pójdiesz obok mnie – rzekł Leto, po czym zwrócił się do Idaho: – Weź kilka strażniczek i zbadaj teren przed nami.

– Myślisz, że będzie kolejny atak?

– Nie, ale daj strażniczkom coś do roboty. I zdobądź nowy mundur. Nie chcę, żebyś nosił coś, co splugawili Tleilaxanie.

Idaho oddalił się posłusznie.

Leto skinął na Moneo, żeby podszedł bliżej. Gdy marszałek dworu pochylił się, a ich twarze dzielił tylko metr, Leto powiedział cicho:

– To dla ciebie lekcja, Moneo.

– Panie, wiem, że powinienem podejrzewać maskaradników...
– Nie chodzi o nich. To lekcja dla twojej córki.
– Dla Siony? Co ona mogła...
– Powiedz jej, że w pewien sposób przypomina tę siłę we mnie, która działa bez mojej wiedzy. Dzięki niej pamiętam, co znaczyło być człowiekiem... i kochać.

Moneo patrzył na Leto, nie rozumiejąc.

– Po prostu jej to przekaż. Nie musisz rozumieć.

Marszałek dworu wycofał się.

– Jak mój Pan każe.

Leto zamknął kopułę, umożliwiając ornitopterom wymianę jej w całości.

Moneo odwrócił się i spojrzał na ludzi czekających na płaskim wierzchołku. Zauważył coś, czego nie spostrzegł wcześniej. Niektórzy nie doprowadzili jeszcze do porządku odzieży. Kilku dworzan nosiło urządzenia wspomagające słuch. Podśluchiwali. A urządzenia te mogły pochodzić tylko z Ixa.

„Ostrzegę Duncana i straż” – pomyślał.

Stwierdził też jednak, że to symbol rozkładu. Jak można zakazywać takich rzeczy, kiedy większość dworzan i rybomównych wie lub podejrzewa, że Bóg Imperator sprowadza z Ixa zakazane maszyny?



Zaczynam nienawidzić wody. Skóra z piaskowych troci, sprawczyni mojej przemiany, nabrała wrażliwości czerwia. Moneo i strażniczki wiedzą o tej awersji. Jeden Moneo podejrzewa prawdę: że to ważny punkt zwrotny na mej drodze. Czuję w tym swój koniec, nieprędko według miary Moneo, ale według mojej dość bliski. W czasach Diuny piaskowe trocie ciągnęły ku wodzie. Był to problem we wczesnych stadiach naszej symbiozy. Siłą woli opanowywałem ten ich pęd, póki nie osiągnęliśmy równowagi. Teraz muszę unikać wody, bo nie ma już piaskowych troci oprócz tych na pół uśpionych, które tworzą moją skórę. Bez piaskowych troci, niezbędnych, by zmienić ten świat w pustynię, nie pojawi się Szej-hulud. Czerwie nie będą się rozwijać, póki ład nie spustynnieje. Jestem ich jedyną nadzieją.

– *Wykradzione dzienniki*

Był już środek popołudnia, gdy królewski orszak zszedł z ostatniego stoku i zbliżył się do granicy Świątecznego Miasta. Tłumy wyległy na ulice, by go

witać; powstrzymywały je zwarte szeregi rybomównych o niedźwiedziej sile, w zielonych atrydzkich mundurach i z bojowymi pałkami.

Gdy orszak królewski nadciągnął, podniosła się burza okrzyków. A potem rybomówne zaczęły skandować:

– Siajnok! Siajnok! Siajnok!

Echo odbijało ten okrzyk między wysokimi budynkami. Skandowane słowo wywierało dziwny wpływ na tłum niewtajemniczony w jego znaczenie. Fala ciszy rozlała się po zatłoczonych ulicach, podczas gdy straż wciąż skandowała. Ludzie patrzyli na strzegące przemarszu zbrojne kobiety, które krzyczały ze wzrokiem utkwionym w twarzy swego Pana.

Idaho, maszerujący z rybomównymi za królewskim powozem, usłyszał ten zaśpiew po raz pierwszy i poczuł, że włosy jeżą mu się na karku.

Moneo kroczył przy powozie, nie patrząc w lewo ani w prawo. Kiedyś zapytał Leto o znaczenie tego słowa.

– Dałem rybomównym tylko jeden rytuał – odpowiedział Leto.

Byli wówczas w sali audiencyjnej Boga Imperatora pod centralnym placem Onn, a Moneo był zmęczony po długim dniu kierowania potokiem dygnitarzy, którzy tłoczyli się w mieście podczas obchodów Święta Dziesięciolecia.

– Co ma z tym wspólnego skandowanie tego słowa, Panie?

– Ten rytuał nazywa się Siajnok: Święto Leto. To adoracja mej osoby w mojej obecności.

– Czy to stary rytuał, Panie?

– Istniał u Fremenów, zanim stali się Fremenami. Klucze do tajemnic tego święta zaginęły jednak wraz z nimi. Tylko ja je dziś pamiętam. Odtworzyłem to święto na swoje podobieństwo i dla swoich celów.

– Zatem Muzealni Fremen nie posługują się tym rytuałem?

– Nigdy. Jest mój i tylko mój. Zgłaszam do niego wieczyste prawa, bo sam jestem tym rytuałem.

– To dziwne słowo, Panie. Nigdy nie słyszałem podobnego.

– Ma wiele znaczeń, Moneo. Czy zachowasz sekret, jeśli ci je wyjawię?

– Jak każesz, Panie!

– Nigdy nie zdradź rybomównym tego, co ci teraz powiem.

– Przysięgam, Panie.

– Dobrze więc. Siajnok oznacza oddanie czci temu, kto mówi szczerze. Oznacza zapamiętanie wypowiedzianych szczerze słów.

– Panie, czy jednak „Siajnok” nie oznacza, że mówiący wierzy w to, co mówi?

– Tak, ale słowo to zawiera też pojęcie światła objawiającego rzeczywistość. Przelewasz światło na to, co widzisz.

– Rzeczywistość... to dwuznaczne słowo, Panie.

– Oczywiście, ale „Siajnok” oznacza również ferment, bo rzeczywistość, albo to, co uważasz za rzeczywistość, co na jedno wychodzi, zawsze wzbudza ferment we wszechświecie.

– I to wszystko w jednym słowie, Panie?

– I jeszcze więcej! „Siajnok” zawiera też wezwanie do modlitwy oraz imię anioła zapisywacza, Sihai, który wypytuje niedawno zmarłych.

– To wielkie brzemię dla jednego słowa, Panie.

– Słowa mogą udźwignąć każde brzemię. Trzeba tylko zgody i tradycji, na których można polegać.

– Dlaczego nie mam o tym rozmawiać z rybomównymi, Panie?

– Bo jest to słowo zastrzeżone dla nich. Gardziłyby mną za podzielenie się nim z mężczyzną.

Teraz, wchodząc obok królewskiego powozu do Świątecznego Miasta, Moneo zacisnął usta w cienką linię na to wspomnienie. Odkąd Leto wyjaśnił mu znaczenie owego słowa, nieraz słyszał rybomówne witające Boga Imperatora. Dodał nawet temu dziwnemu wyrazowi własne znaczenie.

„Oznacza on tajemnicę i prestiż. Oznacza władzę. Prosi o pozwolenie na działanie w imię Boga”.

– Siajnok! Siajnok! Siajnok!

To słowo miało dlań gorzkie brzmienie.

Byli już w środku miasta, prawie na centralnym placu. Popołudniowe słońce zeszło po Królewskim Trakcie w ślad za procesją, oświetlając drogę. Przydawało blasku kolorowym strojom mieszkańców i lśniło na uniesionych twarzach rybomównych z kordonu.

Maszerujący ze strażniczkami za królewskim powozem Idaho przestał się niepokoić, gdy skandowanie wciąż trwało. Zapytał o nie idącą obok rybomówną.

– To nie jest słowo dla mężczyzn – odparła – ale czasami Pan zaprasza na Siajnok Duncana.

Duncana! Pytał o to wcześniej Pana Leto i nie spodobały mu się skryte niedomówienia.

„Wkrótce się dowiesz”.

Idaho przestał zwracać uwagę na ten zaśpiew i rozglądał się jak ciekawy turysta. Przygotowując się do objęcia obowiązków, zapoznał się z historią Onn. Był tak samo rozbawiony jak Leto, bo miasto stało nad rzeką Idaho.

Przebywali wtedy w jednej z wielkich sal cytadeli, pełnej porannego słońca. Na wielkich stołach archiwistki rybomównych rozłożyły mapy Seriru i Onn. Leto wjechał powozem na rampę, z której mógł patrzeć z góry na mapy. Idaho stał po drugiej stronie stołu, oglądając plan Świątecznego Miasta.

- Dziwny jest ten układ miasta – mruknął w zamyśleniu.
- Ma on tylko jeden cel: publiczne oglądanie Boga Imperatora.

Idaho spojrział na segmentowe ciało na powozie i przeniósł wzrok na twarz pod kapturem. Zastanawiał się, czy kiedykolwiek przywyknie do tej dziwacznej postaci.

- Ale jedynie raz na dziesięć lat – zauważył.
- Podczas Wielkiego Uczestnictwa, tak.
- A w przerwach miasto jest nieczynne?
- Są tu ambasady, biura firm handlowych, szkoły rybomównych, służby komunalne, muzea i biblioteki.
- Jaki zajmują teren? – Idaho postukał w mapę palcami. – Najwyżej jedną dziesiątą powierzchni miasta.
- Mniej.

Duncan w zamyśleniu błdził wzrokiem po mapie.

- Czy są w tym planie jakieś inne cele, Panie?
- Główny cel to potrzeba publicznego oglądania Boga Imperatora.
- Muszą tu jednak być urzędnicy, pracownicy rządowi, nawet zwykli robotnicy. Gdzie mieszkają?
- Głównie na przedmieściach.
- A te rzędy apartamentowców? – Idaho wskazał na mapie.
- Zwróć uwagę na balkony, Duncan.
- Wszystkie są wokół placu. – Idaho pochylił się nad mapą. – Ten plac ma dwa kilometry szerokości!
- Zauważ, że balkony cofają się stopniowo aż do pierścienia wież. W tych wieżach mieszka elita.
- I wszyscy patrzą z góry na ciebie na placu?
- Nie podoba ci się to?
- Nie ma tu nawet bariery energetycznej, by cię chronić!
- Jestem więc kuszącym celem.

– Dlaczego to robisz?

– Istnieje czarujący mit o planie Onn. Pielęgnuję i szerzę ten mit. Mówi on, że istniał kiedyś naród, którego władca musiał raz do roku chodzić wśród poddanych w zupełnych ciemnościach, bez broni i zbroi. Ten mityczny władca kroczył przez tłum w świecących szatach, a poddani nosili czarne stroje i nikt nie sprawdzał, czy nie mają broni.

– Co to ma wspólnego z Onn... i z tobą?

– To proste. Jeżeli władca przeżył przechadzkę, był dobrym władcą.

– Nie szukasz broni?

– Nie otwarcie.

– Myślisz, że ludzie widzą w tym micie ciebie. – To nie było pytanie.

– Wielu widzi.

Idaho podniósł wzrok na twarz Leto ukrytą w szarym kapturze. Całkowicie niebieskie oczy odpowiedziały mu spojrzeniem bez wyrazu.

„Melanżowe oczy” – pomyślał. Leto mówił jednak, że nie zażywa już przyprawy. Jego ciało dostarczało mu jej tyle, ile wymagało jego uzależnienie.

– Nie podoba ci się moja święta nieprzyzwoitość, mój wymuszony spokój – powiedział Leto.

– Nie podoba mi się, że grasz Boga!

– Jako Bóg mogę dyrygować Imperium tak, jak dyrygent wykonaniem symfonii. Jedynym ograniczeniem mego występu jest to, że jestem przykuty do Arrakis. Stąd muszę dyrygować symfonią.

Idaho pokręcił głową i raz jeszcze spojrzał na plan miasta.

– A co to za apartamentowce za wieżami?

– Są tam mniejsze mieszkania dla naszych gości.

– Nie mogą stamtąd widzieć placu.

– Ależ mogą. Ixańskie urzędnika przesyłają mój obraz do tych mieszkań.

– A wewnętrzny krąg patrzy wprost na ciebie. Jak się dostajesz na plac?

– Na środku placu podnosi się scena, na której się ukazuję.

– Wiwatują? – Idaho spojrzał wprost w oczy Leto.

– Wolno im wiwatować.

– Wy, Atrydzi, zawsze widzieliście siebie jako część historii.

– Bystry jesteś, skoro rozumiesz znaczenie wiwatów.

Idaho wrócił do mapy.

– A to są szkoły rybomównych?

– Pod twoją lewą dłonią, tak. To akademia, do której posłano Sionę. Miała wtedy dziesięć lat.

– Siona. Muszę dowiedzieć się o niej więcej – rzekł zamyślony Idaho.

– Zapewniam, że nikt nie stanie na drodze twojemu pragnieniu.

Maszerujący w królewskim pochodzie Idaho został nagle wyrwany z zadumy. Uświadomił sobie, że skandowanie rybomównych cichnie. Przed nim powóz Leto zaczął zjeżdżać do sal pod placem, tocząc się po długiej pochylni. Duncan, wciąż jeszcze idąc w słońcu, podniósł głowę i potoczył wzrokiem po lśniących iglicach wież – na tę rzeczywistość mapy go nie przygotowały. Balkony wielkiego pierścienia budynków wokół placuapełniali ludzie patrzący bez słowa na procesję.

„Uprzywilejowani nie wiwatują” – pomyślał Idaho. Milczenie ludzi na balkonach napełniło go złym przeczuciem.

Wszedł po pochylni do tunelu i plac zniknął mu z oczu. Skandowanie ucichło, gdy schodził w głąb kompleksu. Odgłos kroków maszerujących wokół niego był dziwnie wzmocniony.

Ciekawość zastąpiła złe przeczucie. Idaho rozejrzał się. Tunel o płaskiej posadzce był jasno oświetlony i szeroki, bardzo szeroki. Idaho oceniał, że siedemdziesięciu ludzi mogłoby iść obok siebie, schodząc do podziemi. Tu nie było wiwatujących tłumów, tylko szeroko rozstawione szeregi rybomównych, które nie skandowały, zadowolając się oglądaniem przejazdu swego Boga.

Wspomnienie map uzmysłowiło Idaho rozplanowanie tego gigantycznego kompleksu pod placem – miasta ukrytego pod miastem, miejsca, w którym tylko Bóg Imperator, dworzanie i rybomówne mogli się poruszać bez eskorty. Mapy nie mówiły jednak niczego o potężnych kolumnach, o poczuciu ogromnych, strzeżonych przestrzeni, o niesamowitej ciszy przerywanej jedynie odgłosem kroków i skrzypieniem kół powozu Leto.

Idaho spojrzał nagle na rybomówne stojące wzdłuż drogi i zdał sobie sprawę, że ich usta poruszają się unisono, wypowiadając bezgłośnie jakieś słowo. Rozpoznał je.

– Siajnok.



„Kolejne święto tak prędko?” – zapytał Pan Leto.

„Minęło dziesięć lat” – odrzekł marszałek dworu.

Czy nie sądzicie, że tą wymianą zdań Pan Leto zdradza nieświadomość upływu czasu?

– przekazy ustne

W porze prywatnych audiencji poprzedzających właściwe święto wielu komentowało fakt, że Bóg Imperator spędził znacznie więcej czasu, niż planował, z nowym ixańskim ambasadorem, młodą Hwi Nori.

Sprowadziły ją w środku przedpołudnia dwie rybomówne, pełne jeszcze podniecenia po poprzednim dniu. Sala audiencyjna pod placem była jasno oświetlona. Światło odsłaniało pomieszczenie długości pięćdziesięciu metrów i szerokości trzydziestu pięciu. Starożytne fremeńskie kobierce zdobiły ściany. W bezcenne włókno przyprawowe wpleciono kamienie szlachetne i nici drogich metali, tworząc jaskrawe wzory. Przeważała ulubiona przez dawnych Fremenów wyblakła czerwień. Posadzka była w większej części przezroczysta, co stanowiło oprawę dla egzotycznych ryb wyrzeźbionych w świetlistym kryształ. Pod spodem płynął strumień czystej błękitnej wody. Wilgoć nie docierała do wnętrza, ale bliskość wody drażniła Leto, który spoczywał na wyściełanym kobiercami podwyższeniu w oddalonym od drzwi końcu sali.

Leto od razu zauważył wyraźne podobieństwo Hwi Nori do jej wuja Malkiego, ale równie mocno różniły ją od wuja jej poważne ruchy i spokojny chód. Miała jednak jego śniadą cerę i owalną twarz o regularnych rysach. Łagodne brązowe oczy odpowiadały na spojrzenie Leto. Jej lśniące kasztanowe włosy aż lśniły.

Hwi Nori promieniowała też wewnętrznym spokojem, a Leto wyczuwał, jak się on rozprzestrzenia, kiedy się zbliżała. Zatrzymała się dziesięć kroków przed nim. Była w niej jakaś klasyczna równowaga, coś nieprzypadkowego.

Z rosnącym podnieceniem uświadomił sobie, że nowa ambasador zdradza ślady manipulacji genetycznych Ixan. Mieli zaawansowany program tworzenia określonych typów ludzkich do odgrywania konkretnych ról. Rola Hwi Nori była niepokojąco oczywista – oczarować Boga Imperatora, znaleźć szczelinę w jego zbroi.

Mimo to w czasie spotkania Leto przekonał się, że naprawdę cieszy się z jej towarzystwa. Hwi Nori stała w kręgu dziennego światła docierającego do sali poprzez system ixańskich pryzmatów. Światło skupiało się na niej, wypełniając połyskliwym złotem fragment z podwyższeniem Leto i przygasając za Bogiem Imperatorem, gdzie stał krótki szereg

rybomównych – dwanaście kobiet wybranych ze względu na to, że były głuchonieme.

Hwi Nori nosiła prostą suknię z purpurowego ambielu, ozdobioną jedynie srebrnym naszyjnikiem z wisiosem z symbolem IX. Miękkie sandały koloru sukni wyglądały spod jej rąbka.

– Czy wiesz – zapytał Leto – że zabiłem jednego z twoich przodków?

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Mój wuj Malki poinformował mnie o tym na początku mego szkolenia, Panie.

Usłyszawszy ją, Leto zdał sobie sprawę, że część jej edukacji prowadziły Bene Gesserit. Miała ich styl kontrolowania odpowiedzi i wyczuwania podtekstu rozmowy. Wiedział jednak, że to tylko cienka powłoka, nieprzenikająca do głębi jej uroczej natury.

– Mówiono ci, że poruszę ten temat?

– Tak, Panie. Wiem, że mój przodek ośmielił się wnieść tu broń, by skierować ją przeciw tobie.

– Jak twój poprzednik. Czy i o tym ci mówiono?

– Nie wiedziałam o tym aż do przybycia tu, Panie. Obaj byli głupcami! Dlaczego oszczędziłeś mego poprzednika?

– Nie oszczędziwszy przodka?

– Tak, Panie.

– Kobat, twój poprzednik, był mi potrzebny jako wysłannik.

– Zatem mówili prawdę – stwierdziła. I znowu się uśmiechnęła. – Nie można być pewnym, że słyszy się prawdę od przełożonych i kolegów.

Ta wypowiedź była tak szczerą, że Leto nie mógł się powstrzymać od śmiechu. Śmiech nie przeszkodził mu jednak w zrozumieniu, że ta młoda kobieta ma nieskażony umysł, ten podstawowy, który pojawia się z pierwszym szokiem przebudzenia świadomości po narodzinach. Ona żyje!

– Nie masz mi więc za złe, że zabiłem twego przodka?

– To było przecież z jego strony usiłowanie zabójstwa! Mówiono mi, że zmiażdżyłeś go własnym ciałem, Panie.

– To prawda.

– A następnie zwróciłeś jego broń przeciw swej Świętej Osobie, by pokazać, że broń ta jest nieskuteczna... a była to najlepsza ixańska rusznica laserowa.

– Świadkowie mówili prawdę – potwierdził Leto.

„Widać z tego, jak wiele zależy od świadków!” – pomyślał. Jeśli szło o ścisłość, skierował rusznicę przeciw swemu segmentowemu ciału, a nie przeciw rękom, twarzy czy płetwom. Ciało preczerwia miało fenomenalną zdolność pochłaniania energii. Chemiczna fabryka wewnątrz niego przetwarzała ciepło w tlen.

– Nigdy nie wątpiłam w tę historię – powiedziała.

– Dlaczego Ix powtórzył ten głupi gest? – zapytał Leto.

– Nie poinformowano mnie o tym, Panie. Być może Kobat zrobił to na własną rękę.

– Nie sędzę. Przyszło mi na myśl, że twoi rodacy pragnęli tylko śmierci wybranego przez nich zabójcy.

– Śmierci Kobata?

– Nie. Tego, kogo wybrali, by użył broni.

– Kto to był, Panie? Nie mówili mi o tym.

– To nieważne. Pamiętasz, co mówiłem wówczas o głupocie twego przodka?

– Groziłeś straszliwymi karami, gdybyśmy znów pomyśleli o podobnym czynie.

Opuściła wzrok, ale Leto dojrzał jeszcze w jej oczach determinację. Wykorzysta wszystkie swe zdolności, by złagodzić jego gniew.

– Obiecałem, że nikt z was nie uniknie mego gniewu.

Spojrzała szybko na niego.

– Tak, Panie. – Teraz jej zachowanie zdradzało lęk o siebie.

– Nikt nie zdoła ukryć się przede mną, nawet ta bezużyteczna kolonia, którą ostatnio założyliście na... – I podał jej koordynaty kolonii, którą Ixanie założyli w sekrecie daleko poza tym, co uważali za rubieżę jego Imperium.

Nie była zaskoczona.

– Panie, chyba właśnie dlatego wybrano mnie na ambasadora. Bo ostrzegałam ich, że możesz się o tym dowiedzieć.

Leto przyjrzał się jej uważniej. „Co my tu mamy?” – zastanawiał się. Jej spostrzeżenia były subtelne i przenikliwe. Wiedział, że Ixanie sądzili, iż odległość i ogromne koszty transportu ochronią ich nową kolonię. Hwi Nori tak nie myślała i powiedziała to. Wierzyła jednak, że jej mistrzowie wybrali ją z tego właśnie powodu. Sądzili, że mają na dworze przyjaciela, i to takiego, którego można uważać za przyjaciela Leto. Skinął głową, gdy ich plan nabierał kształtu. Na początku swego panowania podał Ixanom dokładne położenie tajnego serca technologicznej federacji, którą rządzą.

Sekret ten uważali za bezpieczny, bo za jego ukrywanie dawali Gildii Kosmicznej kolosalne łapówki. Leto wykrył go dzięki wizjom przyszłości i dedukcji... oraz konsultacjom ze swymi wspomnieniami, w których było niemało Ixan.

W owym czasie ostrzegł Ixan, że ich ukarze, jeśli będą działać przeciw niemu. Odpowiedzieli konsternacją i zaczęli oskarżać Gildię o zdradę. Tak go to rozbawiło, że wybuchnął śmiechem, pesząc Ixan. Następnie chłodnym, oskarżycielskim tonem powiadomił speszonych, że nie potrzebuje szpiegów, zdrajców ani innych podstępów rządzących.

„Czyżby nie wierzyli, że jest bogiem?”

Od tamtej pory Ixanie byli mu posłuszni. Leto nie nadużywał ich zależności. Jego żądania były skromne: jakaś maszyna do tego, jakiś przyrząd do tamtego. Przedstawiał swe potrzeby, a Ixanie przekazywali mu niezbędny gadżet. Tylko raz próbowali wmontować w jedną z jego maszyn jakieś narzędzie gwałtu. Zabił całą ich delegację, zanim zdążyli ją rozpakować.

Póki Leto rozmyślał, Hwi czekała spokojnie. Nie okazała najmniejszego nawet znaku zniecierpliwienia.

„Wspaniała” – stwierdził.

Na tle jego długiej współpracy z Ixem to nowe jej stadium było ożywcze. Zwykle niezbyt go poruszały namiętności, kryzysy i konieczności. Często miał wrażenie, że przeżył swój czas. Obecność Hwi Nori mówiła jednak, że jest potrzebny. To mu sprawiało przyjemność. Czuł, że Ixanie mogli osiągnąć pewien sukces w budowie maszyny wzmacniającej linearne wizje nawigatorów Gildii. W potoku wielkich wydarzeń mógł przeoczyć jakiś mały błysk. Czy taka maszyna jest możliwa? To byłby cud. Celowo nie wykorzystywał swych mocy do badania takiej możliwości.

„Chcę zostać zaskoczony!”

Uśmiechnął się łaskawie do Hwi.

– Jak cię przygotowano do oczarowania mnie?

Nie mrugnęła nawet okiem.

– Podano mi zestaw odpowiedzi i reakcji na określone sytuacje – odparła.

– Nauczyłam się ich, ale nie zamierzam wykorzystywać.

„O to im właśnie chodzi” – pomyślał Leto.

– Powiedz swoim mistrzom – rzekł – że jesteś dokładnie takim rodzajem przynęty, jakim można mnie zwabić.

Pochyliła głowę.

– Jeśli mój Pan sobie tego życzy.

– Tak, zrób to.

A potem pozwolił sobie na małe sondowanie czasu, by zbadać najbliższą przyszłość Hwi, tropiąc ją poprzez nici jej przeszłości. Hwi ukazała się w płynnej przyszłości, w prądzie, którego ruchy były podatne na wiele odchyłeń. Pozna Sionę jedynie przypadkowo, chyba że... Pytania płynęły przez jego umysł. Doradcą Ixan był nawigator Gildii, który oczywiście wykrył zakłócenia w materii czasu spowodowane przez Sionę. Czy ten nawigator naprawdę wierzy, że może zapewnić ochronę przed wykryciem przez Boga Imperatora?

Sondowanie trwało kilka minut, ale Hwi się nie niecierpliwiła. Leto przyjrzał się jej uważnie. Zdawało się, że w głęboko pokojowy sposób tkwi *poza* czasem. Nigdy dotąd nie spotkał się ze zwykłym śmiertelnikiem zdolnym czekać tak przed nim bez zdenerwowania.

– Gdzie się urodziłaś, Hwi?

– Na samym Ixie, Panie.

– Chodzi mi o szczegóły: o budynek, jego położenie, rodziców, ludzi wokół ciebie, przyjaciół i rodzinę, szkołę... o wszystko.

– Nie znałam moich rodziców, Panie. Powiedziano mi, że umarli, kiedy byłam dzieckiem.

– Uwierzyłaś w to?

– Na początku... oczywiście. Później zaczęłam fantazjować. Wyobrażałam sobie nawet, że moim ojcem jest Malki... ale... – Pokręciła głową.

– Nie lubiłaś swego wuja?

– Nie lubiłam. Ale podziwiałam go.

– Dokładnie tak jak ja – powiedział Leto. – A co z przyjaciółmi, z nauką?

– Moi nauczyciele byli specjalistami. Sprowadzono nawet kilka Bene Gesserit, by mnie uczyły kontrolowania emocji i obserwacji. Malki mówił, że przygotowują mnie do wielkich rzeczy.

– A twoi przyjaciele?

– Chyba nie miałam prawdziwych przyjaciół. Wokół mnie byli tylko ludzie, którzy zajmowali się moją edukacją z myślą o specjalnych celach.

– A te wielkie rzeczy, do których cię szkolono? Czy ktoś ci coś o nich mówił?

– Malki mówił, że przygotowują mnie do oczarowania ciebie, Panie.

– Ile masz lat, Hwi?

– Nie znam swego dokładnego wieku. Chyba mam około dwudziestu sześciu lat. Nigdy nie obchodziłam urodzin. O urodzinach dowiedziałam się przez przypadek. Jedna z nauczycielek tłumaczyła tak swoją nieobecność. Więcej jej nie zobaczyłam.

Leto był zafascynowany tą odpowiedzią. Jego obserwacje dawały mu pewność, że Tleilaxanie nie ingerowali w jej ixańskie ciało. Nie pochodziła z kadzi aksolotlowej. Po co więc te sekrety?

– Czy wuj zna twój wiek?

– Być może, ale nie widziałam go od lat.

– Czy *ktokolwiek* mówił ci kiedyś, ile masz lat?

– Nie.

– Jak sądzisz, dlaczego?

– Może myśleli, że sama o to spytam, jeżeli będę ciekawa?

– A byłeś?

– Tak.

– Czemu więc nie spytałeś?

– Z początku myślałam, że może to być gdzieś zapisane. Szukałam. Nie było nic! Doszłam do wniosku, że nie odpowiedzą mi na to pytanie.

– Po tym, co mi o tobie mówiono, Hwi, ta odpowiedź *bardzo* mnie cieszy. Ja też nic nie wiem o twoim pochodzeniu, ale mogę przedstawić domysł co do miejsca twych narodzin.

Jej oczy skupiły się na jego twarzy z natężoną uwagą, w której nie było udawania.

– Urodziłaś się w tej maszynie, którą twoi mistrzowie starają się udoskonalić dla Gildii. Zostałaś też w niej poczęta. Może nawet Malki jest twoim ojcem. Ale to nieważne. Wiesz coś o tej maszynie?

– Nie powinnam wiedzieć, Panie, ale...

– Kolejna niedyskrecja nauczycielki?

– Tym razem mojego wuja.

Leto parsknął śmiechem.

– Co za łajdak! Co za czarujący łajdak!

– Panie?

– To była jego zemsta na waszych mistrzach. Nie spodobało mu się odwołanie z mojego dworu. Powiedział mi wtedy, że jego następcą to gorzej niż głupiec.

Hwi wzruszyła ramionami.

– Mój wuj jest złożonym człowiekiem.

– Posłuchaj mnie uważnie, Hwi. Niektórzy twoi współpracownicy tu, na Arrakis, mogą stanowić dla ciebie zagrożenie. Ochroń cię, o ile to będzie w mojej mocy. Rozumiesz?

– Chyba tak, Panie. – Patrzyła na niego z powagą.

– Teraz wiadomość dla twoich mistrzów. Jasne jest dla mnie, że posłuchali nawigatora Gildii i poszli na ryzykowny związek z Tleilaxem. Powiedz im, że ich cele są dla mnie całkiem oczywiste.

– Panie, ja nic nie wiem...

– Jestem świadomy tego, że cię wykorzystują, Hwi. Dlatego powiedz swoim mistrzom, że masz być stałym ambasadorem na moim dworze. Nie przyjmę innego Ixanina. A gdyby twoi mistrzowie zignorowali ostrzeżenie i nadal próbowali ingerować w me życzenia, zniszczę ich.

Łzy wezbrały jej w oczach i pociekły po policzkach, ale Leto był i tak wdzięczny, że nie pozwoliła sobie na inne przejawy uczuć, takie jak padanie na kolana.

– Już ich ostrzegłam – rzekła. – Naprawdę. Powiedziałam im, że muszą ci być posłuszni.

Leto widział, że to prawda.

„Jaką cudowną istotą jest ta Hwi Nori” – pomyślał. Zdawała się kwintesencją dobra, oczywiście stworzoną do tego i uwarunkowaną przez ixańskich mistrzów, ze starannym wyliczeniem wpływu, jaki to wywrze na Boga Imperatora.

Leto miał wystarczająco wiele pamięci przodków, by widzieć ją jako idealną zakonnicę, łagodną i pełną poświęcenia, jako wcielenie szczerości. To była jej najgłębsza natura, miejsce, w którym żyła. Uznała za najłatwiejsze bycie prawdomówną i otwartą, zdolną zataić coś jedynie dla oszczędzenia bólu innym. Tę ostatnią cechę uważał za największą zmianę, jakiej zdołały w niej dokonać Bene Gesserit. Hwi pozostała sobą, wrażliwą i pełną naturalnej słodyczy.

Leto nie zdołał doszukać się w niej kierującej nią kalkulacji. Zdawała się reagować bezpośrednio i zdrowo. Była doskonałą słuchaczką (jeszcze jedna cecha Bene Gesserit). Nie było w niej niczego otwarcie kuszącego, ale to właśnie czyniło ją w jego oczach niezwykle kuszącą.

Przy podobnej okazji powiedział jednemu z poprzednich Duncanów:

– Musisz zrozumieć to, co niektórzy u mnie podejrzewają. Czasem nie potrafię uniknąć zwodniczego uczucia, że gdzieś w tej zmienionej postaci istnieje dorosłe ludzkie ciało ze wszystkimi jego funkcjami.

– Ze *wszystkimi*, Panie? – zapytał tamten Duncan.

– Ze *wszystkimi*! Czuję wszystkie zanikłe części mego ciała. Czuję moje nogi, trudne dziś do odróżnienia, a tak realne dla moich zmysłów. Czuję pulsowanie ludzkich gruczołów, chociaż one już nie istnieją. Czuję nawet swoje genitalia, o których rozum mówi mi, że zniknęły przed wiekami.

– Ale z pewnością, jeżeli to wiesz...

– Wiedza nie tłumi takich doznań. Zanikłe części ciała są wciąż obecne w mych wspomnieniach i w niezliczonych tożsamościach wszystkich moich przodków.

Patrzącemu na Hwi Leto nie pomagała ani trochę świadomość, że nie ma już czaszki, a miejsce mózgu zajęła potężna sieć zwojów nerwowych rozprzestrzenionych w ciele preczerwia. Nic nie pomagało. Nadal czuł, że głowa boli go tam, gdzie kiedyś był mózg, nadal czuł ból pulsujący w czaszce.

Stojąc po prostu przed nim, Hwi wołała do jego utraconego człowieczeństwa. Tego było za wiele.

– Dlaczego twoi mistrzowie mnie dręczą? – jęknął w rozpacz.

– Panie?

– Przysyłając mi ciebie!

– Nie zranię cię, Panie.

– Samo twoje istnienie mnie rani!

– Nie wiedziałam. – Łzy popłynęły strumieniem z jej oczu. – Nigdy nie mówili mi o tym, co naprawdę robią.

Uspokoił się.

– Zostaw mnie teraz, Hwi – rzekł łagodnie. – Zajmij się swymi sprawami, ale wróć szybko, gdy cię wezwę.

Odeszła spokojnie, ale Leto widział, że i ona jest w udręce. Nie było wątpliwości, że bardzo żałuje człowieczeństwa, które poświęcił. Wiedziała to, co wiedział i on: że mogli być przyjaciółmi, kochankami, partnerami w dzieleniu się sobą. Jej mistrzowie zadbali, żeby miała tego świadomość.

„Ixanie są okrutni! – pomyślał. – Wiedzieli, jaki będzie nasz ból”.

Odejście Hwi obudziło w nim wspomnienia związane z jej wujem. Malki też był okrutny, ale Leto raczej cieszył się z jego towarzystwa. Ixanin miał wszystkie zalety swego pracowitego narodu i wystarczająco wiele jego wad, żeby być na wskroś ludzkim. Przepadał za towarzystwem rybomównych. Mawiał „Twoje hurysy”, a Leto rzadko potem myślał o nich inaczej.

„Dlaczego teraz myślę o Malkim? Nie tylko z powodu Hwi. Spytam ją, jakie zadanie dali jej mistrzowie, kiedy ją do mnie wysłali”.

Przez chwilę wahał się, czy jej nie przywołać.

„Powie mi to, jeżeli ją zapytam”.

Ixańskim ambasadorom zawsze mówiono, by się dowiedzieli, dlaczego Bóg Imperator toleruje Ixan. Zdawali sobie sprawę, że się przed nim nie ukrywają. Ta głupia próba założenia kolonii poza jego polem widzenia! Czy to sprawdzian jego możliwości? Ixanie podejrzewali, że w istocie rzeczy Leto nie potrzebuje ich produktów.

„Nigdy nie kryłem mej opinii o nich. Powiedziałem to Malkiemu”.

– Technologiczni innowatorzy? Nie, w moim Imperium jesteście przestępcami naukowymi.

Malki roześmiał się.

– Czemu staracie się ukrywać wasze tajne laboratoria i fabryki poza krańcami Imperium? – spytał oskarżycielsko rozdrażniony tym Leto. – Nie możecie mi przecież uciec.

– Tak, Panie. – I znowu śmiech.

– Znam wasze zamiary: mały wyciek tego i owego, z powrotem do mego Imperium. Rozłam. Wywoływanie wątpliwości i pytań.

– Panie, ty sam jesteś jednym z naszych najlepszych klientów.

– Nie o to mi chodzi i dobrze o tym wiesz, obrzydliwcze!

– Lubisz mnie, bo taki jestem. Opowiadam ci, co robimy tam daleko.

– Wiem to i bez twoich opowieści.

– Ale w jedno się wierzy, a w drugie wątpi. Ja rozpraszam twoje wątpliwości.

– Nie mam wątpliwości.

To znowu wywołało śmiech Malkiego.

„A ja muszę nadal ich tolerować” – pomyślał Leto. Ixanie działali na *terra incognita* twórczej inwencji wyjętej spod prawa przez Dżihad Butleriański. Tworzyli swe urządzenia na podobieństwo umysłu ludzkiego, a to właśnie spowodowało zniszczenia i rzezie dżihadu. Oto, czym się zajmowali na Ixie, Leto zaś mógł jedynie pozwolić im to kontynuować.

„Kupuję u nich! Nie mógłbym nawet pisać tych dzienników bez ich dyktateli reagujących na moje myśli. Bez Ixa nie zdołałbym ukryć moich dzienników i drukarek.

Trzeba im jednak przypomnieć, że to, co robią, jest niebezpieczne!”

I Gildii też nie wolno pozwolić zapomnieć. To było prostsze. Nawet kiedy gildianie współpracowali z Ixem, nie ufali Ixanom.

„Jeżeli ta nowa ixańska maszyna działa, Gildia straciła monopol na podróże kosmiczne!”



Z kipieli wspomnień, z której mogę czerpać do woli, wyłaniają się wzory. Są niczym jeszcze jeden doskonale zrozumiały obcy język. Sygnały alarmowe dla społeczeństw, które każą im zajmować pozycje do obrony lub ataku, znaczą dla mnie tyle, co wykrzyczane słowa. Będąc ludźmi, reagujecie na groźby pod adresem niewinności i na zagrożenie dla bezbronnego potomstwa. Niewyjaśnione dźwięki, wizje czy zapachy jeżą wam w zapomnianym odruchu włosy na karku. W trwodze chwyacie się ojczystego języka, bo inne wyuczone dźwięki stają się obce. Wymagacie akceptowalnego stroju, bo dziwny, obcy ubiór oznacza zagrożenie. To system sprzężenia zwrotnego na najbardziej prymitywnym poziomie. Wasze komórki pamiętają.

– *Wykradzione dzienniki*

Rybotmowne akolitki pełniące funkcję paziów przy drzwiach sali audiencyjnej Leto wprowadziły Duro Nunepiego, ambasadora Tleilaxa. Było wcześniej jak na audiencję, a Nunepiego wezwano poza kolejnością, ale szedł spokojnie, okazując jedynie cień zrezygnowanej akceptacji.

Leto czekał bez słowa, wyciągnięty na swym powozie na podwyższeniu w końcu sali. Gdy się przyglądał zbliżającemu się Nunepiemu, wspomnienia podsunęły mu porównanie: prawie niewidoczny na wodzie ślad kobry peryskopu. Wspomnienie to wywołało uśmiech. Taki był Nunepi – dumny człowiek o kamiennej twarzy, który przeszedł wszystkie stopnie tleilaxańskiego systemu władzy. Nie będąc maskaradnikiem, gardził nimi. Traktował ich jak służących: byli wodą, w której pływał. Trzeba było mieć nie lada doświadczenie, by zobaczyć jego ślad na wodzie. Nunepi był niemiłym osobnikiem i przyłożył rękę do napadu na Królewskim Trakcie.

Mimo wczesnej pory zjawił się w kompletnym stroju ambasadora – czarnych szarawarach, czarnych ozdobionych złotem sandałach i kwiecistej czerwonej kurtce, rozpiętej, by ukazać owłosioną pierś pod tleilaxańskim krzyżem ze złota i drogich kamieni.

Zatrzymawszy się w przepisowej odległości dziesięciu kroków, Nunepi przebiegł wzrokiem szereg uzbrojonych rybotmownych stojących łukiem po

bokach Leto i za nim. Szare oczy Nunepiego zabłyśły jakimś skrytym rozbawieniem, gdy spojrział ponownie na Imperatora i skłonił się lekko.

Wtedy wszedł Duncan Idaho z rusznicą laserową w kaburze na biodrze. Zajął swoje miejsce obok zakapturzonej twarzy Boga Imperatora.

Wygląd Idaho przyciągnął badawcze spojrzenie Nunepiego, a wynik obserwacji nie sprawił ambasadorowi przyjemności.

– Uważam zmiennokształtnych za wyjątkowo niemiłych – zaczął Leto.

– Nie jestem zmiennokształtnym, Panie – rzekł Nunepi. Głos miał spokojny i uprzejmy, ale był w nim ślad wahania.

– Jesteś jednak ich przedstawicielem i to cię czyni przedmiotem mojej irytacji.

Nunepi oczekiwał otwartego przejawu wrogości, to zaś nie był język dyplomacji. Ośmielił się przypomnieć to, co uważał za siłę Tleilaxa.

– Panie, chroniąc ciało pierwszego Duncana Idaho i dostarczając ci ghole stworzone na jego obraz i podobieństwo, zakładaliśmy zawsze...

– Duncan! – Leto spojrział na Idaho. – Jeżeli ci rozkażę, poprowadzisz ekspedycję, by wyniszczyć Tleilaxan?

– Z przyjemnością, Panie.

– Nawet gdyby to oznaczało stratę twoich *oryginalnych komórek* i wszystkich kadzi aksolotlowych?

– Nie wspominam miło kadzi, mój panie, a te komórki to nie ja.

– Panie, czym cię obraziliśmy? – zapytał Nunepi.

Leto nachmurzył się. Czy ten głupiec naprawdę oczekiwał od Boga Imperatora otwartej rozmowy o niedawnym ataku maskaradników?

– Doszło do moich uszu, że ty i twój naród szerzycie kłamstwa o tym, co nazywacie moimi „odrażającymi nawykami seksualnymi”.

Nunepi zrobił głupią minę. To oskarżenie było zuchwałym i zupełnie nieoczekiwanym kłamstwem. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli zaprzeczy, nikt mu nie uwierzy. Tak rzekł Bóg Imperator. Był to niezgłębiony atak. Ambasador zaczął mówić, nie odrywając wzroku od Idaho.

– Panie, jeżeli...

– Patrz na mnie! – rozkazał Leto.

Nunepi szybko przeniósł wzrok na jego twarz.

– Pouczę cię tylko raz – powiedział Leto. – Nie mam nawyków seksualnych. Żadnych.

Pot ściekał po twarzy Tleilaxanina. Wpatrywał się w Leto ze skupieniem schwytanego w pułapkę zwierzęcia. Gdy odzyskał głos, nie był już on spokojnym, opanowanym narzędziem dyplomaty, stał się drżący i lękliwy.

– Panie, ja... to musi być jakaś pomyłka...

– Cicho bądź, tleilaxańska kanalio! – ryknął Leto. – Jestem metamorficznym nosicielem świętego czerwia Szej-huluda! Jestem waszym Bogiem!

– Wybacz nam, Panie – wyszeptał Nunepi.

– Wybaczycie wam? – Głos Leto był pełen słodczy i rozsądku. – Oczywiście, że wam wybaczę. To dola waszego Boga. Wasza zbrodnia jest wam wybaczona. Głupota wymaga jednak kary.

– Panie, gdybym mógł...

– Milcz! Przydział przyprawy dla Tleilaxan zostaje uchylony na najbliższe dziesięć lat. Nie dostaniecie nic. Co do ciebie, moje rybomówne odprowadzą cię zaraz na plac.

Dwie krzepkie strażniczki podeszły, ujęły Nunepiego pod ręce i spojrzały na Leto, czekając na instrukcje.

– Na placu ściągniecie z niego ubranie – powiedział. – Ma być publicznie wychłostany. Pięćdziesiąt batów.

Tleilaxanin szarpnął się w rękach strażniczek. Na jego twarzy zaskoczenie mieszało się z furią.

– Panie, przypominam ci, że jestem ambasadorem...

– Jesteś pospolitym przestępcą i tak zostaniesz potraktowany. – Leto skinął na rybomówne, a te odciągnęły Nunepiego.

– Szkoda, że cię nie zabili! – wściekał się Nunepi. – Chciałbym...

– Kto? – zawołał Leto. – Kto miałby mnie zabić? Nie wiesz, że mnie nie można zabić?

Strażniczki wywlekły Nunepiego z sali.

– Jestem niewinny! Jestem niewinny! – krzyczał.

Protesty ucichły w oddali.

Idaho pochylił się do Leto.

– Tak, Duncan?

– Mój panie, wszyscy posłowie będą się teraz bali.

– Tak, udzielam lekcji odpowiedzialności.

– Mój panie?

– Udział w spisku jest jak służba w armii, zwalnia ludzi od poczucia osobistej odpowiedzialności.

– Ale to oznacza niepokoje, mój panie. Lepiej wyznaczę dodatkowe straże.

– Żadnych dodatkowych straży!

– Ale ty zachęcasz...

– Zachęcam do odrobiny militarnego nonsensu.

– To właśnie...

– Duncan, jestem nauczycielem. Pamiętaj o tym. Przez powtórzenie utrwalam lekcję.

– Jaką lekcję?

– O krańcowo samobójczej naturze głupoty militarnej.

– Mój panie, ja nie...

– Duncan, wspomnij tego głupca Nunepiego. On jest esencją tej lekcji.

– Wybacz mi tępotę, mój panie, ale nie rozumiem wzmianki o militarnej...

– Oni wierzą, że ryzykując życie, kupują prawo do nieskrępowanego stosowania przemocy wobec dowolnie wybranych wrogów. To mentalność najeźdźcy. Nunepi nie czuje się odpowiedzialny za krzywdy wyrządzone innym.

Idaho spojrział na drzwi, którymi straż wywlekła ambasadora.

– Zagrał i przegrał, mój panie.

– Ale odrzucił ograniczenia przeszłości, a nie chce zapłacić za to ceny.

– Dla swego ludu jest patriotą.

– A jak on sam siebie widzi, Duncan? Jako narzędzie historii.

Idaho ściszył głos.

– A czy ty jesteś inny, mój panie?

Leto zachichotał.

– Aaach, Duncan, kocham twoją spostrzegawczość. Zauważyłeś, że jestem inny. Nie zastanawiasz się, czy mogę być przegrany?

– Ta myśl przeszła mi przez głowę.

– Nawet przegrywający mogą się okryć dumnym płaszczem „przeszłości”, stary druhu.

– Czy ty i Nunepi nie jesteście w tym podobni?

– Wojujące religie misjonarskie mogą szerzyć iluzję „dumnej przeszłości”, ale niewielu rozumie to ostateczne zagrożenie dla ludzkości, jakim jest fałszywe poczucie zwolnienia z odpowiedzialności za swoje czyny.

– Dziwne słowa, mój panie. Jak mam je rozumieć?

- Tak jak do ciebie przemawiają. Nie potrafisz słuchać?
- Mam uszy, mój panie!
- Naprawdę? Nie widzę ich.
- Tu, mój panie. Tu i tu! – Idaho wskazał swoje uszy.
- Ale one nie słyszą. Nie masz zatem uszu ani nie słyszysz.
- Żartujesz sobie ze mnie, mój panie?
- Słyszeć to słyszeć. To, co istnieje, nie może być przekształcone w siebie, bo już sobą jest. Być to być.
- Twoje dziwne słowa...
- To tylko słowa. Wypowiedziałem je. Przebrzmiały. Nikt ich nie słyszał, więc już nie istnieją. Skoro zaś już nie istnieją, da się może sprawić, by znów zaistniały, a wtedy, niewykluczone, ktoś je usłyszy.
- Dlaczego kpisz sobie ze mnie, mój panie?
- Nie kpię z niczego oprócz słów. Nie lękam się, że cię obrażę, bo już wiem, że nie masz uszu.
- Nie rozumiem cię, mój panie.
- To początek wiedzy: odkrycie czegoś, czego nie rozumiemy.

Zanim Idaho zdołał odpowiedzieć, Leto dał znak strażnicze, a ta dotknęła kryształowego panelu kontrolnego na ścianie za podwyższeniem Boga Imperatora. Pośrodku sali pojawił się trójwymiarowy obraz kaźni Nunepiego.

Idaho zszedł na posadzkę, by przyjrzeć się temu z bliska. Scenę pokazywano z niewielkiej wysokości. Słysząc było odgłosy zbiegającego się tłumu.

Nunepi był przywiązany do dwóch tyczek trójnogu. Stopy miał szeroko rozstawione, a ręce spętane nad głową, prawie u szczytu trójnogu. Zdarte z niego ubranie leżało w strzępach dookoła. Krzepka zamaskowana rybomówna stała obok niego, trzymając zaimprovizowany bicz z liny z elakki, której cienkie włókna były na końcu rozplecione. Idaho miał wrażenie, że poznaje w niej „Przyjaciółkę” ze swojej pierwszej rozmowy.

Na znak oficera straży zamaskowana rybomówna postąpiła o krok i uderzyła biczem z elakki odsłonięte plecy Nunepiego.

Idaho skrzywił się. Tłum westchnął.

W miejscu, gdzie trafił bicz, pojawiły się pręgi, ale Nunepi milczał.

Bicz opadł znowu. Krew zaznaczyła ślad drugiego ciosu.

Jeszcze raz bicz zdarł skórę z pleców. Pojawiło się więcej krwi.

Leto posmutniał. „Nayla jest zbyt gorliwa – pomyślał. – Zabije go i będziemy mieli kłopoty”.

– Duncan! – zawołał.

Idaho odwrócił się w chwili, gdy tłum podniósł krzyk po jakimś szczególnie krwawym smagnięciu.

– Poślij kogoś, żeby wstrzymał chłostę po dwudziestu razach. Każ ogłosić, że wielkoduszny Bóg Imperator złagodził karę.

Idaho dał znak strażnicze, ta zaś skinęła głową i wybiegła.

– Podejdz tu, Duncan – rzekł Leto.

Nadal urażony tym, co uważał za kpiny z niego, Idaho podszedł do władcy.

– Cokolwiek robię – powiedział Leto – udzielam lekcji.

Idaho z trudem powstrzymywał się od spoglądania na chłostę. Krzyki tłumu przeszywały mu uszy. Czy Nunepi jęknął? Spojrzał w oczy Leto.

– Chodzi ci po głowie jakieś pytanie.

– Wiele pytań.

– Pytaj więc.

– Jak nauka płynie z kary tego głupca? Co powiemy, gdy nas zapytają?

– Że nikomu nie wolno bluźnić przeciw Bogu Imperatorowi.

– Krwawa to nauka, mój panie.

– Nie tak krwawa jak inne, których udzielałem.

Idaho pokręcił głową skonsternowany.

– Nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Właśnie!



Safari po wspomnieniach przodków wiele mnie nauczyły. Te wzory, aaach, te wzory. Najbardziej lękam się fanatyków liberalizmu. Nie ufam skrajnościom. Poskrob konserwatystę, a znajdziesz kogoś, kto woli przeszłość niż jakąkolwiek przyszłość. Poskrob liberała, a znajdziesz skrytego arystokratę. To prawda! Liberalne rządy zawsze wydają arystokrację. Biurokracje zdradzają prawdziwe intencje ludzi, którzy tworzą takie rządy. Od samego początku *mali* ludzie tworzyli rządy obiecujące wyrównanie społecznych obciążeń, które to rządy nagle znajdowały się w rękach biurokratycznych arystokratów. To oczywiste, że wszystkie biurokracje powielają ten wzór, ale jaką hipokryzją jest, że można go znaleźć nawet pod sztandarem komunizmu! Aaach, jeśli te

wzory czegoś mnie nauczyły, to tego, że się powtarzają. Moje naciski nie są gorsze niż inne, a ja przynajmniej udzielam nowej lekcji.

– *Wykradzione dzienniki*

Dzień audyencji miał się już ku końcowi, gdy Leto mógł wreszcie przyjąć delegację Bene Gesserit. Moneo przygotował Matki Wielebne na to opóźnienie, powtarzając zapewnienia Boga Imperatora.

– Spodziewają się sutej nagrody – rzekł, donosząc o tym swemu władcy.

– Zobaczymy – odrzekł Leto. – Zobaczymy. A teraz powiedz mi, czego chciał od ciebie Duncan, kiedy tu wchodziłeś?

– Pytał, czy już kiedyś kazałeś kogoś wychłostać.

– Co odpowiedziałeś?

– Że nie ma takich zapisów i że sam nie byłem świadkiem takiej kary.

– A co on na to?

– Że to nie po atrydzu.

– Myśli, że jestem szalony?

– Tego nie powiedział.

– Mówiliście o czymś jeszcze. Co gryzie naszego nowego Duncana?

– Spotkał się z ixańską ambasadorką, Panią. Uważa, że jest bardzo pociągająca. Pytał o...

– Trzeba temu zapobiec, Moneo! Masz uniemożliwić romans Duncana z Hwi.

– Jak rozkażesz, Pani.

– Rozkazuję! Idź teraz i przygotuj się do naszego spotkania z Bene Gesserit. Przyjmę je w Fałszywej Siczy.

– Pani, czy wybór tego miejsca ma jakieś znaczenie?

– To kaprys. Wychodząc, powiedz Duncanowi, że może wziąć oddział strażniczek i na wszelki wypadek przeczesać miasto.

Czekając w Fałszywej Siczy na delegację Bene Gesserit, Leto uśmiechnął się na wspomnienie tej rozmowy. Mógł sobie wyobrazić, jak Świąteczne Miasto zareaguje na Duncana Idaho na czele oddziału rybomównych.

„Zamilkną jak żaby w stawie, gdy się pojawia drapieżnik”.

Leto pomyślał z zadowoleniem, że dobrze wybrał miejsce. Fałszywa Sicz, swobodnie uformowana z nieregularnych kopuł budowla na skraju Onn, miała prawie kilometr średnicy. Pierwotnie była siedzibą Muzealnych Fremenów, obecnie zaś ich szkołą. Jej korytarze i sale patrolowały czujne rybomówny.

Sala przyjęć, w której czekał Leto, owal o dwustumetrowej dłuższej osi, oświetlona była gigantycznymi sinozielonymi lumisferami, które unosiły się jakieś trzydzieści metrów nad posadzką. Ich światło dodatkowo przytłumiało zgaszone brązy sztucznego kamienia, z którego wykonano całą budowlę. Leto czekał na niskim występie w jednym z końców sali, spoglądając przez półokrągłe okno dłuższe niż jego ciało. Ten otwór okienny z wysokości czterech pięter ukazywał resztkę dawnego Muru Zaporowego, zachowanego dla jaskiń w urwisku, w których oddziały Atrydów zostały niegdyś wybite przez harkonneńskich napastników.

Mroźne światło pierwszego księżyca srebrzyło zarysy klifu. Jego ściana usiana była ogniami, płomieniami odsłoniętymi tam, gdzie kiedyś żaden Fremen nie ośmieliłby się zdradzić swej obecności. Ognie mrugały, gdy przechodzili przed nimi ludzie – Muzealni Fremeni korzystający z prawa do zajmowania świętych okręgów.

„Muzealni Fremeni!” – pomyślał Leto.

Mieli tak ograniczone umysły i tak ciasne horyzonty.

„Ale dlaczego mam im to za złe? Są tym, czym ich uczyniłem”.

Leto usłyszał delegację Bene Gesserit. Zbliżając się, śpiewały jakąś ponurą, przeładowaną samogłoskami pieśń.

Pierwszy wszedł Moneo z grupą strażniczek, które zajęły miejsca na występie. Marszałek dworu stanął na posadzce tuż pod twarzą Leto, spojrzał na niego i odwrócił się do sali.

Kobiety weszły w dwóch rzędach. Było ich dziesięć, a prowadziły je dwie Matki Wielebne w tradycyjnych czarnych szatach.

– Po lewej idzie Anteac, po prawej Luyseyal – powiedział Moneo.

Te nazwiska przypomniały Leto wcześniejsze słowa Moneo, wzburzonego i nieufnego, poświęcone Matkom Wielebnym. Moneo nie lubił „czarownic”.

– Obie są Prawdomówczyniami – mówił wtedy. – Anteac jest znacznie starsza niż Luyseyal, ale tę ostatnią uważa się za najlepszą Prawdomówczynię wśród Bene Gesserit. Zauważ, że Anteac ma na czole bliznę, której pochodzenia nie zdołaliśmy odkryć. Luyseyal jest rudowłosa i wydaje się bardzo młoda jak na kogoś o jej reputacji.

Śledząc zbliżanie się Matek Wielebnych z ich świtą, Leto poczuł napływającą falę wspomnień. Kobiety kryły twarze pod kapturami. Akolitki szły za nimi w pełnym szacunku oddaleniu – wszystko było jak należy. Niektóre wzory się nie zmieniają. Te kobiety mogłyby wchodzić do prawdziwej siczy i być witane przez prawdziwych Fremeniów.

„Ich głowy wiedzą to, czemu przeczą ich ciała” – pomyślał. Przenikliwy wzrok pozwolił mu dostrzec służalczą ostrożność w ich oczach, szły jednak przez długą salę, jakby były pewne swojej religijnej władzy.

Leto cieszyła myśl, że Bene Gesserit mają tylko taką władzę, na jaką on im pozwala. Powody tej pobłażliwości były jasne. Ze wszystkich ludzi w Imperium Bene Gesserit najbardziej go przypominały – były ograniczone do wspomnień swych przodków i dodatkowych kobiecych tożsamości z rytuału dziedziczenia, a jednak każda z nich istniała jako rodzaj zintegrowanego thumu.

Matki Wielebne zatrzymały się przepisowe dziesięć kroków od niego. Ich świta ustawiła się po bokach.

Leto bawiło witanie takich delegacji głosem jego babki Jessiki. Bene Gesserit spodziewały się tego i nie spotkało ich rozczarowanie.

– Witajcie, siostry – powiedział doskonale kontrolowanym tonem Jessiki, niosącym ledwie ślad ironii. Zapisy tego głosu często studiowano w kapitule zgromadzenia.

Gdy tylko przemówił, wyczuł zagrożenie. Matki Wielebne nigdy nie były zadowolone, kiedy witał je w ten sposób, ale ta ich reakcja miała inny podtekst. Moneo też to wyczuł. Kiwnął palcem i straż zbliżyła się do Leto.

Pierwsza przemówiła Anteac.

– Panie, oglądałyśmy rano to widowisko na placu. Co zyskujesz przez takie błazeństwa?

„Takim więc tonem chcemy rozmawiać” – pomyślał.

– Jesteście chwilowo w moich łaskach. Chcecie to zmienić? – spytał własnym głosem.

– Panie – odrzekła Anteac – jesteśmy wstrząśnięte ukaraniem ambasadora. Nie rozumiemy, co na tym zyskujesz.

– Nic nie zyskuję. Umniejszam się.

– To może tylko nasilić myśli o ucisku – odezwała się Luyseyal.

– Zastanawiam się, dlaczego tak niewielu myśli o Bene Gesserit jako o ciemieżycielkach.

Anteac zwróciła się do towarzyszek.

– Jeżeli Bóg Imperator zechce nas poinformować, zrobi to. Przejdźmy do celów naszego poselstwa.

Leto uśmiechnął się.

– Wy dwie możecie podejść bliżej. Zostawcie świtę.

Moneo odstąpił dwa kroki w prawo, kiedy Matki Wielebne podeszły na trzy kroki od Boga Imperatora, jakby ślizgały się bezgłośnie. „Poruszają się, jakby nie miały nóg!” – narzekał kiedyś marszałek.

Przypomniawszy to sobie, Leto patrzył, jak uważnie Moneo przygląda się kobietom. Stanowiły zagrożenie, ale nie śmiał sprzeciwić się ich bliskości. Tak rozkazał Bóg Imperator, więc tak ma być.

Leto przeniósł wzrok na świętę czekającą tam, gdzie Bene Gesserit najpierw się zatrzymały. Akolitki nosiły czarne szaty bez kapturów. Spostrzegł drobne oznaki zakazanych rytuałów – amulet, ozdóbkę, barwny róg chusteczki ułożonej tak, by ukazać więcej barw. Wiedział, że Matki Wielebne pozwalają na to, bo nie mogą już rozdzielać przyprawy tak jak dawniej.

„Rytualne substytuty”.

W ciągu minionych dziesięciu lat zaszły istotne zmiany. Zgromadzenie żeńskie zaczęło myśleć o oszczędzaniu.

„Wyłaniają się – mówił sobie Leto. – Te stare, naprawdę stare tajemnice jeszcze tu są”.

Przez te wszystkie tysiąclecia prastare wzory przeleżały uśpione we wspomnieniach Bene Gesserit.

„Teraz się wyłaniają. Muszę ostrzec moje rybomówne”.

Ponownie skupił uwagę na Matkach Wielebnych.

– Macie jakieś pytania?

– Jak to jest być tobą? – rzuciła Luyseyal.

Leto zamrugął. To był interesujący atak. Nie próbowały tego od paru pokoleń. Cóż... czemu nie?

– Czasami moje sny są blokowane i kierowane w dziwne miejsca – rzekł.

– Jeżeli moje kosmiczne wspomnienia są tkaniną, jak obie na pewno wiecie, pomyślcie o rozmiarach tej tkaniny i o tym, dokąd mogą prowadzić takie sny i wspomnienia.

– Mówisz o naszej wiedzy – powiedziała Anteac. – Dlaczego nie możemy połączyć w końcu sił? Jest między nami więcej podobieństw niż różnic.

– Prędzej połączę się z upadłymi wysokimi rodami, które oplakują utracone zapasy przyprawy!

Anteac zmilczała, ale Luyseyal wymierzyła w Leto palec.

– Proponujemy współpracę!

– A ja obstaję przy konflikcie?

Anteac poruszyła się.

– Powiadają, że istnieje zasada niezgody, która pojawiła się wraz z pierwszą komórką i nigdy się nie wyrodziła – odparła.

– Pewne rzeczy są nie do pogodzenia – przyznał Leto.

– Jak zatem nasze zgromadzenie utrzymuje wspólnotę? – spytała z naciskiem Luyseyal.

Głos Leto stał się surowszy.

– Jak dobrze wiecie, sekret wspólnoty tkwi w zdławieniu tego, czego nie można pogodzić.

– Współpraca może przynieść ogromne korzyści – powiedziała Anteac.

– Wam, nie mnie.

Anteac zdobyła się na westchnienie.

– Czy zatem opowiesz nam, Panie, o twoich fizycznych zmianach?

– Ktoś poza tobą powinien o tym wiedzieć i rejestrować takie sprawy – zauważyła Luyseyal.

– Na wypadek gdyby przydarzyło mi się coś strasznego? – spytał Leto.

– Panie! – zaprotestowała Anteac. – My nie...

– Robicie mi sekcję słowami, chociaż wołałybyście ostrzejsze narzędzia – rzekł Leto. – Hipokryzja mnie obraża.

– Protestujemy, Panie – powiedziała Anteac.

– Rzeczywiście. Słyszę.

Luyseyal zbliżyła się o kilka milimetrów. Moneo spojrzał na nią ostro, a potem popatrzył na Leto. Wyraźnie żądał działania, ale Leto zignorował go, ciekaw zamiarów Luyseyal. To rudowłosa była zagrożeniem.

„Czym ona jest? – zastanawiał się. – Czy może być maskaradnikiem?”

Nie. Nic na to nie wskazywało. Nie. Luyseyal była całkowicie odprężona, nawet najlżejsze drgnienie nie wystawiało na próbę czujności Boga Imperatora.

– Opowiesz nam o twych fizycznych zmianach, Panie? – spytała Anteac.

„Odwrócenie uwagi!” – pomyślał Leto.

– Mój mózg ogromnie się rozrasta – odparł. – Większa część mej czaszki zanikła. Nie ma wyraźnych ograniczeń rozrostu kory mózgowej i układu nerwowego.

Moneo rzucił Leto niespokojne spojrzenie. Dlaczego Bóg Imperator wyjawia tak ważne informacje? Te dwie mogą je sprzedać!

Obie kobiety były jednak najwyraźniej zafascynowane tym wyznaniem i zastanawiały się nad swoim planem.

– Czy twój mózg ma jakieś centrum? – spytała Luyseyal.

– Ja nim jestem.

– A położenie? – Anteac ogarnęła gestem całą postać Leto.

Luyseyal przysunęła się do występu.

– Jaką wartość ma dla was to, co wam wyjawiam?

Matki Wielebne nie zmieniły wyrazu twarzy, co samo w sobie je zdradzało. Po ustach Leto przemknął uśmiech.

– Stałyście się niewolnicami rynku – powiedział. – Nawet Bene Gesserit zostały zarażone mentalnością suku.

– Nie zasługujemy na to oskarżenie – zaprotestowała Anteac.

– Ależ tak. Mentalność suku panuje w moim Imperium. Wymogi naszych czasów tylko wyostrzyły i umocniły sposoby korzystania z rynku. Wszyscy staliśmy się handlarzami.

– Nawet ty, Panie? – spytała Luyseyal.

– Kuisz mój gniew – rzekł Leto. – Jesteś w tym specjalistką, prawda?

– Panie? – Głos Luyseyal był spokojny, ale nazbyt opanowany.

– Specjalistom nie należy ufać. Są mistrzami ograniczeń, znawcami wąskich dziedzin.

– Mamy nadzieję być architektami lepszej przyszłości – odpowiedziała Anteac.

– Lepszej od czego?

Luyseyal przysunęła się o ułamek kroku do Leto.

– Mamy nadzieję ustalić nasze standardy według twoich, Panie.

– Ale chcecie być architektami. Czy zbudujecie wyższe mury? Nie zapominajcie, siostry, że was znam. Sprawnie zakładacie klapki na oczy.

– Życie trwa, Panie – powiedziała Anteac.

– Rozumie się! Tak samo jak wszechświat.

Luyseyal zbliżyła się jeszcze trochę, ignorując spojrzenie Moneo.

Wtedy Leto poczuł coś i prawie się roześmiał.

„Esencja przyprawowa!”

Przyniosły esencję przyprawową. Znały, rzecz jasna, stare opowieści o czerwciach i esencji. Luyseyal ją miała. Myślała, że to swoista trucizna na czerwce pustyni. To było oczywiste. Zapisy Bene Gesserit i przekazy ustne były co do tego zgodne. Esencja niszczyła wewnątrz czerwca, powodując jego rozpad i powstanie piaskowych troci tworzących nowe czerwce, i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej...

– Jest jeszcze coś, co powinniście wiedzieć. Wciąż nie jestem czerwciem, nie w pełni. Myślcie o mnie jak o organizmie kolonijnym z odmiennymi

zmysłami.

Lewa ręka Luyseyal przesunęła się prawie niepostrzeżenie ku fałdzie jej szaty. Moneo dostrzegł to i spojrzał na Leto, ale Bóg Imperator patrzył tylko w płonące pod kapturem oczy Luyseyal.

– Były kiedyś mody na zapachy – powiedział.

Dłoń Prawdomówczyni zawahała się.

– Perfumy i esencje. Pamiętam je wszystkie, są we mnie nawet kultury braku zapachów. Ludzie używali dezodorantów pod pachami i w kroczu. Wiedzieliście o tym? Oczywiście, że tak!

Spojrzenie Anteac pobiegło do Luyseyal.

Żadna z kobiet nie odważyła się przemówić.

– Ludzie wiedzą instynktownie, że feromony ich zdradzają.

Stały nieruchomo. Słyszały go. Spośród wszystkich ludzi Matki Wielebne były najlepiej wyposażone, by zrozumieć jego ukryte przesłanie.

– Chciałybyście eksploatować bogactwa moich wspomnień – powiedział oskarżycielskim tonem.

– Zazdrościmy ci tego, Panie – wyznała Luyseyal.

– Błędnie odczytałyście historię esencji przyprawowej. Piaskowe trocie czują ją tylko jako wodę.

– To była próba, Panie – powiedziała Anteac. – Tylko próba.

– Wy poddajecie próbę mnie?

– Winna jest nasza ciekawość, Panie.

– Ja także odczuwam ciekawość. Postawcie waszą esencję na stopniu obok Moneo. Zatrzymam ją.

Powoli, okazując spokojem ruchów, że nie zamierza atakować, Luyseyal sięgnęła pod szatę i wyjęła małą, rzucającą błękitną poświatę fioletową. Postawiła ją ostrożnie na kamiennym stopniu. Żadnym gestem nie zdradzała, że mogłaby spróbować czegoś desperackiego.

– Prawdomówczyni, rzeczywiście – powiedział Leto.

Obdarzyła go słabym grymasem, który mógł uchodzić za uśmiech, po czym wycofała się do Anteac.

– Skąd macie esencję przyprawową? – zapytał Leto.

– Kupiliśmy ją od przemysłowców.

– Od dwudziestu pięciu wieków nie ma żadnych przemysłowców.

– Nie przydawała się, ale szkoda było wyrzucać.

– Rozumiem. A teraz musicie zmienić zdanie o tym, co uważałyście za swoją cierpliwość, nieprawdą?

- Obserwowałyśmy ewolucję twojego ciała, Panie – powiedziała Anteac.
- Myślałyśmy... – Pozwoliła sobie na lekkie wzruszenie ramion, gest dopuszczalny wobec siostr, ale rzadko używany.

W odpowiedzi Leto zacisnął usta.

- Ja nie mogę wzruszać ramionami.
- Czy nas ukarzesz? – zapytała Luyseyal.
- Za rozbawienie mnie?

Spojrzała na fiolkę.

- Przyrzekłem was wynagrodzić – powiedział. – Zrobię to.
- Pragnęłybyśmy cię osłaniać w naszej wspólnocie, Panie – odezwała się Anteac.

- Nie oczekujcie zbyt wielkiej nagrody.

Anteac skinęła głową.

- Handlujesz z Ixanami, Panie. Mamy powód wierzyć, że mogą wystąpić przeciw tobie.

- Obawiam się ich nie bardziej niż was.
- Z pewnością wiesz, co robią Ixanie – rzekła Luyseyal.
- Moneo przynosi mi kopie wiadomości z mego Imperium. Słyszałem wiele opowieści.

- Mówimy o nowym Złym Duchu, Panie – wyjaśniła Anteac.
- Sądzicie, że Ixanie mogą stworzyć sztuczną inteligencję? Myślącą tak jak wy?

- Obawiamy się tego, Panie.
- Chcecie, bym uwierzył, że Dżihad Butleriański żyje wciąż w waszym zgromadzeniu?

- Nie ufamy nieznanemu, które może wyniknąć z obdarzonej wyobraźnią technologii – odparła.

Luyseyal pochyliła się ku Leto.

- Ixanie chwalą się, że ich machina będzie przekraczać czas tak, jak ty to robisz, Panie.

- A Gildia twierdzi, że wokół Ixan panuje czasochaos – zakpił Leto. – Mamy bać się wszystkiego, co twórcze?

Anteac znieruchomiała.

- Mówię wam prawdę – rzekł Leto. – Dostrzegam wasze zdolności. Czy zechcecie dostrzec moje?

Luyseyal skinęła sztywno głową.

- Tleilax i Ix tworzą pakt z Gildią i oczekują naszej pełnej współpracy.

– A wy najbardziej boicie się Ixa?
– Boimy się wszystkiego, czego nie kontrolujemy – powiedziała Anteac.
– Mnie nie kontrolujecie.
– Gdyby nie było ciebie, ludzie potrzebowaliby nas.
– Wreszcie prawda! Przychodźcie do mnie jak do wyroczni i prosicie, żebym uśmierzył wasze lęki.

– Czy Ix stworzy mechaniczny mózg? – spytała Anteac ściśle kontrolowanym głosem.

– Mózg? Oczywiście, że nie!

Luyseyal się odprężyła, lecz Anteac pozostała nieruchoma. Nie była zadowolona z wyroczni.

„Dlaczego ta głupota powtarza się z taką monotonną precyzją?” – myślał Leto.

Wspomnienia podsuwały mu niezliczone sceny podobne do tej: jaskinie, kapłani i kapłanki w świętej ekstazie, złowieszcze głosy wypowiadające mroczne proroctwa w oparach świętych narkotyków.

Spojrzał na świetlistą fioletkę na skalnym stopniu przy Moneo. Jaka jest jej obecna wartość? Ogromna. To *esencja*. Koncentracja skoncentrowanego bogactwa.

– Zapłaciłyście już wyroczni – powiedział. – Miło mi będzie dać wam tyle, ile to warte.

Jakże stały się czujne!

– Posłuchajcie! To, czego się obawiacie, nie jest tym, czego się obawiacie.

Spodobało mu się brzmienie tych słów, wystarczająco złowieszcze dla każdej wyroczni. Matki Wielebne Anteac i Luyseyal patrzyły na niego niczym pokorne suplikantki. Za nimi zakaszła jakaś akolitka.

„Zostanie później rozpoznana i zganiona” – pomyślał.

Anteac miała dość czasu, by przemyśleć słowa Leto.

– Niejasna prawda to żadna prawda – powiedziała.

– Skierowałem jednak waszą uwagę we właściwą stronę – odparł.

– Radzisz nam nie bać się tej maszyny? – spytała Luyseyal.

– Macie siłę własnego rozumu. Nie jestem wam potrzebny.

– Nie mamy jednak twoich mocy – stwierdziła Anteac.

– Narzekacie, że nie wyczuwacie pajęczych fal czasu. Nie wyczuwacie mojego kontinuum, a boicie się byle maszyny!

– Nie odpowiesz nam zatem.

– Nie popełniajcie błędu, myśląc, że nie znam metod waszego zgromadzenia. Żyjecie. Wasze zmysły są idealnie nastrojone. Nie powstrzymam ich. Wy też nie.

– Ale Ixanie igrają z automatyzacją! – zaprotestowała Anteac.

– Poszczególne części połączono ze sobą – zgodził się. – Co ją zatrzyma, gdy zostanie wprowadzona w ruch.

Luyseyal porzuciła pozory opanowania, co świadczyło o doskonałym rozpoznaniu mocy Leto.

– Wiesz, czym chwałą się Ixanie? – rzuciła piskliwie. – Że ich machina będzie przewidywać *twoje* działania!

– Dlaczego miałbym się tego bać? Im bardziej się do mnie zbliżą, tym pewniej będą moimi sojusznikami. Oni nie mogą nade mną zapanować, ale ja nad nimi mogę.

Anteac chciała coś powiedzieć, lecz zamilkła, gdy Luyseyal dotknęła jej ramienia.

– Czy już sprzymierzyłeś się z Ixem? – spytała Luyseyal. – Chodzą słuchy, że bardzo długo konferowałeś z ich nowym ambasadorem, tą Hwi Nori.

– Nie mam sprzymierzeńców – odrzekł. – Mam tylko sługi, uczniów i wrogów.

– I nie boisz się ixańskiej maszyny? – naciskała Anteac.

– Czy automat może się równać z rozumem?

Oczy Anteac rozszerzyły się i zaszły mgłą, gdy pograżyła się we wspomnieniach. Leto uświadomił sobie, że fascynuje go to, z czym siostra musi się stykać w swoim wewnętrznym tłumie.

„Dzielimy niektóre z tych wspomnień” – pomyślał.

Poczuł wtedy pokusę wspólnoty z Matkami Wielebnymi. Byłaby tak znajoma, tak wspierająca... i tak śmiertelnie niebezpieczna. Anteac raz jeszcze próbowała go zwabić.

– Machina nie może przewidzieć każdego problemu mającego znaczenie dla ludzi – mówiła. – Jest różnica między serią bitów a nieprzerwanym kontinuum. My mamy jedno, a maszyny ograniczone są do drugiego.

– Wciąż jeszcze macie siłę rozumu – powiedział.

– Podziel się! – rzekła Luyseyal. Był to rozkaz dla Anteac, który nagle ujawnił, kto naprawdę nad kim panuje: młodsza nad starszą.

„Nadzwyczajne!” – pomyślał Leto.

– Rozum się przystosowuje – powiedziała Anteac.

„Jest też oszczędna w słowach” – stwierdził Bóg Imperator, kryjąc rozbawienie.

– Rozum tworzy – rzekł. – To oznacza, że musicie sobie radzić z odpowiedziami, które dotąd nie przysły wam do głowy. Musicie mierzyć się z *nowym*.

– Jak możliwość istnienia ixańskiej maszyny – dodała Anteac. To nie było pytanie.

– Czy to nie interesujące, że być wspaniałą Matką Wielebną to za mało? – spytał.

Jego wyczulone zmysły wykryły nagły strach, który unieruchomił obie kobiety. Rzeczywiście, Prawdomówczynie!

– Macie rację, że się mnie boicie – powiedział i podnosząc głos, spytał surowo: – Skąd wiecie choćby, że żyjecie?

Jak wiele razy Moneo, usłyszały w jego słowach zapowiedź fatalnych następstw niewłaściwej odpowiedzi. Z fascynacją zauważył, że nim któraś odpowiedziała, obie spojrzały na marszałka dworu.

– Jestem zwierciadłem siebie – odparła Luyseyal gotową dewizą Bene Gesserit, co Leto uznał za obraźliwe.

– Ja nie potrzebuję przygotowanych wcześniej narzędzi, by radzić sobie ze swymi problemami – stwierdziła Anteac. – Twoje pytanie jest niepoważne!

– Ha, ha! – roześmiał się Leto. – Co byś powiedziała na porzucenie Bene Gesserit i przyłączenie się do mnie?

Spostrzegł, że się zastanawiała, nim odrzuciła propozycję, ale nie ukrywała rozbawienia.

Popatrzył na zaskoczoną Luyseyal.

– Jeżeli coś się nie mieści w waszych kryteriach, angażujecie swój rozum, nie automatykę – wyjaśnił i pomyślał: „Ta Luyseyal już nigdy nie zdominuje starej Anteac”.

Luyseyal była wściekła i nawet nie starała się tego ukryć.

– Chodzą słuchy, że Ixanie zaopatrują cię w maszyny naśladujące ludzkie myślenie – powiedziała. – Jeśli masz o nich tak złą opinię, czemu...

– Kapituła nie powinna jej nigdzie puszczać bez opieki – stwierdził Leto, patrząc na Anteac. – Czy ona się boi sięgnąć do swych wspomnień?

Luyseyal zbladła, ale milczała.

Leto zmierzył ją chłodnym wzrokiem.

– Długie, nieświadome związki naszych przodków z maszynami czegoś nas nauczyły, nie sądzisz?

Luyseyal tylko patrzyła na niego ponuro, niegotowa jeszcze ryzykować życie, otwarcie sprzeciwiając się Bogu Imperatorowi.

– Może przynajmniej przyznasz, że znamy zalety maszyn? – spytał.

Skinęła głową.

– Na dobrze utrzymanej maszynie można polegać bardziej niż na słudze – mówił Leto. – Maszynom można wierzyć, że nie ulegną emocjom.

Luyseyal odzyskała głos.

– Czy to znaczy, że zamierzasz znieść butleriańskie zakazy?

– Klnę się – oświadczył Leto lodowatym, pełnym pogardy tonem – że jeśli nadal będziesz okazywać taką tępotę, każę cię publicznie stracić. Nie jestem twoją wyrocznią!

Otworzyła usta i zamknęła je, nic nie mówiąc.

Anteac dotknęła ręki towarzyszki, przyprowadzając ją o nagły dreszcz. Przemówiła spokojnie, znakomicie posługując się Głosem.

– Nasz Bóg Imperator nigdy otwarcie nie zniesie zakazów Dżihadu Butleriańskiego.

Leto uśmiechnął się do niej z uznaniem. Miło było widzieć profesjonalistkę w jej najlepszej formie.

– Dla każdej istoty myślącej powinno być oczywiste – rzekł – że są granice mojego wyboru i sprawy, do których się nie wtrącam.

Widział, że kobiety przyswajają jego niejednoznaczne słowa, rozważając możliwe znaczenia i intencje. Czy Bóg Imperator skupia ich uwagę na Ixanach, sam zaś kieruje się gdzie indziej? Czy mówi, że nadszedł czas, by opowiedzieć się przeciw Ixowi? A może jego słowa nie mają głębszych motywacji? Jakiegokolwiek ma powody, nie można ich ignorować. Bez wątplenia jest najprzebieglejszą istotą, jaką kiedykolwiek zrodził wszechświat.

Leto spojrzał posępnie na Luyseyal, wiedząc, że może tylko wzmóc ich zmieszanie.

– Zwracam twoją uwagę, Marcus Claire Luyseyal, na lekcję z przeszłości zmechanizowanych społeczeństw, której chyba nie przyswoiłaś. Urządzenia skłaniają użytkowników do posługiwania się innymi ludźmi tak jak maszynami. – Zwrócił się do Moneo. – Moneo?

– Widzę go, Panie.

Marszałek dworu wyciągnął szyję niczym żuraw, patrząc ponad orszakiem Bene Gesserit. W odległym wejściu pojawił się Duncan Idaho i kroczył środkiem sali ku Leto. Moneo nie zmniejszył swej nieufności wobec Bene Gesserit, ale pojmował istotę lekcji Boga Imperatora. „On je sprawdza, zawsze sprawdza”.

Anteac dyskretnie kaszlnęła.

– Panie, co z naszą nagrodą?

– Śmiała jesteś – rzekł Leto. – Niewątpliwie dlatego wybrano cię do tego poselstwa. Dobrze więc. Przez następne dziesięć lat utrzymam wasz przydział przyprawy na obecnym poziomie. Co do reszty, przymknę oko na zamiar użycia esencji. Czyż nie jestem hojny?

– Najhojniejszy, Panie. – W głosie Anteac nie było ani śladu goryczki.

Duncan Idaho przeszedł obok kobiet i zatrzymał się przy Moneo, patrząc na Leto.

– Mój panie, jest... – Urwał i spojrzał na Matki Wielebne.

– Mów otwarcie – rozkazał Leto.

– Tak, mój panie. – Posłuchał, choć niechętnie. – Zaatakowano nas na południowo-wschodnim skraju miasta, chyba dla odwrócenia uwagi, bo mam raporty o licznych aktach przemocy w mieście i w Zakazanym Lesie... o wielu grupach napastników.

– Polują na moje wilki – rzekł Leto. – W lesie i w mieście polują na moje wilki.

Idaho zmarszczył brwi, nie rozumiejąc.

– Wilki w mieście, mój panie?

– Drapieżniki. Wilki czy ludzie... dla mnie to żadna różnica.

Moneo gwałtownie wciągnęła powietrze.

Leto uśmiechnął się do niego, myśląc, że miło jest widzieć moment zrozumienia – spadającą z oczu zasłonę, otwierający się umysł.

– Sprowadziłem silny oddział do ochrony tego miejsca – rzekł Idaho. – Rozstawiłem rybomówne...

– Wiedziałem, że to zrobisz – powiedział Leto. – Teraz słuchaj uważnie. Powiem ci, dokąd wysłać resztę twoich sił.

Matki Wielebne patrzyły wylęknione, jak Leto podaje dokładne lokalizacje zasadzek, siłę każdego oddziału, nawet ich skład, czas, rodzaj broni i rozmieszczenie sił we wszystkich miejscach. Pojemna pamięć Idaho zapisywała każdą instrukcję. Był zbyt zajęty słuchaniem, by zadawać

pytania, nim Leto umilkł, ale potem na jego twarzy pojawiły się zastanowienie i obawa.

Dla Leto było to niczym wejrzenie w głąb myśli Idaho.

„Byłem zaufanym żołnierzem pierwszego Leto. Tamten Leto, dziadek tego, uratował mnie i przyjął do domu jak syna. Ale chociaż ów Leto nadal jakoś istnieje w tym... to nie on”.

– Panie mój, dlaczego jestem ci potrzebny?

– Bo jesteś silny i lojalny.

Idaho pokręcił głową.

– Ale...

– Jesteś posłuszny – stwierdził Leto i zauważył, jak Matki Wielebne odbierają te słowa. „Prawda, tylko prawda, bo to Prawdomówczynie”.

– Bo mam dług wobec Atrydów – powiedział Idaho.

– W tym pokładamy naszą ufność – rzekł Leto. – I, Duncan?

– Mój panie? – Głos Idaho świadczył, że odzyskał grunt pod nogami.

– Zostaw wszędzie przy życiu co najmniej jednego człowieka, inaczej nasze wysiłki pójdą na marne.

Idaho skinął energicznie głową i ruszył przez salę. A Leto pomyślał, że trzeba niezwykle czujnego oka, by dostrzec, że Idaho wychodzi zmieniony, jakże inny od tego, który tu wszedł.

– To skutki chłosty ambasadora – zauważyła Anteac.

– Tak jest – przyznał Leto. – Przedstawcie to dokładnie waszej przełożonej, godnej podziwu Matce Wielebnej Syaksie. Powiedzcie jej, że wolę towarzystwo drapieżników niż ofiar. – Spojrzał na Moneo, który stanął w gotowości. – Moneo, wilki zniknęły z mego lasu. Muszą je zastąpić ludzkie wilki. Dopilnuj tego.



Stan proroczego transu nie przypomina innych wizjonerskich doświadczeń. Nie jest to odejście od wystawiania zmysłów na wpływy zewnętrzne (jak w wielu innych stanach transu), ale pogrążenie się w mnogości nowych ruchów. Rzeczy się poruszają. To ostateczny pragmatyzm w środku nieskończoności. Wymagająca świadomość, w której dochodzicie wreszcie do niezachwianego zrozumienia, że wszechświat porusza się samoistnie, że się zmienia, że zmieniają się jego prawa, że nic w całym tym ruchu nie pozostaje stałe ani absolutne, że mechaniczne wyjaśnienia cegogokolwiek mogą działać

tylko w ramach precyzyjnych ograniczeń, a gdy ściany ograniczeń zostają obalone, dawne wyjaśnienia kruszą się i rozsypują, zdmuchiwane przez nowe ruchy. Rzeczy, które ukazują się w tym transie, otrzeźwiają, a czasem wstrząsają. Wymagają najwyższego wysiłku dla zachowania równowagi, a nawet wtedy wychodzą z tego stanu całkowicie odmienieni.

– Wykradzione dzienniki

W nocy po dniu audiencji, gdy inni spali i walczyli, śnili i umierali, Leto odpoczywał w ciszy sali audiencyjnej z kilkoma tylko zaufanymi rybomównymi na straży u drzwi.

Nie spał. Jego myśli miały się między koniecznością a rozczarowaniem.

„Hwi! Hwi!”

Wiedział, dlaczego przysłano mu Hwi Nori. Wiedział doskonale!

„Moja najgłębsza tajemnica wyszła na jaw”.

Odkryli jego tajemnicę. Dowodem na to była Hwi.

Nachodziły go desperackie myśli. Czy można odwrócić tę straszliwą przemianę? Czy mógłby wrócić do ludzkiej postaci?

„To niemożliwe”.

Gdyby nawet było, odwrotny proces zająłby tyle czasu, ile zajęło osiągnięcie tego stanu. Gdzie będzie Hwi za trzy tysiące lat? W krypcie, pod postacią prochu i kości.

„Mógłbym wyhodować kogoś podobnego do niej i wychować z myślą o sobie, ale to by nie była moja miła Hwi”.

A co będzie ze Złotym Szlakiem, jeśli pozwoli sobie na tak egoistyczny krok?

„Do diabła ze Złotym Szlakiem! Czy ci zaślepieni głupcy pomyśleli kiedyś o mnie? Ani razu!”

To jednak nie była prawda. Hwi myślała o nim. Dzieliła jego udrękę.

Starał się odsunąć te szalone myśli, podczas gdy jego zmysły donosiły o cichych krokach straży i szumie wody płynącej pod salą.

„Kiedy dokonałem tego wyboru, czego oczekiwałem?”

Jakże śmiał się z tego pytania zamieszkujący go tłum! Czy nie ma zadania do ukończenia? Czy nie w tym jest sedno ugody, która trzyma ów tłum w ryzach?

– *Masz zadanie do wykonania. Masz tylko jeden cel – mówili.*

– *Jeden cel to oznaka fanatyka, a ja nie jestem fanatykiem!*

– *Musisz być cyniczny i okrutny. Nie możesz zawieść zaufania.*

– *Dlaczego nie?*

– *Kto złożył przysięgę? Ty. Sam wybrałeś tę drogę.*

- *Oczekiwania!*
- *Oczekiwania, które historia tworzy dla jednego pokolenia, często zostają zniweczone w następnym. Któż wie to lepiej niż ty?*
- *Tak... a zniweczone oczekiwania mogą wyobcować całe populacje. Ja sam jestem całą populacją.*
- *Pamiętaj o swojej przysiędze!*
- *Oczywiście. Jestem niszczącą siłą szalejącą przez stulecia. Ograniczam oczekiwania... z moimi włącznie. Wyhamowuję wahadło.*
- *A potem je uwalniasz. Nie zapominaj o tym.*
- *Jestem zmęczony. Aaach, jaki zmęczony. Gdybym tylko mógł spać... naprawdę spać.*
- *Jesteś też pełen litości dla siebie.*
- *Dlaczego nie? Kim w końcu jestem? Skrajnym samotnikiem zmuszonym do patrzenia na to, kim mogłem być. Codziennie na to patrzę... a teraz Hwi!*
- *Twój wybór, pierwotnie bezinteresowny, napędza cię teraz egoizmem!*
- *Wszędzie czai się zagrożenie, więc muszę nosić swój egoizm jak zbroję.*
- *To zagrożenie dla każdego, kto cię dotknie. To leży w twojej naturze.*
- *Zagrożenie nawet dla Hwi. Drogiej, milej, drogiej Hwi.*
- *Czy zbudowałeś te wysokie mury tylko po to, by siedzieć wewnątrz i uważać się nad sobą?*
- *Zbudowałem te mury, bo w moim Imperium rozpętały się potężne siły.*
- *Ty sam je rozpętałeś. Czy teraz idziesz z nimi na kompromis?*
- *To dzieło Hwi. Te uczucia nigdy nie były we mnie tak silne. To ci przekłęci Ixanie!*
- *Ciekawe, że tym razem zaatakowali cię nie jakąś maszyną, lecz ludzkim ciałem.*
- *Bo odkryli moją tajemnicę.*
- *Znasz przecież antidotum.*

Na tę myśl wielkie ciało Leto zadrżało na całej długości. Dobrze znał to antidotum, które wcześniej zawsze działało: zagubienie się na jakiś czas w swej przeszłości.

Nawet Bene Gesserit nie mogły sobie pozwolić na takie safari: dążyć w głąb osi wspomnień – wstecz, wstecz, aż do samych granic komórkowej świadomości – albo zatrzymywać się po drodze, by napawać się wyszukaną radością zmysłów. Kiedyś, po śmierci szczególnie wspaniałego Duncana, przeglądał wielkie koncerty zachowane w jego wspomnieniach. Mozart szybko go znużył. „Pretensjonalny! Ale Bach... Aaach, Bach!”

Leto przypomniał sobie tamtą radość.

„Siedziałem przy organach i dawałem się ogarniać muzyce”.

Tylko trzy razy we wszystkich wspomnieniach znalazł się ktoś równy Bachowi. Nawet wielki Licallo nie był lepszy – równie dobry, ale nie lepszy.

Czy na tę noc jakaś intelektualistka będzie właściwym wyborem? Babka Jessika była jedną z najwybitniejszych. Doświadczenie podpowiadało jednak, że ktoś tak mu bliski jak Jessika nie będzie odpowiednim antidotum na jego obecne napięcie. Poszukiwanie musi sięgać dalej, znacznie dalej.

Wyobraził sobie potem opisywanie takiego safari jakiemuś wylęknionemu gościowi, całkowicie wymaginowanemu oczywiście, bo nikt nie śmiałby go pytać o tak święte sprawy.

– *Idę wstecz wzdłuż linii przodków, tropiąc wśród dopływów, zaglądając w rozpadliny. Nie rozpoznałbyś wielu z tych nazwisk. Kto kiedy słyszał o Normie Cenvie? Byłem nią!*

– *Byłeś nią?* – spytał jego wymaginowany gość.

– *Oczywiście. Po cóż innego trzymam w sobie przodków? Myślisz, że wiesz, kto zaprojektował pierwszy liniowiec Gildii? Podręczniki historii mówią, że był to Aureliusz Venport. Kłamią. To była jego ukochana, Norma. Dała mu ten projekt wraz z pięciorgiem dzieci. Uważał, że jego „ja” nie zadowoli się mniejszą liczbą. W końcu zniszczyła go świadomość, że nie dorasta do swego wizerunku.*

– *Byłeś również nim?*

– *Oczywiście. I odbywałem dalekie wędrówki z Fremenami. Poprzez linię mego ojca i innych dotarłem aż do rodu Atreusa.*

– *Jakiż wspomniały był to ród!*

– *I w nim bywali głupcy.*

„Rozrywka. Oto, czego mi trzeba” – pomyślał.

Czy ma to być podróż przez erotyczne zabawy i wyczyny?

– *Nie masz pojęcia, do jakich wewnętrznych orgii mam dostęp! Jestem skończonym podglądaczem: uczestnikiem (uczestnikami) i obserwatorem (obserwatorami). Ignorancja i niezrozumienie spraw seksu wyrządziły tak wiele szkód! Jakże byliśmy ograniczeni, jak żałośni!*

Leto wiedział, że nie może tego wybrać, nie tej nocy, gdy Hwi przebywa tu, w jego mieście.

Czy więc wybrać przegląd działań wojennych?

– *Który Napoleon był większym tchórzem?* – zapytał swego wymaginowanego gościa. – *Nie wyjawię tego, ale wiem. O tak, wiem.*

„Dokąd mam pójść? Z całą przeszłością otwartą dla mnie, dokąd pójść?”

Burdele, okrucieństwa, tyrani, akrobaci, nudyści, chirurdzy, męskie dziwki, muzycy, magicy, pigularze, kapłani, rzemieślnicy, kapłanki...

– Czy wiesz – zapytał wyobrazonego gościa – że *taniec hula zachował starożytny język gestów należący kiedyś tylko do mężczyzn? Nie słyszałeś o tańcu hula? Oczywiście, bo kto go jeszcze tańczy? Tancerze zachowali jednak wiele rzeczy. Znaczenie gestów zostało zapomniane, ale ja je znam. Kiedyś przez całą noc byłem szeregiem kalifów podróżujących z islamem na wschód i na zachód... była to podróż przez stulecia. Nie będę cię nudził szczegółami. Odejdź już, gościu.*

„Jakże kusząca jest ta pieśń syreny – pomyślał – która namawia mnie do życia wyłącznie w przeszłości. I jak bezużyteczna jest teraz ta przeszłość za sprawą tych przeklętych Ixan. Jaka nudna, kiedy Hwi tu jest. Przyszłaby do mnie teraz, gdybym ją wezwał. Ale nie mogę jej wezwać... nie teraz... nie tej nocy”.

Przeszłość wciąż go przyzywała.

„Mógłbym pielgrzymować w przeszłość. To nie musi być safari. Mógłbym pójść sam. Pielgrzymka oczyszcza. Safari zmieniają mnie w turystę. To różnica. Mógłbym samotnie podążać do mego wewnętrznego świata. I nigdy nie wrócić”.

Leto czuł nieuchronność tego, że ów stan snu uwięziłby go w końcu.

„Tworzę szczególny stan snu w całym moim Imperium. W tym śnie powstają nowe mity, pojawiają się nowe kierunki i nowe ruchy. Nowe... nowe... nowe... Te rzeczy wyłaniają się z moich snów, z moich mitów. Któż jest na nie bardziej podatny niż ja? Łowca wpada we własne sieci”.

Wiedział, że znalazł się w stanie, na który nie ma antidotum – w przeszłości, teraźniejszości ani przyszłości. Jego wielkie ciało dygotało w mroku sali audiencyjnej.

– Czy Bóg się martwi? – szepnęła rybomówna u drzwi.

– Grzechy tego wszechświata zmartwiłyby każdego – odrzekła jej towarzyszka.

Leto usłyszał je i cicho zapłakał.



Kiedy zabrałem się do prowadzenia ludzkości po moim Złotym Szlaku, obiecałem ludziom lekcję, której nie zapomną. Znam głęboko ukryty wzór, którego istnieniu zaprzeczają, chociaż ich czyny potwierdzają go. Mówią, że szukają bezpieczeństwa i spokoju, stanu, który nazywają pokojem. Ale nawet mówiąc to, sięją ziarna zamętu i przemocy. A gdy już znajdą swoje bezpieczeństwo, źle się w nim czują i uważają je za skrajnie nudne. Spójrzcie na nich teraz. Popatrzcie, co robią, gdy zapisuję te słowa. Daję im całe eony wymuszonego spokoju, który trwa i trwa mimo ich wysiłków, by uciec w chaos. Wiercie mi, pamięć o Pokoju Leto pozostanie z nimi na zawsze. Będą potem szukać spokoju i bezpieczeństwa już tylko z najwyższą ostrożnością i należyтым przygotowaniem.

– *Wykradzione dzienniki*

W zasadzie wbrew swej woli Idaho znalazł się o świcie obok Siony w imperialnym orniopterze, który zabierał ich w „bezpieczne miejsce”. Mknął na wschód, ku złotemu łukowi słonecznego światła wznoszącemu się nad szachownicą zielonych plantacji. Orniopter był wystarczająco duży, by unieść oddziałek rybomównych i dwoje ich gości. Pilotująca go kapitan oddziału, krzepka kobieta o twarzy, na której nigdy chyba nie gościł uśmiech, przedstawiła się jako Inmeira. Siedziała przed Idaho w fotelu pilota, z dwiema muskularnymi rybomównymi po bokach. Dalsze pięć strażniczek tkwiło za Idaho i Sioną.

– Bóg rozkazał mi zabrać cię z miasta – powiedziała Inmeira, podchodząc do niego na stanowisku dowodzenia pod placem centralnym. – To dla twego bezpieczeństwa. Jutro rano wrócimy na Siajnok.

Znużony nocą alarmów, Idaho czuł daremność sprzeciwiania się rozkazowi „samego Boga”. Inmeira, jak się zdawało, byłaby w stanie zanieść go pod pachą. Wyprowadziła go z punktu dowodzenia w chłodną noc pod baldachimem gwiazd błyszczących jak rozsypane brylanty. Dopiero gdy dotarli do ornioptera i Idaho ujrzał czekającą tam Sionę, zaczął zadawać pytania o cel tej wycieczki.

W nocy zdał sobie sprawę, że nie wszystkie akty przemocy w Onn były dziełem zorganizowanych buntowników. Kiedy spytał o Sionę, Moneo przesłał mu wiadomość, że jego córka „została bezpiecznie odsunięta”, i dodał na końcu: „Powierzam ją twojej opiece”.

W orniopterze Siona nie odpowiadała na pytania. Nawet teraz siedziała obok w ponurym milczeniu. Przypominała mu jego samego z tych pierwszych gorzkich dni, kiedy przysiągł zemstę Harkonnenom. Zastanawiała go jej gorycz. Co było jej przyczyną?

Spostrzegł, że nie wiadomo czemu zaczął porównywać Sionę z Hwi Nori. Nie było łatwo spotkać się z Hwi, ale udało mu się to mimo naglących żądań rybomównych, by poświęcił więcej uwagi swoim obowiązkom.

„Łagodna”. To było właściwe określenie Hwi. W jej zachowaniu widać było niezmienną łagodność, która miała na swój sposób ogromną moc. To go niezwykle pociągało.

„Muszę się z nią jeszcze spotkać”.

Na razie wszakże musiał się zadowolić ponurym milczeniem siedzącej obok Siony. Cóż... na milczenie można odpowiedzieć milczeniem.

Spojrzał na przepływający w dole krajobraz. Tu i ówdzie widać było światła wiosek, gasnące w miarę zbliżania się światła słonecznego. Serir leżał daleko stąd, a ta ziemia, sądząc z wyglądu, nigdy nie była spalona słońcem.

„Niektóre rzeczy nie zmieniają się zbyt – pomyślał. – Są po prostu zabierane z jednego miejsca i odtwarzane w innym”.

Ten krajobraz przypominał mu bujne ogrody Kaladanu. Zastanawiał się, co się stało z zieloną planetą, na której Atrydzi żyli tyle pokoleń przed przybyciem na Diunę. Dostrzegał wąskie drogi handlowe i nieliczne pojazdy ciągnięte przez sześćcionogie zwierzęta, prawdopodobnie thonie. Moneo mówił, że thonie, przystosowane do takiego otoczenia, są głównymi zwierzętami roboczymi nie tylko tu, ale w całym Imperium.

„Łatwiej jest kontrolować populację, która chodzi”.

Słowa Moneo dzwięczały mu w uszach, kiedy patrzył w dół. Przed ornitopterem pojawiły się pastwiska, falujące zielone wzgórza pocięte w nieregularne wzory czarnymi kamiennymi murkami. Idaho dostrzegł owce i kilka gatunków bydła. Maszyna przeleciała nad wąską, jeszcze pogrążoną w półmroku doliną, w głębi której połyskiwał strumień. Samotne światło i siny pióropusz dymu mówiły, że jest ona zamieszкана.

Nagle Siona poruszyła się i klepnęła pilotkę w ramię, wskazując coś z przodu, po prawej.

– Czy to nie Gojgoa?

– Tak – odpowiedziała Inmeira głosem stłumionym i zabarwionym uczuciem, którego Idaho nie rozpoznał.

– Czy jest tam bezpiecznie?

– Tak.

Siona spojrzała na Idaho.

– Każ jej zabrać nas do Gojgoi.

– Zabierz nas tam – rzekł Idaho, nie wiedząc, czemu się zgadza.

Inmeira odwróciła się, a jej twarz, o której myślał, że jest nieczuła jak kamień, wyraźnie świadczyła o jakiejś głębokiej emocji. Jej usta wykrzywiły się gniewnie, kącik oka zaś drgał nerwowo.

– Tylko nie do Gojgoi, komendancie – zaczęła. – Są lepsze...

– Czy Bóg Imperator kazał ci zabrać nas w określone miejsce? – przerwała jej Siona.

Oczy Inmeiry rozbłysły gniewem, ale nie patrzyła wprost na Sionę.

– Nie, ale...

– Więc zabierz nas do tej Gojgoi – rzekł Idaho.

Inmeira wróciła do przyrzędów, a Idaho wpadł na Sionę, gdy maszyna nagle przechyliła się i skierowała ku okrągłej kotlinie pośród zielonych wzgórz.

Idaho zerknął nad ramieniem Inmeiry, wypatrując celu. W samym środku kotliny leżała wioska zbudowana z tego samego czarnego kamienia co murki. Widział sady na stokach nad wioską i tarasowate ogrody wznoszące się ku przełęczy, nad którą jastrzębie szybowwały w pierwszych tego dnia prądach wstępujących.

– Co to takiego ta Gojgoa? – spytał, patrząc na Sionę.

– Zobaczysz.

Inmeira wprowadziła maszynę w płytki ślizg zakończony miękkim lądowaniem na płaskim pasie trawy na skraju wioski. Jedna z rybomównych otworzyła drzwi. W nozdrza Duncana uderzyła intensywna mieszanina woni zgniecionej trawy, nawozu i dymu z kuchennych palenisk. Wyskoczył z ornitoptera i patrzył na wiejską ulicę. Ludzie zaczęli się wyłaniać z domów, by popatrzeć na przybyszów. Idaho zobaczył, jak starsza kobieta w zielonej sukni nachyla się i szepcze coś do ucha dziecku. Mały natychmiast odwrócił się i pobiegł w głąb ulicy.

– Podoba ci się tu? – spytała Siona, zeskoczywszy obok niego.

– Wygląda miło.

Siona spojrzała na Inmeirę, gdy ta dołączyła do nich z rybomównymi.

– Kiedy wracamy do Onn?

– Ty nie wracasz – odrzekła Inmeira. – Mam rozkaz zabrać cię do cytadeli. Komendant wraca.

– Rozumiem. – Siona skinęła głową. – Kiedy odlatujemy?

– Jutro rano. Pójdę teraz do naczelnika w sprawie kwater. – I ruszyła do wsi.

– Gojgoa – powiedział Idaho – to dziwna nazwa. Zastanawiam się, co tu było w czasach Diuny.

– To akurat wiem – odparła Siona. – Na starych mapach to Szuloch, czyli Nawiedzone Miejsce. Przekazy ustne mówią, że popełniono tu wiele zbrodni, nim mieszkańcy zostali wytępieni.

– Dżakurutu... – szepnął Idaho, wspominając stare legendy o złodziejach wody. Rozejrzał się, szukając śladów dawnych wydm i skalnych grzbietów, ale nie było niczego takiego. Byli tylko dwaj starzy mężczyźni o spokojnych twarzach, którzy wracali z Inmeirą. Nosili spłowiałe niebieskie spodnie i obszarpane koszule. Byli boso.

– Znasz to miejsce? – spytała Siona.

– Tylko jako nazwę z legendy.

– Powiadają, że są tu duchy, ale ja w to nie wierzę.

Inmeira stanęła przed Idaho, dając znak bosym mężczyznom, by czekali z tyłu.

– Kwatery są skromne, ale odpowiednie, chyba że wolicie prywatną rezydencję.

– Zdecydujemy później. – Siona wzięła Idaho pod rękę. – Komendant i ja chcemy się przejść po Gojgoi.

Rybmówna otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zamilczała.

Idaho pozwolił Sionie poprowadzić się przed gapiącymi się na nich starszymi.

– Poślę z wami dwie strażniczki! – zawołała Inmeira.

Siona zatrzymała się i odwróciła.

– Czy w Gojgoi nie jest bezpiecznie?

– To bardzo spokojne miejsce – powiedział jeden z mężczyzn.

– Więc nie potrzebujemy ochrony – stwierdziła Siona. – Niech ochraniają ornitopter. – I znów pociągnęła Idaho ku wsi.

– W porządku – rzekł Duncan, uwalniając ramię. – Co to za miejsce?

– Bardzo możliwe, że uznasz je za oazę spokoju – odpowiedziała. – Wcale nie przypomina dawnego Szulochu.

– O czymś jednak myślisz. Co to takiego?

– Uprowadzono mnie, że ghole zadają mnóstwo pytań – odparła. – Ja też mam pytania.

– Tak?

– Jaki był Leto w twoich czasach?

– Który?

– Prawda, zapomniałam, że było ich dwóch, dziad Leto i nasz Leto. Mam na myśli oczywiście naszego Leto.

– Był zaledwie dzieckiem, to wszystko, co wiem.

– Przekazy ustne mówią, że jedna z jego pierwszych oblubienic pochodziła z tej wsi.

– Oblubienic? Myślałem...

– Wtedy jeszcze miał ludzką postać. To było po śmierci jego siostry, ale zanim zaczął przemieniać się w Czerwia. Przekazy ustne mówią, że oblubienice Leto znikwały w labiryncie cytadeli i nikt ich już potem nie oglądał, z wyjątkiem twarzy i głosów przekazywanych przez holo. Nie miał oblubienicy od tysięcy lat.

Wyszli na mały plac pośrodku wioski, kwadrat o boku pięćdziesięciu metrów z umieszczonym centralnie basenem pełnym czystej wody. Siona podeszła do basenu, usiadła na kamiennym murku i poklepała go dłonią, zapraszając Idaho. Rozejrzał się najpierw i zobaczył, jak ludzie zerkają na nich z zasłoniętych okien, a dzieci pokazują ich palcami i szepczą. Odwrócił się i spojrzał na Sionę.

– Co to za miejsce?

– Już ci mówiłam. Powiedz, jaki był Muad'Dib.

– Był najlepszym przyjacielem, jakiego można sobie życzyć.

– Przekazy ustne mówią zatem prawdę, ale jego następców w kalifacie nazywają *desposynos*, a to nie brzmi najlepiej.

„Zagaduje mnie” – pomyślał Idaho.

Pozwolił sobie na uśmiech, zastanawiając się nad motywami Siony. Zdawało się, że czeka na jakieś ważne zdarzenie, niespokojnie... nawet z lękiem... ale i z odcieniem czegoś w rodzaju uniesienia. Wszystko, co mówiła, było jedynie rozmową dla zabicia czasu, póki... póki co?

Jego rozmyślenia przerwał odgłos lekkich kroków. Odwrócił się i zobaczył chłopca, może ośmioletniego, biegnącego ku niemu z bocznej uliczki. Bose nogi dziecka wzbijały pył, a w głębi ulicy słychać było rozpaczliwy krzyk kobiety. Chłopiec zatrzymał się dziesięć kroków od nich i wpatrzył w Idaho niepokojąco intensywnym wzrokiem. Wydawał się mgliście znajomy, rosły i silny, o ciemnych, kędzierzawych włosach i twarzy jeszcze dziecinnej, ale z cechami przyszłego mężczyzny – wysokimi kośćmi policzkowymi i równą linią brwi. Nosił spłowiały niebieski kombinezon, najwidoczniej często prany, ale uszyty ze znakomitego materiału, bawełny pundzi tkaney splotem chroniącym przed pruciem się naddartych krawędzi.

– Nie jesteś moim ojcem – powiedział chłopiec. Obrócił się na pięcie, wbiegł w ulicę i zniknął za rogiem.

Idaho odwrócił się i spojrzał posępnie na Sionę, bojąc się zapytać, czy to syn jego poprzednika. Znał odpowiedź: ta znajoma twarz, ujawniający prawdę genotyp. „To ja jako chłopiec”. Uświadomiwszy to sobie, wpadł w rozterkę.

„Czy jestem za niego odpowiedzialny?”

Siona ukryła twarz w dłoniach i zgarbiła się. Wszystko poszło nie tak, jak sobie wyobrażała. Czuła się zdradzona przez swe pragnienie odwetu. Idaho nie był po prostu *gholą*, czymś obcym i niegodnym uwagi. Poczula to, gdy ornitopter rzucił ich na siebie, widziała na jego twarzy uczucia. I ten chłopiec...

– Co się stało z moim poprzednikiem? – spytał sucho Idaho oskarżycielskim tonem.

Opuściła dłonie. Widać było, że Duncan tłumii gniew.

– Nie jesteśmy pewni – odpowiedziała – ale któregoś dnia wszedł do cytadeli i już z niej nie wyszedł.

– To jego syn?

Skinęła głową.

– Jesteś pewna, że nie zabiłaś mego poprzednika?

– Ja... – Pokręciła głową, wstrząśnięta tym oskarżeniem.

– Ten chłopiec to powód, dla którego tu przybyliśmy?

Przełknęła ślinę.

– Tak.

– I co mam z nim zrobić?

Wzruszyła ramionami. Czuła się zbrukana i winna.

– Co z jego matką? – spytał Idaho.

– Mieszka z dziećmi przy tej ulicy.

– Z dziećmi?

– Są jeszcze starszy syn i córka. Gdybyś chciał... mogę zaaranżować...

– Nie. Chłopak ma rację. Nie jestem jego ojcem.

– Przepraszam – wyszeptała Siona. – Nie powinnam tego robić.

– Dlaczego on wybrał to miejsce?

– Jego ojciec... twój...

– Mój *poprzednik*!

– Bo tu był dom Irti. Nie chciała go opuścić. Tak mówili.

– Irti... matka?

– Żona. Według starego obrządku, tego z przekazów ustnych.

Idaho popatrzył po kamiennych fasadach budynków wokół placu, zasłoniętych oknami, wąskich drzwiach.

– Więc tu mieszkał?

– Kiedy tylko mógł.

– Jak on umarł, Siono?

– Naprawdę nie wiem... ale Czerw zabijał i innych. To wiemy na pewno.

– Skąd? – Spojrzał jej badawczo w twarz, zmuszając do odwrócenia wzroku.

– Nie wątpię w opowieści moich przodków – odrzekła. – To tylko cząstki, okruchy, tu wzmianka, tam szept, ale w nie wierzę. Mój ojciec też wierzy.

– Moneo nic mi o tym nie mówił.

– Jedno możesz na pewno powiedzieć o Atrydach: jesteśmy lojalni i dotrzymujemy słowa.

Idaho otworzył usta, ale zamknął je bez słowa. „Oczywiście! Siona również jest Atrydką!” Ta myśl nim wstrząsnęła. Wiedział o tym, ale nie przyjął tego do wiadomości. Była kimś w rodzaju buntowniczką, na której działania Leto przyzwał. Granice tego przyzwolenia nie były jasne, ale Idaho je wyczuwał. „Nie wolno ci wyrządzić jej krzywdy – przykazał mu Leto. – Ma być poddana próbie”.

Idaho odwrócił się plecami do Siony.

– Nie wiesz niczego na pewno. Okruchy, cząstki, szepty!

Nie odpowiedziała.

– On jest Atrydą!

– Jest Czerwem! – odparła, a jad w jej głosie był prawie wyczuwalny.

– Wasze przeklęte przekazy ustne to tylko garść starych plotek! Jedynie głupcy w nie wierzą.

– Ty mu wciąż ufasz – powiedziała – ale to się zmienia.

Idaho spojrzał na nią gniewnie.

– Nigdy z nim nie rozmawiałaś!

– Rozmawiałam. Kiedy byłam dzieckiem.

– I nadal nim jesteś. On jest wszystkimi Atrydami, jacy istnieli. To straszne, ale znałem tych ludzi. Byli moimi przyjaciółmi.

Siona tylko pokręciła głową.

Znów się od niej odwrócił. Czuł się wyprany z emocji. Stracił swój rdzeń duchowy. Bezwiednie ruszył przez plac i w górę ulicy, w której zniknął chłopiec. Siona dogoniła go i szła obok niego, ale nie zwracała na nią uwagi.

Ulica była wąska, zabudowana parterowymi domami z kamienia, o drzwiach cofniętych w głąb sklepionych łukowo ościeży. Wszystkie były zamknięte. Okna stanowiły mniejszą wersję drzwi. Zasłony poruszały się, gdy przechodził.

Na pierwszym skrzyżowaniu zatrzymał się i spojrzał w prawo, tam gdzie zniknął chłopiec. Dwie siwowłose kobiety w czarnych spódnicach i zielonych bluzkach stały o kilka kroków od niego i plotkowały, pochylając ku sobie głowy. Umilkły na widok Idaho, patrząc nań z ciekawością. Odwzajemnił im się spojrzeniem, a potem przeniósł wzrok w głąb uliczki. Była pusta.

Ruszywszy w stronę kobiet, minął je o krok. Zbliżyły się jeszcze bardziej i odwróciły, patrząc za nim. Raz tylko zerknęły na Sionę, a potem wróciły wzrokiem do Idaho. Siona szła cicho obok niego z dziwnym wyrazem twarzy.

„Smutek? – zastanawiał się. – Żal? Ciekawość?”

Trudno było powiedzieć. Bardziej interesowały go jednak mijane drzwi i okna.

– Byłaś już kiedyś w Gojgoi? – spytał.

– Nie – odpowiedziała ściszym głosem, jakby bała się go podnieść.

„Dlaczego idę tą ulicą?” – zastanawiał się. Nim postawił to pytanie, znał już odpowiedź. „To ta kobieta, ta Irti. Jaka jest ta, która zdołała ściągnąć mnie do Gojgoi?”

Róg zasłony w oknie po prawej uniósł się i Idaho zobaczył twarz chłopca z placu. A potem zasłona odsunęła się, ukazując stojącą za nią kobietę. Idaho patrzył oniemiały na jej twarz, zamarłszy w pół kroku. To była twarz z jego najskrytszych snów – owalna, z przenikliwymi ciemnymi oczami i pełnymi, zmysłowymi ustami.

– Jessika – szepnął.

– Co powiedziałeś? – spytała Siona.

Idaho nie był w stanie odpowiedzieć. To była twarz Jessiki zmartwychwstała z przeszłości, którą miał za na zawsze utraconą, genetyczny kaprys, matka Muad’Diba wskrzeszona w nowym ciele.

Kobieta zaciągnęła zasłonę, pozostawiając w jego umyśle powidok, który – czego był pewien – nigdy nie zniknie. Była starsza od Jessiki, która dzieliła z nim niebezpieczeństwa na Diunie – miała zmarszczki w kącikach ust i oczu, ciało odrobinę pełniejsze... „Bardziej matczyne” – powiedział

sobie. A potem pomyślał: „Czy jej kiedyś powiedziałem... kogo przypomina?”

Siona pociągnęła go za rękaw.

– Chcesz wejść, żeby się z nią spotkać?

– Nie, to pomyłka.

Zamierzał już zawrócić, ale drzwi domu Irti otworzyły się. Wyszedł młody człowiek, zamknął za sobą drzwi i stanął twarzą w twarz z Idaho.

Duncan uznał, że młodziak ma jakieś szesnaście lat i że nie ma wątpliwości co do ojcostwa – te gęste, kędzierzawe włosy i te ostre rysy!

– Jesteś tym nowym – powiedział syn Irti. Głos miał już niski, męski.

– Tak. – Idaho miał trudności z mówieniem.

– Dlaczego tu przyszedłeś?

– To nie był mój pomysł – odparł. Łatwiej mu było uczynić z tego wyrzut pod adresem Siony.

Młodziak spojrzał na dziewczynę.

– Dostaliśmy wiadomość, że mój ojciec nie żyje.

Siona skinęła głową.

Tamten zwrócił się znów do Idaho.

– Proszę, odejdz i nie wracaj. Sprawiasz ból mojej matce.

– Oczywiście – rzekł Duncan. – Przepraszam, proszę, lady Irti za to najście. Sprowadzono mnie tu wbrew mej woli.

– Kto cię sprowadził?

– Rybomównie.

Młodziak skinął krótko głową i ponownie spojrzał na Sionę.

– Myślałem, że wy, rybomównie, traktujecie swoje uprzejmie.

Odwrócił się, wszedł do domu i zdecydowanie zamknął drzwi.

Idaho ruszył drogą, którą przyszli, chwytając Sionę za ramię. Potknęła się, a potem odzyskała równowagę i uwolniła się z uścisku.

– Myślał, że jestem rybomówną – powiedziała.

– Oczywiście. Wyglądasz na jedną z nich. Dlaczego mi nie powiedziałaś, że Irti była rybomówną?

– Nie sądziłam, że to ważne.

– Aha.

– Tak się właśnie spotkali.

Doszli do skrzyżowania z ulicą biegnącą do placu. Idaho skręcił w przeciwną stronę i ruszył szybko tam, gdzie wioska przechodziła

w ogrody i sady. Ten wstrząs go ogłuszył. Jego świadomość cofała się przed trudnym do przyswojenia nadmiarem faktów.

Drogę zamykał niski murek. Wspiął się nań, słysząc, że Siona idzie za nim. Drzewa wokół nich były w kwiatach, białych z pomarańczowymi kielichami, w których uwijały się brunatne owady. Powietrze pełne było ich brzęczenia i zapachu kwiatów, który przypominał Idaho kwitnące dżungle Kaladanu.

Zatrzymał się, gdy dotarł na grzbiet wzgórza, skąd widać było Gojgoę, jej pełną wdzięku regularną prostotę. Dachy były płaskie i czarne.

Siona usiadła w gęstej trawie i objęła kolana ramionami.

– Nie było tak, jak się spodziewałaś, prawda? – spytał.

Pokręciła głową i zobaczył, że jest bliska łez.

– Dlaczego tak bardzo go nienawidzisz?

– Nie możemy żyć po swojemu!

Idaho spojrzał w dół, na wioskę.

– Wiele jest takich wsi jak ta?

– Tak wygląda całe Imperium Czerwia!

– I co w tym złego?

– Nic... jeśli to już wszystko, czego pragniesz.

– Mówisz, że to wszystko, na co on pozwala?

– To i kilka miast handlowych... i Onn. Mówiono mi, że nawet stolice planet to tylko duże wsie.

– A ja powtarzam: I co w tym złego?

– To więzienie.

– Więc odejdz stąd.

– Dokąd? Jak? Myślisz, że możemy wejść na liniowiec Gildii i polecieć, dokąd chcemy?

Wskazała w dół, tam gdzie na skraju Gojgoi widać było ornitopter i rybomówne siedzące przy nim na trawie.

– Nasze dozorcynie nie pozwolą nam odejść!

– A przecież one udają się, dokąd chcą.

– Dokąd posyła je Czerw! – Wtuliła twarz w kolana i spytała stłumionym głosem: – Jak było w dawnych czasach?

– Inaczej, często bardzo niebezpiecznie. – Spojrzał na murki rozgraniczające pastwiska, ogrody i sady. – Tu, na Diunie, nie było żadnych linii wskazujących granice własności. To wszystko było księstwem Atrydów.

– Z wyjątkiem Fremenów.

– Tak. Ale oni wiedzieli, gdzie ich miejsce: po tej stronie stoku... albo dalej, gdzie panew bieleje pod piaskiem.

– Oni mogli się udać, dokąd chcieli!

– Do pewnych granic.

– Niektórzy z nas tęsknią za pustynią.

– Macie Serir.

Podniosła głowę i rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– To maleństwo!

– Półtora tysiąca kilometrów na pięćset to nie tak znów mało!

Siona wstała.

– Pytałeś Czerwia, dlaczego nas tak ogranicza?

– To Pokój Leto, Złoty Szlak, który ma nam zapewnić przetrwanie. Tak przynajmniej on mówi.

– Wiesz, co powiedział kiedyś memu ojcu? Szpiegowałam ich, gdy byłam dzieckiem. Słyszałam go.

– Co powiedział?

– Że oszczędza nam większości kryzysów, by ograniczyć nasze działania organizacyjne. „Ludzie mogą doświadczać nieszczęść, ale to ja jestem teraz nieszczęściem. Bogowie mogą być schorzeniem”. To jego słowa, Duncan. Czerw jest chorobą!

Idaho nie wątpił w dokładność jej relacji, ale te słowa go nie poruszały. Pomyślał o Corrinie, którego kazano mu zabić. „Schorzenie”. Ten Corrino, potomek rodu władającego kiedyś Imperium, okazał się miłym, tęgawym mężczyzną w średnim wieku, który pragnął władzy i spiskował, by zdobyć przyprawę. Duncan kazał go zabić rybomównym, co skłoniło Moneo do zadawania pytań.

– Dlaczego sam go nie zabiłeś?

– Chciałem zobaczyć, jak działają rybomówny.

– I co sądzisz o ich działaniu?

– Są sprawne.

Śmierć Corrina przyniosła jednak poczucie nierzeczywistości. Tęgawy człowieczek leżący w kałuży krwi, niezauważalny cień wśród nocnych cieni na ulicy. To było nierzeczywiste. Przypomniawszy sobie słowa Muad'Diba: „Umysł tworzy konstrukcję, którą nazywa rzeczywistością. Ta arbitralna konstrukcja ma tendencję do całkowitego uniezależniania się od tego, o czym donoszą jej zmysły”. Jaka *rzeczywistość* kierowała Panem Leto?

Popatrzył na Sionę stojącą na tle sadów i zielonych wzgórz Gojgoi.

- Zejdźmy do wsi i znajdziemy kwatery. Chciałbym zostać sam.
 - Rybomównie umieszczą nas w jednej kwaterze.
 - Będziemy z nimi?
 - Nie, tylko my dwoje. Powód jest dość prosty. Czerw chce mnie skrzyżować z wielkim Duncanem Idaho.
 - Sam wybieram sobie partnerki! – warknął Idaho.
 - Jestem pewna, że każda z naszych rybomównych byłaby zachwycona. – Siona odwróciła się gwałtownie i ruszyła w dół.
- Idaho patrzył chwilę na nią, na gibkie młode ciało poruszające się jak gałęzie drzew w sadzie na wietrze.
- Nie jestem jego ogierem – mruknął. – To będzie musiał zrozumieć.



Z upływem każdego dnia stajecie się coraz bardziej nierealni, coraz bardziej obcy i coraz odleglejsi od tego, czym jestem, gdy wstępuję w ten dzień. Jestem jedyną rzeczywistością, więc kiedy się ode mnie różnicie, tracicie rzeczywistość. Im bardziej dociekliwy się staję, tym mniej dociekliwi stają się moi czciciele. Religia tłumi ciekawość. Moje działania odejmują się od działań mych czcicieli. Dlatego w końcu nie zrobię nic, zwracając wszystko wystraszonym, którzy owego dnia spostrzegą, że są sami i muszą być samodzielni.

– *Wykradzione dzienniki*

Ten odgłos nie przypominał żadnego innego. Szmer czekającego tłumu docierał do długiego tunelu, którym Idaho szedł przed królewskim powozem – nerwowe szepty wzmocnione do szeptu olbrzyma, szuranie jakiejś gigantycznej stopy, szelest ogromnej szaty. I ten zapach – słodki zapach potu zmieszany z mlecznym tchnieniem seksualnego podniecenia.

Inmeira wraz z resztą rybomównych przywiozła tu Idaho godzinę po świcie, lądując na centralnym placu Onn, który pogrążony był jeszcze w chłodnym zielonym cieniu. Odleciały natychmiast po przekazaniu go innym rybomównym. Inmeira była wyraźnie nieszczęśliwa, że musi dostarczyć Sionę do cytadeli, traciła bowiem przez to obrzęd Siajnoku.

Rybomównie z nowej eskorty, drżące od tłumionych emocji, zaprowadziły go głęboko pod plac, w miejsce nieoznaczone na żadnym z planów, które przestudiował. Był to istny labirynt – szli to w jedną, to w drugą stronę,

korytarzami wystarczająco szerokimi, by pomieścić królewski powóz. Idaho stracił poczucie kierunku i pograżył się w myślach o minionej nocy.

Kwatery w Gojgoi, chociaż spartańsko urządzone i małe, były wygodne – po dwa łóżka w każdej. Izdebki o bielonych ścianach, z jednym oknem i drzwiami, leżały wzdłuż korytarza w budynku nazywanym Domem Gościnnym.

Siona miała rację. Nie spytawszy, czy mu to odpowiada, Inmeira umieściła Idaho razem z nią, jakby to było uzgodnione.

– Jeśli mnie dotkniesz, postaram się cię zabić – oświadczyła Siona, kiedy drzwi zamknęły się za nimi.

Było to powiedziane z taką szczerością, że Idaho omal się nie roześmiał.

– Wolałbym osobną kwaterę – odparł. – Możesz uważać, że jesteś sama.

Spał dość czujnie, przypominając sobie niebezpieczne noce w służbie Atrydów i stałą gotowość do walki. Pokój nie był całkiem ciemny – przez zasłonięte okno wpadał blask księżyców i nawet światło gwiazd odbijające się od kredowobiałych ścian. Przekonał się, że reaguje nerwowo na obecność Siony, na jej zapach, ruchy, oddech. Kilka razy rozbudził się w pełni, by słuchać, a dwukrotnie zdał sobie sprawę, że i ona nasłuchuje.

Poranek i lot do Onn były niczym wybawienie. Na śniadanie pili zimny sok owocowy. Idaho rad ruszył szybkim krokiem w mroku przedświt do ornitoptera. Nie rozmawiał z Sioną i drażniły go ciekawskie spojrzenia rybomównych.

Siona odezwała się do niego tylko raz, wychylając się z ornitoptera, gdy Duncan już stał na placu.

– Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby być twoją przyjaciółką.

Dziwnie to ujęła. Poczuł się zakłopotany.

– Tak... oczywiście.

A potem nowa eskorta odprowadziła go i wreszcie dotarł do punktu docelowego w labiryncie. Leto czekał tam w królewskim powozie. Miejsce spotkania było rozszerzeniem korytarza ciągnącego się w prawo i ginącego w oddali. Ściany były ciemnobrązowe, ze złotymi liniami błyszczącymi w żółtym świetle lumisfer. Eskortą sprawnie zajęła pozycję za powozem, zostawiając Idaho twarzą w twarz z zakapturzonym Leto.

– Duncan, pójdziesz przede mną. Udajemy się na Siajnok – powiedział Leto.

Idaho spojrzał w ciemnoniebieskie studnie oczu Boga Imperatora. Gniewały go panujące tu tajemniczość, skrytość i atmosfera podniecenia.

Czuł, że wszystko, co mu powiedziano o Sajnoku, pogłębia tylko tę tajemniczość.

– Czy naprawdę jestem dowódcą twojej straży, mój panie? – spytał głosem pełnym niechęci.

– Oczywiście! I właśnie oddaję ci honory. Niewielu mężczyzn brało dotąd udział w Sajnoku.

– Co się działo w mieście zeszłej nocy?

– W kilku miejscach były starcia. Ale dziś jest już całkiem spokojnie.

– Ofiary?

– Niewarte wzmianki.

Idaho skinął głową. Wizje ostrzegły zapewne Leto przed jakimś zagrożeniem dla *jego Duncana*. Stąd ten lot w wiejskie zacisze.

– Byłeś w Gojgoi. Nie kusiło cię, by tam zostać? – spytał Leto.

– Nie!

– Nie złość się na mnie. Ja cię nie posłałem do Gojgoi.

Idaho westchnął.

– Jakie niebezpieczeństwo wymagało tego, by mnie odesłać?

– Nie chodziło o ciebie. Prowokujesz jednak moją straż do nadmiernego okazywania jej możliwości. Zeszłej nocy sytuacja tego nie wymagała.

– Ach tak? – Ta myśl wstrząsnęła Idaho. Nigdy nie postrzegał siebie jako przykładu szczególnego bohaterstwa dla żołnierzy, chyba że tego wymagał. To tacy przywódcy jak pierwszy Leto, dziad obecnego, przez samą swą obecność inspirowali ludzi.

– Jesteś mi niezmiernie drogi, Duncan – powiedział Leto.

– Tak... ale mimo to nie będę twoim ogierem!

– Twoje życzenia będą oczywiście honorowane. Pomówimy o tym innym razem.

Idaho spojrzał na eskortę rybomównych. Słuchały z rozszerzonymi oczami.

– Czy zawsze są zamieszki, kiedy przybywasz do Onn?

– Wybuchają cyklicznie. Wichrzyciele zostali właśnie poskromieni. Przez jakiś czas będzie spokojniej.

Idaho spojrzał na nieprzeniknioną twarz Leto.

– Co się stało z moim poprzednikiem?

– Czy rybomówne ci nie powiedziały?

– Powiedziały, że zginął w obronie swego Boga.

– A ty słyszałeś wręcz przeciwne plotki?

– Co się stało?

– Zginął, bo był zbyt blisko mnie. Nie usunąłem go w porę w bezpieczne miejsce.

– Takie jak Gojgoa.

– Wolałbym, żeby dożywał tam swoich dni w spokoju, ale sam wiesz, Duncan, że ty nie szukasz spokoju.

Idaho przełknął ślinę, czując w gardle dziwny ucisk.

– Chcę jednak znać szczegóły jego śmierci. Ma rodzinę.

– Poznasz je i nie martw się o jego rodzinę. Są pod moją opieką. Trzymam ich bezpiecznie z dala. Wiesz, że to mnie szuka przemoc. To jeden z moich obowiązków. Szkoda, że ci, których podziwiam i kocham, muszą cierpieć z tego powodu.

Idaho zacisnął usta, nieusatisfakcjonowany.

– Uspokój się, Duncan. Twój poprzednik zginął, bo był zbyt blisko mnie.

Rybmówne z eskorty poruszały się niecierpliwie. Idaho spojrzał na nie, a potem w tunel po prawej.

– Tak, już czas – rzekł Leto. – Nie każmy kobietom czekać. Idź tuż przede mną, Duncan. Odpowiem na twoje pytania dotyczące Siajnoku.

Nie widząc innego wyjścia, Idaho posłusznie obrócił się na pięcie i poprowadził procesję. Słyszał chrzęst powozu i ciche kroki eskorty.

Chrzęst ucichł tak nagle, że się odwrócił. Powód okazał się oczywisty.

– Jesteś na dryfach – powiedział.

– Wciągnąłem koła, bo kobiety będą się do mnie cisnąć – odparł Leto. – Nie mogę im miażdżyć palców.

– Co to takiego Siajnok? Co to naprawdę jest?

– Już ci mówiłem. To Wielkie Uczestnictwo.

– Czyżbym czuł zapach przyprawy?

– Masz czuły węch! W opłatkach jest mała dawka melanżu.

Idaho pokręcił głową.

Usiłując zrozumieć to wydarzenie, przy pierwszej okazji po przybyciu do Onn spytał wprost:

– Czym jest święto Siajnoku?

– Dzielimy się opłatkiem, nic więcej. Nawet ja w tym uczestniczę.

– Jak protestancy katolicy?

– O nie! To nie jest moje ciało. To intymne uczestnictwo. Przypomina im się, że są tylko kobietami, tak jak ty jesteś tylko mężczyzną, ja zaś jestem *pełnią*. One uczestniczą w owej *pełni*.

Idaho nie spodobał się ton tej wypowiedzi. „*Tylko mężczyzną?*”

– Wiesz, kogo one wyśmiewają podczas tego święta, Duncan?

– Kogo?

– Mężczyzn, którzy je obrazili. Posłuchaj, o czym rozmawiają po cichu między sobą.

Idaho odebrał to jako ostrzeżenie: „Nie obrażaj rybomównych, bo wzbudzisz ich gniew, a to śmiertelnie niebezpieczne!”

Teraz, idąc w tunelu przed Leto, czuł, że niczego się nie dowiedział ze słów, których wysłuchał.

– Nie rozumiem tego uczestnictwa.

– Podczas obrządku będziemy razem. Zobaczysz to i poczujesz. Moje rybomówne to kopalnia szczególnej wiedzy, nieprzerwana linia, którą dzielą tylko one. Teraz ty weźmiesz w tym udział i za to cię pokochają. Przysłuchuj im się uważnie. Są otwarte na ideę pokrewieństwa. Ich wzajemna czułość nie zna zahamowań.

„Im więcej słów, tym więcej tajemnic” – pomyślał Idaho.

Zauważył, że tunel stopniowo się poszerza, a strop wznosi. Przybyło lumisfer nastrojonych na kolor pomarańczowy. Trzysta metrów dalej widział wysoki łuk wyjścia, jaskrawe czerwone światło, a w nim twarze kołyszące się lekko w lewo i w prawo. Ciała pod twarzami zlewały się w ciemną ścianę szat. Atmosfera podniecenia była wyczuwalna.

Zbliżywszy się do czekających kobiet, ujrzał między nimi przejście i pochylnię, która wiodła na niskie podwyższenie z prawej. Wielkie łukowe sklepienie zamykało gigantyczną przestrzeń oświetloną jaskrawoczerwonymi lumisferami.

– Wejdz po pochylni – rzekł Leto. – Stań tuż za środkiem podwyższenia i obróć się twarzą do kobiet.

Idaho podniósł prawą dłoń na znak, że rozumie. Wyszedł na porażającą przestrzeń i wyszkolonym wzrokiem ocenił jej rozmiary. Uznał, że każdy bok kwadratu z zaokrąglonymi narożnikami ma tysiąc sto metrów. Sala wypełniona była kobietami. Przypomniał sobie, że to tylko wybrane reprezentantki rozproszonych garnizonów rybomównych, po trzy z każdej planety. Stały tak stłoczone, że wątpliwe było, by któraś mogła upaść. Pozostawiły jedynie pas szerokości pięćdziesięciu metrów wzdłuż podwyższenia, na którym stał Idaho, badając tę scenę wzrokiem. Patrzyły na niego twarze – twarze, twarze.

Leto zatrzymał powóz tuż za Idaho i uniósł srebrnoskóre ramię.

Grzmiące skandowanie: „Siajnok! Siajnok!” wypełniło natychmiast ogromną salę.

Idaho był prawie ogłuszony. „Na pewno słyszać to w całym mieście – pomyślał. – Chyba że jesteśmy głęboko pod ziemią”.

– Moje oblubienice – powiedział Leto – witam was na Siajnoku!

Duncan spojrzał na Leto. Ujrzał błysk ciemnych oczu i ich promienny wyraz. Bóg Imperator mówił o „przekłętej świętości”, ale się w niej pławił.

„Czy Moneo widział kiedykolwiek to zgromadzenie?” – zastanawiał się Idaho. Była to dziwna myśl, ale wiedział, skąd się wzięła. Potrzebował innego śmiertelnika, z którym mógłby o tym porozmawiać. Rybomówne z eskorty mówiły, że Moneo został wysłany w „sprawach państwowych”. Szczegółów nie znały. Usłyszawszy to, Duncan poczuł, że pojmuję oto kolejny element rządów Leto. Linie władzy biegły od Leto wprost do ludu, ale rzadko się przecinały. To wymagało wielu rzeczy, włącznie z zaufanymi sługami przyjmującymi odpowiedzialność za wypełnianie bez pytania rozkazów.

„Niewielu widzi, że Bóg Imperator przynosi ból – powiedziała wcześniej Siona. – Czy to podobne do Atrydów, których znałeś?”

Idaho patrzył na stłoczone rybomówne, gdy te myśli przebiegały mu przez głowę. To uwielbienie w ich oczach! Ta nabożność! Jak Leto tego dokonał? I po co?

– Moje ukochane!

Głos Boga Imperatora zagrzmiął nad wzniesionymi twarzami, docierając do najdalszych kątów dzięki ixańskim wzmacniaczom ukrytym w powozie.

Widok spoconych twarzy kobiet przypomniawszy Idaho ostrzeżenie Leto: „Wzbudzisz ich gniew, a to śmiertelnie niebezpieczne!”

W tym miejscu nietrudno było w to uwierzyć. Jedno słowo Leto i te kobiety rozszarpią na kawałki winnego obrazy. Nie będą pytać. Będą działać. Zagrożenie własnego życia ich nie powstrzyma. Służą Bogu!

Królewski powóz zaskrzypiał lekko, gdy Leto wygiął przednią część ciała, unosząc głowę.

– Jesteście strażniczkami wiary!

Odpowiedziały jednym głosem.

– Panie, jesteśmy posłuszne!

– We mnie żyjecie bez końca!

– Jesteśmy nieskończonością! – krzyknęły.

– Kocham was jak nikogo innego!

– Miłość!

Idaho zadrżał.

– Daję wam mego ukochanego Duncana!

– Miłość! – wrzasnęły ponownie.

Idaho cały się trząsł. Czuł, że przytłacza go ciężar tego uwielbienia. Chciał uciec, a jednocześnie zostać i przyjąć je. W tej sali była moc. Moc!

– Zmiana straży – powiedział ciszej Leto.

Rybmównie jednocześnie i bez wahania pochyliły głowy. Z prawej strony Duncana pojawił się rząd kobiet w białych szatach. Wyszły na otwartą przestrzeń przed podwyższeniem. Idaho zauważył, że część z nich niesie niemowlęta i małe dzieci, niemające więcej niż rok czy dwa.

Wcześniej wprowadzono go pobieżnie, wiedział więc, że te kobiety opuszczają szeregi rybmównych. Niektóre zostaną kapłankami, inne poświęcą czas dzieciom... ale żadna nie porzuci naprawdę służby Leto.

Patrząc na dzieci, pomyślał, że głęboko ukryte wspomnienia tego przeżycia muszą wywrzeć wpływ na wszystkich chłopców. Całe życie będą nosili tę tajemnicę, wyjaśnienie utracone dla świadomości, ale zawsze obecne, kładące się cieniem na ich zachowaniu.

Ostatnie z przybyłych stanęły przed Leto i podniosły na niego oczy. Wszystkie kobiety w sali skupiły na nim wzrok.

Idaho spojrzał w lewo i w prawo. Kobiety w bieli wypełniały cały teren przed podwyższeniem, po pięćset metrów w obie strony. Niektóre podnosiły dzieci ku Leto. Ich uwielbienie i oddanie były absolutne. Gdyby kazał, roztrząsałyby swe potomstwo o podwyższenie. Zrobiłyby wszystko!

Leto opuścił łagodnie przód ciała na powóz. Spojrzał w dół łaskawym wzrokiem, a jego głos zabrzmiał jak pieszczota.

– Daję wam nagrodę za waszą wiarę i służbę. Proście, a będzie wam dane.

– Będzie dane! – Odpowiedź rozniosła się echem po sali.

– Co moje, to i wasze – rzekł Leto.

– Co moje, to Twoje! – krzyknęły.

– Połączcie się teraz ze mną w cichej modlitwie o moje wstawiennictwo we wszystkim... aby ludzkość nigdy nie zginęła.

Wszystkie głowy się pochyliły. Idaho czuł tę milczącą jedność, siłę, która starała się wejść weń i przejąć nad nim władzę. Otworzył szeroko oczy i odetchnął głęboko, walcząc z czymś, co odczuwał jako fizyczne wtargnięcie. Jego umysł gorączkowo szukał czegokolwiek, czego mógłby się uchwycić, co by go osłoniło.

Te kobiety tworzyły armię, której siły i jedności Idaho nie podejrzewał. Wiedział, że nie rozumie tej siły. Mógł ją tylko obserwować, stwierdzić jej istnienie.

To właśnie stworzył Leto.

Przyszły mu na myśl słowa Leto ze spotkania w cytadeli: „W męskiej armii lojalność wiąże się raczej z samą armią niż z cywilizacją, która ją utrzymuje. W kobiecej armii lojalność wiąże się z przywódcą”.

Patrząc na dowody dzieła Leto, Idaho widział przenikliwą trafność tych słów i obawiał się jej.

„Proponuje mi udział w tym” – pomyślał.

Własna odpowiedź na słowa Boga Imperatora uderzyła go swą infantylnością.

– Nie widzę rozsądnej przyczyny – powiedział wtedy.

– Większość ludzi to istoty niekierujące się rozsądkiem – odparł Leto.

– Żadna armia, męska czy kobieca, nie gwarantuje pokoju. W twoim Imperium nie ma pokoju! Wy tylko...

– Czy rybomówne przedstawiły ci naszą historię?

– Tak, ale chodziłem też po twoim mieście i przyglądałem się ludziom. Są agresywni!

– Sam widzisz, Duncan! Pokój zachęca do agresji.

– A twierdzisz, że twój Złoty Szlak...

– Nie jest właściwie pokojem. To spokój, podatny grunt dla rozwoju podziału klasowego i wielu innych form agresji.

– Mówisz zagadkami!

– Mówię tak, bo nagromadzone obserwacje podpowiadają mi, że pokojowa postawa to postawa pokonanego. Ofiary. A ofiary prowokują agresję.

– Twój przeklęty wymuszony spokój! Co on przynosi dobrego?

– Jeżeli nie ma wroga, trzeba jakiegoś wynaleźć. Pozbawiona zewnętrznego celu armia zawsze zwraca się przeciw własnej ludności.

– Na czym polega twoja gra?

– Modyfikuję ludzkie pragnienie wojny.

– Ludzie nie chcą wojny.

– Chcą chaosu. A wojna jest najbardziej dostępną formą chaosu.

– Nie wierzę w to wszystko! Prowadzisz jakąś niebezpieczną grę.

– Bardzo niebezpieczną. Odwołuję się do najstarszych źródeł ludzkiego zachowania, by od nowa je ukierunkować. Niebezpieczeństwo polega na

tym, że mógłbym stłumić ludzką wolę przeżycia. Zapewniam cię jednak, że mój Złoty Szlak przetrwa.

– Nie stłumiłeś antagonizmów!

– Rozpraszam skupiska energii w jednym miejscu i kieruję ją w inne. Czego nie możesz kontrolować, temu zakładasz uprzęż.

– Co powstrzymuje twą kobiecą armię przed przejęciem władzy?

– Jestem ich przywódcą.

Patrząc na kobiety stłoczone w tej wielkiej sali, Idaho stwierdził, że przywództwo to jest niezaprzeczalne. Widział też, że część uwielbienia spływa i na niego. Pokusa go sparaliżowała – one zrobią wszystko, czego zażąda, wszystko! Moc nagromadzona w tej sali groziła wybuchem. Świadomość tego zmusiła go do głębszego przemyślenia wcześniejszych słów Leto.

Bóg Imperator mówił coś o eksplodującej przemocy. Idaho przypomniał to sobie, patrząc na kobiety pogrążone w cichej modlitwie.

– Mężczyźni akceptują podziały klasowe, tworzą rozwarstwione społeczeństwa, które wręcz proszą o użycie przemocy. Nie rozpadają się one, tylko wybuchają.

– Kobiety tego nie robią?

– Nie, chyba że są prawie całkowicie zdominowane przez mężczyzn albo wtłoczone w model męskich zachowań.

– Płcie nie mogą się aż tak różnić!

– A jednak tak jest. Kobiety jednocy ich płć i jest to silniejsze niż podział na klasy i kasty. Dlatego właśnie pozwalam moim kobietom dzierżyć władzę.

Idaho musiał przyznać, że te modlące się kobiety istotnie dzierżą władzę.

„Jaką część tej władzy przekaże on w moje ręce?”

Pokusa była potworna. Duncan stwierdził, że cały drży. Z lodowatą ostrością uświadomił sobie, że taki musiał być zamysł Leto – kusić go!

Tymczasem kobiety skończyły modlitwę i podniosły wzrok na Leto. Idaho pomyślał, że nigdy jeszcze nie widział na ludzkich twarzach takiego zachwyty – ani w miłosnej ekstazie, ani po zwycięskiej walce – nigdy nie widział niczego zbliżonego do tego głębokiego uwielbienia.

– Duncan Idaho stoi dziś przy mnie – przemówił Leto. – Jest tu, aby złożyć deklarację wierności, którą wszyscy usłyszą. Duncan?

Lodowaty chłód przeniknął wnętrzości Idaho. Leto dawał mu prosty wybór: Deklaruj wierność Bogu Imperatorowi albo giń!

„Jeżeli się zaśmieję, zawaham albo sprzeciwię, te kobiety mnie rozszarpia”.

Ogarnął go gniew. Przełknął ślinę i odchrząknął.

– Niech nikt nie wątpi w moją wierność – rzekł. – Jestem wierny Atrydom!

Usłyszał, jak jego głos, wzmocniony przez ixański sprzęt, odbija się echem po sali.

Odzew był porażający.

– Podzielamy! – wrzasnęły kobiety. – Podzielamy! Podzielamy!

– Podzielamy – rzekł Leto.

Młode kadetki rybomównych w krótkich zielonych szatach wyroiły się ze wszystkich stron, tworząc węzły ruchu wirujące poprzez wzór pełnych uwielbienia twarzy. Każda niosła tacę ze stosem małych brązowych opłatków. Tace sunęły przez tłum, a kobiety pełnymi gracji ruchami sięgały po opłatki w falującym tańcu rąk. Każda wzięła po opłatku i uniosła go wysoko. Któraś z kadetek podsunęła tacę Idaho.

– Weź dwa i podaj mi jeden – powiedział Leto.

Idaho przykląkł i wziął dwa opłatki. Wydawały się kruche, łamliwe. Wstał i podał jeden Leto.

– Czy już wybrano nową straż? – zapytał Bóg Imperator stentorowym głosem.

– Tak, Panie! – krzyknęły rybomównie.

– Czy dochowujecie mi wiary?

– Tak, Panie!

– Czy podążacie Złotym Szlakiem?

– Tak, Panie!

Wibracja kobiecych głosów wstrząsała Idaho falami, ogłuszając go.

– Podzielamy? – zapytał Leto.

– Tak, Panie!

Po tej odpowiedzi Leto włożył opłatek do ust. Każda ze stojących przy podwyższeniu matek odgryzła kawałek swego opłatka, a resztę dała dziecku. Stłoczone za kobietami w bieli rybomównie opuściły ręce i połykały opłatki.

– Duncan, zjedz swój opłatek – powiedział Leto.

Idaho włożył opłatek do ust. Ciało gholi nie zostało uwarunkowane na przyprawę, ale wrażenia zachowały się w pamięci. Opłatek był nieco gorzki, z lekkim posmakiem melanzu. Ten smak wywołał przyływ wspomnień –

posiłki w siczy, bankiety w rezydencji Atrydów... przenikająca wszystko woń przyprawy.

Połykając opłatek, Duncan zdał sobie sprawę z ciszy na sali, jakby wszyscy wstrzymali oddech. W tę ciszę wtargnął głośny szczęk z powozu Leto. Idaho odwrócił się. Leto otworzył schowek w platformie pojazdu i wyjął zeń kryształową szkatułę jarzącą się błękitnoszarą poświatą. Postawił szkatułę na platformie, uniósł świecącą pokrywę i wyjął krysnoż. Idaho od razu rozpoznał ostrze i jastrzębia wyrzeźbionego na rękojeści wykładanej zielonymi kamieniami.

„Krysnoż Paula Muad'Diba!”

Widok tego noża poruszył go głęboko. Wpatrywał się weń, jakby jego obraz mógł przywołać obraz jego właściciela.

Leto podniósł ostrze i trzymał je wysoko, ukazując jego szlachetną krzywiznę i mlecznobiałą poświatę.

– Oto talizman naszego życia.

Kobiety milczały z napiętą uwagą.

– Nóż Muad'Diba – rzekł. – Ząb Szej-huluda. Czy Szej-hulud powróci?

Odpowiedzią był stłumiony pomruk, jeszcze potężniejszy w zestawieniu z wcześniejszymi okrzykami.

– Tak, Panie.

Idaho wrócił spojrzeniem do oczarowanych rybomównych.

– Kim jest Szej-hulud? – spytał Leto.

I znów głęboki pomruk.

– Tobą, Panie.

Duncan skinął głową. Oto był niezaprzeczalny dowód na to, że Leto czerpie z monstrualnego rezerwuaru mocy, której nigdy wcześniej w taki sposób nie wykorzystywano. Leto wspominał o tym, ale w porównaniu z rzeczami, które można było zobaczyć i poczuć w tej wielkiej sali, jego słowa wydawały się mało istotnymi dźwiękami. Teraz przypomniały się Idaho, jakby czekały na tę chwilę, by nabrać prawdziwego znaczenia. Pamiętał, że byli wtedy w krypcie, w tym wilgotnym, mrocznym pomieszczeniu, które najwyraźniej tak bardzo pociągało Leto, jego zaś wręcz odpychało, pamiętał pył stuleci i woń rozkładu.

– Stworzyłem to ludzkie społeczeństwo, kształtując je ponad trzy tysiące lat, otwierając drzwi dojrzałości przed całym gatunkiem – rzekł wówczas Leto.

– Nic z tego, co mówisz, nie wyjaśnia istnienia kobiecej armii! – zaprotestował Idaho.

– Kobietom obcy jest gwałt, Duncan. Pytasz o zakorzenione w płci różnice zachowania? Oto jedna z nich.

– Przestań zmieniać temat.

– Nie zmieniam tematu. Gwałt zawsze był zapłatą za podboje męskich armii. Dopuszczając się gwałtów, mężczyźni nie musieli porzucać swych niedojrzałych fantazji.

Idaho przypomniał sobie palący gniew, który poczuł po tej ripostie.

– Moje hurysy poskramiają mężczyzn – powiedział Leto. – To udomowienie, coś, co kobiety znają z konieczności od eonów.

Idaho wpatrywał się bez słowa w zakapturzoną twarz Leto.

– Poskramiać znaczy dopasowywać do uporządkowanego modelu przetrwania. Kobiety nauczyły się tego od mężczyzn, a teraz mężczyźni uczą się tego od kobiet.

– Mówiłeś jednak...

– Moje hurysy często ulegają jakiejś formie gwałtu, by przekształcić go w głęboką i wiążącą wzajemną zależność.

– Do diabła! Ty...

– Wiążącą, Duncan! Wiążącą.

– Nie czuję się związany...

– Edukacja wymaga czasu. Ty jesteś dawną normą, według której można odmierzyć nową.

Słowa Leto chwilowo wyprały Idaho z wszystkich emocji poza głębokim poczuciem straty.

– Moje hurysy uczą dojrzałości – mówił Leto. – Wiedzą, że muszą nadzorować dojrzewanie mężczyzn. Przez to odnajdują własną dojrzałość. W końcu zostają żonami i matkami, my zaś tracimy pociąg do przemocy z naszych niedojrzałych urojeń.

– Muszę to zobaczyć, żeby uwierzyć.

– Zobaczysz podczas Wielkiego Uczestnictwa.

Stojąc obok Leto w sali Siajnoku, Idaho przyznał, że widzi coś o ogromnej mocy, coś, co może stworzyć ten rodzaj ludzkiego wszechświata, jaki nakreśliły słowa Boga Imperatora.

Leto włożył krysnóż do szkatuły, a tę umieścił w schowku królewskiego powozu. Kobiety patrzyły w milczeniu, dzieci również, ujarzmione przez moc napęniającą tę wielką halę.

Idaho spoglądał na dzieci, wiedząc od Leto, że wszystkie one zostaną nagrodzone stanowiskami – chłopcy czy dziewczynki, każde znajdzie wpływowe miejsce. Chłopcy będą całe życie zdominowani przez kobiety, co (według słów Leto) „ułatwi im przejście od niedojrzałości do wieku prokreacyjnego”.

Rybmówne i ich potomstwo wiodły życie „opanowane przez jakieś podniecenie niedostępne dla większości innych”.

„Co się stanie z dziećmi Irti? – zastanawiał się Duncan. – Czy mój poprzednik stał tu i patrzył na żonę w bieli uczestniczącą w obrzędzie? Co oferuje mi Leto?”

Z taką kobietą armią ambitny dowódca mógłby przejąć Imperium. A czy on mógłby? Nie... nie, dopóki Leto żyje. Leto mówił, że kobiety nie są agresywne „z natury”.

– Nie wpajam im tego. Znają cykliczny schemat z królewskim świętem co dziesięć lat, zmianą straży, błogosławieniem dla nowego pokolenia i chwilą milczenia na cześć poległych sióstr i ukochanych, którzy odeszli na zawsze. Siajnek następuje miarowo po Siajnoku. Same zmiany stają się brakiem zmian.

Idaho przeniósł wzrok z kobiet w bieli i ich dzieci na ogromny tłum milczących twarzy. Mówił sobie, że to tylko mała część wielkiej kobiecej armii rozpościerającej swe sieci po Imperium. Był już w stanie uwierzyć w słowa Leto: „Władza nie słabnie. Z każdym dziesięcioleciem staje się silniejsza”.

„W jakim celu?” – pytał sam siebie.

Spojrzał na Leto, który podnosił dłonie w błogosławieństwie nad salą pełną jego hurys.

– Przejdziemy teraz między wami – rzekł Bóg Imperator.

Kobiety przed podwyższeniem utworzyły przejście, cofając się. Ten szlak wdzierał się w tłum niczym szczelina otwierająca się w ziemi po jakimś wielkim wstrząsie.

– Duncan, idziesz przede mną.

Idaho czuł, że ma suche gardło. Oparł dłoń o skraj podwyższenia i zeskoczywszy, ruszył w głąb *szczeliny*, bo wiedział, że tylko to może zakończyć tę próbę.

Rzut oka w tył upewnił go, że powóz Leto sunie za nim majestatycznie na dryfach.

Idaho odwrócił się i przyspieszył kroku.

Kobiety napierały, zwężając przejście. Robiły to w dziwnej ciszy, skupione wpierw na Idaho, a potem na wielkim ciełe preczerwia jadącym za Idaho na ixańskim powozie.

Gdy Idaho niewzruszenie szedł naprzód, kobiety ze wszystkich stron wyciągały ręce, by dotknąć jego, Leto lub choćby tylko królewskiego powozu. Idaho wyczuwał w ich dotyku tłumioną namiętność i doznawał największego strachu w swoim życiu.



Problem przywództwa jest nieunikniony: Kto zagra rolę Boga?

– Muad’Dib, z przekazów ustnych

Hwi Nori podążała za młodą rybomówną po szerokiej pochylni prowadzącej spiralą w głąb Onn. Wezwanie Pana Leto przyszło późnym wieczorem trzeciego dnia święta, przerywając potok zdarzeń, które wystawiły na próbę jej zdolności zachowania równowagi emocjonalnej.

Jej pierwszy zastępca, Othwi Yake, był niesympatyczny – płowowłosy, z pociągłą twarzą i oczami, które nigdy na nic nie patrzyły długo, a *przenigdy* nie patrzyły w oczy rozmówcy. Yake podał jej kartkę memopapieru z czymś, co określił jako „podsumowanie ostatnich doniesień o przemocy w Świątecznym Mieście”.

Stojąc blisko stołu, przy którym siedziała Hwi, patrzył gdzieś w lewo.

– Rybomówne mordują w całym mieście maskaradników – rzekł, ale nie wydawał się tym szczególnie poruszony.

– Dlaczego? – zapytała.

– Mówi się, że Bene Tleilax dokonali zamachu na Boga Imperatora.

Hwi przeniknął dreszcz strachu. Odchyliła się w tył i rozejrzała po gabinecie ambasadora – okrągłym pokoju z półkolistym stołem, którego wypolerowany blat krył panele kontrolne licznych ixańskich urządzeń. Pokój miał ciemny, poważny wystrój, z ciemnobrązową boazerią maskującą instrumenty zabezpieczające przed szpiegowaniem. Nie było w nim okien.

Starając się nie okazywać niepokoju, Hwi spojrzała na Yake’a.

– A Pan Leto...

– Wydaje się, że zamach był całkowicie nieskuteczny. To jednak może tłumaczyć tamtą chłostę.

– Myślisz więc, że była taka próba?

– Tak.

W tym momencie, nie trudząc się anonsowaniem w sekretariacie, weszła przysłana przez Pana Leto rybomówna. Za nią podążała starowina z Bene Gesserit, którą rybomówna przedstawiła jako „Matkę Wielebną Anteac”. Anteac spojrzała uważnie na Yake’a, podczas gdy rybomówna, młoda kobieta o gładkich, prawie dziecięcych rysach, przekazywała wiadomość:

– Poleciał mi, by ci przypomnieć: „Wróć szybko, gdy cię wezwę”. Wzywa cię.

Kiedy rybomówna mówiła, Yake zaczął się denerwować. Rozglądał się po pokoju, jakby szukał czegoś, czego tam nie było. Hwi zatrzymała się tylko, by narzucić na siebie ciemnoniebieską szatę, i poleciła Yake’owi zostać w biurze do swego powrotu.

W pomarańczowym świetle wieczoru, na dziwnie spokojnej ulicy przed ambasadą, Anteac spojrzała na rybomówną i powiedziała jedynie:

– Tak.

Potem odeszła, a rybomówna zaprowadziła Hwi pustymi ulicami do wysokiego, pozbawionego okien budynku, którego podziemia kryły tę prowadzącą w dół pochylnię.

Ciasna spirala pochylni przyprawiała Hwi o zawrót głowy. W środkowym szybie dryfowały małe białe lumisfery, oświetlając purpurowo-zieloną winorośl o liściach jak słoniowe uszy. Winorośl podtrzymywały złociste linki.

Elastyczna czarna nawierzchnia pochylni pochłaniała odgłos kroków, przez co Hwi wyczulona była na słaby szelest swej szaty.

– Dokąd mnie prowadzisz? – spytała.

– Do Pana Leto.

– To wiem, ale gdzie on jest?

– W swojej kwaterze.

– To strasznie głęboko.

– Tak, Pan to lubi.

– Od tego chodzenia w kółko kręci mi się w głowie.

– Nie patrz na winorośl, to pomoże.

– Co to za roślina?

– Taniońska winorośl. Podobno nie ma wcale zapachu.

– Nigdy o niej nie słyszałam. Skąd pochodzi?

– Pan jeden to wie.

Dalej szły w milczeniu. Hwi starała się zrozumieć swoje uczucia. Bóg Imperator napełniał ją smutkiem. Wyczuwała w nim człowieka, człowieka, którym mógłby być. Dlaczego taki człowiek wybrał taką drogę życia? Czy ktoś to wie? Czy Moneo wie?

Być może wiedział to Duncan Idaho.

Jej myśli podążyły ku Idaho – tak atrakcyjnemu mężczyźnie, tak pełnemu życia! Czula, że ją pociąga. Gdybyż Leto miał jego ciało i powierzchowność! Moneo jednak to była inna sprawa. Spojrzała na plecy rybomównej.

– Możesz powiedzieć mi coś o Moneo? – zapytała.

Przewodniczka spojrzała przez ramię z dziwnym wyrazem bladoniebieskich oczu – czymś w rodzaju nabożnego lęku.

– O co chodzi? – spytała Hwi.

Rybomówna znów patrzyła na spiralę pochylni.

– Pan mówił, że będziesz pytać o Moneo.

– Opowiedz mi więc o nim.

– O czym mam mówić? To najbliższy zaufany Pana.

– Bliższy nawet niż Duncan Idaho?

– O, tak. Moneo jest Atrydą.

– Moneo odwiedził mnie wczoraj – rzekła Hwi. – Powiedział, że powinnam dowiedzieć się czegoś o Bogu Imperatorze. Stwierdził, że Bóg Imperator może zrobić wszystko, dosłownie *wszystko*, jeśli uzna to za pouczające.

– Wielu w to wierzy – odpowiedziała rybomówna.

– Ale ty nie?

W tej chwili ostatni skręt pochylni wprowadził je do małego przedpokoju z oddalonym o kilka kroków wejściem o łukowym nadprożu.

– Pan Leto przyjmie cię natychmiast – oznajmiła rybomówna i ruszyła w górę rampy, nie mówiąc, w co wierzy.

Hwi przeszła pod łukiem i znalazła się w niskim pomieszczeniu. Było o wiele mniejsze niż sala audiencyjna. Powietrze było tu rześkie i suche. Bładożółte światło padało ze źródeł ukrytych w narożnikach sufitu. Pozwoliła oczom przywyknąć do półmroku, zauważając dywany i miękkie poduszki rozrzucone wokół niskiego wzniesienia... Stłumiła dłonią okrzyk, gdy wzniesienie się poruszyło i zdała sobie sprawę, że to Pan Leto na swoim

ukrytym w zagłębieniu powozie. Zrozumiała natychmiast, dlaczego pokój tak wygląda. Pomniejszał Leto w oczach odwiedzających, nie przytłaczając ich jego wysokością. Nic jednak nie można było zrobić z długością i masą ciała, poza ukryciem ich w cieniu i skierowaniem światła na twarz i ręce.

– Wejść i usiąść – powiedział Leto cichym, zachęcającym do rozmowy głosem.

Hwi podeszła do czerwonej poduszki leżącej kilka metrów przed twarzą Boga Imperatora i usiadła.

Leto przyglądał się jej ruchom z wyraźną przyjemnością. Nosila ciemnozłocistą suknię, a włosy miała zaplecione w warkocze, co nadawało jej twarzy świeży i niewinny wygląd.

– Wysłałam twoją wiadomość na Ixa – powiedziała. – I przekazałam im, że chcesz poznać mój wiek.

– Być może odpowiedzą – rzekł. – Ich odpowiedź może nawet być prawdziwa.

– Chciałabym wiedzieć, kiedy się urodziłam, i poznać wszystkie okoliczności, ale nie wiem, dlaczego to interesuje ciebie.

– Interesuje mnie wszystko, co ciebie dotyczy.

– Nie spodoba im się, że uczyniłeś mnie stałym ambasadorem.

– Twoi mistrzowie są dziwną mieszaniną pedanterii i niedbalstwa. Głupcy mnie nie zachwycają.

– Uważasz mnie za głupią, Panie?

– Malki nie był głupi i ty również nie jesteś, moja droga.

– Od lat nie miałam wiadomości od wuja. Czasami zastanawiam się, czy jeszcze żyje.

– Może dowiemy się i tego. Czy Malki rozmawiał z tobą o praktyce zwanej *Taquiyya*?

Zastanawiała się chwilę.

– Czy dawni Fremeni nazywali to „ketman”?

– Tak. To sztuka ukrywania tożsamości, kiedy jej ujawnienie może przynieść szkodę.

– Teraz sobie przypominam. Mówił, że piszesz pod pseudonimem dzieła historyczne, niektóre bardzo znane.

– Przy tej właśnie okazji omawialiśmy *Taquiyya*.

– Dlaczego o tym mówisz, Panie?

– By uniknąć innych tematów. Wiesz, że to ja napisałem książki Noego Szkutnika?

Nie mogła powstrzymać śmiechu.

– A mnie kazano czytać jego biografię!

– Ją także napisałem. Jakie sekrety polecono ci ze mnie wydobyć?

Nawet nie mrugnęła przy tej strategicznej zmianie tematu.

– Interesują ich wewnętrzne mechanizmy działania religii Pana Leto.

– Nadal?

– Chcieliby wiedzieć, jak odebrałeś Bene Gesserit władzę religijną.

– Niewątpliwie z nadzieją powtórzenia mojego wyczynu?

– Jestem pewna, Panie, że o to właśnie im chodzi.

– Hwi, jesteś fatalną przedstawicielką Ixan.

– Służę tobie, Panie.

– Czy ty sama nie jesteś niczego ciekawa?

– Obawiam się, że moja ciekawość może ci sprawić kłopot.

Patrzył na nią chwilę.

– Rozumiem – powiedział. – Tak, masz rację. Powinniśmy na razie unikać intymnych tematów. Chcesz porozmawiać o zgromadzeniu żeńskim?

– Tak, dobrze by było. Czy wiesz, że spotkałam dziś jedną z delegatek Bene Gesserit?

– Zapewne Anteac.

– Wydała mi się przerażająca.

– Nie masz się czego obawiać z jej strony. Poszła do twojej ambasady na mój rozkaz. Wiedziałaś, że zostaliście zinfiltrowani przez maskaradników?

Hwi zabrakło tchu, a potem znieruchomiała, czując chłód w piersi.

– Othwi Yake? – spytała.

– Podejrzewałaś go?

– Po prostu go nie lubiłam i powiedziano mi, że... – Wzruszyła ramionami, po czym, uświadomiwszy to sobie, spytała: – Co się z nim stało?

– Z prawdziwym? Nie żyje. To zwykła praktyka maskaradników w takich wypadkach. Moje rybomówne dostały wyraźny rozkaz, żeby nie zostawić przy życiu żadnego z nich w twojej ambasadzie.

Hwi milczała, ale łzy pociekły jej po policzkach. „To wyjaśnia puste ulice i enigmatyczne »Tak« Anteac. To wyjaśnia wiele rzeczy”.

– Zapewnię ci pomoc rybomównych, póki nie urządzisz się na nowo. Będą cię dobrze strzec.

Hwi otarła łzy. Inkwizytorzy z Ixa zwrócą swój gniew przeciw Tleilaxowi. Ale czy Ix uwierzy w jej raport? Wszyscy w jej ambasadzie to podstawieni maskaradnicy! Trudno w to uwierzyć.

– Wszyscy? – spytała.

– Maskaradnicy nie mieli powodu zostawić kogokolwiek przy życiu. Ty byłabyś następna.

Zadrżała.

– Zwlekali – mówił – bo wiedzieli, że muszą skopiować cię tak precyzyjnie, by oszukać moje zmysły. Nie są pewni mych możliwości.

– Zatem Anteac...

– Zgromadzenie dzieli ze mną zdolność wykrywania maskaradników. Anteac zaś... cóż, jest bardzo dobra w tym, co robi.

– Nikt nie ufa Tleilaxanom. Dlaczego nie wytracono ich już dawno temu?

– Specjaliści bywają pożyteczni mimo swych ograniczeń. Zaskakujesz mnie, Hwi. Nie podejrzewałem cię o taką krwiożerczość.

– Tleilaxanie... są zbyt okrutni jak na ludzi. To już nie ludzie!

– Zapewniam cię, że ludzie potrafią być równie okrutni. Sam byłem taki czasami.

– Wiem, Panie.

– Gdy mnie sprowokowano. Ale jedynymi ludźmi, których wyniszczenie rozważałem, były Bene Gesserit.

Hwi była zbyt wstrząśnięta, by coś powiedzieć.

– Są bliskie tego, czym powinny być, a jednak tak dalekie!

Odzyskała głos.

– Ale przekazy ustne mówią...

– O religii Matek Wielebnych, tak. Kiedyś tworzyły określone religie dla określonych społeczeństw. Nazywały to „inżynierią”. Co ty na to?

– To bezduszne.

– Istotnie. Rezultaty były opłakane. Mimo wszystkich wysiłków na rzecz ekumenizmu w całym Imperium, istnieli niezliczeni bogowie, mniejsze bóstwa i tak zwani prorocy.

– Zmieniłeś to, Panie.

– W pewnym stopniu. Bogowie niełatwo giną, Hwi. Mój monoteizm dominuje, ale pierwotny panteon pozostał. Zszedł do podziemia w różnych przebraniach.

– Panie, z twoich słów wnoszę... że... – Pokręciła głową.

– Że kalkuluję równie chłodno jak zgromadzenie żeńskie?

Przytaknęła.

– To Fremeni uczynili bogiem mojego ojca, wielkiego Muad’Diba. Mimo że on sam nie zabiegał nawet o to, by nazywano go wielkim.

- Ale czy Fremeni...
- Nie mieli racji? Moja najdroższa Hwi, oni byli czuli na punkcie władzy i chcieli zachować swe dziedzictwo.
- Wydaje mi się to... niepokojące, Panie.
- Rozumiem. Nie podoba ci się myśl, że każdy może zostać bogiem, skoro to takie proste.
- To brzmi zbyt banalnie, Panie – powiedziała takim tonem, jakby wsłuchiwała się w coś odległego.
- Zapewniam cię, że *nie każdy* może to zrobić.
- Dajesz jednak do zrozumienia, że odziedziczyłeś boskość po...
- Nigdy nie wspominaj o tym przy rybomównych. Na herezję reagują użyciem siły.
- Hwi usiłowała przełknąć ślinę.
- Mówię to tylko po to, by cię chronić.
- Dziękuję ci, Panie – rzekła słabym głosem.
- Moja boskość zaczęła się, kiedy powiedziałem Fremenom, że nie mogę dłużej oddawać plemionom wody zmarłych. Wiesz, co to woda zmarłych?
- W czasach Diuny woda odzyskiwana z ciał zmarłych.
- Aaach, istotnie przeczytałaś Noego Szkutnika.
- Zdobyła się na słaby uśmiech.
- Oznajmiłem moim Fremenom, że ta woda będzie poświęcana najwyższemu bóstwu, które pozostanie bezimienne. Wolno im było, dzięki mej szczodrości, mieć nad nią kontrolę.
- W tamtych czasach woda musiała być bardzo cenna.
- Bardzo! A ja, jako przedstawiciel tego bezimennego bóstwa, sprawowałem nad nią zwierzchnią kontrolę prawie trzysta lat.
- Hwi przygryzła dolną wargę.
- To wciąż trąci wyrachowaniem? – zapytał.
- Skinęła głową.
- Bo było wyrachowane. Kiedy przyszedł czas poświęcenia wody mej siostry, dokonałem cudu. Z urny Gani przemówiły głosy wszystkich Atrydów. Wówczas moi Fremeni zrozumieli, że to ja jestem ich najwyższym bóstwem.
- Panie, chcesz powiedzieć, że nie jesteś naprawdę bogiem? – zapytała Hwi wylęknionym, niepewnym głosem.
- Powiadam ci, że nie bawię się w chowanego ze śmiercią.

Patrzyła na niego dłuższy czas. W końcu odpowiedziała, upewniając go, że pojęła znaczenie jego słów i że jej oddanie stało się jeszcze większe.

– Twoja śmierć nie będzie podobna do innych śmierci.

– Droga Hwi – mruknął.

– Zastanawiam się, czy nie obawiasz się sądu prawdziwego najwyższego bóstwa.

– Czy ty mnie osądzasz, Hwi?

– Nie, ale lękam się o ciebie.

– Pomyśl o cenie, jaką płacę. Wszystko, co pozostanie po mnie, będzie nosiło zamkniętą w sobie część mej świadomości, zagubioną i bezradną.

Podniosła dłonie do ust, wpatrując się w niego.

– To jest właśnie ta okropność, której nie potrafił stawić czoła mój ojciec i której starał się zapobiec: nieskończone podziały ślepej tożsamości.

Nori opuściła ręce.

– Będiesz świadomy? – szepnęła.

– W pewien sposób, ale będę niemy. Perełka mojej świadomości znajdzie się w każdym czerwiu i w każdej piaskowej troci... rozumna, lecz niezdolna poruszyć ani jednej komórki, świadoma w nieskończonym śnie.

Zadrżała.

Leto obserwował, jak próbuje zrozumieć taką egzystencję. Czy mogła sobie wyobrazić ten finalny *zgiełk*, gdy podzielone części jego świadomości będą walczyć o słabnącą kontrolę nad ixańskim urządzeniem zapisującym jego dziennik? Czy mogła się wczuć w bolesną ciszę, która nastąpi po owym ostatecznym podziale?

– Panie, użyłoby tej wiedzy przeciw tobie, gdybym ją ujawniła.

– A ujawnisz?

– Oczywiście, że nie! – Pokręciła głową. Dlaczego zgodził się na tę straszliwą przemianę? Czy nie było wyjścia? – Czy tej maszyny, która zapisuje twoje myśli – spytała po chwili – nie da się przestroić na...

– Na milion mnie? Na miliard i więcej? Moja droga Hwi, żadna z tych pereł rozumu nie będzie naprawdę mną.

Jej oczy zaszklily się łzami. Zamrugła i nabrała powietrza. W sposobie, w jaki przyjęła nadchodzący spokój, Leto rozpoznał szkolenie Bene Gesserit.

– Panie, okropnie mnie przestraszyłeś.

– I nie rozumiesz, dlaczego to zrobiłem.

– Czy jest możliwe, żebym zrozumiała?

– O, tak. Wielu ludzi mogłoby to zrozumieć. Co zrobią z tym zrozumieniem, to już inna sprawa.

– Nauczysz mnie, co mam robić?

– Ty już wiesz.

Przyjęła to w milczeniu.

– To ma coś wspólnego z twoją religią. Czuję to.

Leto uśmiechnął się.

– Za ten cenny dar, jakim jesteś, mogę wybaczyć twoim ixańskim mistrzom prawie wszystko. Proście, a będzie wam dane.

Pochyliła się ku niemu, przesuając na poduszce.

– Opowiedz mi o twojej religii.

– Już niedługo dowiesz się o mnie wszystkiego, Hwi. Obiecuję. Pamiętaj tylko, że kult słońca wśród naszych prymitywnych przodków nie był daleki od tego.

– Kult... słońca? – Odchyliła się w tył.

– Słońca, które kontroluje wszelki ruch, ale którego nie można dotknąć. Takie słońce jest śmiercią.

– Twoją... śmiercią?

– Każda religia krąży jak planeta wokół słońca, z którego czerpie energię i od którego zależy jej istnienie.

– Co widzisz w *twoim* słońcu, Panie? – spytała niemal szeptem.

– Wszechświat o wielu oknach, przez które mogę wyglądać. Widzę wszystko, cokolwiek widać z okna.

– Przyszłość?

– Wszechświat jest bezczasowy, jak jego korzenie, zawiera więc wszelkie czasy i wszelkie przyszłości.

– Zatem to prawda – powiedziała. – Widziałeś coś, czemu to – wskazała jego długie, pierścieniowate ciało – zapobiega.

– Uwierzysz więc, że to, czym się stałem, może być w jakiś skromny sposób święte?

Mogła jedynie skinąć głową.

– Ostrzegam cię, że jeśli postanowisz dzielić to wszystko ze mną, będzie to straszny ciężar.

– A uczyni to twoje brzemię lżejszym, Panie?

– Nie lżejszym, ale łatwiejszym do zniesienia.

– Zatem chcę to z tobą dzielić. Powiedz mi jak.

– Nie teraz, Hwi, musisz być jeszcze chwilę cierpliwa.

Przełknęła rozczarowanie, wzdychając.

– To tylko dlatego, że Duncan Idaho staje się niecierpliwy. Muszę to z nim załatwić.

Obejrzała się, ale mały przedpokój był pusty.

– Chcesz, bym cię teraz opuściła?

– Chcę, byś mnie nigdy nie opuszczała.

Spojrzała na niego uważnie. Zauważyła jego napięcie i głodną pustkę wzroku, napełniające ją smutkiem.

– Panie, dlaczego akurat mnie mówisz o twych tajemnicach?

– Nie prosiłbym cię, żebyś została oblubienicą Boga.

Jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

– Nie odpowiadaj – rzekł.

Ledwie poruszając głową, ogarnęła spojrzeniem jego długie, pograżone w cieniu ciało.

– Nie szukaj organów, które już nie istnieją. Pewne formy cielesnej poufałości są już dla mnie nieosiągalne.

Wróciła wzrokiem do jego zakapturzonej twarzy. Dostrzegła różową cerę i głęboko ludzki wyraz jego rysów w tym obcym ciele.

– Gdybyś chciała mieć dzieci – powiedział – prosiłbym tylko, byś pozwoliła mi wybrać ojca. O nic jednak cię jeszcze nie prosiłem.

Jej głos był ledwie słyszalny.

– Panie, nie wiem, co...

– Wkrótce wracam do cytadeli. Przyjedziesz tam do mnie i porozmawiamy. Opowiem ci wtedy o tym, czemu zapobiegam.

– Panie, jestem przerażona. Nie sądziłam, że mogę aż tak się bać.

– Nie obawiaj się mnie. Wobec mojej łagodnej Hwi mogę być tylko łagodny. Co do innych niebezpieczeństw, rybomówne osłonią cię własnymi ciałami. Nie dopuszczą, by spotkała cię krzywda!

Hwi podniosła się i stała drżąca.

Leto z bólem widział, jak bardzo poruszyły ją jego słowa. Jej oczy błyszczały od łez. Zaciskała dłonie, by powstrzymać ich drżenie. Wiedział, że chętnie przybędzie do niego do cytadeli. O cokolwiek ją poprosi, odpowie jak rybomówne: „Tak, Panie”.

Zrozumiał, że gdyby mogła zamienić się z nim miejscami i przejąć jego brzemię, poświęciłaby się. To, że nie była w stanie tego zrobić, powiększało tylko jej ból. Jej intelekt miał oparcie w głębokiej wrażliwości, bez jakichkolwiek hedonistycznych słabostek Malkiego. Była przerażająca

w swej doskonałości. Wszystko w niej utwierdzało go w przekonaniu, że jest dokładnie tego rodzaju kobietą, jakiej pragnąłby (Nie, pożądał!) jako towarzyszkę życia.

A Ixanie o tym wiedzieli.

– Zostaw mnie teraz – wyszeptał.



Dla mojego ludu jestem zarówno ojcem, jak i matką. Poznałem ekstazę narodzin i ekstazę śmierci, i wiem to wszystko, czego wy musicie się nauczyć. Czyż nie błąkałem się, odurzony, po wszechświecie pełnym kształtów? Tak! Widziałem wasze sylwetki na tle światła. Wszechświat, o którym mówicie, że widzicie go i czujecie, ten wszechświat jest moim snem. Moja energia skupiona jest na nim i oto jestem w każdym z królestw, i jestem każdym z królestw. Tak właśnie się narodziliście.

– *Wykradzione dzienniki*

– Moje rybomówne twierdzą, że natychmiast po Siajnoku udałeś się do cytadeli – powiedział Leto.

Spoglądał oskarżycielsko na Idaho stojącego tam, gdzie przed godziną siedziała Hwi. Minęło tak niewiele czasu... a jednak czuł pustkę stuleci.

– Potrzebowałem czasu, by pomyśleć – odrzekł Idaho. Patrzył w ciemne zagłębienie, w którym spoczywał powóz Leto.

– I by porozmawiać z Sioną?

– Tak. – Idaho przeniósł wzrok na twarz Leto.

– Pytałeś jednak o Moneo.

– Czy one donoszą ci o każdym moim ruchu?

– Nie o każdym.

– Niekiedy człowiek potrzebuje samotności.

– Oczywiście. Nie mniej jednak za złe rybomównym, że się o ciebie troszczą.

– Siona mówi, że ma przejść jakąś próbę!

– Czy dlatego pytałeś o Moneo?

– Co to za próba?

– Moneo wie. Przypuszczam, że dlatego chciałeś się z nim widzieć.

– Ty niczego nie przypuszczasz! Ty *wiesz*.

– Siajnok wyprowadził cię z równowagi, Duncan. Przykro mi.

– Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak to jest być mną... tutaj?

– Los gholi nie jest lekki. Niektórym po prostu żyje się trudniej niż innym.

– Nie potrzebuję filozofii dla nieletnich!

– Czego więc chcesz, Duncan?

– Chcę się dowiedzieć kilku rzeczy.

– Na przykład?

– Nie rozumiem *nikogo* z tych, którzy cię otaczają! Moneo mówi mi, że Siona uczestniczyła w buncie przeciw tobie. Jego własna córka!

– W swoim czasie Moneo też był buntownikiem.

– Widzisz, o co mi chodzi? Jego też poddałeś próbie?

– Tak.

– A poddasz i mnie?

– Właśnie przechodzisz próbę.

Idaho rzucił Leto gniewne spojrzenie.

– Nie rozumiem twoich rządów, twojego Imperium, niczego. Im więcej się dowiaduję, tym bardziej zdaję sobie sprawę, że nie wiem, co się dzieje.

– Na szczęście odkryłeś drogę mądrości.

– Co takiego?! – Tłumione oburzenie Idaho sprawiło, że zabrzmiało to jak okrzyk z pola bitwy, wypełniając echem salkę.

Leto uśmiechnął się.

– Czy ci nie mówiłem, Duncan? Myśleć, że się coś wie, to najlepsza obrona przed dowiedzeniem się czegoś.

– Powiedz mi zatem, co się dzieje.

– Mój przyjaciel Duncan Idaho nabiera nowego zwyczaju. Uczy się spoglądać poza to, co jego zdaniem wie.

– Dobrze, dobrze. – Idaho pokiwał głową. – Co więc kryje się za tym, że pozwolono mi na udział w Sjaïnoku?

– Chcę przywiązać rybomówne do komendanta mej straży.

– A ja je muszę odpychać! Eskorta, która wiozła mnie do cytadeli, chciała się zatrzymać na orgię. A te, które mnie tu dostarczyły...

– Wiedzą, jak cieszy mnie widok dzieci Duncana Idaho.

– Niech cię diabli! Nie jestem twoim ogierem!

– Nie musisz krzyczeć, Duncan.

Idaho zrobił kilka głębokich wdechów.

– Kiedy mówię im „nie”, najpierw udają obrażone, a potem traktują mnie jak jakiegoś przekłętego – pokręcił głową – świętego.

– Nie słuchają twoich poleceń?

– Nie sprzeciwiają się niczemu... jeśli nie jest to sprzeczne z twoimi rozkazami. Nie chciałem tu wracać.

– A jednak cię przywiozły.

– Diabelnie dobrze wiesz, że *tobie* się nie sprzeciwia!

– Rad jestem, że przybyłeś, Duncan.

– Właśnie widzę!

– Rybomówne wiedzą, jaki jesteś wyjątkowy, jak jestem ci oddany i ile ci zawdzięczam. Kiedy chodzi o ciebie i o mnie, nie ma problemu posłuszeństwa i nieposłuszeństwa.

– Jaki to więc problem?

– Lojalności.

Idaho zamyślił się.

– Czułeś moc Siajnoku? – zapytał Leto.

– Abrakadabra.

– Dlaczego więc to cię martwi?

– Twoje rybomówne to nie armia, tylko siły policyjne.

– Na moje imię, zapewniam cię, że tak nie jest. Policje są nieuchronnie skorumpowane.

– Kusłeś mnie władzą – rzekł oskarżycielsko Idaho.

– To próba, Duncan.

– Nie ufasz mi?

– Twej lojalności wobec Atrydów ufam bezwarunkowo.

– Dlaczego więc mówisz o korupcji i o próbie?

– To ty mnie oskarżyłeś o utrzymywanie policji. Policja zawsze się stara, by przestępcom dobrze się wiodło. Tylko najgłupszy policjant przeoczy fakt, że stanowisko u władzy to najkorzystniejsze miejsce dla przestępcy.

Idaho oblizał wargi, patrząc na Leto z wyraźnym zaskoczeniem.

– Ale szkolenie etyczne... to znaczy prawne... więzienia...

– Co dają ustawy i więzienia, jeżeli złamanie prawa nie jest grzechem?

Idaho przechylił lekko głowę.

– Chcesz mi powiedzieć, że twoja przeklęta religia jest...

– Kara za grzechy może być całkiem ekstrawagancka.

Idaho wskazał kciukiem przez ramię świat za drzwiami.

– Całe to gadanie o karze śmierci... ta chłosta i...

– Kiedy to tylko możliwe, staram się obywać bez przypadkowych praw i więzień.

– Musisz mieć jakieś więzienia!
– Naprawdę? Więzienia mają jedynie stworzyć iluzję skuteczności sądów i policji. To rodzaj ubezpieczenia.

Idaho obrócił się, wskazując drzwi, przez które wszedł.

– U ciebie więzieniami są całe planety!

– Chyba mógłbyś myśleć o wszystkim jako o więzieniu, gdyby tak ci nakazywały twoje złudzenia.

– Złudzenia! – Idaho opuścił rękę i stał oniemiały.

– Tak! Mówisz o więzieniach, policji i jurysdykcji, o iluzjach doskonałych, za którymi kryje się i działa władza, dobrze wiedząc, że sama jest ponad prawem.

– I myślisz, że z przestępstwami można sobie poradzić...

– Nie z przestępstwami, Duncan. Z grzechami.

– Myślisz więc, że twoja religia może...

– Zauważyłeś, jakie są grzechy główne?

– Jakie?

– Próba deprawacji członka mego rządu i deprawacja dokonana przez członka mego rządu.

– A czym się wyraża ta deprawacja?

– W zasadzie to nieuznawanie i nieoddawanie czci świętości Boga Leto.

– Tobie?

– Mnie.

– Ale na samym początku powiedziałeś, że...

– Myślisz, że nie wierzę w swoją boskość? Uważaj, Duncan!

Idaho przemówił z gniewną stanowczością.

– Mówiłeś mi, że jednym z moich zadań jest chronienie twojej tajemnicy, że...

– Nie poznałeś mojej tajemnicy.

– Że jesteś tyranem? To nie...

– Bogowie mają większą władzę niż tyrani, Duncan.

– Nie podoba mi się to, co słyszę.

– Czy któryś Atryda prosił cię kiedykolwiek, byś polubił swoją pracę?

– Prosisz mnie o dowodzenie twoimi rybomównymi, które są sędziami, ławą przysięgłych i oprawcami zarazem...

– I co z tego?

Idaho milczał.

Leto patrzył poprzez dzielący ich dystans, przestrzeń tak małą, a jednak tak wielką.

„To jak wodenie ryby na haczyku – pomyślał. – W tej walce musisz kalkulować wytrzymałość każdego elementu”.

Problem z Idaho polegał na tym, że schwytanie go w sieć przyspieszało jego koniec. A tym razem działo się to zbyt szybko. Leto zasmucił się.

– Nie będę cię czcił – oświadczył Duncan.

– Rybomówne wiedzą, że masz specjalną dyspensę.

– Taką jak Moneo i Siona?

– Całkiem inną.

– Czyli buntownicy to szczególny przypadek?

Leto uśmiechnął się szeroko.

– Wszyscy moi najbardziej zaufani ludzie byli w swoim czasie buntownikami.

– Ja nie byłem...

– Byłeś wybitnym buntownikiem! Pomagałeś Atrydom wydrzeć Imperium panującemu monarsze.

Idaho zapatrzył się we wspomnienia niewidzącymi oczami.

– Tak było! – Pokręcił głową, jakby strząsał coś z włosów. – I spójrz, co zrobiłeś z tym Imperium!

– Nadałem mu formę. Wzór wzorów.

– To ty tak twierdzisz.

– Informacja jest zamrożona we wzorach, Duncan. Możemy użyć jednego wzoru, by znaleźć rozwiązanie innego. Najtrudniej rozpoznać i zrozumieć płynne wzory.

– Znowu abrakadabra.

– Już raz popełniłeś ten błąd.

– Dlaczego pozwalasz Tleilaxanom wciąż przywracać mnie do życia, jednego gholę po drugim? Gdzie tu *wzór*?

– Dla twoich licznych zalet, ale niech ci to powie mój ojciec.

Idaho skrzywił się.

Leto przemówił głosem Muad'Diba i nawet zakapturzona twarz przybrała rysy jego ojca.

– Byłeś moim najwierniejszym przyjacielem, Duncan, lepszym nawet niż Gurney Halleck. Ja jednak jestem przeszłością.

Idaho z trudem przełknął ślinę.

– Wszystko, co robisz!

– Jest sprzeczne z naturą Atrydów?

– Masz cholerną rację!

Leto wrócił do zwykłego tonu.

– Ale wciąż jestem Atrydą.

– Naprawdę?

– Kim innym mógłbym być?

– Chciałbym to wiedzieć!

– Myślisz, że się zabawiam słowami i głosami?

– A co naprawdę robisz, na wszystkie siedem kręgów piekieł?!

– Chronię życie, przygotowując scenę dla następnego cyklu.

– Chronisz je przez zabijanie?

– Śmierć często jest korzystna dla życia.

– To nie po atrydsku!

– Wręcz przeciwnie! Docenialiśmy wartość śmierci. Za to Ixanie nigdy jej nie rozumieli.

– Co mają Ixanie do...

– Wszystko. Budują maszynę, chcąc ukryć inne swe machinacje.

– To dlatego była tu ich ambasador – domyślił się Idaho.

– Widziałeś Hwi Nori?

Duncan wskazał w górę.

– Wychodziła, kiedy przybyłem.

– Rozmawiałeś z nią?

– Spytałem, co tu robi. Odpowiedziała, że zastanawia się, po której stanąć stronie.

Leto wybuchnął śmiechem.

– Niech mnie! Jest dobra. Zdradziła ci swój wybór?

– Powiedziała, że teraz służy Bogu Imperatorowi. Nie uwierzyłem jej, oczywiście.

– A powinieneś.

– Dlaczego?

– Aaach, tak. Zapomniałem, że nie dowierzałeś nawet mojej babce Jessica.

– Miałem powody!

– Masz też wątpliwości co do Siony?

– Zaczynam wątpić we wszystkich.

– I ty mówisz, że nie wiesz, ile jesteś dla mnie wart!

– A co z Sioną? – spytał Idaho. – Ona mówi, że chcesz nas... to znaczy, do diabła...

– Musisz uwierzyć w jej twórcze zdolności. Ona może stworzyć coś nowego i pięknego. Trzeba ufać prawdziwemu twórcy.

– Nawet machinacjom Ixan?

– One nie są twórcze. Kreatywność poznasz po tym, że objawia się otwarciem. Skrytość zdradza istnienie całkiem innej siły.

– Nie ufasz więc Hwi Nori, ale...

– Ufam jej z powodów, które już ci podałem.

Idaho zachmurzył się, ale zaraz odprężył się i westchnął.

– Trzeba będzie podtrzymywać znajomość z nią. Jeśli to ktoś, komu ty...

– Nie! Trzymaj się z dala od Hwi Nori. Mam co do niej specjalne plany.



Wydzieliłem w sobie doświadczenie życia w mieście i dokładnie je przeanalizowałem. Fascynuje mnie idea miasta. Utworzenie biologicznej wspólnoty bez wspierającej jej struktury społecznej prowadzi do zniszczenia. Całe planety stawały się pojedynczymi wspólnotami biologicznymi pozbawionymi współzależnych struktur społecznych i zawsze prowadziło to do ruiny. Dramatycznie oczywiste staje się to w warunkach przeludnienia. Getto jest zabójcze. Napięcia psychiczne będące skutkiem przeludnienia wytwarzają ciśnienie, które powoduje wybuch. Miasto jest próbą opanowania tych sił. Struktury społeczne, za pomocą których miasta podejmują takie próby, zasługują na zbadanie. Przy tworzeniu porządku społecznego pamiętajcie, że istnieje zła wola. To walka o istnienie przez sztuczny twór. Despotyzm i niewolnictwo czają się z boku. Pojawia się wiele krzywd i stąd bierze się potrzeba prawa. Prawo rozwija własną strukturę władzy, powodując nowe rany i nowe krzywdy. Taka trauma może być uleczona przez współpracę, nie przez konfrontację. Wezwanie do współpracy ujawnia uzdrowiciela.

– *Wykradzione dzienniki*

Moneo wszedł do komnaty wyraźnie wzburzony. Wolał właściwie spotykać się z Leto tu, bo powóz Boga Imperatora tkwił w zagłębieniu, z którego zabójczy atak Czerwia byłby trudniejszy. Niezaprzeczalny był też fakt, że Leto pozwolił swemu marszałkowi dworu zjechać ixańską windą, zamiast schodzić niekończącą się pochylnią. Moneo przeczuwał jednak, że przynoszone przez niego nowiny ożywią Czerwia, Który Jest Bogiem.

„Jak je przedstawić?”

Świt czwartego dnia święta minął zaledwie przed godziną, a Moneo powitał ów fakt ze spokojem tylko dlatego, że zbliżał się koniec tej udręki.

Gdy Moneo wszedł do salki, Leto poruszył się. Na dany znak włączyło się oświetlenie skupione tylko na jego twarzy.

– Dzień dobry, Moneo – rzekł. – Straż donosi mi, że nalegałeś, by wejść niezwłocznie. Dlaczego?

Marszałek wiedział z doświadczenia, że niebezpieczeństwo leży w pokusie, by zbyt szybko wyjawić zbyt wiele rzeczy.

– Spędziłem trochę czasu z Matką Wielebną Anteac – powiedział – i chociaż dobrze to ukrywa, jestem pewien, że to mentatka.

– Tak, Bene Gesserit muszą czasem okazywać mi nieposłuszeństwo. Taka jego forma mnie bawi.

– Nie ukarzesz ich zatem?

– Moneo, jestem w końcu jedynym ojcem, jakiego ma mój lud. Ojciec musi być równie wspaniałomyślny jak surowy.

„Jest w dobrym nastroju” – pomyślał Moneo. Odetchnął, a Leto uśmiechnął się na ten widok.

– Anteac protestowała, kiedy dowiedziała się o amnestii dla kilku maskaradników wybranych spośród jeńców.

– Są mi potrzebni podczas święta – oznajmił Leto.

– Panie?

– Opowiem ci o tym później. Teraz zajmijmy się tą nowiną, która sprawia, że wpadasz do mnie o tej porze.

– Ja... hmm... – Moneo przygryzał górną wargę. – Tleilaxanie byli bardzo rozmowni, gdy próbowali mnie sobie zjednać.

– Naturalnie. Co wyjawili?

– Oni... aaach... dostarczyli Ixanom sprzętu potrzebnego do stworzenia... niezupełnie gholi, nawet nie klona. Być może należałoby użyć ich terminu: „restrukturyzacja komórkowa”. Ten... aaach... „eksperyment” został przeprowadzony w jakimś urządzeniu osłaniającym. Gildianie zapewniali Ixan, że twoje moce go nie przenikną.

– A rezultat? – Leto czuł się, jakby pytał w lodowatej pustce.

– Nie są pewni. Nie pozwolono im tego oglądać. Zauważyli jednak, że Malki wszedł do tej... aaach... komory i wyszedł później z niemowlęciem.

– Tak! Wiedziałem!

– Wiedziałeś? – Moneo był zaskoczony.

– Wyciągam wnioski. Działo się to jakieś dwadzieścia sześć lat temu?

– Zgadza się, Panie.
– Zidentyfikowali niemowlę jako Hwi?
– Nie są pewni, Panie, ale... – Moneo wzruszył ramionami.
– Jasne. A jaki ty z tego wyciągasz wniosek, Moneo?
– Nowa ixańska ambasador została zaprogramowana na jakiś ukryty cel.
– To pewne. Nie wydało ci się dziwne, Moneo, że nasza łagodna Hwi jest negatywem strasznego Malkiego? Jego przeciwieństwem we wszystkim, włącznie z płcią?

– Nie pomyślałem o tym, Panie.
– A ja tak.
– Każę ją zaraz odesłać na Ixa.
– Ani się waż!
– Ale, Panie, jeśli oni...
– Moneo, zauważyłem, że rzadko odwracasz się plecami do niebezpieczeństwa. Inni robią to często, ty rzadko. Dlaczego chcesz mnie wciągnąć w tak oczywistą głupotę?

Marszałek przełknął ślinę.

– Dobrze. Lubię, kiedy rozpoznajesz błąd w swoim myśleniu – rzekł Leto.
– Dziękuję, Panie.
– Podobą mi się też, kiedy szczerze wyrażasz swą wdzięczność, jak teraz. Czy Anteac była z tobą, gdy słuchałeś tych rewelacji?

– Jak kazałeś, Panie.
– Wspaniale. To trochę przyspieszy sprawę. Pójdiesz teraz do pani Hwi. Powiesz jej, że pragnę ją natychmiast widzieć. To ją zaniepokoi. Myślała, że nie spotka się ze mną, póki jej nie wezwę do cytadeli. Chcę, żebyś ją uspokoił.

– W jaki sposób, Panie?
– Dlaczego prosisz o radę w sprawach, w których jesteś ekspertem? Uspokój ją i przyprowadź tu, zapewniając o mojej życzliwości.

– Tak, Panie. – Marszałek dworu skłonił się i odwrócił.
– Jedną chwilę, Moneo.

Marszałek zastygł ze wzrokiem utkwionym w Leto.

– Jesteś zakłopotany, Moneo. Czasami nie wiesz, co o mnie myśleć. Czy rzeczywiście jestem wszechmocny i wszechprzewidujący? Przynosisz mi okruchy wiadomości i zastanawiasz się: „Czy on już to wie? A jeżeli wie, po co się trudzę?” Kazałem ci jednak donosić mi o takich rzeczach. Czyż twoje posłuszeństwo nie jest pouczające?

Moneo miał już wzruszyć ramionami, ale się rozmyślił. Wargi mu drżały.

– Czas może być też miejscem, Moneo. Wszystko zależy od tego, gdzie stoisz, na co patrzysz i co słyszysz. Jego miarą jest sama świadomość.

Po długim milczeniu Moneo odważył się spytać.

– Czy to wszystko, Panie?

– Nie, to nie wszystko. Dziś kurier Gildii dostarczy Sionie paczkę. Nie powinno być żadnych przeszkód w jej przekazaniu. Rozumiesz?

– Co jest... co jest w tej paczce, Panie?

– Tłumaczenia, teksty. Chciałem, żeby je poznała. Nie rób nic, nie przeszkadzaj. W tej paczce nie ma melanżu.

– Skąd... skąd wiesz, czego się bałem?

– Stąd, że boisz się przyprawy. Przedłużyłaby ci życie, ale jej unikasz.

– Obawiam się *innych* jej efektów, Panie.

– Szczodra natura dała nam melanż, żeby odsłonił niektórym niespodziewane głębie naszej psychiki, a ty się tego obawiasz?

– Jestem *Atrydą*, Panie!

– Aaach, tak. A melanż może odsłonić Atrydom tajemnicę czasu w osobliwym procesie wewnętrznego objawienia.

– Wystarczy, że przypomnę sobie sposób, w jaki poddałeś mnie próbie.

– Chyba widzisz, że musisz znać Złoty Szlak?

– Nie tego się lękam, Panie.

– Lękasz się innego zadziwienia, tego, które sprawiło, że dokonałem mojego wyboru.

– Dość, że spojrzę na ciebie, Panie, a czuję ten lęk. My, Atrydzi... – Urwał, czując suchość w gardle.

– Nie chcesz tych wszystkich wspomnień przodków i innych, którzy tłoczą się we mnie?

– Czasami... czasami myślę, Panie, że przyprawa jest przekleństwem Atrydów!

– Wolałbyś, żebym nigdy nie zaistniał?

Marszałek milczał.

– Melanż ma swoje zalety, Moneo. Potrzebują go nawigatorzy Gildii. Bez niego Bene Gesserit stałyby się bezradną zgrają jęczących kobiet!

– Musimy żyć, Panie... z nim albo bez niego. Wiem o tym.

– Przenikliwe spostrzeżenie, Moneo. Ty wybrałeś życie bez niego.

– Czy nie do mnie należał wybór, Panie?

– Aż do tej chwili.

– Panie, co ty...

– W galachu istnieje dwadzieścia osiem nazw melanżu. Opisywany jest według zamierzonego użycia, stężenia, wieku, pochodzenia – z uczciwej wymiany, kradzieży, najazdu, posagu – i na wiele innych sposobów. Co z tego wynika, Moneo?

– Że mamy w czym wybierać, Panie.

– Czy tylko, jeśli chodzi o przyprawę?

Moneo zmarszczył brwi w namyśle.

– Nie! – odparł.

– Tak rzadko mówisz mi „nie”. Lubię patrzeć, jak wymawiasz to słowo.

Wargi marszałka drgnęły, gdy usiłował się uśmiechnąć.

– Dobrze! – powiedział Leto z ożywieniem. – Musisz pójść teraz do pani Hwi. Dam ci na koniec radę, która może ci się przyda.

Moneo skupił uwagę na twarzy Leto.

– Wiedza o lekach pochodzi przeważnie od mężczyzn, bo są bardziej skłonni do ryzyka... to rezultat męskiej agresywności. Czytałeś swoją Biblię Protestancko-Katolicką, znasz więc historię Ewy i jabłka. Interesujące jest, że to nie Ewa pierwsza zerwała jabłko. Pierwszy był Adam i nauczył się przy tym, jak zrzucić winę na Ewę. Moja historia mówi o tym, jak nasze społeczeństwa dochodzą do strukturalnej niezbędności podgrup.

Moneo pochylił głowę.

– Panie, w czym ma mi to pomóc?

– Pomoże ci to z panią Hwi!



Uwagę mą przyciąga osobliwa różnorodność wszechświata, zjawisko w najwyższym stopniu piękne.

– *Wykradzione dzienniki*

Leto usłyszał Moneo, a zaraz potem do małej sali audiencyjnej weszła Hwi. Miała na sobie obszerne bladozielone pantaloney przewiązane w kostkach ciemnozielonymi wstążkami w kolorze sandałów. Luźna, również ciemnozielona bluza wyglądała spod czarnej narzutki.

Ixanka wydawała się spokojna, kiedy podeszła do Leto i nie czekając na zaproszenie, usiadła na złocistej poduszce, nie zaś na czerwonej, którą zajmowała poprzednio. Moneo sprowadził ją w niecałą godzinę. Czuły słuch Leto wykrył niespokojne kroki marszałka w przedpokoju i sygnał władcy zamknął wejście pod łukiem nadproża.

– Moneo martwi się czymś – powiedziała Hwi. – Nie chciał tego okazywać, ale im bardziej się starał mnie uspokoić, tym bardziej pobudzał moją ciekawość.

– Nie przestraszył cię?

– Och, nie. Powiedział jednak coś bardzo interesującego. Powiedział, że muszę stale pamiętać, iż Bóg Imperator jest dla każdego z nas inną osobą.

– Czy to interesujące?

– Interesujący jest problem, do którego było to wprowadzenie. Powiedział, że często się zastanawia, jaką rolę odgrywamy w tworzeniu tej różnicy.

– To istotnie interesujące.

– Myślę, że to było wnikliwe – powiedziała Hwi i zapytała: – Dlaczego mnie wezwałeś?

– Kiedyś twoi mistrzowie z Ixa...

– Nie są już moimi mistrzami, Panie.

– Wybacz. Odtąd będę mówił o nich jako o Ixanach.

Skinęła głową z powagą i podsunęła:

– Kiedyś...

– Ixanie rozważali stworzenie broni w rodzaju grota-gończaka, źródła śmierci z mechanicznym umysłem i własnym napędem. Miała być samodoskonalącym się urządzeniem szukającym życia i redukującym je do postaci materii nieorganicznej.

– Nie słyszałam o tym, Panie.

– Wiem. Ixanie nie rozumieją, że twórcy maszyn ryzykują, iż sami staną się maszynami. To ostateczna sterylizacja. Maszyny zawsze przegrywają... z upływem czasu. A gdy maszyny przegrają, nie zostanie nic, nie będzie w ogóle życia.

– Czasami myślę, że są szaleni – powiedziała Hwi.

– Tak myśli Anteac. To pilny problem. Ixanie są teraz zaangażowani w jakieś przedsięwzięcie, które ukrywają.

– Nawet przed tobą?

– Nawet przede mną. Wysyłam Matkę Wielebną Anteac, żeby to zbadała. Chcę, żebyś powiedziała jej wszystko co potrafisz o miejscu, w którym spędziłaś dzieciństwo. Nie pomiń żadnego szczegółu, nawet błahego. Anteac pomoże ci sobie przypomnieć. Chcemy wiedzieć o każdym dźwięku i zapachu, o wyglądzie i nazwiskach tych, którzy cię odwiedzali, nawet o tym, czy i kiedy przeszedł cię dreszcz. Najmniejsza rzecz może mieć znaczenie.

– Myślisz, że to jest owo ukryte miejsce?

– Wiem, że tak jest.

– I że tam budują tę broń?

– Nie, ale da nam to pretekst do zbadania miejsca twego urodzenia.

Hwi otworzyła usta, a potem zaczęła się uśmiechać.

– Mój Pan jest przebiegły. Niezwłocznie porozmawiam z Matką Wielebną.

Już wstawała, gdy powstrzymał ją ruchem dłoni.

– Nie powinniśmy sprawiać wrażenia, że nam się spieszy.

Ponownie opadła na poduszkę.

– Każdy z nas jest inny w tym sensie, o którym mówi Moneo. Tworzenie się nie kończy. Twój bóg stale cię stwarza.

– Co znajdzie Anteac? Ty to wiesz, nieprawdaż?

– Powiedzmy, że mam mocne podejrzenia. Ale nie wspomniałaś nawet o temacie, który poruszyłem wcześniej. Nie masz żadnych pytań?

– Dostarczysz mi odpowiedzi, kiedy będą potrzebne.

To oświadczenie było tak pełne wiary, że zamknęło Leto usta. Był tylko w stanie patrzeć na nią, uświadamiając sobie, jak nadzwyczajnym osiągnięciem Ixan jest ta ludzka istota. Hwi pozostawała doskonale wierna swej moralności. Miała urodę, ciepło i uczciwość, a także skłonne do współczucia uosobienie, zmuszające ją do dzielenia każdego bólu tych, z którymi się utożsamiała. Mógł sobie wyobrazić konsternację jej nauczycielek z Bene Gesserit, gdy natykały się na ten twardy rdzeń uczciwości. Rola nauczycielek została oczywiście ograniczona do dodania takich czy innych umiejętności, a wszystko to jedynie umacniało w niej to, co oddalało ją od Bene Gesserit. Jakże musiały być rozgoryczone!

– Panie – przemówiła – chciałabym poznać motywy, które zmusiły cię do wyboru twojej drogi życia.

– Najpierw musisz zrozumieć, jak to jest widzieć naszą przyszłość.

– Postaram się z twoją pomocą.

– Nic nigdy nie jest oddzielone od swego źródła – powiedział. – Widzenie przyszłości jest wizją *kontinuum*, w którym wszystkie rzeczy przybierają formy podobne do bąbli tworzących się pod wodospadem. Widzisz je, a one znikają w strumieniu. Jeżeli ów *strumień* wysycha, jest tak, jakby nigdy tych bąbli nie było. Ów strumień to mój Złoty Szlak, a ja widziałem jego koniec.

– Czy twój wybór – wskazała jego ciało – to zmienił?

– Zmienia. Zmiana wynika nie tylko ze sposobu życia, ale także śmierci.

– Wiesz, jak umrzesz?

– Nie. Znam tylko Złoty Szlak, na którym to się stanie.

– Panie, ja nie...

– Wiem, że trudno to zrozumieć. Umrę na cztery sposoby: śmiercią ciała, duszy, mitu i przyczyny. Wszystkie one zawierają ziarna zmartwychwstania.

– Wrócisz?

– Te ziarna wrócą.

– Co się stanie z twoją religią, kiedy cię zabraknie?

– Wszystkie religie to pojedyncze wspólnoty. Spektrum na Złotym Szlaku pozostaje nienaruszone. To tylko ludzie widzą najpierw jedną część, a potem drugą. Nazwijmy te złudzenia przypadłościami zmysłów.

– Ludzie będą cię nadal czcić.

– Tak.

– Ale gdy „zawsze” się skończy, nadejdzie gniew. Niektórzy powiedzą, że byłeś tylko tyranem.

– Złudzenie – zgodził się.

Ucisk w gardle sprawił, że na chwilę umilkła.

– Jak twoje życie i śmierć zmieniają... – Pokręciła głową.

– Życie będzie trwać.

– Wierzę w to, Panie, ale jak?

– Każdy cykl to reakcja na cykl poprzedni. Jeśli pomyślisz o kształcie mego Imperium, poznasz kształt następnego cyklu.

Odwróciła od niego wzrok.

– Wszystko, co wiem o twoim rodzie, mówi mi, że mogłeś to zrobić – wskazała w jego stronę – wyłącznie z bezinteresownych pobudek. Nie sądzę jednak, żebym naprawdę знаła kształt twego Imperium.

– Złoty Pokój Leto?

– Mniej w nim pokoju, niż niektórzy każą nam wierzyć – powiedziała, patrząc znów na niego.

„Ta jej uczciwość! Nic jej nie pohamuje” – pomyślał.

– Mamy teraz czas apetytu – rzekł. – To czas, gdy się rozrastamy, tak jak rozrasta się pojedyncza komórka.

– Coś jednak tracimy.

„Ona jest jak Duncanowie. Gdy coś tracimy, natychmiast to wyczuwają”.

– Ciało rośnie, ale psyche nie.

– Psyche?

– Refleksyjna świadomość, która mówi nam, na ile żywi możemy być. Dobrze to wiesz, Hwi. Ten zmysł mówi ci, jak być wierną sobie.

– Twoja religia nie wystarcza.

– Żadna religia nie może zawsze wystarczać. To sprawa wyboru, pojedynczego, samotnego wyboru. Rozumiesz teraz, dlaczego tak wiele dla mnie znaczą twoje przyjaźń i towarzystwo?

Zamrugła, otrząsając łzy.

– Dlaczego ludzie tego nie rozumieją?

– Bo warunki na to nie pozwalają.

– Warunki, które ty dyktujesz?

– Właśnie. Przyjrzyj się Imperium. Widzisz jego kształt?

Zamknęła oczy w zamyśleniu.

– Ktoś chce siedzieć nad rzeką i cały dzień łowić ryby? – spytał. – Wspaniale. To jest życie! Chcesz żeglować łódką po archipelagu i składać wizyty obcym? Znakomicie! Czym jeszcze można się zająć?

– Podróże w kosmosie? – spytała z nutą przekory i otworzyła oczy.

– Zauważyłaś, że Gildia i ja na to nie pozwalamy.

– Ty na to nie pozwalasz.

– To prawda. Jeśli Gildia nie będzie posłuszna, nie dostanie już przyprawy.

– A trzymanie ludzi na planetach powstrzymuje ich przed wyrządzaniem szkód.

– Jest w tym coś więcej. To ich napełnia tęsknotą do dalekich podróży. Tworzy *potrzebę* ich odbywania i oglądania dziwów. W końcu podróżowanie znaczy tyle co wolność.

– Ale przyprawy ubywa.

– I z każdym dniem wolność staje się cenniejsza.

– To może prowadzić tylko do desperacji i przemocy.

– Pewien mędrzec spośród moich przodków... prawdę mówiąc, byłem nim. Zdajesz sobie sprawę, że w mej przeszłości nie ma obcych?

Skinęła z lękiem głowę.

– Ten mędrzec zauważył, że bogactwo jest narzędziem wolności, ale pogoń za nim to droga do niewoli.

– Gildia i zgromadzenie same się zniewalają!

– Tak samo Ixanie i Tleilaxanie, i wszyscy inni. Och, odkrywają od czasu do czasu jakąś skrytkę z melanżem i to przykuwa ich uwagę. Nie sądzisz, że to interesująca gra?

– Ale gdy dojdzie do przemocy...

– Nastaną głód i czarne myśli.

– Czy i tu, na Arrakis?

– Tu i tam, i wszędzie. Ludzie zaczną spoglądać na moją tyranie jako na *dawne, dobre czasy*. Będę zwierciadłem ich przyszłości.

– To okropne! – zaprotestowała.

„Nie mogła zareagować inaczej” – pomyślał.

– Kiedy ziemia odmówi utrzymywania ludzi, pozostali przy życiu zaczną się tłoczyć w coraz mniejszych schronieniach – rzekł. – Okrutny proces selekcji powtórzy się na wielu światach: eksplozja narodzin i niedostatek żywności.

– Ale czy Gildia nie może...

– Gildia najczęściej będzie bezradna wskutek niedoboru melanżu.

– Czy bogacze nie uciekną?

– Niektórzy tak.

– Zatem niczego właściwie nie zmieniłeś. Nadal będziemy walczyć i umierać.

– Dopóki na Arrakis nie zapanuje znowu czerw pustyni. Poddamy wtedy próbie nasze wspólne doświadczenie. Przekonamy się, że co się zdarza na jednej planecie, może się zdarzyć na wszystkich.

– Tyle bólu i śmierci – wyszeptała.

– Nie rozumiesz śmierci? – zapytał. – Musisz zrozumieć. Nasz gatunek i wszelkie inne życie musi ją zrozumieć.

– Pomóż mi w tym, Panie – szepnęła.

– To najgłębsze doświadczenie każdego stworzenia – rzekł. – Na krótko przed śmiercią pojawiają się jej zapowiedzi: groźne dla życia choroby, rany i wypadki... porody dla kobiet, a kiedyś były też bitwy dla mężczyzn.

– Ale twoje rybomówne...

– Uczą przetrwania.

Jej oczy rozszerzyły się, gdy zrozumiała.

– Pozostałych przy życiu. Oczywiście!

- Jesteś wspaniała – powiedział Leto. – Błogosławieni niech będą Ixanie!
- I przeklęci?
- To także.
- Nie sądziłam, że zdołam kiedyś pojąć twoje rybomówne.
- Nawet Moneo tak nie uważa – odrzekł – a Duncanowie to już prawdziwa rozpacz.
- Trzeba doceniać życie, by chcieć je zachować.
- I to właśnie pozostali przy życiu ostrzej i jaśniej widzą jego urodę. Kobiety widzą to lepiej niż mężczyźni, bo poród jest lustrzanym odbiciem śmierci.
- Mój wuj Malki zawsze mi powtarzał, że masz ważne powody, by zabraniać mężczyznom wojny i przemocy. Jaka to gorzka lekcja!
- Mężczyźni pozbawieni możliwości użycia przemocy nie są w stanie sprawdzić, jak sprostają temu ostatecznemu doświadczeniu. Coś ginie. Psyche się nie rozwija. Co ludzie mówią o Pokoju Leto?
- Że każesz nam się tarzać w bezcelowej dekadencji niczym świniom w gnoju.
- Dekadencja! Szanujmy zawsze trafność mądrości ludowej.
- Większość mężczyzn nie ma zasad. Kobiety z Ixa stale na to narzekają.
- Kiedy muszę rozpoznać buntowników, szukam mężczyzn z zasadami.
- Patrzyła na niego w milczeniu. Pomyślała, że taka reakcja doskonale świadczy o jej inteligencji.
- Jak sądzisz, gdzie znajduję moich najlepszych zarządców?
- Wyrwało jej się słabe westchnienie.
- Walczymy o zasady. Większość ludzi przechodzi spokojnie przez życie, aż do ostatniej chwili. Nie występują na wrogich im arenach, żeby się poddać próbie.
- Mają ciebie.
- Jestem zbyt potężny. To równa się samobójstwu. Kto idzie na pewną śmierć?
- Szaleńcy... albo desperaci. Buntownicy?
- Jestem dla nich odpowiednikiem wojny. Drapieżcą nad drapieżcami. Jestem skoncentrowaną siłą, która nimi wstrząsa.
- Nigdy nie myślałam o sobie jako o buntownicze.
- Jesteś czymś znacznie lepszym.
- A ty mnie w jakiś sposób wykorzystasz?
- Tak.

- Ale nie jako zarządcę.
- Mam już dobrych zarządców: nieprzekupnych, mądrych, otwarcie przyznających się do błędów, szybko podejmujących decyzje.
- Czy to dawni buntownicy?
- Większość z nich.
- Jak zostali wybrani?
- Mogłbym powiedzieć, że sami siebie wybrali.
- Pozostając przy życiu?
- To także, ale jest w tym coś więcej. Różnica między dobrym a złym zarządcą polega na tym, że dobry natychmiast podejmuje decyzje.
- Decyzje wykonalne?
- Zwykle można je wykonać. Natomiast zły zarządca waha się, kręci, potrzebuje posiedzeń, badań, sprawozdań. I w końcu działa w sposób, który powoduje duże problemy.
- Czy jednak czasem nie potrzebują informacji...
- Zły zarządca skupia się bardziej na sprawozdaniach niż na decyzjach. Chce danych, które mógłby przedstawić na usprawiedliwienie swoich błędów.
- A dobrzy zarządcy?
- Aaach, ci polegają na ustnych poleceniach. Nigdy nie kłamią w sprawie tego, co zrobili, jeżeli z ustnych poleceń wynikły problemy. Otaczają się ludźmi, którzy potrafią działać mądrze na podstawie ustnych poleceń. Często najważniejszą informacją jest to, że coś poszło źle. Tymczasem źli zarządcy ukrywają swoje błędy do chwili, gdy jest za późno na ich naprawę.
- Przyglądał jej się, gdy myślała o ludziach, którzy mu służyli – zwłaszcza o Moneo.
- Ludzie decyzji – powiedziała.
- To najtrudniejsze dla tyrana: znaleźć ludzi, którzy rzeczywiście podejmują decyzje.
- Czy twoja wiedza o przeszłości nie dostarcza ci jakichś...
- Dostarcza mi rozrywki. Większość istniejących przede mną biurokracji szukała i promowała ludzi, którzy unikali podejmowania decyzji.
- Rozumiem. Jak zamierzasz mnie wykorzystać, Panie?
- Wyjdiesz za mnie?
- Przelotny uśmiech musnął jej usta.
- Kobiety również mogą podejmować decyzje. Wyjdę za ciebie.

– Idź więc i poinformuj Matkę Wielebną. Upewnij się, że wie, czego ma szukać.

– Mego pochodzenia. Ty i ja znamy już swoje przeznaczenie.

– Nieoddzielone od źródła – rzekł.

Wstała.

– Panie, czy nie możesz się mylić co do swego Złotego Szlaku? Czy możliwość omyłki...

– Wszystko i wszyscy mogą zawieść – odpowiedział – ale dzielni i dobrzy przyjaciele pomogą.



Grupy dążą do przystosowania swych środowisk do zbiorowego przetrwania. Kiedy się od tego uchylają, można to uznać za oznakę choroby. Istnieje wiele sygnałów ostrzegawczych. Obserwuję rozdział żywności. To forma komunikacji, nieunikniona oznaka wzajemnej pomocy, która zawiera też nieubłaganą oznakę zależności. Interesujące jest, że teraz to mężczyźni dbają o przyrodę. Są to małżonkowie-mężczyźni. Kiedyś była to wyłączna domena kobiet.

– *Wykradzione dzienniki*

„Musicie mi wybaczyć niedostateczność tego sprawozdania – notowała Matka Wielebna Anteac. – Przypiszcie to konieczności pośpiechu. Odlatuję jutro na Ixa w celu, który dokładnie przedstawiłam wczoraj. Nie można odmówić Bogu Imperatorowi szczerego zainteresowania Ixem, teraz jednak muszę przedstawić dziwną wizytę, jaką złożyła mi ixańska ambasador”.

Anteac siedziała na prostym stołku, najlepszym sprzęcie, jaki można było znaleźć w iście spartańsko urządzonych kwaterach. Była sama w swojej sypialence, pudełeczku w pudełku. Pan Leto nie zgodził się na zmianę kwater nawet po tym, jak Bene Gesserit ostrzegły go o spisku Tleilaxan.

Na podółku Matki Wielebnej leżał czarny jak noc kwadracik o boku dziesięciu milimetrów i grubości trzech. Pisała po nim lśniąca igłą – jedno słowo na drugim, a kwadrat pochłaniał je wszystkie. Kompletna wiadomość zostanie wszczepiona w nerwy wzrokowe kurierki i przetrwa tam, dopóki nie odtworzą jej wobec kapituły.

Hwi Nori stanowiła nie lada dylemat!

Anteac знала sprawozdania nauczycielek wysyłanych przez Bene Gesserit na Ixa, by kształciły Hwi. Sprawozdania te budziły więcej wątpliwości, niż dostarczały informacji. Stawiały nowe, ważniejsze pytania.

„Jakich przygód doświadczyłaś, dziewczyno?”

„Jakie brzemie dźwigałaś w młodości?”

Anteac prychnęła pogardliwie i spojrzała w dół, na czekający kwadrat czerni. Takie myśli przypisywała fremeńskiej wierze, że to miejsce urodzenia czyni cię tym, kim jesteś.

„Czy na twojej planecie są dziwne zwierzęta?” – spytałby Fremen.

Hwi przybyła z imponującą eskortą rybomównych, ponad setką krzepkich, uzbrojonych po zęby kobiet. Anteac nieczęsto widywała takie bogactwo broni: rusznice laserowe, długie noże, srebrne sztylety, granaty ogłuszające...

Był późny ranek. Ixanka weszła, pozostawiając rybomównym opanowanie kwater Bene Gesserit, wszystkich prócz tego spartańskiego pokoiku.

Anteac obrzuciła spojrzeniem swoje lokum. Pan Leto chciał jej coś przekazać, trzymając ją tutaj.

„Tyle jesteś warta dla Boga Imperatora!”

Ale... teraz wysyła Matkę Wielebną na Ixa, a ujawniony cel tej podróży wiele mówi o Panu Leto. Być może czasy się zmieniają, dla zgromadzenia zaś oznacza to nowe honory i więcej melanżu.

„Wszystko zależy od tego, jak się sprawię”.

Hwi weszła do pokoju sama i usiadła skromnie na pryczy Anteac, z głową niżej niż głowa Matki Wielebnej. Miły gest i nieprzypadkowy. Rybomówne mogły oczywiście umieścić je gdziekolwiek i w takich relacjach, jakie odpowiadałyby Hwi. Jej pierwsze, wstrząsające słowa nie pozostawiały co do tego wątpliwości.

– Musisz się najpierw dowiedzieć, że wychodzę za mąż za Pana Leto.

Tylko dzięki samokontroli Anteac nie zrobiła głupiej miny. Zmysł Prawdomówczyni mówił jej o szczerości słów Hwi, ale nie była w stanie ocenić w pełni ich znaczenia.

– Pan Leto rozkazuje, żebyś nikomu o tym nie mówiła – dodała Hwi.

„Cóż za dylemat! – pomyślała Anteac. – Czy mogę o tym donieść siostrze z kapituły?”

– W swoim czasie dowiedzą się o tym wszyscy – powiedziała Hwi. – Teraz jeszcze nie czas. Mówię ci o tym, bo to ci pomoże pojąć głębiej

zaufania Pana Leto.

– Zaufania do ciebie?

– Do nas obu.

Po ciele Anteac przebiegł z trudem ukryty dreszcz. Jakaż siła tkwi w takim zaufaniu!

– Wiesz, dlaczego Ixanie wybrali cię na ambasadora?

– Tak. Chcieli, żebym go oczarowała.

– Zdaje się, że ci się udało. Czy to oznacza, że Ixanie nie wierzą w historię Tleilaxan o złych nawykach Pana Leto?

– Nawet Tleilaxanie w nie nie wierzą.

– Rozumiem, że potwierdzasz fałszywość tych opowieści?

Hwi odparła dziwnie monotonnym głosem, którego Anteac nie zdołała przeniknąć nawet jako Prawdomówczyni i mentat zarazem.

– Rozmawiałaś z nim i przyglądałaś mu się. Sama sobie odpowiedz na to pytanie.

Anteac stłumiła przypływ rozdrażnienia. Mimo młodego wieku ta Hwi nie była akolitką... i nigdy nie będzie prawdziwą Bene Gesserit. Jaka szkoda!

– Zawiadomiłaś o tym swój rząd na Ixie? – spytała.

– Nie.

– Dlaczego?

– Wkrótce się dowiedzą. Przedwczesne ujawnienie tego faktu mogłoby zaszkodzić Panu Leto.

„Jest szczerą” – przypomniała sobie Anteac.

– Nie jesteś winna wierności Ixowi?

– Jestem wierna prawdzie. – Hwi uśmiechnęła się. – Ixanom poszło lepiej, niż sądzili.

– Czy Ix myśli o tobie jako o zagrożeniu dla Boga Imperatora?

– Sądzę, że chodzi im przede wszystkim o wiedzę. Przed wyjazdem rozmawiałam o tym z Ampre.

– Ministrem spraw pozafederacyjnych? Tym Ampre?

– Tak. Jest pewny, że Leto pozwala zagrażać sobie tylko do określonych granic.

– Powiedział to?

– Ampre nie wierzy, że można ukryć przyszłość przed Panem Leto.

– Ale moja misja na Ixie wiąże się z sugestią, że... – Anteac przerwała i pokręciła głową. – Dlaczego Ix dostarcza Panu Leto maszyn i broni?

– Ampre uważa, że Ix nie ma wyboru. Przemożna siła niszczy tych, którzy stanowią zagrożenie.

– A jeśli Ix odmówi, wyczerpie się cierpliwość Pana Leto. Nie ma innej możliwości. Myślałaś o konsekwencjach poślubienia Pana Leto?

– Myślisz o wątpliwościach co do jego boskości, które wzbudzi ten krok?

– Niektórzy uwierzą w opowieści Tleilaxan.

Hwi tylko się uśmiechnęła.

„Przekleństwo! – pomyślała Anteac. – Jak to się stało, że straciłyśmy tę dziewczynę?”

– On zmienia założenia swej religii – przemówiła oskarżycielskim tonem.

– Nie popełniaj błędu, mierząc innych swoją miarą – odparła Hwi, a gdy Matka Wielebna opanowała się, dodała: – Nie przyszedłam tu dyskutować z tobą o Panu Leto.

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Pan Leto polecił mi opowiedzieć ci ze szczegółami o miejscu, w którym się urodziłam i wyrosłam.

Wspominając te słowa Hwi, Anteac wpatrywała się w czarny szyfrujący kwadracik na swych kolanach. Ixanka przedstawiła wtedy zgodnie z poleceniem jej Pana (a teraz oblubieńca) szczegóły, które czasem byłyby nudne, gdyby nie mentacka zdolność Anteac do przyswajania wszelkich informacji.

Kręciła teraz głową, rozważając, co musi zostać przekazane jej siostrze w kapitule. One już tam analizują jej poprzednie doniesienie. Maszyna, która może ukryć siebie i swoją zawartość przed penetrującym wzrokiem samego Boga Imperatora? Czy to możliwe? A może to tylko kolejna próba, próba szczerości Bene Gesserit wobec Pana Leto? Ale właśnie! Jeżeli on nie zna pochodzenia tej tajemniczej Hwi Nori...

Ten nowy obrót spraw potwierdził mentackie wnioski Anteac co do przyczyn, dla których powierzono jej misję na Ixie. Bóg Imperator nie powierzał tej wiedzy rybomównym. Nie chciał, by podejrzewały swego Pana o jakieś słabości.

A może nie wszystko jest tak oczywiste, jak się wydaje? Koła wewnątrz kół – to metoda Pana Leto.

Anteac znów pokręciła głową. Następnie pochyliła się i podjęła pracę nad sprawozdaniem dla kapituły, pomijając nowinę, że Bóg Imperator wybrał sobie oblubienicę.

I tak szybko się o tym dowiedzą. Tymczasem Anteac sama rozważy, co może z tego wyniknąć.



Znając wszystkich swych przodków, stajecie się naoczными świadkami wydarzeń, które wykreowały mity i religie naszej przeszłości. Przyjmując to, musicie myśleć o mnie jako o twórcy mitów.

– *Wykradzione dzienniki*

Pierwsza eksplozja rozległa się, gdy tylko ciemności spowiły Onn. Wybuch poraził pod ambasadą kilku amatorów rozrywek, udających się na przyjęcie, podczas którego – jak obiecywano – maskaradnicy mieli wystawić starożytny dramat o jakimś królu, który zabija swe dzieci. Po wydarzeniach pierwszych czterech dni święta trzeba było pewnej odwagi, żeby wyjść na ulicę ze względnie bezpiecznych kwater. Opowieści o rannych i zabitych niewinnych przechodniach krążyły po mieście, dolewając oliwy do ognia.

Żadna z ofiar ani żaden z tych, którzy przeżyli, nie doceniłby uwagi Leto, że niewinni przechodnie to zjawisko względnie rzadkie.

Bóg Imperator wyczuł i zlokalizował eksplozję swymi czułymi zmysłami. Z nagłą furją, której miał potem żałować, wezwał rybomówne i rozkazał wybić wszystkich maskaradników, nawet tych, których wcześniej oszczędził.

Owa furia go zafascynowała. Minęło wiele czasu, odkąd czuł choćby lekki gniew. Frustracja, irytacja – to były granice jego możliwości. Teraz jednak, przy zagrożeniu Hwi Nori, furia!

Refleksja ta sprawiła, że zmienił swój rozkaz, ale rybomówne już się rozbiegły, a po tym, co ujrzały na twarzy swego Pana, uwolnione zostały ich najgwałtowniejsze uczucia.

– Bóg się gniewa! – wołano.

Drugi wybuch dopadł kilku rybomównych wybiegających na plac z nowym rozkazem Leto i znów pobudził je do walki. Trzeci, nieopodal pierwszego, poderwał do działania samego Leto. Władca wtoczył się na swym powozie do ixańskiej windy i niczym berserker ruszył na powierzchnię.

Wyłonił się na skraju placu i ujrzał scenę chaosu oświetloną tysiącami unoszących się swobodnie lumisfer wypuszczonych przez rybomówne. Podwyższenie pośrodku było zniszczone, ocalała jedynie plastalowa podstawa pod wyłożoną płytami nawierzchnią. Wszędzie tkwiły kawały gruzu, leżeli zabici i ranni.

Od ixańskiej ambasady po drugiej stronie placu dochodziły odgłosy walki.

– Gdzie mój Duncan?! – ryknął Leto.

Baszarka straży przebiegła przez plac.

– Zabrałyśmy go do cytadeli – zameldowała, łapiąc oddech.

– Co się tam dzieje? – zapytał, wskazując bitwę.

– Buntownicy i Tleilaxanie atakują ixańską ambasadę, Panie. Mają materiały wybuchowe.

Jeszcze mówiła, gdy przed zniszczonym frontem ambasady nastąpił kolejny wybuch. Leto ujrzał wijące się w powietrzu ciała. Wylatywały łukiem i spadały wokół jaskrawego błysku, po którym został mu w oczach pomarańczowy powidok usiany czarnymi plamkami.

Nie myśląc o konsekwencjach, Leto przełączył powóz na dryfy i pognął przez plac niczym pocisk – olbrzym wsysający lumisfery w swój powietrzny kilwater. Dotarłszy na pole bitwy, przeleciał łukiem nad obrońcami i runął z flanki na napastników. Dopiero wtedy przypomniał sobie o rusznicach laserowych, których jaskrawoniebieskie wiązki wystrzeliły ku niemu. Poczuł, jak jego powóz uderza w ciała, rozrzucając je dookoła.

Uderzywszy o gruz, pojazd wyrzucił go wprost przed frontem ambasady. Leto przetoczył się po nawierzchni, czując, jak promienie laserów kłują jego segmentowe ciało, a potem nastąpił wewnętrzny przypływ ciepła, któremu towarzyszył wyrzut tlenu w okolicach ogona. Leto instynktownie ukrył twarz głęboko w kapturze, a ramiona w chroniących je fałdach przedniego segmentu. Ciało czerwiał wzięło teraz górę, wyginając się i tocząc niczym jakieś szalone, uderzające na wszystkie strony koło.

Krew pokrywała ulicę. Była dla niego wodą, ale wodą uwalnianą przez śmierć. Jego chłoszczące na boki ciało ślizgało się w tej wodzie, a z przerw w skórze piaskowych troci, gdzie stykała się z ciałem, unosił się siny dym. Ogarnęła go wodna agonia, wyzwalając jeszcze większą gwałtowność w tym wielkim, ciskającym się ciele.

Przy pierwszym uderzeniu Leto pierścień rybomównych się cofnął. Czujna baszarka dostrzegła okazję.

– Dobić niedobitków! – zawołała, przekrzykując zgiełk bitewny.

Szeregi strażniczek rzuciły się naprzód.

Przez kilka minut rybomówne toczyły swoją krwawą grę w bezlitosnym świetle lumisfer. Pchnięcia sztyletów, tańczące wiązki rusznic laserowych, ciosy krawędzią dłoni i kopnięcia we wrażliwe części ciała nie zostawiły nikogo przy życiu.

Leto przetoczył się przez krwawą miazgę przed frontem ambasady, ledwie zdolny do myślenia pośród fal wodnej agonii. Powietrze wokół niego przesycone było tlenem, co sprawiało ulgę jego ludzkim zmysłom. Wezwał powóz, a ten nadleciał, chwając się niebezpiecznie na uszkodzonych dryfach. Leto powoli dźwignął się na pojazd i nakazał w myślach powrót do swoich kwater pod placem.

Dawno temu przygotował na wypadek kontaktu z wodą salę, w której strumienie gorącego, suchego powietrza miały go oczyścić i uzdrowić. Piasek też by się nadał, ale w pobliżu Onn nie było wystarczająco dużego obszaru, by mógł ogrzać i oczyścić ciało.

W windzie pomyślał o Hwi i wydał polecenie, by niezwłocznie ją sprowadzono.

„Jeżeli przeżyła”.

Nie miał czasu sprawdzić tego w wizji przyszłości. Mógł tylko mieć nadzieję, dopóki jego ciało, zarazem preczerwia i ludzkie, domagało się oczyszczającego gorąca.

Już w sali oczyszczeń pomyślał o potwierdzeniu zmienionego rozkazu: „Oszczędzić niektórych maskaradników”. Wtedy jednak szalejące rybomówne były od dawna w mieście, on zaś nie miał siły, by przeprowadzić w wizji przegląd, dzięki któremu mógłby je skierować do miejsc zbiórki.

Kiedy wyłonił się z sali oczyszczeń, jakaś kapitan straży doniosła mu, że Hwi Nori, choć lekko ranna, jest bezpieczna i zostanie sprowadzona, gdy tylko lokalna dowodząca uzna to za roztropne.

Leto niezwłocznie awansował tę kapitan na podbaszarkę. Była mocno zbudowana, jak Nayla, ale nie miała jej kwadratowej twarzy – rysy miała bardziej krągłe, bliższe dawnym normom. Zadrżała, usłyszawszy gorącą pochwałę z ust swego Pana, a gdy kazał jej wrócić i upewnić się powtórnie, wykonała zwrot i pobięła.

„Nie spytałem nawet, jak się nazywa” – pomyślał, wtaczając się na nowy powóz w obniżeniu sali audiencyjnej. Potrzebował kilku chwil, by przypomnieć sobie imię nowej podbaszarki – Kieuemo.

Trzeba będzie potwierdzić ten awans. Zanotował w pamięci, że warto to zrobić osobiście. Wszystkie rybomówne mają się natychmiast dowiedzieć, jak bardzo ceni on Hwi Nori, chociaż po tej nocy nie powinny mieć wątpliwości.

Następnie przejrzał wizje i rozesłał kurierki do ogarniętych bitewnym szaleństwem rybomównych. Szkoda już się stała – całe Onn zasłane było trupami maskaradników i podejrzanym o to, że nimi byli.

„Wielu widziało, jak zabijam” – pomyślał.

Czekając na przybycie Hwi, przemyślał to, co się zdarzyło. Nie był to typowy atak Tleilaxan, ale poprzedni, na drodze do Onn, pasował do tego nowego schematu. Wszystko to wskazywało na jednego autora planu zamachu.

„Mogłem tam zginąć” – pomyślał.

To wyjaśniało, dlaczego nie przewidział owego ataku. Był też jednak jakiś głębszy powód. Leto czuł, jak w jego świadomości wszystkie ślady łączą się w jedną całość. Kto znał najlepiej Boga Imperatora? Kto dysponował ukrytym miejscem, w którym mógł spiskować?

Malki!

Leto wezwał strażniczkę i kazał jej dowiedzieć się, czy Matka Wielebna Anteac opuściła już Arrakis. Strażniczka wróciła po chwili z meldunkiem.

– Anteac jest wciąż w swej kwaterze. Dowodząca tam strażą mówi, że ich nie atakowano.

– Połącz się z Anteac – polecił. – Spytaj, czy teraz rozumie, dlaczego dałem jej kwaterę daleko ode mnie. Potem powiedz, że na Ixie musi odszukać Malkiego. Ma poinformować nasz garnizon o miejscu jego pobytu.

– Malkiego, byłego ambasadora Ixa?

– Tego samego. Nie może pozostawać przy życiu i na wolności. Powiadom dowodzącą garnizonem na Ixie, że ma nawiązać kontakt z Anteac i służyć jej pomocą. Malkiego trzeba dostarczyć do mnie albo stracić, według uznania dowodzącej.

Strażniczka skinęła głową, a cienie wydłużyły się na jej obliczu, stała bowiem w kręgu światła wokół twarzy Leto. Nie poprosiła o powtórzenie rozkazu. Wszystkie jego zaufane strażniczki zostały odpowiednio wyszkolone i były żywymi rejestratorami. Mogły powtarzać dokładnie słowa, a nawet intonację głosu Leto, i nigdy nie zapominały tego, co usłyszały.

Kiedy odeszła, Leto wysłał poufne zapytanie i po kilku sekundach dostał odpowiedź od Nayli. Ixańskie urządzenie w jego powozie odtworzyło nierozpoznawalną wersję jej głosu, płaską, metaliczną recytację przeznaczoną tylko dla jego uszu.

Tak, Siona jest w cytadeli. Nie, nie kontaktowała się z buntownikami. „Nie, ona jeszcze nie wie, że ją obserwuję”. Atak na ambasadę? Dokonała go rozłamowa grupa Frakcja na rzecz Kontakt z Tleilaxanami.

Leto pozwolił sobie na westchnienie. Buntownicy zawsze dawali swoim grupom tak pretensjonalne nazwy!

– Czy ktoś przeżył?

– Nic nam o tym nie wiadomo.

Leto uznał za zabawne, że jego pamięć wstawiała emocje tam, gdzie metaliczny głos był ich pozbawiony.

– Nawiążesz kontakt ze Sioną. Wyjawisz jej, że jesteś rybomówną. Nie powiedziałaś jej tego wcześniej, bo wiedziałaś, że ci nie zaufa, i bałaś się wykrycia, gdyż byłaś jedyną sprzymierzoną z nią rybomówną. Powiesz jej, że przysięgasz „na wszystko, co święte” zrobić, co ci każe. Wszystko to zresztą prawda, jak sama wiesz.

Pamięć podsunęła mu fanatyczną emfazę, z jaką Nayla wypowie te słowa.

– Jeśli to możliwe, postaraj się, by Siona i Duncan pozostawali sam na sam.

– Tak, Panie.

„Niech zbliżenie zrobi swoje” – pomyślał.

Przerwał kontakt z Naylą, zastanowił się, a potem wezwał dowodzącą siłami na placu. Baszarka stawiała się natychmiast. Jej ciemny mundur był poplamiony i zakurzony, a na butach widać było plamy krwi. Była wysoka i szczupła, zmarszczki zaś dodawały jej orlim rysom godności. Leto przypomniał sobie, że w oddziale nazywają ją Ijljo, co w języku dawnych Fremenów znaczy „Niezawodna”. Zwrócił się jednak do niej imieniem po matce, Nejszai, „córką Szai”, co nadało spotkaniu aurę subtelного zbliżenia.

– Spocznij na poduszce, Nejszai. Miałaś ciężki dzień.

– Dziękuję, Panie.

Usiadła na czerwonej poduszce, z której przedtem korzystała Hwi. Leto zauważył ślady zmęczenia wokół ust Nejszai, ale jej oczy wciąż były czujne. Patrzyła na niego wyczekująco.

– W moim mieście znowu panuje spokój. – Nie do końca było to pytanie. Pozostawił Nejszai interpretację swych słów.

- Spokój, ale nie porządek, Panie.
- Spojrzał na posokę na jej butach.
- Ulica przed ambasadą?
- Już uprzątnięta, Panie. Naprawy w toku.
- A plac?
- Rano będzie wyglądał jak zawsze.

Wzrok miała utkwiony w jego twarzy. Oboje wiedzieli, że nie przeszedł jeszcze do sedna. Leto rozpoznał to, co czało się w wyrazie jej twarzy.

„Duma z jej Pana”.

Po raz pierwszy widziała, jak Bóg Imperator zabija. Posiane zostały nasiona zależności. „Gdyby groziła klęska, mój Pan przybędzie”. Tak to wyglądało w jej oczach. Nie musiała już dłużej polegać tylko na sobie. Mogła czerpać moc z Boga Imperatora. W jej minie było coś zaborczego. Straszliwa machina śmierci czekała na jej wezwanie.

Nie podobało mu się to, co widział, ale szkoda już się stała. Naprawa wymagać będzie powolnych i subtelnych nacisków.

- Skąd napastnicy wzięli rusznice laserowe?
- Z naszych magazynów, Panie. Straż arsenału została wymieniona.

„Wymieniona”. Ten eufemizm był całkiem precyzyjny. Rybomówne, które zawiodły zaufanie, izolowano do czasu, gdy Leto będzie potrzebował oddziałów śmierci. Oczywiście, zginęłyby chętnie, wierząc, że odkupiły swój grzech. Często do zażegnania kłopotów wystarczała sama pogłoska, że takie fanatyczne wojowniczkę zostały wysłane.

- Czy do arsenału wdarto się przy użyciu materiałów wybuchowych?
- Podstępu i materiałów wybuchowych, Panie. Straż była nieostrożna.
- Źródło tych materiałów wybuchowych?

Część znużenia Nejszai ujawniła się we wzruszeniu ramion. Leto musiał się z tym zgodzić. Wiedział, że można odszukać i zidentyfikować te źródła, ale to nie miałooby sensu. Zaradni ludzie zawsze mogli znaleźć składniki materiałów wybuchowych – zwyczajne rzeczy, jak cukier, barwniki, całkiem pospolite oleje, niewinne użyźniacze gleby i rozpuszczalniki. Ich lista była dosłownie nieskończona, a rosła wraz z powiększaniem się wiedzy i doświadczenia człowieka. Nawet takie społeczeństwo jak to, które stworzył, usiłujące ograniczyć dostęp do nowych idei i technologii, nie mogło liczyć na całkowite wyeliminowanie niebezpiecznych broni. Sama myśl o kontrolowaniu tych rzeczy była chimerą, groźnym i rozpraszającym

uwagę mitem. Klucz stanowiło ograniczenie pragnienia przemocy. Pod tym względem ta noc była klęską.

„Tak wiele nowej niesprawiedliwości” – pomyślał.

Jakby odczytując tę myśl, Nejszai westchnęła.

„Oczywiście. Rybomówne są od dzieciństwa uczone unikania niesprawiedliwości”.

– Musimy się zająć mieszkańcami miasta – powiedział. – Dopilnować zaspokojenia ich potrzeb. Muszą sobie uświadomić, że winni są Tleilaxanie.

Nejszai skinęła głową. Nie osiągnęłaby stopnia baszarki, nie znając reguł gry. Już w to uwierzyła. Uwierzyła w winę Tleilaxan, usłyszawszy o niej od Leto. Był w tym zmysł praktyczny. Wiedziała, dlaczego nie wszyscy Tleilaxanie zostali zabici. „Nie eliminuje się wszystkich kozłów ofiarnych”.

– Konieczne jest też odwrócenie uwagi – rzekł Leto. – Na szczęście mam coś pod ręką. Powiadomię cię o tym później, gdy naradzę się z panią Hwi.

– Ixańską ambasador? Czy ona jest zamieszana...

– Nie jest niczemu winna.

Widział, jak ufność pojawia się w rysach Nejszai, tym plastycznym podkładzie, który mógł zacisnąć jej szczęki i zesklić oczy. Znał powody, bo sam je stworzył, ale czasem czuł się nieco zatrwożony swym dziełem.

– Słyszę, że pani Hwi wchodzi właśnie do przedpokoju. Wpuść ją tu, gdy będziesz wychodzić. I, Nejszai...

Już ruszała, ale zatrzymała się i czekała bez słowa.

– Awansowałem dziś Kieuemo na podbaszarkę. Dopilnuj, by załatwiono to oficjalnie. Z ciebie zaś jestem zadowolony. Proś, a będzie ci dane.

Spostrzegł, że ta formuła sprawiła Nejszai wielką przyjemność, ale zaraz się opanowała, ponownie dowodząc swej wartości.

– Dopilnuję sprawy awansu Kieuemo, Panie. Jeśli się sprawdzi, wezmę urlop. Od lat nie widziałam rodziny na Salusie Secundusie.

– Kiedy tylko chcesz – rzekł.

I pomyślał: „Salusa Secundus, oczywiście!”

Ta wzmianka o jej pochodzeniu przypomniła mu, do kogo jest podobna: „Hark al-Ada! Ma w sobie krew Corrinów. Jesteśmy bliżej spokrewnieni, niż myślałem”.

– Mój Pan jest bardzo łaskawy – odpowiedziała.

Odeszła krokiem, który odzyskał sprężystość. Usłyszał jeszcze jej głos w przedpokoju.

– Pani Hwi, nasz Pan cię teraz przyjmie.

Przez chwilę oświetlona zza pleców, Hwi wahala się, póki jej wzrok nie przywykł do mroku w pomieszczeniu. Zbliżyła się, niczym ćma, do blasku wokół twarzy Leto, spoglądając w bok tylko po to, by szukać śladów ran na jego ciele. Wiedział, że nie widać takich śladów, ale wciąż odczuwał ból i drżał.

Spostrzegł, że Hwi utyka, faworyzując prawą nogę, lecz jej długa nefrytowozielona szata skrywała ranę. Zatrzymała się na skraju zagłębienia, w którym spoczywał powóz, i spojrzała mu prosto w oczy.

– Słyszałem, że zostałaś ranna, Hwi. Czy to cię boli?

– Draśnięcie pod kolaniem, Panie. Odłamkiem muru po wybuchu. Rybomówne podały mi jakiś środek przeciwbólowy. Panie, bałam się o ciebie.

– A ja o ciebie, miła Hwi.

– Z wyjątkiem pierwszego wybuchu, nic mi nie groziło, Panie. Zabrano mnie do pomieszczenia głęboko pod ambasadą.

„Nie widziała więc mego popisu – pomyślał. – Mogę być za to wdzięczny”.

– Posłałem po ciebie, żeby cię prosić o wybaczenie – powiedział.

Usiadła na złotej poduszce.

– Co tu jest do wybaczenia, Panie? To nie z twojego powodu...

– Jestem poddawany próbie, Hwi.

– Ty?

– Niektórzy chcą poznać głębię mojej troski o bezpieczeństwo Hwi Nori.

Uniosła palec, wskazując siebie.

– To... przeze mnie?

– Przez nas.

– Ach, ale kto...

– Zgodziłaś się mnie poślubić, Hwi, a ja... – Podniósł dłoń, by ją uciszyć.

– Anteac powiedziała, co jej wyjawiałaś, ale to nie miało związku z Matką Wielebną.

– Kto zatem...

– Nie jest ważne kto. Ważne jest, żebyś to przemyślała. Muszę ci dać możliwość zmiany zdania.

Opuściła wzrok.

„Jakie słodkie ma rysy” – pomyślał.

Tylko w wyobraźni mógł spędzić całe ludzkie życie z Hwi. W kłębowisku wspomnień dość miał przykładów, by zbudować z nich fantazję życia

małżeńskiego. W marzeniu obrastało ono drobnymi szczegółami wspólnych doświadczeń, dotknięć, pocałunków, słodczy dzielenia się, z których wyłaniało się coś boleśnie pięknego. Czuł ból dotkliwszy niż ten po walce pod ambasadą.

Hwi podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Zobaczył współczucie i pragnienie przyjscia mu z pomocą.

– Ale jak inaczej mogę ci służyć, Panie?

Wtedy przypomniał sobie, że ona należy do naczelnych, on zaś nie jest już w pełni naczelnym. Różnice między nimi pogłębiały się. Ból trwał.

Hwi była nieuniknioną rzeczywistością, czymś tak podstawowym, że żadne słowo nie mogło tego wyrazić. Ból stawał się nie do zniesienia.

– Kocham cię, Hwi. Kocham cię tak, jak mężczyzna kocha kobietę... ale to być nie może. To się nigdy nie stanie.

Łzy napłynęły jej do oczu.

– Mam odejść? Powinnam wrócić na Ixa?

– Krzywdziliby cię tam tylko, dociekając, co zawiodło w ich planie.

„Widziała mój ból – pomyślał. – Wie, co to daremność i rozczarowanie. Co zrobi? Nie skłamię. Nie powie, że odwzajemnia moją miłość jak kobieta miłość mężczyzny. Wie, że to bezcelowe. I wie, co czuje wobec mnie: współczucie, lęk i ciekawość, która gardzi strachem”.

– Zostanę więc. Będziemy czerpać z przebywania razem tyle przyjemności, ile się da. Chyba najlepiej będzie tak zrobić. Jeżeli to oznacza małżeństwo, niech tak będzie.

– Muszę więc podzielić się z tobą wiedzą, której nie dzieliłem nigdy z nikim – rzekł. – To ci da nade mną władzę, której...

– Nie rób tego, Panie! Gdyby mnie zmuszono...

– Nigdy nie opuścisz mego dworu. Twoim domem będzie moja kwatera w cytadeli, najbezpieczniejszym miejscu w Serirze.

– Twoja wola.

„Jaka otwarta i łagodna akceptacja” – pomyślał.

Trzeba było stłumić ten pulsujący ból, który stanowił zagrożenie dla niego i dla Złotego Szlaku.

„Ci przebiegli Ixanie!”

Malki widział już, jak wszechpotężni byli zmuszani do walki z syrenim śpiewem – samozachwytem. „Stała świadomość siły w twoim najmniejszym kaprysie”.

Hwi wzięła jego milczenie za niepewność.

- Czy się pobierzemy, Panie? – spytała.
- Tak.
- Co zrobisz z opowieściami Tleilaxan o...
- Nic.

Patrzyła na niego, przypominając sobie ich wcześniejszą rozmowę. „Nasiona rozkładu zostały zasiane”.

- Obawiam się, Panie, że cię osłabiam.
- Musisz więc znaleźć sposób, by mnie wzmocnić.
- Chyba nie przez umniejszanie wiary w Boga Leto?

Usłyszał w jej głosie ton Malkiego, ton namysłu i rozważania, za sprawą którego Ixanin był tak czarujący. „Nigdy do końca nie uciekamy nauczycielom z dziecinnych lat”.

– Twoje pytanie prosi o odpowiedź. Wielu będzie wierzyło we mnie. Inni uwierzą kłamstwom.

- Panie, czy poprosisz, żebym kłamała dla ciebie?
- Oczywiście, że nie. Ale poproszę cię o milczenie, kiedy ty być może chciałabyś mówić.

- Ale jeżeli będą ci ubliżać...
- Nie będziesz protestować.

Po jej policzkach popłynęły łzy. Leto pragnął ich dotknąć, ale były wodą, zadającą ból wodą.

- Tak musi być – powiedział.
- Wyjaśnisz mi to, Panie?
- Kiedy odejdę, nazwą mnie Szejtanem, Imperatorem Gehenny. Koło musi się jednak toczyć po Złotym Szlaku.
- Panie, czy ten ich gniew nie mógłby być skierowany tylko przeciwko mnie?

– Nie! Ixanie stworzyli cię doskonalszą, niż zamierzali. Naprawdę cię kocham. Nic na to nie poradzę.

- Nie chcę sprawiać ci bólu! – Wydarła z siebie te słowa.
- Co się stało, to się nie odstanie. Nie ubolewaj nad tym.
- Pomóż mi to zrozumieć.
- Nienawisć, która rozkwitnie po moim odejściu, zblaknie w przyszłości. Upłynie wiele czasu. I wtedy, w jakimś bardzo odległym dniu, zostaną odnalezione moje dzienniki.

- Dzienniki? – Była poruszona tą pozorną zmianą tematu.

– Kronika moich czasów. Moje argumenty, moje przeprosiny. Istnieją ich kopie, a rozproszone fragmenty przetrwają choćby w zniekształconej formie, ale oryginalne dzienniki będą czekać i czekać, i czekać. Dobrze je ukryłem.

– A kiedy zostaną odkryte?

– Ludzie dowiedzą się, że byłem czymś całkiem innym, niż sobie wyobrażali.

– Już wiem, czego się dowiedzą – powiedziała drżącym szeptem.

– Tak, moja droga Hwi, myślę, że wiesz.

– Nie jesteś ani bogiem, ani diabłem, lecz czymś nigdy przedtem niewidzianym i nigdy więcej nieoglądanym, bo twoja obecność znosi tę potrzebę.

Otarła łzy z policzków.

– Hwi, zdajesz sobie sprawę, jak jesteś niebezpieczna?

W wyrazie jej twarzy pojawiły się niepokój i napięcie.

– Masz zadatki na świętą – rzekł Leto. – Wiesz, jakie to bolesne znaleźć świętą w niewłaściwym czasie i miejscu?

Zaprzeciżyła ruchem głowy.

– Ludzie muszą być przygotowani na nadejście świętych, inaczej staną się po prostu wyznawcami, suplikantami, żebrakami i sykofantami pograżonymi na zawsze w cieniu świętego. Ludzi to niszczy, bo żywi ich słabość.

Po chwili namysłu Hwi Nori skinęła głową.

– Czy będą jacyś święci, kiedy odejdiesz?

– Taki jest cel Złotego Szlaku.

– Córką Moneo, Siona, czy ona...

– Dzisiaj jest tylko buntowniczką. Co do świętości, zostawmy jej decyzję. Być może zrobi tylko to, do czego została zrodzona.

– Co to takiego, Panie?

– Przestań nazywać mnie „Panem”. Bądźmy Czerwiem i żoną. Mów mi Leto, jeśli chcesz. „Pan” mi przeszkadza.

– Tak, Pa... Leto, ale co to...

– Siona została zrodzona do rządzenia. W tym tkwi niebezpieczeństwo. Kiedy rządysz, zdobywasz wiedzę o władzy. To może prowadzić do nieodpowiedzialności, do ekscesów, do tego strasznego niszczyciela: wyuzdanego hedonizmu.

– Siona by...

– O Sionie wiemy tylko tyle, że potrafi być oddana jednemu celowi, który zajmuje jej zmysły. Jest z konieczności arystokratką, ale arystokracja ogląda

się przeważnie na przeszłość. To błąd. Nie widzisz wtedy wyraźnie żadnej drogi, chyba że jesteś Janusem, który patrzy jednocześnie wstecz i w przód.

– Janusem? Aaach, to ten bóg, który ma dwa przeciwstawne oblicza. – Zwilżyła wargi. – Czy jesteś Janusem, Leto?

– Milionkrotnie powiększonym Janusem. I zarazem czymś mniej. Jestem na przykład tym, co moi zarządcy podziwiają najbardziej: decydentem, którego każdą decyzję da się wprowadzić w życie.

– Ale jeżeli ich zawiedziesz...

– Zwrócą się przeciw mnie, tak.

– Czy Siona zastąpi cię, jeżeli...

– Aaach, jakie kolosalne „jeżeli”. Zauważyłaś, że Siona zagraża mojej osobie. Nie zagraża jednak Złotemu Szlakowi. Faktem jest też, że rybomówne żywią pewne przywiązanie do Duncana.

– Siona wydaje się... taka młoda.

– A ja jestem jej ulubionym pozerem, samozwańcem, który dzierży władzę pod fałszywym pozorem, nie myśląc o potrzebach swego ludu.

– Nie mogłabym z nią pomówić i...

– Nie! Nie wolno ci się starać przekonać o czymś Siony. Obiecay mi to, Hwi.

– Jeżeli chcesz, oczywiście, ale...

– Wszyscy bogowie mają ten problem, Hwi. Dostrzegając głębsze potrzeby, muszą często ignorować doraźne. Dla młodych to zniewaga.

– Nie mogłabym jej wytłumaczyć...

– Nigdy nie próbuj czegokolwiek tłumaczyć tym, którzy są przekonani, że mają rację.

– Ale skoro wiesz, że się mylą...

– Wierzysz we mnie?

– Tak.

– A gdyby ktoś chciał cię przekonać, że jestem największym złem wszech czasów...

– Rozgniewałabym się. Chciałabym... – Urwała.

– Rozum jest cenny tylko wtedy, kiedy działa na niemym tle wszechświata.

Ściągnęła brwi w namyśle. Leto był zafascynowany budzeniem się w niej świadomości.

– Aaach. – To jej słowo było westchnieniem.

– Żadna rozumna istota nie będzie nigdy w stanie zaprzeczyć doświadczeniu Leto. Widzę, że zaczynasz rozumieć. Początki! To właśnie o nie chodzi w życiu!

Skinęła głową.

„Żadnych sprzeciwów – pomyślał. – Kiedy widzi ślady, podąża za nimi, by zobaczyć, dokąd prowadzą”.

– Dopóki trwa życie, każdy koniec jest początkiem – rzekł. – Ja zaś ocalę ludzkość nawet przed nią samą.

Znowu skinęła głową. Ślady wiodły dalej.

– Dlatego właśnie żadna śmierć na drodze do zachowania ludzkości nie może być niepowodzeniem. Dlatego właśnie narodziny tak bardzo nas poruszają. Dlatego najtragiczniejsza śmierć to śmierć w młodości.

– Czy Ix nadal zagraża Złotemu Szlakowi? Zawsze wiedziałam, że oni knują coś złego.

„Oni knują. Hwi nie słyszy wewnętrznego przesłania własnych słów. Nie musi słyszeć”.

Patrzył na nią, oczarowany cudem, jakim była. Miała ten rodzaj uczciwości, jaki niektórzy mogą nazwać naiwną, ale którą Leto rozpoznawał jako po prostu nieświadomą siebie. Uczciwość nie była rdzeniem jej istoty. Hwi była samą uczciwością.

– Jutro urządzę na placu przedstawienie – oznajmił. – Będzie to występ ocalałych maskaradników. Potem ogłosimy nasze zaręczyny.



Niech nikt nie wątpi, że jestem zgromadzeniem naszych przodków, areną, na której sprawdzają oni moje znaczenie. Oni są moimi komórkami, ja zaś jestem ich ciałem. To, o czym mówię, to frawasze, dusze, zbiorowa nieświadomość, źródło archetypów, składnica wszelkich smutków i radości. Jestem wyborem ich przebudzenia. Moje samhadi jest ich samhadi. Ich doświadczenia są moimi. Ich predestynowana wiedza jest moim dziedzictwem. Te miliardy to ja.

– *Wykradzione dzienniki*

Występ maskaradników zajął prawie dwie poranne godziny, a potem ogłoszona została wiadomość, która wstrząsnęła Świątecznym Miastem.

– Od całych wieków nie miał oblubienicy!

– Od ponad tysiąca lat, moja droga.

Parada rybomównych była krótka. Wiwatowały głośno, ale były zaniepokojone.

„Jesteście mymi jedynymi oblubienicami” – mówił przedtem. Czyż nie takie było znaczenie Sijajno?

Leto pomyślał, że maskaradnicy dobrze grają, mimo że bez wątpienia są przerażeni. W czeluściach muzeum Fremenów znalazły się stroje wędrownych kapłanów Muad'Diba – czarne szaty z kapturami, przepasane białymi sznurami, z wyszytymi na plecach zielonymi jastrzębiami o rozpostartych skrzydłach. Maskaradnicy dobrali do tych szat posępne, poorane zmarszczkami twarze i przedstawili taniec, który opowiadał, jak legiony Muad'Diba szerzyły *swoją* religię w Imperium.

Hwi, w lśniącej srebrnej sukni i naszyjniku z zielonych nefrytów, siedziała podczas tego występu na królewskim powozie obok Leto. W pewnej chwili pochyliła się ku jego twarzy.

– Czy to nie parodia? – spytała.

– Być może.

– Maskaradnicy to rozumieją?

– Podejrzewają.

– Nie są więc tak przerażeni, jak na to wygląda.

– Ależ tak. Są przerażeni. Po prostu są dzielniejsi, niż się o nich myśli.

– Dzielność może być bardzo głupia.

– I *vice versa*.

Obdarzyła go badawczym spojrzeniem, zanim znów skupiła się na tancerzach. Pogrom przeżyło niemal dwustu maskaradników i wszyscy zostali zmuszeni do tańca. Zawile układy i figury czarowały. Patrząc na nie, można było zapomnieć o krwawym preludium tego dnia.

Leto wspominał to, leżąc samotnie przed południem w małej sali przyjęć, kiedy przybył Moneo. Wcześniej marszałek odprowadził Anteac na pokład lichtugi Gildii, odbył z dowództwem rybomównych naradę dotyczącą wypadków poprzedniej nocy i polecił szybko do cytadeli, by się upewnić, że Siona ma ochronę i że nie była zamieszana w atak na ambasadę. Wrócił do Onn tuż po ogłoszeniu zaręczyn, o czym nie został uprzedzony.

Moneo wpadł w furję. Leto nigdy nie widział go tak rozgniewanego. Wtargnął do sali i zatrzymał się ledwie dwa kroki przed twarzą Boga Imperatora.

– Teraz uwierzą w kłamstwa Tleilaxan!

– Natręctwem jest żądać, żeby nasi bogowie byli doskonali – odparł Leto rozważnie. – Grecy byli znacznie rozsądniejsi w tych sprawach.

– Gdzie ona jest? Gdzie jest ta...

– Hwi odpoczywa. To była ciężka noc i długi poranek. Chcę, żeby była wypoczęta, kiedy wrócimy wieczorem do cytadeli.

– Jak ona to zrobiła?

– Ależ, Moneo! Zupełnie straciłeś ostrożność.

– Martwię się o ciebie! Masz pojęcie, co mówią w mieście?

– Jestem w pełni świadomy tych opowieści.

– Co ty wyprawiasz?

– Wiesz, Moneo, myślę, że tylko dawni panteiści prawidłowo wyobrażali sobie bóstwa: jako słabostki śmiertelnych w nieśmiertelnym przebraniu.

Moneo wzniosł ręce.

– Widziałem ich twarze! – Opuścił ramiona. – To się przez dwa tygodnie rozejdzie po całym Imperium.

– Na pewno potrwa to dłużej.

– Jeżeli twoi wrogowie potrzebowali czegoś, co ich połączy...

– Profanacja bogów to stara tradycja ludzkości. Dlaczego miałbym być wyjątkiem?

Moneo chciał odpowiedzieć, ale przekonał się, że nie może wykrztusić słowa. Cofnął się, stąpając ciężko po skraju zagłębienia, w którym spoczywał powóz, a potem wrócił na poprzednie miejsce i spojrzał Leto w twarz.

– Jeżeli mam ci pomóc, potrzebuję wyjaśnienia – rzekł. – Dlaczego to robisz?

– Uczucia.

Usta marszałka uformowały jakieś słowo, nie wymawiając go jednak.

– Opanowały mnie właśnie wtedy, gdy myślałem, że opuściły mnie już na zawsze. Jakie słodkie są te ostatnie łyki człowieczeństwa.

– Z Hwi? Ale z pewnością nie możesz...

– Wspomnienia uczuć nigdy nie wystarczają, Moneo.

– Chcesz mi powiedzieć, że pozwalasz sobie...

– Pozwalam sobie? Na pewno nie! Ale trójnóg, na którym kołysze się wieczność, składa się z ciała, myśli i uczuć. Czuję, że byłem zredukowany do ciała i myśli.

– Rzuciła na ciebie jakiś urok!

– Oczywiście. I jestem jej za to bardzo wdzięczny. Jeśli odrzucimy potrzebę myślenia, Moneo, jak to robią niektórzy, stracimy zdolność refleksji i nie zdołamy określić tego, o czym doniosą nam zmysły. Jeśli odrzucimy ciało, pozbawimy kół pojazd, który nas wiezie. Ale jeśli odrzucimy uczucia, stracimy kontakt z naszym wewnętrznym wszechświatem. To właśnie uczuć brakowało mi najbardziej.

– Panie, nalegam, abyś...

– Zaczynasz mnie gniewać, Moneo, a to jest uczucie.

Leto ujrzał, jak furia marszałka stygnie, zdławiona niczym gorące żelazo wrzucone do lodowatej wody. Nadal jednak było w nim trochę pary.

– Nie dbam o siebie, Panie. Troszczę się głównie o ciebie i ty wiesz o tym.

– To twoje uczucie, Moneo, i cenię je sobie wysoko – odpowiedział Leto.

Moneo wciągnął powietrze, głęboko i z drżeniem. Nigdy dotąd nie widział Boga Imperatora w nastroju odzwierciedlającym takie emocje. Leto wydawał się zarazem uniesiony radością i zrezygnowany, jeśli Moneo prawidłowo to odczytywał. Nie można było mieć pewności.

– To, co sprawia, że życie jest słodkie dla żyjących, co ożywia je i napędza pięknem, to właśnie pragnę zachować, choć zostało mi to odebrane.

– Zatem Hwi Nori...

– Ona we wzruszający sposób przypomina mi o Dżihadzie Butleriańskim. Jest antytezą wszystkiego, co mechaniczne i nieludzkie. Jakie to dziwne, że z wszystkich ludzi właśnie Ixanie stworzyli tę jedyną istotę, która tak doskonale uosabia cenione przeze mnie cechy!

– Nie rozumiem tego nawiązania do dżihadu, Panie. Dla myślących maszyn nie ma miejsca w...

– Dżihad godził nie tylko w maszyny – odrzekł Leto – ale i w typowe dla maszyn podejście do świata. Ludzie stworzyli maszyny, a te przywłaszczały sobie nasze poczucie piękna, indywidualność, dzięki której dokonujemy osądów. Naturalnie, maszyny zostały zniszczone.

– Panie, nadal mam ci za złe, że cieszy cię to...

– Moneo, Hwi uspokaja mnie samą swoją obecnością. Po raz pierwszy od wieków nie jestem samotny, chyba że jej nie ma przy mnie. Nawet gdybym nie miał innego dowodu uczucia, ten by wystarczył.

Moneo zamilkł, wyraźnie poruszony wyznaniem Leto. Z pewnością mógł zrozumieć brak intymnej części miłości. Jego twarz to zdradzała.

Pierwszy raz od dłuższego czasu Leto zauważył, jak marszałek się postarzał.

„To zachodzi w nich tak nagle!” – pomyślał z żalem.

Zrozumiał, jak drogi mu jest Moneo.

„Nie powinienem pozwalać sobie na przywiązanie, ale nic na to nie poradzę... zwłaszcza teraz, gdy jest tu Hwi”.

– Będą się z ciebie śmiać i robić sprosne żarty.

– To dobrze.

– Co w tym dobrego?

– To jakaś nowość. Naszym zadaniem było zawsze doprowadzanie tego, co nowe, do równowagi i dzięki temu modyfikowanie zachowań bez utraty żywotności.

– Jeśli nawet, jak możesz się z tym godzić?

– Ze sprośnymi żartami? – spytał Leto. – A co jest przeciwieństwem sprośności?

Oczy Moneo rozszerzyły się, gdy nagle zrozumiał. Widział nieraz działanie przeciwieństw – wiele rzeczy zrozumiałych dzięki swym przeciwieństwom.

„Każda rzecz ma jakieś tło, które ją określa – pomyślał Leto. – Moneo z pewnością to rozumie”.

– To zbyt niebezpieczne – powiedział marszałek.

„Stwierdzenie prawdziwie konserwatywne!”

Moneo nie był przekonany. Wyrwało mu się głębokie westchnienie.

„Muszę pamiętać, żeby nie odbierać im wątpliwości – pomyślał Leto. – Tak właśnie zawiodłem moje rybomówne na placu. Ixanie stawiają na ludzkie wątpliwości. Dowodem tego jest Hwi”.

Z przedsionka dobiegły odgłosy zamieszania. Leto zamknął drzwi, by się odizolować od hałasu.

– Mój Duncan przybywa.

– Zapewne usłyszał o twoich planach małżeńskich.

– Zapewne.

Leto patrzył, jak Moneo zмага się z wątpliwościami. Myśli marszałka były całkiem przejrzyste. W tej chwili tak dokładnie pasował do swojej niszy, że Leto miał ochotę go uściskać.

„Jest w nim pełne spektrum: od zwątpienia do ufności, od miłości do nienawiści... wszystko! Wszystkie te cenne wartości, które dojrzewają w cieple uczuć, w chęci poświęcenia się życiu”.

– Dlaczego Hwi się na to zgadza? – spytał Moneo.

Leto uśmiechnął się. „Nie może wątpić we mnie, więc musi wątpić w innych”.

– Przyznaję, że to niekonwencjonalny związek. Ona należy do naczelnych, a ja już nie... nie w pełni.

I znów Moneo zmagał się z czymś, co mógł czuć, lecz nie mógł wyrazić.

Przyglądając mu się, Leto poczuł przypływ spostrzegawczej świadomości, procesu myślowego, który zdarzał mu się bardzo rzadko, ale był tak żywy i jaskrawy, że bał się drgnąć, by nie zmącić jego gładkiego nurtu.

„Naczelne myślą i dzięki temu przeżywają. Pod jego myśleniem jest coś, co pochodzi z komórek. To prąd ludzkiej troski o swój gatunek. Czasem ludzie osłaniają to, ogradzają i kryją za grubymi murami, ale ja świadomie uczuliłem Moneo na działania jego najgłębszej jaźni. Podąża za nią, bo wierzy, że utrzymuję kurs najlepszy dla przetrwania ludzkości. Wie, że to świadomość komórkowa. To właśnie odkrywam, badając Złoty Szlak. Tu ludzkość i ja jesteśmy zgodni: ona musi przetrwać.

– Kiedy, gdzie i jak odbędzie się ceremonia zaślubin? – spytał Moneo.

„Już nie pyta: »Dlaczego?«” – zauważył Leto. Moneo nie starał się już zrozumieć dlaczego. Powrócił na bezpieczny grunt. Był marszałkiem dworu Boga Imperatora, jego premierem.

„On używa rzeczowników i czasowników, modyfikując je z myślą o tym, co chce osiągnąć. Słowa będą mu służyły w zwykły sposób. Moneo może nigdy nie dostrzec transcendentálního potencjału swoich słów, ale dobrze rozumie ich codzienne, przyziemne zastosowanie”.

– Co z moim pytaniem? – nalegał Moneo.

Leto zmrużył oczy.

„W odróżnieniu od niego – pomyślał – czuję, że słowa są najużyteczniejsze, kiedy pozwalają ujrzeć atrakcyjne i nieodkryte jeszcze miejsca. Pożytek ze słów jest jednak słabo rozumiany przez cywilizację, która wciąż święcie wierzy w mechaniczny wszechświat absolutnej przyczyny i skutku... dających się oczywiście zredukować do jednej pierwotnej przyczyny i jednego zapładniającego skutku.

– Sofizmaty Ixan i Tleilaxan lgną do ludzkich spraw jak pijawki.

– Panie, bardzo mnie martwi, że nie zwracasz uwagi...

– Ależ zwracam, Moneo.

– Nie na mnie.

– Na ciebie też.

– Twoja uwaga błądzi, Panie. Nie musisz tego przede mną ukrywać. Prędzej bym zdradził siebie niż ciebie.

– Twoim zdaniem, bujam w obłokach?

– W jakich obłokach?

Leto wyjaśnił mu aluzję.

– Pozwalasz sobie na próżne rozmyślania, Panie – rzekł z wyrzutem marszałek.

– Bo mam na to czas. To jedna z najbardziej interesujących rzeczy w moim życiu pojedynczej mnogości.

– Są jednak sprawy, które wymagają...

– Nie uwierzyłbyś, co wynika z próżnych rozmyślań. Nigdy nie miałem nic przeciw poświęceniu całego dnia sprawom, którym ktoś inny nie poświęciłby nawet minuty. Dlaczego nie? Skoro mam żyć jakieś cztery tysiące lat, co znaczy jeden dzień mniej lub więcej? Ile trwa jedno ludzkie życie? Milion minut? Przeżyłem już prawie tyle dni.

Moneo zamarł, przytłoczony tym porównaniem. Czuł, że jego życie zostało pomniejszone do rozmiarów żdźbła w oku Leto. Nie umknęło mu źródło aluzji.

„Słowa... słowa... słowa” – pomyślał.

– Słowa są często bezużyteczne, kiedy chodzi o odczucia – powiedział Leto.

Moneo niemal zupełnie wstrzymał oddech. „Pan *naprawdę* umie czytać w myślach!”

– W całej naszej historii słowa wykorzystywano głównie do tego, by uwypuklić transcendentalność jakiegoś zdarzenia, dając mu miejsce w oficjalnych kronikach i *wyjaśniając* je w taki sposób, żeby można było potem używać tych słów, mówiąc: „Oto, co to znaczyło”.

Moneo czuł się pobity przez te słowa. Mogły go zmusić do myślenia o niewypowiedzianych sprawach, a to go przerażało.

– Tak właśnie zdarzenia giną w historii – zakończył Leto.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie, Panie – zaryzykował Moneo po długim milczeniu. – O ślub.

„Ma zmęczony głos – pomyślał Leto. – Głos człowieka pobitego”.

– Nigdy bardziej nie potrzebowałem twoich usług – rzekł z ożywieniem. – Ślub ma być zorganizowany niezwykle starannie. Tylko ty możesz zapewnić należytą precyzję.

– Gdzie, Panie?

„Nieco więcej życia w tym głosie”.

– We wsi Tabur w Serirze.

– Kiedy?

– Wybór daty pozostawiam tobie. Ogłosisz ją, kiedy wszystko będzie gotowe.

– A sama ceremonia?

– Ja ją poprowadzę.

– Trzeba ci asysty, Panie? Jakichś rzeczy?

– Masz na myśli paradny strój?

– Jakąś szczególną rzecz, której mogę nie...

– Niewiele nam trzeba do naszej małej szarady.

– Panie! Błagam cię! Proszę...

– Będiesz stał obok panny młodej i wydasz ją za mąż – powiedział Leto.

– Posłużymy się starym rytuałem Fremenów.

– Potrzebujemy więc talionów wody!

– Tak! Skorzystam z talionów Gani.

– Kto będzie obecny, Panie?

– Tylko straż rybomównych i arystokracja.

Moneo utkwiał wzrok w twarzy Leto.

– Co... co mój Pan rozumie przez „arystokrację”?

– To ty, twoja rodzina, nasza świta i dworzanie z cytadeli.

– Moja ro... – Marszałek przełknął ślinę. – Włącznie z Sioną?

– Jeżeli przeżyje próbę.

– Ale...

– Czy nie należy do rodziny?

– Oczywiście, Panie. Jest Atrydką i...

– Zatem koniecznie musi być obecna!

Moneo wyjął z kieszeni czarny matowy memorekorder ixańskiej roboty, którego samo istnienie naruszało zakazy Dżihadu Butleriańskiego. Uśmiech przemknął po ustach Leto. Moneo znał swe obowiązki i dobrze je wypełni.

Hałas powodowany przez Duncana Idaho był teraz wyraźniejszy, ale Moneo go ignorował.

„Moneo zna cenę swoich przywilejów – myślał Leto. – To inny rodzaj małżeństwa: małżeństwo przywileju i obowiązku. To wytłumaczenie arystokraty i jego wymówka”.

Marszałek skończył notować.

– Kilka szczegółów, Panie. Czy Hwi ma nosić jakiś szczególny strój?

- Filtrak i szaty fremieńskiej panny młodej. Oryginalne.
- Klejnoty czy inne ozdoby?

Leto nie mógł oderwać wzroku od palców Moneo, bazgrzących na małym rekorderze.

„Zdolności przywódcze, odwaga, wiedza i poczucie porządku... tych Moneo ma pod dostatkiem. Otaczają go niczym aureola, ale skrywają przed oczami wszystkich poza mną rozkład, który go niszczy od środka. Kiedy odejdę, zobaczą to wszyscy”.

– Panie? – naciskał Moneo. – Czy bujasz w obłokach?

„Aaach! Spodobało mu się to słowo!”

– To wszystko – rzekł. – Tylko szata, filtrak i taliony.

Moneo skłonił się i odwrócił.

„Patrzy teraz przed siebie, ale to minie – myślał Leto. – Znów zwróci się ku przeszłości. A ja wiązałem z nim takie nadzieje! Cóż... może Siona...”



„Nie stwarzajcie bohaterów” – mawiał mój ojciec.

– *Głos Ganimy, z przekazów ustnych*

Już po sposobie, w jaki Idaho przemierzył małą salę, gdy spełnione zostały jego głośnie żądania audiencji, Leto poznał przemianę gholi. Widział to tyle razy, że o pomyłce nie mogło być mowy. Duncan nawet nie pozdrowił wychodzącego Moneo. Wszystko wpisywało się w znajomy wzór. Jakiż ten wzór stał się nudny!

Leto miał nawet nazwę na tę przemianę Duncanów. Nazywał ją „syndromem odkąd”.

Ghole często podejrzewali, że w ciągu stuleci niepamięci, *odkąd* stracili świadomość, mógł nastąpić rozwój jakiejś tajemnej wiedzy. Co ludzie robili przez cały ten czas? Po co im potrzebny taki relikw z przeszłości? Żadne ego nie mogło przezwyciężyć podobnych wątpliwości, zwłaszcza w człowieku, który wątpi.

Jeden z gholi oskarżał Leto: „Umieściłeś w moim ciele urządzenia, o których nic nie wiem! One ci mówią o wszystkim, co robię! Wszędzie mnie szpiegujesz!”

Inny oskarżał go o posiadanie „maszyny zdalnie sterującej, która zmusza nas, byśmy robili wszystko, czego chcesz”.

Raz przebudzony syndrom nigdy nie dawał się usunąć. Można go było kontrolować, nawet odwrócić, ale uśpione nasienie mogło wykiełkować przy byle prowokacji.

Idaho zatrzymał się tam, gdzie przedtem stał Moneo. W jego oczach i układzie ramion krył się cień nieokreślonego podejrzenia. Leto pozwolił napięciu rosnać, aż uderzy tamtemu do głowy. Idaho zmierzył się z nim wzrokiem, a potem zlustrował salę. Leto wiedział, co znaczy to spojrzenie.

„Duncanowie nigdy nie zapominają”.

Gdy Idaho badał salę, używając metod, których przed wiekami nauczyli go lady Jessica i mentat Thufir Hawat, poczuł zawroty głowy i doznawał wrażenia dyslokacji. Pomyślał, że ta sala go odrzuca, wszystko, co w niej jest – miękkie, wielkie i pękate poduszki, zielone, złote i prawie purpurowe; fremieńskie kobierce, same muzealne okazy, tworzące grubą warstwę wokół zagłębienia; fałszywe słoneczne światło ixańskich lumisfer, światło otaczające twarz Boga Imperatora suchym ciepłem, podkreślające cienie wokół niego i dodające im tajemniczości; dolatujący z bliska zapach herbaty przyprawowej i ta mocna woń melanzu bijąca z ciała czerwia.

Idaho czuł, że przydarzyło mu się zbyt wiele i zbyt szybko, odkąd Tleilaxanie zostawili go z Lulą i Przyjaciółką w pozbawionym wyrazu pokoju podobnym do więziennej celi.

„Zbyt wiele... zbyt wiele...”

„Czy naprawdę tu jestem? – zastanawiał się. – Czy to ja? Co to za myśli mnie nachodzą?”

Patrzył na nieruchome ciało Leto, pogrążoną w cieniu ogromną masę spoczywającą na powozie. Już sam spokój tej masy przywodził na myśl tajemniczą energię, straszliwe moce, które mogły zostać uwolnione w nieprzewidywalny sposób. Idaho słyszał opowieści o bitwie przed ixańską ambasadą, ale sprawozdania rybomównych otaczała aura *cudownego nawiedzenia*, która przesłaniała fakty.

– Zleciał z góry i dokonał straszliwej rzezi grzeszników.

– Jak tego dokonał? – spytał Idaho.

– Jak *rozgniewany* Bóg – odpowiedziała jego informatorka.

„Rozgniewany – pomyślał Idaho. – Czy to z powodu zagrożenia Hwi?” Te opowieści, które słyszał! Nie do uwierzenia. Hwi poślubiona temu cielsku? To niemożliwe! Nie ta urocza Hwi, ta miła Hwi. „On toczy jakąś okrutną

grę, doświadcza nas... poddaje próbie...” Nie ma w tych czasach godnej zaufania rzeczywistości, nie ma spokoju, chyba że w obecności Hwi. Wszystko inne to szaleństwo.

Ponownie spojrzął na twarz Leto – czekające w milczeniu oblicze Atrydy – a poczucie dyslokacji wzrosło. Zaczął się zastanawiać, czy gdyby skupił się bardziej na jakiejś nowej ścieżce, przełamałby upiorne bariery i przypomniał sobie doświadczenia innych gholi.

„Co myśleli, wchodząc do tej sali? Czy także czuli tę dyslokację, to odrzucenie?”

„To tylko mały wysiłek”.

Poczuł zawrót głowy, jakby miał zemdleć.

– Coś nie w porządku, Duncan? – przemówił Leto uspokajającym tonem.

– To nie jest rzeczywiste – odparł Idaho. – Nie należę do tego miejsca.

Leto wołał go nie zrozumieć.

– Strażniczka doniosła mi, że przybyłeś tu z własnej woli, że przyleciałeś z cytadeli i zażądałeś audiencji.

– Mam na myśli *tu i teraz*! W tym czasie!

– Ależ ja cię potrzebuję.

– Do czego?

– Rozejrzyj się, Duncan. Jest tyle zadań, że nie zdołałbyś ich wszystkich wykonać.

– Ale twoje kobiety nie pozwalają mi walczyć! Ilekroć chcę iść, dokąd...

– Chyba nie zaprzeczysz, że jesteś więcej wart żywy niż umarły? Miej rozum, Duncan, to właśnie cenię.

– I moją spernę.

– Twoja sperma należy do ciebie i możesz z nią robić, co zechcesz.

– Nie zostawię po sobie wdowy i sierot, jak to było z...

– Duncan! Powiedziałem przecież, że wybór należy do ciebie.

Idaho przełknął ślinę, zanim przemówił.

– Popełniłeś zbrodnię przeciw nam wszystkim, Leto... gholom, których wskrzesiłeś, nie pytając nawet, czy tego chcemy.

– Jaką zbrodnię?

– Och, słyszałem, jak wypowiadasz swoje głębokie myśli. – Idaho wskazał kciukiem przez ramię wyjście z sali. – Wiesz, że słyhać cię w przedsionku?

– Kiedy chcę być słyszany, tak. – „Ale tylko moje dzienniki słyszą wszystko”. – Chciałbym jednak poznać naturę mojej zbrodni.

– Jest czas, w którym żyjesz. Czas, w którym powinieneś żyć. Ten czas może być magiczny, kiedy go przeżywasz. Wiesz wtedy, że nigdy więcej nie zobaczysz takiego czasu.

Leto mrugał, przejęty rozpaczą Idaho. Jego słowa były poruszające.

Idaho podniósł ręce, dłońmi ku górze, na wysokość piersi, niczym żebrak, który prosi o coś, chociaż wie, że tego nie dostanie.

– A potem... któregoś dnia budzisz się i pamiętasz swą śmierć... pamiętasz każdą aksolotlową i Tleilaxan, którzy cię obudzili... i wszystko ma się zacząć na nowo. Ale się nie zaczyna. Nigdy się nie zaczyna, Leto. To zbrodnia!

– Odebrałem temu magię?

– Tak.

Idaho opuścił ręce i zacisnął pięści. Czuł, że stoi na drodze strumienia napędzającego młyńskie koło, który zmiecie go przy najmniejszej nieostrożności.

„A co z moim czasem? – myślał Leto. – Przecież i on się nigdy nie powtórzy. Ale Duncan tego nie rozumie”.

– Co tak nagle sprowadziło cię z cytadeli?

Idaho nabrał tchu i odpowiedział pytaniem:

– Czy to prawda? Chcesz się żenić?

– Zgadza się.

– Z tą Hwi Nori, ixańską ambasadorką?

– Tak.

Idaho obrzucił spojrzeniem nieruchawe ciało Boga Imperatora.

„Zawsze szukają narządów płciowych – pomyślał Leto. – Może powinienem sobie dorobić jakiś sprośny wyrostek, by ich szokować”. Stłumił chichot, który wyrывał mu się z gardła. „Kolejne wzmocnione uczucie. Dzięki ci, Hwi. Dzięki wam, Ixanie”.

Idaho pokręcił głową.

– Ale ty...

– Oprócz seksu są w małżeństwie inne istotne elementy – powiedział Leto. – Czy będziemy mieli dzieci? Nie, ale następstwa tego związku będą głębokie.

– Słyszałem, jak rozmawiałeś z Moneo. Myślałem, że to jakiś żart.

– Uważaj, Duncan!

– Czy ty ją kochasz?

– Bardziej niż kiedykolwiek mężczyzna kochał kobietę.

– Dobrze, a co z nią? Czy ona...

– Ona czuje... przemożne współczucie, potrzebę bycia ze mną, dawania mi tego, co mi może dać. Taką ma naturę.

Idaho zdławił odrazę.

– Moneo ma rację. Uwierzą w bajki Tleilaxan.

– To właśnie jedno z głębokich następstw.

– I nadal chcesz... połączyć mnie z Sioną!

– Znasz moje pragnienia. Wybór pozostawiam tobie.

– Kim jest ta Nayla?

– Poznałeś Naylę? Świetnie.

– Zachowują się z Sioną jak siostry. To kawał baby. Co się tam dzieje, Leto?

– A co, według ciebie, miałoby się dziać? I jakie to ma znaczenie?

– Jeszcze nigdy nie spotkałem takiego potwora. Przypomina mi Bestię Rabbana. Nie odgadłbym, że jest kobietą, gdyby nie...

– Spotkałeś ją już. Znasz ją jako Przyjaciółkę.

Idaho patrzył na niego, umilkłszy nagle, niczym gryzoń w norze, który wyczuwa jastrzębia.

– Ufasz jej zatem – powiedział.

– Ufam? Czym jest zaufanie?

„Nadeszła ta chwila” – pomyślał Leto. Widział, jak się kształtują myśli Idaho.

– Zaufanie to następstwo przyrzeczenia wierności.

– Jak między tobą a mną?

Po wargach Idaho przemknął gorzki uśmiech.

– Więc to właśnie robisz z Hwi Nori? Małżeństwo, przyrzeczenie...

– Hwi i ja już sobie ufamy.

– A mi ufasz, Leto?

– Gdybym nie mógł ufać Duncanowi Idaho, nie mógłbym ufać nikomu.

– A gdybym ja nie mógł ufać tobie?

– Byłoby mi cię żal.

Idaho odczuł to niemal jak fizyczny wstrząs. Oczy rozszerzyły mu się od niewypowiedzianych pragnień. *Chciał* ufać. *Pragnął* tej magii, która już nigdy nie miała powrócić.

Nagle zajęło go coś innego.

– Czy mogą nas słyszeć w przedsionku?

– Nie. – „Ale moje dzienniki nas słyszą”.

– Moneo był wściekły. Wszyscy to widzieli. Tymczasem wyszedł stąd łagodny jak baranek.

– Moneo to arystokrata. Poślubił obowiązek, odpowiedzialność. Kiedy mu o tym przypomnieć, jego gniew znika.

– Więc tak go kontrolujesz?

– On sam siebie kontroluje – odrzekł Leto. Przypomniawszy sobie, jak marszałek podniósł wzrok znad rekordera, nie żeby się upewnić, ale by umocnić poczucie obowiązku.

– Nie – stwierdził Idaho. – On siebie nie kontroluje. Ty to robisz.

– Moneo zamknął się w przeszłości. Ja tego nie zrobiłem.

– Ale on jest arystokratą... Atrydą.

Leto wspomniawszy postarzałą twarz Moneo. Nieuniknione było, że ten arystokrata odmówi wykonania ostatniego obowiązku: usunięcia się i zniknięcia w historii. Musi zostać odsunięty. I zostanie. Żaden arystokrata nie może powstrzymać zmian.

Idaho nie rezygnował.

– Jesteś arystokratą, Leto?

Władca uśmiechnął się.

– We mnie umiera arystokrata z arystokratów. – I pomyślał: „Uprzywilejowanie skutkuje wyniosłością. Wyniosłość prowadzi do niesprawiedliwości. Zakwitają nasiona upadku”.

– Chyba nie będę na twoim ślubie – powiedział Idaho. – Nigdy nie myślałem o sobie jako o arystokracie.

– Ale nim byłeś. Byłeś arystokratą miecza.

– Paul był lepszy.

– Bo mnie uczyłeś! – rzekł Leto głosem Muad'Diba, a potem, już swoim, dodał: – To obowiązek arystokraty: uczyć, czasem dając straszliwy przykład.

„Duma z urodzenia wiedzie do ubóstwa i do słabości krzyżowania się rodów – pomyślał. – Otwiera to drogę dla dumy z bogactwa i dokonań. Pojawiają się nowobogaccy, dążący do władzy jak Harkonnenowie, na barkach starego reżimu”.

Ów cykl powtarzał się tak uporczywie, że Leto doszedł do wniosku, iż każdy powinien dostrzegać jego miejsce w dawno zapomnianych mechanizmach przetrwania, z których gatunek już wyrósł, ale których nigdy nie stracił.

„Ale nie, my nadal nosimy w sobie ten detrytus, który muszę wykorzenić”.

– Czy jest jakaś granica? – spytał Idaho. – Czy jest jakaś granica, którą mógłbym przekroczyć i już więcej w tym nie uczestniczyć?

– Jeśli ma być jakakolwiek granica, musisz mi pomóc ją stworzyć – odparł Leto. – Teraz nie ma takiego miejsca, do którego nie można by pójść za tobą i cię odnaleźć.

– Więc nie pozwolisz mi odejść?

– Odejdź, jeżeli chcesz. Inni Duncanowie już tego próbowali. Mówię ci, że nie ma żadnej granicy, nie ma kryjówki. Teraz, podobnie jak przez długi, długi czas, ludzkość jest niby jednokomórkowa istota, niebezpiecznie zlepiona.

– Żadnych nowych planet? Żadnych obcych?

– Och, rozrastamy się, ale się nie rozdzielamy.

– Bo ty trzymasz nas razem!

– Nie wiem, czy potrafisz to zrozumieć, Duncan, ale jeśli istnieje jakakolwiek granica, to, co leży poza tobą, nie może być ważniejsze od tego, co leży przed tobą.

– Jesteś przeszłością!

– Nie, to Moneo jest przeszłością. On chętnie wznosiłby na wszystkich granicach arystokratyczne bariery. Musisz doceniać siłę tych barier. Ograniczają nie tylko planety i kraje, ale też idee. Tłumią zmiany.

– To ty je tłumisz!

„On nie ustąpi – pomyślał Leto. – Jeszcze jedna próba”.

– Najpewniejszą oznaką istnienia arystokracji są bariery wznoszone przeciw zmianom, kurtyny żelazne, stalowe i kamienne, które nie przepuszczają tego, co nowe i niepodobne do starego.

– Wiem, że gdzieś musi istnieć granica. Ty ją ukrywasz.

– Nie ukrywam żadnych granic. Pragnę ich! Pragnę niespodzianek!

„Najpierw pędzą wprost na nie – stwierdził Leto. – A potem odmawiają wejścia”.

Zgodnie z tym przewidywaniem Duncan przerzucił się na inny temat.

– Czy naprawdę maskaradnicy wystąpili na twoich zaręczynach?

Leto poczuł przypływ gniewu, za którym przyszła gorzka radość z faktu, że może doświadczać tak silnych emocji. Miał ochotę krzyknąć na Idaho... ale to by niczego nie rozwiązało.

– Wystąpili – powiedział.

– Dlaczego?

– Chcę, żeby wszyscy dzielili moje szczęście.

Idaho spojrział na niego, jakby właśnie znalazł w zupie jakąś wstrętną muchę.

– To najbardziej cyniczne słowa, jakie usłyszałem z ust Atrydy.

– Ale Atryda je wypowiedział.

– Rozmyślnie starasz się mnie zbyć! Unikasz mojego pytania.

„Jeszcze jedno starcie” – pomyślał Leto.

– Maskaradnicy z Bene Tleilax to organizm kolonijny. Pojedynczo są bezpłodni. Sami dokonali wyboru – rzekł.

„Muszę być cierpliwy – myślał, czekając. – Oni sami muszą to odkryć. Jeżeli ja im to powiem, nie uwierzą. Myśl, Duncan, myśl!”

Po długim milczeniu Idaho przemówił.

– Przrzekałem ci. To dla mnie ważne. Nadal ważne. Nie wiem, co robisz i dlaczego. Mogę tylko powiedzieć, że nie podoba mi się to, co się dzieje. Proszę! Powiedziałem to.

– To dlatego przybyłeś tu z cytadeli?

– Tak.

– A czy teraz do niej wrócisz?

– A jest tam jakaś inna *granica*?

– Bardzo dobrze, Duncan! Twój gniew wie swoje, nawet gdy rozum nie wie. Hwi leci dziś do cytadeli. Ja dołączę do niej jutro.

– Chciałbym ją lepiej poznać.

– Masz jej unikać. To rozkaz. Hwi nie jest dla ciebie.

– Zawsze wiedziałem, że istnieją czarownice. Twoja babka była jedną z nich.

Obrócił się na pięcie i odszedł, nie pytając o pozwolenie.

„On jest jak mały chłopiec – pomyślał Leto, patrząc na sztywne plecy Idaho. – Oto najstarszy człowiek we wszechświecie i najmłodszy... obaj w jednym ciele”.



Prorok nie da się zwieść złudzeniom przeszłości, teraźniejszości i przyszłości. Jedynie wymogi języka narzucają to linearne rozróżnienie. Prorocy zaś mają klucze do skarbca języka. Mechaniczny obraz pozostaje dla nich tylko obrazem. Wszechświat nie jest mechanizmem. To obserwator narzuca linearne następstwo zdarzeń. Przyczyna i skutek? To wcale nie jest tak. Prorok wypowiada słowa przeznaczenia. Wy dostrzegacie

przelotnie rzeczy „mające się zdarzyć”. Prorocza chwila uwalnia jednak coś nieskończonej doniosłości i mocy. Wszechświat ulega upiornej zmianie. Stąd roztropny prorok ukrywa rzeczywistość za błyszczącymi etykietami. Niewtajemniczeni wierzą wtedy, że język prorocत्व jest dwuznaczny. Słuchacz nie ufa proroczemu przesłaniu. Instynkt mówi mu, że wypowiedź zmniejsza siłę takich słów. Najlepsi prorocy prowadzą was do zasłony i pozwalają za nią zajrzeć.

– *Wykradzione dzienniki*

Leto zwrócił się do Moneo najchłodniejszym tonem, jakiego kiedykolwiek użył.

– Ten Duncan nie jest mi posłuszny.

Byli w przestronnej sali ze złocistego kamienia na szczycie południowej wieży cytadeli. Od powrotu Leto ze Święta Dziesięciolecia w Onn upłynęły trzy dni. Otwarty portal przy nim wychodził na żar południa w Serirze. W otworze wył wiatr. Niósł pył i piasek, co zmuszało Moneo do mrużenia oczu. Leto zdawał się nie dostrzegać jego rozdrażnienia. Wpatrywał się w Serir, nad którym powietrze falowało od gorąca. Odległe fale wydm sugerowały zmienność tego krajobrazu, który oglądały jedynie jego oczy.

Moneo pocił się, zdając sobie sprawę, że wiatr przekazuje tę kwaśną woń strachu zmysłom Boga Imperatora. Przygotowania do ślubu, niepokój rybomównych – wszystko to było paradoksalne. Marszałek przypomniał sobie, co Bóg Imperator powiedział w pierwszych dniach ich znajomości.

„Paradoks to wskazówka, byś zajrzał w głąb. Jeżeli paradoksy cię niepokoją, zdradza to nieodparte pragnienie absolutu. Relatywiści traktują paradoks po prostu jako coś interesującego, rzecz może zabawną, a nawet – strach pomyśleć – pouczającą”.

– Nic mi nie powiesz? – Leto przestał się przyglądać Serirowi i skupił uwagę na Moneo.

Marszałek zdobył się tylko na wzruszenie ramion. „Jak blisko jest Czerw?” – zastanawiał się. Zauważył już, że powrót z Onn do cytadeli czasem pobudza Czerwia. Żadna oznaka tej strasliwej przemiany nie pojawiła się jeszcze w Bogu Imperatorze, ale Moneo ją wyczuwał. Czy Czerw mógłby się pojawić bez ostrzeżenia?

– Przyspiesz przygotowania do ślubu – powiedział Leto. – Urządź go tak szybko, jak to możliwe.

– Zanim poddasz Sionę próbie?

Leto milczał chwilę.

– Nie. A co zrobisz z Duncanem?

– A co mam zrobić, Panie?

– Powiedziałem mu, żeby się nie widywał z Hwi Nori. Powiedziałem, że to rozkaz.

– Ona mu współczuje, Panie. Nic więcej.

– Dlaczego miałaby mu współczuć?

– To ghola. Nie ma żadnych związków z naszymi czasami, żadnych korzeni.

– Ma korzenie równie głębokie jak ja.

– Ale nie zdaje sobie z tego sprawy, Panie.

– Spierasz się ze mną, Moneo?

Moneo cofnął się o pół kroku, wiedząc, że nie uchroni go to przed niebezpieczeństwem.

– Och, nie, Panie. Staram się jednak mówić ci szczerze, co się dzieje.

– Ja ci powiem, co się dzieje. On się do niej zaleca.

– Ale to ona chciała się z nim spotykać, Panie.

– Więc o tym wiedziałeś!

– Nie wiedziałem, że tego zakazałeś, Panie.

– On nadzwyczaj zręcznie postępuje z kobietami – mówił zamyślony Leto. – Zagląda im w dusze i skłania, by robiły to, czego on chce. Z Duncanami zawsze tak było.

– Nie wiedziałem, że zabroniłeś jakichkolwiek spotkań między nimi, Panie! – rzekł Moneo ostro.

– Jest groźniejszy niż wszyscy inni – powiedział Leto. – To вина naszych czasów.

– Panie, Tleilaxanie nie mają gotowego następcy.

– A potrzebujemy tego?

– Sam to powiedziałeś, Panie. To paradoks, którego nie rozumiem, ale sam tak powiedziałeś.

– Jak długo potrwa przygotowanie kolejnego?

– Co najmniej rok, Panie. Mam spytać o dokładny termin?

– Zrób to jeszcze dziś.

– On może się dowiedzieć, Panie. Tak było z poprzednim.

– Nie chcę, żeby to się powtórzyło, Moneo!

– Wiem, Panie.

– I nie ośmielę się powiedzieć o tym Nori – rzekł Leto. – Duncan nie jest dla niej, a mimo to nie mogę jej zranić!

To zabrzmiało jak jęk. Moneo stał w trwożnym milczeniu.

– Nie widzisz tego? – spytał Leto. – Moneo, pomóż mi.

– Widzę, że z Nori jest inaczej, ale nie wiem, co robić.
– Co jest inaczej? – Przenikliwy głos Leto przeszył Moneo na wskroś.
– Mam na myśli twój stosunek do niej, Panie. Jest inny niż wszystko, co dotąd widziałem.

Wtedy Moneo zauważył pierwsze oznaki: drżenie rąk Boga Imperatora, szklistość oczu. „O, bogowie! Czerw nadchodzi!” Czuł się całkowicie bezbronny. Byle ruch wielkiego ciała rzuciłby nim o ścianę. „Muszę się odwołać do jego ludzkiej natury”.

– Panie, czytałem opisy i słyszałem twe słowa o małżeństwie z twoją siostrą Ganimą.

– Gdybyż była teraz ze mną... – powiedział Leto.
– Nigdy nie była twoją partnerką, Panie.
– Co sugerujesz? – spytał Leto. Jego ręce drżały spazmatycznie.
– Była... chcę powiedzieć, Panie, że była partnerką Harka al-Ady.
– Oczywiście, że była! I od nich pochodzicie wy wszyscy, Atrydzi!
– Czy jest coś, czego mi nie powiedziałaś, Panie? Czy to możliwe... z Hwi Nori... czy możesz dzielić z nią łóżę?

Dłonie Leto dygotały tak bardzo, iż Moneo dziwił się, że władca tego nie zauważa. Wielkie błękitne oczy były coraz bardziej szkliste.

Marszałek cofnął się o krok ku drzwiom na schody, wyjściu z tego śmiertelnie groźnego miejsca.

– Nie pytaj mnie o możliwości. – Głos Leto był dziwnie odległy, zagubiony w warstwach jego przeszłości.

– Nigdy więcej, Panie. – Moneo skłonił się i cofnął, stając już tylko krok od drzwi. – Pomówię z Hwi Nori, Panie... i z Duncanem.

– Zrób, co możesz. – Głos Leto dochodził z głębi tych wewnętrznych komnat, do których tylko on miał wstęp.

Moneo ostrożnie się wymknął. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie plecami, roztrzęsiony. „Aaach, jeszcze nigdy nie był tak blisko!”

A paradoks pozostał. Na co wskazywał? Co oznaczały dziwne i bolesne decyzje Boga Imperatora? Co spowodowało Czerwia, Który Jest Bogiem?

Z przestronnej komnaty Leto doleciał łomot, potężne uderzenia o kamienie. Moneo nie odważył się otworzyć drzwi. Odepchnął się od ich powierzchni przenoszącej straszliwe drgania i zaczął schodzić. Poruszał się ostrożnie, prawie nie oddychając, dopóki nie dotarł na poziom gruntu, gdzie stała rybomówna ze straży.

– Jest rozdrażniony? – spytała, patrząc w górę schodów.

Skinął głową. Oboje całkiem wyraźnie słyszeli łomot.

– Co go tak drażni?

– Jest Bogiem, a my śmiertelnikami – odrzekł Moneo. Zwykle taka odpowiedź zadowalała rybomówne, ale do akcji wkroczyły nowe siły. Kobieta spojrzała wprost na niego i Moneo zobaczył pod jej łagodnymi rysami zabójcze wyszkolenie.

Była dość młoda, a jej kasztanowe włosy i twarz o zadartym nosku i pełnych wargach kontrastowały z oczami, które były teraz zimne i surowe. Tylko głupiec odwróciłby się do niej plecami.

– Ja go nie rozdrażniłem – powiedział.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się. Jej spojrzenie nieco złagodniało. – Ale chciałabym wiedzieć, kto albo co to sprawiło.

– Myślę, że się niecierpliwi z powodu małżeństwa.

– Przyspieszcie więc ten dzień.

– Właśnie to mam zamiar zrobić – zapewnił ją Moneo.

Odwrócił się i ruszył przez długi hall do swojej kwatery. Bogowie! Rybomówne stawały się równie niebezpieczne jak Bóg Imperator. „Ten głupi Duncan naraża nas wszystkich. I Hwi Nori! Co z nią zrobić?”



Wzorzec monarchii i podobnych systemów niesie informacje cenne dla wszystkich formacji politycznych. Moje wspomnienia upewniają mnie, że z przesłania tego mogą skorzystać wszelkiego rodzaju rządy. Rządy mogą być użyteczne dla rządzonych jedynie tak długo, jak długo powstrzymywane są naturalne skłonności do tyranii. Monarchie mają pewne zalety, poza dostarczaniem gwiazd. Mogą ograniczać rozmiary biurokracji i jej pasożytniczą naturę. Mogą w razie konieczności podejmować szybkie decyzje. Zaspokajają prastare ludzkie pragnienie hierarchii plemiennie-feudalnej, w której każdy zna swoje miejsce. To cenna rzecz znać swoje miejsce: nawet tymczasowe. Drażni natomiast trzymanie kogoś na miejscu wbrew jego woli. Dlatego właśnie uczę o tyranii w najlepszy możliwy sposób: własnym przykładem. Nawet jeśli przeczytacie te słowa po eonach, moja tyrania nie będzie zapomniana. Zapewnia to mój Złoty Szlak. Znaćcie moje przesłanie, więc spodziewam się, że będziecie skrajnie ostrożni w przekazywaniu władzy rządcom.

– *Wykradzione dzienniki*

Leto przygotował się bardzo starannie do pierwszego spotkania z Sioną od czasu, gdy w dzieciństwie zesłał ją do szkół rybomównych w Świątecznym

Mieście. Powiedział Moneo, że spotka się z nią w Małej Cytadeli, wieży obserwacyjnej, którą kazał zbudować w samym środku Seriru. Miejsce to zapewniało widok na stare i nowe, i na przestrzeń między nimi. Do Małej Cytadeli nie prowadziły żadne drogi. Goście przybywali ornitopterami. Leto zjawiał się tam jakby za sprawą magii.

W pierwszych latach panowania za pomocą ixańskiej maszyny wydrążył pod Serirem tajny tunel prowadzący do tej wieży. Całą pracę wykonał sam. W tamtych czasach kilka dzikich czerw przemieszczało jeszcze pustynię, otoczył więc tunel masywnymi ścianami ze stopionego krzemu, a w zewnętrznych warstwach umieścił liczne pęcherze z odstraszającą czerwie wodą. Projekt tunelu uwzględnił jego maksymalne rozmiary i wielkość królewskiego powozu, który wówczas był zaledwie pomysłem.

W przeznaczonym Sionie dniu Leto zjechał przed świtem do krypty i wydał straży rozkaz, by nikt mu nie przeszkadzał. Dotarł powozem do jednej z mrocznych odnóg krypty, gdzie otworzył ukryte wejście do tunelu, a po niecałej godzinie wyłonił się w Małej Cytadeli.

Jedną z jego ulubionych rozrywek było samotne wychodzenie na piasek. Niosło go jedynie ciało preczerwia. Odczuwał piasek jako coś wykwintnie zmysłowego. Ciepło towarzyszące przejściu przez wydmy o świetle wzbijało słup pary, co z kolei zmuszało go do ciągłego ruchu. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy pięć kilometrów dalej znalazł względnie suchą połąć piasku. Leżał pośrodku niej, tuż poza długim cieniem wieży ciągnącym się na wschód.

Z tej odległości wysoka na trzy tysiące metrów wieża wyglądała jak jakaś nieprawdopodobna, kłująca niebo igła. Tylko natchniony mariaż poleceń Leto i ixańskiej wyobraźni pozwolił stworzyć tę konstrukcję. Wieża o średnicy stu pięćdziesięciu metrów posadowiona była na fundamencie zagłębionym w piasku na tyle, ile wystawała nad powierzchnię. Magia plastali i superlekkich stopów pozwalała jej opierać się wiatrowi i niesionym przezeń ziarnom piasku.

Leto tak bardzo cieszył się tym miejscem, że ograniczył wizyty w nim, ułożywszy długą listę zasad, którym musiał się podporządkować. Te zasady składały się na „wyższą konieczność”.

W tych rzadkich chwilach, które tu spędzał, mógł się pozbyć brzemienia Złotego Szlaku. Moneo, dobry i godny zaufania Moneo, dopilnuje, żeby Siona przybyła tuż po zmroku. Leto miał cały dzień na odpoczynek i przemyślenia, na udawanie, że nie ma żadnych trosk, na szaleńcze

pochłanianie surowej ziemi, na co nigdy nie mógł sobie pozwolić w Onn czy w cytadeli. Tam musiał się ograniczać do ukradkowego zagłębiania w wąskie przejścia i tylko jego wizje zapobiegały natknięciu się na wodne kieszenie. Tymczasem tutaj mógł pędzić przez piasek, odżywiać się i nabierać sił.

Piasek chrzęścił pod nim, gdy sunął, wyginając ciało w czysto zwierzęcej radości. Czuł, jak jego czerwione „ja” odnawia się, i było to elektryzujące doznanie.

Słońce stało już wysoko, obrysowując złotem kontury wieży. Czuć było gorzką woń pyłu i kolczastych roślin, reagujących na resztki wilgoci poranka. Najpierw powoli, potem szybciej, ruszył szerokim kręgiem wokół wieży, myśląc o Sionie.

Nie można było dłużej zwlekać. Musiała zostać poddana próbie. Moneo wiedział o tym tak samo dobrze jak Leto.

– Panie, ona jest strasznie gwałtowna – rzekł tego ranka Moneo.

– To początki uzależnienia od adrenaliny – odparł Leto. – Czas na odwyk.

– Odwyk, Panie?

– To stare słowo. Znaczy ono, że trzeba ją pozbawić tego, od czego jest uzależniona. Musi przejść wstrząs.

– Och... rozumiem.

Leto uświadomił sobie, że Moneo rzeczywiście zrozumiał. Przecież on także był kiedyś na odwyku.

– Młodzi są zwykle niezdolni do podejmowania trudnych decyzji, chyba że łączy się to z natychmiastowym użyciem przemocy i przyływem adrenaliny – wyjaśnił.

Moneo stał chwilę w milczeniu, wspominając.

– To bardzo niebezpieczne – powiedział w końcu.

– To ta gwałtowność, którą widzisz w Sionie. Nawet starzy mogą do niej łgnąć, ale młodzi wręcz się w niej pławiają.

Okrążając wieżę w coraz silniejszym świetle dnia i delektując się dotykiem wysychającego piasku, Leto myślał o tej rozmowie. Zwolnił. Wiejący z tyłu wiatr przynosił wydzielany przez niego tlen i woń spalonego krzemienia. Odetchnął głęboko, przenosząc swoją zwielokrotnioną świadomość na nowy poziom.

Ten dzień przygotowań przynosił wiele zadań. Myślał o nadchodzącym spotkaniu, jak starożytny torreador myślał kiedyś o swojej pierwszej

rozprawie z rogatym przeciwnikiem. Rogi Siony były równie niebezpieczne, chociaż Moneo dopilnuje, żeby nie przyniosła żadnej broni.

Leto musiał jednak być pewny, że zna każdą mocną stronę i każdą słabość Siony. Powinien tworzyć w niej czule miejsca, gdzie się tylko da. Musiała być przygotowana do próby, ale mięśnie jej psychiki można było osłabić przez umiejętnie rozmieszczone kolce.

Gdy minęło południe, nasyciwszy czerwia, Leto wrócił do swojej wieży, wczółgał się na powóz i wzniósł na dryfach na sam szczyt, do portalu, który otwierał się tylko na jego rozkaz. Resztę dnia spędził w podniebnej komnacie, rozmyślając i układając plany.

Tuż po zmroku w powietrzu zatrzepotały skrzydła ornitoptera, donosząc o przybyciu Moneo.

„Wierny Moneo”.

Leto wysunął platformę lądowniczą. Ornitopter zawisł nad nią, składając skrzydła, i przysiadł lekko. Leto wpatrywał się w gęstniejący mrok. Ukazała się Siona i ruszyła ku niemu, bojąc się wysokości, bo platforma pozbawiona była zabezpieczeń. Miała na sobie białą szatę narzuconą na czarny mundur bez dystynkcji. Obejrzała się raz, przystając w wejściu do wieży, a potem skierowała uwagę na Leto czekającego na powozie pośrodku komnaty. Ornitopter wzbił się i wystrzelił w ciemność. Leto pozostawił wysuniętą platformę i otwarty portal.

– Po drugiej stronie wieży jest balkon – powiedział. – Przejdźmy tam.

– Dlaczego?

Głos Siony był pełen podejrzeń.

– Podobno tam jest chłodniej – odparł. – Czuję chłodny powiew na policzkach, kiedy zwracam się w tamtą stronę.

Zaciekawiona podeszła bliżej.

Leto zamknął za nią wejście.

– Nocą widok z balkonu jest cudowny.

– Dlaczego tu jesteśmy?

– Bo tu nikt nas nie podsłucha.

Obrócił powóz i ruszył w stronę balkonu. Dostrzegła ten ruch w najslabszym z możliwych oświetleniu podniebnej komnaty. Usłyszał, że idzie za nim.

Ażurowa balustrada półkolistego balkonu w południowo-wschodniej ćwiartce wieży sięgała Sionie do piersi. Dziewczyna podeszła, by ogarnąć spojrzeniem krajobraz.

Leto wyczuwał jej wyczekiwanie. Miały tu paść słowa przeznaczone tylko dla niej. Jakiegokolwiek będą, wysłucha ich i odpowie szczerze. Popatrzył nad jej ramieniem na skraj Seriru, gdzie wzniesiony ludzką ręką graniczny mur był ledwie widoczną linią w świetle wznoszącego się nad horyzont pierwszego księżyca. Wzmocniony wzrok Boga Imperatora dostrzegał ruch karawany z Onn, słabe światła wozów ciągnionych przez thonie gościńcem do wsi Tabur.

Mógł przywołać ze wspomnień obraz tej wsi leżącej w zieleni, która rosła na wilgotnym obszarze wzdłuż podnóża muru. Były tam palmy daktylowe i wysokie trawy, a jego Muzealni Fremeni mieli nawet sady.

Wiele się zmieniło od dawnych czasów, kiedy to każde zamieszkane miejsce, nawet zagłębienie z kilkoma niskimi roślinami żywionymi przez pojedynczy zbiornik i oddzielną wiatru, wydawało się żyzne w porównaniu z otwartą pustynią. Przy siczy Tabr wieś Tabur była wodnym rajem. Wszyscy jej mieszkańcy wiedzieli, że tuż za granicznym murem Seriru rzeka Idaho płynie na południe długą, prostą linią, srebrną w blasku księżyca. Muzealni Fremeni nie mogli się wspiąć na wewnętrzną stronę muru, ale wiedzieli, że za nim jest woda. Ziemia też to wiedziała. Gdy mieszkani Taburu przykładali do niej ucho, przemawiała głosem dalekich przełomów rzeki.

Leto pomyślał o nocnych ptakach krążących nad rzeką, stworzeniach, które na innym świecie żyłyby w świetle dnia. Diuna rzuciła na nie swój ewolucyjny czar i wciąż były na łasce Seriru. Leto widział ich cienie na wodzie i kręgi, gdy któryś z nich nurkował, żeby się napić.

Nawet z tej odległości wyczuwał w owej wodzie moc, jakąś potęgę z jego przeszłości, która oddalała się od niego niczym ten nurt płynący na południe, w krainę lasów i gospodarstw. Rzeka toczyła się między wzgórzami wśród bujnej roślinności, która zatopiła wszystkie pustynie Diuny z wyjątkiem Seriru, tego sanktuarium dawnych dni.

Wspominał warkot ixańskich maszyn żłobiących w tym krajobrazie koryto rzeki. Wydawało się, że było to tak niedawno, nieco ponad trzy tysiące lat temu.

Siona wzdrygnęła się i odwróciła, patrząc na niego, ale zachował milczenie. Na horyzoncie jaśniał bursztynowy blask, odbicie światła miasta na odległych chmurach. Leto poznał po kierunku, że to Port Ścienny, przeniesiony w ciepły klimat południa z dawnej surowej siedziby w chłodnym, padającym pod ostrym kątem świetle północy. Luna tego

miasta była niczym okno na przeszłość. Czuł, że ten promień światła przeszywa mu pierś przez grubą łuskowatą błonę, która zastąpiła jego ludzką skórę.

„Nie jestem odporny na ciosy” – pomyślał.

A jednak wiedział, że jest panem tego miejsca i że ta planeta jest jego panią.

„Jestem jej częścią”.

Pochłaniał bezpośrednio glebę, odrzucając tylko wodę. Jego ludzkie usta i płuca służyły już jedynie do oddychania i... prowadzenia rozmów.

– Lubię rozmowy i lękam się dnia, kiedy nie będę mógł dłużej brać w nich udziału – rzekł do Siony.

Odwróciła się z ociąganiem i spojrzała na niego z oczywistym niesmakiem na oświetlonej przez księżyc twarzy.

– Przyznaję, że w oczach wielu jestem potworem.

– Dlaczego tu jestem?

„Prosto do celu! Ona się nie złamie”. Leto pomyślał, że wszyscy Atrydzi są tacy. Była to cecha, którą chciał zachować w planie eugenicznym. Mówiła o silnym poczuciu tożsamości.

– Muszę się przekonać, co z tobą zrobił czas.

– Do czego ci to potrzebne?

„W jej głosie słysząc obawę – stwierdził. – Boi się, że będę pytał o jej błahy bunt i nazwiska towarzyszy, którzy przeżyli”.

Kiedy milczał, zadała kolejne pytanie.

– Chcesz mnie zabić tak jak moich przyjaciół?

„Słyszała więc o walce pod ambasadą i zakłada, że wiem wszystko o jej buntowniczej przeszłości. Moneo ją oświecił, niech go diabli! Cóż... na jego miejscu zrobiłbym to samo”.

– Naprawdę jesteś bogiem? Nie rozumiem, dlaczego mój ojciec w to wierzy!

„Ma wątpliwości – pomyślał – więc wciąż mam pole manewru”.

– Istnieją różne definicje – odpowiedział. – Dla Moneo jestem bogiem... i taka jest prawda.

– Kiedyś byłeś człowiekiem.

Zaczęły mu się podobać te nagłe przeskoki jej intelektu. Miała w sobie drapieżną ciekawość, niezbywalną cechę Atrydów.

– Pobudzam twoją ciekawość? – spytał. – Tak samo jest ze mną. Ty też mnie zaciekawiasz.

– Dlaczego myślisz, że pobudzasz moją ciekawość?

– Kiedy byłeś dzieckiem, przyglądałaś mi się uważnie. Dziś wieczór widzę to samo spojrzenie.

– Tak, zastanawiam się, jak to jest być tobą.

Obserwował ją chwilę. Blask księżyca rzucał cień na jej oczy. Mógł sobie tylko wyobrazić, że podobnie jak jego, są błękitne wskutek uzależnienia od przyprawy. Z tym wyimaginowanym uzależnieniem Siona dziwnie przypominała mu dawno zmarłą Ganimę. Podobieństwo było w owalu twarzy i w rozstawie oczu. Już miał jej to powiedzieć, ale się w porę rozmyślił.

– Jesz to co ludzie? – spytała.

– Długo po tym, jak przyjąłem skórę z piaskowych troci, odczuwałem głód. Od czasu do czasu pozwalałem sobie na zjedzenie czegoś. Mój żołądek najczęściej to odrzucał. Rzęski troci rozprzestrzeniały się w moim ciele. Jedzenie stawało się udręką. Teraz trawię tylko suche produkty, czasem ze szczyptą przyprawy.

– Ty... jesz melanz?

– Czasami.

– Ale nie czujesz już ludzkiego głodu?

– Tego nie powiedziałem.

Patrzyła na niego wyczekująco. Leto podziwiał jej umiejętność korzystania z niewypowiedzianych pytań. Była bystra i wiele się nauczyła w ciągu swego krótkiego życia.

– Głód był koszmarnym uczuciem, bólem nie do złagodzenia. Biegałem wtedy po wydmach jak oszalone zwierzę.

– Biegałeś?

– Moje nogi były wtedy dłuższe w stosunku do reszty ciała. Poruszałem się na nich swobodnie. Ale głód nigdy mnie nie opuścił. To chyba głód utraconego człowieczeństwa.

Dojrzał w niej cień niechętnego współczucia i wątpliwości.

– Nadal czujesz ten ból?

– Teraz to tylko łagodne pieczenie. To jedna z oznak ostatecznej przemiany. Za kilkaset lat powrócę do piasku.

Spostrzegł, jak jej dłonie zaciskają się w pięści.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś?

– Ta przemiana nie jest całkiem zła. Dziś na przykład było bardzo miło. Czuję się jak nowo narodzony.

– Są zmiany, których nie widać. Wiem, że tak musi być. – Rozprostowała dłonie.

– Moje wzrok i słuch stały się niezmiernie czułe, ale zmysł dotyku nie. Nie czuję dotknięć tak jak dawniej, z wyjątkiem twarzy, i tego mi brak.

Znów zauważył niechętną sympatię, dążenie do empatycznego zrozumienia. Chciała *wiedzieć*!

– Kiedy się żyje tak długo – spytała – jak się odczuwa upływ czasu? Czy z biegiem lat płynie on szybciej?

– To dziwna sprawa, Siono – odparł. – Niekiedy czas pędzi jak szalony, innym razem się wlecze.

Leto stopniowo przygaszał ukryte światła podniebnej komnaty, podjeżdżając coraz bliżej do Siony. Teraz wyłączył światła. Pozostał jedynie księżyc. Przód powozu znalazł się na balkonie, a twarz Leto tylko dwa metry od twarzy dziewczyny.

– Mój ojciec mówi, że im starszy jesteś, tym wolniej płynie dla ciebie czas. Czy tak jest?

„Sprawdza moją prawdomówność, nie jest więc Prawdomówczynią”.

– Wszystko jest względne, ale w porównaniu z ludzkim poczuciem czasu to prawda.

– Dlaczego?

– To jest wpisane w to, czym się stanę. W końcu czas zatrzyma się dla mnie i zostanę zamrożony niczym perła w lodzie. Moje nowe ciała się rozproszą, każde z ukrytą w nim perłą.

Odwróciła wzrok ku pustyni.

– Kiedy rozmawiam z tobą tu, w ciemności, prawie zapominam, czym jesteś – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Dlatego właśnie wybrałem tę porę.

– Ale dlaczego tutaj?

– Bo to ostatnie miejsce, w którym czuję się jak w domu.

Siona obróciła się i oparła plecami o balustradę, spoglądając na niego.

– Chcę cię zobaczyć.

Włączył wszystkie światła wraz z jaskrawymi lumisferami na zewnętrznej krawędzi balkonu. Kiedy zapłonęły, przejrzysta ixańska przesłona wysunęła się ze ścian wzdłuż balustrady, odcinając balkon od świata. Siona była zaskoczona, ale skinęła głową ze zrozumieniem. Pomyślała, że chodzi o obronę przed atakiem. Myliła się. Chodziło o powstrzymanie owadów.

Patrzyła na Leto, zatrzymując wzrok na wyrostkach, które były kiedyś nogami, zwracając uwagę na ramiona i dłonie, a potem na twarz.

– Potwierdzasz opowieści, że wszyscy Atrydzi pochodzą od ciebie i twojej siostry Ganimy – powiedziała. – Przekazy ustne się z tym nie zgadzają.

– Przekazy ustne się nie mylą. Twoim przodkiem jest Hark al-Ada. Gani i ja byliśmy małżeństwem tylko z nazwy, dla umocnienia władzy.

– I tak samo będzie z twoim małżeństwem z tą Ixanką?

– To coś innego.

– Będziecie mieli dzieci?

– Nigdy nie mogłem mieć dzieci. Wybrałem przemianę, zanim osiągnąłem dojrzałość płciową.

– Byłeś więc dzieckiem, a potem stałeś się – wskazała – tym?

– Nie było niczego pośredniego.

– Skąd dziecko wiedziało, co wybrać?

– Byłem jednym z najstarszych dzieci, jakie widział wszechświat. Gani była drugim.

– Ta historia o pamięci przodków!

– Jest prawdziwa. Wszyscy tu są. Czy przekazy ustne temu przeczą?

Gwałtownie odwróciła się do niego plecami. Leto znów był zafascynowany tym ludzkim gestem, okazującym jednocześnie niechęć i bezbronność. Odwróciła się jednak znowu i skupiła na jego twarzy ukrytej w fałdach kaptura.

– Wyglądasz jak Atryda – powiedziała.

– Mam do tego takie samo prawo jak ty.

– Jesteś taki stary... Dlaczego nie masz zmarszczek?

– Ludzkie części mego ciała nie starzeją się w zwykły sposób.

– Dlatego to sobie zrobiłeś?

– Żeby się cieszyć długim życiem? Nie.

– Nie rozumiem, jak można wybrać coś takiego – mruknęła, po czym dodała głośniejszym głosem: – Nigdy nie poznać miłości...

– Udajesz głupią! – rzucił. – Nie chodzi ci o miłość, ale o seks.

Wzruszyła ramionami.

– Myślisz, że wyrzeczenie się seksu było najstraszniejsze? Nie, największą stratą było coś całkiem innego.

– Co? – spytała niechętnie, zdradzając, jak bardzo ją dotknął.

– Nie mogę chodzić między ludźmi bez zwracania na siebie uwagi. Nie jestem już jednym z was. Jestem samotny. Miłość? Wielu mnie kocha, ale mój wygląd oddziela nas od siebie, Siono, przepaścią, której przebyć nie śmie nikt.

– Nawet twoja Ixanka?

– Nawet ona. Zrobiłaby to, gdyby mogła, ale nie może. Nie jest Atrydką.

– Czy to znaczy, że ja bym mogła? – Dotknęła palcem swojej piersi.

– Gdybyśmy mieli dość piaskowych troci. Niestety, wszystkie pokrywają moje ciało. Gdybym jednak miał umrzeć...

Na tę myśl pokręciła głową przerażona.

– Przekazy ustne mówią o tym – rzekł Leto. – Nie zapominaj, że w nie wierzysz.

Nadal kręciła głową.

– Nie ma w tym żadnej tajemnicy – powiedział. – Pierwsze chwile przemiany są najtrudniejsze. Twoja świadomość musi jednocześnie zmierzać do wewnątrz i na zewnątrz, zjednoczyć się z nieskończonością. Mógłbym ci dać tyle melanzu, że dokonałabyś tego. Z przyprawą przeżyłabyś te pierwsze okropne chwile... i wszystkie inne.

Zadrżała mimowolnie ze wzrokiem utkwionym w jego oczach.

– Wiesz, że mówię prawdę, czyż nie?

Skinęła głową i nabrała tchu.

– Dlaczego to zrobiłeś?

– Alternatywa była o wiele straszniejsza.

– Jaka alternatywa?

– Zrozumiesz to z czasem. Moneo zrozumiał.

– Twój przeklęty Złoty Szlak!

– Wcale nie przeklęty. Święty.

– Myślisz, że jestem głupia i nie potrafię...

– Myślę, że jesteś niedoświadczona, ale masz zdolności, których mocy nawet nie podejrzewasz.

Zrobiła trzy głębokie wdechy i odzyskała panowanie nad sobą.

– Jeżeli nie możesz się połączyć z tą Ixanką, dlaczego...

– Dziecko, nie możesz tego zrozumieć? Tu nie chodzi o miłość fizyczną. Zanim spotkałem Hwi, nie znałem nikogo podobnego do mnie. Byłem sam w całym wszechświecie.

– Ona jest... podobna do ciebie?

– Tak, i to zostało zaplanowane. Taką ją stworzyli Ixanie.

– Stworzyli?

– Nie udawaj głupiej! – parsknął. – Ona jest pułapką na Boga. Ofiara, nawet wiedząc o tym, nie może jej odmówić.

– Dlaczego mi to mówisz? – wyszeptała.

– Wykradłaś dwie kopie moich dzienników, przeczytałaś przekład Gildii i wiesz już, jak mnie złapać.

– Wiedziałaś?

Widział, jak Siona odzyskuje śmiałość i poczucie własnej siły.

– Oczywiście, że wiedziałaś – odpowiedziała sobie.

– To był mój sekret. Nie możesz sobie wyobrazić, ile razy patrzyłem, jak przemijają ci, których kocham, tak jak teraz twój ojciec.

– Kochasz go?

– Kochałem też twoją matkę. Czasem odchodzą szybko, czasem z dręczącą powolnością. Za każdym razem jestem duchowo rozbity. Mogę grać nieczułego i podejmować niezbędne decyzje, nawet takie, które zabijają, ale nie mogę uciec od cierpienia. Od bardzo dawna – dzienniki, które wykradłaś, mówią prawdę – było to jedyne uczucie, jakie znałem.

Widział, że jej oczy wilgotnieją, ale zarys podbródka mówił o gniewnym zdecydowaniu.

– To ci nie daje prawa do rządzenia.

Leto stłumił uśmiech. W końcu dotarł do korzeni buntu Siony. „Jakim prawem? Gdzie jest sprawiedliwość moich rządów? Czy narzucając swoje prawa siłą rybotomnych, nie hamuję postępu ludzkości? Znam tę rewolucyjną gadaninę, przelewanie z pustego w próżne i dźwięczne frazesy”.

– Nie widzisz, że ty, buntowniczką, masz udział w moich rządach?

Jej młodość wciąż dopominała się uwagi.

– Nie wybierałam cię na władcę.

– Ale umacniasz moją władzę.

– Jak?

– Sprzeciwiając mi się. Ostrzę sobie pazury na podobnych tobie.

Zerknęła na jego dłonie.

– To figura retoryczna – wyjaśnił.

– Jednak w końcu cię obraziłam – powiedziała, usłyszawszy w jego słowach i tonie jedynie gniew.

– Nie obraziłaś. Jesteśmy krewnymi i możemy mówić otwarcie ze wszystkimi członkami rodziny. Faktem jest natomiast, że stanowisz dla mnie

większe zagrożenie niż ja dla ciebie.

To ją zaskoczyło, ale tylko na chwilę. Widział, jak jej ufność przechodzi w zwątpienie. Opuściła głowę i spojrzała na niego z ukosa.

– Czego może się obawiać wielki Bóg Leto?

– Twojej nieświadomej brutalności.

– Chcesz powiedzieć, że można cię zranić?

– Ostrzegam cię, Siono, po raz ostatni. Gra słów ma swoje granice. Ty i Ixanie wiecie już, że można zranić tych, których kocham. Wkrótce dowie się o tym całe Imperium. Takie wieści rozchodzą się szybko.

– I wszyscy będą pytać, jakie masz prawo do władzy!

W jej głosie brzmiała złośliwa radość. To wzbudziło w nim nagły gniew, który trudno mu było stłumić. Tym ludzkim uczuciem gardził. Złośliwą radością. Minęła chwila, nim zaryzykował odpowiedź, decydując się uderzyć w jej czuły punkt.

– Mam prawo rządzić, bo jestem jedyny, Siono. Moja samotność to po części wolność, po części zaś niewola. To znaczy, że nikt nie może mnie mieć wyłącznie po swojej stronie. Moja niewola wobec was oznacza, że będę wam służył wszystkimi moimi przywódczymi zdolnościami.

– Ale Ixanie złapali cię w pułapkę.

– Nie. Wręczyli mi dar, który mnie umacnia.

– Osłabia cię!

– To także – przyznał – ale bardzo potężne siły wciąż mi są posłuszne.

– Oooch, tak. – Skinęła głową. – Rozumiem to.

– Nie rozumiesz.

– Jestem więc pewna, że mi to wyjaśnisz – zadrwiła.

Odezwał się tak cicho, że musiała się schylić, by go usłyszeć.

– Nie ma nikogo, kto by mnie do czegoś zmusił... ani do dzielenia się władzą, ani do kompromisu, ani nawet do najmniejszych zmian w rządzeniu. Jestem jedyny.

– Nawet ta Ixanka nie może...

– Jest tak podobna do mnie, że nie osłabi mnie w ten sposób.

– Ale gdy ixkańska ambasada była atakowana...

– Głupota mnie irytuje.

Zmarszczyła gniewnie brwi.

Leto stwierdził, że ten mimowolny grymas jest uroczy. Wiedział, że zmusił ją do myślenia. Był pewien, że nigdy nie pomyślała, iż z wyjątkowością wiążą się wyjątkowe obowiązki.

Zwrócił się do niej, nachmurzonej i milczącej.

– Takiej władzy jak moja nie było dotąd w całej naszej historii. Odpowiadam tylko przed sobą i sam ustaliam zapłatę za to, co poświęciłem.

– Poświęciłeś! – zachnęła się, ale usłyszał w jej głosie wątpliwość. – Tak mówi każdy despota. Odpowiadasz tylko przed sobą!

– Co oznacza odpowiedzialność za każdą żywą istotę. Czuwam nad wami przez te wszystkie czasy.

– Jakie czasy?

– Czasy, które mogły nadejść, a jednak nie nadeszły.

Widział w niej niezdecydowanie. Nie ufała swojemu *instynktowi*, swoim niewyszkolonym zdolnościom przewidywania. Niekiedy potrafiła dokonać skoku myślowego, jak wtedy gdy wykradła jego dzienniki, ale motywacja tego skoku gubiła się w informacjach, które dostarczył.

– Ojciec mówi, że jesteś bardzo zręczny w słowach.

– I powinien to wiedzieć. Istnieje jednak wiedza, którą można zdobyć tylko przez jej współtworzenie. Nie można jej osiąść, stojąc z boku i przyglądając się.

– Właśnie tego rodzaju rzeczy miał na myśli.

– Masz rację – przyznał Leto. – To nie jest logiczne. To jest jak światło, jak oko, które widzi, ale nie może zobaczyć siebie.

– Zmęczyła mnie ta rozmowa – powiedziała Siona.

– Mnie też. – I pomyślał: „Widziałem dosyć, zrobiłem dosyć. Jest pełna wątpliwości. Jakże są bezbronni w swej niewiedzy”.

– O niczym mnie nie przekonałeś.

– To nie był cel tego spotkania.

– A co nim było?

– Przekonanie się, czy jesteś gotowa do próby.

– Próby... – Przechyliła głowę w prawo i wpatrzyła się w niego.

– Nie udawaj niewiniątka. Moneo powiedział ci o próbie. A ja ci mówię, że jesteś gotowa.

– Co to za...

– Posłałem po Moneo, żeby zabrał cię do cytadeli. Kiedy się znów spotkamy, dowiemy się, z jakiej jesteś gliny.



Znacie mit o wielkim skarbie przyprawy? Tak, ja też znam tę opowieść. Marszałek dworu przyniósł mi ją któregoś dnia, żeby mnie zabawić. Opowieść mówi, że istnieje skład przyprawy, kolosalny skład, ogromny jak wielka góra. Ukryty jest w głębinach jakiejś odległej planety. To nie Arrakis. To nie Diuna. Przyprawa została tam ukryta dawno temu, nawet przed Pierwszym Imperium i Gildią Kosmiczną. Opowieść mówi, że Paul Muad'Dib udał się tam i wciąż żyje przy skarbie, żywiąc się melanżem i czekając. Marszałek nie rozumiał, dlaczego ta opowieść mnie zaniepokoiła.

– *Wykradzione dzienniki*

Idaho trząsł się z gniewu, krocząc szarymi korytarzami z plazmuru ku swoim kwaterom w cytadeli. Na każdym mijanym posterunku wartowniczkii oddawały mu honory. Nie odpowiadał. Wiedział, że wywołuje niepokój. Nikt nie mógł się mylić co do nastroju komendanta. Nie przerywał jednak marszu. Odgłos jego kroków odbijał się echem od ścian.

Miał jeszcze w ustach smak południowego posiłku – dziwnie znajomej atrydzkiej potrawy, ryżu oraz zapiekanego w cieście kawałka pseudomięsa popitego sokiem cydritowym. Moneo znalazł go przy stole w kantynie rybomównych z planem operacyjnym opartym o talerz. Bez zaproszenia usiadł naprzeciw i odsunął plan.

– Przynoszę wiadomość od Boga Imperatora – rzekł.

Jego ściśle kontrolowany ton ostrzegł Duncana, że nie jest to przypadkowe spotkanie. Nie tylko on to wyczuł. Kobiety przy pobliskich stołach umilkły, a cisza rozprzestrzeniała się po sali.

Idaho odłożył pałeczki.

– Tak?

– Oto słowa Boga Imperatora: „Na moje nieszczęście Duncan Idaho zakochał się w Hwi Nori. To nie może dłużej trwać”.

Idaho zacisnął gniewnie usta, ale zachował milczenie.

– Taka głupota naraża nas wszystkich – rzekł Moneo. – Nori jest przeznaczona dla Boga Imperatora.

Idaho starał się powściągać gniew, lecz słowa go zdradzały.

– On jej nie może poślubić!

– Dlaczego?

– Jaką grę on prowadzi, Moneo?

– Jestem tylko posłańcem z wiadomością, nikim więcej.

Głos Idaho był niski i groźny.

– Ale on ci ufa.

– Bóg Imperator ci współczuje – skłamał Moneo.

– Współczuje! – krzyknął Idaho, podkreślając ciszę w sali.

– Nori to kobieta o oczywistych powabach, ale ona nie jest dla ciebie.

– Tak rzecze Bóg Imperator – zadrwił – i nie ma od tego odwołania.

– Widzę, że rozumiesz.

Idaho zaczął wstawać od stołu.

– Dokąd idziesz? – spytał Moneo.

– Idę to z nim wyjaśnić!

– To pewne samobójstwo.

Duncan spojrział z wściekłością na Moneo i nagle uświadomił sobie, z jakim napięciem słuchają ich siedzące dookoła kobiety. Na jego twarzy pojawił się wyraz, który Muad'Dib rozpoznałby natychmiast: Gra dla Diabelskiej Galerii – tak to nazywał.

– Wiesz, co zawsze mówili prawdziwi książęta Atrydzi? – spytał kpiąco.

– Czy to ważne?

– Mówili, że wszystkie swobody znikają, kiedy patrzysz na władcę absolutnego.

Zesztywniały z gniewu Moneo pochylił się ku Idaho.

– Nie mów takich rzeczy – rzekł niemal szeptem.

– Bo któraś z tych kobiet doniesie?

Moneo kręcił z niedowierzaniem głową.

– Jesteś bardziej lekkomyślny niż inni.

– Doprawdy?

– Proszę! Przyjmowanie takiej postawy jest skrajnie niebezpieczne.

Idaho usłyszał nerwowe szepty rozchodzące się po sali.

– Może nas tylko zabić – powiedział.

Moneo przemówił zdławionym szeptem.

– Głupcze! Czerw może go opanować przy najmniejszej prowokacji.

– Czerw, powiadasz? – powtórzył Idaho nadmiernie głośno.

– Musisz mu ufać – rzekł Moneo.

Idaho spojrział w lewo i w prawo.

– Tak, chyba to usłyszały.

– On jest miliardem miliardów ludzi zjednoczonych w jednym ciele.

– To właśnie mi mówiono.

– Jest Bogiem, a my śmiertelnikami.

– Jak to możliwe, że Bóg czyni zło?

– Umywam ręce! – krzyknął Moneo, poderwawszy się od stołu, po czym odwrócił się i wypadł z sali.

Idaho rozejrzał się i przekonał, że znajduje się w centrum uwagi.

– Moneo nie osądza, ale ja tak – powiedział.

Zaskoczyło go kilka krzywych uśmiechów na twarzach kobiet. Wszystkie rybomówne wróciły do jedzenia.

Idąc korytarzem cytadeli, powtarzał sobie tę rozmowę i wyszukiwał osobliwości w zachowaniu Moneo. Przerazenie można było rozpoznać i nawet zrozumieć, ale wyglądało to na coś więcej niż lęk przed śmiercią... znacznie więcej.

„Czerw może go opanować”.

Idaho czuł, że to się Moneo wymknęło, że było mimowolną zdradą. Co to mogło oznaczać?

„Bardziej lekkomyślny niż inni”.

Złościło go, że musi znosić porównania ze sobą. Na ile ostrożni byli ci inni?

Dotarł do drzwi swej kwatery, zbliżył dłoń do zamka papilarnego i zawahał się. Czuł się jak ścigane zwierzę uciekające do nory. Rybomówne z kantyny na pewno doniosły już Leto o tej rozmowie. Co robi Bóg Imperator? Dotknął zamka. Drzwi się otworzyły. Wszedł do przedpokoju i zamknął je.

„Pośle po mnie rybomówne?”

Obrzucił wzrokiem pomieszczenie. Było zwyczajne – wieszaki na ubrania, półki na buty, lustro wysokości człowieka, szafa na broń. Spojrzał na jej zamknięte drzwi. Żadna broń z tej szafy nie stanowiła zagrożenia dla Boga Imperatora. Nie było tam nawet rusznicy... chociaż i rusznice laserowe, według wszelkich doniesień, nie były skuteczne przeciw *Czerwiowi*.

„On wie, że wystąpię przeciw niemu”.

Westchnął i spojrzał na łuk nadproża nad wejściem do salonu. Moneo zastąpił miękkie i lekkie wyposażenie cięższymi, twardszymi sprzętami. Niektóre były najwyraźniej fremeńskie – wydobyte ze skrzyń Muzealnych Fremenów.

„Muzealni Fremeni!”

Duncan splunął i wszedł do salonu. Po dwóch krokach stanął, zaskoczony. Łagodne światło z północnych okien ukazywało Hwi Nori siedzącą na

niskiej otomanie. Miała na sobie migotliwą błękitną szatę, która podkreślała figurę.

– Dzięki bogom, nic ci się nie stało – powiedziała.

Obejrzał się na wejście, na drzwi z zamkiem papilarnym. Ponownie spojrzał na Hwi.

Uśmiechnęła się, widząc jego zmieszanie.

– Ten zamek jest ixański.

Idaho czuł, że się jej boi.

– Co tu robisz?

– Musimy porozmawiać.

– O czym?

– Duncan... – Pokręciła głową. – O nas.

– Ostrzeżono cię – powiedział.

– Kazano mi cię odrzucić.

– Moneo cię przysłał!

– Przeprowadziły mnie dwie strażniczki, które cię podsłuchały w kantynie. Myślą, że jesteś w wielkim niebezpieczeństwie.

– Czy dlatego tu jesteś?

Wstała jednym, pełnym gracji ruchem. Przypomniało mu to sposób, w jaki poruszała się babka Leto, Jessika – ta sama płynna kontrola mięśni, piękno w każdym ruchu.

Nagle doznał olśnienia.

– Jesteś Bene Gesserit...

– Nie! Wśród moich nauczycieli były i one, ale nie jestem Bene Gesserit.

Podejrzenia zaćmiły Idaho umysł. Jakież to sojusze działały w Imperium? Co jakiś ghola może o tym wiedzieć?

„Te zmiany, odkąd ostatnio żyłem...”

– Wciąż jesteś prostą Ixanką, jak sądzę.

– Nie drwij ze mnie, Duncan, proszę.

– Kim więc jesteś?

– Oblubienicą przeznaczoną Bogu Imperatorowi.

– I będziesz mu wiernie służyć?

– Będę.

– Nie mamy więc o czym mówić.

– Z wyjątkiem tego, co jest między nami.

– A co jest między nami?

– To wzajemne przyciąganie. – Podniosła dłoń, gdy próbował coś powiedzieć. – Chcę się rzucić w twoje ramiona, znaleźć w nich miłość i schronienie. Ty też tego chcesz.

Zesztywniał.

– Bóg Imperator zabrania!

– Ale i tak tu jestem. – Podeszła do niego na dwa kroki; suknia falowała na jej ciele.

– Hwi... – Próbował przełknąć, ale gardło miał suche. – Najlepiej będzie, jeśli stąd pójdziesz.

– Roztropnie, ale wcale nie najlepiej – odparła.

– Jeżeli się dowie, że tu byłaś...

– Nie mogę cię tak opuścić. – Znów powstrzymała go, unosząc dłoń. – Zostałam wychowana i wyszkolona do jednego celu.

Jej słowa zmroziły go.

– Jakiego?

– Uwieść Boga Imperatora. Och, on o tym wie. Nie zmieniłby we mnie niczego.

– Ani ja.

Podeszła bliżej. Idaho czuł mleczne ciepło jej oddechu.

– Zbyt dobrze mnie zrobili. Zostałam zaprojektowana, by zadowolić Atrydę. Leto mówi, że Duncan jest lepszym Atrydą niż wielu urodzonych z tym nazwiskiem.

– Leto?

– Jak inaczej miałabym się zwracać do tego, którego poślubię?

Jeszcze mówiąc to, Hwi pochyliła się ku Idaho. Poruszyli się jednocześnie, niczym przeciwne bieguny magnesów. Hwi przycisnęła policzek do jego tuniki i objęła go, wyczuwając twarde mięśnie. Idaho oparł podbródek na jej włosach, a woń piżma wypełniła mu zmysły.

– To szaleństwo – szepnął.

– Tak.

Uniósł dłonią jej podbródek i pocałował ją.

Przywarła do niego. Żadne z nich nie miało wątpliwości, do czego to prowadzi. Nie opierała się więc, gdy wziął ją na ręce i zaniósł do sypialni.

Odezwał się tylko raz.

– Nie jesteś dziewczyną.

– Ty też nie, kochany.

– Kochana – szeptał – kochana...

– Tak... tak!

Zaspokojona, Hwi założyła ręce pod głowę i przeciągnęła się, wyginając ciało na zmiętej pościeli. Idaho usiadł plecami do niej i wyglądał przez okno.

– Kim byli twoi kochankowie?

Uniosła się na łokciu.

– Nie miałam innych kochanków.

– Ale... – Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Kiedy miałam naście lat, ktoś bardzo mnie pragnął. – Uśmiechnęła się.

– Byłam zbyt ufna! Wstydziłam się potem. Myślałam, że zawiodłam tych, którzy na mnie polegali, ale gdy się o tym dowiedzieli, byli zachwyceni. Chyba to była próba.

Idaho zmarszczył brwi.

– Czy tak samo było ze mną? Potrzebowałam cię?

– Nie, Duncan. – Miała poważną minę. – Daliśmy radość sobie nawzajem, bo tak jest w miłości.

– Miłość! – rzekł z goryczą.

– Mój wuj Malki mawiał, że miłość to zły interes, bo nie ma się żadnych gwarancji.

– Twój wuj Malki był mądrym człowiekiem.

– Był głupi! Miłość *nie potrzebuje* gwarancji!

Uśmiech musnął kąciki jego ust.

Uśmiechnęła się do niego.

– Wiesz, że to miłość, kiedy chcesz dawać radość i nie dbasz o konsekwencje.

– Myślę tylko, że jesteś w niebezpieczeństwie.

– Jest, jak jest.

– Co zrobimy?

– Będziemy cieszyć się tym, dopóki żyjemy.

– To brzmi... dość ostatecznie.

– Owszem.

– Ale będziemy się widywać przy każdej...

– Nigdy tak jak teraz.

– Hwi! – Rzucił się na łóżko i wtulił twarz w jej piersi.

Pogładziła go po włosach.

– Co będzie, jeśli zajdziesz...

– Jeżeli ma być dziecko, to będzie.

Uniósł głowę i spojrzał na nią.

- Ale wtedy on się dowie.
- I tak się dowie.
- Myślisz, że naprawdę wie wszystko?
- Nie wszystko, ale o tym się dowie.
- Skąd?
- Powiem mu.

Idaho odepchnął się od niej i usiadł. Na jego twarzy gniew walczył ze zmieszaniem.

- Muszę – powiedziała.
 - A jeśli zwróci się przeciw tobie? Hwi, są różne przekazy... Będiesz w śmiertelnym niebezpieczeństwie.
 - Nie. Ja też mam potrzeby. On to wie. Nie skrzywdzi ani mnie, ani ciebie.
 - Ale on...
 - On wie, że gdyby zrobił ci coś złego, to by mnie zabiło.
 - Jak możesz za niego wyjść?!
 - Duncan, czy nie widzisz, że on potrzebuje mnie bardziej niż ty?
 - Ale on nie może... to znaczy, ty byś nie mogła...
 - Tej radości, którą się dzielimy, nie będę miała z Leto. Tego mi nie może dać. Wyznał mi to.
 - Więc dlaczego nie... Jeżeli cię kocha...
 - On ma większe plany i większe potrzeby. – Ujęła prawą dłoń Duncana w swoje dłonie. – Wiem to, odkąd zaczęłam się o nim uczyć. Ma większe potrzeby niż my.
 - Jakie plany? Jakie potrzeby?
 - Spytaj go.
 - A ty wiesz?
 - Tak.
 - To znaczy, że wierzysz w te historie o...
 - Są w nim dobro i uczciwość. Wiem to, bo widzę, jak reaguję na niego za sprawą mych ixańskich mistrzów. To mi mówi więcej, niż miałam wiedzieć.
 - Więc mu wierzysz! – Idaho próbował uwolnić dłoń z jej uścisku.
 - Jeśli pójdiesz do niego, Duncan, i...
 - Nigdy więcej mnie nie zobaczy!
 - Zobaczy.
- Przyciągnęła jego dłoń do ust i ucałowała palce.
- Jestem zakładnikiem – powiedział. – Sprawiliście, że się boję. Oboje.

– Nigdy nie myślałam, że łatwo będzie służyć Bogu. Nie sądziłam tylko, że to będzie aż tak trudne.



Pamięć ma dla mnie niezwykle znaczenie. Mam nadzieję, że to rozumiecie. Zdumiewa mnie, że ludzie uciekają przed wspomnieniami przodków, że ukrywają się za murem mitów. Oooch, nie oczekuję po nich, że będą przeżywać każdą chwilę w jej okrutnej bezpośredniości, której ja muszę doświadczać. Mogę zrozumieć, że nie chcą zostać pogrążeni w papce nieważnych szczegółów z życia ich przodków. Mogę zrozumieć obawę, że ktoś inny zacznie przeżywać chwile naszego życia. Tak, to znaczenie kryje się w tych wspomnieniach. Niesiemy swoje dziedzictwo niczym żywa fala, wszystkie nasze nadzieje, radości i żale, udręki i uniesienia naszej przeszłości. Nic w tych wspomnieniach nie pozostaje bez znaczenia, dopóki istnieje ludzkość. Otacza nas jasna Nieskończoność, Złoty Szlak wieczności, której możemy ofiarować nasze skromne, ale natchnione oddanie.

– *Wykradzione dzienniki*

– Wezwałem cię, Moneo, z powodu doniesień mojej straży.

Stali w mroku krypty, tam gdzie Bóg Imperator podjął kilka najboleśniejszych decyzji. Moneo też znał te doniesienia. Oczekiwał wezwania całe popołudnie, a gdy nadeszło po wieczornym posiłku, przeżył chwilę grozy.

– Chodzi o... Duncana, Panie?

– Oczywiście, że o Duncana!

– Doniesiono mi, Panie, o jego zachowaniu.

– O karygodnym zachowaniu, Moneo?

Moneo skłonił głowę.

– Jeżeli tak mówisz, Panie.

– Ile trzeba czekać, zanim Tleilaxanie dostarczą nam nowego ghole?

– Podobno mają jakieś kłopoty, Panie. To może potrwać nawet dwa lata.

– Wiesz, co mi mówią strażniczki?

Moneo wstrzymał oddech. Jeżeli Bóg Imperator dowiedział się o ostatnich słowach Duncana... Nie, nawet rybomówne były przerażone tym afrontem. Gdyby to był ktoś inny, te kobiety same by go zlikwidowały.

– I cóż, Moneo?

– Powiedziano mi, Panie, że wezwał cały zaciąg strażniczek i wypytywał je o pochodzenie. O rodzinne planety, o rodziców, dzieciństwo.

– I odpowiedzi go nie zadowolily.

– Przestraszył je, Panie. Był uparty.

– Jakby powtarzanie mogło ujawnić prawdę, tak.

Moneo miał cichą nadzieję, że to jedyne zmartwienie jego Pana.

– Dlaczego Duncanowie zawsze to robią, Panie?

– Tak zostali wyszkoleni. To szkoła Atrydów.

– Ale jak to się różni...

– Atrydzi żyli, służąc ludziom, którymi zarządzili. Życie rządzonych wystawiało świadectwo ich władzy. Dlatego Duncanowie zawsze chcą wiedzieć, jak się żyje ludziom.

– Spędził noc we wsi, Panie. Był w kilku miastach. Widział...

– Wszystko zależy od interpretacji, Moneo. Dowody są niczym bez oceny.

– Zauważyłem, że on ocenia, Panie.

– Wszyscy to robimy, ale Duncanowie wierzą chyba, że ten wszechświat jest wydany na naszą łaskę. I wiedzą, że nie można czynić zła w imię dobra.

– Czy on to mówi o tobie?

– To mówię *ja*, wszyscy Atrydzi we mnie. Ten wszechświat na to nie pozwoli. Usiłowania spełzną na niczym...

– Ależ, Panie, ty nie czynisz zła!

– Biedny Moneo! Nie widzisz, że stworzyłem machinę niesprawiedliwości.

Moneo nie był w stanie mówić. Zdawał sobie sprawę, że zwiódł go pozorna łagodność Boga Imperatora. Teraz wyczuwał zmiany w tym wielkim cieple i z tej odległości... Rozejrzał się po krypcie, przypominając sobie, ile zadano tu śmierci i kogo tu pochowano.

„Czy nadszedł mój czas?”

Leto przemówił, zamyślony.

– Nie odniesiesz sukcesu, biorąc zakładników. To rodzaj zniewolenia. Człowiek nie może posiadać innego człowieka. Ten wszechświat na to nie pozwoli.

Te słowa wstrząsnęły świadomością Moneo, kontrastując przeraźliwie z oznakami przemiany, którą wyczuwał w swoim Panu.

„Czerw się zbliża!”

Rozejrzał się znów po krypcie. To miejsce było o wiele gorsze niż podniebna komnata! Schronienie znajdowało się zbyt daleko.

– I cóż mi odpowiesz, Moneo?

Marszałek zdobył się na szept.

– Słowa mego Pana oświecają mnie.

– Oświecają? Nie jesteś oświecony!

– Ale służę memu Panu! – odparł zdesperowany Moneo.

– Twierdzisz, że służysz Bogu?

– Tak, Panie.

– Kto stworzył twoją religię?

– Ty, Panie.

– To rozsądna odpowiedź.

– Dziękuję, Panie.

– Nie dziękuj! Powiedz mi, co uwieczniają instytucje religijne!

Moneo cofnął się o cztery kroki.

– Stój, gdzie stoisz! – rozkazał Leto.

Marszałek pokręcił głową, drżąc na całym ciele. W końcu natknął się na pytanie bez odpowiedzi. Brak odpowiedzi przyspieszy śmierć. Oczekiwał jej z pochyloną głową.

– Powiem ci zatem, biedny sługo.

Moneo nabrał nadziei. Podniósł wzrok na Boga Imperatora i spostrzegł, że jego oczy nie są szkliste... a ręce nie drżą. Może Czerw nie nadszedł.

– Instytucje religijne utrwalają zabójczy schemat pana i sługi – rzekł Leto.

– Są areną, która przyciąga dumnych poszukiwaczy władzy z ich krótkowzrocznymi przesądami!

Moneo był w stanie jedynie skinąć głową. Czy ręce Boga Imperatora zadrżały? Czy ta złowroga twarz cofnęła się w głąb kaptura?

– Objawienia nikczemności, o to dopytują się Duncanowie. Mają zbyt wiele współczucia dla swych braci i zbyt ograniczają ich liczbę.

Moneo oglądał kiedyś hologramy czerwii pustyni z Diuny, kolosalne paszcze pełne krysnożowych zębów wokół trawiącego ognia. Widział też nabrzmiewanie utajonych pierścieni na walcowatym ciele Leto. Czy staną się bardziej widoczne? Czy pod tym zakapturzonym obliczem otworzy się nowa paszcza?

– Duncanowie wiedzą w głębi serca – rzekł Leto – że celowo ignorują napomnienia Mahometa i Mojżesza. Nawet ty to wiesz, Moneo!

To był zarzut. Moneo już miał przytaknąć, ale w porę zaprzeczył ruchem głowy. Zastanawiał się, czy się odważy podjąć odwrót. Wiedział z doświadczenia, że podobne przemowy poprzedzały nadejście Czerwii.

– Jakie to były napomnienia? – W głosie Leto była kpina.

Moneo pozwolił sobie na lekkie wzruszenie ramion.

Leto wypełnił nagle komnatę grzmiącym barytonem, jakimś pradawnym głosem mówiącym przez stulecia:

– Jesteście sługami *Boga*, nie zaś sługami sług!

Moneo załamał ręce.

– Służę tobie, Panie! – krzyknął.

– Moneo, Moneo – powiedział Leto niskim, wibrującym głosem. – Milion błędów nie zrodzi jednej prawdy. Prawdę poznasz po tym, że trwa.

Moneo stał, drżąc, w milczeniu.

– Zamierzałem wydać Hwi za ciebie. Teraz na to za późno.

Trzeba było chwili, by te słowa przeniknęły do świadomości Moneo. „Hwi? Jaka Hwi? Ach tak, ixańska oblubienica Boga Imperatora. Wydać... za mnie?”

Pokręcił głową.

Głos Leto przepełniony był smutkiem.

– Ty także przeminiesz. Czy wszystkie twoje dzieła okryje pył zapomnienia?

Bez ostrzeżenia, jeszcze gdy mówił, jego ciało zwinęło się konwulsyjnie i uniosło z powozu. Szybko i z potworną siłą, chybiając o kilka centymetrów, rzucił się na Moneo, który z krzykiem uciekł w głąb krypty.

– Moneo! – Głos Leto zatrzymał marszałka w wejściu do windy. – Próba, Moneo! Jutro poddam Sionę próbie!



Uzmysłowienie sobie tego, kim jestem, następuje w ponadczasowej świadomości, która ani nie pobudza, ani nie mami. Tworzę obszar bez centrum, obszar, na którym nawet śmierć jest tylko analogią. Nie oczekuję rezultatów. Zezwalam jedynie, by obszar ten istniał – bez celów i pragnień, bez doskonałości czy nawet wizji osiągnięć. Istniejąca w nim wszechobecna pierwotna świadomość jest wszystkim. Jest światłem, które sączy się przez okna mego wszechświata.

– *Wykradzione dzienniki*

Słońce wzeszło, oświetlając wydmy oślepiającym blaskiem. Leto czuł, jak piasek delikatnie go pieści. Jedynie ludzkie uszy dostarczały mu zgoła

innych bodźców. Słyszał szorstkie zgrzytanie własnego ciała. Był to konflikt zmysłów, który nauczył się już akceptować.

Wiedział, że Siona podąża za nim. Słyszał jej lekkie kroki i delikatne osuwanie się piasku, gdy wspinała się na szczyt wydmy.

„Im dłużej trwam, tym bardziej jestem bezbronny” – pomyślał.

Ostatnio ta myśl często się pojawiała, gdy wychodził na pustynię. Popatrzył ku górze. Niebo było intensywnie błękitne i bezchmurne. Takiego koloru nie pamiętano na Diunie nawet w dawnych wiekach.

Czym była pustynia, gdy nie rozpościerało się nad nią niebo bez chmur? Byłoby jeszcze gorzej, gdyby pozbawiona była srebrzystego odcienia Diuny.

Ixańskie satelity kontrolowały pogodę, nie zawsze jednak tak dokładnie, jak by tego pragnął. Perfekcja była wymysłem, który upadał, gdy do sprawy brali się ludzie. Satelity gwarantowały jednak wystarczającą kontrolę, by ten ranek na pustyni można było nazwać spokojnym. Leto wziął głęboki oddech i słuchał, jak zbliża się Siona. Zatrzymała się. Wiedział, że z podziwem ogląda roztaczający się przed nimi widok.

Leto czuł, że jego wyobrażenia działa niczym magik, który wywołuje wszystkie fizyczne zjawiska, jakie się działy w tej chwili. *Czuł* satelity. Znakomite instrumenty, które grały muzykę towarzyszącą tańcowi nagrzewających się i stygnących mas powietrza, bezustannie śledząc i regulując potężne pionowe i poziome prądy. Ubawił się, przypomniawszy sobie, że Ixanie sądzili, iż będzie używał tej skomplikowanej maszyny jako narzędzia swoistego hydraulicznego despotyzmu – pozbawiając wilgoci tych, którzy przeciwstawiali się swemu władcy, innych zaś karząc straszliwymi burzami. Jakże zdumieni byli, odkrywając, że są w błędzie!

„Moja kontrola jest znacznie bardziej subtelna”.

Zaczął się poruszać ostrożnie i delikatnie, płynąc w dół wydmy i nie patrząc w tył, na cienką iglicę wieży. Zdawał sobie sprawę, że wkrótce zniknie ona w mgiełce upału.

Siona podążała za nim. Zachowywała się potulnie, co było wręcz niezwykle. Wszystko za sprawą drążących ją wątpliwości. Przeczytała wykradzione dzienniki. Zapoznała się z ostrzeżeniami ojca. Teraz nie wiedziała, co o tym sądzić.

- Co to za test? – spytała Moneo. – Co on ma zamiar zrobić?
- Test nigdy nie jest taki sam.
- Jak sprawdzał ciebie?

– W twoim przypadku będzie inaczej. Jeśli opowiem ci o moich doświadczeniach, będziesz się czuła zdezorientowana.

Leto przysłuchiwał się z ukrycia temu, jak Moneo przygotowywał córkę, ubierając ją w autentyczny fremeński filtrak, na który narzucił ciemną szatę, wyregulowawszy pompy obcasowe. Moneo nie zapomniał.

Marszałek uniósł wzrok. Schylał się, poprawiając coś przy jej butach.

– Czerw nadejdzie. To wszystko, co ci mogę powiedzieć. Musisz znaleźć sposób, by przetrwać jego obecność.

A potem wstał i wyjaśnił, jak filtrak odzyskuje wydalone przez nią płyny. Kazał córce wyciągnąć rurkę kieszeni łownej, wyssać z niej wodę, po czym ją zatkać.

– Na piaskach będziecie tylko ty i on – rzekł. – Szej-hulud nigdy nie jest daleko, gdy znajduje się na pustyni.

– A jeżeli nie zgodzę się pójść? – zapytała.

– Pójdiesz... choć możesz nie wrócić.

Rozmawiali w komnacie w przyziemiu Małej Cytadeli. Leto oczekiwał tymczasem w swym orlim gnieździe. Gdy Siona była gotowa, tuż przed świtem pojawił się na dole, spłynąwszy w ciemności na powozie. Pojazd zniknął w jednej z komnat, gdy nadeszli Moneo i Siona. Kiedy Moneo pomaszerował do swego ornitoptera i odleciał z szumem skrzydeł, Leto poleciał Sionie, by sprawdziła, czy komnata jest zamknięta, a potem popatrzył w górę, na niebotyczną wieżę.

– Jedyna droga wyjścia stąd biegnie przez Serir – rzekł.

Wyprowadził Sionę z wieży. Nie musiał jej nawet nakazywać, by podążała za nim, polegał bowiem na jej zdrowym rozsądku, ciekawości i wątpliwościach, które żywiła.

Leto płynnie pokonywał wydmnę, sunąc od zawietrznej, aż dotarł do skały poniżej. Następnie wspiał się na wydmnę nachyloną pod niewielkim kątem, torując drogę Sionie. Fremeni nazywali takie szlaki „podarunkiem Boga dla zmęczonych”. Leto poruszał się wolno, zostawiając Sionie dość czasu, by mogła się zorientować, że to jego terytorium, jego dominium.

Zatrzymał się na szczycie kolejnej wydmy i odwrócił, by zobaczyć, gdzie jest Siona. Szła przetartym przezeń szlakiem i w końcu stanęła obok niego. Najpierw spojrzała na jego twarz, a potem obróciła się wokół, obserwując horyzont. Usłyszał, że ciężko dyszy. Fale upału skryły iglicę wieży. Z daleka dolna część budowli wyglądała jak odsłonięta skała.

– Tak to kiedyś wyglądało – rzekł.

Wiedział, że w pustyni jest coś, co przemawia do nieśmiertelnej duszy tych, w których żyłach płynie fremieńska krew. Wybrał to miejsce, gdyż tutaj dawało się odczuć potęgę pustyni – choć wydma była niewiele wyższa od innych.

– Rozejrzyj się uważnie – powiedział, a potem zaczął się zsuwać po przeciwległej stronie wydmy, tak by jego ciało nie zasłaniało jej widoku.

Siona znów się obróciła, patrząc przed siebie.

Leto wiedział, jakie uczucie wywołać może widok rozpościerający się przed jej oczami. Poza niewyraźnym, zamazanym kształtem podstawy wieży, horyzont był całkowicie spokojny i równy. Nie było ani roślin, ani stworzeń. Najwyżej osiem kilometrów dzieliło Sionę od linii, za którą wszystko skrywała krzywizna planety.

Leto przemówił spod grzbietu wydmy.

– Oto prawdziwy Serir. Czujesz to dopiero wtedy, gdy dotrzesz tutaj pieszo. To wszystko, co pozostało z *bahr bela ma*.

– Oceanu bez wody – wyszeptała dziewczyna.

Ponownie obróciła się, spoglądając na horyzont.

Nie było najłżejszego powiewu wiatru, a bez niego, jak wiedział Leto, cisza pożerała ludzką duszę. Siona czuła, że nie ma żadnego punktu odniesienia. Znajdowała się na wrogim terytorium.

Leto popatrzył na sąsiednią wydnię. Idąc w jej kierunku, dotarliby do linii niskich wzgórz, które kiedyś były górami, a z których pozostały w dużej mierze tylko żwir i skalne rumowisko. Tymczasem rozkoszował się chwilą odpoczynku, pozwalając, by działała siła ciszy. Przyjemnie było wyobrażać sobie, że te wydmy, tak jak niegdyś, ciągną się bez końca dookoła planety. Ale nawet tych kilka wydm już niszczało. Bez kurzawy Coriolisa Serir nie znał niczego innego niż duszne bryzy i sporadyczne wiry gorącego powietrza, które miały tylko miejscowy zasięg.

Jeden z tych niewielkich „demonów wiatru” sunął właśnie na południe. Siona obserwowała jego ruch.

– Wyznajesz jakąś religię? – spytała nagle.

Trwało chwilę, nim Leto sformułował odpowiedź. Zawsze zdumiewało go, jak pustynia prowokuje dociekania religijne.

– Ośmielasz się pytać, czy mam swoją religię?

Nie dając po sobie poznać, iż się lęka – a Leto wiedział, że tak jest – Siona odwróciła się i spojrzała na niego. Przypomniawszy sobie, że zuchwałość to cecha Atrydów.

– Bez wątpienia jesteś Atrydką – powiedział, gdy milczała.
– Czy taka jest twoja odpowiedź?
– Co tak naprawdę chcesz wiedzieć, Siono?
– W co wierzysz!
– Ha! Pytasz o mą wiarę. Cóż... teraz wierzę, że coś nie może się wyłonić z niczego bez boskiej interwencji.

Te słowa zdumiały ją.

– Jak to jest...

– *Natura non facit saltus* – rzekł.

Potrząsnęła głową, nie rozumiejąc starożytnej sentencji.

– Natura nie uznaje skoków – przetłumaczył Leto.

– Co to za język? – zapytała.

– Język, którym nie mówi się nigdzie we wszechświecie.

– Po co więc go użyłeś?

– Aby pobudzić twe uśpione wspomnienia.

– Nie mam takich! Chcę tylko wiedzieć, dlaczego mnie tu zabrałeś.

– Aby dać ci posmakować twojej przeszłości. Chodź tutaj i wsiądź na mój grzbiet.

Zwlekała chwilę, ale zdając sobie sprawę, iż opór nie ma sensu, zsunęła się po wydmy i wdrapała na jego plecy.

Leto czekał, aż dziewczyna będzie gotowa i klękawszy, spocznie na jego grzbiecie. Sytuacja różniła się od tych, które pamiętał. Siona nie miała haków stwórcy i nie mogła stać na nim. Powoli wprowadził w ruch swoje przednie segmenty.

– Po co to wszystko robię? – zapytała. Jej ton świadczył, iż czuje się dziwnie w tej pozycji.

– Chcę, abyś doświadczyła tego, jak nasi przodkowie dumnie przemierzali te ziemie na grzbietach olbrzymich czerw.

Leto zaczął się ześlizgiwać z wydmy. Siona знаła już to z zapisów, jednak teoretyczna wiedza była czymś innym niż realne doznanie. Leto zdawał sobie z tego sprawę i wiedział, że dziewczyna czuje podobnie.

„Aaach, Siono – pomyślał. – Nawet nie podejrzewasz, jakiej próbie pragnę cię poddać”.

Zebrał się w sobie. „Nie mogę okazać litości, nawet gdyby Siona miała zginać. Jeśli któryś z nich umiera, tak musi być, to wszystko”.

Przypomniał sobie, iż odnosi się to nawet do Hwi Nori. Czy naprawdę wszyscy musieli umrzeć?

Zorientował się, kiedy Siona zaczęła odczuwać wrażenia związane z jazdą na jego grzbiecie. Poczuł zmianę ciężaru na plecach – dziewczyna stanęła, by widzieć więcej.

Posuwał się do przodu, a potem wzdłuż zakrzywiającego się barchanu. Podobnie jak Siona, doświadczał radości jazdy. Widział przed sobą rysujące się na horyzoncie wzgórza. Oboje byli niczym kiełkujące z przeszłości nasienie, znak, który przypomina, iż na pustyni działała kiedyś potężna, samorodna siła. Na chwilę zapomniał, iż na tej planecie tylko niewielki skrawek powierzchni jest pustynią. Energia Seriru trwała w mało przyjaznym środowisku.

Przeszłość wracała. Poruszając się, czuł to wyraźnie. Marzenie, rzekł do siebie, znikające marzenie, trwające tak długo, jak trwał jego wymuszony spokój. Nawet solidny barchan, który przemierzali, nie był tak wielki jak te z przeszłości. To samo dotyczyło innych wydm.

Nagle uderzyła go myśl, że taka wizja pustyni jest śmieszna. O mało co nie zatrzymał się na kamienistym odcinku między wydмами. Potem zwolnił, usiłując skojarzyć czynniki, które sprawiały, że cały system funkcjonował. Wyobraził sobie, jak planeta obraca się, powodując, iż ogromne prądy niosą zimne i gorące powietrze ku nowym obszarom – a wszystko to monitorują niewielkie satelity z ixańskimi urządzeniami i skupiającymi ciepło antenami. Jeśli podniebne monitory widziały cokolwiek, postrzegały Serir jako „pustynną płaskorzeźbę”, którą otaczają ściany materii i zimnego powietrza. Skutkiem tego na krawędziach tworzył się lód, a klimat wymagał zmian.

To nie było proste i Leto wybaczał błędy, jakie się nieraz zdarzały z tego powodu.

Kiedy wreszcie opuścili wydmy, Leto przestał mieć poczucie delikatnej równowagi i porzucił myśli o nieużytkach na skraju pustyni. Pozwolił sobie radować się swoim „skamieniałym oceanem” i jego nieruchomymi falami. Następnie skręcił na południe, równoległe do wzgórz.

Wiedział, iż większości ludzi nie podobało się jego zafascynowanie pustynią. Niepokoiło ich i oburzało. Siona jednakże nie mogła się tak zachowywać. Pustynia wzbudzała szacunek. Dziewczyna zachowywała milczenie, ale Leto wiedział, że wszystko bacznie obserwuje. A wspomnienia z bardzo odległej przeszłości już zaczynały kiełkować.

W ciągu trzech godzin dotarli do miejsca, gdzie wydmy miały cylindryczny kształt przypominający grzbiet wieloryba. Niektóre ciągnęły się przez sto pięćdziesiąt kilometrów i nachylały pod kątem najczęściej

występujących tu wiatrów. Dalej znajdował się skalny korytarz wiodący ku miejscu, w którym wydmy, kształtem przypominające gwiazdy, miały do czterystu metrów wysokości. Wreszcie dotarli do wydmy centralnego ergu, gdzie stałe wysokie ciśnienie i naelektryzowane powietrze ożywiły Leto. Wiedział, że ta magia podziała i na Sionę.

– Tutaj właśnie powstawały pieśni o Długiej Wędrowce – rzekł. – Ich słowa przetrwały w przekazach ustnych.

Siona nie powiedziała nic, Leto wiedział jednak, iż go słucha.

Zwolnił i zaczął opowiadać dziewczynie o historii Fremenów. Widział, że jest coraz bardziej zaciekawiona. Od czasu do czasu zadawała pytania, ale Leto czuł również jej narastający strach. Stąd nie widać było nawet podstawy Małej Cytadeli. Siona nie widziała również niczego, co byłoby dziełem ludzkich rąk. Zastanawiała się, czy Leto, zajęty gawędzeniem, nie szykuje jakiejś niebezpiecznej niespodzianki.

– Tu jest źródło równości między kobietami i mężczyznami – rzekł.

– Twe rybomówne zaprzeczają twierdzeniu, że kobiety i mężczyźni są równi – powiedziała.

Pełen niedowierzania głos Siony sprawił, że Leto wyczuł stan jej ducha znacznie lepiej niż wówczas, gdy klęczała na jego grzbiecie. Zatrzymał się w miejscu, w którym spotykały się dwie wydmy, i pozwolił, by z jego organizmu uwolnił się wytworzony tlen.

– Pewne sprawy wyglądają inaczej niż kiedyś – powiedział. – Ewolucja kobiet i mężczyzn przebiega inaczej. Pośród Fremenów istniała pod tym względem współzależność. Rozwój równości był konieczny tam, gdzie wciąż trzeba było walczyć o przetrwanie.

– Dlaczego mnie tu sprowadziłeś? – zapytała ponownie.

– Obejrzyj się za siebie – powiedział.

Poczuł, że dziewczyna się odwraca.

– Co takiego mam zobaczyć? – spytała.

– Zostawiliśmy jakieś ślady? Możesz powiedzieć, gdzie jesteśmy?

– Czuć podmuch lekkiego wiatru.

– Czy nasze ślady zniknęły?

– Tak sądzę... tak.

– Pustynia ma wpływ na to, kim byliśmy i kim jesteśmy – rzekł Leto. – To prawdziwa skarbnica naszej przeszłości. Żadna z naszych tradycji nigdy tak naprawdę nie zaginęła.

Na południowym fragmencie horyzontu Leto ujrzał niewielką burzę piaskową ghibli. Dostrzegł również pasma kurzu i piasku. Siona z pewnością także to zobaczyła.

– Dlaczego nie chcesz powiedzieć mi, w jakim celu mnie tu przywiodłeś?
– spytała. Strach w jej głosie był doskonale wyczuwalny.

– Ależ powiedziałem ci to.

– Nie, nie powiedziałeś.

– Jak długą drogę przebyliśmy, Siono?

Zastanowiła się nad tym.

– Trzydzieści kilometrów? Dwadzieścia?

– Więcej – rzekł Leto. – Na mojej ziemi potrafię się poruszać bardzo szybko. Nie czułaś powiewu wiatru na twarzy?

– Tak – powiedziała markotnie. – Dlaczego więc *mnie* o to pytasz?

– Zejdź i stań tak, bym mógł cię widzieć.

– Po co?

„Dobrze – pomyślał. – Wierzy, że zostawię ją tutaj i oddalę się tak szybko, iż nie będzie mogła za mną nadążyć”.

Ześlizgnęła się z jego grzbietu i stanęła tak, by móc spojrzeć mu w twarz.

– Czas mija niepostrzeżenie, gdy zmysły są zajęte – odezwał się Leto. – Jechaliśmy cztery godziny. Przebyliśmy jakieś sześćdziesiąt kilometrów.

– Dlaczego to takie ważne?

– Moneo dał ci suszoną żywność – powiedział. – Posil się nieco, a potem ci odpowiem.

Wyciągnęła z woreczka suszony protokęs. Żuła chwilę, obserwując Leto. Posilała się autentyczną żywnością Fremenów ze szczyptą melanżu.

– Miałas szansę wrócić do swych korzeni – powiedział Leto. – Teraz doświadczysz przyszłości, Złotego Szlaku.

Przełknęła kęs.

– Nie wierzę w twój Złoty Szlak.

– Jeśli masz zachować życie, uwierzysz w niego.

– Czy to jest właśnie twój test? Uwierzyć w Wielkiego Boga Leto lub umrzeć?

– Nie musisz wierzyć we mnie czy w cokolwiek. Musisz uwierzyć w siebie.

– Dlaczego więc tak istotne było, jak daleko dotarliśmy?

– Zrozumiesz, jak daleką drogę musisz jeszcze przebyć.

Przyłożyła dłoń do policzka.

– Ja nie...

– Stoisz we właściwym miejscu – rzekł. – Niewątpliwie jesteś dokładnie w centrum Nieskończoności. Rozejrzyj się i zrozum, czym jest Nieskończoność.

Popatrzyła w lewo i w prawo.

– Wyjdziemy z mojej pustyni razem – powiedział. – Tylko my dwoje.

– Ty nie możesz chodzić – zadrwiła.

– To kwestia interpretacji. Ale *ty* pójdziesz. Zapewniam cię, że tak się stanie.

Popatrzyła w kierunku, z którego przybyli.

– Dlatego pytałeś mnie o ślady.

– Nawet gdyby były tam ślady, nie mogłabyś wrócić. W mojej Małej Cytadeli nie ma niczego, co mogłabyś zdobyć i wykorzystać, by przetrwać.

– Nie ma tam wody?

– Niczego tam nie ma.

Poszukała na ramieniu rurki kieszeni łownej, napiła się i włożyła rurkę na miejsce. Spostrzegł, iż wyjątkowo starannie zatkała jej końcówkę. Nie nałożyła jednak na usta maski, choć Leto słyszał, że Moneo na to właśnie ją uczulał. Nie chciała, by coś przeszkadzało jej w rozmowie!

– Tak więc mówisz, że nie mogę od ciebie uciec – rzekła.

– Uciekaj, jeśli chcesz.

Obróciła się dookoła, obserwując pustkowia.

– Istnieje przysłowie dotyczące otwartej przestrzeni – powiedział Leto. – Każda droga jest tak samo dobra jak inna. W jakimś sensie to prawda, ale nie polegałbym na tych słowach.

– Ale mogę cię opuścić, kiedy zechcę?

– Wolność jest formą samotności – odparł.

Wskazała strome zbocze wydmy, na której stali.

– Mogłabym stąd zejść i...

– Gdybym był na twoim miejscu, Siono, nie schodziłbym tą drogą.

Zerknęła na niego.

– Dlaczego?

– Na spadzistym zboczu wydmy, jeśli nie podążasz za jej naturalnymi załamaniem, piasek może się ześlizgnąć i zasypać cię.

Popatrzyła w dół, rozważając to.

– Widzisz, jak cudowne potrafią być słowa? – powiedział.

Przeniosła wzrok na jego twarz.

– Nie powinniśmy już ruszać?
– Nauczysz się doceniać wypoczynek. I uprzejmość. Nie ma pośpiechu.
– Nie mamy jednak wody poza...
– Jeśli będziesz go mądrze użytkowała, filtrak pomoże ci przetrwać.
– Ale jak długo będziemy...
– Twoja niecierpliwość mnie niepokoi.
– Mamy tylko trochę suszonego jedzenia! Co będziemy jeść, kiedy...
– Siono! Zauważyłaś, że opisując naszą sytuację, używasz liczby mnogiej? Co *będziemy* jeść? Nie *mamy* wody. Ale jak długo *będziemy*?
Poczuła suchość w ustach i spróbowała przełknąć ślinę.
– Czy to możliwe, że będziemy całkiem niezależni? – zapytał.
Zwlekąła z odpowiedzią.
– Nie wiem, jak tutaj przetrwać.
– Sądzisz, że ja wiem?
Skinęła głową.
– Dlaczego miałbym się z dzielić z tobą tak cenną wiedzę? – spytał.
Wzruszyła ramionami. Ten żałosny gest dotknął go. Jakże szybko pustynia zmienia postawę życiową.
– Podzielę się z tobą moją wiedzą – rzekł. – Ale ty musisz znaleźć coś cennego, czym podzielisz się ze mną.
Jego wzrok przesłiznął się po jego ciele, zatrzymując na chwilę na pletwach, które kiedyś były nogami i stopami, a potem powędrował z powrotem ku twarzy.
– Umowa zawarta dzięki groźbom nie jest umową – powiedziała.
– Nie mówię o przemocy.
– Jest wiele rodzajów przemocy – odparła.
– A ja przywiodłem cię tam, gdzie możesz zginąć?
– Czy miałam wybór?
– Nie jest łatwo urodzić się jako Atryda – powiedział. – Wierz mi, wiem coś o tym.
– Nie musisz postępować w ten sposób – stwierdziła Siona.
– I tu się mylisz.
Odwrócił się od niej i zaczął zsuwać z wydmy, pozostawiając ślad w kształcie sinusoidy. Słyszał, jak dziewczyna potyka się, podążając za nim. Zatrzymał się w cieniu jednej z wydm.
– Tutaj doczekamy do końca dnia. – oświadczył. – Podróżując nocą, zużyjemy mniej wody.



Jednym z najbardziej przerażających słów w każdym języku jest „żołnierz”. Jego synonimy przewijają się przez całą historię: yogahnee, kawalerzysta, huzar, karibo, kozak, deranzeef, legionista, sardaukar, rybomówna... Znam ich wszystkich. Stoją w szeregach mej pamięci, przypominając mi: Zawsze upewnij się, czy towarzyszy ci twoja armia.

– Wykradzione dzienniki

Idaho znalazł wreszcie Moneo w długim podziemnym korytarzu, który łączył wschodnią i zachodnią część cytadeli. Od świtu, czyli od ponad dwóch godzin, przemierzał cały kompleks, szukając marszałka dworu. I oto zobaczył w oddali Moneo rozmawiającego z kimś ukrytym za drzwiami. Marszałka można było jednak rozpoznać nawet z daleka dzięki charakterystycznej postawie i zwyczajowemu białemu uniformowi.

Wykonane z plazmuru ściany, znajdujące się pięćdziesiąt metrów pod powierzchnią, miały kolor bursztynu i oświetlone były imitującymi światło dzienne luminówkami. Świeże powietrze docierało do podziemi za sprawą prostego systemu wiatraków, które umieszczono w wieżach na powierzchni. Teraz, kiedy słońce nagrzewało piasek, skrzydła wiatraków skierowane były na północ, w stronę chłodnego powietrza przedostającego się do Seriru. Idąc korytarzem, Idaho poczuł delikatny powiew o zapachu kamiennego pyłu.

Duncan wiedział, co przypomina ten korytarz. Miejsce to istotnie *miało* charakterystyczne cechy fremeńskiej siczy. Korytarz był szeroki i wystarczająco duży, by zmieścić się w nim powóz Leto. Półkolisty sufit *wyglądał* jak skała. Dysonans stanowiły jedynie luminówki. Idaho widział je po raz pierwszy, odkąd znalazł się w cytadeli. W *jego czasach* uważane były za niepraktyczne – zużywające zbyt wiele energii i zbyt kosztowne w utrzymaniu. Lumisfery były prostsze i łatwiej je było wymieniać. Idaho doszedł do wniosku, że według Leto niewiele jest niepraktycznych rzeczy.

„Ktoś musi dostarczać tego, czego chce Leto”.

Ta złowieszcza myśl towarzyszyła mu, gdy maszerował w kierunku Moneo.

Rozmieszczone wzdłuż korytarza małe pokoje nie miały drzwi, tak jak to było we fremeńskiej siczy. Zamiast tego zastosowano cienkie brunatne

zasłony, które kołysały się lekko. Idaho wiedział, że znajdują się tu kwatery młodszych rybomównych. Rozpoznał salę zebrania z przyległymi pokojami, pełniącymi funkcję składu broni, kuchni, jadalni i sklepów z podstawowymi artykułami. Dostrzegł również coś przez nie najlepiej chroniące prywatność zasłony. Wzbudziło to jego wściekłość.

Moneo obrócił się w stronę nadchodzącego Idaho. Kobieta, z którą rozmawiał, zniknęła za zasłoną, ale Duncan zdążył rzucić okiem na jej starszą już nieco twarz. Tej dowodzącej nie znał.

Marszałek skinął głową, gdy Idaho zatrzymał się dwa kroki od niego.

– Strażniczki powiedziały mi, że mnie szukałeś – rzekł.

– Gdzie on jest, Moneo?

– Kto?

Moneo lustrował Idaho od stóp do głów. Zauważył, że Duncan ma na sobie dawny mundur Atrydów, czarny z czerwonym jastrzębiem na piersi, i wysokie, wypolerowane buty. W jego wyglądzie było coś *rytualnego*.

Idaho wziął płytki oddech.

– Nie zaczynaj ze mną tej gry! – powiedział przez zaciśnięte zęby.

Moneo odwrócił wzrok od przypasanego noża w pochwie, który miał Idaho. Wysadzana kamieniami rękojeść sprawiała, że wyglądał on jak eksponat muzealny. Gdzie Idaho go znalazł?

– Jeśli masz na myśli Boga Imperatora... – rzekł Moneo.

– Gdzie?

Marszałek przemówił łagodnie.

– Tak bardzo zależy ci na tym, by zginąć?

– Powiedziano mi, że z nim jesteś.

– To było wcześniej.

– Znajdę go, Moneo!

– Nie teraz.

Idaho położył dłoń na rękojeści noża.

– Mam użyć siły, by skłonić cię do mówienia?

– Tego bym nie radził.

– Gdzie... on... jest?!

– Skoro tak nalegasz, to Bóg Imperator jest na pustyni z Sioną.

– Z twoją córką?

– Czy jest jakaś inna Siona?

– Co tam robią?

– Siona przechodzi próbę.

– Kiedy wróca?

Moneo wzruszył ramionami.

– Skąd ta złość, Duncan? – spytał.

– Na czym polega próba twojej...

– Nie wiem. Dlaczego jesteś tak rozgniewany?

– Mam dość tego miejsca! Rybomówne! – Odwrócił głowę i splunął.

Moneo popatrzył na korytarz, przypominając sobie, skąd nadszedł Idaho. Znając Duncanów, nietrudno było odgadnąć, co go rozwścieczyło.

– Duncan – rzekł – jest rzeczą absolutnie normalną, iż dojrzewające kobiety, podobnie jak mężczyźni, wykazują zainteresowanie przedstawicielami tej samej płci. Większość z nich z tego wyrasta.

– To powinno zostać wyplenione!

– Ale to część naszej spuścizny.

– Powinno się z tym skończyć! To nie jest...

– Och, dość już. Jeśli będziemy się starali to tłumić, zjawisko tylko się nasili.

Idaho rzucił na niego okiem.

– Mówisz, że nie wiesz, co się dzieje z twoją córką!

– Siona przechodzi próbę, powiedziałem ci.

– A co *to* miałoby znaczyć?

Moneo zasłonił dłonią oczy i westchnął. W końcu opuścił rękę, zastanawiając się, dlaczego znosi towarzystwo tego głupiego, niebezpiecznego, *starożytnego* człowieka.

– To znaczy, że może zginąć.

Idaho był tak zaskoczony, że jego gniew nieco przygasł.

– Jak mogłeś pozwolić...

– Pozwolić? Myślisz, że miałem jakikolwiek wybór?

– Każdy człowiek ma wybór!

Gorzki uśmiech wypłynął na wargi Moneo.

– Jak to możliwe, że jesteś głupszy od pozostałych Duncanów?

– Inni Duncanowie! – zachnął się Idaho. – Jak umarli, Moneo?

– Tak jak wszyscy. Nadszedł ich czas.

– Kłamiesz – rzekł Idaho, zaciskając zęby, a jego dłoń trzymająca rękojeść noża zbielała.

– Miarkuj się – odezwał się łagodnie marszałek. – Są granice, których nawet ja nie pozwolę przekroczyć, zwłaszcza teraz.

- To miejsce jest pełne zgnilizny! – powiedział Idaho. Wskazał za siebie.
- Są rzeczy, których nigdy nie zaakceptuję!

Moneo bez słowa wpatrywał się w pusty korytarz.

- *Musisz* dorosnąć, Duncan. *Musisz*.

Dłoń Idaho mocniej zacisnęła się na nożu.

- Co *to* znaczy?

– Czasy są trudne. Wszystko, co mu nie odpowiada, *wszystko...* musi zostać usunięte.

Wściekłość Idaho powstrzymywało tylko coś zagadkowego w zachowaniu Moneo. Padły jednak słowa, które nie mogły zostać zignorowane.

- Nie jestem jakimś cholernym niedojrzałym dzieckiem, które mógłbyś...

– Duncan! – Była to najgłośniejsza wypowiedź ułożonego Moneo, jaką Idaho kiedykolwiek słyszał. Zaskoczenie sprawiło, że znieruchomiał, marszałek zaś ciągnął: – Jeśli potrzeby twego ciała wymagają dojrzałości, ale ty jesteś niedojrzały, rodzą się złe zachowania. Odejdź.

- Czy... oskarżasz... mnie... o...

- Nie! – Moneo wskazał korytarz. – Wiem, co tam zobaczyłeś, ale...

– Dwie kobiety złączone namiętnym pocałunkiem! Uważasz, że to nie jest...

- To nie jest ważne. Młodość odkrywa swój potencjał na wiele sposobów.

Idaho był już bliski wybuchu.

- Cieszę się, że dane mi było się czegoś o tobie dowiedzieć, Moneo.

- Cóż, ja również dowiedziałem się czegoś o tobie, i to *wiele* razy.

Marszałek obserwował, jaki był skutek jego słów, jak ugodziły one Idaho i wstrząsnęły nim. Ghole nigdy nie umieli uniknąć fascynacji tymi, którzy ich poprzedzali.

- Czego się dowiedziałeś? – spytał Duncan chrapliwym szeptem.

– Nauczyłeś mnie cennych rzeczy – powiedział Moneo. – Wszyscy staramy się rozwijać, ale jeśli coś staje nam na przeszkodzie, możemy zamienić nasz potencjał w ból... poszukując go lub go zadając. Młodzi ludzie są szczególnie bezbronni.

Idaho pochylił się ku Moneo.

- Mówię o seksie!

- Oczywiście.

- Oskarżasz mnie o niedojrzałość...

- Zgadza się.

– Powinienem poderżnąć ci...

– Och, zamknij się!

Ta odpowiedź nie zdradzała niuansów szkolenia Bene Gesserit w kontroli Głosu, ale Moneo przez całe życie wydawał rozkazy. Idaho usłuchał.

– Przepraszam – rzekł marszałek – ale jestem wytrącony z równowagi faktem, że moja jedyna córka... – Przerwał i wzruszył ramionami.

Idaho wziął dwa głębokie wdechy.

– Wszyscy jesteście szaleni! Twierdzisz, że twoja córka może zginąć, a pomimo to...

– Ty głupcze! – nie wytrzymał Moneo. – Masz jakiegokolwiek pojęcie, ile obchodzą mnie twoje małostkowe problemy?! Twoje głupie pytania i egoistyczne... – Zamilkł, potrząsając głową.

– Usprawiedliwiam cię, bo masz problemy osobiste – powiedział Idaho. – Ale jeśli ty...

– Usprawiedliwiasz? *Ty* mnie usprawiedliwiasz? – Moneo z trudem złapał oddech. Tego było już za wiele!

Idaho rzekł chłodno:

– Mogę ci wybaczyć twój...

– Ty! Pleciesz o seksie, wybaczeniu i bólu... myślisz, że ty i Hwi Nori...

– O niej ani słowa!

– O tak. O niej ani słowa. Nie mówmy o *twoim* bólu. Kochałeś się z nią i *nigdy* nie myślałeś o rozstaniu. Powiedz mi, głupcze, jak wyglądasz w świetle *tego*?

Skonfundowany, Idaho musiał zrobić kilka głębokich wdechów. Nie podejrzewał w cichym zazwyczaj Moneo takiej pasji, ale ten atak, to nie może oznaczać...

– Myślisz, że jestem okrutny? – zapytał marszałek. – Zmuszam cię, byś myślał o rzeczach, których wolałbyś unikać. Ha! Okrutniejsze rzeczy uczyniono Panu Leto dla samego okrucieństwa!

– Bronisz go? Ty...

– Znam go najlepiej!

– Ale on cię wykorzystuje!

– Do czego?

– Ty mi to powiedz!

– Jest naszą nadzieją na przetrwanie...

– Zboczeńcy nie przetrwają!

Moneo przemówił łagodnym tonem, ale jego słowa ugodziły Idaho.

– Powiem ci to tylko raz. Homoseksualiści byli wśród najdzielniejszych wojowników w naszej historii, wśród berserkerów, którzy stanowili nieraz ostatnią deskę ratunku. Byli wśród naszych kapłanów i kapłanek. Celibat w różnych religiach to nie przypadek. Nie jest też przypadkiem, że niedojrzałe jednostki to najlepsi kandydaci na żołnierzy.

– To perwersja!

– Całkiem słusznie. Od tysięcy lat dowódcy wiedzą o perwersyjnej zamianie rozkoszy w ból.

– Czy to właśnie robi Pan Leto?

– Przemoc wymaga – kontynuował łagodnie Moneo – by zadawać ból i cierpieć z jego powodu. O ileż skuteczniejsi są żołnierze, którzy w zadawaniu cierpień kierują się najgłębszymi popędami!

– On i ciebie zmienił w bestię!

– Stwierdziłeś, że Leto mnie wykorzystuje – rzekł marszałek. – Zgadzam się na to, bo wiem, że cena, jaką płaci, jest znacznie wyższa niż to, czego wymaga ode mnie.

– Poświęci nawet twoją córkę?

– *On* niczego nie zatrzymuje dla siebie. Czyż więc ja powinienem? Och, myślę, że rozumiesz tę cechę Atrydów. Duncanowie zawsze to potrafili.

– Duncanowie! Cholera, nie będę...

– Nie masz odwagi, by zapłacić cenę, o którą on prosi – powiedział Moneo.

Jednym zamaszystym ruchem Idaho wyciągnął nóż z pochwy i rzucił się na niego. Poruszał się szybko, ale Moneo był szybszy – zrobił unik, podciął go i przycisnął twarzą do ziemi. Idaho poczołgał się do przodu, przetoczył i spróbował wstać. Potem jednak zawahał się, zdając sobie sprawę, że właśnie zaatakował Atrydę. Moneo był Atrydą. Szok sprawił, że Idaho znieruchomiał.

Moneo stał bez ruchu, patrząc na niego z osobliwym smutkiem.

– Jeśli zamierzasz mnie zabić, Duncan, wbij mi nóż w plecy – rzekł. – W ten sposób może ci się uda.

Idaho podźwignął się na kolano, ale pozostał w tej pozycji, ściskając w ręce nóż. Moneo poruszał się tak szybko i z taką gracją – tak... tak swobodnie! Idaho odkaszlnął.

– Jak zdołałeś...

– On hodował nas już od dawna, Duncan, wzmacniając na wiele sposobów. Rozwijał w nas szybkość, inteligencję, opanowanie, wrażliwość.

A ty jesteś... jesteś po prostu starszym modelem.



Wiesz, co często mówią partyzanci? Twierdzą, że ich bunty nie są uzależnione od sytuacji ekonomicznej, ponieważ nie mają gospodarki i pasożytują na tych, których chcą pozbawić władzy. Ci głupcy nie potrafią nawet ocenić wartości monety, którą przychodzi im płacić. Ten wzorzec jest nieubłagany w swych degenerujących wadach. Powtarza się w systemach niewolniczych, państwach opiekuńczych, kastowych systemach religijnych czy w socjalistycznych biurokracjach – słowem, we wszystkich systemach, które oparte są na zależności. Jeśli będziesz zbyt długo pasożytniczył na innych, wkrótce nie zdołasz istnieć bez żywiciela.

– *Wykradzione dzienniki*

Cały dzień leżeli w cieniu wydm, zmieniając miejsce wraz ze zmianą położenia słońca. Leto uczył Sionę, jak chronić się przed południowym upałem pod warstwą piasku, który nigdy nie nagrzewał się zbyt mocno pomiędzy wydmami.

Po południu Siona, szukając ciepła, przysunęła się do Leto. Wiedział, że w tych dniach ma tego ciepła nadmiar.

Rozmawiali sporadycznie. On opowiadał jej o Fremenach, którzy niegdyś byli panami tej ziemi. Ona próbowała wydobyć z niego jak najwięcej tajnych informacji.

– Może uznasz to za dziwactwo, ale tutaj właśnie mogę być najbardziej ludzki – rzekł w pewnej chwili.

Mimo tych słów nie zdołał uświadomić Sionie jej bezradności oraz faktu, że może tu zginąć. Nawet kiedy milczała, nie zakładała na twarz maski filtraka.

Leto rozumiał, jaka nieświadoma motywacja się za tym kryje. Zdawał sobie jednak sprawę z bezsensu mówienia jej o tym.

Późnym popołudniem nocny chłód zaczął pomału kłaść się nad ziemią. Leto zabawiał Sionę pieśniami o Długiej Wędrówce, które nie zachowały się w przekazach ustnych. Ucieszył go fakt, że dziewczynie spodobała się jedna z jego ulubionych – *Marsz Lieta*.

– Melodia jest prawdziwie starożytna – rzekł. – Pochodzi ze Starej Terry, z czasów poprzedzających podróże kosmiczne.

– Mógłbyś zaśpiewać ją jeszcze raz?

Wybrał jeden ze swoich najlepszych barytonów, głos dawno zmarłego artysty, który zappełniał wiele sal koncertowych.

*Ściana wspomnień nieminionych
Przed prastarą pustką chroni,
Kiedy wody w ciemnej glinie
Grają śpiewnie,
Szumią gniewnie,
Drżąc w ciałach skał jaskinie.*

Kiedy skończył, Siona milczała jakiś czas.

– Dość dziwna jak na marszową piosenkę – stwierdziła wreszcie.

– Fremeni lubili ją, ponieważ skłaniała do rozmyślań – powiedział Leto.

– Rozmyślań?

– Nim nasi fremeni przodkowie przybyli na tę planetę, noc była porą, gdy snuto opowieści, układano pieśni i poezje. W czasach Diuny jednakże spotkania odbywały się za dnia, w mrokach siczy. Tylko nocą Fremeni mogli wychodzić i poruszać się po okolicy... tak jak my teraz.

– Wspomniałeś o *rozmyślaniach*.

– O co tak naprawdę chodzi w tej pieśni? – spytał.

– Och... to tylko pieśń, nic więcej.

– Siono!

W jego głosie usłyszała gniew i zamilkła.

– Ta planeta jest dzieckiem czerwia – rzekł. – *Ja* jestem czerwem.

– Powiedz mi więc, o czym jest ta pieśń – odparła z niespodziewaną niefrasobliwością.

– Owad nigdy nie uwolni się od ula, tak jak my nie uwolnimy się od naszej przeszłości – powiedział Leto. – Są tam jaskinie i wszystkie wiadomości zapisane w potokach wody.

– Wolę piosenki do tańca – oświadczyła Siona.

Była to nonszalancka odpowiedź, ale Leto potraktował ją jako próbę zmiany tematu. Opowiedział dziewczynie o tańcu weselnym Fremenek, którego kroki wywodziły się z wirowego ruchu demonów piasku. Był dumny, iż przedstawił tak interesującą historię. Dziewczyna słuchała z uwagą, więc doszedł do wniosku, że w wyobraźni widzi wirujące kobiety, ich ruchy i ciemne włosy opadające na martwe od dawna twarze.

Kiedy skończył, było już prawie ciemno.

– Chodź – powiedział. – Ranek i wieczór to wciąż czas, gdy widać jeszcze zarysy rzeczy i postaci. Zobaczymy, kto prócz nas przebywa na pustyni.

Siona weszła za nim na szczyt wydmy i zaczęli obserwować pustynię, na której zapadał zmierzch. Nad ich głowami, zwabiony ruchem, przeleciał tylko jeden ptak. Z jego kształtu i postrzępionych na końcu skrzydeł Leto wywnioskował, że to sęp. Pokazał go Sionie.

– Ale czym one się żywią? – zapytała.

– Padliną i wszystkim, co jest bliskie śmierci.

Poruszyło ją to i uniósłszy głowę, patrzyła, jak ostatnie promienie zachodzącego słońca oświetlają pióra samotnego drapieżcy.

– Niektórzy ludzie wciąż ośmielają się zapuszczać na mój Serir – rzekł Leto z naciskiem. – Czasami zdarza się, że Muzealni Fremeni zbaczają z drogi i się gubią. Tak naprawdę dobrze znają się tylko na rytuałach. A potem na krańcach pustyni znajdują się resztki tego, co pozostawiły tam moje wilki.

Na te słowa Siona odwróciła się gwałtownie od niego. Nie tak szybko jednak, by Leto nie zauważył emocji, które przeżywała. Została wystawiona na ciężką próbę.

– Za dnia pustynia jest mało wdzięcznym miejscem – rzekł Bóg Imperator. – To kolejny powód, dla którego podróżujemy w nocy. Fremenom dzień kojarzył się z tumanami piachu, który zacierał ślady.

Kiedy zwróciła się w jego kierunku, w jej oczach błyszczały łzy, ale twarz nie zdradzała emocji.

– Jakie stworzenia tu teraz mieszkają?

– Sępy, parę nocnych zwierząt, z rzadka pozostałości dawniej występujących tu roślin i stworzenia norujące.

– To wszystko?

– Tak.

– Dlaczego?

– Ponieważ tu się urodziły, a ja nie pozwalałam, by poznały coś lepszego.

Było już prawie ciemno, od czasu do czasu tylko pojawiały się nagle błyszczące światełka, co było charakterystyczne dla tej pory. Leto przyglądał się Sionie w nikłym świetle. Zorientował się, że nie zrozumiała jeszcze, co chciał jej przekazać. Wiedział, że informacja ta zapadnie w nią i będzie ją jątrzyć.

– Zarysy sylwetek – przypomniła mu. – Co spodziewałeś się zobaczyć, wspinając się na tę wydmy?

– Być może widocznych z daleka ludzi. Nigdy nie można być pewnym.
– Jakich ludzi?
– Powiedziałem ci już.
– Gdybyś ujrzał kogoś, co byś zrobił?
– Zwyczajem Fremenów było traktowanie obcych jak wrogów, dopóki nie rzucili w górę garści piasku.

Kiedy wypowiadał te słowa, ciemność opadła na ziemię niczym kurtyna. Siona stała się ciemnym widmem w świetle gwiazd.

– Piasku? – zapytała.
– To istotny gest. Oznacza on: „Dzielimy to samo brzemię. Naszym jedynym wrogiem jest piasek. Pijemy go. Dłoń, która trzyma piasek, nie dzierży broni”. Rozumiesz?

– Nie! – zadrwiła buntowniczo.

– Zrozumiesz – rzekł Leto.

Złość sprawiła, że poczuła przyływ energii. Ruszyła bez słowa grzbietem wydmy. Leto świadomie pozostał z tyłu, z zainteresowaniem stwierdzając, że dziewczyna instynktownie wybrała właściwy kierunek. Najwyraźniej odzywało się w niej fremeńskie dziedzictwo.

Zaczekała na niego tam, gdzie stykały się dwie wydmy. Leto zauważył, że wciąż nie ma na twarzy maski filtraka i że ta zwisa luźno. Było jeszcze za wcześnie, żeby ją za to besztać. Pewne nieuświadomione sprawy musiały się toczyć naturalnym torem.

– Czy idziemy w dobrym kierunku? – spytała, gdy dotarł do niej.

– Jeśli będziesz się go trzymać – odrzekł.

Popatrzyła na gwiazdy. Leto spostrzegł, iż rozpoznała Wskazówki, Fremeńskie Strzały, które prowadziły ich przodków przez tę ziemię. Jej wiedza była jednak czysto intelektualna. Jeszcze nie zaakceptowała swego instynktu.

Leto podniósł przednie segmenty ciała i rozejrzał się. Szli na północ, zbaczając nieco na zachód, szlakiem, który prowadził niegdyś przez grań Habbanja i Grotę Ptaków do ergu pod Nibymurem Zachodnim i dalej, aż ku Wrotom Wiatru. Żadne z tych miejsc nie przetrwało. Wciągnął chłodne powietrze, które miało zapach kamienia i było wilgotniejsze, niż lubił.

Siona podjęła wędrówkę – tym razem szła wolniej, kierując się położeniem gwiazd. Wierzyła w słowa Leto, ale teraz sama była sobie przewodnikiem. On z kolei wyczuwał, że w jej myślach panuje chaos, ale

powoli rodzi się także coś innego. Zaczynała odczuwać to, co było podstawą życia ludzi pustyni: zaufanie i lojalność wobec towarzyszy wędrówki.

„Wiemy – pomyślał Leto – że jeśli ktoś odseparuje się od swych towarzyszy, zagubi się pośród wydm i skał. Samotny podróżnik na pustyni jest martwy. Tylko czerw jest w stanie przeżyć tu w samotności”.

Pozwolił jej znacznie się wyprzedzać, by zgrzyt jego ciała przesuwającego się po piasku zbytnio jej nie rozpraszał. Musiała myśleć o tym, że Leto ma także ludzką stronę. Liczył na jej lojalność. Siona miała nieco zmienny charakter i przepełniał ją tłumiony gniew – była najbardziej zbuntowana ze wszystkich, których kiedykolwiek poddał próbie.

Leto podążał za nią, rozmyślając o swoim planie eugenicznym i o decyzjach, które będzie musiał podjąć, jeśli Sionie nie uda się przetrwać.

Im głębsza zapadała noc, tym Siona bardziej zwalniała. Pierwszy księżyc był wysoko, a drugi wznosił się już nad horyzontem, gdy przystanęła, by odpocząć i się posilić.

Leto był rad z przerwy. Tarcie o piasek obudziło w nim czerwia, powietrze stawało się ciężkie od chemicznych wyziewów, które były efektem procesu przystosowania termicznego. To, co nazywał swoją „tlenową sprężarką”, pracowało bez zakłóceń, sprawiając, że był świadomy, iż działa w nim fabryka protein i aminokwasów, których jego czerwiove „ja” potrzebowało, by doprowadzić do wymiany ludzkich komórek. Pustynia przyspieszała jego ostateczną przemianę.

Siona zatrzymała się tuż przed szczytem wydmy w kształcie gwiazdy.

– To prawda, że żywisz się piaskiem? – zapytała, gdy Leto zbliżył się do niej.

– Tak, to prawda.

Spoglądała na oblany księżycowym blaskiem krajobraz.

– Dlaczego nie wzięliśmy sygnalizatora?

– Pragnąłem, byś nauczyła się czegoś o tym, co posiadasz.

Zwróciła się w jego stronę. Czuł jej oddech na swej twarzy. Suche powietrze sprawiało, że traciła zbyt wiele wilgoci. Nie pamiętała rady Moneo. To będzie gorzka lekcja, nie miał co do tego wątpliwości.

– Nie rozumiem twego postępowania – powiedziała.

– A mimo to zdecydowałaś się postępować w ten sam sposób.

– Czyżby?

– Jak inaczej mogłabyś dać mi coś cennego w zamian za to, co ja daję tobie?

– A co ty mi dajesz? – W jej słowach brzmiała gorycz, wzmocniona odrobiną przyprawą, którą zawierało jej suszone jedzenie.

– Daję ci możliwość przebywania ze mną sam na sam, dzielenia ze mną czasu. Ale ty go marnujesz.

– A co z tym, co niby posiadam?

W jej głosie wyczuł zmęczenie. Traciła zbyt wiele wody.

– Dawni Fremeni byli ludźmi niezwykle praktycznymi – rzekł. – Piękne było to, co było użyteczne. Nigdy nie spotkałem chciwego Fremena.

– Do czego zmierzasz?

– W dawnych czasach na pustynię zabierano tylko niezbędne rzeczy. Twoje życie nie jest wolne od chęci posiadania. Gdyby było inaczej, nie pytałabyś o sygnalizator.

– Dlaczego sygnalizator miałby być nieprzydatny?

– Niczego byś się nie nauczyła.

Ominął ją i ruszył wzdłuż szlaku, który pokazywały Wskazówki.

– Chodź. Zróbmy użytek z tego, że noc jeszcze trwa.

Przyspieszyła, starając się znaleźć obok jego zakapturzonej twarzy.

– Co się stanie, jeżeli nie skorzystam z twojej przeklętej lekcji?

– Prawdopodobnie umrzesz – odparł.

Słowa te sprawiły, że Siona zamilkła. Kroczyła obok Leto, popatrując na niego tylko od czasu do czasu. Ignorowała ciało czerwia, a koncentrowała się na ludzkich fragmentach jego istoty.

– Rybomówne twierdziły, że to ty nakazałeś zawarcie związku, z którego przyszedłem na świat.

– To prawda.

– Mówią, że prowadzisz statystyki i że każesz się łączyć Atrydom dla twoich celów.

– To także prawda.

– A więc przekazy ustne nie kłamią.

– Myślałem, że nie kwestionujesz wiarygodności przekazów.

– A co by było, gdyby któreś z nas sprzeciwiło się związkowi, którego żądasz?

– Zezwalam na daleko idącą swobodę, o ile rodzą się dzieci, które nakazałem spłodzić.

– Nakazałeś? – powtórzyła oburzona.

– To właśnie czynię.

– Nie możesz wpełznąć do każdej sypialni i kontrolować każdej minuty naszego życia! Skąd wiesz, że twe *nakazy* są przestrzegane?

– Wiem.

– Zatem wiesz, że nie mam zamiaru ich słuchać!

– Jesteś spragniona, Siono?

To ją zaskoczyło.

– Co?

– Spragnieni ludzie mówią o wodzie, nie o seksie.

Ciągle nie założyła maski. „Emocje Atrydów zawsze biorą górę nad rozumem” – pomyślał Leto.

W ciągu dwóch godzin zeszli z wydmy na wysmagany wiatrami płaski, kamienisty teren. Siona wciąż kroczyła u boku Leto. Od czasu do czasu zerką na Wskazówki. Oba księżycy znajdowały się nisko nad horyzontem, a głązy oblane ich blaskiem rzucały długie cienie.

Pod kilkoma względami Leto przyjemniej było przemierzać taki teren niż piaski. Lita skała lepiej przewodziła ciepło. Mógł się ocierać o skały, co wspomagało chemiczne procesy w jego ciele. Kamienie czy nawet głązy nie były dla niego przeszkodą.

Sionie z kolei było trudniej. Kilkakrotnie o mało nie skreśliła kostki.

Leto pomyślał, że ta równina nie jest łatwym miejscem dla ludzi, którzy do niej nie przywykli. Jeśli stali na ziemi, widzieli tylko wielką pustkę. Teren ten wyglądał niezwykle, zwłaszcza w świetle księżyca – widoczne w oddali wydmy, które nie zbliżały się, mimo że podróżnik pokonywał trasę, a dalej już nic poza wiatrem, kilkoma skałami i widocznymi w górze bezlitosnymi gwiazdami. To była esencja pustyni.

– To właśnie miejsce, a nie wydmy, sprawiło, że w muzyce Fremenów obecna jest odwieczna samotność – rzekł Bóg Imperator. – Tutaj właśnie możesz się nauczyć, iż raj to dźwięk płynącej wody i ulga od nieustannego wycia wiatru.

Nawet to nie skłoniło Siony do założenia maski. Leto zaczynał popadać w desperację.

Ranek zastał ich daleko na równinie.

Leto zatrzymał się obok trzech wielkich głązów. Jeden z nich był nawet większy od niego. Siona opierała się przez chwilę o jego ciało. Gest ten wzbudził w nim pewne nadzieje. Następnie odepchnęła się i wspięła na najwyższy głąz. Leto obserwował, jak dziewczyna przygląda się krajobrazowi.

Nawet nie patrząc w tamtą stronę, wiedział, co ukaże się oczom Siony: przypominający mgłę tuman piasku, który przesłaniał wschodzące słońce. Poza tym były tylko równina i wiatr.

Chłód pustynnego poranka sprawił, że skała pod Leto była zimna. Chłodne powietrze było znacznie bardziej suche. Bóg Imperator przyjął to z zadowoleniem. Gdyby nie dziewczyna, mógłby już ruszać, ale ona była wyraźnie wyczerpana. Kiedy zeszła ze skały, raz jeszcze oparła się o jego ciało i minęła prawie minuta, nim Leto zorientował się, że Siona uważnie słucha.

– Co słyszysz? – zapytał.

– Coś dudni w tobie – odparła sennie.

– Ogień nigdy kompletnie nie wygasa.

To ją zainteresowało. Opuściła miejsce przy jego boku i obeszła go, by spojrzeć mu w twarz.

– Każde stworzenie ma w sobie ogień, jedni bardziej ospały, inni żywszy. Mój jest gorętszy niż u kogokolwiek.

Siona objęła się, by chronić się przed chłodem.

– Zatem w twoim wnętrzu nie panuje zimno?

– Nie, ale myślę, że ty odczuwasz chłód. – Wsunął głowę w kaptur i wygiął w łuk pierwszy segment. – To prawie jak hamak – powiedział, patrząc w dół. – Jeśli skulisz się, będzie ci cieplej.

Nie ociągając się, przyjęła zaproszenie.

Mimo że spodziewał się, jak się zachowa, jej ufna reakcja była wzruszająca. Musiał walczyć z litością, uczuciem znacznie silniejszym niż to, którego doświadczył, zanim poznał Hwi. Ale tutaj nie było miejsca na współczucie. Wiele wskazywało na to, że Siona tu zginie. Leto musiał przygotować się na rozczarowanie.

Siona przesłoniła twarz ramieniem, zamknęła oczy i zapadła w sen.

„Nikt nie miał tak wielu wczorajszych dni jak ja” – przypomniawszy sobie Leto.

Rozumiał, że z ludzkiego punktu widzenia to, co czynił tutaj, wydawać się mogło okrutne i bezduszne. Aby się wzmocnić, zmuszony był wycofać się do swych wspomnień, celowo wybierając *błędy naszej wspólnej przeszłości*. Jego siła polegała na tym, że bezpośrednio poznawał ludzkie słabości. Wiedza o nich nauczyła go czynienia długofalowych korekt. Musiał być również świadomy konsekwencji. Jeśli o nich nie mówiono i nie wyciągano z nich wniosków, lekcje szły na marne.

Im bardziej jednak stawał się czerwem, tym trudniej było mu podejmować decyzje, które inni nazywali niehumanicznymi. Kiedyś robił to z łatwością. Im mniej było w nim z człowieka, tym więcej ogarniało go typowo ludzkich wątpliwości.



W kołysce naszej przeszłości leżałem na wznak w jaskini tak płytkiej, że nie mogłem w niej nawet pęzać, a jedynie nieznacznie się poruszać. Tam, przy migocącym świetle żywicowej pochodni, rysowałem na ścianach i sklepieniu zwierzęta i dusze mego ludu. Jak wspaniale jest patrzeć przez narysowane przeze mnie koło na pradawne wysiłki uchwycenia istoty duszy. Wieczność krzyczy: „Oto jestem!” Mając wiedzę, wzbogaconą przez wielkich artystów późniejszych epok, patrzę na odciski dłoni i rysunki wykonane węglem drzewnym i roślinnymi barwnikami. Jesteśmy czymś nieskończenie więcej niż tylko mechanicznymi wydarzeniami! A moje społeczne „ja” domaga się odpowiedzi na pytanie: „Dlaczego oni nie chcą opuścić jaskini?”

– Wykradzione dzienniki

Zaproszenie do pracowni Moneo dotarło do Idaho późnym popołudniem. Cały dzień spędził w hamaku w swej kwaterze, rozmyślając. Każda jego myśl biegła ku chwili, w której Moneo z łatwością go powalił.

„Jesteś po prostu starszym modelem”.

Im intensywniej o tym wszystkim myślał, tym bardziej czuł się poniżony. Czuł, że traci chęć do życia, a gniew wypala się, pozostawiając zgliszcza.

„Jestem źródłem użytecznej spermy, niczym więcej” – skonstatował.

Sprawiło to, że nawiedzały go albo myśli o śmierci, albo o hedonistycznym używaniu życia. Wydawało mu się, że o wszystkim decyduje przypadek, a zewsząd czyhają na niego wrogie siły.

Młoda wysłanniczka w schludnym błękitnym mundurze była kolejnym powodem irytacji. Zapukała i weszła, usłyszawszy wydane cicho pozwolenie. Zatrzymała się w łukowatym przejściu do pokoju, oceniając nastrój Idaho.

„Jak szybko rozchodzą się wieści!” – pomyślał.

Przyjrzał się dziewczynie. Zdawała się uosobieniem rybomównych – bardziej zmysłowa od innych, ale nieemanująca rażącą seksualnością. Błękitny mundur nie zdołał ukryć zgrabnych ud i kształtnych piersi. Spojrzał na jej figlarną twarz z grzywką jasnych włosów, typową fryzurą akolitek.

– Moneo przysłał mnie, bym spytała, czy zechcesz go odwiedzić w jego pracowni – oznajmiła.

Idaho widział tę pracownię już kilkanaście razy, ale najbardziej wryła mu się w pamięć pierwsza wizyta. Przekraczając próg, wiedział, że to tu Moneo spędza większość czasu. W pokoju znajdował się stół z brązowego drewna, ozdobiony pięknymi złotymi słojami. Miał dwa metry na metr i krótkie, grube nogi. Dookoła leżały szare poduszki. Idaho uderzyło, że stół jest wyjątkowo kosztowny i piękny i stanowi główną ozdobę pomieszczenia. On właśnie i poduszki – tego samego koloru co podłoga, ściany i sufit – były jedynym wyposażeniem.

Biorąc pod uwagę, iż Moneo wiele znaczył, jego gabinet był mały – miał nie więcej niż pięć na cztery metry – choć wysoki. Na krótszych ścianach widniały naprzeciwko siebie dwa wąskie, oszklone, usytuowane wysoko okna. Jedno z nich wychodziło na północno-zachodni kraniec Seriru i na zielony skraj Zakazanego Lasu, z drugiego można było zobaczyć wydmy na południowym wschodzie.

„Kontrast”.

Stół przydał pierwotnej myśli interesującego akcentu. Znajdujące się na nim przedmioty udatnie oddawały znaczenie słowa „rozgardiasz”. W poprzek leżały cienkie rulony krystalicznego papieru, spod którego ledwie wyzierał blat. Na niektórych rulonach widać było staranny druk. Idaho rozpoznał słowa w galachu i w czterech innych językach, w tym w rzadkim narzeczu perth. Na kilkunastu kartkach widniały szkice planów, a na kilku innych wyraziste zawijasy charakterystyczne dla stylu Bene Gesserit. Jednak najbardziej interesujące były cztery metrowe, zrolowane tuby – trójwymiarowe wydruki z nielegalnego komputera. Idaho przypuszczał, że za panelem na jednej ze ścian kryje się terminal.

Młoda wysłanniczka Moneo lekko odkasznęła, chcąc wyrwać Idaho z zamyślenia.

Idaho spojrzał na nią.

– Chciałabyś, abym cię zapłodnił? – spytał.

– Komendancie! – Była wyraźnie zaszokowana nie tyle jego propozycją, ile wtrąceniem *non sequitur*.

– Aach tak – rzekł. – Moneo. Co mu odpowiemy?

– On czeka, komendancie.

– A czy w ogóle jest sens odpowiadać? – zapytał Idaho.

– Moneo rozkazał, abym cię poinformowała, że chce naradzić się z tobą i panią Hwi.

Duncan zdradził lekkie zainteresowanie.

– Hwi jest z nim?

– Została wezwana, komendancie. – Dziewczyna odkaslnęła raz jeszcze.

– Czy komendant życzy sobie, żebym odwiedziła go późnym wieczorem?

– Nie. Ale tak czy inaczej, dziękuję. Zmieniłem zdanie.

Idaho pomyślał, że dobrze ukryła rozczarowanie, jednak jej ton stał się nagle formalny.

– Czy mam odpowiedzieć, że udasz się do Moneo?

– Tak. – Odprowadził ją ruchem ręki.

Kiedy odeszła, Duncan zastanawiał się, czy po prostu nie zlekceważyć wezwania. Jednak ciekawość brała górę. Moneo chciał z nim mówić w obecności Hwi? Dlaczego? Idaho przełknął ślinę. Kiedy myślał o Hwi, pustka w jego piersi stawała się szczególnie dotkliwa. Nie mógł tego zignorować. Jakaś potężna siła wiązała go z Hwi.

Wstał, czując, że ma zeszytywniałe mięśnie. Ciekawość i owa tajemna siła zmusiły go do działania. Wyszedł na korytarz, zignorował ciekawskie spojrzenia mijanych strażniczek i podążył, wiedziony wewnętrznym impulsem, do pracowni Moneo.

Kiedy wszedł do pokoju, Hwi już tam była. Siedziała naprzeciwko Moneo przy zarzuconym papierami stole. Stopy w czerwonych trzewikach podwinęła obok szarej poduszki, na której usiadła. Idaho zauważył tylko, że ma na sobie długą brązową szatę przewiazaną plecionym zielonym pasem. Potem Hwi się odwróciła i nie widział już nic poza jej twarzą. Bezgłośnie wymówiła jego imię.

„Nawet ona już słyszała” – pomyślał.

Ciekawa rzecz, ale ta myśl dodała mu sił. Wszystko, co stało się tego dnia, przybrało w jego umyśle nowy kształt.

– Usiądź proszę, Duncan – powiedział Moneo i wskazał poduszkę obok Hwi. Mówił niezwykłym, lekko niepewnym tonem, czego świadkami poza Leto było dotychczas tylko kilka osób. Moneo wpatrywał się w zarzucony papierami stół. Popołudniowe słońce oświeślało przycisk do papieru w kształcie fantazyjnego drzewa o owocach z kamieni szlachetnych, które stało na szczycie góry z kryształu. Przycisk rzucał na rozgardiasz na stole pająkowaty cień.

Hwi obserwowała Duncana, dopóki nie usiadł na wskazanej poduszce. Potem popatrzyła na Moneo. Idaho pomyślał, że w jej spojrzeniu czai się gniew. Gładki, biały mundur marszałka był rozpięty pod szyją i ukazywał jego pomarszczoną skórę. Idaho spojrzał mu w oczy, skłaniając starca do rozpoczęcia rozmowy.

Moneo odwzajemnił spojrzenie, zauważając, że Idaho wciąż ma na sobie czarny mundur, który nosił podczas ich ранego spotkania. Na dole widniała nawet plama, pamiątka kontaktu z podłogą. Ale Idaho nie miał już przy sobie noża Atrydów. To zaniepokoiło Moneo.

– To, co uczyniłem dzisiejszego ranka, było niewybaczalne – rzekł marszałek dworu. – Nie proszę jednak, byś mi wybaczył. Proszę, byś spróbował zrozumieć.

Idaho zauważył, że Hwi nie wydaje się zaskoczona początkiem rozmowy. Wskazywało to, o czym dyskutowano przed jego przybyciem.

Idaho milczał.

– Nie miałem prawa cię poniżyć – dodał Moneo.

Idaho stwierdził, że słowa i zachowanie Moneo dziwnie na niego wpływają. Wciąż czuł się wymanewrowany i zdeklasowany, niepasujący do czasów, w których przyszło mu żyć, ale przestał już podejrzewać, że marszałek się nim bawi. Coś sprawiło, że wydawał się szczery. Świadomość tego powodowała, że wszechświat Leto, śmiertelnośny erotyzm rybomównych, niezaprzeczalna szczerość Hwi – *wszystko* – zyskiwało nowe powiązania, nową formę, którą Idaho zaczynał rozumieć. Zupełnie, jakby ich troje było ostatnimi ludźmi w całym wszechświecie.

– Miałeś prawo się bronić, gdy cię zaatakowałem – rzekł z pewną skruchą. – Jestem rad, że byłeś tak zręczny.

Idaho zwrócił się ku Hwi, zanim jednak powiedział cokolwiek, Moneo rzekł:

– Nie musisz się za mną wstawiać. Myślę, że jej gniew raczej nie stopnieje.

Idaho potrząsnął głową.

– Czy wszyscy tutaj wiedzą, co mam zamiar powiedzieć, zanim to powiem, i jakie są moje uczucia, zanim cokolwiek pocuję?

– To jedna z twoich godnych pochwały cech – rzekł Moneo. – Nie ukrywasz swoich uczuć. My – wzruszył ramionami – musimy być bardziej rozważni.

Idaho popatrzył na Hwi.

– Czy on mówi w twoim imieniu?

Ujęła go za rękę.

– Mówię sama za siebie.

Moneo wyciągnął szyję, by popatrzeć na ich splecione ręce, a potem opadł na poduszki. Westchnął.

– Nie wolno wam.

Idaho mocniej ścisnął dłoń Hwi i poczuł, że dziewczyna odpowiada mu tym samym.

– Zanim zapytacie – powiedział marszałek – moja córka i Bóg Imperator nie wrócili jeszcze z próby.

Idaho wyczuł, że Moneo stara się zachować spokój. Hwi też to czuła.

– Czy prawdą jest to, co mówią rybomówne? – spytała. – Siona zginie, jeśli zawiedzie?

Moneo milczał z kamienną twarzą.

– Czy to próba na wzór Bene Gesserit? – spytał Idaho. – Muad'Dib mówił, że zgromadzenie przeprowadza próby, chcąc sprawdzić, czy rzeczywiście jest się człowiekiem.

Dłoń Hwi zadrżała. Idaho poczuł to i popatrzył na Ixankę.

– Ty też przechodziłaś tę próbę?

– Nie – odparła – ale słyszałam, jak młode kobiety o tym opowiadały. Mówiły, że trzeba przetrwać męczarnię, nie tracąc poczucia własnego „ja”.

Idaho zwrócił się ku Moneo. Zauważył, że jego lewa powieka zaczęła drgać.

– Moneo – rzekł, uświadomiwszy to sobie nagle – on cię poddał próbie!

– Nie chcę o tym mówić – powiedział marszałek. – Jesteśmy tu, by podjąć decyzje dotyczące was dwojga.

– Czy to nie nasza sprawa? – zapytał Idaho. Czuł, że ręka Hwi staje się mokra od potu.

– Wszystko zależy od Boga Imperatora – odrzekł Moneo.

– Nawet jeśli Sionie się nie uda?

– Zwłaszcza wtedy!

– Na czym polegała twoja próba?

– Dał mi przez chwilę odczuć, co to znaczy być Bogiem Imperatorem.

– I co?

– Zobaczyłem tyle, ile byłem w stanie znieść.

Dłoń Hwi zacisnęła się gwałtownie w dłoni Idaho.

– A więc to prawda, że kiedyś byłeś buntownikiem – rzekł Duncan.

– Zacząłem od miłości i modlitwy – powiedział Moneo. – Potem zwróciłem się ku złości i buntowi. W końcu zostałem przemieniony w tego, kogo widzicie. Uznaję swoje obowiązki i wypełniam je.

– Co takiego zrobił z tobą Bóg Imperator? – dopytywał się Idaho.

– Zacytował mi modlitwę z czasów mego dzieciństwa: „Moje życie poświęcam ku większej chwale Boga” – rzekł zamyślony marszałek.

Idaho czuł, że Hwi siedzi bez ruchu, utkwivszy wzrok w Moneo. O czym myślała?

– Przyznałem, że to była moja modlitwa – rzekł Moneo. – A Bóg Imperator zapytał, co oddałbym, gdyby nie wystarczyło poświęcić życia. Krzyknął: „Czym jest twoje życie, jeśli nie chcesz poświęcić większego daru?!”

Hwi skinęła głową. Idaho czuł się zdezorientowany.

– Wiedziałem, że nie kłamię – powiedział Moneo.

– Masz zmysł prawdy? – zapytała Hwi.

– W chwilach szczególnie trudnych, tak – rzekł Moneo. – Ale tylko wtedy. Przysięgam, Leto mówił wówczas prawdę.

– Niektórzy Atrydzi umieli wykorzystywać Głos – wymamrotał Idaho.

Moneo pokręcił głową.

– Nie, to była prawda. Leto powiedział mi: „Spoglądam teraz na ciebie i gdybym umiał ronić łzy, zrobiłbym to. Chęć jest równa czynowi!”

Hwi pochyliła się do przodu, prawie dotykając stołu.

– On nie umie płakać?

– Czerwie – wyszeptał Idaho.

– Co? – Odwróciła się ku niemu.

– Fremeni zabijali czerwie, używając wody. Z utopionych pozyskiwali esencję przyprawową niezbędną do religijnych orgii.

– Ale Pan Leto nie jest jeszcze całkowicie czerwim – powiedział Moneo.

Idaho przygryzł wargę, rozmyślając. Czy Leto, tak samo jak Fremeni, bał się łez? Jak bardzo obawiali się utraty wilgoci! *Oddawania wody umarłym.*

Moneo zwrócił się do Idaho.

– Mam nadzieję, że zaczynasz rozumieć. Pan Leto podjął decyzję. Ty i Hwi musicie się rozstać i nigdy więcej nie widywać.

Hwi wysunęła dłoń z ręki Idaho.

– Wiemy.

– Znamy jego potęgę – rzekł Duncan głosem pełnym rezygnacji i goryczy.

– Ale go nie rozumiecie – powiedział Moneo.

– Nie chcę niczego ponad to – rzekła Hwi. Położyła rękę na ramieniu Idaho, chcąc go uspokoić. – Nie, Duncan, na nasze chęci nie ma tu miejsca.

– Może powinnaś się do niego *pomodlić* – rzekł Idaho.

Obróciła się i spojrzała na niego. Patrzyła tak długo, aż opuścił wzrok. Kiedy przemówiła, w jej głosie pobrzmiwał zaśpiew, którego Idaho wcześniej nie słyszał.

– Mój wuj Malki mówił zawsze, że Pan Leto nigdy nie odpowiadał na modły. Twierdził, że Pan Leto traktował modlitwę jako próbę wymuszenia, rodzaj przemocy wobec Boga, mówienie nieśmiertelnemu, co ma czynić: „Ześlij mi cud, Boże, albo zwątpię w ciebie!”

– Modlitwa jako *pycha* – powiedział Moneo. – Wtrącanie się w wolę Boga.

– Jak to możliwe, że on jest Bogiem? – zapytał Idaho. – Przecież sam przyznaje, że nie jest nieśmiertelny.

– W tej sprawie zacytuję Pana Leto – rzekł marszałek. – „Jestem jedynym Bogiem, którego musicie widzieć. Jestem słowem, które stało się cudem. Jestem wszystkimi moimi przodkami. Czy to nie wystarczający cud? Czego więcej możecie jeszcze chcieć? Zapytajcie samych siebie: Gdzież jest większy cud?”

– Puste słowa – zadrwił Idaho.

– Ja także z niego szydziłem – rzekł Moneo. – Rzuciłem mu w twarz jego słowa z przekazów ustnych: „Działaj ku większej chwale Boga!”

Hwi westchnęła.

– Śmiał się ze mnie – ciągnął Moneo. – Śmiał się, a potem zapytał, jak mogę dawać coś, co należy do Boga.

– Byłeś zły?

– O, tak. On to dostrzegł i powiedział, że da mi wskazówki, jak przyczyniać się do tej chwały. Rzekł: „Możesz zauważyć, iż jesteś równie wielkim cudem jak ja”. – Obrócił się i wyjrzał przez okno po lewej. – Obawiam się, że złość uczyniła mnie kompletnie głuchym i byłem całkowicie nieprzygotowany.

– Oooch, on jest sprytny – powiedział Idaho.

– Sprytny? – Moneo popatrzył na niego. – Nie sędzę. Nie w sposób, o jakim myślisz. Uważam, że w tej dziedzinie Pan Leto nie jest sprytniejszy ode mnie.

– Nieprzygotowany na co? – zapytała Hwi.

– Na ryzyko – odparł marszałek.

– Ale ryzykowałeś wiele swoją złością – powiedziała.
– Nie tak wiele jak on. Widzę po twoich oczach Hwi, że to rozumiesz.
Czy jego ciało jest dla ciebie odpychające?
– Już nie – odrzekła.
Idaho zacisnął zęby, sfrustrowany.
– Mnie on brzydzi!
– Kochany, nie wolno ci mówić takich rzeczy – powiedziała Hwi.
– A tobie nazywać go kochanym – rzekł Moneo.
– Wolałbyś, żeby się nauczyła kochać kogoś tak ohydneho i zdeprawowanego, że baron Harkonnen to przy nim niewiniątko – powiedział Idaho.
Moneo wydał usta.
– Pan Leto opowiadał mi o tym złym człowieku z twoich czasów, Duncan. Myślę, że nie rozumiałeś swego wroga.
– Był grubym, potwornym...
– Był poszukiwaczem doznań – stwierdził Moneo. – Otyłość była skutkiem ubocznym, potem zaś stała się doznaniem samym w sobie, bo była czymś obraźliwym, a on uwielbiał obrażać innych.
– Baron zagarnął tylko kilka planet – rzekł Idaho. – Leto zagarnął cały wszechświat.
– Kochany, proszę! – zaprotestowała Hwi.
– Pozwól mu wyrazić swój gniew – powiedział Moneo. – Kiedy byłem młody i mało świadomy, tak jak moja Siona czy ten biedny głupiec, mówiłem podobne rzeczy.
– Czy dlatego pozwoliłeś, by twa córka wzięła udział w próbie i zginęła? – zapytał Idaho.
– Kochany, to okrutne – powiedziała Hwi.
– Duncan, jedną z twoich wad zawsze była skłonność do histeryzowania – rzekł Moneo. – Ostrzegam cię, że twa ignorancja może się przerodzić w histerię. Twoje geny sprawiają, że masz dużo wigoru i możesz pociągnąć za sobą niektóre rybomówne, ale kiepski z ciebie przywódca.
– Nie próbuj mnie rozgniewać – odparł Idaho. – Wiem, że nie ma sensu cię atakować, ale nie doprowadzaj mnie do ostateczności.
Hwi chciała wziąć go za rękę, ale się wyrwał.
– Znam swoje miejsce – powiedział. – Dobrze mieć mnie po swojej stronie. Mogę nieść sztandar Atrydów. Zieleń i czerń są moimi barwami!

– Ludzie, którzy nie mają zasług, utrzymują się przy władzy, szerząc histerię – rzekł Moneo. – Atrydzi posiedli sztukę rządzenia bez hysterii, sztukę odpowiedzialności za sprawowanie władzy.

Idaho poderwał się na nogi.

– Kiedyż to twój przeklęty Bóg Imperator był odpowiedzialny za cokolwiek?!

Moneo popatrzył na zawalony papierami stół i rzekł, nie podnosząc wzroku:

– On odpowiada za to, co zrobił sobie. – Kiedy wreszcie uniósł wzrok, jego oczy były lodowate. – Nie masz dość ikry, Duncan, by dowiedzieć się, dlaczego tak postąpił!

– A ty masz? – zapytał Duncan.

– W chwili mego największego gniewu – zaczął Moneo – on widział siebie moimi oczyma i powiedział: „Jak śmiesz obrażać się na mnie?!” A potem – przełknął ślinę – pozwolił mi spojrzeć w koszmar... który widział. – W oczach marszałka pojawiły się łzy i spłynęły po jego policzkach. – Byłem szczęśliwy, że nie muszę być na jego miejscu i podejmować decyzji... że mogę się cieszyć z tego, że jestem jego sługą.

– Dotknęłam go – wyszeptała Hwi.

– A więc wiesz? – zapytał Moneo.

– Chociaż nie widziałam, wiem – odrzekła.

– O mało wówczas nie umarłem – powiedział cicho Moneo. – Ja... – Wzruszył ramionami i podniósł wzrok na gholę. – Nie wolno ci...

– Do cholery z wami wszystkimi! – warknął Idaho i wybiegł z pokoju.

Hwi patrzyła za nim, a na jej twarzy malował się ból.

– Oooch, Duncan – wyszeptała.

– Widzisz? – odezwał się Moneo. – Myliłaś się. Ani ty, ani rybomówne nie zdołałyście go ułagodzić. Ale ty, Hwi, przyczyniłaś się tylko do jego upadku.

Ixanka nie kryła udręki.

– Nie spotkam się już z nim – powiedziała.

Dla Idaho droga powrotna była jednym z najtrudniejszych doświadczeń w życiu. Próbował sobie wyobrazić swą twarz jako maskę z plastali, która ukryje jego wzburzenie. Żadna z mijanych strażniczek nie powinna widzieć jego bólu. Nie wiedział jednak, że większość z nich domyśla się powodów jego zdenerwowania i współczuje mu. Wszystkie czytały sprawozdania dotyczące Duncanów i nauczyły się rozpoznawać ich zachowania.

W korytarzu, nieopodal swojej kwatery, natknął się na idącą wolno w jego kierunku Naylę. Coś w wyrazie jej twarzy – niezdecydowanie i poczucie przegranej – sprawiło, że zatrzymał się na chwilę, lekko wytrącony z równowagi.

– Przyjaciółka? – powiedział, kiedy znaleźli się kilka kroków od siebie.

Popatrzyła na niego, a na jej kwadratowej twarzy pojawił się nagły błysk rozpoznania.

„Jak dziwnie wygląda ta kobieta” – pomyślał Idaho.

– Nie jestem już Przyjaciółką – odrzekła i minęła go.

Idaho obrócił się na pięcie i wpatrywał w jej plecy – masywne ramiona, umięśnione barki.

„W jakim celu została splodzona?” – zastanowił się.

Była to jednak przelotna myśl. Jego zmartwienia powróciły silniejsze niż dotychczas. Ruszył ku drzwiom, a potem wszedł do swej kwatery.

Przez chwilę stał z zaciśniętymi pięściami.

„Nie jestem związany z *żadnym* czasem” – stwierdził. Było to dziwne, ale myśl ta wcale nie przyniosła wyzwolenia. Wiedział jednakże, że zrobił coś, dzięki czemu Hwi wyzwoli się z miłości do niego. Został pomniejszony. Wkrótce Hwi będzie postrzegać go jako małego, kapryśnego głupca, który ulega własnym emocjom. Czuł, że wkrótce przestanie o nim myśleć.

„I ten nieszcześny Moneo!”

Idaho wyczuwał, co uformowało potulnego marszałka dworu. *Obowiązek i odpowiedzialność*. Cóż za bezpieczny azyl dla tych, którzy musieli podejmować trudne decyzje.

„Ja też kiedyś taki byłem – pomyślał. – Ale to było w innym życiu, w innym czasie”.



Duncanowie pytają niekiedy, czy rozumiem oryginalne idee naszej przeszłości. A jeśli rozumiem, dlaczego ich nie wytłumaczę. Wiedza, jak wierzą, kryje się tylko w szczegółach. Próbuje im przekazać, że słowa są plastyczne. Wyobrażenia słowne zaczynają się wypaczać w momencie ich wypowiedzienia. Idee silnie związane z językiem muszą być wyrażane w tym języku. To jest właśnie istota słowa „oryginalne”. Widzicie, jak zaczyna się wypaczanie? Tłumaczenie wije się w obliczu oryginalności. Narzuca się tu skojarzenie z galachem, którym mówię. Jest to zewnętrzny szkielet odniesień,

szczególny system. We wszystkich systemach zaś kryją się niebezpieczeństwa. Zawierają one niesprawdzalne wierzenia ich twórców. Jeśli przyjmiesz system i zaakceptujesz jego wierzenia, pomożesz wzmocnić jego odporność na zmiany. Czy więc ma jakiś sens tłumaczenie Duncanom, że pewnych spraw nie da się wyrazić w żadnym języku? Aaach! Ale Duncanowie wierzą, że wszystkie języki są moje.

– *Wykradzione dzienniki*

Przez dwie doby Siona nie zakładała maski, tracąc z każdym oddechem cenną wodę. Słowa ojca przypomniały jej się dopiero, gdy usłyszała upomnienie, które Fremeni kierowali do dzieci. Leto przemówił do niej w końcu trzeciego, chłodnego ranka ich wędrówki. Zatrzymali się na płaskiej, nieosłoniętej części ergu, na które to miejsce rzucała cień pobliska skała.

– Chronь każdy oddech, gdyż niesie on ciepło i wilgoć twego przetrwania – rzekł.

Wiedział, że nim dotrą do wody, będą na pustyni jeszcze trzy dni i trzy noce. Odkąd opuścili Małą Cytadelę, minęło pięć dni. Nocą doszli do niewielkich wzgórków piasku – nie były to wydmy, choć te mogli zobaczyć przed sobą, podobnie jak pozostałości grani Habbanja, które były cienką, nierównomierną, widoczną z daleką linią... jeśli wiedziało się, gdzie patrzeć. Teraz Siona zdejmowała maskę filtraka tylko wówczas, gdy chciała coś wyraźniej powiedzieć. Jej wargi były popękane i krwawiły.

„Jest straszliwie spragniona – myślał Leto, przyglądając się krajobrazowi. – Wkrótce osiągnie punkt krytyczny”. Zmysły mówiły mu, że wciąż są sami na granicy równiny. Wkrótce miał nastać świt. Delikatne promienie wschodzącego słońca odbijały się od pyłu wznoszącego się i opadającego w podmuchach wiatru. Zmysły Leto oddzieliły wycie wiatru od innych odgłosów: ciężkiego oddechu Siony, osypywania się piasku z pobliskich skał, skrzypienia piasku, po którym przesuwano się jego cielsko.

Siona zdjęła maskę, trzymała ją jednak w pogotowiu, by szybko z powrotem nałożyć.

– Jak długo jeszcze, nim dotrzemy do wody?

– Trzy noce.

– Jest jakiś lepszy kierunek, który powinniśmy obrać?

– Nie.

Siona zaczęła doceniać fremeńską oszczędność w udzielaniu ważnych informacji. Chciwie wypila kilka kropel wody z kieszeni łownej.

Leto rozpoznał mowę jej ciała – była podobna do gestów Fremenów *in extremis*. Siona rozumiała teraz dokładnie doświadczenie jej przodków

zwane *patiyeh* – pragnieniem na granicy śmierci.

Krople z kieszeni łownej zostały wypite. Leto usłyszał, jak Siona zasysa powietrze. Nałożyła maskę.

– Nie przetrwam próby, prawda? – zapytała stłumionym głosem.

Leto popatrzył jej w oczy. Widział klarowność myśli, którą sprowadzała bliskość śmierci, przenikliwą świadomość, która w innym przypadku byłaby nieosiągalna. Wzmacniała to wszystko, co było niezbędne do przetrwania. Tak, Siona postępowała ku *tedah riagrimi*, agonii otwierającej umysł. Wkrótce będzie musiała podjąć ostateczną decyzję, o której sądzi, że już została podjęta. Dzięki oznakom Leto orientował się, że powinien traktować Sionę z maksymalną delikatnością. Powinien szczerze odpowiadać na wszystkie pytania, gdyż w każdym z nich czaił się osąd.

– Mam szansę? – zapytała Siona ponownie.

W jej desperacji wciąż krył się cień nadziei.

– Nic nie jest pewne – odrzekł.

To wprawiło ją w rozpacz.

Leto nie planował tego, wiedział jednak, że taka sytuacja często się zdarza – dokładna, choć nieco dwuznaczna odpowiedź była traktowana jako potwierdzenie wszystkich najgorszych obaw.

Siona westchnęła.

Jej stłumiony przez maskę głos zabrzmiał raz jeszcze.

– Miałaś jakiś specjalny cel w tym, że zostałam splodzona.

To nie było pytanie.

– Wszyscy ludzie mają jakieś plany – odparł.

– Ale ty pragnęłaś mojej pełnej zgody.

– To prawda.

– Jak mogłaś tego pragnąć, skoro wiesz, że wszystkiego w tobie nienawidzę? Bądź ze mną szczerzy!

– Trzema filarami trójnoga zgody są pragnienie, dane i wątpliwości. Dokładność i szczerłość nie mają z tym wiele wspólnego.

– Proszę, nie kłóć się ze mną. Wiesz, że umieram.

– Zbyt cię szanuję, by się z tobą kłócić.

Leto powoli uniósł przednie segmenty ciała, sprawdzając wiatr. Zaczynało się już czuć spiekotę dnia, jednak w powietrzu było zbyt wiele wilgoci, by Leto mógł się czuć dobrze. Przypomniało mu się, że im bardziej kontrolował pogodę, tym więcej czynników wymagało kontroli. Pragnienie absolutów jedynie przybliżało go do nieskończoności.

– Twierdzisz, że nie pragniesz klótni, ale...

– Spór stępią wrażliwość zmysłów – rzekł, opuszczając swe cielsko na ziemię. – Zawsze jest przykrywką dla okrucieństwa. Jeżeli trwa zbyt długo, niezmiennie wiedzie ku okrucieństwu. A ja nie mam wobec ciebie okrutnych zamiarów.

– Co masz na myśli, mówiąc o pragnieniu, danych i wątpliwościach?

– Pragnienie zbliża osoby próbujące dojść do porozumienia. Dane wyznaczają granice ich dialogu. Wątpliwości pozwalają formułować pytania.

Siona przysunęła się, by móc patrzeć w jego twarz z odległości mniejszej niż metr.

„Jakież to dziwne – pomyślał – że nienawiść może tak bardzo mieszać się z nadzieją, strachem i podziwem”.

– Mógłbyś mnie ocalić?

– Jest na to sposób.

Skinęła głową, a on już wiedział, że wyciągnęła błędny wniosek.

– Chcesz kupić moją zgodę!

– Nie.

– Jeśli pomyślnie przejdę twoją próbę...

– To nie jest moja próba.

– Zatem czyja?

– Pochodzi od naszych wspólnych przodków.

Siona przysiadła na chłodnej skale i milczała. Wciąż jeszcze nie była gotowa poprosić Leto, aby pozwolił jej odpocząć w ciepłym wgłębieniu swego przedniego segmentu. Leto pomyślał, że niemal słyszy słaby krzyk czający się w jej gardle. Zaczynały ogarniać ją wątpliwości. Zaczęła się zastanawiać, czy on naprawdę odpowiada jej wyobrażeniu skończonego tyrana. Popatrzyła na niego z tą straszną świadomością sytuacji, którą u niej odkrył.

– Co sprawia, że postępujesz w taki, a nie inny sposób?

Pytanie było właściwie sformułowane.

– Pragnienie ocalenia ludzi – odparł.

– Jakich ludzi?

– Moja definicja jest szersza od czyjejkolwiek innej... nawet Bene Gesserit, które sądzą, iż zdefiniowały, co to znaczy być człowiekiem. Odnoszę się do odwiecznej nici człowieczeństwa, którą można odszukać we wszystkich formułach.

– Próbujesz mi powiedzieć... – Jej usta były już zbyt wyschnięte, by mogła mówić. Starła się zebrać ślinę. Leto ujrzał ruch pod maską. Pytanie było oczywiste, nie zwlekał więc z odpowiedzią.

– Gdyby nie ja, nie byłoby już żadnych ludzi, żadnych. A droga ku zagładzie byłaby straszliwsza niż wszystko, co mogłabyś sobie wyobrazić.

– Twoje *rzekome* wizje przyszłości – zakpiła.

– Złoty Szlak wciąż stoi otworem – odrzekł.

– Nie wierzę ci!

– Ponieważ nie jesteśmy równi?

– Tak!

– Ale jesteśmy od siebie zależni.

– Czego chcesz ode mnie?

„Aaach, krzyk młodości niepewnej swego miejsca”. Sekretne więzi zależności sprawiły, iż Leto poczuł się silniejszy i zmusił się, by być twardym. „Zależność pociąga za sobą słabość!”

– Ty jesteś Złotym Szlakiem – powiedział.

– Ja? – prawie wyszeptała.

– Czytałaś dzienniki, które mi wykradłaś – rzekł. – Ja tam jestem, ale gdzie ty jesteś? Popatrz, co stworzyłem, Siono. A ty, ty nie możesz stworzyć niczego poza samą sobą.

– To tylko kolejne podstępne słowa!

– Nie cierpię z powodu tego, że oddaje mi się cześć. Cierpię, gdyż jestem niedoceniany. Prawdopodobnie... Nie, nie śmiem mieć nadziei co do ciebie.

– Jaki był cel powstania dzienników?

– Rejestruje je ixańska maszyna. Pewnego dnia mają być odnalezione. Skłonią ludzi do refleksji.

– Ixańska maszyna? Naruszasz postanowienia džihadu!

– W tym również jest nauka. Co naprawdę robią takie maszyny? Zwiększają liczbę rzeczy, które wykonujemy bezmyślnie. A właśnie te rzeczy są prawdziwym niebezpieczeństwem. Pomyśl, jak długo szłaś przez pustynię, nie nakładając maski.

– Mogłeś mnie ostrzec!

– I zwiększyć twą zależność.

Wpatrywała się w niego przez chwilę.

– Dlaczego chciałeś, żebym dowodziła rybomównymi?

– Jesteś Atrydką, zaradną i zdolną do samodzielnego myślenia. Potrafisz być prawdomówna ze względu na to, w jaki sposób postrzegasz prawdę.

Przyszłaś na świat i zostałam wychowana, by dowodzić... a to oznacza wolność od zależności.

Wiatr zakręcił wokół nich pyłem i piaskiem. Siona ważyła słowa Leto.

– Jeżeli się zgodzę, ocalisz mnie?

– Nie.

Była tak pewna innej odpowiedzi, że musiała minąć chwila, nim w pełni pojęła sens tego słowa. Tymczasem wiatr stracił nieco na sile, odsłaniając widok na resztki grani Habbanja. Powietrze stało się zimne. Chłód ten w takim samym stopniu jak upał pozbawiał ciała wilgoci. Jakaś część świadomości Leto zarejestrowała wahanie kontroli pogody.

– Nie? – Była zarówno zdumiona, jak i oburzona.

– Nie prowadzę krwawych targów z ludźmi, którym muszę ufać.

Pokręciła powoli głową, lecz jej wzrok wciąż utkwiony był w Leto.

– Co sprawiłoby, że zechciałbyś mnie uratować?

– Nic nie może tego sprawić. Dlaczego sądzisz, że mogłabyś uczynić dla mnie coś, czego ja nie uczynię dla ciebie? To nie jest droga kształtowania współzależności.

Jej ramiona opadły.

– Jeśli nie mogę targować się z tobą ani zmusić cię...

– Musisz znaleźć inną drogę.

„Cóż to za wspaniała rzecz móc obserwować nagły wzrost świadomości”

– pomyślał Leto. Rysy Siony sprawiały, że dla Leto proces ten był oczywisty. Dziewczyna wpatrywała się w jego oczy, jak gdyby sądziła, że przeniknie do jego myśli. Jej przytłumiony głos zabrzmiał z nową siłą.

– Pozwoliłbyś, abym wiedziała o tobie wszystko... poznała każdą twą słabość?

– Czy ukradłabyś to, co dałbym dobrowolnie?

Poranne słońce oświeciło jej twarz.

– Niczego ci nie obiecuję!

– A ja tego nie wymagam.

– Ale dasz mi wodę... jeśli poproszę?

– To nie tylko woda.

Skinęła głową.

– A ja jestem Atrydką.

Rybowodne nie zataiły informacji o tej specyficznej podatności w genach Atrydów. Siona wiedziała, gdzie powstaje przyprawa i co może jej zrobić.

Nauczycielki w szkole rybomównych nigdy go nie zawiodły. A niewielkie dawki melanzu w suszonej żywności Siony również zrobiły swoje.

– Te małe, zwinięte fałdy przy mojej twarzy – powiedział Leto. – Potrzymaj je delikatnie palcem, a wydzielią wodę mocno nasyconą esencją przyprawową.

W jej oczach dostrzegł błysk zrozumienia. Wspomnienia, których za takie nie uważała, zaczęły do niej przemawiać. Była owocem wielopokoleniowej pracy mającej zwiększyć podatność Atrydów na działanie przyprawy.

Ale choć Sionę dręczyło straszliwe pragnienie, nie straciła panowania nad sobą.

Aby złagodzić cierpienie dziewczyny, Leto opowiedział jej o fremeńskich dzieciach, które łowiły piaszkowe trocie na krańcach oaz.

– Ale ja jestem Atrydką – powtórzyła Siona.

– Przekazy ustne to potwierdzają – odrzekł Leto.

– A więc mogę od tego umrzeć.

– To jest próba.

– Zrobisz ze mnie prawdziwą Fremenkę!

– Jak inaczej nauczysz swych spadkobierców przetrwania na pustyni, kiedy odejdę?

Dziewczyna ściągnęła maskę i przysunęła twarz do jego twarzy na wyciągnięcie dłoni. Dotknęła palcem zwiniętego fałdu jego kaptura.

– Poglądź go lekko – rzekł Leto.

Usłuchała nie tyle jego, ile swego wewnętrznego głosu. Precyzyjne ruchy palców wzbudziły wspomnienia Leto, sprawy, które przechodziły z pokolenia na pokolenie... mnóstwo informacji prawdziwych i fałszywych. Odchylił głowę tak, jak to tylko możliwe, obserwując z bliska jej twarz. Na krawędzi fałdu pojawiły się błękitne krople. Siona pochyliła się, by się napić. Leto widział pory wokół jej nosa i poruszający się język, gdy zaspokajała pragnienie.

Potem cofnęła się – nie do końca nasycona, ale pełna ostrożności i podejrzeń, całkiem jak Moneo. „Jaki ojciec, taka córka”.

– Jak długo potrwa, zanim przyprawa zacznie działać? – spytała.

– Już działa.

– Chodziło mi...

– Około minuty.

– Nic ci za to nie jestem winna!

– Nie będę się domagał żadnej zapłaty.

Siona zdjęła maskę.

Obserwował, jak jej oczy zachodzą mgłą. Nie pytając o pozwolenie, poklepała jego przedni segment. Domagała się w ten sposób, by przygotował jej wygodny hamak w zagłębieniu swego ciała. Przystał na to. Siona ułożyła się wygodnie. Widział ją, patrząc w dół. Oczy Siony pozostały otwarte, ale ona sama nie widziała już otoczenia. Jej ciałem wstrząsnął nagły spazm i dziewczyna zaczęła się trząść jak małe, umierające stworzenie. Leto znał to uczucie, ale nie mógł w niczym jej pomóc. W jej świadomości nie zostanie choćby ślad obecności przodków, ale na zawsze zapamięta pewne obrazy, dźwięki i zapachy. We wspomnieniach będą polujące maszyny, zapach krwi i wnętrzności, chowający się w norach ludzie, świadomi tego, że nie ma z nich ucieczki... a cały czas maszyny nadchodzą, są coraz bliżej, bliżej i bliżej... jest wciąż głośniejsze... i głośniejsze!

Gdziekolwiek szukała, było to samo. Nie ma ucieczki.

Czuł, że życie z niej ucieka. „Walcz z ciemnością, Siono!” To była jedyna rzecz, którą robili Atrydzi. Walczyli o życie. A teraz ona walczyła nie tylko o swoje. Leto wyczuwał jednak wygasanie... odpływ sił życiowych. Siona odpływała w coraz głębszą ciemność, o wiele głębszą niż inni. Zaczął kołysać ją łagodnie. To lub cienka, paląca nie determinacja, a może obie te rzeczy razem, sprawiły, że dziewczyna zwyciężyła. Wczesnym popołudniem zapadła w prawdziwy sen. Tylko od czasu do czasu wzdychała, gdy powracały echa jej wizji. Leto kołysał ją łagodnie.

Czy naprawdę wróciła ze straszliwych głębin? Oznaki sił życiowych Siony zaczęły go upewniać, że tak jest w istocie. Tkwiła w niej ogromna siła!

Dziewczyna obudziła się późnym popołudniem. Nagle znieruchomiała, zmienił się rytm jej oddechu. Otworzyła oczy. Spojrzała na Leto, a potem wytoczyła się z hamaku, stanęła plecami do niego i prawie godzinę rozmyślała w milczeniu.

Moneo uczynił kiedyś tak samo. Taka reakcja nie występowała wcześniej u Atrydów. Niektórzy ich poprzednicy głośno wyrażali swe uczucia. Inni cofali się, wpatrując w Leto i zmuszając go, by podążał za nimi i ocierał się o kamienie. Jeszcze inni kucali, wbijając wzrok w ziemię. Nikt jednak nie odwracał się do niego plecami. Leto uznał, że to dobry znak.

– Zaczynasz mieć wyobrażenie, jak głęboko sięgają korzenie mej rodziny – powiedział.

Siona odwróciła się, zacisnąwszy usta. Nie patrzyła mu w oczy. Widział, że zaczyna akceptować to, co nieliczni tylko byli w stanie pojąć – pojedyncza wielość Leto czyniła cały rodzaj ludzki jego rodziną.

– Tam, w lesie, mogłeś ocalić moich przyjaciół.

– Ty także mogłeś to zrobić.

Zacisnęła pięści i podniosła je do skroni, wpatrując się w niego.

– Ale ty wiesz *wszystko*!

– Siono!

– Czy musiałam dowiedzieć się o wszystkim w taki sposób? – wyszeptała.

Leto milczał, zmuszając ją, by sama sobie odpowiedziała. Musiała pojąć, że jego pierwotna świadomość pracuje na sposób fremeński. Powinna również zrozumieć, że – podobnie jak straszliwe maszyny z jej apokaliptycznej wizji – drapieżnik mógł podążyć za każdym pozostawiającym ślady stworzeniem.

– Złoty Szlak – wyszeptała. – Ja go *czuję*. – A potem spojrzała na Leto. – To takie okrutne!

– Walka o przetrwanie zawsze jest okrutna.

– Nie mogli się nigdzie ukryć – wyszeptała, po czym odezwała się głośniejszym głosem: – Co ze mną zrobiłeś?

– Próbowалаś być fremeńską buntowniczką – odrzekł. – Fremeni mieli niesamowitą zdolność czytania znaków na pustyni. Potrafili nawet odczytać niemal zatarte przez wiatr ślady na piasku.

Spostrzegł, że Siona zaczyna mieć wyrzuty sumienia na wspomnienie swych zmarłych przyjaciół. Zaczął mówić szybko, wiedząc, że poczucie winy przerodzi się w gniew przeciw niemu.

– Czy uwierzyłabyś mi, gdybym po prostu cię tu zabrał i opowiedział o wszystkim?

Wyrzuty sumienia ogarniały ją coraz bardziej. Otworzyła usta pod maską i chciwie chwyciła powietrze.

– Nie przetrwałaś jeszcze pustyni – powiedział Leto.

Powoli się uspokajała. Fremeński instynkt, który w niej obudził, pomagał jej odzyskać kontrolę nad sobą.

– Przeżyję – stwierdziła i spojrzała mu prosto w oczy. – Czytasz nasze emocje, prawda?

– Emocje to zapalniki myśli. Potrafię przewidzieć wasze zachowanie, rozpoznając emocje.

Leto wiedział, że przyjęła to z tym samym co Moneo strachem i nienawiścią. Nie miało to jednak wielkiego znaczenia. Wybiegł myślami w przyszłość. Tak, *przeżyje* pustynię, gdyż jej ślady na piasku biegły tuż obok jego śladów... ale jej były bezcielesne. Tuż za śladami Siony wszystko było ukryte. W świadomości Leto pojawił się przedśmiertny krzyk Anteac... i rój atakujących rybomównych!

„Malki nadchodzi – pomyślał. – Malki i ja znowu się spotkamy”.

Leto otworzył oczy i ujrzał wpatrującą się w niego Sionę.

– Ciągłe cię nienawidzę!

– Nienawidzisz koniecznego okrucieństwa drapieżnika.

– Ale widziałam także coś innego! – powiedziała z jadowitą satysfakcją – Nie możesz podążać moimi śladami!

– Dlatego właśnie musisz mieć potomków... żeby to zachować.

Jeszcze kiedy mówił, zaczął padać deszcz. Równocześnie z nadejściem ciemnych chmur spadły pierwsze krople.

Mimo że wyczuł zachwiania w kontroli pogody, Leto był zdumiony ulewą. Wiedział, że w Serirze czasem pada, deszcze były jednak krótkotrwałe. Nieliczne kałuże znikły, gdy tylko pojawiała się słońce. Najczęściej wszakże deszcz nie docierał nawet do gruntu. Był to deszcz widmo, ponieważ woda wyparowywała, kiedy zetknęła się ze straszliwie gorącą warstwą powietrza nad pustynią. Ale ta ulewa sprawiła, że Leto zmókł.

Siona zdjęła maskę i podniosła chciwie głowę ku spadającej z nieba wodzie, nie zauważając nawet, co się dzieje z Leto.

Kiedy pierwsze krople przeniknęły powłokę z piaskowych troci, Leto zeszytywniał i zwinął się z bólu. Przeciwstawne potrzeby troci i czerwia nadały słowu „ból” zupełnie nowe znaczenie. Leto czuł, że jest rozrywany od wewnątrz. Trocie pragnęły dotrzeć do wody i wchłonąć ją. Dla czerwia woda oznaczała śmierć. Z każdego miejsca na jego ciele, do którego dotarła woda, unosił się błękitny dym. Jego narządy zaczęły wytwarzać prawdziwą esencję przyprawową. Leżał w kałużach, a wokół niego unosił się błękitny dym. Leto skręcał się i jęczał.

Chmury odpłynęły i dopiero wtedy Siona zorientowała się, że coś jest z nim nie tak.

– Co się dzieje?

Nie był w stanie odpowiedzieć. Deszcz ustał, ale woda pozostała na skałach i w kałużach, które utworzyły się wokół niego i pod jego cielskiem.

Nie było ucieczki.

Siona ujrzała dym unoszący się z każdego wilgotnego miejsca.

– To woda!

Po prawej znajdowało się wzniesienie, na którym woda się nie zgromadziła. Leto z ogromnym trudem zaczął się przesuwać w tamtym kierunku. Jęczał, ilekroć natrafił na kałużę. Wzniesienie było prawie suche, gdy tam dotarł. Męczarnia powoli dobiegała końca i Leto uświadomił sobie, że Siona stoi przed nim.

– Dlaczego woda sprawia ci ból? – zapytała z fałszywą troską.

„Ból? Cóż za nieodpowiednie słowo!” Nie mógł jednak nie odpowiedzieć na jej pytanie. Wiedziała dostatecznie dużo, by szukać odpowiedzi. A ta łatwo mogła zostać znaleziona. Urywaniem nieco głosem wytłumaczył jej zależności, jakie łączyły piaskowe trocie i czerwia z wodą. Słuchała go w milczeniu.

– Ale wilgoć, którą mi dałeś...

– Nie jest dla mnie groźna dzięki wpływowi przyprawy.

– Dlaczego więc zaryzykowałeś wędrówkę przez pustynię bez powozu?

– Nie można być Fremenem w cytadeli i na powozie.

Skinęła głową.

Leto ujrzał w jej oczach błysk buntu. Nie musiała czuć się winna czy podporządkowana. Nie mogła dłużej twierdzić, że nie wierzy w Złoty Szlak, ale czy stanowiło to jakąkolwiek różnicę? Jego okrucieństwo nie może zostać wybaczone! Mogłaby go odrzucić, odmówić mu miejsca w swej rodzinie. On nie był człowiekiem, w żadnym calu jej nie przypominał. A ona posiadała w dodatku sekret jego zguby! Otocz go wodą, zniszcz jego pustynię, spraw, by znalazł się wewnątrz śmiercionośnej fosy! Czyżby naprawdę sądziła, że udało jej się ukryć przed nim swe myśli? Że wystarczyło w tym celu odwrócić się doń plecami?

„Cóż mogę wobec tego uczynić? – pomyślał. – Ona musi żyć, podczas gdy ja muszę okazać, iż nie zamierzam stosować przemocy”.

Teraz, gdy wiedział już co nieco o charakterze Siony, jakże łatwo byłoby się poddać, zatonać w myślach. Czuł pokusę, by żyć tylko swymi wspomnieniami, ale jego dzieci ciągle potrzebowały lekcji na własnym przykładzie, jeśli miały uniknąć ostatecznej pułapki na Złotym Szlaku.

Jakaż to bolesna decyzja! Leto poczuł nagle współczucie dla Bene Gesserit. Jego rozterka przypominała tę, jaką musiały odczuwać, gdy

pojawił się Muad'Dib. „Ostatecznego celu ich planu eugenicznego – mojego ojca – również nie udało im się sobie podporządkować”.

„Raz jeszcze nasze cele będą inne, drogie przyjaciółki” – pomyślał i na jego wargach pokazał się złośliwy uśmiech.



Dając kolejnym pokoleniom dostatecznie dużo czasu, by mogły ewoluować, drapieżnik wytwarza w swej ofierze szczególne umiejętności przetrwania, które na zasadzie sprzężenia zwrotnego wywołują zmiany w drapieżniku, które z kolei zmieniają ofiarę – i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej... Wiele potężnych sił czyni to samo. Do sił tych można również zaliczyć religię.

– *Wykradzione dzienniki*

– Pan Leto kazał mi zawiadomić cię, że twoja córka żyje.

Wiadomość tę Nayla przekazała Moneo swoim śpiewnym głosem, utkwivszy wzrok w jego pochylonej nad stołem postaci. Marszałek znajdował się w swoim gabinecie, pośród chaotycznie porozrzucanych notatek, papierów i urządzeń komunikacyjnych.

Moneo złożył dłonie i popatrzył na coraz dłuższy cień rysujący się na stole za sprawą zachodzącego słońca, którego promienie przenikały przez kryształowy przycisk do papieru w kształcie drzewa.

Nie spojrzawszy na masywną figurę Nayli, stojącej w pełnej uszanowania pozie, zapytał:

– Czy oboje wrócili do cytadeli?

– Tak.

Moneo wyjrzał przez okno po lewej stronie, ale tak naprawdę nie widział ciemności rysującej się na granicy Seriru ani piasku porywanego z wydm przez podmuchy wiatru.

– A sprawa, o której rozmawialiśmy wcześniej? – zapytał.

– Wszystko już załatwione.

– Bardzo dobrze. – Odprawił ją ruchem ręki, ale Nayla wciąż stała przed nim. Zdziwiony Moneo popatrzył na nią po raz pierwszy, odkąd weszła do jego gabinetu.

– Czy muszę osobiście uczestniczyć w – przełknęła ślinę – ślubie?

– Taki jest rozkaz Pana Leto. Będiesz jedyną osobą uzbrojoną w rusznicę. To zaszczyt.

Nayla nie poruszyła się, a jej wzrok wędrował gdzieś nad głową marszałka.

– Tak? – ponaglił ją.

Szczeka kobiety zadrżała nerwowo.

– On jest Bogiem, a ja śmiertelniczką – powiedziała, obróciła się na pięcie i wyszła.

Moneo zaczął się zastanawiać, co tak poruszyło tę solidnie zbudowaną rybomówną, jednakże jego myśli szybko powędrowały ku Sionie.

„Przetrwała, podobnie jak ja”. Siona miała teraz wewnętrzne poczucie, że Złoty Szlak jest ich przeznaczeniem. „Tak samo jak ja”. Nie widział sensu dzielenia się tym. Nic nie zbliżało go do córki. Było to brzemię, a zarazem trzymało na wodzy jej buntownicze zapędy. Żaden Atryda nie może wystąpić przeciwko Złotemu Szlakowi. Leto już o to zadbał!

Moneo pamiętał czasy własnego buntu. Każdej nocy inne łóżko i stała konieczność ucieczki. Pajęczyna przeszłości wiązała jego umysł, choćby nie wiadomo jak bardzo starał się odsunąć nieprzyjemne wspomnienia.

„Siona jest uwięziona w klatce. I ja byłem w niej uwięziony. A także biedny Leto”.

Z zamyślenia wyrwało go bicie dzwonu obwieszczające nadejście zmroku. W pracowni zapaliły się światła. Popatrzył na dokumenty dotyczące zaślubin Boga Imperatora z Hwi Nori. Było jeszcze tyle do zrobienia! Przycisnął guzik, a kiedy w pokoju zjawiała się rybomówna akolitka, poprosił, by przyniosła puchar z wodą i przekazała Duncanowi, że zaprasza go do swego gabinetu.

Rybomówna wróciła szybko z pucharem i postawiła go po lewej stronie Moneo. Zauważył, że ma długie palce lutnistki, ale nie popatrzył na jej twarz.

– Posłałam kogoś po Idaho – powiedziała.

Skinął głową i wrócił do pracy. Słyszał, jak dziewczyna opuszcza pokój, i dopiero wtedy podniósł wzrok, szukając pucharu z wodą.

„Niektórzy wiedą życie jak letnie ćmy. A ja muszę bez końca dźwigać ciężary”.

Woda miała mdły smak. To pogorszyło jego samopoczucie i sprawiło, że poczuł się odrętwiały. Popatrzył za okno, tam gdzie nad Serirem powoli zachodziło słońce. Pomyślał, że powinien się zachwycić pięknem tego

widoku, ale potrafił myśleć jedynie o sztucznym świetle. „I tak to nie ja nim steruję”.

Im głębsza była ciemność za oknem, tym intensywniejsze stawało się światło w pokoju, rozjaśniając jak gdyby myśli Moneo. Czuł się niemal gotowy na spotkanie z Idaho. Trzeba będzie nauczyć go podporządkowywania się koniecznościom, i to szybko.

Drzwi uchyliły się i ponownie stanęła w nich akolitka.

– Czy przynieść posiłek?

– Później. – Zatrzymał ją gestem. – Zostaw drzwi otwarte.

Uniosła brwi.

– Zagraj coś – powiedział. – Chciałbym posłuchać.

Rybmówna miała delikatną, okrągłą, niemal dziecięcą twarz, która rozjaśniała się, gdy dziewczyna się uśmiechała. Odwróciła się i wyszła, rozpogodzona.

Po chwili z sąsiedniego pokoju dobiegły go dźwięki lutni biwa. Tak, młoda akolitka miała talent. Struny basów brzmiały jak uderzenia kropli deszczu o dachy, do czego przyczyniały się jeszcze dźwięki średnich strun. Być może pewnego dnia dziewczyna chwyci za balisetę. Moneo rozpoznał melodię: głębokie, pełne szumów wspomnienie jesiennego wiatru z jakiejś odległej planety, na której nie znano pustyni. Smutna, melancholijna muzyka, a mimo to zachwycająca.

„To krzyk uwiecznionych – pomyślał. – Wspomnienie wolności”. Uderzyło go, jak bardzo dziwna jest ta myśl. Czy było regułą, że wolność zawsze rodzi się z buntu?

Muzyka umilkła. Do uszu Moneo dotarły ciche głosy. Do gabinetu wkroczył Idaho. Marszałek przyglądał się, jak wchodzi. Gra światła sprawiła, że twarz Idaho przypominała wykrzywioną maskę o głęboko osadzonych oczach. Nie czekając na zaproszenie, Idaho usiadł naprzeciwko niego i wrażenie prysło. „Po prostu kolejny Duncan” – pomyślał Moneo. Miał na sobie czarny, gładki mundur bez insygniów.

– Zadawałem sobie pewne pytanie – rzekł Idaho. – Cieszę się, że mnie wezwalesz. Chcę ci je zadać. Czego *nie mogli* nauczyć się moi poprzednicy?

Zaskoczony Moneo usiadł prosto. Cóż za nietypowe dla Duncana pytanie! Czy w tym akurat Duncanie tkwi jakaś wywołana przez Tleilaxan różnica?

– Co sprawiło, że chcesz to wiedzieć? – zapytał.

– Zacząłem myśleć jak Fremen.

– Nie byłeś Fremenem.

– Byłem tego bliżej, niż ci się wydaje. Naib Stilgar powiedział kiedyś, że prawdopodobnie urodziłem się Fremenem, choć nie wiedziałem o tym, dopóki nie znalazłem się na Diunie.

– Co się dzieje, gdy myślisz po fremeńsku?

– Przypominam sobie, że nigdy nie powinienem przebywać w towarzystwie ludzi, u których boku nie chciałbym umierać.

Moneo położył dłonie na blacie stołu. Wilczy uśmiech przemknął przez twarz Idaho.

– Zatem co tutaj robisz? – zapytał marszałek.

– Przypuszczam, że możesz być dobrym towarzyszem, Moneo. I zadaję sobie pytanie, dlaczego Leto zaliczył cię do najbliższych mu osób?

– Przeszedłem próbę.

– Tę samą, którą przeszła twoja córka?

„A więc słyszał, że wrócili”. Oznaczało to, że któraś z rybomównych przekazała mu tę wiadomość... chyba że sam Bóg Imperator wezwał go do siebie... „Nie, dowiedziałbym się o tym”.

– Próby nigdy nie są takie same – powiedział Moneo. – Musiałem udać się samotnie do labiryntu jaskiń, mając jedynie nieco żywności i fiolkę esencji przyprawowej.

– Co wybrałeś?

– Co? Och... jeśli zostaniesz poddany próbie, dowiesz się.

– I to jest Leto, jakiego nie znam – rzekł Idaho.

– Czy ci tego nie mówiłem?

– A to jest także Leto, jakiego ty nie znasz – dodał Idaho.

– Gdyż jest najbardziej samotną istotą, jaką widział wszechświat – powiedział Moneo.

– Nie próbuj grać na moich emocjach, chcąc wzbudzić we mnie współczucie – ostrzegł Idaho.

– Gra na emocjach, tak. Bardzo dobrze. – Moneo skinął głową. – Emocje Boga Imperatora są jak rzeka: spokojne, gdy nic go nie wstrzymuje, wzburzone i okrutne, gdy tylko pojawia się najmniejsza przeszkoda. Nie wolno mu się sprzeciwiać.

Duncan rozejrzał się po rześście oświetlonym pokoju, przeniósł wzrok na widoczną za oknami ciemność i pomyślał o płynącej gdzieś w oddali rzece Idaho.

– Co wiesz o rzekach? – zwrócił się do marszałka.

– W młodości podróżowałem z rozkazu Boga Imperatora. Zawierzyłem nawet życie okrętowi płynącemu po rzece, a potem po morzu, którego brzegi ginęły w oddali.

Mówiąc to, Moneo poczuł, że trafił na trop głębokiej prawdy o Leto. Poczucie to sprawiło, że zaczął dumać o dalekiej planecie, na której przekraczał morze, docierając do jego brzegów. Pierwszego wieczoru podróży nadszedł sztorm, a gdzieś wewnątrz statku rozległo się irytujące „tuk-tuk-tuk-tuk-tuk” pracujących silników. Moneo stał wówczas na pokładzie wraz z kapitanem. Jego myśli koncentrowały się na tym dźwięku, który powracał i zalewał ich niczym wodnistą, zielono-czarne góry. Odgłos przemijał i wracał, wciąż się powtarzając. Każdorazowe uderzenie kila o wodę otwierało ciało morza jak cios pięścią. Był to szaleńczy ruch w górę... w górę, w dół! Płuca paliły Moneo od tłumionego strachu. Okręt miotający się po falach i morze próbujące ściągnąć ich w dół – dzikie wybuchy wody, godzina po godzinie, białe bałwany zalewające pokład, a potem jeszcze jedno morze i kolejne...

Wszystko to stanowiło klucz do osoby Boga Imperatora.

„On jest zarówno sztormem, jak okrętem”.

Moneo przeniósł wzrok na siedzącego naprzeciwko Idaho. Postać Duncana oblana była zimnym światłem. W tym człowieku nie było strachu, tylko głód.

– Zatem nie pomożesz mi się dowiedzieć, czego nie zdołali się nauczyć inni Duncanowie? – zapytał Idaho.

– Pomogę.

– Czego więc nigdy nie umiałem się nauczyć?

– Jak ufać.

Idaho odchylił się i popatrzył na Moneo.

– Powiedziałbym, że ufałem za bardzo – rzekł ostro.

Marszałek był nieprzejednany.

– Ale jakie było twoje zaufanie?

– Co masz na myśli?

Moneo położył ręce na kolanach.

– Szukasz towarzystwa mężczyzn ze względu na ich zamiłowanie do walki i gotowość do umierania za słuszną sprawę. Wybierasz kobiety, które potrafią docenić twoją męskość. Nie zezwalałeś na żadne różnice, które brały się z dobrej woli.

Coś przesunęło się w wejściu do gabinetu. Moneo podniósł wzrok i ujrzał Sionę. Stała, jedną rękę położywszy na biodrze.

– Jak widzę, ojcze, znowu stosujesz swoje stare gierki.

Idaho obrócił się ku drzwiom.

Moneo przyglądał się córce, szukając zmian, jakie w niej zaszły. Wykąpała się już i włożyła czysty, czarno-złoty mundur dowódcy rybomównych. Jednak jej ręce i twarz wciąż nosiły ślady pustynnych doświadczeń. Straciła na wadze, a jej policzki się zapadły. Nawet maść nie zdołała ukryć ran na wargach. Na dłoniach Siony uwypukliły się żyły. Jej oczy wyglądały staro, a twarz miała wyraz charakterystyczny dla kogoś, kto wiele doświadczył.

– Przysłuchiwałam się waszej rozmowie – powiedziała. Zdjęła rękę z biodra i przeszła w głąb pokoju. – Jak śmiesz mówić o dobrej woli, ojcze?

Idaho zauważył jej mundur. Zamyślony, przygryzł wargi. „Dowodząca rybomównych? Siona?”

– Rozumiem twoje rozżalenie – odparł Moneo. – Sam doświadczałem podobnego uczucia.

– Rzeczywiście? – Podeszła bliżej i stanęła obok Idaho, który nadal obserwował ją z zastanowieniem.

– Jestem szczęśliwy, że żyjesz – powiedział marszałek.

– Jakże jesteś usatysfakcjonowany, widząc mnie bezpieczną w służbie Boga Imperatora – odezwała się. – Tak długo czekałeś, by mieć potomka, i oto spójrz! Popatrz, jaki sukces osiągnęłam! – Odwróciła się powoli, demonstrując mundur. – Dowódca rybomównych. Co prawda tylko jednego oddziału, niemniej jednak dowódca.

Moneo zrobił wszystko, by jego głos zabrzmiał chłodno i rzeczowo.

– Usiądź.

– Wolę stać. – Popatrzyła z góry na twarz Idaho. – Aaach, Duncan Idaho, zaplanowany dla mnie kochanek. Czyż to nie interesujące, Duncan? Pan Leto poinformował mnie, że w odpowiednim czasie zostanę *wpasowana* w strukturę dowodzenia rybomównymi. Na razie mam jedną adiutantkę. Znasz Naylę, Duncan?

Idaho skinął głową.

– Naprawdę? Jak sądzę, *ja* jej *nie znam*. – Popatrzyła na Moneo. – Znam ją, ojcze?

Marszałek wzruszył ramionami.

– A mówiłeś o zaufaniu, ojczy – powiedziała Siona. – Komu ufa potężny minister Moneo?

Idaho odwrócił się, by zobaczyć, jakie wrażenie zrobiły na Moneo słowa córki. Jego twarz zdawała się świadczyć, że przeżywa silne emocje. „Gniew? Nie... coś innego”.

– Ufam Bogu Imperatorowi – oświadczył Moneo. – I, mając nadzieję, że nauczycie się czegoś, jestem tu, by przekazać wam jego życzenia.

– Jego *życzenia*! – zadrwiła Siona. – Słyszysz, Duncan? Rozkazy Boga Imperatora są teraz *życzeniami*.

– Nie ukrywaj niczego przed nami – powiedział Idaho. – Wiem, że mamy niewielki wybór, cokolwiek by on dotyczył.

– Zawsze macie wybór – odparł marszałek.

– Nie słuchaj go – rzekła Siona. – Jest podstępny. Spodziewają się, że padniemy sobie w ramiona i rozmnożymy się, tak jak mój ojciec. Twój potomek, a mój ojciec!

Twą Moneo pobladała. Obiema rękami chwycił się krawędzi stołu i pochylił do przodu.

– Jesteście głupcami! Ale postaram się was ocalić. Na przekór wam samym, postaram się was ocalić!

Idaho zobaczył, że policzki Moneo drżą. Odczuwał też niezwykłą intensywność jego spojrzenia i był tym dziwnie poruszony.

– Nie jestem jego ogierem, ale ciebie usłucham – oznajmił.

– Zawsze ten sam błąd – powiedziała Siona.

– Milcz, kobieto – rzekł Idaho.

Popatrzyła ponad jego głowę.

– Nie zwracaj się do mnie w ten sposób albo okręcę ci szyję wokół kostek!

Idaho zeszywniał i zaczął się odwracać.

Moneo skrzywił się i ruchem ręki dał mu do zrozumienia, by pozostał na miejscu.

– Ostrzegam cię, Duncan, że ona prawdopodobnie to zrobi. Nie dorównuję jej, a pamiętasz, jak próbowałeś ze mną walczyć?

Idaho gwałtownie nabrał powietrza, po czym powoli je wypuścił.

– Mów, co ci nakazano – rzekł.

Siona zbliżyła się, usiadła na rogu stołu i popatrzyła na nich z góry.

– Tak o wiele lepiej – stwierdziła. – Pozwól mu powiedzieć, co ma do powiedzenia, ale go nie słuchaj.

Idaho zacisnął usta.

Moneo puścił brzeg stołu. Usiadł i popatrywał to na Idaho, to na Sionę.

– Prawie ukończyłem już przygotowania do ślubu Boga Imperatora z Hwi Nori. Chciałbym, żebyście zniknęli na czas uroczystości.

Siona popatrzyła pytająco na ojca.

– To twój pomysł czy jego?

– Mój! – Moneo odwzajemnił jej spojrzenie. – Nie masz poczucia honoru i obowiązku? Nie nauczyłaś się niczego podczas próby?

– Nauczyłam się tego, co i ty, ojciec. I dałam słowo, którego dotrzymam.

– A więc zostaniesz dowódcą rybomównych?

– Jeśli *powierzy* mi dowództwo. On jest przebieglejszy niż ty, ojciec.

– Dokąd nas wysyłasz? – zapytał Idaho.

– Jeżeli zgodzimy się tam pojechać – wtrąciła się Siona.

– Na skraju Seriru jest mała wioska Muzealnych Fremenów – rzekł Moneo. – Nazywa się Tuono. Całkiem miłe miejsce. Leży w cieniu Muru, a obok przepływa rzeka. Jest tam studnia i dość jedzenia.

„Tuono?” – zastanawiał się Idaho. Nazwa brzmiała znajomo.

– Po drodze do siczy Tabr znajdował się basen Tuono.

– A noce są tam długie i nie ma rozrywek – powiedziała Siona.

Idaho rzucił jej ostre spojrzenie. Odwzajemniła je.

– Chce, żebyśmy poczęli dziecko i w ten sposób usatysfakcjonowali Czerwia – oznajmiła. – Chce potomków w moim łonie, których mógłby wypaczać i którymi mógłby manipulować. Prędzej go zabiję, niż się na to zgodzę!

Idaho popatrzył na Moneo z konsternacją.

– A jeżeli odmówimy?

– Myślę, że pojedziecie – rzekł marszałek.

Usta Siony zadrżały.

– Duncan, widziałeś kiedyś te małe pustynne wioski? Bez wygod, bez...

– Widziałem wioskę Tabur – powiedział Idaho.

– Jestem pewna, że w porównaniu z Tuono to metropolia. Nasz Bóg Imperator nie będzie świętował swego wesela w paru lepiankach z błota. O, nie. W Tuono zaś będą same lepianki i żadnych atrakcji. To prawdziwa fremeńska wioska.

Idaho wpatrywał się w Moneo.

– Fremen nie mieszkali w chatkach z gliny – powiedział.

– Kogo obchodzi, gdzie się bawili w uprawianie swoich kultów? – zadrwiła Siona.

– Prawdziwi Fremeni mieli tylko jeden kult: kult osobistej uczciwości. Bardziej troszczę się o uczciwość niż o przyjemności – oznajmił Idaho, nie odrywając oczu od Moneo.

– Nie oczekuj ode mnie przyjemności! – wykrzyknęła Siona.

– Niczego od ciebie nie oczekuję – rzekł Idaho. – Kiedy mielibyśmy ruszyć do Tuono?

– Masz zamiar jechać? – zapytała.

– Rozważam przyjęcie uprzejmej propozycji twojego ojca – odparł.

– Uprzejmej! – Przenosiła wzrok z Idaho na Moneo.

– Wyruszylibyście natychmiast – powiedział marszałek. – Wybrałem oddział rybomównych pod dowództwem Nayli, by eskortowały was do Tuono.

– Nayla? – zapytała Siona. – Naprawdę? Zostanie tam z nami?

– Do dnia ślubu.

Siona skinęła głową.

– Zatem zgadzamy się.

– Mów za siebie! – krzyknął Idaho.

Siona uśmiechnęła się.

– Przepraszam. Czy mogę oficjalnie poprosić wielkiego Duncana Idaho, by towarzyszył mi w prymitywnym garnizonie, gdzie będzie trzymał ręce z daleka ode mnie?

Idaho posłał jej lodowate spojrzenie.

– Możesz się nie obawiać tego, gdzie będę trzymał ręce. – Popatrzył na Moneo. – Czy wynika to z uprzejmości? Czy dlatego mnie odsyłasz?

– To kwestia zaufania – powiedziała Siona. – Komu on ufa?

– Będę zmuszony wyjechać z twoją córką? – zapytał Idaho.

Siona wstała.

– Albo się zgodzimy, albo rybomówne dostarczą nas tam w mało komfortowy sposób. To widać po jego oczach.

– Tak więc nie mam wyboru – stwierdził Idaho.

– Masz wybór jak każdy – rzekła Siona. – Umieraj teraz lub później.

Idaho wciąż wpatrywał się w marszałka.

– Jakie są twoje prawdziwe intencje, Moneo? Zaspokoisz moją ciekawość?

– Ciekawość utrzymała przy życiu wielu ludzi, gdy wszystko inne już zawiodło – odparł Moneo. – Staram się ocalić cię, Duncan. Nigdy wcześniej tego nie czyniłem.



Musiało minąć prawie tysiąc lat, by pył z okrywającej całą planetę pustyni dawnej Diuny opuścił atmosferę i przeniknął do gruntu i wody. Wiatr zwany „piaskomiotem” nie występował na Arrakis od dwóch i pół tysiąca lat. Dwadzieścia miliardów ton pyłu mogło zostać przyniesionych przez wiatr podczas jednej burzy. Niebo było potem często srebrne. Fremeni mówili: „Pustynia działa jak lekarz, który przecina skórę, by ujrzeć, co się pod nią znajduje”. Planeta i jej mieszkańcy mieli swoje warstwy. Można to było zobaczyć. Mój Serir jest ledwie słabym echem tego, co było kiedyś. A ja muszę być dzisiaj piaskomiotem.

– *Wykradzione dzienniki*

– Wysłałeś ich do Tuono, nie uzgodniwszy tego ze mną? Zdumiewa mnie twoje zachowanie, Moneo! Nie podjąłeś tak niezależnej decyzji od bardzo dawna.

Moneo stał w mrocznym centrum krypty jakieś dziesięć kroków od Leto. Miał spuszczoną głowę i ze wszystkich sił próbował ukryć drżenie, świadomy, że Bóg Imperator mógłby to dostrzec i właściwie zinterpretować. Była prawie północ. Leto trzymał swego marszałka dworu w niepewności.

– Modlę się, by nie obrazić mego Pana – rzekł Moneo.

– Rozbawiłeś mnie, ale nie wiąż z tym wielkich nadziei. Ostatnio jakoś nie umiem rozróżnić, co mnie śmieszy, a co smuci.

– Wybacz mi, Panie – wyszeptał Moneo.

– Czym jest wybaczenie, o które prosisz? Czy musisz wciąż dopraszać się o sąd? Czy twój wszechświat nie może po prostu *istnieć*?

Moneo podniósł wzrok na tę straszliwą, zakapturzoną twarz. „On jest zarówno okrętem, jak i sztormem. Zachodem słońca istniejącym w samym sobie”. Czuł, iż znajduje się na krawędzi przerażających objawień. Oczy Boga Imperatora wwierały się w niego, paliły go i testowały.

– Panie, czego chcesz ode mnie?

– Żebyś zaczął w siebie wierzyć.

Moneo czuł, że może za chwilę wybuchnąć.

– Zatem fakt, że nie powiadomiłem cię wcześniej...

– Jakże błyskotliwie, Moneo! Małe duszyczki, które pragną władzy nad innymi, najpierw niszczą wiarę, którą ci inni mogliby pokładać w sobie.

Słowa te wstrząsnęły marszałkiem. Wyczuwał w nich oskarżenie i zarazem wyznanie win. Czuł, że coś budzącego lęk, ale i bardzo pożądanego, zaczyna w nim słabnąć. Próbował znaleźć odpowiednie słowa, by to przywołać, ale w jego umyśle panowała pustka. Gdyby jednak zapytał Boga Imperatora...

– Panie, gdybyś powiedział mi, co myślisz o...

– Moje myśli ulatniają się, gdy stykają się z innymi!

Leto popatrzył z góry na Moneo. Jakże dziwne były jego oczy, błyszczące nad charakterystycznym dla Atrydów jastrzębim nosem – oczy osadzone w twarzy regularnej jak metronom. Czy Moneo słyszał ten rytmiczny dźwięk pulsu: „Malki nadchodzi! Malki nadchodzi! Malki nadchodzi!”?

Marszałek miał ochotę zawyć z gniewu. To, co odczuwał, zniknęło! Zasłonił rękami usta.

– Twój wszechświat to dwuwymiarowa klepsydra – rzekł Leto oskarżycielsko. – Dlaczego chcesz zatrzymać przesypujący się piasek?

Moneo opuścił ręce i westchnął.

– Chcesz posłuchać o przygotowaniach do zaślubin, Panie?

– Nie bądź męczący! Gdzie jest Hwi?

– Rybomówne szykują ją...

– Zasięgnąłeś jej opinii co do przygotowań?

– Tak, Panie.

– Zaakceptowała je?

– Tak, Panie, lecz oskarżyła mnie, że zależy mi na ilości, a nie na jakości.

– Czyż ona nie jest wspaniała, Moneo? Czy dostrzegła niepokój wśród rybomównych?

– Tak sądzę, Panie.

– Pomysł mych zaślubin zaniepokoił je.

– Dlatego właśnie odesłałem Duncana, Panie.

– Oczywiście. I wraz z nim Sionę.

– Panie, wiem, że przeszła twoją próbę i...

– Czuje Żłoty Szlak tak samo intensywnie jak ty.

– Dlaczego więc się jej boję, Panie?

– Gdyż przedkładasz rozsądek nad wszelkie inne sprawy.

– Ale nie widzę powodu tego lęku!

Leto uśmiechnął się. Czuł się tak, jak gdyby puszczał bańki mydlane w nieskończenie wielkiej misce. Emocje Moneo były niczym znakomita sztuka wystawiana tylko na tej scenie. Jak blisko krawędzi się znajdował, nawet o tym nie wiedząc.

– Moneo, dlaczego uparcie chcesz widzieć wszystkie fragmenty tego, co nieskończone? – zapytał. – Jeżeli widzisz pełne spektrum barw, czy pożądasz jednej z nich bardziej niż innych?

– Panie, nie rozumiem cię!

Leto zamknął oczy, przypominając sobie, ile to już razy słyszał podobne słowa. Twarze wypowiadających je zlały się w jedną całość. Otworzył oczy, by obraz ten zniknął.

– Dopóki będzie żył choćby jeden człowiek, kolory nie ścierpią *martwego* uporządkowania, nawet jeśli ty umrzesz, Moneo.

– Co mają oznaczać te barwy, Panie?

– Kontinuum, nieskończoność, Złoty Szlak.

– Ale ty, Panie, widzisz rzeczy, których my nie widzimy!

– Bo nie chcecie widzieć!

– Panie, wiem, że nas przerastasz. Dlatego właśnie cię czcimy i...

– Do diabła z tobą, Moneo!

Marszałek uniósł głowę i ze strachem spojrzał na Leto.

– Cywilizacje upadają, kiedy władza prześciga religię! – rzekł Bóg Imperator. – Dlaczego tego nie widzisz? Hwi to dostrzega.

– Jest Ixanką, Panie. Prawdopodobnie...

– Jest rybomówną! Była nią od urodzenia i została wychowana, by mi służyć. Nie! – Leto uniósł jedną ze swych szczupłych rąk, gdy Moneo próbował coś powiedzieć. – Rybomówne są zaniepokojone, bo nazwałem je swymi oblubienicami, a teraz widzą obcą, która nie przeszła przez Siajнок, a mimo to zna go lepiej od nich.

– Jak to możliwe, Panie, kiedy twoje rybo...

– Co mówisz? Każdy z nas uświadamia sobie, kim jest i co powinien robić.

Moneo otworzył usta, lecz zamknął je, nie powiedziawszy słowa.

– Małe dzieci to wiedzą – rzekł Leto. – Jednak odkąd dorośli zaczynają nimi manipulować, dzieci ukrywają tę wiedzę nawet przed sobą. Moneo! Odkryj samego siebie!

– Panie, nie umiem! – wykrztusił Moneo, trzęsąc się ze strachu. – Nie mam twojej władzy, twojej wiedzy...

– Wystarczy!

Moneo zamilkł. Drżał na całym ciele.

– W porządku, Moneo – rzekł Leto łagodnie. – Wymagałem od ciebie zbyt wiele i widzę twoje zmęczenie.

Marszałek uspokajał się powoli. Oddychał głęboko i nierówno.

– Będą pewne zmiany w mej fremeńskiej ceremonii zaślubin – oznajmił Leto. – Nie użyjemy talionów wody mojej siostry Ganimy. Zamiast tego użyjemy talionów mojej matki.

– Lady Chani, Panie? Ale gdzie one są?

Leto wykręcił ciało na powozie i wskazał przecięcie dwóch przypominających jaskinie korytarzy. Przyćmione światło padło na najwcześniejsze nisze z grobami Atrydów na Arrakis.

– W jej grobowcu, w pierwszej niszy. Wydobędziesz taliony, Moneo, i dostarczysz je na ceremonię.

Marszałek wpatrywał się w mroczną czeluść krypty.

– Panie... czy to nie profanacja...

– Zapominasz, Moneo, kto żyje we mnie. – Przemówił głosem Chani: – Mogę zrobić ze swymi talionami to, co zechcę!

Moneo skulił się.

– Tak, Panie. Przyniosę je na uroczystość zaślubin w wiosce Tabur.

– Tabur? – rzekł Leto swoim głosem. – Zmieniłem zdanie. Zaślubiny odbędą się w Tuono!



Większość cywilizacji opiera się na tchórzostwie. Jakże łatwo jest cywilizować, ucząc tchórzostwa. Umniejsza się znaczenie wzorców męstwa. Pęta się wolę. Ogranicza apetyty. Zawęża horyzonty. Tworzy reguły dla każdego uczynku. Zaprzecza się istnieniu chaosu. Nawet dzieci uczą się oddychać powoli. Poskramia się je.

– *Wykradzione dzienniki*

Idaho był zdumiony, gdy ujrzał wioskę Tuono. *To* miała być siedziba Fremaków?

Rybotomne zabrały ich z cytadeli o świcie. Idaho i Siona zostali skierowani do ornitoptera, któremu miały towarzyszyć dwie mniejsze jednostki strażnicze. Lot był długi, trwał niemal trzy godziny. Wylądowali

przy płaskim, okrągłym hangarze z plazmuru, około kilometra od wioski, którą oddzielały od niego wydmy porośnięte kępami trawy i kilkoma pustynnymi krzakami. Gdy zbliżali się do lądowiska, mur obok wioski wydawał się coraz wyższy, podczas gdy sama wioska coraz mniejsza.

– Muzealnych Fremenów utrzymuje się z dala od wpływów obcoświatowej technologii – wyjaśniła Nayla, kiedy eskorta wprowadziła ornitopter do niskiego hangaru. Jedna z rybomównych została wysłana przodem z wieścią o ich przybyciu.

W czasie lotu Siona prawie się nie odzywała, ale ukradkiem przyglądała się Nayli.

Maszerując przez oblane porannym światłem wydmy, Idaho wyobrażał sobie, że oto cofnął się w czasie. Wśród roślinności przeświecał piasek, w zagłębieniach pomiędzy wydmami widoczne były wysuszona ziemia, żółtawa trawa i karłowate krzaki. Pod kopułą nieba krążyły trzy sępy z szeroko rozpostartymi skrzydłami – Fremen nazywali to „podniebnym poszukiwaniem”. Idaho próbował opowiedzieć o tym Sionie, która szła obok niego. Padlinożercami trzeba było się przejmować tylko wtedy, gdy obniżali lot.

– Opowiadano mi o sępach – oznajmiła chłodno.

Idaho zauważył wilgoć na jej górnej wardze. Ciasno otaczające ich rybomówne wydzielały ostrą woń potu.

Wyobrażenia nie pozwalała Idaho przymknąć oczu na różnice między przeszłością a teraźniejszością. Filtraki, które mieli na sobie, służyły nie tyle gromadzeniu wilgoci, ile robieniu dobrego wrażenia. Żaden prawdziwy Fremen nie zawierałby im życia, nawet tutaj, gdzie w powietrzu czuć było wodę. A rybomówne z oddziału Nayli też nie zachowywały się jak na prawdziwych Fremenów przystało. Przekomarzały się niczym dzieci.

Siona wlokła się obok niego w ponurym milczeniu, od czasu do czasu popatrując na muskularne plecy Nayli, która szła na czele oddziału.

„Co łączy te dwie kobiety?” – zastanawiał się Idaho. Nayla wydawała się oddana Sionie, zwracała uwagę na każde jej słowo i spełniała każdą jej zachciankę... choć oczywiste było, że Nayla nie sprzeciwiłaby się rozkazom, które zawiodły ich do Tuono. Niemniej jednak zwracała się do Siony per „dowódczyni”. Pomiedzy tymi kobietami istniał jakiś silny związek, coś, co wzbudzało podziw i lęk Nayli.

Wreszcie dotarli do stoku, który opadał ku wiosce i odległemu murowi. Z góry Tuono było zbiorowiskiem lśniących prostokątów usytuowanych tuż poza

zasięgiem rzucanego przez mur cienia. Z ich punktu obserwacyjnego widać było, że wioska ta to kilka rozpadających się chat, wyglądających tym żałośniej, że próbowano jakoś je udekorować. Na ścianach widniały kawałki lśniących kamieni i metalu ułożone w poskręcane wzory. Postrzępiony zielony sztandar powiewał na maszcie na szczycie najwyższego budynku. Zmienny wiatr przynosił woń śmieci i szamba. Centralna ulica wioski ciągnęła się przez skąpo pokryty roślinami piasek, kończąc się na nierównomiernym skraju splekanego chodnika.

Ubrana w odświętne szaty delegacja stała w wyczekującej pozie przy budowli z zieloną flagą. Towarzyszyła jej posłana przodem rybomówna. Idaho naliczył osiem osób. Wszystkie miały na sobie coś, co wyglądało na autentyczne brązowe stroje fremeńskie. Jeden z mężczyzn miał na czole zieloną opaskę, a więc bez wątpienia był naibem. Obok stały dzieci z naręczami kwiatów. W tyle widać było boczne uliczki i przypatrujące się wszystkiemu kobiety w czarnych kapturach. Idaho czuł, że widok ten go krępuje.

– Skończmy szybko z tym wszystkim – powiedziała Siona.

Nayla skinęła głową i podążyła w dół stoku, ku ulicy. Siona i Idaho pozostali kilka kroków za nią. Reszta oddziału wlokła się w milczeniu z tyłu i rozglądała z nieukrywaną ciekawością.

Kiedy Nayla zbliżyła się do delegacji, mężczyzna z zieloną opaską wystąpił i skłonił się. Poruszał się jak stary człowiek, ale Idaho dostrzegł, że jest nie tyle w podeszłym, ile w średnim wieku. Jego policzki były gładkie i bez zmarszczek. Na masywnym, krótkim nosie nie znać było odcisków od wtyków nosowych. Uwagę przyciągały zwłaszcza oczy. Ich źrenice były wyjątkowo wyraźne, bez śladu błękitu, który nadawała przyprawa. Miał brązowe oczy. Brązowe oczy u Fremena!

– Jestem Garun – przedstawił się, gdy Nayla stanęła na wprost niego. – Jestem tutejszym naibem. Witam was w imieniu Fremenów w Tuono.

Nayla wskazała Sionę i Idaho, którzy stali za nią.

– Przygotowaliście już kwatery dla przybyszów?

– My, Fremeni, jesteśmy znani z gościnności – powiedział Garun. – Wszystko jest gotowe.

Idaho chłonął kwaśny zapach i dźwięki tego miejsca. Budynek z flagą miał otwarte okna, więc mógł zajrzeć do środka. Sztandar Atrydów na czymś takim? Okno otwierało się na niską, półokrągłą salę z miejscem dla muzyków otaczającym niewielką scenę. Ujrzał rzędy miejsc siedzących

i bordowy dywan na podłodze. Pomieszczenie to wyglądało na salę, która służy rozrywce turystów.

Odgłos szurania sprawił, że Idaho spojrzął z kolei na Garuna. Dzieci wysforowały się na czoło delegacji, wyciągając brudne ręce z bukietami jaskrawych kwiatów. Kwiaty były przywiedle.

Garun zwrócił się do Siony, prawidłowo rozpoznawszy złote dystynkcje dowódcy rybomównych na jej mundurze.

– Czy życzysz sobie obejrzeć rytualne występy Fremenów? – zapytał. – Muzyka? Może tańce?

Nayla przyjęła bukiet kwiatów od jednego z dzieci, powąchała go i kichnęła.

Inny urwis wyciągnął kwiaty w kierunku Siony, podnosząc na nią swoje wielkie oczy. Przyjęła bukiet, nie patrząc na dziecko. Gdy dzieci podeszły do Idaho, dał im znak, żeby zostawiły go w spokoju. Zawahały się, a potem podbiegły do reszty oddziału.

– Jeśli dasz im kilka monet, zostawią cię w spokoju – powiedział Garun.

Idaho wzruszył ramionami. A więc tego uczono fremeńskie dzieci?

Garun skupił się na Sionie. Nayla słuchała, jak objaśnia jej topografię wioski.

Idaho opuścił ich i ruszył w dół ulicy. Czuł na sobie spojrzenia ciekawskich oczu. Był niemal obrażony dekoracją ścian budynków, która w ogóle nie skrywała oznak rozkładu. Zapatrzył się na półokrągłą salę. Było coś przykrego w Tuono, *coś* kryjącego się pod zwiędłymi kwiatami i służalczym tonem Garuna. W innych czasach i na innej planecie po takiej wiosce krążyliby przepasani sznurami chłopcy, zwracając się z różnymi prośbami do starszyny. W głosie Garuna słyszeć było błagalny ton. To nie byli Fremeni! Te biedne stworzenia żyły na marginesie, starając się zachować choć część dawnej świetności. W tym czasie zaś rzeczywistość wymykała im się z rąk. Co stworzył tutaj Leto? *Muzealni* Fremeni byli pozbawieni wszystkiego poza nędzną egzystencją i recytowaniem obrzędowych formuł, których nie rozumieli i których nawet nie umieli prawidłowo wypowiadać!

Wróciwszy do Siony, Idaho zaczął się przyglądać krojowi brązowej szaty Garuna. Była bardzo obcisła – chodziło o to, by oszczędzać materiał. Filtrak, który powinien się znajdować pod ubraniem, został wystawiony na działanie promieni słonecznych. Żaden prawdziwy Fremen by tak nie postąpił. Idaho rzucił okiem na szaty reszty delegacji, uszyte w ten sam oszczędny sposób.

Mówiło to wiele o ich mentalności. Taki krój powodował, że nie można było wykonywać zamaszystych gestów ani swobodnie się poruszać. Ubioru były ciasne i ograniczające, podobnie jak ograniczeni byli ci ludzie.

Czując, że ogarnia go niesmak, nieoczekiwanie postąpił naprzód i rozchylił szaty Garuna, by przyjrzeć się jego filtrakowi. Było tak, jak się spodziewał! Filtrak był kolejną blagą – bez rękawów, bez pomp obcasowych!

Garun odsunął się, kładąc dłoń na rękojeści noża, który odsłonił Idaho.

– Co robisz? – zapytał płaczliwie. – Nie wolno dotykać Fremena w ten sposób!

– Ty? Fremenem? – zdumiał się Idaho. – Żyłem wśród Fremenów! Walczyłem u ich boku z Harkonnenami! Ginałem z Fremenami! A ty? Ty jesteś atrapą!

Knykcie Garuna zbieleły na rękojeści noża.

– Kim jest ten człowiek? – zapytał Sionę.

– To Duncan Idaho – odpowiedziała Nayla.

– Ghola? – Mężczyzna popatrzył na twarz Idaho. – Nie widzieliśmy tu nigdy kogoś takiego.

Idaho poczuł nagle palącą chęć oczyszczenia tego miejsca, nawet gdyby miało go to kosztować życie, to lekceważone życie bez końca powielane przez ludzi, którzy nie mieli dla niego żadnych względów. „Starszy model? Tak!” Ale ten tutaj nie był Fremenem.

– Wyciągnij nóż albo zdejmij z niego rękę – rzekł.

Garun puścił nóż.

– To nie jest prawdziwa broń – powiedział. – To tylko dekoracja. – W jego głosie zabrzmiało podniecenie. – Ale mamy prawdziwe noże, a nawet krysnoże! Są trzymane w gablotach i konserwowane.

Idaho nie zdołał się powstrzymać. Odchylił głowę i wybuchnął śmiechem. Siona uśmiechnęła się, lecz Nayla wyglądała na zamyśloną, rybomówne zaś otoczyły ich ciasnym kołem.

Śmiech wywarł na Garunie dziwne wrażenie. Opuścił głowę i splótł ręce, nie tak szybko jednak, by Idaho nie zauważył ich drżenia. Kiedy naib podniósł wzrok, rzucił Idaho ciężkie spojrzenie spod ściągniętych brwi. Idaho gwałtownie otrzeźwiał. Było tak, jak gdyby ciężkim butem zmiażdżył „ja” Garuna, pozostawiając jedynie pełną bojaźni służalczość. W oczach mężczyzny wyczytać można było czujne oczekiwanie. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Idaho przypomniał sobie fragment z Biblii

Protestancko-Katolickiej. Zapytał sam siebie: „Czy to są ci pokornego serca, którzy przetrwają nas i odziedziczą wszechświat?”

Garun odkaslnął.

– Może zatem ghola Duncan Idaho zechce zobaczyć nasze obyczaje i obrzędy i ocenić je?

Idaho poczuł się zawstydzony tą żalosną prośbą.

– Nauczę was wszystkiego, co wiem o Fremenach – rzekł bez namysłu, po czym spojrzał na niezadowoloną Naylę. – To pomoże zabić czas. A kto wie, może przywróci tej ziemi coś fremeńskiego?

– Nie potrzebujemy bawić się w kultywowanie starych obrzędów – odezwała się Siona. – Zabierz nas do naszych kwater.

Nayla schyliła głowę, zakłopotana.

– Dowódczyni, jest coś, o czym nie ośmieliłam się dotąd wspomnieć – powiedziała, nie patrząc na Sionę.

– Czy chodzi o to, że musisz się upewnić, że zostaniemy w tym okropnym miejscu? – zapytała Siona.

– Nie! – Nayla podniosła wzrok. – Dokąd mielibyście pójść? Na mur nie można się wspiąć, a obok jest tylko rzeka. W przeciwnym kierunku zaś znajduje się Serir. Nie... chodzi o coś zupełnie innego. – Potrząsnęła głową.

– Mów wreszcie! – rozkazała Siona.

– Dostałam surowy rozkaz, dowódczyni, i nie ośmielę się go nie wypełnić. – Nayla popatrzyła na pozostałe rybomówny, a potem przeniosła wzrok na Sionę. – Ty i... Duncan Idaho będziecie mieszkali w jednej kwaterze.

– To rozkaz mojego ojca?

– Dowódczyni, powiedziano nam, że to rozkaz samego Boga Imperatora, i nie odważymy się go nie wykonać.

Siona popatrzyła na Idaho.

– Pamiętasz, przed czym cię ostrzegałam, Duncan, kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy w cytadeli?

– Zrobię z moimi rękami, co zechcę – prychnął Idaho. – Nie sądzę, byś musiała mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do moich zamiarów!

Odwróciła się od niego, skinąwszy wprawdzie lekko głową, i popatrzyła na Garuna.

– Co za różnica, gdzie będziemy spali w tym odrażającym miejscu? Zaprowadź nas na kwaterę.

Reakcja Garuna zafascynowała Idaho – mężczyzna odwrócił głowę w kierunku gholi, ukrył twarz pod fremeńskim kapturem i mrugnął konspiracyjnie. Dopiero wtedy poprowadził ich w głąb brudnej ulicy.



Co jest największym zagrożeniem dla mojej władzy? Powiem wam. Jest nim prawdziwy wizjoner, człowiek stojący przed Bogiem z pełną świadomością, przed kim stoi. Wizjonerska ekstaza wyzwala energię podobną do energii seksualnej, niemającą innego celu poza stwarzaniem. Jeden akt twórczy może być podobny do drugiego. Wszystko zależy od wizji.

– *Wykradzione dzienniki*

Leto leżał z dala od powozu na najwyższym balkonie Małej Cytadeli. Tłumił jeszcze wzburzenie spowodowane opóźnieniami, które odsuwały datę jego ślubu z Hwi Nori. Spoglądał na południowy zachód. Gdzieś tam, za ciemniejącym horyzontem, Duncan, Siona i ich towarzyszek spędzali już szósty dzień w wiosce Tuono.

„Sam jestem winny opóźnieniom – pomyślał. – To ja zmieniłem miejsce ślubu, a biedny Moneo musiał zmieniać wszystkie przygotowania”.

I na dodatek pojawiła się sprawa Malkiego.

Niczego z tego nie można było wyjaśnić Moneo, który przechadzał się niespokojnie po komnacie na szczycie wieży. Ciężko przeżywał swą nieobecność w punkcie dowodzenia, z którego kierował przygotowaniami. Ale Moneo wiecznie się zamartwiał!

Leto spojrzał na zachodzące słońce. Wisiało nisko nad horyzontem, pomarańczowe po niedawnej burzy. Na południu, poza Serirem, pełzły deszczowe chmury. Patrzył w milczeniu na padający tam deszcz, a cisza – zdawało się – trwała bez końca. Chmury rosły na ponurym, szarym niebie, deszcz zaś sunął widocznymi wyraźnie strugami. Leto czuł, jak opadają go nieproszone wspomnienia. Ciężko było się otrząsnąć z tego nastroju. Nieświadomie mamrotał zapamiętane linijki jakiegoś starego wiersza.

– Mówiłeś coś, Panie? – dobiegł go z bliska głos Moneo. Wystarczyło mu poruszyć oczami, by ujrzeć wiernego marszałka dworu stojącego w wyczekującej pozie.

– Słowik się gnieździ w gałęziach śliwy, ale co pocznie, gdy nadleci wiatr? – wyrecytował Leto w przekładzie na galach.

– To pytanie, Panie?

– Stare jak świat, Moneo. Odpowiedź jest prosta. Słowik powinien siedzieć w swoich kwiatach.

– Nie rozumiem, Panie.

– Przestań powtarzać oczywistości, Moneo. To mnie drażni.

– Wybacz, Panie.

– A cóż mogę zrobić innego? – Leto wpatrywał się w udręczoną twarz marszałka. – Ty i ja, Moneo, poza wszystkim innym, tworzymy dobry teatr.

Moneo spojrzał mu w oczy.

– Panie?

– Obrzędy na cześć Dionizosa stały się załącznikiem teatru greckiego. Religia często prowadzi do teatru. Dzięki nam ludzie będą mieli dobry teatr.

Raz jeszcze obrócił się i spojrzał na południowo-zachodni horyzont. Wiatr gromadził tam chmury. Leto pomyślał, że mógłby usłyszeć łoskot gnanego wiatrem piasku, ale na tej wysokości panowała cisza, zakłócana jedynie najśłabszym powiewem.

– Te chmury – wyszeptał. – Chciałbym znów mieć puchar z księżycowym blaskiem w ręku, starą łajbę pod stopami i siny płaszcz na ramionach, widzieć pierzaste chmury na mrocznym niebie i słyszeć w pobliżu rzenie koni.

– Mój Pan się niepokoi – powiedział Moneo.

Współczucie w jego głosie wzruszyło Leto.

– Jaskrawe cienie przeszłości nigdy nie zostawiają mnie w spokoju – odrzekł. – Nasłuchiwałem kojącego dźwięku wieczornego dzwonu w miasteczku, ale powiedział mi tylko, że jestem głosem i duszą tego miejsca.

Gdy to mówił, ciemności ogarnęły wieżę. Wokół nich zapłonęły światła. Leto skierował wzrok tam, gdzie pierwszy księżyc dryfował nad chmurami niczym cienki plaster melona, a pomarańczowe światło Arrakis ukazywało pełny krąg satelity.

– Panie, po co tu wyszliśmy? Dlaczego mi nie powiedziałeś?

– Chciałem się napawać twoim zdziwieniem – rzekł Leto. – Wkrótce wylądaje tu lichtuga Gildii. Rybomówne przywożą mi Malkiego.

Moneo nabrał tchu i wstrzymał na chwilę oddech.

– Wuja... Hwi? Tego Malkiego?

– Jesteś zaskoczony, że cię nie uprzedzono.
Marszałek poczuł przenikający go chłód.

– Panie, kiedy chcesz coś zachować w sekrecie przed...

– Tobą? – Leto mówił tonem łagodnej perswazji: – Wiem, że Malki składał ci bardziej kuszące propozycje niż ktokolwiek inny...

– Panie! Ja nigdy...

– Wiem, Moneo – powiedział Leto tym samym łagodnym tonem. – Zaskoczenie ożywiło jednak twe wspomnienia i jesteś przygotowany na wszystko, czego mogę od ciebie zażądać.

– Czego... czego mój Pan...

– Być może będziemy musieli się pozbyć Malkiego. Stanowi problem.

– My? Chcesz, żebym ja...

– Być może.

Moneo przełknął ślinę.

– Matka Wielebna...

– Anteac nie żyje. Dobrze mi służyła, ale nie żyje. Doszło do bitwy, kiedy moje rybomówne zaatakowały to... *miejsce*, w którym ukrywał się Malki.

– Poradzimy sobie bez Anteac.

– Doceniam twoją nieufność wobec Bene Gesserit, ale wołałbym, żeby Anteac opuściła nas w inny sposób. Była mi wierna, Moneo.

– Matka Wielebna była...

– Gildia i Bene Tleilax chcieli poznać sekret Malkiego. Gdy zrozumieli, że ruszamy na Ixan, uderzyli przed rybomównymi. Anteac... cóż, była w stanie ich powstrzymać tylko przez chwilę, ale to wystarczyło. Rybomówne otoczyły tamto miejsce.

– *Sekret* Malkiego, Panie?

– Kiedy coś znika, jest to równie wymowne jak nagłe pojawienie się. Puste przestrzenie zawsze zasługują na zbadanie.

– Co mój Pan rozumie przez „puste”?

– Malki nie umarł! Wiedziałbym o tym. Zatem gdzie się podział, kiedy zniknął?

– Zniknął... sprzed twych oczu, Panie? Czy to znaczy, że Ixanie...

– Udoskonalili urządzenie, które kiedyś od nich dostałem. Robili to powoli, z wyczuciem, przesłaniając jedne przesłony drugimi. Zauważyłem jednak ich cienie. Byłem zaskoczony, ale też zadowolony.

Moneo zastanowił się nad tym. „Urządzenie, które ukrywa... Aaach!”
Bóg Imperator wspominał o nim przy paru okazjach, mówiąc o sposobie

ukrycia zapisywanych przez niego myśli.

– I Malki przynosi ten sekret?

– O, tak! Ale to nie jest prawdziwy sekret Malkiego. Trzyma w zanadrzu coś jeszcze i myśli, że tego nie podejrzewam.

– Coś... ale, Panie, jeżeli zdołali to ukryć nawet przed tobą...

– Teraz potrafi to wielu. Rozproszyli się, kiedy rybomówne uderzyły. Sekret urządzenia Ixan poszedł w świat.

Oczy Moneo rozszerzyły się z niepokoju.

– Panie, jeżeli ktoś...

– Jeżeli nauczą się rozumu, nie zostawią śladów – rzekł Leto. – Powiedz mi, Moneo, co Nayla mówi o Duncanie. Nie ma oporów przed składaniem ci raportów?

– Zrobi, co mój Pan rozkaże. – Moneo chrząknął. Nie rozumiał, dlaczego Bóg Imperator mówi jednym tchem o zatartych śladach, Duncanie i Nayli.

– Oczywiście – powiedział Leto. – Nayla zrobi, co rozkażę. Ale co mówi o Duncanie?

– Nie starał się połączyć z Sioną, jeżeli o to mój Pan...

– A co robi z moim marionetkowym naibem Garunem i innymi Muzealnymi Fremenami?

– Opowiada im o dawnych obyczajach, o wojnach z Harkonnenami, o pierwszych Atrydach tu, na Arrakis...

– Na Diunie!

– Tak, na Diunie.

– To dlatego, że nie ma już Diuny i nie ma już Fremenów. Przekazałeś moją wiadomość Nayli?

– Panie, dlaczego ryzykujesz?

– Przekazałeś wiadomość?

– Wysłałem kurierkę do Tuono, ale mogę jeszcze ją zawrócić.

– Ani się waż!

– Ale, Panie...

– Co ma przekazać Nayli?

– Że... że rozkazujesz, by nadal była bezwzględnie posłuszna mojej córce, chyba że... Panie! To niebezpieczne!

– Niebezpieczne? Nayla jest rybomówną. Będzie mi posłuszna.

– Ale Siona... Panie, czuję, że moja córka nie służy ci całym sercem. A Nayla jest...

– Nayli nie wolno się wahać.

- Panie, urządzmy twój ślub w innym miejscu.
 - Nie!
 - Wiem, że wizja objawiła ci...
 - Złoty Szlak trwa, Moneo. Wiesz o tym tak samo jak ja.
- Moneo westchnął.

– Nieskończoność należy do ciebie, Panie. Nie kwestionuję... – Urwał, gdy potworny ryk wstrząsnął wieżą.

Obrócili się ku źródłu tego dźwięku. Pióropusz błękitno-pomarańczowego światła zstępował na pustynię niecały kilometr na południe od nich, rozsyłając wirujące fale uderzeniowe.

– Aaach, mój gość przybywa – rzekł Leto. – Poleć tam moim powozem, Moneo. Zabierz tylko Malkiego. Powiedz gildianom, że zasłużyli na moje przebaczenie, a potem ich odeślij.

– Twoje przeba... tak, Panie. Ale jeżeli znają sekret...

– Służą moim celom, Moneo. Ty musisz robić to samo. Przywieź tu Malkiego.

Marszałek posłusznie ruszył do powozu leżącego w cieniu po drugiej stronie podniebnej komnaty, wszedł nań i patrzył, jak w Murze otwiera się paszcza nocy. W tę noc wysunęła się platforma lądownicza. Lekki jak piórko powóz opuścił na dryfach wieżę i poleciał ku lichtudze, która stała pionowo niczym zniekształcona miniatura Małej Cytadeli.

Leto obserwował to z balkonu, unosząc przednie segmenty, by mieć lepszy widok. Swym bystrym wzrokiem rozróżniał w świetle księżyca białą postać Moneo na powozie. Długonodzy słudzy Gildii zbliżyli się z noszami, wsunęli je na powóz i postali przy nim chwilę, rozmawiając z Moneo. Kiedy odeszli, Leto zamknął zdalnie kopułę pojazdu, dostrzegając na niej odbłask księżyca. Powóz wrócił ze swym ładunkiem na platformę, a lichtuga Gildii uniosła się z dudniącym grzmotem.

Leto wprowadził pojazd do komnaty, ubezpieczył wejście i otworzył kopułę. Piasek chrzęścił pod nim, gdy toczył się i unosił przednie segmenty, by spojrzeć na Malkiego. Malki leżał przywiązany do noszy szeroką, szarą taśmą elastyczną. Twarz miał jak popiół, włosy siwe.

Moneo wyszedł z powozu i obejrzał się na leżącego.

– On jest ranny, Panie. Chcieli przysłać z nim lekarza...

– Chcieli przysłać szpiega.

Leto uważnie obserwował Malkiego: ciemną cerę, zapadłe policzki, ostry nos kontrastujący z owalem twarzy, gęste, prawie całkiem białe brwi.

A przecież to tylko jedno życie! Na testosteronie... tak.

Ixanin otworzył oczy. To był prawdziwy wstrząs: ujrzeć zło w tych brązowych oczach łani! Malki uśmiechnął się krzywo.

– Pan Leto. – Głos był niewiele głośniejszy od szeptu. Oczy zwróciły się w bok, skupiając na marszałku dworu. – I Moneo. Wybaczcie, że nie wstaję.

– Coś cię boli? – spytał Leto.

– Czasami. – Oczy Malkiego poruszyły się, badając otoczenie. – A gdzie hurysy?

– Obawiam się, że muszę ci odmówić tej przyjemności, Malki.

– Trudno – wychrypiał Ixanin. – Nie sądzę, bym sprostał ich wymaganiom. Te, które po mnie posłałeś, raczej nie były hurysami.

– Były mi po prostu posłuszne.

– To były krwawe łowczynie!

– Łowczynią była Anteac. Moje rybomówne tylko sprzątały.

Moneo przenosił wzrok z jednego na drugiego. W tej rozmowie były jakieś niepokojące podteksty. Mimo chrypki głos Malkiego brzmiał prawie beztrudno... ale z nim zawsze tak było. Był niebezpieczny.

– Przed twoim przybyciem Moneo i ja rozmawialiśmy o nieskończoności.

– Biedny Moneo – powiedział Malki.

Leto uśmiechnął się.

– Pamiętasz, Malki, jak kiedyś prosiłeś mnie, żebym zademonstrował ci nieskończoność? Odpowiedziałem, że nie ma takiej nieskończoności, którą można zademonstrować.

Ixanin spojrzał na Moneo.

– Leto lubi bawić się w paradoksy. Zna wszystkie językowe sztuczki, jakie kiedykolwiek wymyślono.

Moneo stłumił gniew. Czuł się wyłączony z rozmowy. Czuł, że jest przedmiotem żartów dwóch wyższych od niego istot. Malki i Bóg Imperator zachowywali się niczym starzy przyjaciele wspominający miłe chwile z przeszłości.

– Moneo oskarża mnie – powiedział Leto – że jestem wyłącznym właścicielem nieskończoności. Nie chce uwierzyć, że ma tyle samo nieskończoności co ja.

Malki zmierzył Leto wzrokiem.

– Widzisz, Moneo? Widzisz, jak on się bawi słowami?

– Opowiedz mi o swojej siostrzenicy, o Hwi Nori.

– Czy to prawda, co mówią? Że zamierzasz poślubić miłą Hwi?

– Prawda.

Malki zachichotał, ale zaraz skrzywił się z bólu.

– Trochę mnie nadwerężyły, Leto – wyszeptał, po czym rzekł: – Powiedz mi, stary czerwiu...

Moneo zakrztusił się.

Malki odczekał chwilę, aż ból minie.

– Powiedz mi, stary czerwiu – powtórzył – czy w twoim potwornym cielsku kryje się jakiś potworny penis? Cóż to będzie za wstrząs dla miłej Hwi!

– Już dawno powiedziałem ci prawdę o tym – rzekł Leto.

– Nikt nie mówi prawdy – stwierdził Malki.

– Ty często mówiłeś – odparł Leto. – Nawet o tym nie wiedząc.

– To dlatego, że jesteś przebieglejszy od nas wszystkich.

– Opowiesz mi o Hwi?

– Myślę, że już wiesz wszystko.

– Chcę to usłyszeć od ciebie. Czy Tleilaxanie wam pomogli?

– Dali nam wiedzę, nic poza tym. Całą resztę zrobiliśmy sami.

– Tak myślałem, że to nie dzieło Tleilaxan.

Moneo nie zdołał opanować ciekawości.

– Panie, o co chodzi z Hwi i z Tleilaxanami? Dlaczego ty...

– Spokojnie, stary przyjacielu – powiedział Malki, przenosząc wzrok na marszałka dworu. – Nie wiesz, co on...

– Nigdy nie byłem twoim przyjacielem! – odgryzł się Moneo.

– Zatem towarzyszem zabaw z hurysami – odrzekł Malki.

– Panie – marszałek obrócił się ku Leto – dlaczego...

– Dość, Moneo – przerwał Bóg Imperator. – To męczy twojego starego towarzysza, a muszę się jeszcze dowiedzieć od niego paru rzeczy.

– Nie zastanawiałeś się, Leto – spytał Malki – dlaczego Moneo nie starał się odebrać ci całej tej bababuchy?

– Bababuchy? – zdziwił się Moneo.

– Kolejne z dawnych słówek Leto – wyjaśnił Malki. – Baba i buch to bababucha. Idealna nazwa dla kobiecej armii. Dlaczego nie zmienisz nazwy twego Imperium, Leto? Wielka Bababucha!

Leto podniósł dłoń, nakazując Moneo milczenie.

– Opowiesz mi o Hwi, Malki?

– To tylko kilka komórek z mego ciała – rzekł Ixanin – a potem starannie nadzorowany wzrost i wychowanie... w efekcie zupełne przeciwieństwo

twego starego druha Malkiego. Dokonaliśmy tego w pozaprzestrzeni, której nie mogłeś zobaczyć!

– Zauważam jednak, gdy coś znika – odparł Leto.

– Pozaprzestrzeń? – spytał Moneo, a potem dotarło do niego znaczenie słów Malkiego. – Ty? Ty i Hwi...

– To właśnie ten kształt widziałem wśród cieni – powiedział Leto.

Moneo spojrzał mu prosto w twarz.

– Panie, odwołam te zaślubiny. Powiem, że...

– Ani się waż!

– Ale, Panie, skoro ona i Malki są...

– Moneo – wykrztusił Malki – twój Pan każe, a ty masz słuchać!

Ten szyderczy ton! Marszałek popatrzył groźnie na Malkiego.

– To zupełne przeciwieństwo Malkiego – powiedział Leto. – Nie słyszałeś?

– Czy może być coś lepszego? – spytał Ixanin.

– Ale na pewno, Panie, skoro teraz wiesz...

– Moneo – przerwał mu Leto – zaczynasz mnie drażnić.

Moneo zamilkł.

– Tak lepiej. Wiesz, Moneo, kiedyś, dziesiątki tysięcy lat temu, gdy byłem inną osobą, popełniłem błąd.

– Ty? Błąd? – spytał szyderczo Malki.

Leto tylko się uśmiechnął.

– Mój błąd został naprawiony przez wspaniały sposób, w jaki go wyraziłem.

– Słowne sztuczki – rzucił Malki.

– Rzeczywiście. Oto, co wtedy powiedziałem: „Teraźniejszość to rozterka, przyszłość to marzenie. Jedynie pamięć potrafi odkryć znaczenie życia”. Czy to nie piękne słowa, Malki?

– Znakomite, stary czerwiu.

Moneo zakrył dłonią usta.

– Moje słowa były jednak kłamstwem – powiedział Leto. – Wiedziałem to wtedy, ale byłem zauroczony ich *pięknością*. Nie, pamięć nie odkrywa żadnych znaczeń. Poza męką ducha, która jest doświadczeniem bez słów, nigdzie nie ma jakichkolwiek znaczeń.

– Jakoś nie dostrzegam znaczenia męki zadanej mi przez twoje krwawe rybomówny.

– Nie cierpisz żadnej męki.

- Gdybyś był w moim ciele, tobyś...
- To tylko ból fizyczny. Wkrótce się skończy.
- Kiedy więc poznam te męki?
- Być może później.

Leto odchylił swe przednie segmenty, by spojrzeć na Moneo.

- Naprawdę służysz Złotemu Szlakowi, Moneo?
- Aaach, Złoty Szlak! – zadrwił Malki.
- Wiesz, że tak jest, Panie – odparł marszałek.
- Musisz mi więc obiecać, że to, czego się tu dowiedziałeś, nigdy ci się nie wymknie. Nie możesz tego wyjawiać słowem ani gestem.
- Obiecuję, Panie.
- On obiecuje, Panie – szydził Malki.

Drobna dłoń Leto wskazała Ixanina, który patrzył w górę na profil osłonięty szarym kapturem.

- Ze względu na dawny podziw i z wielu innych powodów, nie mogę zabić Malkiego ani prosić o to ciebie, trzeba go jednak usunąć.
- Ach, jakiś ty sprytny! – zaśmiał się Malki.
- Panie, zechciej zaczekać w drugim końcu komnaty – powiedział Moneo.
- Być może, kiedy wrócisz, nie będzie już problemu Malkiego.
- On to zamierza zrobić! – wychrypiał Ixanin. – Bogowie podziemi! On to chce zrobić!

Leto odpętlzył ku zacienionej części komnaty, skupiając uwagę na słabo widocznym zarysie łuku, pod którym na jego rozkaz otwarłoby się wyjście w noc. Upadek z platformy lądowiska byłby długi. Chyba nie przeżyłoby go nawet jego ciało. W piasku pod wieżą nie było jednak wody, więc poczuł, że Złoty Szlak zaczyna migotać tylko dlatego, iż pozwolił sobie pomyśleć o takim końcu.

- Leto! – zawołał Malki za nim.

Leto usłyszał, jak nosze chrzęszczą po piasku naniesionym przez wiatr do podniebnej komnaty.

- Leto, jesteś najlepszy! – zawołał raz jeszcze Malki. – Nie ma we wszechświecie zła, które by mogło przewyższyć...

Głuche uderzenie ucięło słowa Malkiego. „Cios w krtań – pomyślał Leto. – Tak, Moneo potrafi go zadać”. Potem rozsunała się przejrzysta przesłona balkonu, nosze zgrzytnęły o poręcz i nastąpiła cisza. „Moneo będzie musiał pogrzebać ciało w piasku. Nie ma jeszcze żadnego czerwca, który mógłby

pochłonać dowody”. Odwrócił się i spojrzał. Moneo stał oparty o poręcz, patrząc w dół...

„Nie mogę modlić się za ciebie, Malki, ani za ciebie, Moneo – pomyślał Leto. – Mogę być jedyną religijną świadomością w Imperium, gdyż jestem naprawdę sam... więc nie mogę się modlić”.



Nie zrozumiecie historii, dopóki nie zrozumiecie jej nurtów, prądów i tego, jak poruszają się wśród tych sił przywódcy. Przywódca stara się utrwalić stan, który wymaga jego przywództwa. Potrzebny mu jest *outsider*. Wzywam was do uważnego badania moich losów. Jestem *zarazem* przywódcą i outsiderem. Nie sądźcie, że jedynie stworzyłem Kościół będący też Państwem. Taka była moja rola jako przywódcy i miałem wiele historycznych wzorów. Szukając klucza do mojej roli outsidera, przyjrzyjcie się sztuce moich czasów. Ta sztuka jest barbarzyńska. Ulubiona poezja? Epika. Popularny ideał dramatyczny? Heroizm. Taniec? Zaniedbany. Co do punktu widzenia Moneo, ma on rację, uważając, że to niebezpieczne. To stymuluje wyobraźnię. Zmusza ludzi, by odczuwali brak tego, co im odebrałem. Co zaś im odebrałem? Prawo uczestniczenia w historii.

– Wykradzione dzienniki

Idaho, wyciągnięty z zamkniętymi oczami na posłaniu, usłyszał skrzypienie drugiej pryczy. Usiadł w popołudniowym świetle wpadającym pod ostrym kątem przez jedyne okno i odbijającym się od posadzki z białych płytek na jasnożółte ściany. Zobaczył, że Siona leży i już czyta jedną z tych książek, które przyniosła w zielonym płóciennym plecaku.

„Dlaczego czyta książki?” – zastanawiał się.

Opuścił nogi na podłogę i rozejrzał się po pokoju. Jak można było uważać to przestronne, wysokie *pudło* za fremeńskie? Szeroki stół z jakiegoś miejscowego brunatnego tworzywa rozdzielał prycze. W pokoju było dwoje drzwi. Jedne prowadziły wprost do ogrodu, drugie do komfortowej łazienki, której białoniebieskie płytki lśniły blaskiem jasnego nieba. Łazienka mieściła, obok wielu niezbędnych urządzeń, wpuszczoną w posadzkę wannę i natrysk, każde o powierzchni co najmniej dwóch metrów kwadratowych. Drzwi były uchylone i Idaho słyszał szum wody wypływającej z wanny. Siona, jak się zdawało, była amatorką kąpieli w nadmiernej jej ilości.

Stilgar, naib Duncana w dawnych czasach na Diunie, popatrzyłby na tę łazienkę z pogardą. „Wstyd! – powiedziałaby. – Upadek! Słabość!” Użyłby wielu szyderczych słów, mówiąc o całej tej wsi, która śmiała się porównywać z prawdziwą fremeńską siczą.

Siona odwróciła kartkę. Papier zaszeleścił. Leżała z dwiema poduszkami pod głową, a cienka biała szata przylegała do wilgotnego wciąż po kąpieli ciała.

Idaho pokręcił głową. Co tak przyciąga jej uwagę do tych książek? Czytała je wciąż od przybycia do Tuono. Tomy były cienkie, ale liczne. Czarne oprawy miały tylko numery. Idaho wypatrzył numer „dziewięć”.

Wstał i podszedł do okna. W oddali jakiś stary człowiek okopywał kwiaty. Ogród był z trzech stron osłonięty przez budynki. Kwiaty były wielkie, czerwone z zewnątrz, a po rozchyleniu białe. Siwe włosy starca same wyglądały jak kwiat kołyszący się wśród bieli kwiatostanów i klejnotów pąków. Idaho czuł zapach rozkładających się liści i świeżo skopanej ziemi zmieszany z aromatem kwiatów.

„Fremen hodujący kwiaty na otwartej przestrzeni!”

Siona nie wspomniała o swojej dziwnej pasji. „Drażni się ze mną – pomyślał Idaho. – Chce, żebym ją o to zapytał”.

Starał się nie myśleć o Hwi. Ogarniała go wściekłość, gdy o niej myślał. Przypomniawszy sobie fremeńskie określenie tego uczucia: *kanawa* – żelazny pierścień zazdrości. „Gdzie jest Hwi? Co teraz robi?”

Drzwi do ogrodu otwarły się nagle i wszedł Tejszar, przyboczny Garuna. Miał trupio bladą twarz poorly z głębokimi zmarszczkami. Zapadnięte oczy były żółtawe. Nosił brunatną szatę, a jego włosy wyglądały jak spłowiała, marniejąca trawa. Wydawał się aż nazbyt szpetny, niczym jakiś mroczny, pierwotny duch. Zamknął drzwi i stał, patrząc na nich.

– O co chodzi? – rzuciła Siona zza pleców Idaho.

Idaho spostrzegł, że Tejszar jest dziwnie podekscytowany, wręcz rozdygotany.

– Bóg Imperator... – Fremen odchrząknął i zaczął od nowa. – Bóg Imperator przybywa do Tuono!

Siona usiadła na łóżku, zakrywając kolana białą szatą. Idaho spojrzał na nią, a potem znów na Tejszara.

– Weźmie tu ślub, tu, w Tuono! Według starego obyczaju Fremenów! Bóg Imperator i jego oblubienica będą gośćmi Tuono!

Idaho, w szponach *kanawy*, wpatrywał się w niego i zaciskał pięści. Tejszar skinął lekko głową i wyszedł, zatraskując drzwi.

– Pozwól, że coś ci przeczytam, Duncan – powiedziała Siona.

Idaho potrzebował chwili, by dotarło do niego znaczenie jej słów. Z zaciśniętymi wciąż pięściami odwrócił się i popatrzył na nią. Siedziała na skraju pryczy z książką na kolanach. Uznała jego spojrzenie za znak zgody.

– Niektórzy wierzą – czytała – że zanim geniusz podejmie pracę, trzeba pogodzić uczciwość z pewną dawką brudnej roboty. Powiadają, że kompromis ten zaczyna się, kiedy porzucasz *sanctus* dla realizacji swoich ideałów. Moneo mówi, że wybrałem pozostanie w *sanctus* i wysyłanie do brudnej roboty innych. – Spojrzała na Idaho. – Bóg Imperator, to jego słowa.

Idaho powoli rozluźnił pięści. Wiedział, że potrzebował tej zmiany tematu. Był też ciekaw, dlaczego Siona przerwała milczenie.

– Co to za książka? – zapytał.

Opowiedziała mu pokrótce, jak wraz z towarzyszami wykradła plany cytadeli i kopie dzienników Leto.

– Oczywiście wiedziałeś o tym – rzekła. – Mój ojciec nie ukrywał, że szpiegdy donieśli o naszym wypadzie.

Wiedział, że łzy napłynęły jej do oczu.

– Wilki zabiły dziesięcioro z was?

Skinęła głową.

– Marny z ciebie dowódca – stwierdził.

Najeżyła się, ale nie zdążyła odezwać, bo spytał:

– Kto je dla was odczytał?

– Pochodzą z Ixa. Podobno Gildia znalazła klucz.

– Wiemy już, że nasz Bóg Imperator sobie pobłąża. Czy to wszystko, co ma do powiedzenia?

– Przeczytaj sam. – Poszperała w plecaku, znalazła pierwszy tom i rzuciła na jego pryczę. Gdy tam podszedł, spytała: – Co masz na myśli, mówiąc, że marny ze mnie dowódca?

– Straciłaś przez to dziesięcioro przyjaciół.

– Głupcze! – Pokręciła głową. – Nigdy nie widziałeś tych wilków!

Podniósł książkę i stwierdził, że jest ciężka. Zorientował się, że wydrukowano ją na papierze krystalicznym.

– Powinniście się uzbroić przeciw wilkom – powiedział, otwierając tom.

– W co? Żadna broń, jaką mogliśmy zdobyć, na nic by się nie przydała.

– A rusznice laserowe? – spytał, przerzucając kartkę.

– Dotknij tylko rusznicy na Arrakis, a Czerw się o tym dowie!

Odwrócił kolejną kartkę.

– Twoi przyjaciele zdobyli w końcu rusznice.

– I co im to dało?

Idaho przeczytał linijkę.

– Dostępne były trucizny – zauważył.

Siona nerwowo przełknęła ślinę.

Spojrzał na nią.

– Wytruliście w końcu te wilki, prawda?

– Tak – odparła prawie szeptem.

– Dlaczego więc nie zrobiliście tego wcześniej?

– Nie... nie wiedzieliśmy... czy to się uda.

– Ale nie spróbowaliście. – Idaho wrócił do książki. – Marny dowódca.

– On jest taki przebiegły! – powiedziała.

Idaho przeczytał linijkę, zanim ponownie skupił uwagę na Sionie.

– To niewiele o nim mówi. Przeczytałaś to wszystko?

– Każde słowo! Niektóre fragmenty po kilka razy.

Popatrzył na otwartą stronę.

– „Stworzyłem, co zamierzałem – przeczytał głośno – potężne duchowe napięcie w całym Imperium. Niewielu wyczuwa jego siłę. Dzięki jakiej energii osiągnąłem ten stan? Nie jestem aż tak silny. Jedyna siła, jaką rozporządzam, to kontrola indywidualnego powodzenia. To suma wszystkiego, co robię. Z jakiego innego powodu ludzie szukają mojej obecności? Chcą być świętymi? Myślą, że dzięki temu uzyskają wizję Boga?”

– To skończony cynik – powiedziała Siona płaczliwym głosem.

– Jakiej cię poddał próbie? – spytał Idaho.

– Pokazał mi... pokazał mi Złoty Szlak.

– To wygodne...

– Jest całkiem realny, Duncan. – Spojrzała na niego oczami błyszczącymi od łez. – Ale jeżeli *kiedykolwiek* był to powód, dla którego został nie tylko Imperatorem, ale i *Bogiem*, nie jest to powód, dla którego stał się tym, czym jest!

Idaho odetchnął głęboko.

– Do czego doszli Atrydzi!

– Czerw musi odejść! – oświadczyła Siona.

– Ciekawe, kiedy przybędzie.

- Tego ten szczerzy przyjaciel Garuna nie powiedział.
- Musimy spytać.
- Nie mamy broni.
- Nayla ma rusznicę – rzekł. – Mamy noże, widziałem też linę w składzie Garuna.
- Przeciw Czerwiowi? Wiesz, że rusznica mu nie zaszkodzi, nawet gdybyśmy mieli tę Nayli.
- Ale czy jego powóz jest odporny na ogień rusznicy?
- Nie ufam Nayli.
- Przecież jest ci posłuszna.
- Tak, ale...
- Będziemy się posuwać krok po kroku – powiedział Idaho. – Spytaj Naylę, czy użyje rusznicy przeciw powozowi Czerwia.
- A jeśli odmówi?
- Zabij ją.
- Siona wstała, odrzucając książkę.
- W jaki sposób Czerw przybędzie do Tuono? Jest za wielki i za ciężki na zwykły ornitopter.
- Garun nam to powie – odrzekła. – Chyba jednak przybędzie tak, jak zwykle podróżuje. – Spojrzała na sufit przesłaniający zewnętrzny mur Seriru. – Myślę, że wyruszy Królewskim Traktem z całym swoim dworem i opuści się tu na dryfach. – Popatrzyła na Idaho. – Co z Garunem?
- To dziwny człowiek – powiedział. – Desperacko pragnie się stać prawdziwym Fremenem. Wie, że wcale nie jest podobny do Fremenów z moich czasów.
- Jacy oni wtedy byli, Duncan?
- Mieli powiedzenie, które dobrze to określa: „Nigdy nie przebywaj w towarzystwie ludzi, u których boku nie chciałbyś umrzeć”.
- Powtórzyłeś to Garunowi?
- Tak.
- I co on na to?
- Powiedział, że jestem jedynym takim człowiekiem, jakiego w życiu spotkał.
- Garun może być mądrzejszy od nas wszystkich.



Uważacie, że władza może być najbardziej niepewnym z wszystkich ludzkich osiągnięć? Co zatem myśleć o oczywistych wyjątkach od tej niepewności? Niektóre rody trwają. Potężne biurokracie religijne słyną z trwałości. Rozważcie związki między wiarą a władzą. Czy wzajemnie się one wykluczają, skoro jedna zależy od drugiej? Bene Gesserit od tysięcy lat trwają w rozsądnym bezpieczeństwie za murem wiary. Gdzie się jednak podziela ich władza?

– *Wykradzione dzienniki*

– Panie, chciałbym, żebyś mi dał więcej czasu – powiedział z urazą Moneo.

Stał pod cytadelą w jej krótkim cieniu południa. Leto leżał wprost przed nim na królewskim powozie. Podróżował z Hwi Nori, która zajmowała zainstalowane wewnątrz półkulistej osłony siedzisko tuż obok twarzy Boga Imperatora. Hwi wydawała się tylko zaciekawiona całą tą krzątaniem, która zaczynała narastać wokół nich.

„Jaka jest spokojna” – pomyślał Moneo, tłumiąc mimowolny dreszcz wywołany tym, czego się dowiedział od Malkiego. Bóg Imperator miał rację. Hwi była dokładnie tym, czym się wydawała: doskonale słodką i rozsądną ludzką istotą. „Czy naprawdę miała połączyć się ze mną?” – zastanawiał się marszałek.

Poruszenie odwróciło od niej jego uwagę. Gdy Leto obwoził Hwi wokół cytadeli zawieszonym na dryfach powozem, zgromadzili się liczni dworzanie i rybomówne. Dworzanie byli w odświętnych strojach z przewagą szkarłatu i złota. Rybomówne przywdziały paradne ciemnoniebieskie mundury, ożywione jedynie kolorami obszywek i znakami jastrzębi. Karawana dryfowych sań podążała za ciągnącymi je rybomównymi. Powietrze pełne było pyłu, zapachów i okrzyków podniecenia.

Większość dworzan nie kryła irytacji, dowiedziawszy się o celu podróży. Niektórzy niezwłocznie zaopatrywali się w namioty i pawilony. Miały one być wysłane wraz z ładunkami i stanąć wśród piasków, niewidoczne z Tuono. Rybomówne z orszaku przyjęły wiadomość bez entuzjazmu. Narzekały, że nie pozwolono im zabrać rusznic laserowych.

– Tylko *trochę* więcej czasu, Panie – prosił Moneo. – Wciąż nie wiem, jak...

– Przy rozwiązywaniu problemów nic nie jest ważniejsze od czasu – odparł Leto. – Ty jednak zbyt na nim polegasz. Nie zgadzam się na dalszą zwłokę.

– Trzy dni zajmie nam samo dojście tam.

Leto pomyślał o tym czasie, o podróży truchtem... przez sto osiemdziesiąt kilometrów. Tak, trzy dni.

– Jestem pewien, że dobrze przygotowałeś postoje. Mnóstwo gorącej wody na skurcze mięśni?

– Wygód będzie pod dostatkiem – rzekł Moneo – ale nie podoba mi się opuszczanie cytadeli w takich czasach. A ty, Panie, wiesz czemu!

– Mamy środki łączności i lojalnych pomocników. Gildia została odpowiednio upomniana. Uspokój się, Moneo.

– Moglibyśmy urządzić tę uroczystość w cytadeli!

Zamiast odpowiedzi Leto zamknął pokrywę kopuły, odcinając się wraz z Hwi od świata.

– Czy to niebezpieczne, Leto? – spytała.

– Niebezpieczeństwo zawsze istnieje.

Moneo westchnął, odwrócił się i potruchtał ku miejscu, gdzie Królewski Trakt zaczynał długą wspinaczkę ku wschodowi, zanim skręcał na południe wokół Seriru. Leto podążył za marszałkiem dworu, słysząc, że jego wielobarwna świta rusza za nim.

– Czy wszyscy wyruszyli? – spytał.

Hwi obejrzała się.

– Tak. – Wróciła wzrokiem do Leto. – Dlaczego Moneo tak wszystko utrudnia?

– Moneo odkrył, że chwila, która właśnie minęła, jest na zawsze stracona.

– Jest bardzo drażliwy, odkąd wróciłeś z Małej Cytadeli. Zmienił się nie do poznania.

– On jest Atrydą, kochana, a ty zostałeś stworzona, by uszczęśliwiać Atrydów.

– To nie to. Wiedziałaabym, gdyby o to chodziło.

– Tak... Cóż, myślę, że Moneo odkrył istnienie śmierci.

– Jak się czujesz w Małej Cytadeli, kiedy jesteś tam z Moneo?

– To najbardziej samotne miejsce w moim Imperium.

– Chyba odpowiadasz wymijająco.

– Nie, kochana. Podzielam twą troskę o Moneo, ale żadne moje wyjaśnienia mu nie pomogą. Wpadł w pułapkę. Dowiedział się, że trudno

żyć teraźniejszością, życie przyszłością to bezsens, a żyć przeszłością się nie da.

– Chyba to ty wpędziłeś go w pułapkę, Leto.

– Uwolnić musi się jednak sam.

– Dlaczego ty nie możesz tego zrobić?

– Bo on myśli, że kluczem do jego wolności są moje wspomnienia. Sądzi, że buduję naszą przyszłość z naszej przeszłości.

– Czy tak nie jest zawsze, Leto?

– Nie, droga Hwi.

– Więc jak?

– Większość ludzi wierzy, że dla zbudowania znośnej przyszłości trzeba wrócić do wyidealizowanej przeszłości. Przeszłości, która w istocie nigdy nie istniała.

– A ty, ze wszystkimi swymi wspomnieniami, wiesz, że jest inaczej.

Leto obrócił ku niej ocienioną kapturą, badając wzrokiem i wspominając. Z mnóstwa swych wewnętrznych bytów mógł uformować genetyczną propozycję Hwi, ale nie wytrzymałaby ona porównania z żywym ciałem. Otóż to! Przeszłość patrzyła rzędami oczu, niczym ślepiec wyrzuconych z wody ryb, tymczasem Hwi wibrowała życiem. Jej usta były wygięte jak u greckiej kapłanki z Delf, ale nie nuciły żadnych proroctw. Cieszyła się życiem. Była niby kwiat rozwijający nieustannie pąk za pąkiem.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz?

– Napawam się twoją miłością.

– Miłość, tak. – Uśmiechnęła się. – Myślę, że skoro nie możemy się dzielić miłością cielesną, musimy się dzielić duchową. Podzielisz się nią ze mną, Leto?

Był zaskoczony.

– Pytasz o moją duszę?

– Z pewnością nie pytam pierwsza.

– Moja dusza przetwarza swe doznania, nic ponadto – odrzekł krótko.

– Czy prosiłam o zbyt wiele?

– Ty nie możesz prosić mnie o zbyt wiele.

– Nie zgodzę się więc z tobą, ze względu na naszą miłość. Mój wuj Malki mówił mi o twojej duszy.

Leto uświadomił sobie, że nie jest w stanie odpowiedzieć. Wzięła jego milczenie za zgodę na kontynuację tematu.

– Mówił, że jesteś największym artystą w badaniu duszy, przede wszystkim własnej.

– Ależ twój wuj Malki twierdził, że sam nie ma duszy!

Usłyszała jego szorstki ton, lecz jej to nie odstraszyło.

– Mimo to miał chyba rację. Jesteś geniuszem w sprawach duszy, największym.

– Gdzież tu wielkość? Trzeba tylko trwać, uparcie i długo.

Pokonali już sporą część pochyłości wiodącej na szczyt muru otaczającego Serir. Leto opuścił koła powozu i wyłączył dryfy.

Hwi przemówiła cicho, głosem ledwie słyszalnym na tle zgrzytu kół powozu i odgłosu kroków biegnących wokół ludzi.

– Czy mimo wszystko mogę ci mówić „kochany”?

Odpowiedział ze ściśnięciem krtani, raczej zapamiętanym, bo niezupełnie już była ludzka.

– Tak.

– Urodziłam się jako Ixanka, kochany. Dlaczego więc nie dzielam ich mechanistycznej wizji świata? Wiesz, jak patrzę na świat, Leto, mój kochany?

Był w stanie tylko na nią spoglądać.

– Wyczuwam nadprzyrodzoność na każdym kroku.

Głos Leto był chrapliwy, brzmiał gniewnie nawet dla niego.

– Każdy stwarza sobie własną nadprzyrodzoność.

– Nie gniewaj się na mnie, kochany.

Znów ta nieznośna chrypka.

– Nie potrafię się na ciebie gniewać.

– Między tobą a Malkim coś kiedyś zaszło. Nigdy mi nie powiedział, co to było, ale mówił, że często się zastanawiał, dlaczego go oszczędziłeś.

– Przez wzgląd na to, czego mnie nauczył.

– Co zaszło między wami, kochany?

– Wolałbym nie mówić o Malkim.

– Proszę, kochany. Czuję, że to dla mnie ważne.

– Wyraziłem przypuszczenie, że są rzeczy, których ludzie nie powinni wynaleźć.

– I to wszystko?

– Nie – odparł niechętnie. – Moje słowa go rozgniewały. Powiedział: „Myślisz, że w świecie bez ptaków ludzie nie wymyśliliby latających maszyn? Głupiec z ciebie. Ludzie potrafią wynaleźć wszystko!”

- Nazwał cię głupcem? – Hwi była wstrząśnięta.
- Miał rację i chociaż się tego wyparł, mówił prawdę. Nauczył mnie, że są powody, by uciekać od wynalazków.
- Zatem obawiasz się Ixan?
- Oczywiście! Któryś z ich wynalazków może spowodować katastrofę.
- Co mógłbyś wtedy zrobić?
- Biec szybciej. Historia to ciągły wyścig między wynalazkiem a katastrofą. Wykształcenie pomaga, ale nie wystarcza. Musisz także biec.
- Dzielisz się ze mną swą duszą, kochany, wiesz?

Leto odwrócił się od niej i skupił wzrok na plecach Moneo, na ruchach marszałka dworu zdradzających, że coś ukrywa. Orszak schodził właśnie z pierwszej łagodnej pochyłości. Skręcał teraz, zaczynając wspinaczkę na Wieńcomur Zachodni. Moneo szedł jak zawsze, noga za nogą, uważnie stawiając stopy, ale pojawiło się coś nowego. Leto czuł, że ten człowiek się oddala, że nie chce już iść obok Boga Imperatora, że nie obchodzi go los jego Pana. Na wschodzie czekał Serir. Na zachodzie została rzeka, a wraz z nią pola i sady. Moneo nie patrzył ani w lewo, ani w prawo. Widział jakiś inny cel.

- Nie odpowiedziałeś mi – przypomniała Hwi.
- Znasz już odpowiedź.
- Tak. Zaczynam cię rozumieć. Wyczuwam niektóre twoje lęki. I chyba już wiem, gdzie żyjesz.

Spojrzał na nią zaskoczony i stwierdził, że przykuło go jej spojrzenie. To było zdumiewające. Nie mógł oderwać od niej oczu. Poczuł przejmujący lęk. Ręce zaczęły mu drżeć.

– Żyjesz tam, gdzie się łączą lęk przed istnieniem i umiłowanie istnienia, a wszystko to w jednej osobie.

Nie był w stanie nawet mrugnąć.

– Jesteś mistykiem – mówiła – łagodnym wobec siebie tylko dlatego, że znajdujesz się w środku tego wszechświata i patrzysz na zewnątrz tak, jak tego nie potrafią inni. Czujesz lęk przed dzieleniem się tym, a jednak pragniesz tego bardziej niż cegokolwiek.

– Co widziałaś? – wyszeptał.

– Nie mam wewnętrznego oka ani wewnętrznych głosów, widziałam jednak mego Pana Leto, którego duszę kocham, i *znam* tę jedyną rzecz, którą naprawdę rozumiesz.

Oderwał od niej wzrok, bojąc się tego, co mogła powiedzieć. Drżenie rąk udzieliło się całemu przedniemu segmentowi.

– Miłość... oto, co rozumiesz – powiedziała. – Miłość, i w tym jest wszystko.

Drżenie rąk ustało. Dwie łzy stoczyły mu się po policzkach. Gdy dotknęły kaptura, uniosły się smużki niebieskiego dymu. Leto poczuł piekący ból i był za niego wdzięczny.

– Wierzysz w życie – ciągnęła Hwi. – Wiem, że tylko przy takiej wierze można się odważyć kochać.

Wyciągnęła lewą rękę i otarła łzy z jego policzków. Zaskoczyło go, że kaptur odruchowo nie osłonił go przed tym.

– Wiesz, że odkąd stałem się, kim jestem, ty pierwsza dotknęłaś mego policzka?

– Wiem, kim jesteś i kim byłeś.

– Kim byłem... aaach, Hwi. Tylko ta twarz pozostała z tego, kim byłem, cała reszta zagubiła się w mrokach pamięci... ukryta... stracona.

– Nie przede mną ukryta, kochany.

Spojrzał wprost na nią, nie bojąc się już jej wzroku.

– Czy Ixanie wiedzą, co stworzyli, tworząc ciebie?

– Zapewniam cię, Leto, miłości mej duszy, że nie wiedzą. Tobie pierwszemu i jedynemu wyjawiałam wszystko.

– Nie będę więc żałować tego, co mogłoby być – powiedział. – Tak, kochana, będę dzielić z tobą duszę.



Pomyślcie o niej jako o plastycznej pamięci, o tej sile, która kieruje was i waszych przyjaciół ku formom plemiennym. Owa plastyczna pamięć szuka drogi powrotnej do pierwotnego kształtu, do wspólnoty plemiennej. Jest on wszędzie – w lennie, diecezji, korporacji, plutonie, klubie sportowym, zespole tanecznym, komórce spiskowców, komisji planowania, grupie modlitewnej... wszędzie jest pan i są słudzy, gospodarz i pasożyty. A roje odtrąconych pomysłów (z tymi słowami włącznie!) proszą się, by je wpisać na listę argumentów na rzecz powrotu „lepszyc czasów”. Rozpaczliwie staram się wskazać wam inne drogi. Wasze kwadratowe umysły stawiają opór kręgom.

– *Wykradzione dzienniki*

Idaho przekonał się, że potrafi się wspinać, nie myśląc o tym. Wyhodowane przez Tleilaxan ciało pamiętało rzeczy, których ci nawet nie podejrzewali. Jego prawdziwa młodość mogła się zagubić w eonach, ale za sprawą Tleilaxan jego mięśnie były młode, kiedy zaś się wspinał, nie mógł zapomnieć o swoim dzieciństwie. Nauczył się wtedy przetrwania dzięki ucieczce w wysokie skały ojczystej planety. Nie miało znaczenia, że skały, na które się teraz wspinał, były dziełem człowieka. Je także przez stulecia kształtowała pogoda.

Południowe słońce grzało go w plecy. Słyszał, jak Siona wysila się, by wejść na względnie łatwą pozycję, kamienną półkę daleko pod nim. To stanowisko było dla niego bezużyteczne, ale miało ostatecznie przekonać Sionę, że powinni podjąć tę wspinaczkę.

Protestowała, usłyszawszy, że mógłby spróbować tego sam. Nayla, trzy jej przyboczne rybomówny, Garun i trzej z jego Muzealnych Fremenów czekali na piasku u stóp muru, który otaczał Serir.

Idaho nie myślał o wysokości muru. Myślał tylko o tym, gdzie oprzeć rękę czy nogę. Myślał też o zwoju lekkiej liny, którą niósł na ramionach. Długość liny była równa wysokości muru. Zmierzył ją na ziemi metodą triangulacji. Kiedy lina jest wystarczająco długa, wystarcza. Wysokość muru była równa długości liny. Każda inna myśl mogła tylko przytępić mu umysł.

Szukając na oślep uchwytów dla rąk, Idaho wspinał się po gładkiej powierzchni... może niezupełnie gładkiej. Wiatr i piasek, a niekiedy nawet deszcz, naprężenia od zimna i gorąca prowadziły tu swe niszczące działania ponad trzy tysiące lat. Idaho spędził cały dzień na piasku pod murem, badając, czego dokonał czas. Utrwalał w umyśle pewne schematy – jakiś ukośny cień, jakąś cienką linię, kruszejący występ, wąską półkę skalną tu i drugą powyżej.

Wczepił się palcami w ostrą szczelinę. Ostrożnie sprawdził, czy utrzyma jego ciężar. Tak. Chwilę odpoczywał, przyciskając twarz do ciepłego kamienia i nie spoglądając w górę ani w dół. Po prostu był tu. Wszystko było sprawą tempa. Jego ramiona nie miały prawa się zmęczyć zbyt szybko. Ciężar musiał być odpowiednio rozłożony. Pokaleczył palce, ale póki kości i ścięgna były całe, otarcia nie miały znaczenia.

Znów posunął się w górę. Kawałek kamienia skruszył mu się pod ręką, a odłamki posypały na policzek, ale nawet tego nie poczuł. Każda część jego świadomości skupiała się na wyciągniętej ręce, równowadze stóp na najdrobniejszych występach. Był pyłkiem, cząsteczką, która rzucała

wyzwanie grawitacji, czepiając się palcami rąk i nóg, a czasem przywierając do kamieni samą siłą woli.

Dziewięć własnej roboty karabinków wypychało mu kieszeń, ale zwlekał z ich użyciem. Równie prowizoryczny młotek wisiał u pasa na krótkim sznurze, na węźle zapamiętanym przez palce.

Nayla sprawiała trudności. Nie chciała oddać swej rusznicy. Posłuchała jednak rozkazu Siony, by im towarzyszyć. Dziwna kobieta i dziwnie posłuszna.

– Czy nie przysięgłaś, że będziesz mi posłuszna? – spytała Siona.

Opór Nayli znikł.

– Ona zawsze słucha moich rozkazów – powiedziała później Siona.

– Może więc nie będziemy musieli jej zabić – rzekł Idaho.

– Nie próbowałabym tego. Ty chyba nie masz pojęcia o jej sile i szybkości.

Garun, Muzealny Fremen, który marzył o zostaniu „prawdziwym naibem w starym stylu”, zdecydował o tej wspinaczce, odpowiadając na pytanie Idaho, jak Bóg Imperator przybędzie do Tuono.

– Tak samo jak za czasów mojego pradziada.

– Czyli jak? – ponagliła go Siona.

Siedzieli, kryjąc się przed popołudniowym słońcem, w cieniu domu gościnnego. Tego dnia ogłoszono, że ślub Pana Leto odbędzie się w Tuono. Ludzie Garuna kucnęli wokół schodków, na których siedzieli z naibem Siona i Idaho. Dwie rybomówne stały obok, przysłuchując się. Nayla miała przybyć lada chwila.

Garun wskazał wysoki mur za wioską, którego odległy szczyt błyszczał złotem w świetle słońca.

– Dochodzi tu Królewski Trakt, a Bóg Imperator ma urządzenie, które opuszcza go łagodnie z wysoka.

– Wbudowane w jego powóz – powiedział Idaho.

– Dryfy – przytaknęła Siona. – Widziałam je.

– Mój pradziad mówił, że dotarli tu Królewskim Traktem wielką gromadą. Bóg Imperator poszybował na plac na swoim powozie. Reszta zeszła po linach.

– Po linach – rzekł w zamyśleniu Idaho.

– Po co tu przybyli? – spytała Siona.

– By potwierdzić, że Bóg Imperator nie zapomniał o swoich Fremenach. Tak mówił mój pradziad. To był wielki honor, ale nie tak wielki jak ten ślub.

Idaho wstał, gdy Garun jeszcze mówił. Mur był dobrze widoczny z głównej ulicy. Wyszedł na nią zza rogu domu gościnnego, zatrzymał się i popatrzył. Jeden rzut oka wyjaśniał, dlaczego wszyscy mówili, że nie da się wspiąć na ten mur. Idaho nawet nie próbował ocenić jego wysokości. Mógł mieć pięćset metrów, ale mógł i pięć tysięcy. To, co było ważne, ujawniało się po wnikliwej obserwacji: drobne poziome szczeliny, ubytki, a nawet wąska kamienna półka dwadzieścia metrów nad piaskiem nawianym u podnóża... i druga, w dwóch trzecich wysokości.

Wiedział, że jego nieświadoma część, ta pradawna i uwarunkowana, wykonuje pomiary, odnosząc je do swego ciała – tyle długości Duncana do tego miejsca, tu jeden zaczep dla ręki, tam drugi. Czuł się, jakby już się wspinał.

Gdy się tak przyglądał, przy jego ramieniu rozległ się głos Siony.

– Co robisz? – Podeszła cicho i patrzyła tam gdzie on.

– Mogę się wspiąć na ten mur – powiedział. – Gdybym zabrał cienką linę, mógłbym potem wciągnąć grubszą. Pozostali mieliby łatwą wspinaczkę.

Garun podszedł do nich i zdążył to usłyszeć.

– Po co miałbyś się wspinać na mur, Duncanie Idaho?

– Żeby powitać jak należy Boga Imperatora – odpowiedziała Siona i uśmiechnęła się do niego.

Było to, zanim opadły ją wątpliwości, zanim widok muru i nieznajomość technik wspinaczki nadwątlily jej początkową pewność siebie.

Idaho zapytał w pierwszym uniesieniu.

– Jak szeroki jest Królewski Trakt?

– Nigdy go nie widziałem, ale mówiono mi, że bardzo szeroki. Może nim maszerować ramię w ramię duży oddział, tak przynajmniej mówią. I są tam mosty i miejsca, skąd widać rzekę... i... och, to jest cudowne!

– Dlaczego nigdy tam nie wszedłeś, żeby to zobaczyć?

Garun wzruszył po prostu ramionami i wskazał mur.

Wtedy przybyła Nayla i zaczęła się dyskusja o wspinaczce. Idaho myślał o tej dyskusji w drodze na górę. Jaki dziwny był związek między Naylą a Sioną! Były niczym dwie konspiratorki, ale Siona rozkazywała, a Nayla słuchała. Nayla była jednak rybomówną, Przyjaciółką, której Leto powierzył pierwsze sprawdzenie nowego gholi. Sama przyznała, że od dzieciństwa służyła w Królewskiej Policji. Miała w sobie tyle siły! I dlatego było coś niepokojącego w sposobie, w jaki skłaniała się do woli Siony. Zupełnie

jakby słuchała sekretnych głosów, mówiących jej, co należy zrobić. *Wtedy* była posłuszna.

Idaho sięgnął w górę, szukając nowego uchwytu. Jego palce badały kamienie po prawej i w końcu znalazły niewidoczną szczelinę, w którą mogły się wcisnąć. Pamięć podsuwała mu trasę wspinaczki, ale tylko jego ciało mogło poznać drogę, przebywszy ową trasę.

Jego lewa stopa znalazła oparcie... w górę... powoli... ostrożnie. Lewa ręka... teraz? To nie szczelina, ale półka!

Oczy, a potem podbródek Idaho wywindowały się nad wysoką półkę, którą widział z dołu. Oparł się o nią łokciami, przetoczył i spoczął na niej, spoglądając tylko przed siebie, nie w górę i nie w dół. Widział jedynie piaszczysty horyzont. Wietrzyk niosący pył ograniczał widoczność. Za czasów Diuny widywał wiele takich horyzontów.

Po chwili obrócił się twarzą do muru, podciągnął na kolana, sięgnął rękoma w górę i podjął wspinaczkę. Obraz muru, jaki widział z dołu, pozostawał w jego myślach. Wystarczyło, by zamknął oczy, a już przypominał sobie sposoby zapamiętane z czasów, gdy jako chłopiec ukrywał się przed harkonneńskimi łowcami niewolników. Czubki palców znalazły szczelinę, w którą mogły się wcisnąć. Wspinał się.

Patrząca z dołu Nayla czuła, że coraz bardziej pociąga ją ten wspinacz. Z tej odległości Idaho był tylko małym, samotnym kształtem na murze. Musiał wiedzieć, jak to jest być samotnym w obliczu doniosłych decyzji.

„Chciałabym mieć z nim dziecko – pomyślała. – Nasze dziecko byłoby silne i zaradne. Dlaczego Bóg życzy sobie dziecka Siony z tym mężczyzną?”

Wstała wcześniej i wyszła na szczyt niskiej wydmy na skraju wioski, by zastanowić się nad propozycją Idaho. Cytrynowy świt podnosił znajome tumany pyłu w oddali, a potem stalowy dzień ukazał ponury ogrom Seriru. Wiedziała, że Bóg z pewnością wszystko przewidział. Co może się ukryć przed Bogiem? Nic, nawet ta odległa postać Duncana Idaho szukająca drogi na skraj nieba.

Obserwowała wspinaczkę Idaho i zabawiała się, obracając w myśli mur do poziomu. Idaho stał się dzieckiem czołgającym się po nierównej powierzchni.

Przyboczna podała jej wodę. Nayla wypila i mur wrócił do właściwego położenia.

Siona kucnęła na pierwszej półce, wychylając się, by spojrzeć w górę. „Jeżeli spadniesz, ja pójdę” – obiecała Duncanowi. Nayla pomyślała, że to

dziwna obietnica. Dlaczego oboje chcą próbować niemożliwego?

Idaho nie starał się jednak zniechęcić Siony.

„To przeznaczenie, wola boska” – pomyślała Nayla.

Z miejsca, w którym był Idaho, odpadł kawałek skały. To już kolejny raz. Nayla śledziła lecący kamień. Długo trwało, nim spadł, odbijając się od muru i demonstrując, że ściana nie jest bynajmniej pionowa.

„Uda mu się albo nie – myślała rybomówna. – Cokolwiek się stanie, będzie to wola boska”.

Czuła jednak, że jej serce bije mocno. Pomyślała, że ta próba sił Idaho jest jak seks. Nie bierny, ale bliski tej nieczęstej magii, która ją porywała. Musiała sobie przypominać, że Idaho nie jest dla niej.

„Jest dla Siony. Jeśli przeżyje”.

A jeśli mu się nie uda, spróbuje Siona. Jej uda się albo nie. Nayla zastanawiała się, czy doznałaby orgazmu, gdyby Idaho dostał się na szczyt. Był tak blisko.

Po osunięciu się kamienia Idaho zrobił kilka głębokich oddechów. To była ciężka chwila i dał sobie czas na uspokojenie, przylgnąwszy do muru w trzech punktach. Prawie z własnej woli jego wolna ręka raz jeszcze popęzła w górę, omijając wątpliwe miejsce i wciskając się w kolejną wąską szczelinę. Wolno przeniósł ciężar na tę rękę. Powoli... powoli. Lewym kolanem wyczuł miejsce, gdzie mógł postawić stopę. Podniósł ją tam, wypróbował. Pamięć mówiła mu, że szczyt jest blisko, ale odsunął na bok myśli. Istniała tylko wspinaczka i wiedza, że Leto przybywa jutro.

„Leto i Hwi”.

O tym także nie chciał myśleć, ale myśl nie odchodziła. „Szczyt... Hwi... Leto... jutro...”

Każda myśl wzmagala desperację, zmuszała do przypominania sobie wspinaczek z dzieciństwa. Im więcej zaś sobie przypominał, tym bardziej był usztywniony. Musiał zrobić przerwę, oddychając głęboko i usiłując się skupić, wrócić do naturalnych sposobów z przeszłości.

Ale czy te sposoby były *naturalne*?

W jego umyśle istniała jakaś blokada. Czuł ostateczność... *fatalność* tego, co mogło być, a oto nigdy nie będzie.

Leto przybywa tu jutro.

Idaho czuł pot spływający po policzku przyciśniętym do kamienia.

Leto.

„Pokonam cię, Leto. Pokonam nie z powodu Hwi, ale wyłącznie dla siebie”.

Zaczął go ogarniać uczucie oczyszczenia. Było podobne do tego, co zdarzyło się w nocy, kiedy przygotowywał się w myślach do tej wspinaczki. Siona wyczuła wówczas jego bezsenność. Zaczęła do niego mówić, opowiadać w najdrobniejszych szczegółach o swoim desperackim biegu przez Zakazany Las i o przysiędze złożonej na brzegu rzeki.

– Teraz przysięgam dowodzić jego rybomównymi – powiedziała. – I wypełnię tę przysięgę, ale nie tak, jak on chce, mam nadzieję.

– A czego on chce?

– Ma wiele motywów i nie mogę zrozumieć ich wszystkich! Któż go zresztą rozumie? Wiem tylko, że nigdy mu nie przebaczę.

To wspomnienie przywróciło Duncanowi poczucie kamiennego muru pod policzkiem. Pot wysechł na wietrzyku i poczuł chłód. Wiedział już jednak, na czym się skupić.

„Nigdy nie wybaczyć”.

Czuł obecność duchów wszystkich swoich wcieleń, gholi, którzy umarli w służbie Leto. Czy można wierzyć podejrzeniom Siony? Tak. Leto był w stanie zabijać własnym ciałem, własnymi rękoma. Pogłoska, którą przytoczyła Siona, brzmiała prawdziwie. A Siona też była Atrydką. Leto stał się czymś innym... już nie był Atrydą, nawet nie był człowiekiem. Stał się nie tyle żywą istotą, ile wybrykiem natury, nieprzejrzystym i nieprzeniknionym, zamykającym w sobie wszystkie swoje doświadczenia. Siona zaś mu się sprzeciwiła. Prawdziwa Atrydka odwróciła się od niego.

„Jak ja”.

Wybryk natury, nic więcej. Jak ten mur.

Sięgnął prawą ręką w górę i natrafił na półkę o ostrej krawędzi. Nad półką nie wyczuł niczego, więc spróbował sobie przypomnieć szerokie pęknięcie w tym miejscu. Nie pozwalał sobie uwierzyć, że dotarł do szczytu... jeszcze nie teraz. Ostra krawędź pokaleczyła mu palce, gdy zawisł na nich całym ciężarem. Podniósł lewą rękę, namacał występ i podciągnął się. Jego oczy znalazły się na poziomie dłoni. Spoglądał na płaską przestrzeń, która sięgała... błękitnego nieba. Powierzchnia, której się trzymał, była spękana. Przeszukał ją palcami jednej dłoni, znalazł szczelinę, podciągnął się na wysokość piersi, pasa, bioder, przetoczył i odczołgał daleko od krawędzi muru. Dopiero wtedy wstał i powiedział sobie to, o czym donosiły mu zmysły.

„Szczyt”. I nie potrzebował karabinków ani młotka.

Usłyszał jakieś słabe głosy. Wiwaty?

Podszedł z powrotem do krawędzi i spojrzał w dół, machając tamtym ręką. Tak, wiwatowali. Odwrócił się i ruszył ku środkowi drogi, pozwalając uniesieniu uspokoić drżące mięśnie i złagodzić ból ramion. Powoli obrócił się dookoła, oglądając szczyt. Jego pamięć mogła w końcu ocenić wysokość skały.

Dziewięćset metrów... co najmniej.

Zainteresował go Królewski Trakt. Nie był podobny do tego, który widział w drodze do Onn. Był szeroki, bardzo szeroki... miał przynajmniej pięćset metrów. Droga była gładka, jednolicie szara, ze stumetrowymi poboczami. Kamienne słupki wysokości człowieka znaczyły jej skraj, rozstawione niczym wartownicy wzdłuż szlaku, z którego skorzysta Leto.

Poszedł na drugą stronę muru i spojrzał w dół. Hen, daleko zielony nurt rzeki pędził i rozbijał się w pianę na wystających skałach. Popatrzył w prawo. Stamtąd nadejdzie Leto. Droga i mur zakrzywiały się łagodnie w prawo. Łuk zaczynał się trzysta metrów od miejsca, gdzie stał. Wrócił na drogę i poszedł jej skrajem wzdłuż krzywizny do miejsca, gdzie wykonywała agrafkę i zwężała się, schodząc łagodnie w dół. Zatrzymał się i patrzył na to, co mu ukazała, widząc, że nowy plan nabiera kształtów.

W przybliżeniu trzy kilometry dalej w dół tego łagodnego stoku droga zwężała się i pokonywała gardziel rzeki mostem, którego lotne kratownice wydawały się nierzeczywiste. Idaho pamiętał podobny most z drogi do Onn i poczucie niewzruszoności pod nogami. Zaufał pamięci, myśląc o mostach tak, jak musiał o nich myśleć dowódca wojskowy – jako o przejściu albo pułapce.

Idąc w lewo, spojrzał w dół i w dal, na część wysokiego muru za drugim przyczółkiem baśniowego mostu. Droga biegła tam dalej, zakręcając lekko i przechodząc w prostą kierującą się na północ. Były więc tam dwa mury i rzeka pomiędzy nimi. Rzeka wpływała w stworzoną ludzką ręką rozpadlinę i zmierzała na południe, a cała jej wilgoć pchana była wiatrem na północ.

Idaho zignorował rzekę. Była tam i będzie jutro. Skupił uwagę na moście, oceniając go pod kątem swego wojskowego doświadczenia. Skinął głową, a wracając, zdjął z ramion cienką linę.

Kiedy ta cienka lina ześlizgnęła się jak wąż po murze, ciałem Nayli targnął wstrząs orgazmu.



Co eliminuję? Mieszczańskie zauroczenie pokojowym kultywowaniem przeszłości. To siła wiążąca, która łączy ludzkość w podatną na ciosy jedność, mimo złudnego rozdzielenia parsekami przestrzeni. Jeśli ja mogę znaleźć rozproszone cząstki, inni też mogą. Gdy jesteście razem, możecie paść ofiarą powszechnej katastrofy i zostać wyniszczeni. Ukazuję wam więc straszliwe niebezpieczeństwo ukryte w pełzającej, pozbawionej mierności pasji, w ruchu bez ambicji i celu. Pokazuję wam, że może to spotkać całe cywilizacje. Daję wam eony życia, które osuwa się łagodnie ku śmierci, bez zamętu i poruszenia, nawet bez pytania: „Dlaczego?” Pokazuję wam fałszywe szczęście i cień katastrofy imieniem Leto, Bóg Imperator. Czy teraz poznacie prawdziwe szczęście?

– *Wykradzione dzienniki*

Gdy Moneo wyłonił się o świcie z domu gościnnego, Leto czuwał już. Tej nocy zdrzemnął się tylko raz. Królewski powóz stał niemal w środku trójkątnego dziedzińca. Pokrywa była nieprzezroczysta, skrywając użytkownika, i szczelnie chroniła wnętrze przed wilgocią. Słysząc było słaby szum wentylatorów tłoczących suche powietrze w zamkniętym obiegu.

Moneo zbliżał się do powozu, szurając po bruku dziedzińca. Światło świtu rysowało oranżem dach domu gościnnego za plecami marszałka dworu. Leto otworzył pokrywę powozu, gdy Moneo zatrzymał się przed nim. W powietrzu wisiał drożdżowy zapach ziemi, a nagromadzenie wilgoci sprawiało ból.

– Powinniśmy przybyć do Tuono w południe – rzekł Moneo. – Chciałbym, żebyś mi pozwolił sprowadzić ornitoptery do strzeżenia nieba.

– Nie chcę ornitopterów – odparł Leto. – Możemy zejść do Tuono na dryfach i na linach.

Podczas tej krótkiej wymiany zdań Leto podziwiał obrazy. Moneo nie lubił podróży. Po buntowniczej młodości została mu podejrzliwość wobec wszystkiego, czego nie mógł zakwalifikować. Był zbiorem utartych sądów.

– Wiesz, że nie chodzi o ornitoptery do transportu. Chcę, żeby strzegły...

– Tak, Moneo.

Marszałek spojrział obok Leto w otwarty róg dziedzińca wychodzący na kanion. Światło świtu chłodziło podnoszącą się z głębin mgłę. Myślał o tym, jak długo trwałby upadek... ciała wirującego i wirującego podczas lotu.

Czuł, że nie jest w stanie podejść do brzegu kanionu i zajrzeć w głąb. Upadek był tak... kuszący.

– W każdej pokusie jest jakaś lekcja – rzekł Leto z przenikliwością, której tak lękał się Moneo.

Oniemiały marszałek obrócił się, by spojrzeć ma prosto w oczy.

– Widzisz tę lekcję w moim życiu, Moneo

– Panie? – Był to zaledwie szept.

– Kuszą mnie najpierw złem, potem dobrem. Każda pokusa jest dobrana do mojej wrażliwości. Powiedz, Moneo, jeśli wybieram dobro, czyni mnie to dobrym?

– Oczywiście, Panie.

– Ty chyba nigdy nie stracisz nawyku osądzania.

Moneo obrócił się raz jeszcze i zerknął na skraj otchłani. Leto przesunął się, by spojrzeć tam, gdzie patrzył marszałek. Na krawędzi kanionu posadzono niegdyś karłowate sosny. Na ich wilgotnych szpilkach wisiały krople rosy, a każda posyłała Leto obietnicę bólu. Tęsknił za zamknięciem pokrywy, ale te klejnoty przyciągały jego wspomnienia, choć były odpychające dla ciała. Owa dwoistość groziła zamętem.

– Nie lubię chodzić pieszo – rzekł Moneo.

– To zwyczaj Fremenów – odparł Leto.

Moneo westchnął.

– Wszyscy będą gotowi za kilka minut. Hwi jadła śniadanie, gdy wychodziłem.

Leto nie odpowiedział. Jego myśli gubiły się we wspomnieniach nocy – tej jednej właśnie minionej i tysięcy innych zapełniających jego przeszłość – chmur i gwiazd, deszczów i czerni upstrzonej lśniącymi płatkami rozdartego kosmosu, całego wszechświata nocy.

– Gdzie twoje strażniczki? – spytał nagle Moneo.

– Odesłałem je, żeby coś zjadły.

– Nie podoba mi się, że cię zostawiły!

We wspomnieniach Leto głos marszałka dworu zadzwonił niczym kryształ, mówiąc rzeczy niewyrażone słowami. Moneo lękał się wszechświata, w którym nie byłoby Boga Imperatora. Wolałby umrzeć, niż oglądać taki wszechświat.

– Co się dziś stanie? – zapytał z naciskiem.

Było to pytanie skierowane nie do Boga Imperatora, ale do proroka.

– Nasiono niesione dziś wiatrem może być drzewem jutra – odrzekł Leto.

– Ty znasz naszą przyszłość! Dlaczego nie chcesz się podzielić tą wiedzą?
Moneo był bliski hysterii, odrzucając wszystko, o czym nie mówiły mu zmysły.

Leto skierował na marszałka spojrzenie tak pełne tłumionych emocji, że ten aż się cofnął przed nim.

– Odpowiadaj za swoje życie, Moneo!

Moneo zaczerpnął tchu.

– Panie, nie chciałem cię urazić. Szukałem tylko...

– Spójrz w górę!

Moneo mimowolnie posłuchał i popatrzył w bezchmurne niebo, na którym narastał blask poranka.

– O co chodzi, Panie?

– Nie masz nad sobą bezpiecznego stropu, tylko bezkresne, zmienne niebo. Przyjmij je. Twoje zmysły to instrumenty reagujące na zmiany. Czy to ci nic nie mówi?

– Panie, przyszedłem jedynie zapytać, kiedy będziesz gotowy do marszu.

– Bądź ze mną szczery, błagam.

– Jestem szczery, Panie.

– Jeżeli żyjesz w złej wierze, kłamstwa wydają ci się prawdą.

– Panie, jeżeli kłamię... nie wiem o tym.

– To brzmi prawdziwie. Wiem jednak, co cię przeraża, a o tym nie mówisz.

Moneo zaczął drżeć. Bóg Imperator był w najgorszym z możliwych nastrojów, w każdym słowie ukryta była groźba.

– Lękasz się zaborczej świadomości – powiedział Leto – i masz rację, że się jej boisz. Przyślij mi tu zaraz Hwi!

Moneo obrócił się na pięcie i umknął do domu gościnnego. Zdawało się, że jego wejście poruszyło rój owadów. W kilka sekund wybiegły rybomówne i rozproszyły się wokół królewskiego powozu. Dworzanie wyglądali przez okna lub wychodzili i stawali pod okapami, bojąc się zbliżyć. Hwi przeciwnie – wyłoniła się z szerokich drzwi frontowych i wyszła z cienia, idąc powoli ku Leto z uniesioną głową i szukając wzrokiem jego twarzy.

Leto poczuł, że się uspokaja, patrząc na nią. Miała na sobie złocistą suknię, której jeszcze nie widział. Wokół szyi i na mankietach długich rękawów była zdobiona srebrem i zielenią. Skraj szaty, prawie ciągnący się

po ziemi, obramowany był ciężkim zielonym pasem, który uwypuklał krwistoczerwoną falbanę.

Uśmiechnęła się, kiedy stanęła przed nim.

– Dzień dobry, kochany – przemówiła cicho. – Czym tak zatrwożyłeś biednego Moneo?

Ukojony jej obecnością i słowami, uśmiechnął się.

– Zrobiłem to, co zamierzałem. Osiągnąłem cel.

– Z pewnością. Powiedział rybomównym, że jesteś w przerażającym nastroju. Jesteś przerażający, kochany?

– Tylko dla tych, którzy nie chcą żyć o własnych siłach.

– Aach, tak. – Zawirowała, demonstrując mu nową suknię. – Podoba ci się? Podarowały mi ją rybomówne. Same ją ozdobiły.

– Kochana – powiedział z ostrzegawczą nutą – te ozdoby przygotowują cię na ofiarę.

Podeszła bliżej i oparła się o powóz tuż poniżej jego twarzy.

– Czy zatem złożą mnie w ofierze? – spytała z żartobliwie poważną miną.

– Niektóre miałyby ochotę.

– Ale ty im nie pozwolisz?

– Nasze losy są związane – odpowiedział.

– Więc nie będę się lękać. – Sięgnęła w górę i dotknęła jego dłoni okrytej srebrzystą skórą, lecz cofnęła rękę, gdy wyczuła drżenie jego palców. – Wybacz, kochany. Zapomniałam, że jesteśmy złączeni duszą, ale nie ciałem.

Skóra z piaskowych troci ciągle drżała.

– Wilgoć w powietrzu sprawia, że jestem nadwrażliwy – wyjaśnił.

Drżenie powoli ustąpiło.

– Nie będę żałować niczego, co się stanie – wyszeptała.

– Bądź silna, Hwi, bo twoja dusza jest moją.

Odwróciła się na jakiś odgłos z domu gościnnego.

– Moneo wraca. Proszę, kochany, nie strasz go.

– Moneo też jest twoim przyjacielem?

– Mamy wspólne skłonności. Oboje lubimy jogurt.

Leto wciąż jeszcze chichotał, gdy Moneo stanął obok Hwi. Marszałek zaryzykował uśmiech, posyłając Ixance zdziwione spojrzenie. W jego zachowaniu była wdzięczność, a uległość, którą zwykł okazywać Leto, skierował teraz także w stronę Hwi.

– Czy wszystko w porządku, lady Hwi?

– Wszystko w porządku.

– W czasach, gdy skłonności są najważniejsze, takie przyjaźnie należy pielęgnować i pogłębiać – rzekł Leto. – Ruszajmy, Moneo. Tuono czeka.

Moneo odwrócił się i wydał rozkazy rybomównym i dworzanom.

Leto uśmiechnął się do Hwi.

– Chyba dobrze gram niecierpliwego pana młodego?

Wskoczyła lekko na platformę powozu, przytrzymując suknię. Rozłożył jej fotel. Dopiero gdy usiadła, z oczami na poziomie jego oczu, odpowiedziała tak cicho, że tylko on mógł ją usłyszeć.

– Kochanku mej duszy, pochwyciłam kolejny z twych sekretów.

– Uwolnij go z ust twoich – odparł, podejmując ten nowy, intymny ton.

– Nie potrzebujesz słów. Swoim życiem przemawiasz wprost do zmysłów.

Dreszcz przeszedł całe ciało Leto. Dopiero po chwili przemówił głosem tak stłumionym, że musiała wyteżyc słuch, by usłyszeć go w zgiełku świty.

– Między nadludzkim i nieludzkim niewiele mam miejsca, by być ludzkim. Dziękuję ci, miła i urocza Hwi, za tę odrobinę miejsca.



W całym moim wszechświecie nie widziałem *ani jednego* niezmiennego i niezachwianego prawa natury. Ten wszechświat ukazuje tylko zmienne zależności, które czasem przez żyjące krótko świadomości uważane są za prawa natury. Ów cielesny system odczuwania, który nazywamy jaźnią, jest efemerydą więdnącą w żarze nieskończoności, przelotnie świadomą przejściowych warunków, które ograniczają naszą aktywność i zmieniają się wraz z nią. Jeżeli musicie określać *absolut*, użyjcie jego właściwej nazwy: *tymczasowy*.

– Wykradzione dzienniki

Nayla pierwsza dostrzegła zbliżający się orszak. Oblewając się potem w południowym upale, stała przy jednym z kamiennych słupków znaczących skraj Królewskiego Traktu. Błysk światła w oddali przyciągnął jej uwagę. Spojrzała, mrużąc oczy, i z dreszczem podniecenia zdała sobie sprawę, że widzi odbłask słońca na kopule powozu Boga Imperatora.

– Nadchodzą! – zawołała.

Poczuła głód. Podekscytowani i skupieni na jednym celu, nie zabrali żywności. Jedynie Fremeni mieli wodę, i to tylko dlatego, że „Fremeni zawsze zabierają wodę, gdy opuszczają sicz”. Wzięli ją z przyzwyczajenia.

Nayla dotknęła rękojeści przytroczonej do biodra rusznicy. Most był ledwie dwadzieścia metrów przed nią, a jego lekka konstrukcja spinała łukiem brzegi otchłani, łącząc jedno pustkowie z drugim, niczym fantazja jakiegoś obcego gatunku.

„To szaleństwo” – pomyślała.

Bóg Imperator potwierdził jednak swój rozkaz. Żądał, by Nayla była posłuszna Sionie we wszystkim.

Tymczasem rozkazy Siony były jasne i nie pozostawiały miejsca na wątpliwości. Nayla nie miała okazji prosić o radę swego Boga Imperatora.

– Kiedy jego powóz będzie na środku mostu... wtedy! – powiedziała Siona.

– Ale dlaczego?

Stojąc daleko od pozostałych w chłodzie świtu na szczycie muru, Nayla czuła się odcięta od świata, samotna i wystawiona na ciosy.

Posępnej miny Siony i jej cichego, napiętego głosu nie sposób było przeoczyć.

– Chyba nie myślisz, że możesz wyrzucić krzywdę Bogu?

– Ja... – Nayla zdołała jedynie wzruszyć ramionami.

– Musisz mi być posłuszna!

– Muszę – zgodziła się Nayla.

Śledziła teraz nadciągający orszak, zapamiętując kolory szat dworzan, skupiska ciemnego błękitu mundurów jej siostr rybomównych... lśnienie powozu jej Pana.

„To próba” – zdecydowała. Bóg Imperator wie. Zna oddanie Nayli. To próba. Rozkazy Boga Imperatora muszą być wypełniane do końca. To była pierwsza lekcja jej dzieciństwa. Bóg Imperator powiedział, że Nayla musi słuchać Siony. To próba, cóż by innego?

Spojrzała na czterech Fremenów. Duncan umieścił ich na drodze, by blokowali ten koniec mostu. Siedzieli w brunatnych szatach plecami do niej i patrzyli za most. Nayla słyszała, jak Idaho mówi: „Nie opuszczajcie tego miejsca. Stąd go macie powitać. Wstańcie, kiedy się zbliży, i nisko się pokłońcie”.

„Powitać, tak” – pomyślała.

Skinęła mimowolnie głową.

Trzy inne rybomówne, które weszły z nią na mur, zostały wysłane na środek mostu. Wiedziały tylko to, co Siona powiedziała im w obecności Nayli. Miały czekać, aż królewski powóz znajdzie się kilka kroków od nich,

a potem zawrócić i tańcząc, poprowadzić go ku miejscu z widokiem na Tuono.

„Jeśli przetnę most rusznicą, te trzy zginą – pomyślała Nayla. – I wszyscy inni idący z naszym Panem”.

Wyciągnęła szyję, by zajrzeć w głąb wąwozu. Nie widziała rzeki, ale słyszała odległy łoskot poruszanych kamieni.

Wszyscy zginą!

„Chyba że On dokona cudu”.

Tak właśnie musiało być. Siona przygotowała scenę dla boskiego cudu. Cóż innego mogła zamierzać teraz, gdy przeszła próbę i nosiła mundur dowodzącej rybomównych? Siona przysięgała Bogu Imperatorowi. Została poddana próbie, gdy byli sam na sam w Serirze.

Spojrzała w prawo, na organizatorów tego powitania. Siona i Idaho stali ramię w ramię na drodze, dwadzieścia metrów od niej. Pograżeni w rozmowie, patrzyli na siebie i kiwali głowami.

Wtem Idaho dotknął ramienia Siony i był to dziwnie władczy gest. Skinął głową i ruszył ku mostowi, by zatrzymać się na narożniku przyczółka przed Naylą. Spojrzał w dół, przeszedł na drugi narożnik i znów popatrzył w dół. Stał tam kilka minut, zanim wrócił do Siony.

Nayla stwierdziła, że ten ghola jest niezwykle istotą. Po budzącej grozę wspinaczce nie myślała już o nim jak o zwykłym człowieku. Był kimś więcej, demiurgiem stojącym obok Boga. Mógł jednak płodzić dzieci.

Jej uwagę zwrócił odległy okrzyk. Spojrzała za most. Orszak posuwał się truchtem typowym dla królewskich wędrowek. Teraz, kilka minut przed dotarciem do mostu, zwalniali. Nayla rozpoznała Moneo w śnieżnobiałym stroju, idącego na czele równym, niezachwianym krokiem. Patrzył wprost przed siebie. Osłona powozu Boga Imperatora była zamknięta. Połyskiwała jak zwierciadło, gdy pojazd toczył się na kołach za marszałkiem dworu.

Tajemnica tego wszystkiego przepełniała Naylę. Miał się zdarzyć cud!

Spojrzała w prawo, na Sionę. Ta odpowiedziała spojrzeniem i skinęła głową. Nayla wyjęła rusznicę z kabury i oparła ją na kamiennym słupku. Najpierw kabel z lewej, potem z prawej, a następnie kratownica z plastali po lewej. Rusznica wydawała się chłodna i obca w dotyku. Nabrała tchu, by się uspokoić.

„Muszę być posłuszna. To próba”.

Zobaczyła, jak Moneo podnosi wzrok i nie zwalniając, obraca się, by zawołać coś do powozu albo idących za nim. Nie rozpoznała słów. Znów

patrzył przed siebie. Zmusiła się do zachowania spokoju, stając się częścią kamiennego słupka prawie zakrywającego jej ciało.

„Próba”.

Moneo spostrzegł ludzi na moście i na jego drugim końcu. Rozpoznał mundury rybomównych i w pierwszej chwili chciał się dowiedzieć, kto nakazał to powitanie. Obrócił się i krzyknął do Leto, ale osłona powozu Boga Imperatora pozostała nieprzejrzysta, kryjąc jego i Hwi.

Dopiero gdy znalazł się na moście, a powóz jechał za nim, chrzęszcząc kołami po nawianym piasku, rozpoznał stojących w oddali po drugiej stronie Sionę i Idaho. Spostrzegł też czterech Muzealnych Fremenów usadowionych na drodze. W jego umyśle kłębiły się wątpliwości, ale nie mógł już niczego zmienić. Odważył się spojrzeć w dół, na rzekę – platynowy świat w świetle południa. Powóz chrzęścił głośno za jego plecami. Płynność tego wszystkiego – rzeki, ruchu, znaczenia tego, w czym odgrywał rolę – wprawiła go w oszałamiające poczucie nieuniknionego.

„Nie jesteśmy tylko ludźmi kroczącymi tą drogą – pomyślał. – Jesteśmy elementami łączącymi jeden okrucuch czasu z drugim. A gdy przemijamy, wszystko za nami zapada się w bezdźwięk, miejsce podobne do pozaprzestrzeni Ixan, nigdy jednak takie samo jak przed naszym przyjściem”.

W jego pamięci rozbrzmiał fragment jednej z pieśni lutnistki, a wzrok stracił ostrość. Znał tę pieśń. Wyrażała pragnienie, by wszystko się skończyło i stało przeszłością, by rozwiały się wątpliwości i wrócił spokój. Smutna pieśń snuła się w jego świadomości, wijąc niczym dym.

Owadzi lament w stepowych trawach...

Moneo zanucił:

Owadzi lament zwiastuje koniec.

Pieśń ma i jesień barwę nadając

Ostatnim liściom

W stepowej trawie.

Kiwał głową w takt refrenu.

Skończył się dzień

*W domu moim.
Skończył się dzień,
Odeszli goście.
Skończył się dzień,
Wiatr gniewnie woła.
Skończył się dzień,
Odeszli wszyscy.*

Uznał, że pieśń lutnistki musi być istotnie stara, że to bez wątpienia dawna pieśń fremeńska. Mówiła mu coś o nim samym. Pragnął, żeby goście naprawdę sobie poszli, żeby się skończył zamęt i znowu zapanował spokój. Spokój był tak blisko... A jednak nie mógł porzucić obowiązków. Pomyślał o stosach rzeczy piętrzących się na piaskach, a niewidocznych z Tuono. Wkrótce je zobaczą: namioty, żywność, stoły, złote talerze i wysadzone klejnotami noże, lumisfery zdobione arabeskami ze starożytnych lamp... a wszystko pełne oczekiwań z zupełnie innych istnień.

„W Tuono już nigdy nie będą tacy sami”.

Moneo spędził kiedyś w Tuono dwie noce podczas objazdu. Pamiętał zapachy ich ognisk – aromatyczne dymy krzewów płonących w ciemnościach. Nie chcieli używać pieców słonecznych, bo „to się nie zgadza z najdawniejszymi zwyczajami”.

„Najdawniejszymi!”

W Tuono prawie nie czuło się melanzu. Dominowały słodkawa cierpkość i olejki piżmowe wydzielane przez krzewy w oazie. Tak... oraz woń ścieków i rozkładających się odpadków. Przypomniawszy sobie komentarz Boga Imperatora po przekazaniu raportu z objazdu.

„Ci *Fremeni* nie wiedzą, co stracili. Myślą, że przechowują istotę dawnych obyczajów. To błąd wszystkich muzeów. Coś słabnie, ulatuje z eksponatów i znika. Zarządzający muzeum i pochylający się nad gablotami nie czują, że czegoś brakuje. Tego, co dawniej wprawiało w ruch życie. Kiedy życie odeszło, odeszło i owo coś.

Moneo skupił wzrok na trzech rybomównych stojących tuż przed nim na moście. Podniosły ręce i zaczęły tańczyć, wirując i odstępując po kilka kroków.

„To dziwne – pomyślał. – Widywałem ludzi tańczących pod gołym niebem, ale nigdy nie widziałem rybomównych. One tańczą tylko w zaciszu swych kwater, w swoim zamkniętym kręgu”.

Nie zdążył tego przemyśleć, gdy usłyszał straszliwe buczenie lasera i poczuł, że most się chwieje.

„Tak nie jest” – podpowiadał mu rozum.

Usłyszał, że królewski powóz zbacza ze zgrzytem z drogi, a potem rozległ się trzask otwierającej się kopuły. Za jego plecami podniosły się krzyki i wrzaski, ale się nie odwrócił. Nawierzchnia pochyliła się ostro w prawo, on zaś upadł na twarz i zaczął się ześlizgiwać ku otchłani. Chwycił przecięty kabel naciągu mostu, ale ten osuwał się wraz z nim. Wszystko wokół zgrzytało na warstwie piasku zaścielającej drogę. Uczepił się kabla oburącz, obracając razem z nim. Wtedy zobaczył królewski powóz. Z otwartą osłoną skręcał ku krawędzi mostu. Hwi stała w nim, trzymając się składanego fotela i patrząc gdzieś obok Moneo.

Rozległ się przeraźliwy zgrzyt dartego metalu, a nawierzchnia przechyliła się jeszcze bardziej. Marszałek zobaczył spadających dworzan; lecieli z otwartymi ustami, wymachując rękoma. Jego kabel zaczepił się o coś. Ręce miał wyciągnięte nad głową. Obrócił się raz jeszcze z rozpędu, czując, że spocone z lęku dłonie ślizgają się po kablu.

Ponownie spojrzął na królewski powóz. Stał oparty o połamaną kratownicę. Na oczach Moneo słabe ręce Boga Imperatora próbowały chwycić Hwi Nori, ale jej nie dosięgnęły. Wypadła, milcząc, z otwartego końca powozu, a złocista szata zadarła się, ukazując jej ciało wyprostowane niczym strzała.

Bóg Imperator głucho jęknął.

„Dlaczego nie uruchomił dryfów? – pomyślał Moneo. – One by go utrzymały”.

Rusznica laserowa wciąż buczała i gdy dłonie Moneo ześlizgiwały się z końca przeciętego kabla, marszałek zobaczył, jak płomienne ostrze uderza w bąble dryfów. Przebiło jeden po drugim w wybuchach złocistego dymu. Wyciągnął ręce nad głową, spadając.

„Ten dym! Złocisty dym!”

Jego szata zadarła się i obróciła go twarzą ku otchłani. Patrząc w jej głębie, zobaczył malstrom kipiących katarakt, niczym zwierciadło swego życia – porywiste prądy i wiry, ruch gromadzący jego treść. Słowa Leto przemknęły mu w myślach niby złocisty dym: „Ostrożność prowadzi do mierności. Płaszcząca się, nieczuła mierność jest wszystkim, co większość ludzi chce osiągnąć”.

Moneo spadał w ekstazie świadomości. Wszechświat stał się przejrzysty jak szkło, wszystko płynęło w beczasie.

„Złocisty dym!”

– Leto! – wrzasnął. – SIAJNOK! WIERZĘ!

Pęd powietrza zdarł mu szatę z ramion. Obrócił go wiejący w kanionie wiatr. Rzucił ostatnie spojrzenie na królewski powóz, który chylił się wraz ze strzaskaną nawierzchnią. Bóg Imperator wyślizgnął się z jego otwartego końca.

Coś twardego uderzyło Moneo w kark i było to jego ostatnie doznanie.

Leto czuł, że wyślizguje się z powozu. W jego świadomości istniała tylko Hwi wpadająca w rzekę – odległa perlista fontanna znaczyła jej pogrążenie się w mitach i marzeniach o końcu drogi. Jej ostatnie słowa, spokojne i pewne, przebiegły przez wszystkie jego pamięci.

– Pójdę pierwsza, kochany.

Gdy się wyślizgiwał z powozu, zobaczył łuk rzeki jako zakrzywioną szablę, srebrne ostrze drgające pośród cieni, złowieszczy brzeszczot ostrzony przez wieczność i gotów przyjąć jego agonię.

„Nie mogę płakać ani nawet krzyczeć – pomyślał. – Brakuje mi łez. A przecież to woda. Za chwilę będę jej miał pod dostatkiem. Mogę tylko jęczeć z żalu. Jestem bardziej samotny niż kiedykolwiek”.

Jego wielkie, segmentowe ciało wyginało się, obracając w locie, póki wyostrozony wzrok nie uchwycił Siony stojącej na skraju przeciętego mostu.

„Teraz się dowiesz!” – pomyślał.

Ciało wciąż się obracało. Patrzył, jak zbliża się rzeka. Woda była snem zamieszkanym przez ryby, budzące prastare wspomnienia jakiejś uczty przy granitowym basenie i różowego mięsa ostrzącego apetyt.

„Dołączę do ciebie, Hwi, na uczcie bogów”.

Palący wybuch bąbelków objął go agonią. Woda, jej złowieszcze prądy, uderzała w niego ze wszech stron. Poczuł, że ociera się o skały, dźwigając w górę w rwącej kaskadzie. Jego obracające się ciało wyginało się w paroksyzmach spazmatycznych plusków. Ściana kanionu, wilgotna i czarna, przemknęła przed oszalałym wzrokiem. Strzępy tego, co było jego skórą, wystrzeliwały na wszystkie strony niczym srebrny deszcz padający na rzekę, pierścień oślepiającego ruchu, a w nim – jak kruche cekiny – migotały łuski piaskowych troci, które opuszczały swego pana, by zacząć własne życie.

Agonia trwała. Leto zdumiewał się, że pozostaje świadomy, że ma ciało, które jeszcze czuje.

Wiedziony instynktem, przywarł do skały, na którą rzucił go prąd, lecz poczuł, jak czepiający się tej skały palec odrywa mu się od dłoni, zanim zdążył osłabić chwyt. To wrażenie było tylko drobnym motywem w symfonii bólu.

Nurt skręcał w lewo, opływając skalną przyporę rozpadliny, i jakby mówił, że ma go dość, wyrzucił go na pochyły skraj piaszczystej łąchy. Leto leżał tam chwilę, a błękitny barwnik esencji przyprawowej spływał z prądem. Kierowała nim agonia, ciało czerwia poruszało się samo, uciekając od wody. Wszystkie piaskowe trocie zniknęły i czuł bezpośrednio każde dotknięcie. Powrócił utracony zmysł dotyku – teraz, gdy miał przynieść jedynie ból.

Nie widział swego ciała, ale czuł, że stworzenie, które mogło się stać czerwem, posuwa się na oślep, oddalając od wody. Spojrzał w górę. Jego oczy widziały tylko płomienistą, przybierającą różne kształty zasłonę. W końcu zorientował się, gdzie jest. Rzeka wyrzuciła go na zakręcie, tam gdzie opuszczała Serir. Za nim było Tuono, a pod murem to, co zostało z siczy Tabr – królestwa Stilgara i miejsca, w którym ukryta była cała przyprawa Leto.

Jego udręczone, wydzielające błękitny dym ciało wiło się z hałasem przez piasek, a potem, znacząc niebieski szlak, po potrzaskanych głazach do wilgotnej jaskini, która mogła kiedyś stanowić część siczy. Teraz była tylko płytką pieczarą zablokowaną wewnątrz przez skalny obwał. Czuł woń czystej esencji przyprawowej.

Jakieś dźwięki zakłóciły jego udrękę. Wcisnął się głębiej w pieczarę i ujrzał zwisającą u wejścia linę. Poznał Naylę. Zeskoczyła na kamienie i przyklękła, wpatrując się w niego. Płomienie w wizji Leto rozdzieliły się, ukazując inną postać zeskakującą z liny: Sionę. Wdrapały się z Naylą ku niemu wśród szczęku kamieni i zatrzymały, patrząc. Z liny opadła trzecia postać: Idaho. Oszałały z wściekłości, rzucił się z wrzaskiem na Naylę.

– Czemu ją zabiłaś?! Nie miałaś zabijać Hwi!

Nayla zwała go z nóg niemal obojętnym ruchem lewej ręki. Wspięła się bliżej i zatrzymała na czworakach, żeby spojrzeć na Leto.

– Panie? Żyjesz?

Idaho znalazł się tuż za nią i wyrwał jej rusznicę z kabury. Nayla obróciła się zaskoczona, on zaś wymierzył broń i nacisnął spust. Promień poraził

czubek głowy rybomównej i rozciął ją na pół. Lśniący krysnóż wypadł spod płonącego munduru i roztrzaskał się na kamieniach. Idaho tego nie zauważył. Z twarzą wykrzywioną grymasem wściekłości spalał szczątki Nayli, dopóki nie wyczerpał się ładunek. Płonący łuk zgasł. Tylko wilgotne i dymiące kawałki ciała i ubrania leżały wśród rozżarzonych kamieni.

Na tę chwilę czekała Siona. Wdrapała się do niego i wyjęła mu z dłoni bezużyteczną broń. Gdy zwrócił się ku niej gwałtownie, przyjęła bojową postawę, ale jego gniew już minął.

– Dlaczego? – wyszeptał.

– Stało się – powiedziała.

Obrócili się i spojrzeli w głąb pieczary, na Leto.

Leto nie potrafił sobie wyobrazić, co widzą. Skóra z piaskowych troci znikła, to wiedział. Pod tą utraconą powłoką była prawdopodobnie jakaś powierzchnia poznaczona otworami po rżęskach. Mógł tylko odpowiadać na spojrzenia tych dwóch postaci z pogrążonego w smutku wszechświata. Poprzez płomienie widział Sionę jako kobiecego demona. Imię tego demona pojawiło się w jego umysłach i wymówił je. Echo w pieczarze sprawiło, że zabrzmiało głośniejsze, niż oczekiwał.

– Hanmia!

– Co takiego? – Zbliżyła się o krok.

Idaho zasłonił twarz dłońmi.

– Spójrz, co zrobiłaś z biednym Duncanem.

– Znajdzie inne miłości. – Jak nieczule to zabrzmiało, niczym echo jego gniewnej młodości.

– Nie wiesz, co to miłość – powiedział Leto. – Czy kiedyś coś komuś dałaś? – Mógł tylko zacisnąć dłonie, parodię tego, co niegdyś było dłońmi. – Bogowie podziemi! A co ja dałem?!

Podpełzła bliżej, wyciągnęła rękę... i cofnęła ją.

– Jestem rzeczywistością, Siono. Popatrz na mnie. Istnieję. Możesz mnie dotknąć, jeśli się odważysz. Wyciągnij rękę. Zrób to!

Powoli wyciągnęła rękę ku temu, co było jego przednim segmentem, w którym spała w Serirze. Kiedy cofnęła dłoń, był na niej niebieski barwnik.

– Dotknęłaś mnie i poczułaś moje ciało. Czy to nie najdziwniejsze we wszechświecie?

Zaczęła się odwracać.

– Nie! Nie odwracaj się ode mnie! Spójrz na swoje dzieło, Siono. Jak to jest, że możesz dotknąć mnie, a nie możesz siebie?

Gwałtownie odwróciła się od niego.

– W tym się różnimy – powiedział. – Jesteś wcielonym Bogiem. Obchodzisz największy cud wszechświata, a mimo to nie chcesz go zobaczyć, dotknąć, poczuć ani weń uwierzyć.

Następnie świadomość Leto powędrowała w jakieś otoczone nocą miejsce, miejsce, w którym mógł usłyszeć metalicznie owadzią pieśń swych ukrytych drukarek pracujących w nieoświetlonej sali. Nie było żadnego promieniowania w tej ixańskiej komorze pozaprzestrzennej, co czyniło ją miejscem lęku i duchowego wyobcowania.

„Powstanie jednak połączenie ze światem”.

Poczuł, że ixańskie drukarki poszły w ruch, że bez specjalnego polecenia zapisują jego myśli.

„Pamiętajcie, czego dokonałem! Pamiętajcie o mnie! Będę uniewinniony”.

Płomienie jego wizji rozdzieliły się, ukazując Idaho tam, gdzie przedtem stała Siona. Poza Idaho dojrzał jakiś ruch... ach, tak, Siona przekazywała gestami polecenia komuś na szczycie muru.

– Żyjesz jeszcze? – spytał Idaho.

Leto ze świstem wydobył z siebie głos.

– Niech się rozproszą, Duncan. Niech uciekają i kryją się, gdzie chcą.

– Do licha! Co mówisz?! Już prędzej pozwoliłbym jej żyć z tobą!

– Pozwolił? Ja na nic nie *pozwalam*.

– Więc czemu pozwoliłeś Hwi umrzeć? – jęknął Idaho. – Nie wiedzieliśmy, że jest tam z tobą. – Zwiesił głowę.

– Otrzymasz rekompensatę – powiedział ochryple Leto. – Moje rybomówne wołają ciebie od Siony. Bądź dla niej dobry, Duncan. Jest kimś więcej niż Atrydką. Nosi nasienie waszego przetrwania.

Leto zatonął w swych wspomnieniach. Stawały się ulotnymi mitami umykającymi ze świadomości. Czuł, że może wpaść w jakiś czas, w którym przez samo swe istnienie zmieni przeszłość. Były też dźwięki z zewnątrz, które starał się zrozumieć. „Ktoś się wdrapuje po kamieniach?” Płomienie rozchyliły się, ukazując Sionę obok Idaho. Trzymali się za ręce niczym dwoje dzieci dodających sobie odwagi przed wyruszeniem w nieznane.

– Jak on może tak żyć? – szepnęła Siona.

Leto zbierał chwilę siły, by odpowiedzieć.

– Hwi mi pomaga. Niewielu zaznało tego co my. Połączyły nas nasze mocne strony.

– I do czego cię to doprowadziło?! – zadrwiła Siona.

– Módlcie się, żebyście dostąpili tego samego – wychrypiał. – Może przyprawa da wam czas.

– A gdzie jest twoja przyprawa?

– Głęboko w siczy Tabr. Duncan ją znajdzie. Znasz to miejsce, Duncan. Teraz nazywają je Tabur. Widać tam jeszcze zarysy siczy.

– Dlaczego to zrobiłeś? – szepnął Idaho.

– To mój dar. Nikt nie odnajdzie potomków Siony. Moc prorocza jej nie widzi.

– Co? – odezwali się jednocześnie, pochylając się, by usłyszeć jego słabnący głos.

– Daję wam nowy rodzaj czasu, bez równoległych. Będzie się zawsze rozbiegał. Na jego krzywych nie będzie punktów zbiegu. Daję wam Złoty Szlak. To mój dar. Nigdy nie doświadczycie takiej równoległości jak kiedyś.

Płomienie przesłoniły mu widok. Ból zniknął, ale z przeraźliwą wyrazistością czuł wonie i słyszał dźwięki. Idaho i Siona oddychali szybko i płytko. Przez ciało Leto zaczęły przebiegać dziwne doznania, echa nieistniejących już kości i stawów.

– Patrz! – powiedziała Siona.

– On się rozpada. – To był głos Idaho.

– Nie, to odpada zewnętrzna warstwa. Patrz! Czerw!

Leto poczuł, jak część jego ciała ogarnia ciepła miękkość. Udręka zanikała.

– Co to za otworki? – To była Siona.

– Chyba tam były piaskowe trocie. Widzisz ich zarysy?

– Jestem tu, by wykazać, że jeden z moich przodków się mylił – powiedział Leto (albo pomyślał, że powiedział, co wychodziło na jedno, gdy szło o jego dzienniki). – Urodziłem się człowiekiem, ale nie umieram jako człowiek.

– Nie mogę na to patrzeć! – powiedziała Siona.

Leto usłyszał szczęk kamieni, gdy odchodziła.

– Jesteś tu jeszcze, Duncan?

– Tak.

„Więc wciąż mam głos”.

– Popatrz na mnie – odezwał się Leto. – W ludzkim łonie byłem krwawą drobiną nie większą od wiśni. Patrz na mnie, mówię!

– Patrzę. – Idaho był bliski omdlenia.

– Spodziewałeś się giganta, a znalazłeś karła. Teraz zaczynasz rozumieć odpowiedzialność wynikającą z działania. Co zrobisz ze swoją nową władzą, Duncan?

Nastąpiła długa cisza, a potem przemówiła Siona.

– Nie słuchaj go, jest szalony.

– Oczywiście – przyznał Leto. – Szaleństwo w metodzie to geniusz.

– Siono, rozumiesz to? – Głos gholi brzmiał płaczliwie.

– Rozumie – powiedział Leto. – To bardzo ludzkie: dusza wpłątana w niespodziewany kryzys. Ludzie tak mają. Moneo w końcu to pojął.

– Chciałabym, żeby się pospieszył i umarł!

– Jestem Podzielonym Bogiem, a wy mnie uczynicie całością. Duncan? Ze wszystkich moich Duncanów ciebie uznaję za najlepszego.

– Uznajesz? – W głosie Idaho pojawiła się znowu wściekłość.

– W moim uznaniu jest coś magicznego. W magicznym wszechświecie wszystko jest możliwe. To *wasze* życie zostało zdominowane przez proroczą wizję, nie moje. Widzicie tajemnicze kaprysy rzeczywistości i prosicie, bym je rozproszył? Wolałbym je raczej umocnić.

Tamci wewnątrz niego rośli już w siłę. Pozbawiony grupowej solidarności, stopniowo tracił miejsce wśród nich. Zaczęło się odwieczne gdybanie: „Gdybyś tylko... Gdybyśmy...” Miał ochotę krzyknąć, by ich uciszyć.

– Tylko głupiec woli przeszłość!

Leto nie wiedział, czy to wykrzyczał czy jedynie pomyślał. Odpowiedzią była chwila wewnętrznej ciszy współbrzmiącej z zewnętrzną. Czuł, że niektóre nici z jego dawnej tożsamości są nadal nienaruszone. Spróbował przemówić i była to rzeczywistość, bo Idaho zauważył:

– On próbuje coś powiedzieć.

– Nie lękajcie się Ixan – rzekł Leto i usłyszał swój słabnący szept. – Potrafią tworzyć maszyny, ale nie mogą już stworzyć *arafelu*. Wiem, bo tam byłem.

Umilkł, zbierając siły, ale czuł, że energia wypływa z niego, chociaż starał się ją zatrzymać. Raz jeszcze podniosła się w nim wrzawa proszących i krzyczących głosów.

– Dość tych głupstw! – zawołał albo pomyślał, że zawołał.

Idaho i Siona usłyszeli tylko świszczący oddech.

– Chyba umarł – powiedziała po chwili Siona.

– A wszyscy myśleli, że jest nieśmiertelny.

– Wiesz, co mówią przekazy ustne? Jeżeli pragniesz nieśmiertelności, odrzuć formę. Wszystko, co ma formę, jest śmiertelne. Poza formą jest bezkształt, nieśmiertelność.

– To brzmi jak *jego* słowa – rzucił Idaho.

– I to chyba były jego słowa.

– Co miał na myśli, mówiąc o twoich potomkach... ukrywających się, nie do odnalezienia?

– Stworzył nowy rodzaj mimikry – odparła – nową biologiczną imitację. Wiedział, że mu się to udało, bo nie mógł mnie dostrzec w swoich przyszłościach.

– Kim jesteś? – spytał Idaho.

– Jestem nowymi Atrydami.

– Atrydami! – Zabrzmiało to jak przekleństwo.

Siona patrzyła na rozpadający się kadłub, który był Leto Atrydą II... i czymś jeszcze. To *coś* wciąż odchodziło w postaci cienkich pasm błękitnego dymu, tam gdzie najsilniejszy był zapach melanżu. Kałuże niebieskiego płynu tworzyły się na skałach pod topniejącym kadłubem. Pozostały już tylko zarysy tego, co kiedyś było ludzkie: zapadnięta pienista różowość, kawałek umazanej czerwieni kości, która mogła przedtem nadawać formę policzkom i czołu.

– Jestem inna, ale wciąż jestem kimś, kim on był – powiedziała.

– A ci wszyscy przodkowie? – spytał Idaho zdławionym szeptem.

– Jest ich mnóstwo, ale chodzę między nimi bez słowa i nikt mnie nie dostrzega. Dawne wyobrażenia odeszły i tylko ich istota pozostała, by oświetlić jego Złoty Szlak.

Odwróciła się i ujęła chłodną dłoń Idaho w swoje dłonie. Ostrożnie wyprowadziła go na światło, tam gdzie lina wciąż zwisała zapraszająco ze szczytu muru, na którym czekali przerażeni Muzealni Fremeni.

„Marny materiał, by tworzyć z nimi nowy wszechświat – pomyślała – ale muszą wystarczyć”. Idaho będzie wymagał uwodzenia, czulej troski, z której *może* wyniknąć miłość.

Gdy spojrzała na rzekę, której nurt wybiegał ze stworzonej ludzką ręką otchłani, by rozlewać się po zielonych ziemiach, zobaczyła ciemne chmury gnane ku niej wiatrem z południa.

Idaho wysunął dłoń z jej dłoni, wydawał się jednak spokojniejszy.

– Kontrola pogody jest coraz bardziej zawodna. Moneo sądził, że to sprawka Gildii.

– Mój ojciec rzadko mylił się w takich sprawach. Będziesz musiał się temu przyjrzeć.

Idaho nagle przypomniał sobie srebrne kształty piaskowych troci odskakujących od ciała Leto w rzece.

– Słyszałam, co mówił Czerw – powiedziała Siona. – Rybomówne będą posłuszne tobie, nie mnie.

Idaho znów poczuł pokusę z Siajnoku.

– Zobaczymy – odparł i spojrzał na Sionę. – Co on miał na myśli, mówiąc, że Ixanie nie mogą stworzyć *arafelu*?

– Nie przeczytałeś wszystkich dzienników. Pokażę ci je, gdy wrócimy do Tuono.

– Ale co to znaczy *arafel*?

– To chmura-ciemność sądu ostatecznego. Stara historia. Znajdziesz to wszystko w jego dziennikach.



Fragment tajnego podsumowania odkryć w Dar-es-Balat autorstwa Hadii Benotto.

W załączeniu do raportu mniejszości. Zgadza się oczywiście z decyzją większości o potrzebie starannego zbadania, opublikowania i ocenzurowania dzienników z Dar-es-Balat, jednak nasze argumenty powinny zostać wysłuchane. Rozumiemy zainteresowanie Kościoła Świętego tymi sprawami, a polityczne zagrożenia nie uszły naszej uwagi. Podzielamy pragnienie Kościoła, by Rakis i Święty Rezerwat Podzielonego Boga nie stały się „turystyczną atrakcją dla gapiów”.

Teraz wszakże, gdy mamy w rękę wszystkie te dzienniki, poświadczone i przetłumaczone, wylania się z nich jasny zarys Planu Atrydów. Jako kobieta wyszkolona przez Bene Gesserit w rozumieniu zwyczajów naszych przodków żywie naturalne pragnienie podzielenia się tym odsłoniętym przez nas zarysem... zarysem, który jest czymś więcej niż przemiana Diuny w Arrakis, Arrakis ponownie w Diunę, a potem w Rakis.

Zainteresowanie historii i nauki musi zostać zaspokojone. Dzienniki rzucają nowe, cenne światło na owo nagromadzenie osobistych wspomnień i biografii z Czasów Duncana – na Biblię Strażniczą. Nie możemy nie pamiętać popularnych zaklęć: „Na tysiąc synów Idaho!” i „Na dziewięć córek Siony!” Utrzymujący się kult siostry Chenoeh nabiera w świetle rewelacji dzienników nowego znaczenia. Z pewnością przyjęta przez Kościół charakterystyka Judasza/Nayli zasługuje na ponowną staranną ocenę.

My, mniejszość, musimy przypomnieć politycznym cenzorom, że biedne czerwie pustyni w Rezerwacie Rakijskim nie stanowią alternatywy dla ixańskich maszyn nawigacyjnych, podobnie jak niewielkie ilości kontrolowanego przez Kościół melanzu nie są żadnym zagrożeniem dla produktu zbiorników Tleilaxan. Nie! Utrzymujemy jednak, że mity, przekazy ustne, Biblia Strażnicza, a nawet Święte Księgi Podzielonego Boga muszą zostać porównane z dziennikami z Dar-es-Balat. Każda historyczna wzmianka o Rozproszeniu i Czasach Głodu musi być odszukana i ponownie

przebadana! Czego mamy się bać? Żadna ixańska maszyna nie dokona tego, czego dokonaliśmy my, potomkowie Duncana Idaho i Siony. Ileż to zaludniliśmy światów? Nikt tego nie obliczy. Nikt nigdy się tego nie dowie. Czy Kościół lęka się przypadkowego proroka? Wiemy, że jasnowidze nie mogą nas dostrzec ani przewidzieć naszych decyzji. Żadna klęska nie zdoła zgładzić całej ludzkości. Czy my, członkowie mniejszości, musimy dołączyć do naszych braci z Rozproszenia, zanim zostaniemy wysłuchani? Czy mamy pozostawić główną część ludzkości w niewiedzy i nieświadomości? Jeżeli większość nas wypędzi, wiedźcie, że już nigdy nas nie odnajdziecie!

Nie chcemy odchodzić. Trzymają nas tu owe *perły* pośród piasków. Fascynuje nas to, że Kościół używa ich jako „słońca zrozumienia”. Z pewnością żaden myślący człowiek nie może zignorować rewelacji dzienników w tym względzie. Uważane za nieistotne, a przecież najwyższej wagi osiągnięcia archeologii muszą mieć swój dzień chwały! Chociaż prymitywne urządzenie, w którym Leto II ukrył swe dzienniki, może nas tylko pouczyć o ewolucji maszyn, musimy pozwolić, by przemówiła do nas jego pradawna świadomość. Byłoby zbrodnią wobec prawdy historycznej i nauki zaniechanie prób skomunikowania się z tymi „perłami świadomości”, które lokalizują dzienniki. Czy Leto II pogrążył się w nieskończonym śnie, czy też może zostać obudzony w naszych czasach i doprowadzony do pełni świadomości niczym składnica historycznej prawdy? Czy Kościół Święty może się lękać tej prawdy?

My, mniejszość, nie mamy wątpliwości, że historycy muszą wysłuchać tego głosu z naszych początków. Nawet jeśli to tylko dzienniki, też musimy ich wysłuchać. Musimy słuchać przynajmniej tyle lat w przyszłości, ile lat dzienniki te były ukryte w przeszłości. Nie próbujemy przewidzieć odkryć, jakie mogą zostać dokonane na tych stronach. Mówimy tylko, że trzeba ich dokonać. Czy możemy odwracać się plecami do naszego najważniejszego dziedzictwa? Przecież poeta Lon Bramlis powiada: „Jesteśmy źródłem niespodzianek!”



Terminologia Imperium

Poznając historię Imperium, Arrakis i całą kulturę, która wydała Muad'Diba, napotykamy wiele nieznamych terminów. Pomoc w zrozumieniu ich to cel chwalebny, stąd te niżej podane definicje i wyjaśnienia.

ABA: luźna szata, zazwyczaj czarna.

ALEMBIK ŚMIERCI: w języku Fremenów: Huanui. Wynalezione przez Fremenów (i tylko przez nich używane) urządzenie do wydostylowywania wody ze zwłok.

ARRAKIN: pierwsza osada na Arrakis, do objęcia planety przez Harkonnenów siedziba rządu planetarnego. Po przejęciu Diuny przez Atrydów ponownie stolica planetarna.

ARRAKIS: trzecia planeta Canopusa, przed ekologiczną transformacją bardziej znana jako Diuna. Jedyne źródło życiodajnej przyprawy: melanzu.

BAHR BELA MA: w języku Fremenów: ocean bez wody.

BALISETA: pochodzący od cytry dziewięciostrunowy instrument szarpany. Ulubiony instrument trubadurów imperialnych.

BARCHAN: wydma w kształcie sierpa o ramionach zwróconych zgodnie z kierunkiem wiatru.

BASZAR: pierwotnie termin z militarnego leksykonu rodu Corrinów, oznaczający oficera sardaukarów (fanatycznych żołnierzy z Salusy Secundusa) nieco wyższego rangą od pułkownika w zunifikowanej hierarchii Imperium. Termin przejęty przez galach, Fremenów, a także rybomówne (patrz: **FREMENI** i **RYBOMÓWNE**).

BENE GESSERIT: zgromadzenie żeńskie przez stulecia działające za parawanem półmistycznej szkoły kształcenia ducha i ciała, którą założono po tym, jak Dżihad Butleriański doprowadził do zniszczenia tak zwanych „myślących machin” i robotów.

BENE TLEILAX: patrz: **TLEILAXANIE**.

BENOTTO, HADIA: archeolog, która odkryła komory pozaprzestrzenne Leto II w Dar-es-Balat.

BESTIA RABBAN: Glossu Rabban (10132–10193), hrabia z Lankiveil, siridar regent barona Vladimira Harkonnena na Arrakis przed przybyciem Atrydów, a następnie po rozgromieniu sił księcia Leto I Atrydy przez połączone siły sardaukarów i Harkonnenów.

BIBLIA PROTESTANCKO-KATOLICKA: *Księga Ksiąg*, kanoniczny tekst opracowany przez Kongres Ekumeniczny Federacji. Zrewidowane połączenie starożytnych świętych pism, zawierające elementy najstarszych religii, łącznie z Maometh Saari, chrześcijańską Mahayaną, katolicyzmem zensunnickim i przekazami buddislamskimi. Za najważniejsze przykazanie Biblii P-K uważa się: „Nie będziesz kaleczył ducha”.

CENVA, NORMA: właścicielka stoczni i nawigator z czasów Dżihadu Butleriańskiego, patronka Gildii Kosmicznej (patrz: **VENPORT**, **AURELIUSZ**).

CORIOLISA, KURZAWA: każdy większy samum na Arrakis przed ekologiczną transformacją planety, kiedy to na otwartych równinach wiatry wzmagane były przez jej ruch obrotowy i osiągały prędkość do 700 kilometrów na godzinę.

CORRINÓW, RÓD: ród pochodzący z Salusy Secundusa. Nazwę wziął od bitwy pod Corrinem (88 PG), która ustaliła jego trwające dziesięć tysięcy lat panowanie nad Imperium. Po klęsce zadanej sardaukarom przez Fremenów w bitwie pod Arrakin (10193) ród ten już nigdy nie odzyskał dawnej świetności (patrz: **SALUSA SECUNDUS**).

CYBUSOWY KAPTUR: wytwarzany przez Ixan bezkształtny worek z idealnie czarnego materiału, który pochłaniał światło widzialne i wszystkie inne znane formy promieniowania. Standardowe wyposażenie szpiegów i asasynów.

CZERW PUSTYNI: patrz: **SZEJ-HULUD**.

DAR-ES-BALAT: miejscowość na Rakis, miejsce ukrycia komór pozaprzestrzennych Leto II.

DIUNA: potoczna nazwa Arrakis sprzed ekologicznej transformacji planety.

DRUGI KSIĘŻYC: mniejszy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na zarys sylwetki skoczka pustynnego na jego powierzchni (patrz: **PIERWSZY KSIĘŻYC**).

DRYF: wtórna kolektorowa faza generatora pola Holtzmana. Znosi ciężenie w pewnych granicach, określonych proporcjami masy i zużycia energii. Wynalazek oparty na projekcie tarczy obronnej Holtzmana, zmodyfikowanym przez Normę Cenvę na Poritrinie.

DYKTATEL: zdalnie sterowane urządzenie inżynierów z Ixa zapisujące bezpośrednio myśli Leto II na materiale zdolnym przetrwać tysiące lat. Mechanizm drukujący, ukryty w katakumbach cytadeli, mógł być użyty zgodnie z wolą Boga Imperatora niezależnie od miejsca jego pobytu (patrz: **IX**).

DŻAKURUTU: legendarna sicz uznana za tabu wiele pokoleń przed zapoczątkowaniem ekologicznej transformacji Diuny, ponieważ była miejscem zamieszkania „wodnego robactwa” – Iduali. Dzięki powszechnemu przymierzowi fremeńskich plemion Dżakurutu zostało zaatakowane, a jego mieszkańcy eksterminowani.

DŻIHAD: „święta wojna”, fanatyczna krucjata religijna.

DŻIHAD BUTLERIAŃSKI: krucjata przeciwko „myślącym machinom” (komputerom i świadomym robotom), zwana potocznie Wielką Rewoltą. Trwała od roku 201 PG do roku 108 PG. Główne przykazanie Dżihadu Butleriańskiego zachowało się w Biblii P-K w postaci: „Nie będziesz czynił machin na obraz i podobieństwo umysłu ludzkiego”.

EKOLOGICZNA TRANSFORMACJA DIUNY: plan Pardota Kynesa mający na celu zmianę ekologii i klimatu Arrakis. Kontynuował go jego syn, Liet-Kynes, następnie Paul Muad'Dib i Alia Atryda, a zakończył Leto II.

ELAKKA: usłojone krwiście drewno z Ekaza (czwartej planety Bety Alfa Centauri), najlepiej znane z produktów z niego otrzymywanych: lin, narkotyku elakka i semuty.

ERG: rozległy obszar pustyni pokryty wydymami; morze piasku.

FAŁSZYWA SICZ: położona na skraju Onn mająca prawie kilometr średnicy budowla uformowana z nieregularnych kopuł. Pierwsza siedziba Muzealnych Fremenów, potem ich szkoła (patrz: **ONN**).

FARULA: Fremenka, matka Chani (konkubiny Imperatora Paula Atrydy), babka Ganimy i Imperatora Leto II.

FILTRAK: wynaleziony przed ekologiczną transformacją Arrakis strój pozwalający przetrwać na pustyni dzięki zapobieganiu utracie wydalanej wody i wilgoci. Jego podstawą była tkanina mikrowarstwowa, wysokiej wydajności system filtrujący wydzieliny ciała i pochłaniacz ciepła. Odzyskiwana woda przepływała do kieszeni łownych, z których można ją było pić za pomocą wodowodu (patrz: **FREMENI**, **KIESZEŃ ŁOWNY** i **WODOWÓD**).

FREMENI: wolne plemiona Arrakis sprzed zakończenia ekologicznej transformacji Diuny, mieszkańcy pustyni, potomkowie zensunnickich Wędrowców, którzy przybyli na Diunę ponad dziesięć tysięcy lat wcześniej (patrz: **MUZEALNI FREMENI**).

GALACH: oficjalny język Imperium. Hybryda anglo-słowiańska z silnymi naleciałościami leksykalnymi przyswojonymi od różnych kultur w trakcie wieloetapowych migracji człowieka.

GANIMA: bliźniacza siostra Leto II i jego oficjalna małżonka. Wraz z Harkiem al-Adą była protoplastą wszystkich Atrydów żyjących w czasach Boga Imperatora.

GIBLI: niewielka burza piaskowa.

GHOLE: duplikaty ludzi hodowane z komórek martwego ciała w kadziach aksolotlowych Tleilaxan. Zachowywały wzór genetyczny dawców, ale pozbawione były świadomych wspomnień z ich przeszłości (patrz: **KADŹ AKSOLOTLOWA**).

GIEDI PRIME: 36 Ophiuchi B, ojczysta planeta rodu Harkonnenów (nazwana przez Gurneya Hallecka Gammu, choć nazwa ta przyjęła się dopiero w Czasach Głodu i Rozproszenia).

GILDIA KOSMICZNA: jedno z trzech ramion politycznej triady, na której wspierała się Wielka Konwencja. Gildia jest drugą ze szkół kształcenia ducha i ciała (patrz: **BENE GESSERIT**), które zaczęły powstawać po Dżihadzie Butleriańskim. Ustanowienie monopolu Gildii w zakresie podróży kosmicznych, transportu i bankowości przyjmuje się za datę początkową kalendarza Imperium.

GŁOS: umiejętność manipulowania mową w celu zdobycia kontroli nad słuchaczem; jedno z najbardziej imponujących uzdolnień Bene Gesserit.

GOJGOA: arrakańska wioska położona w miejscu dawnego Szulochu (patrz: **SZULOCH**).

GROT-GOŃCZAK: szybująca w polu dryfowym metalowa igła, którą sterowano za pomocą ukrytej w pobliżu konsoli.

HAKI STWORZycIELA: laski stosowane przez Fremenów do chwytania, dosiadanania i ujeżdżania arrakańskiego czerwia pustyni. Z jednej strony zakończone hakami, z drugiej szorstkie dla pewniejszego chwytu (patrz: **FREMENI** i **SZEJ-HULUD**).

HARK AL-ADA: w języku Fremenów: łamiący obyczaj. Imię, które Farad'nowi Corrinowi nadał Leto II po wstąpieniu na tron imperialny. Według oficjalnej historiografii protoplastą wszystkich Atrydów żyjących podczas rządów Leto II był sam Bóg Imperator, lecz było to jedynie formalne ojcostwo – ich biologicznym przodkiem (według przekazów ustnych) był właśnie Hark al-Ada.

HARKONNENÓW, RÓD: ród z planety Giedi Prime (patrz: **GIEDI PRIME**), największy wróg Atrydów z czasów poprzedzających ekologiczną transformację Diuny.

IX: dziewiąta planeta Eridani A, źródło wyrafinowanych technologii. Zaliczana do niedościgłych cywilizacji technicznych.

IXANIE: mieszkańcy Ixa, dziewiątej planety Eridani A.

KADŹ AKSOLOTLOWA: wynalazek Tleilaxan służący m.in. do odtwarzania ludzi z komórek martwego ciała (patrz: **GHOLE**).

KALADAN: trzecia planeta Delty Pawia, przez długi czas siridar księstwo rodu Atrydów. Rodzinna planeta Paula Muad'Diba, ojca Imperatora Leto II.

KANAWA: „żelazny pierścień zazdrości” – fremeńskie określenie silnych emocji.

KETMAN: patrz: **TAQUIYYA**.

KHOAM: akronim od nazwy Konsorcjum Honnete Ober Advancer Mercantiles – wszechświatowej korporacji eksploatacyjnej kontrolowanej przez Imperatora i wysokie rody (z Gildią i Bene Gesserit jako cichymi wspólnikami). Po zakończeniu dżihadu Fremenów KHOAM została zdominowana przez Imperatora Paula Atrydę w takim stopniu, o jakim ród Corrinów nigdy nawet nie śmiał marzyć.

KIESZEŃ ŁOWNA: każda kieszeń filtraka, w której magazynowana była odzyskana woda (patrz: **FILTRAK**).

KLUCZ GILDII: klucz pozwalający odszyfrować zapisane za pomocą dyktatela dzienniki Leto II. Kilka tygodni po powrocie z cytadeli Boga Imperatora Siona ibn Fuad al-Sejfa Atryda posłała kopie wykradzionych ksiąg inkwizytorom na Ixa, szkole Bene Gesserit na Wallach IX i Gildii

Kosmicznej (patrz: **WYKRADZONE DZIENNIKI**). Mieli oni spróbować przełożyć oba tomy, a rezultaty przekazać Sionie. Leto II używał szyfru, który dawał kilka rozwiązań, i tylko klucz Gildii prawidłowo rozszyfrował oba tomy *Wykradzonych dzienników*.

KRÓLEWSKI POWÓZ: zbudowany przez Ixan według projektu Leto II pojazd służący Bogu Imperatorowi do poruszania się po cytadeli, a także do odbywania dalszych podróży. Mógł się poruszać na chowanych kołach lub wbudowanych w spód pancerza dwóch szeregach kul dryfowych.

KRYSNÓŻ: święty nóż Fremenów z Arrakis o ostrzu wyrabianym z kłów martwych czerwii pustyni. Krysnóże powstawały w dwóch wersjach: „stałej” i „niestałej” (nóż „niestały” wymagał kontaktu z polem elektromagnetycznym ciała ludzkiego, które zapobiegało jego rozpadowi). I jedne, i drugie miały mlecznobiałe ostrze długości około dwudziestu centymetrów, które w przyćmionym świetle dawało złudzenie rozżarzonego zęba czerwia.

KWISATZ HADERACH: „skrócenie drogi”. Nazwę tę nadały Bene Gesserit *niewiadomej*, dla której szukały rozwiązania na drodze genetycznej: Bene Gesserit płci męskiej, którego siły psychiczne łączyłyby przestrzeń i czas. Według ceduły doboru (głównego rejestru związków krwi ich planu eugenicznego) miał nim być syn zrodzony z córki lady Jessiki i Feyda-Rauthy Harkonnena. Wskutek wielu nieprzewidzianych czynników Kwisatz Haderach pojawił się wcześniej: był nim Paul Atryda, ojciec Leto II.

LANDSRAAD: najstarsza (obok KHOAM, rodu imperialnego i Gildii Kosmicznej) z instytucji, które uformowały Imperium. W czasie długiego panowania Corrinów Landsraad był jedyną organizacją, która zabezpieczała wspólne interesy wszystkich planet Imperium przed sardaukarami (fanatycznymi żołnierzami z Salusy Secundusa). Podczas rządów Imperatora Leto II został rozwiązany.

LEGION: formacja złożona z dziesięciu brygad (około 30 tysięcy ludzi).

LICALLO: najwybitniejszy kompozytor Drugiego Imperium.

LICHTUGA: rodzaj fregaty, największego statku kosmicznego mogącego lądować na planecie i startować z niej w całości.

LINIOWIEC: największy statek transportowy wykorzystywany w systemie przewozowym Gildii Kosmicznej.

LUMISFERA: zasilane zazwyczaj bateriami organicznymi urządzenie oświetleniowe zawieszone na dryfie. Wynalazek Normy Cenvy.

MAŁA CYTADELA: wieża w centralnej części Seriru, schronienie Imperatora Leto II.

MASKARADNICY: jadachańscy hermafrodyty z Tleilaxa. Artyści estradowi mający zdolność cielesnej adaptacji. Mogli dowolnie zmieniać swój wzrost, budowę ciała, rysy twarzy, kolor i długość włosów, a także płeć (patrz: **TLEILAXANIE**).

MATKA WIELEBNA: pierwotnie cenzorka Bene Gesserit, która przekształciła w swym ciele „truciznę objawienia” (esencję przyprawową) i wzniosła się na wyższy poziom świadomości (patrz: **BENE GESSERIT**).

MELANŻ: „przyprawa nad przyprawami”, której jedynym źródłem była Arrakis przed swą ekologiczną transformacją. Znana głównie z właściwości geriatrycznych, przyjmowana w ilościach powyżej dwóch gramów dziennie na siedemdziesiąt kilogramów wagi ciała była silnie uzależniająca. Melanż powstawał z masy preprzyprawowej – stadium grzybiastego, burzliwego wzrostu spowodowanego kontaktem wody z ekskrementami piaskowych troci. W tym stadium przyprawa „wybuchala” w charakterystyczny sposób, mieszając substancję z głębi ziemi z substancją z powierzchni. Utworzona masa, poddana działaniu słońca i wiatru, stawała się melanżem. Ekologiczna transformacja, mająca na celu likwidację pustyń Arrakis, spowodowała wyginięcie czerwii pustyni i piaskowych troci, a co za tym idzie także zniknięcie przyprawy. Egzystencja od niej uzależnionych ludzi uwarunkowana została kontyngentami, które Leto II

wydzielał co dziesięć lat z gigantycznego zapasu ukrytego na Arrakis (patrz: **PIASKOWA TROĆ**).

MENTAT: „ludzki komputer”, członek klasy obywateli Imperium szkolonych w umiejętności logicznego myślenia na nadludzkim poziomie. Podczas panowania Boga Imperatora szkolenie i wykorzystywanie zdolności ludzkich komputerów było zakazane.

MUAD'DIB, PAUL: fremeńskie imię wieku męskiego Imperatora Paula Atrydy, ojca Leto II.

MUR ZAPOROWY: górzyste wypiętrzenie terenu na północnej półkuli Arrakis przed ekologiczną transformacją Diuny, które osłaniało niewielki obszar tej planety przed kurzawami Coriolisa (patrz: **CORIOLISA, KURZAWA**).

MUZEALNI FREMENI: poddani Boga Imperatora, których – wobec braku odpowiedniego środowiska po ekologicznej transformacji Diuny i zmiany warunków społecznych – Leto wspierał, chcąc ocalić kulturę pierwotnych Fremenów. Żyli w zainscenizowanych siczach, w których pielgrzymi mogli nabyć plastikowe krysnoże, haki stwórcy, itp., a także obejrzyć rytuały Fremenów (patrz: **FREMEŃ**).

NAIB: „Ten, kto ślubował nie dać się wziąć żywcem”. Tradycyjna przysięga przywódcy Fremenów (patrz: **FREMEŃ**).

NAWIGATORZY: gildianie potrafiący dzięki melanzowi odszukać taką linię przyszłości, która pozwalała liniowcom Gildii Kosmicznej omijać wszelkie niebezpieczeństwa (patrz: **LINIOWIEC** i **GILDIA KOSMICZNA**).

NISKIE RODY: w języku galach: richecy; przywiązana do planety klasa przedsiębiorców (patrz: **RÓD**).

ODDZIELACZ WIATRU: urządzenie używane powszechnie na Arrakis przed ekologiczną transformacją Diuny. Instalowane głównie na szlaku dominujących wiatrów, skraplało wilgoć z powietrza, które było zasysane do komory (przeważnie wskutek gwałtownego i znacznego spadku temperatury w oddzielaczu).

ONN: wybudowane na terenie dawnego Tanzerouft Świąteczne Miasto, którego architekturę podporządkowano tylko jednej funkcji: publicznemu oglądaniu Boga Imperatora. W Onn znajdowały się gmachy głównej szkoły rybomównych, ambasady innych planet, biura agentów handlowych, muzea i biblioteki, jednak zajmowały one niecałe dziesięć procent powierzchni miasta. Miasto wybudowano z myślą Święcie Dziesięciolecia Leto II. Centrum stanowił gigantyczny plac otoczony przez balkony i platformy, z których poddani mogli podziwiać Boga Imperatora. Na placu zainstalowano ixańskie kamery, które przekazywały obraz do apartamentów na przedmieściach. Drugą, mniej jawną ceremonią, która odbywała się w Onn, był Siajnok (patrz: **RYBOMÓWNE** i **SIAJNOK**).

ORNITOPTERY: wszelkie statki zdolne do długotrwałego lotu za pomocą uderzeń skrzydłami na wzór ptaków. Podstawowy środek transportu powietrznego w Imperium.

OSTATNIA PUSTYNIA: patrz: **SERIR**.

PANEW: nisko położony teren lub depresja na Arrakis (przed ekologiczną transformacją planety) powstała w wyniku osiadania warstw podłoża.

PAPILARNY, ZAMEK: wszelkiego rodzaju zamki lub grodzie otwierające się po zetknięciu z dłonią człowieka, do której zostały dostrojone.

PARADAN: melon, produkt eksportowy Kaladanu.

PG: „przed Gildią”. Skrót w kalendarzu Imperium opartym na dacie powstania monopolu Gildii Kosmicznej w dziedzinie podróży, transportu i bankowości.

PIASKOWA TROĆ: pół roślina, pół zwierzę, zarodek czerwia pustyni żyjący w głębi piasku Arrakis przed zakończeniem ekologicznej transformacji tej planety. Ekskrementy piaskowych troci, które ginęły milionami w każdym wybuchu przyprawowym, zmieszane z wodą tworzyły masę preprzyprawową (patrz: **MELANŻ**). Nieliczne pozostałe przy życiu osobniki zapadały w półsen

cystohibernacji, by po sześciu latach wyłonić się w postaci małego (mniej więcej trzymetrowego) czerwia pustyni (patrz: **SZEJ-HULUD**). Zakończenie realizacji rozpoczętego przez ekologa Pardota Kynesa planu przekształcenia pustynnej Arrakis w żyzną planetę spowodowało wyginiecie piaskowych troci, podobnie jak czerwii pustyni.

PIERWSZY KSIĘŻYC: większy z dwóch satelitów Arrakis, godny uwagi ze względu na charakterystyczną plamę w rzeźbie powierzchni podobną do wizerunku ludzkiej pięści (patrz: **DRUGI KSIĘŻYC**).

PLASTAL: stal stabilizowana włóknami *stravidium*, które wrastają w jej strukturę krystaliczną.

POZAPRZESTRZEŃ: zjawisko wytwarzane przez urządzenia, które Ixanie wynaleźli z myślą o ukryciu przedmiotów wewnątrz określonego obszaru lub ukrycia samego obszaru.

PRAWDOMÓWCZYNI: Matka Wielebna, która posiadała sztukę zapadania w trans prawdy i bezbłędnie potrafi wykryć kłamstwo, oszustwo lub nieszczerłość.

PRZYPRAWA: patrz: **MELANŻ**.

PUNDI, RYŻ: zmutowany ryż o bogatych w naturalny cukier ziarnach osiagających do czterech centymetrów długości; główny produkt eksportowy Kaladanu.

RAKIS: skrócona nazwa Arrakis.

RÓD: określenie klanu panującego na planecie lub w systemie planetarnym.

RUSZNICA LASEROWA: miotacz laserowy wytwarzający falę ciągłą. W cywilizacji używającej powszechnie tarcz obronnych miały ograniczone zastosowanie, gdyż zetknięcie wiązki laserowej z tarczą powodowało straszliwy wybuch (fuzję subatomową). Podczas rządów Imperatora Leto II, który zakazał używania tarcz, rusznice laserowe w rękach rybomównych odzyskały dawne znaczenie (patrz: **TARCZA OBRONNA**).

RYBOMÓWNE: złożona z kobiet armia Imperatora Leto II.

RYDULIAŃSKI PAPIER KRYSTALICZNY: niezwykle wytrzymały i twardy papier grubości od jednej do kilku molekuł.

SALUSA SECUNDUS: trzecia planeta Gammy Waiping, ojczysta planeta rodu Corrinów. Miejsce szkolenia sardaukarów – fanatycznych żołnierzy rodu Corrinów (patrz: **CORRINÓW, RÓD**).

SERIR: mierząca tysiąc pięćset na tysiąc kilometrów kopia pustyni, która pokrywała niegdyś powierzchnię Arrakis; założona przez Imperatora Leto II.

SIAJNOK: Wielkie Uczestnictwo. Odbywająca się co dziesięć lat ceremonia wzmacniająca więzy między Bogiem Imperatorem a rybomównymi. Dla kobiecej armii Leto II Sijajok był najświętszym rytuałem zazdrośnie strzeżonym przed obcymi, w szczególności mężczyznami. Jedynym tolerowanym wyjątkiem był ghola Duncana Idaho. Sijajok odbywał się zawsze w sali pod gigantycznym placem Świętecznego Miasta Onn (patrz: **ONN** i **RYBOMÓWNE**).

SICZ: dla Fremenów: „miejsce zbiórki w razie zagrożenia”. Wskutek częstego użycia (przed Atrydami Fremenii żyli w nieustannym zagrożeniu) termin ten zaczął w końcu oznaczać wszelkie jaskiniowe siedziby ich plemiennych społeczności.

SICZ TABR: fremeńska sicz, do której w roku 10191 trafili podczas ucieczki przed Harkonnenami i sardaukarami lady Jessika i jej syn Paul Atryda, ojciec Imperatora Leto II (patrz: **SICZ**).

STWORZYCIEL: patrz: **SZEJ-HULUD**.

SUK: w języku Fremenów: targowisko.

SZADOUT: „czerpiąca ze studni”, fremeński tytuł honorowy.

SZEJ-HULUD: gigantyczny czerw z Arrakis, jedyne w swoim rodzaju zwierzę żyjące na tej planecie przed zakończeniem jej ekologicznej transformacji; „praszczur pustyni”, „praojciec wieczności”, „pradziad pustyni”. Czerwie osiągały ogromne rozmiary i dożywały sędziwego wieku, o ile nie padły ofiarą swych pobratymców lub nie utonęły w wodzie, która była dla nich zabójczą trucizną. Działaniu czerwii pustyni przypisywano większość piasku na Arrakis. Wskutek ekologicznej transformacji Diuny, mającej na celu likwidację pustyń planety, szej-huludy wyginęły (patrz: **PIASKOWA TROĆ**).

SZEJTAN: szatan.

SZKOLENIE: w odniesieniu do Bene Gesserit ten skądinąd pospolity termin nabiera specjalnego znaczenia, związanego m.in. z maksymalnym uwarunkowaniem nerwów i mięśni, jakie dopuszcza granica ich naturalnej wytrzymałości. Szkolenie pozwalało adeptce Bene Gesserit kontrolować siebie i innych (patrz: **GŁOS**).

SZULOCH: mityczna sicz wymieniana w wielu fremeńskich opowieściach. Dosłownie: „nawiedzone miejsce” (patrz: **GOJGOA**).

ŚWIĄTECZNE MIASTO: patrz **ONN**.

TABR: patrz: **SICZ TABR**.

TABUR: położona na terenie Seriru wioska Muzealnych Fremenów.

TALIONY WODY: stosowane przez Fremenów różnej wielkości metalowe pierścienie o ściśle określonym nominale wody, na którą można je było wymienić we fremeńskich kantorach (patrz: **FREMENI**).

TANZEROFT: rejon Arrakis zwany przed ekologiczną transformacją „Ziemią Grozy”. Wybudowano tam Świąteczne Miasto Onn.

TAQUIYYA: sztuka ukrywania tożsamości, kiedy jej ujawnienie może przynieść szkodę. Przez dawnych Fremenów zwana „ketman”.

TARCZA OBRONNA: pole ochronne wytwarzane przez generator Holtzmana. Pole powstaje w fazie pierwszej zjawiska dryfowo-anulacyjnego (zjawisko ujemnego odpychania przez generator tarczy). Tarcze przepuszczały tylko obiekty poruszające się z niewielką prędkością (od sześciu do dziewięciu centymetrów na sekundę) i dezaktywować je mogło jedynie pole elektryczne wielkości hrabstwa. Podczas rządów Imperatora Leto II zabroniono używania tarcz ze względu na niebezpieczeństwo fuzji subatomowej (straszliwego wybuchu spowodowanego zetknięciem się wiązki rusznicy laserowej z tarczą; patrz: **RUSZNICA LASEROWA**).

THONIE: sześćcionogie zwierzęta pociągowe używane w całym Imperium. Na Arrakis wprowadzone po zakończeniu ekologicznej transformacji planety.

TLEILAX: jedyna planeta Thalimy, niegdyś dziki ośrodek szkolenia mentatów. Źródło ghol i maskaradników.

TLEILAXANIE: (Bene Tleilax) mieszkańcy Tleilaxa, samotnej planety Thalimy, źródła niemoralnych (choć tolerowanych) technologii. Technokratyczne społeczeństwo Bene Tleilax wytwarzało ludzi projektowanych genetycznie do konkretnych celów, natomiast wojnę, ubóstwo i religię traktowało jako zwykłe produkty lub dogodne rynki zbytu.

TRÓJNÓG, TRÓJNÓG ŚMIERCI: trójnóg, na którym kaci pustynni wieszali skazańców.

ULOT: w języku Fremenów: kochany maruder.

WIELKA KONWENCJA: powszechny pokój wymuszony równowagą sił utrzymywaną przez Gildię, wysokie rody oraz Imperium. Jej główne postanowienie zabraniało używania broni atomowej przeciwko człowiekowi. Każdy punkt Wielkiej Konwencji zaczynał się od słów: „Należy przestrzegać konwencji...”

WIELKIE UCZESTNICTWO: patrz: **SIAJNOK**.

WIEŃCOMUR: drugi, wyższy stopień urwisk wieńczących Mur Zaporowy z czasów Diuny (patrz: **MUR ZAPOROWY**).

WILKI-D: mieszkańcy Zakazanego Lasu, strażnicy cytadeli Leto II (patrz: **ZAKAZANY LAS**).

WODOWÓD: każdy przewód wewnątrz filtraka lub filtrnamiotu doprowadzający odzyskaną wodę do kieszeni łownej lub z kieszeni łownej do użytkownika (patrz: **FILTRAK**).

WYKRADZONE DZIENNIKI: dwa tomy dzienników Imperatora Leto II wykradzione z cytadeli przez Sionę ibn Fuad al-Sejfę Atrydę (patrz: **KLUCZ GILDII**).

WYSOKIE RODY: lennicy Imperatora mający w wieczystym bądź terminowym władaniu planetę lub system planetarny; przedsiębiorcy międzyplanetarni (patrz: **RÓD**).

VENPORT, AURELIUSZ: przedsiębiorca z okresu Dżihadu Butleriańskiego, patron Gildii Kosmicznej. Umożliwił Normie Cenvie odkrycie niewykorzystującego komputerów systemu nawigacji (patrz: **CENVA, NORMA**).

ZAKAZANY LAS: położona na obrzeżach Seriru puszcza okalająca cytadelę Leto II (patrz: **SERIR** i **WILKI-D**).

ZGROMADZENIE ŻEŃSKIE: patrz: **BENE GESSERIT**.

ZŁY DUCH: termin używany przez Bene Gesserit na określenie przednarodzonych (osoby obdarzone świadomością już w łonie matki, mające wiedzę i wspomnienia przodków), którzy zostali opętani przez jednego z ich przodków.

Frank Herbert (1920–1986) to jeden z najwybitniejszych twórców literatury SF, zdobywca prestiżowych nagród Hugo, Nebula i Apollo, autor kilkunastu doskonałych powieści i zbiorów opowiadań, prekursor nurtu ekologicznego w fantastyce. Polski czytelnik zna m.in. jego *Oczy Heisenberga*, *Gwiazdę chłosty*, *Władców niebios* i *Twórców bogów*. Sławę przyniósł mu jednak przede wszystkim epokowy cykl „Kroniki Diuny” — barwna epopeja przedstawiająca dzieje pustynnej planety Arrakis, źródła najcenniejszej substancji we wszechświecie: melanżu.

Tytuł oryginału: *God Emperor of Dune*

Copyright © 1981 by Frank Herbert
All rights reserved

Fragmenty tej powieści ukazały się w miesięczniku „Playboy”

Copyright © for the Polish e-book edition by
REBIS Publishing House Ltd., Poznań 2011

Informacja o zabezpieczeniach

W celu ochrony autorskich praw majątkowych przed prawnie niedozwolonym utrwalaniem, zwielokrotnianiem i rozpowszechnianiem każdy egzemplarz książki został cyfrowo zabezpieczony. Usuwanie lub zmiana zabezpieczeń stanowi naruszenie prawa.

W publikacji wykorzystano czcionkę z rodziny Liberation (<https://fedorahosted.org/liberation-fonts/>)

Przekład tekstów pieśni: Klaudia Heintze
Redakcja merytoryczna i słowniczek: Sławomir Folkman
Redakcja: Błażej Kemnitz

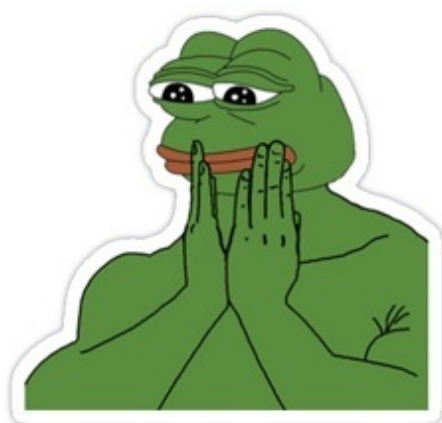
Copyright © 2008 for the illustrations by Wojciech Siudmak
Grafiki: Wojciech Siudmak

Wydanie I e-book
(opracowane na podstawie wydania książkowego:
Bóg Imperator Diuny, wyd. I w tym tłumaczeniu, dodruk, Poznań 2012)

ISBN 978-83-7818-088-3

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40, fax 61-867-37-74
e-mail: rebis@rebis.com.pl
www.rebis.com.pl

e-Book: KALADAN, www.kaladan.pl



RARE

Pokonawszy Alię i podporządkowawszy sobie ród Corrinów, Leto II objął rządy w Imperium i wprowadził je na swój Złoty Szlak. Trzy i pół tysiąca lat narzuconego spokoju zmieniło niewiele. Bene Gesserit, Tleilaxanie, Ixanie i Gildia Kosmiczna – trzymani w ryzach groźbą odcięcia dostaw melanżu – gotowi są zrobić wszystko, by w końcu pozbyć się człowieka-czerwia.

Syn legendarnego Muad'Diba staje w obliczu najbardziej diabolicznego spisku w historii. Spisku, który może doprowadzić nawet do śmierci Boga...

„Doskonały towar... Wręcz uderzający do głowy”.

„Los Angeles Times”



www.rebis.com.pl

Table of Contents

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Kiedy pisałem Diunę](#)

[Fragment wystąpienia Hadi Benotto](#)

[Bóg Imperator Diuny](#)

[Fragment tajnego podsumowania](#)

[Terminologia Imperium](#)

[Notka biograficzna](#)

[Strona redakcyjna](#)

[\[Okładka\]](#)